



**JEFFERY  
DEAVER**

**PANIKA**

Prószyński i S-ka

JEFFERY

DEAVER

PANIKA

Tytuł oryginału SOLITUDE CREEK

Copyright © 2015 by Gunner Publications LLC

Zdjęcie na okładce © Hanka Steidle/Arcangel Images

Redaktor prowadzący Monika Kalinowska

Redakcja

Lucyna Łuczyńska Korekta

Katarzyna Kusojć Grażyna Nawrocka

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-8069-449-1 Warszawa 2016 Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o. 02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego

28 [www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa

Drukarnia POZKAL Spółka z o.o. 88-100 Inowrocław, ul. Cegielna 10-12

Dla bibliotek i bibliotekarzy, wszędzie...

Strach zabija duszę. Frank Herbert, Diuna

# Spis treści

Okładka

Tytułowa

SZAŁ

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

PUNKI ODNIESIENIA

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

PŁÓD

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

## [ŚRODKI OSTROŻNOŚCI](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

## [FLASH MOB](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[ROZDZIAŁ 50](#)

[ROZDZIAŁ 51](#)

[ROZDZIAŁ 52](#)

[ROZDZIAŁ 53](#)

## [KLUB SEKRETÓW](#)

[ROZDZIAŁ 54](#)

[ROZDZIAŁ 55](#)

[ROZDZIAŁ 56](#)

[ROZDZIAŁ 57](#)

[ROZDZIAŁ 58](#)

[ROZDZIAŁ 59](#)

[ROZDZIAŁ 60](#)

[ROZDZIAŁ 61](#)

[ROZDZIAŁ 62](#)

[ROZDZIAŁ G3](#)

[ROZDZIAŁ 84](#)

[ROZDZIAŁ 65](#)

[ROZDZIAŁ 66](#)

[ROZDZIAŁ 67](#)

[ROZDZIAŁ 68](#)

[ROZDZIAŁ 69](#)

[ROZDZIAŁ 70](#)

[ROZDZIAŁ 71](#)

[ROZDZIAŁ 72](#)

## [KREW WSZYSTKICH](#)

[ROZDZIAŁ 73](#)

[ROZDZIAŁ 74](#)

[ROZDZIAŁ 75](#)

[ROZDZIAŁ 76](#)

[ROZDZIAŁ 77](#)

[ROZDZIAŁ 78](#)

[ROZDZIAŁ 79](#)

[ROZDZIAŁ 80](#)

[ROZDZIAŁ 81](#)

[ROZDZIAŁ 82](#)

[ROZDZIAŁ 83](#)

[ROZDZIAŁ 84](#)



ROZDZIAŁ 85

OSTATNIE WYZWANIE

ROZDZIAŁ 86

ROZDZIAŁ 87

ROZDZIAŁ 88

ROZDZIAŁ 89

ROZDZIAŁ 90

ROZDZIAŁ 91

ROZDZIAŁ 92

PODZIĘKOWANIA

SZAŁ

WTOREK, 4 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 1

W przydrożnym klubie było wygodnie, przyjemnie, niedrogo. To dobrze.

I bezpiecznie. Jeszcze lepiej.

Zawsze należało robić rozeznanie, kiedy zabierało się nastoletnią córkę na wieczorny koncert.

Michelle Cooper w każdym razie brała to pod uwagę. Przede wszystkim bezpieczeństwo, jeśli chodziło o zespół i jego muzykę, klientów oraz personel.

Ważny był także sam klub, parking - dobrze oświetlony - wyjście ewakuacyjne i instalacja przeciwpożarowa z systemem gaśniczym.

Zawsze to wszystko sprawdzała. Też ze względu na nastoletnią córkę.

Solitude Creek przyciągał różną klientelę - mężczyzn i kobiety, młodszych i starszych, białych, Latynosów i Azjatów, od czasu do czasu paru Afroamerykanów - odzwierciedlającą różnorodność mieszkańców wybrzeża zatoki Monterey. W tej chwili, tuż po wpół do ósmej, rozglądając się po sali, patrzyła na setki klientów, którzy przyjechali z tego oraz sąsiednich okręgów i wszyscy byli w świetnych nastrojach, niecierpliwie czekając na grupę, która zdobywała coraz większą popularność. Jeśli nawet dręczyły ich jakieś troski, dziś ukryli je głęboko, mieli w perspektywie piwo, wymyślne koktajle, skrzydełka z kurczaka i muzykę.

Zespół, który przyleciał z Los Angeles, był kiedyś grupą garażową, potem grał jako support, by dzięki Twitterowi, YouTube'owi i Vidsterowi stać się gwiazdą koncertów w przydrożnych klubach. Dzisiaj miejsce na rynku zdobywało się dzięki wiadomościom przekazywanym z ust do ust oraz talentowi, a szóstka chłopaków z Lizard Annie tak samo ciężko jak na scenie pracowała przy telefonach. Nie byli O.A.R. ani Linkin Park, ale, być może, przy odrobinie szczęścia niebawem osiągną podobny format.

Z pewnością mogli liczyć na wsparcie ze strony Michelle i Trish. Sądząc po składzie widowni, uroczy boysband miał dość liczną grupę stałych fanów, złożoną z matek i córek - najbardziej nieprzyzwoite teksty zaliczano do kategorii „za pozwoleniem rodziców”. Na koncert przyszła publiczność w wieku mniej więcej od szesnastu do czterdziestu lat. No dobrze, przyznała Michelle, może czterdziestu kilku.

Dostrzegła samsunga w dłoni córki i powiedziała:

- Później będziesz esemesować. Nie teraz.

- Mamo.

- Do kogo piszesz?

- Do Cho.

Sympatyczna dziewczyna, z którą Trish chodziła na muzykę.

- Dwie minuty.

Klub powoli się wypełniał. Solitude Creek był czterdziestoletnim parterowym budynkiem, wyposażonym w prostokątny parkiet taneczny z porysowanych desek dębowych, otoczony wysokimi stolikami ze stołkami barowymi. Scena wysokości metra znajdowała się na północnym końcu sali; bar naprzeciwko niej. W kuchni po wschodniej stronie przygotowywano regularne dania, co eliminowało ograniczenie wieku widzów: dzieci miały wstęp do lokali sprzedających alkohol, pod warunkiem że w menu było także jedzenie. W zachodniej ścianie znajdowały się trzy wyjścia ewakuacyjne.

Na boazerii z ciemnego drewna wisiały plakaty i zdjęcia z koncertów oraz prawdziwe i fałszywe autografy wielu wykonawców, którzy wystąpili na legendarnym festiwalu w Monterey w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku: Jefferson Airplane, Jimiego Hendriksa, Janis Joplin, Ravięgo Shankara, Ala Koopera, Country Joego. I kilkudziesięciu innych. W gablotce za przybrudzonym pleksiglasem umieszczono szczątek gitary elektrycznej, podobno tej samej, którą Pete Townshend z The Who zniszczył na festiwalowej scenie po występie zespołu.

Stoliki w Solitude Creek, zajmowane zgodnie z zasadą, kto pierwszy, ten lepszy, były już okupowane - koncert zaczynał się za dwadzieścia minut. Kelnerki z tacami uniesionymi wysoko na nieruchomych, płasko rozłożonych dłoniach krążyły po sali, roznosząc ostatnie zamówienia, wielkie hamburgery, skrzydełka i drinki. Zza sceny dobiegały miaukliwe dźwięki strojonej gitary, arpeggio saksofonu, mięsiste A na basie. Panował nastrój oczekiwania. Podniecające chwile, jakie przeżywa publiczność, zanim da się zaczarować i uwieść muzyce.

Rozlegały się donośne głosy wypowiadające niewyraźne słowa, gdy goście, którym nie udało się dopaść stolika, walczyli o jak najlepsze miejsca stojące.

Estrada nie była wysoka, a parkiet płaski, nie wszystkim udało się znaleźć punkt z dobrym widokiem na scenę. Doszło do drobnych przepychanek, ale padło niewiele ostrych słów.

To był klub Solitude Creek. Żadnej agresji.

*Bezpiecznie...*

Jedno tylko nie podobało się Michelle Cooper. Klaustrofobia. Niski sufit w klubie pogłębiał wrażenie ciasnoty. Ciemna sala niezbyt przestronna i niezbyt przewiewna, mieszanina zapachu potu, płynów po goleniu i perfum, jeszcze silniejsza od aromatów grilla i oleju z frytkownic, potęgowały poczucie zamknięcia, poczucie, że ludzie są stłoczeni jak sardynki w puszcze. Nie, za tym Michelle Cooper nigdy nie przepadała.

Musnęła z roztargnieniem blond włosy przetykane jaśniejszymi pasemkami, jeszcze raz spojrzała na wyjścia ewakuacyjne - całkiem niedaleko - i to ją trochę uspokoiło.

Wypiła łyk wina.

Zauważyła, że Trish zerka na chłopaka przy stoliku obok. Miał włosy opadające na oczy, pociągłą twarz, szczupłe biodra. Zabójczo przystojny. Pił piwo, więc matka milcząco, ale bez namysłu sprzeciwiła się zainteresowaniu córki. Nie chodziło o alkohol, lecz o wiek: skoro pił, znaczyło, że ma ponad dwadzieścia jeden lat, był zatem osobą absolutnie nieodpowiednią dla jej siedemnastoletniej córki.

Po chwili pomyślała z ironią: przynajmniej ja mogę spróbować.

Zerknęła na roleksa z brylantami. Pięć minut.

- *Escape* było nominowane do Grammy? - spytała Michel le.

- Aha.

- Skup się na tym, co mówię, dziecko.

Dziewczyna skrzywiła twarz.

- Mamo. - Oderwała wzrok od Chłopaka z Piwem.

Michelle miała nadzieję, że Lizard Annie to dzisiaj zagra. Piosenka *Escape* nie tylko wpadała w ucho, ale przywoływała miłe wspomnienia. Słuchała jej niedawno po pierwszej randce z adwokatem z Salinas. W ciągu sześciu lat, jakie upłynęły od koszmarnego rozwodu, spędziła wiele krępujących wieczorów na kolacjach i w kinie, ale spotkanie z Rossem było naprawdę przyjemne. Śmiali się. Spierali się

o najlepszy odcinek *Homeland* i *Figurantki*. I nie czuła żadnej presji - nic nie musiała. To rzadkie na pierwszej randce.

Matka i córka zjadły jeszcze trochę dipu z karczochów, Michelle wypła odrobinę wina. Kiedy prowadziła, pozwalała sobie najwyżej na dwa kieliszki.

Dziewczyna poprawiła kwiecistą opaskę na włosach i pociągnęła łyk coli light. Miała na sobie czarne dżinsy, niezbyt opięte - hura! - i biały sweter. Michelle włożyła niebieskie dżinsy, bardziej obcisłe niż córka, choć był to objaw nieudanych prób uprawiania gimnastyki, i czerwoną jedwabną bluzkę.

- Mamo. Pojedziemy w weekend do San Francisco? Muszę mieć tę kurtkę.

- Pojedziemy do Carmel. - Sporą część prowizji z handlu nieruchomościami wydawała na zakupy w luksusowych sklepach tego malowniczego i wyjątkowo uroczego miasteczka.

- Jeju, mamo, nie mam trzydziestu lat. - Czyli nie jestem staruszką. Trish stwierdzała po prostu, całkiem trafnie, że kupno superciuchów dla nastolatek nie jest łatwym zadaniem na półwyspie, który z niewielką dozą przesady nazywano miejscem dla osób w wieku poślubnym albo przedpogrzebowym.

- Zgoda. Jeszcze to ustalimy.

Trish objęła ją, a świat Michelle pojaśniał.

Przeżyły już z córką ciężkie chwile. Na pozór udane małżeństwo rozpadło się z powodu niewierności. Wszystko przewróciło się do góry nogami. Frederick (nigdy Fred) wyprowadził się, gdy dziewczynka miała jedenaście lat - trudny moment na rozstanie. Michelle ciężko jednak pracowała, żeby stworzyć córce dobre życie, dać to, co wydarła jej zdrada, a potem rozwód.

I jej starania przynosiły efekty. Dziewczyna wyglądała na szczęśliwą. Zauważyła, że Michelle patrzy na nią maślanymi oczami.

- Co, mamo?

- Nic.

Światła przygasły.

Komunikaty o wyłączeniu telefonów, wyjściach ewakuacyjnych i tak dalej osobiście podał przez głośniki właściciel klubu, czcigodny Sam Cohen, ikona okolic zatoki Monterey. Wszyscy znali Sama. Wszyscy go uwielbiali.

- A teraz, panie i panowie - ciągnął głos Sama - Solitude Creek, najlepszy

i najważniejszy klub na Zachodnim Wybrzeżu...

Brawa.

- ...z radością wita przybyłych do nas z Miasta Aniołów... Lizani Annie!

Zerwała się burza oklasków. Rozległy się radosne gwizdy.

Chłopcy wyszli na scenę. Gitary zostały podłączone. Miejsce za perkusją zajęte. Za keyboardem też.

Wokalista odrzucił na bok gęstą grzywę i wyciągnął do publiczności otwartą dłoń. Gest rozpoznawczy zespołu.

- Chcemy się bawić? Jesteśmy gotowi?

Wycie.

- Jesteśmy?

Zabrział gitarowy riff. Tak! To był *Escape*. Michelle i jej córka klaskały wraz z dwiema setkami osób stłoczonych na niewielkiej przestrzeni. Zrobiło się bardziej gorąco i wilgotno, zgęstniał wszechogarniający zapach potu. Znow odezwała się klaustrofobia, trochę mocniej niż dotąd. Mimo to Michelle cieszyła się i śmiała.

Pulsował rytm wybijany przez bas, perkusję i ludzkie ręce.

Nagle jednak Michelle przestała klaskać. Zmarszczyła brwi i rozejrzała się, przechylając głowę. Co to? W klubie, jak w całej Kalifornii, miał obowiązywać zakaz palenia. Ale była pewna, że ktoś zapalił. Wyraźnie poczuła dym.

Rozejrzała się, lecz nie zauważyła nikogo z papierosem w ustach.

- Co? - krzyknęła Trish na widok zaniepokojonej miny matki.

- Nic - odparła Michelle i znow zaczęła klaskać do rytmu.

## ROZDZIAŁ 2

Przy trzecim słowie drugiego utworu - akurat była nim „miłość” - Michelle Cooper wiedziała, że coś jest nie tak.

Coraz wyraźniej czuła woń dymu. I nie był to dym z papierosa, ale dym palącego się drewna albo papieru.

Albo starych suchych ścian, albo podłogi bardzo zatłoczonego klubu.

- Mamo? - Trish z niepokojem rozglądała się po sali. Zmarszczyła perkaty nos. - Czy to nie...

- Też to czuję - szepnęła Michelle. Nie widziała żadnej chmury dymu, lecz swąd nie pozostawiał żadnych wątpliwości i był coraz silniejszy. - Wychodzimy. Już. - Michelle zerwała się na nogi.

- Ej, proszę pani! - zawołał jakiś mężczyzna; złapał stołek i postawił go z powrotem. - Nic pani nie jest? - Po chwili zmarszczył czoło. - Jezu, to dym?

Inni rozglądali się niepewnie, czując to samo.

Wszyscy w sali przestali istnieć; nie było żadnej z około dwustu osób - pracowników klubu, klientów i muzyków. Michelle Cooper chciała zabrać stąd tylko swoją córkę. Skierowała Trish w stronę najbliższego wyjścia ewakuacyjnego.

- Moja torebka! - zawołała dziewczyna, przekrzykując muzykę. Torebka Brighton z wytłoczonymi serduszkami, prezent od Michelle,

stała ukryta pod stolikiem - dla bezpieczeństwa. Dziewczyna pobiegła po nią.

- Daj spokój, idziemy! - zakomenderowała matka.

- Zaraz wró... - Pochyliła się pod stół.

- Trish! Nie! Zostaw ją!

Już kilkanaście osób obok nich, widząc, że Michelle gwałtownie zrywa się ze stołka i rusza w stronę wyjścia, przestało zwracać uwagę na muzykę; coraz więcej ludzi wstawało, rozglądając się po sali. Na ich twarzach było widać zaciekawienie i niepokój. Uśmiechy zniknęły. Oczy się zwęziły. W spojrzeniu pojawiło się coś zwierzęcego i drapieżnego.

Pięć czy sześć osób wcisnęło się między Michelle i Trish, która wciąż szukała pod stołem torebki. Matka szybko zrobiła krok w jej stronę i chwyciła dziewczynę za ramię. Jej dłoń wczepiła się w sweter. Materiał napiął się jak guma.



- Mamo! - Trish się wyrwała.

W tym momencie wyjścia ewakuacyjne oświetlił jasny reflektor.

Muzyka raptownie umilkła. Wokalista powiedział do mikrofonu:

- Hm, słuchajcie, nie wiem, co jest grane... Tylko bez paniki.

- Jezu, co się... - krzyknął ktoś obok Michelle.

Rozległy się wrzaski. Salę wypełniło przeraźliwe wycie, które niemal rozrywało bębni.

Michelle usiłowała dostać się do córki, ale rozdzielało je coraz więcej ludzi; zostały odepchnięte przez tłum w przeciwnie strony.

Komunikat w głośnikach:

- Panie i panowie, wybuchł pożar. Proszę opuścić klub! Natychmiast! Nie wychodzić przez kuchnię ani przez scenę - tam właśnie jest ogień. Proszę skorzystać z wyjść ewakuacyjnych.

Krzyki przeszły w nieartykułowany ryk.

Zrywano się z miejsc, przewracały się stołki i rozlewały drinki. Dwa wysokie stoły zachwiały się i z hukiem runęły na podłogę. Ludzie ruszyli w stronę drzwi wyjściowych - czerwone napisy nad nimi wciąż się jarzyły; mimo silnego zapachu dymu w sali ciągle była dobra widoczność.

- Trish! Tutaj! - krzyknęła Michelle. Między nimi kłębiło się już ponad dwadzieścia osób. Po co, u diabła, wracała po tę cholerną torebkę? - Wychodzimy!

Córka zaczęła się przepychać przez tłum, ale ludzka fala płynąca w stronę wyjść ewakuacyjnych uniosła Michelle w powietrze i pociągnęła ze sobą, podczas gdy Trish utknęła, otoczona inną grupą.

- Kochanie!

- Mamo!

Porwana w stronę drzwi Michelle napięła wszystkie mięśnie, żeby wrócić po córkę, była jednak bezradna, wtłoczona między krępego mężczyznę w T-shircie, już poszarpanym na strzępy, ze śladami paznokci na zaczerwienionej skórze, oraz kobietę, której sztuczny biust boleśnie wciskał się w bok Michelle.

- Trish, Trish, Trish!

Tak samo mogłaby być niemową. Krzyki ludzi - wyli ze strachu i z bólu - działały paraliżująco. Widziała tylko głowę mężczyzny przed sobą i czerwony napis

nad wyjściem, w którego stronę sunął tłum. Michelle waliła pięściami w ramiona, ręce, szyje, twarze, sama też zbierała ciosy od innych.

- Muszę iść po córkę! Cofnijcie się, cofnijcie!

Ale nic nie mogło zatrzymać fali, która sunęła w stronę drzwi. Michelle oddychała, nabierając tylko mililitry powietrza. I ten ból - w piersi, w boku, w brzuchu. Straszny! Miała unieruchomione ręce, stopy zawieszona nad podłogą.

W sali paliły się wszystkie światła. Obróciła się odrobinę - nie z własnej woli - i zobaczyła twarze ludzi obok siebie: oczy wielkie jak monety, czerwone strużki płynące z ust. W panice przegryzali sobie języki? A może pęknięte żebra przebijały im płuca? Jakiś czterdziestokilkuletni mężczyzna o szarej cerze stracił przytomność. Zemdlał? Zmarł na atak serca? Wciąż jednak utrzymywał się w pionowej pozycji, zaklinowany w falującym tłumie.

Zapach dymu się nasilał i trudno było oddychać - może ogień zasysał tlen z sali, choć nadal nie widziała żadnego ognia. Może to przerażeni ludzie zużywali więcej powietrza. I jeszcze nacisk ciał na jej klatkę piersiową.

- Trish! Kochanie! - zawołała, ale z jej ust wydobył się tylko szept. W płucach brakowało powietrza.

Gdzie jej córeczka? Ktoś pomagał jej uciekać? Mało prawdopodobne. Wyglądało, że nikt, zupełnie nikt nikomu nie pomagał. Wszystkich opętał zwierzęcy szal. Każdy myślał tylko o sobie. Żeby przeżyć.

Błagam...

Ludzie, do których była przyklejona, nagle się o coś potknęli.

Boże...

Spoglądając w dół, Michelle zdążyła dostrzec leżącą na boku szczupłą, młodą Latynoskę w czerwono-czarnej sukience, z twarzą stężałą w wyrazie cierpienia i grozy. Prawą rękę miała złamaną i wygiętą do tyłu, drugą wyciągała do góry, usiłując chwycić się kieszeni spodni jakiegoś mężczyzny.

Bezradna. Nie potrafiła się podnieść; nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, chociaż krzyczała, kiedy deptały po niej kolejne osoby.

Michelle patrzyła prosto w jej oczy, gdy stopa w ciężkim bucie stanęła na gardle kobiety. Mężczyzna próbował tego uniknąć, wołając do ludzi wokół niego:

- Nie, do tyłu, do tyłu!

Ale podobnie jak reszta zupełnie nie panował nad tym, dokąd idzie, jak się porusza, po czym stąpa.

Pod naciskiem jego ciężaru kobieta obróciła głowę jeszcze bardziej na bok i zaczęła gwałtownie dygotać. Kiedy Michelle przepchnięto dalej, oczy Latynoski stały się już szkliste, a spomiędzy jasnoczerwonych warg wysuwał się koniuszek języka.

Michelle Cooper właśnie zobaczyła śmierć człowieka.

Rozległy się nowe komunikaty. Michelle nie słyszała ani słowa. Zresztą one i tak nie miały żadnego znaczenia. Absolutnie nad niczym nie panowała.

Trish, modliła się w duchu, utrzymaj się na nogach. Nie padaj. Błagam...

Kiedy skłębiona masa ludzi przypłynęła bliżej wyjść ewakuacyjnych, tłum przesunął się w prawo i Michelle ujrzała resztę klubowej sali.

Jest! Tak, to ona! Córka wciąż trzymała się na nogach, choć też była unieruchomiona przez mur ciał.

- Trish! Trish!

Nie umiała już jednak wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Matka i córka poruszały się w przeciwnych kierunkach.

Michelle zamrugała, próbując usunąć z oczu łzy i pot. Jej grupa znalazła się już trzy metry od drzwi. Za kilka sekund opuści salę. Trish wciąż była w pobliżu kuchni - gdzie, jak przed chwilą powiedział głos w głośnikach, szalał pożar.

- Trish! Tutaj!

Na nic.

I nagle zobaczyła, że mężczyzna obok jej córki zupełnie przestaje nad sobą panować - okłada twarz człowieka tuż przy nim, a potem wspina się na głowy tłumy, jak gdyby w swoim szaleństwie uwierzył, że uda mu się przedrzeć przez sufit. Był potężny, a wśród osób, które wykorzystał jako odskocznię, znalazła się Trish, lżejsza od niego o pięćdziesiąt kilogramów. Michelle widziała, jak jej córka otwiera usta, by wrzasnąć, i po chwili, przygnieciona jego ciężarem, znika pod rozszalałym ludzkim morzem.

# PUNKI ODNIESIENIA

ŚRODA, 5 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 3

Dwie osoby siedzące przy długim stole konferencyjnym przyglądały się jej z różnym stopniem zaciekawienia.

Czymś jeszcze? - zastanawiała się. Podejrzliwością, antypatią, zazdrością?

Kathryn Dance, ekspertka w dziedzinie kinezyki (mowy ciała), zawodowo zajmowała się czytaniem w ludziach, ale jeśli chodziło o stróżów prawa, ich zachowanie trudno poddać analizie, więc w tym momencie nie miała pewności, co im chodzi po głowie.

Obecny był także jej szef, Charles Overby, choć nie siedział przy stole, tylko stał w drzwiach, pochłonięty swoją motorolą droid. Pojawił się przed chwilą.

Znajdowali się w pomieszczeniu technicznym przy pokoju przesłuchań na parterze siedziby środkowo-zachodniego regionu CBI, Biura Śledczego Kalifornii, niedaleko drogi numer sześćdziesiąt osiem w Monterey, opodal lotniska. W jednej z tych ciemnych i nieprzyjemnych klitek oddzielonych od pokoi przesłuchań weneckim lustrem, które, jak było wiadomo nawet najbardziej naiwnym czy naćpanym sprawcom, nie służyło do poprawiania fryzury ani krawata.

Zebrane tu towarzystwo hołdowało praktycznemu stylowi. Mężczyzną, który zajął główne miejsce przy stole, był Steve Foster, ubrany w luźny czarny garnitur i białą koszulę. Kierował sekcją dochodzeń specjalnych w wydziale kryminalnym CBI i pracował w Sacramento. Dance, metr sześćdziesiąt siedem wzrostu i pięćdziesiąt pięć kilogramów wagi, nie była pewna, kiedy można czyjąś posturę uznać za „przygniatającą”, ale Foster z pewnością lokował się blisko tej kategorii. Barczysty, z imponującą siwą grzywą i wąsami, które mógłby podkręcać, gdyby sterczały poziomo, zamiast smętnie opadać niczym obwisłe gałązki - wyglądał jak dawny szeryf z Dzikiego Zachodu.

Prostopadle do niego siedziała Carol Allerton w obszernym szarym żakiecie i spodniach, krępa kobieta o krótkich ciemnych włosach ze srebrnymi pasemkami, starsza agentka DEA z Oakland. Miała na koncie kilkanaście poważnych aresztowań. Może nie była legendą, ale cieszyła się szacunkiem. Chociaż oferowano jej szansę szybkiej kariery w Sacramento, a nawet w Waszyngtonie, nie skorzystała z okazji.

Kathryn Dance miała na sobie czarną spódnicę i białą bluzkę z grubej bawełny oraz ciemnobrązową marynarkę skrojoną w taki sposób, by ukrywała lub przynajmniej maskowała glocka w kaburze. Jedyнным barwnym akcentem jej stroju była niebieska gumka we włosach, którą córka związała jej francuski warkocz rano w drodze do szkoły.

- Zrobione. - Pięćdziesięciokilkuletni Charles Overby uniósł wzrok znad telefonu - być może rezerwował kort albo czytał e-mail od gubernatora, choć biorąc pod uwagę to spotkanie, prawdopodobnie chodziło o coś pomiędzy jednym a drugim. - No dobrze, specgrupa prawie w komplecie? - spytał agent. Mimo sylwetki w kształcie gruszki był wysportowany. - W takim razie bierzmy się do dzieła. - Usiadł i otworzył szarą teczkę.

Przymilne słowa zostały powitane takimi samymi surowymi spojrzeniami, jakie przed chwilą zmierzyły Dance. W organach ścigania wszyscy wiedzieli, że Overby od zawsze specjalizował się w administracji, podczas gdy reszta obecnych tutaj zajmowała się niebezpieczną robotą śledczą na pierwszej linii frontu. Żadne z nich nie użyłoby wyrażenia „specgrupa”, które właśnie padło z jego ust.

Mruknęli coś niewyraźnie i skinęli głowami.

Wspomniane „dzieło” to operacja w ramach prowadzonej w całym stanie akcji przeciwko nowemu trendowi w działalności gangów. Ze zorganizowaną przestępczością mieli do czynienia w całej Kalifornii, ale szczególnej uwagi wymagały gangi skupione w dwóch ośrodkach, na północy i południu. Centrum pierwszego było Oakland, drugiego Los Angeles. Zamiast jednak ze sobą rywalizować, ekipy z przeciwległych stron stanu rozpoczęły współpracę, tak więc broń z rejonu zatoki San Francisco trafiała na południe, a narkotyki na północ. Cały czas drogą międzystanową numer pięć, autostradą sto jeden oraz zakurzoną i wolną dziewięćdziesiątką kursowały nielegalne transporty.

Aby trudniej je było namierzyć i zatrzymać, szefowie gangów wpadli na pomysł: zaczęli przewozić towar luzem, przeładowując go na przystankach z ciężarówek do dziesiątków małych samochodów dostawczych i furgonetek. Idealnym węzłem przeładunkowym było Salinas, w którym pręźnie działały gangi, działały dwie godziny drogi na południe od Oakland i pięć godzin na północ od Los Angeles. Setki magazynów, tysiące pojazdów i wozów dostawczych. Policja już

prawie przestała przechwytywać transporty i nielegalny interes kwitł. Według statystyk tylko w tym roku dochód z przedsięwzięcia zbrojeniowo-narkotykowego wzrósł do niemal pół miliarda dolarów.

Pół roku temu CBI, FBI, agencja antynarkotykowa DEA oraz lokalne policje przygotowały operację Kanał, aby podjąć próbę przerwania sieci transportowej, lecz z marnym skutkiem. Gangsterzy mieli takie koneksje, byli tak sprytni i bezczelni, że wciąż o krok wyprzedzali stróżów prawa, a tym udało się przymknąć tylko paru drobnych detalistów i kurierów z kilkoma uncjami towaru przyklejonymi taśmą w kroczu, niewartych nawet bajtów pamięci, które zajęli w komputerowej kartotece. Na domiar złego informatorzy zostali zidentyfikowani, poddani torturom i zlikwidowani, zanim śledczy zdążyli sprawdzić jakiegokolwiek tropy.

W ramach operacji Kanał Kathryn Dance prowadziła akcję o kryptonimie Wątek Guzmana i stworzyła grupę specjalną w składzie Foster, Allerton i dwóch funkcjonariuszy przebywających w terenie. Rzeczony Guzman był potężnym gangsterem z pogranicznym zaburzeniem osobowości, który podobno znał co najmniej połowę punktów przerzutowych w Salinas i okolicy. Wymarzona zdobycz w szalonej profesji wszystkich organów ścigania.

Po zmudnych przygotowaniach za ledwie poprzedniego dnia wieczorem Dance wysłała wiadomość członkom grupy, że jest pierwszy trop Guzmana, i wezwała ich właśnie tutaj na odprawę.

- Opowiedz o tym gnojku, z którym będziesz dzisiaj rozmawiać. Tym, który twoim zdaniem ma sygnąć Guzmana. Jak on się nazywa? Serrano? - Pytanie padło z ust Steve'a Fostera.

- Joaquin Serrano - odparła. - Jest niewinny - tak wynika z zebranych danych. Niekarany. Trzydzieści dwa lata. Dowiedzieliśmy się od informatora, którego prowadzimy...

- Kto go prowadzi? - przerwał jej bezceremonialnie Foster. Dance wiedziała już, że jest mistrzem przerywania innym wypowiedzi. Agenci byli też dość wyczuleni na próby podbierania tajnych informatorów przez swoich kolegów.

- Nasze biuro.

Foster burknął coś pod nosem. Może się zirytował, że nie został poinformowany. Ruch palca powiedział jej „mów dalej”.

- Serrano może powiązać Guzmana z zabójstwem Smutnookiego.

Ofiara naprawdę nazywała się Hector Mendoza (przydomek zawdzięczał opadającym powiekom). Należał do gangu i znał wszystkie grube ryby w obu szajkach, północnej i południowej. Byłby więc świadkiem doskonałym - gdyby pozostał przy życiu.

Nawet cyniczny i opryskliwy Foster wydawał się zadowolony, niewykluczone, że uda się obciążyć Guzmana zabójstwem Smutnookiego.

Overby, który często stwierdzał oczywiste rzeczy, rzekł:

- Jeżeli wpadnie Guzman, reszta umoczonych w Kanale posypie się jak kostki domina. - Jego mina wskazywała jednak, że nie podoba mu się własna metafora.

- Ten świadek, Serrano. Powiedz o nim coś więcej. - Allerton bawiła się blokiem żółtego papieru, ale kiedy się zorientowała, co robi, wyrównała brzegi i odłożyła go.

- Jest architektem zieleni, pracuje w jednej z dużych firm w Monterey. To udokumentowane. Prawdopodobnie wiarygodny.

- Prawdopodobnie - powtórzył Foster.

- Gdzie teraz jest? - zapytała Allerton.

- Na zewnątrz - odparł Overby.

- Dlaczego w ogóle chce z nami rozmawiać? - spytał Foster. - Miejmy jasność w temacie. Wie, co zrobi Guzman, kiedy się dowie.

- Może chce pieniędzy? - zasugerowała Allerton. - Albo na przykład ma kogoś w więzieniu i liczy, że tej osobie pomożemy?

- A może chce zrobić to, co należy. - Dance wywołała śmiech Fostera. Sama też lekko się uśmiechnęła. - Słyszałam, że od czasu do czasu coś takiego się zdarza.

- Zgłosił się dobrowolnie? - zdziwiła się głośno Allerton.

- Po prostu do niego zadzwoniłam. Zgodził się.

- Czyli jesteśmy uzależnieni od jego widzimisię, czy nam pomoże, czy nie? - upewnił się Overby.

- Mniej więcej. - Zabrzęczał telefon pod ścianą. Dance wstała i podniosła słuchawkę.

- Tak?

- Cześć, szefowo.

Dzwonił trzydziestokilkuletni agent z biura środkowo-zachodniego CBI. Młodszy



stopniem partner Dance, choć jego oficjalny tytuł brzmiał inaczej. TJ Scanlon był pracowity, mogła na nim polegać, i najogólniej mówiąc, nietypowy jak na konserwatywne CBI.

- Już jest - poinformował ją TJ. - Gotowy.

- W porządku, wprowadź go. - Odłożyła słuchawkę i zakomunikowała zebrany w pokoiku: - Przyszedł Serrano.

Przez lustrzane okno patrzyli, jak otwierają się drzwi pokoju przesłuchań. Wszedł szczupły TJ, którego kręcone włosy wyglądały bardziej niesfornie niż zwykle. Miał na sobie sportową marynarkę w kratę i czerwone spodnie, prawie dzwony. Jego T-shirt był zafarbowany w żółte i pomarańczowe kręgi.

Nietypowy...

Za nim wkroczył wysoki Latynos o gęstych, krótko ostrzyżonych włosach. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Był w ciemnoniebieskich wąskich dżinsach. Nowych. I szarej bluzie z kapturem z napisem „UCSC” z przodu.

- Aha - mruknął Foster. - Skończył Uniwersytet Santa Cruz. Jasne.

- Nie skończył - odrzekła chłodno Dance. - Chodził na zajęcia.

- Hmm.

Latynos miał wytatuowaną prawą rękę, chociaż wzór nie przypominał symbolu gangu, a na lewym przedramieniu, przy rękawie bluzy, można było dostrzec początek innego tatuażu. Na twarzy mężczyzny malował się spokój.

W głośniku usłyszeli, jak młody agent mówi:

- To tutaj. Proszę usiąść. Przynieść panu wody?

- Nie - odparł pośpny Latynos.

- Zaraz ktoś do pana przyjdzie.

Mężczyzna skinął głową. Usiadł na krześle zwróconym w stronę jednostronnego lustra. Rzucił na nie okiem, po czym wyjął telefon i coś czytał na ekranie.

Foster lekko się poruszył. Dance nie potrzebowała żadnych umiejętności czytania mowy ciała, by odgadnąć jego myśli.

- Pamiętaj, to tylko świadek - powiedziała. - Nie mamy nakazu kontrolowania połączeń. Nie zrobił nic złego.

- Och, na pewno zrobił coś złego - odparł Foster. - Po prostu jeszcze nie wiemy co.

Spojrzała na niego.

- Czuję to.

Wstała, wyjęła glocka z kabury i położyła na stole. Następnie wzięła długopis i blok z żółtymi kartkami.

Czas zabrać się do pracy i odkryć prawdę.

## ROZDZIAŁ 4

Dokonuje cudów, prawda? - spytał Foster. - Tą swoją kinezyką?

- Owszem, Kathryn jest dobra. - Overby odczuwał antypatię do Fostera, ten bowiem chętnie pokazywał się przed kamerą i przypisywał sobie zasługi ludzi, którzy wykonywali większość czarnej roboty. Musiał jednak uważać. Pod względem zaszeregowania Foster był mniej więcej na takim samym stanowisku jak on, ale wyższym w tym sensie, że pracował w Sacramento i zajmował gabinet nie dalej niż dziesięć metrów od szefa CBI. I rzut kamieniem od siedziby stanowej legislatury.

Allerton przysunęła bliżej notatnik, na razie jeszcze pusty. Napisała na kartce „1”.

- Zabawne - ciągnął Overby. - Kiedy już wiesz, co ona potrafi - te sztuczki z mową ciała - to idąc z nią na lunch, trzeba uważać, co się robi, gdzie się patrzy. Jakbyś czekał, aż powie: „Czyli dzisiaj rano pokłóciłeś się z żoną, hm? Przypuszczam, że o rachunki”.

- Sherlock Holmes - odezwała się Allerton. - Podobna mi się ta brytyjska wersja - dodała. - Z tym aktorem, który tak śmiesznie się nazywa. Trochę jak Góry Kumbryjskie<sup>1</sup>.

Patrząc na pokój przesłuchań, Overby rzucił w roztargnieniu:

- Kinezyka nie na tym polega.

- Nie? - zdziwił się Foster.

Overby nie odpowiedział. Kiedy oboje skierowali wzrok na weneckie lustro, przyjrzał się obecnym w pomieszczeniu członkom grupy specjalnej do sprawy Guzmana. Foster, Allerton. Po chwili do pokoju przesłuchań weszła Dance i spojrzenie Overby'ego powędrowało również w tę stronę.

- Panie Serrano, jestem agentka Dance - zatrzeszczał jej głos w umieszczonym na ścianie głośniku.

- „Panie Serrano” - mruknął Foster.

Latynos przyjrzał się jej uważnie spod przymrużonych powiek.

- Miło panią poznać. - Overby zauważył, że ani wyraz twarzy przesłuchiwanego, ani postawa ciała nie zdradzają nerwowości.

Usiadła naprzeciw niego.

- Dziękuję, że pan przyszedł.

Skinienie głowy. Życzliwe.

- Proszę zrozumieć, nie toczy się przeciwko panu żadne śledztwo. Chcę to wyraźnie podkreślić. Rozmawiamy z dziesiątkami, może nawet setkami osób. Badamy przestępstwa popełniane przez gangi na półwyspie. I mamy nadzieję, że może nam pan pomóc.

- To znaczy, że potrzebuję adwokata.

Uśmiechnęła się.

- Nie, nie. Może też pan wyjść, kiedy pan zechce. Albo nie odpowiadać na żadne pytania.

- Ale wtedy to będzie wyglądać podejrzanie, prawda?

- Mogłabym pana zapytać, czy wczoraj smakowała panu pieczeń przyrządzona przez żonę. Być może nie chciałby pan na to odpowiedzieć.

Allerton parsknęła śmiechem. Foster wyglądał na zniecierpliwionego.

- I tak nie mógłbym odpowiedzieć.

- Nie ma pan żony?

- Nie, ale nawet gdybym miał, sam bym gotował. Dobrze sobie radzę w kuchni. - Zmarszczył brwi. - Ale chcę pomóc. Te gangi... Dzieją się naprawdę straszne rzeczy. - Na chwilę zamknął oczy. - Obrzydliwe.

- Mieszka pan w tej okolicy od dawna?

- Dziesięć lat.

- Nie jest pan żonaty. Ale ma pan tutaj rodzinę?

- W Bakersfield.

- Czy ona nie powinna tego wcześniej sprawdzić? - odezwał się Foster.

- Och, ona już to wie - odparł Overby. - Wie o nim wszystko. W każdym razie tyle, ile zdążyła się dowiedzieć w ciągu ośmiu godzin, odkąd poznała jego nazwisko.

Overby obserwował wiele przesłuchań prowadzonych przez Dance i słuchał jej wykładu na ten temat; potrafił przedstawić w zarysie jej technikę.

- W kinezyce chodzi przede wszystkim o oznaki stresu. Kiedy ludzie kłamią, przeżywają stres, nic na to nie poradzą. Niektórzy podejrzani umieją go tak dobrze zamaskować, że naprawdę trudno go zauważyć. Ale u większości z nas widać, że

jesteśmy zestresowani. Kathryn rozmawia chwilę z Serranem, ale nie o działalności gangów, nie o przestępstwie, tylko o pogodzie, dzieciństwie, restauracjach, życiu na półwyspie. Żeby ustalić wzorzec jego zachowania. Punkt odniesienia dla mowy ciała.

- Punkt odniesienia.

- To właśnie klucz. Dzięki temu wie, jak przesłuchany się zachowuje, gdy mówi prawdę. Wspomniałem wcześniej, że kinezyka nie na tym polega. Chodzi o to, że nie działa w próżni. Trzeba zrobić to, co Kathryn - ustalić punkt odniesienia. Później zacznie pytać o działalność gangów, o której może słyszał, a potem o Guzmana.

- Czyli wtedy porównuje jego zachowanie z wzorcem, kiedy mówił prawdę - stwierdziła Allerton.

- Właśnie tak - przytaknął Overby. - Jeżeli zauważy zmianę, to znak, że Serrano przeżywa stres.

- Dlatego, że kłamie - dodał Foster.

- Możliwe. Oczywiście może kłamać, bo właśnie rozwalił kogoś z broni maszynowej. A może kłamać, bo nie chce, żeby ktoś go z niej rozwalił. Fałsz będzie znaczył, że dotarł do pewnej granicy, za którą już nie zechce współpracować. Kathryn musi się postarać, żeby współpracował.

- Współpraca - powiedział Foster. W jego głosie zabrzmiała nuta cynizmu i wydawało się, jakby słowo zyskało parę dodatkowych sylab.

Overby zwrócił uwagę, że Foster jest albo był palaczem - na wskazującym i środkowym palcu miał lekkie przebarwienia. I żółtawe zęby.

*Sherlock.*

Przed nimi, w małym sterylnym pomieszczeniu, Kathryn Dance dalej zadawała pytania, rozmawiała, dzieliła się spostrzeżeniami.

Upłynęło piętnaście minut.

- Lubi pan projektowanie zieleni? - spytała Serrana.

- *Si*, lubię. To jak... czy ja wiem... lubię pracować rękami. Gdybym miał trochę więcej... no, talentu, może zostałbym artystą. Ale nie mam. A praca w ogrodzie? To umiem.

Overby zauważył, że facet ma brud za paznokciami.

- Powiem panu, o jaką sprawę chodzi. Tydzień temu zginął niejaki Hector

Mendoza. Został zastrzelony. Był znany pod pseudonimem Smutnooki. Wychodził z restauracji w New Monterey. Przy Lighthouse.

- Smutnooki. Aha. Mówili w wiadomościach. Niedaleko łodziami Baskin-Robbins?

- Tak.

- Czy... Chyba strzelali z jadącego samochodu?

- Zgadza się.

- Ktoś jeszcze został ranny? - Nachmurzył się. - Nie znoszę, kiedy obrywają świadkowie, dzieci. Tych gangsterów nie obchodzi, kto oberwie czy nie oberwie.

Dance z uprzejmym wyrazem twarzy pokiwała głową.

- Panie Serrano, powodem, dla którego pytam pana o tę sprawę, jest fakt, że w śledztwie wypłynęło pańskie nazwisko.

- Moje? - Wydawał się zaintrygowany, ale nie wstrząśnięty. Jego śniada twarz na moment się ściągnęła.

- W dniu, w którym wspomniany Mendoza został zastrzelony, podobno pracował pan w domu Rodriga Guzmana. Mówię o dwudziestym pierwszym marca. Proszę mi powiedzieć, czy będąc tego dnia u pana Guzmana, widział pan czarne bmw? Duże. Chodzi o popołudnie, około godziny piętnastej.

- Widziałem parę samochodów. Może i niektóre były czarne, ale chyba nie. I nie widziałem żadnego bmw. Na pewno. Zawsze chciałem mieć taki wóz - dodał smętnie. - Gdybym zobaczył taki samochód, poszedłbym go obejrzeć.

- Jak długo był pan w tym domu?

- Hm, prawie cały dzień. Przychodzę do pracy wcześnie, tak wcześnie, jak klient pozwala. Señor Guzman ma kawał ziemi.

I zawsze jest dużo do zrobienia. Przyszedłem o wpół do ósmej. Zrobiłem sobie przerwę na lunch chyba koło wpół do dwunastej, ale tylko na pół godziny. Niech mi pani powie, pracuję u kogoś, kto jest zamieszany w jakiś gang? O to pani chodzi? - Wyglądał na coraz bardziej zaniepokojonego. - To miły człowiek, bardzo miły. Mówi pani, że jest zamieszany w śmierć tego... Men...

- Mendoza. Hectora Mendoza.

- Si, nie ma miłszego człowieka niż señor Guzman. Nigdy nikomu nie zrobił krzywdy.

- Panie Serrano, powtarzam, staramy się tylko ustalić fakty.
- Nie mam pojęcia, jak reaguje - odezwała się Allerton. - Kręci się na krześle, patrzy w bok, patrzy na nią. Nie wiem, co znaczy takie zachowanie.
- Kathryn będzie wiedziała - odparł Overby.
- Moim zdaniem to gnida - oświadczył Foster. - Facet za bardzo udaje niewiniątko.

Overby:

- Właśnie się dowiedział, że jeden z poważnych klientów jego firmy być może jest gangsterem. Jak widać, nie jest tym zachwycony. Też bym się tak zachowywał.
- Doprawdy? - Foster uniósł brwi.

Allerton posłała mu ostre spojrzenie. Overby zjeżył się, ale nie zareagował na protekcyjny ton.

- Mówię tylko, że mu nie ufam - bronił się Foster.

Dance:

- Panie Serrano, powtarzam, nie znamy odpowiedzi na wiele pytań. Dostaliśmy informacje, że człowiek, który zastrzelił Mendozę, zanim pojechał do New Monterey, spotkał się z panem Guzmanem. Ale to tylko informacje. Rozumie pan, że musimy je zweryfikować.

- Jasne. Pewnie, że tak.
- Czyli twierdzi pan, iż jest pewien, że tego dnia przed jego domem nie było żadnego bmw?

- Zgadza się, agentko Dancer... nie, Dance, prawda? Agentko Dance. I jestem prawie pewien, że nie było żadnych czarnych samochodów. Byłem przed domem, niedaleko podjazdu. Widziałbym, na pewno. Sadziłem hortensje. Pan Guzman lubi niebieskie.

- Dziękuję panu. Jeszcze jedno. Gdybym pokazała panu zdjęcia kilku mężczyzn, potrafiłby pan powiedzieć, czy któryś z nich przyszedł do pana Guzmana, kiedy pan tam pracował? Najlepiej dwudziestego pierwszego, ale jeżeli nie, to kiedy indziej.

- Spróbuję.

Otworzyła notatnik i wyjęła trzy fotografie.

- Trudno zobaczyć. Ktoś je zrobił szpiegowskim aparatem albo czymś takim?
- Owszem, pochodzą z kamery monitoringu.

Pochylił się nad stołem, przysuwając sobie bliżej zdjęcia. Chyba dostrzegł, że ma brudne paznokcie, trochę się zmieszał i położył ręce na kolanach.

Dłuższą chwilę przyglądał się fotografiom.

- Wygląda, że facet naprawdę się stara. Trzymajmy kciuki - odezwała się Allerton.

Serrano wyprostował się na krześle.

- Nie, na pewno nigdy ich nie widziałem. Chociaż... - postukał palcem w jedno zdjęcie - ten wygląda jak zapolowy Oakland Athletics.

Dance się uśmiechnęła.

- Kto to jest? - zapytał Foster. - Nie widzę.

- Wydaje mi się, że Contino - odrzekła Allerton.

- Czyli miałem rację, parszywa gnida - warknął Foster.

Cyngiel jednej z band w Oakland.

Dance zebrała zdjęcia ze stołu i chowając je, powiedziała:

- To chyba wszystko, panie Serrano.

Pokręcił głową.

- Szkoda, że nie mogłem pomóc, agentko Dance. Oboje nie cierpimy gangów, chociaż ja pewnie bardziej. - W jego głosie zabrzmiał stanowczy ton. - Przecież giną nasze dzieci, nasza młodzież. Na naszych ulicach.

Teraz z kolei pochyliła się Dance i powiedziała cichym głosem:

- Jeżeli jednak coś pan widział w domu Guzmana, proszę mi powiedzieć, a zapewnimy panu ochronę. Panu i pańskiej rodzinie.

Znów odwrócił wzrok. Odezwał się dopiero po chwili.

- Chyba nie. Chyba więcej tam nie będę pracować. Powiem szefowi, żeby dał mi zajęcie gdzie indziej. Nawet gdybym miał mniej zarobić.

- Chłopak nie ma *cojones*, żeby sypać - oceniła Allerton.

- Nic mu nie zaproponowała - mruknął Foster. - Po co miałby...

- Panie Serrano, mamy pewne środki przeznaczone dla ludzi, którzy pomagają nam likwidować zagrożenie ze strony gangów. Płacimy gotówką, więc nikt się nie dowie.

Młody człowiek z uśmiechem wstał.

- W tym, co pani mówi, jest jeden problem. „Likwidować”. Gdybyście mogli



zlikwidować gangi, może bym nad tym pomyślał. Po prostu wsadzicie kilku z nich do więzienia. Zostanie dużo innych, którzy mogą złożyć wizytę mnie, mojej dziewczynie i jej rodzinie. Muszę powiedzieć „nie”.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Dziękuję, że zgodził się pan przyjść.

- Przepraszam. Nie są za czyste. - Pokazał jej dłonie, ale nie paznokcie.

- Nic nie szkodzi.

Uścisnęli sobie ręce i Serrano wyszedł z pokoju przesłuchań. Dance zgasła światła.

## ROZDZIAŁ 5

Dance weszła do pomieszczenia za lustrem i zamknęła za sobą drzwi. Położyła na stole notatki. Wcisnęła guzik wyłącznika dyktafonu. Włożyła z powrotem glocka do kabury.

- No i? - ironizował Steve Foster. - Wydarzył się jakiś cud, który przegapiłem?

- Jak go oceniasz, Kathryn? - spytał Overby.

- Bardzo niewiele odchyień od typowego zachowania. Myślę, że nie kłamał. Nic nie wie. - Wyjaśniła, że niektóre osoby są mistrzami kłamstwa i potrafią doskonale panować nad swoim zachowaniem - jak jogini, którzy umieją zwolnić swoje tętno, niemal zatrzymując akcję serca - ale Serrano nie sprawił na niej wrażenia kogoś obdarzonego takim talentem.

- Och, wydaje mi się - mówiła - że ma parę trupów w szafie. Ale nic związanego z przestępczością zorganizowaną, gangami czy Guzmanem. Przypuszczam, że buchnął samochód, kiedy był nastolatkiem, albo od czasu do czasu popala trawkę. Wyczułam, że próbował jakiegoś uniku, kiedy rozmawialiśmy o życiu na półwyspie, o tym, że nigdy nie miał kłopotów z prawem. To był jednak jakiś drobiazg.

- Wyczytałaś coś takiego? - zdziwiła się Allerton.

- Wywnioskowałam. Chyba trafnie. Lecz to do niczego się nam nie przyda.

- Cholera - mruknął Overby. - Nasza jedyna szansa, żeby przyskrzynieć Guzmana.

- Szansa, ale nie jedyna - poprawiła go Dance. - Tym razem się nie udało. To wszystko. Będą inne.

- Innych jakoś nie widać - zauważył Foster.

- Mamy jeszcze dostawcę - odezwała się Carol Allerton. - On na pewno coś wie.

- Chłopaka od pizzy? - Foster się skrzywił. - Żaden trop. Ten trop to trup. Wącha kwiatki od spodu. - Twarz mu stężała. - Coś mi się nie podoba w tym Serranie. Za bardzo cwany. Uczyliście się czegoś o cwaniakach w szkole mowy ciała?

Dance nie odpowiedziała.

Allerton:

- To rozgrzewka.

- Co? - zdziwił się Overby.

- Serrano to rozgrzewka.

Foster przeczytał parę SMS-ów. Kilka wysłał.

Allerton zastanawiała się chwilę.

- Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować jeszcze raz - powiedziała. - Może uda się go zwerbować. Zaproponujmy więcej pieniędzy.

- Wyrzucimy je w błoto - stwierdziła Dance. - Serrano to ślepa uliczka. Moim zdaniem lepiej będzie obserwować Guzmana. Posadzić mu na karku zespół.

- Co, dwadzieścia cztery godziny na dobę? Kathryn, wiesz, jakie to koszty? Pogadajmy z dostawcą pizzy, z ludźmi pracującymi w domu Guzmana. Trzeba sprawdzać inne tropy. - Overby zerknął na zegarek. - No dobrze, chłopcy i dziewczuszki, postarajcie się coś ustalić. - Z mowy jego ciała można było wyczytać, że żałuje tych „dziewuszek”. Poprawność polityczna potrafi być uciążliwa, pomyślała Dance. Overby wstał i podszedł do drzwi.

I mało brakowało, by został powalony na ziemię, ponieważ do pokoiku wpadł TJ Scanlon. Spojrzał przez szybę do pokoju przesłuchań. Miał szeroko otwarte oczy.

- Gdzie Serrano?

- Właśnie wyszedł - poinformowała go Dance.

Agent zmarszczył czoło.

- Niech to szlag.

- O co chodzi, TJ? - spytał ostrym tonem Overby.

- Nie ma go? - krzyknął młody agent.

- Co?! - warknął Foster.

- Właśnie dzwoniła Amy Grabę. - Agentka specjalna FBI z biura terenowego w San Francisco. - Zgarnęli gościa z dużą ilością towaru. Wydał Serrana.

- Wydał? - Czoło Fostera przecięły głębokie zmarszczki.

TJ skinął głową.

- Szefowo, Serrano pracuje dla Guzmana.

- Co?! - krzyknęła zduszonym głosem Dance.

- To jego żołnierz. Właśnie on zlikwidował Smutnookiego. Po południu Serrano wziął bmw u Guzmana, stuknął Smutnookiego, a potem wrócił i skończył sadzić stokrotki, trzykrotki czy jakieś inne zielsko. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zlikwidował czterech świadków, którzy mogli sypnąć Guzmana.

- Kurwa mać! - ryknął Foster. Utkwił wzrok w Dance. - Zapolowy Oakland Athletics?

- To potwierdzone?

- Znaleźli gnata Serrana. Balistyka go zidentyfikowała. No i są na nim odciski palców Serrana.

- Nie - wyszeptała Dance. Gwałtownie otworzyła drzwi i biegiem ruszyła korytarzem.

Chwycił ją na parkingu za budynkiem CBI, zanim zdążyła pokonać metr.

Dance runęła jak długa na beton. Wyszarpnęła glocka z kabury, ale ruchem błyskawicznym jak atak węża wyrwał jej pistolet z ręki. Nie celował jednak do niej. Zobaczył, że leży na ziemi ogłuszona, i uciekł sprintem z głośnym tupotem.

- Serrano! - krzyknęła. - Stój!

Spojrzał na swój samochód i uświadomił sobie, że nie zdąży do niego dobiec. Rozejrzał się po parkingu i w pobliżu dostrzegł szczupłą rudowłosą kobietę w czarnym kostiumie - pracownicę biura CBI. Wysiadała właśnie z nissana altimy, którą zaparkowała między dwoma SUV-ami. Ruszył biegiem, doskoczył do niej i rzucił ją na ziemię. Wyrwał jej kluczyki z dłoni. Wskoczył za kierownicę, uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu.

Rozległ się pisk palonych opon i ryk silnika. Odgłosy te nie zagłuszyły jednak innego dźwięku: okropnego chrzęstu pod kołami. Krzyki kobiety raptownie umilkły.

- Nie... - wykrztusiła Dance. - Och, nie. - Dźwignęła się na nogi, rozcierając obolały nadgarstek po zderzeniu z betonem, kiedy napastnik ją przewrócił.

Podbiegła do niej reszta grupy specjalnej do sprawy Guzmana.

- Wezwałem karetkę, zadzwoniłem do biura szeryfa. - TJ Scanlon pobiegł do rudowłosej kobiety, która leżała obok pustego miejsca parkingowego.

Foster celował w stronę znikającej altimy.

- Nie! - krzyknęła Dance i położyła mu rękę na ramieniu.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?

- Chcesz strzelać przez autostradę? - odezwał się Overby. - Widzisz, co jest za tymi drzewami? Ośrodek opieki.

Niechętnie opuścił broń, jak gdyby obrażony, że ktoś śmie kwestionować jego

umiejętności strzeleckie. Schował glocka do kabury, a skradziony samochód zniknął im z oczu. Foster spojrzał na Dance i choć nie rzucił jej w twarz tamtych słów o niewinności młodego człowieka, zrobił to za niego język ciała.

## ROZDZIAŁ 6

Co przyniesie kilka najbliższych godzin, kilka najbliższych dni?

Kathryn Dance siedziała sama w gabinecie Charlesa Overby'ego. Prześlizgiwała się wzrokiem po jego zdjęciach z rodziną, jego zdjęciach w białym stroju tenisisty i dziwnym kraciastym stroju do golfa oraz fotografiach z miejscowymi oficjelami i biznesmenami. Krążyły plotki, że Overby ostrzy sobie zęby na jakieś stanowisko polityczne. Na półwyspie albo może w ostateczności w San Francisco. Nie w Sacramento: nigdy nie mierzył zbyt wysoko. Istotny był też fakt, że tu, na wybrzeżu, można było wyjść na kort albo pole golfowe przez cały rok.

Od incydentu na parkingu upłynęły dwie godziny.

A co będzie za kilka godzin? - pomyślała znowu.

Za kilka dni i tygodni?

Zza drzwi dobiegły jakieś dźwięki. Overby i Steve Foster, wysocy rangą agenci CBI, weszli do gabinetu, kontynuując rozmowę.

- .. posterunki obserwacyjne na drogach dojazdowych do Fresno, dalej na sto jeden i na piątce, jeżeli będzie szybki. Dziewięćdziesiątkę-dziewiątkę obstawiła stanowa drogówka. Mamy też blokady na jedynce.

- Na jego miejscu pojechałbym do Salinas - powiedział Foster. - A potem stojedynką na północ. Bezpiecznie przewiezie go jakiś dostawczak z sałatą. Do samego San Jose. Tam przejmą go G-47 i rozplynie się w Oakland.

Mina Overby'ego sugerowała, że się nad tym zastanawia.

- Miałyby większe szanse zgubić się w Los Angeles. Ale trudniej się tam dostać przez blokady i tak dalej. Chyba masz rację, Steve. Zawiadomię Alamedę i San Jose. O, Kathryn. Nie zauważyłem cię.

Mimo że dziesięć minut temu sam ją poprosił - nie, kazał jej przyjść do siebie.

Skinęła głową obu agentom, ale nie wstała. Kobieta pracująca w organach ścigania stale pamięta o delikatnych jak pajęczna nić relacjach z szefami i kolegami ze służby. Nadmierna pokora może podważyć szacunek do niej, podobnie zresztą jak jej brak.

- Charles, Steve.

Foster usiadł obok niej i krzesło pod nim jęknęło.

- Jakie wieści?
- Zdaje się, że niedobre.
- Biuro szeryfa znalazło nissana altimę w mieszkaniowej dzielnicy Carmel, niedaleko Bamyard - poinformował ją Overby.

Stare centrum handlowe z mnóstwem parkingów.

Z których bez trudu można też było ukraść albo uprowadzić samochód.

- Ale nawet jeżeli zdobył nowy wóz - ciągnął Overby - nikt nie zgłosił kradzieży.
- Co może znaczyć, że osoba, która mogłaby zgłosić kradzież, leży martwa w bagażniku - skomentował Foster. W domyśle oskarżając Dance o ewentualne spowodowanie śmierci.

- Właśnie się zastanawiamy, czy pojechał na północ, czy na południe. A ty jak sądzisz, Kathryn?

- Wiemy już, że jest związany z gangiem Jacinto. A oni mają większe wpływy na południu.

- Jak już mówiłem - Foster zwrócił się wyłącznie do Overby'ego - na południe mamy prawie pięćset kilometrów stosunkowo niewielu dróg i autostrad, w odróżnieniu od północy, gdzie jest więcej dojazdów. Nie możemy pilnować wszystkich. A on w dwie godziny może dojechać do Oakland.

- Zapominasz o samolotach, Steve - zauważyła Dance. - Ląduje gdzieś na prywatnym lotnisku w Los Angeles i po chwili jest już na South Central.

- Samolot? Nie mówimy o kartelu, Kathryn - odparował Foster.

- Mówimy o gościu, który się ukrywa w ciężarówce z sałatą.

Overby milczał.

- Nie możemy szukać wszędzie - odezwał się po chwili. - Wydaje mi się, że ocena Steve'a jest bardziej... hm, logiczna.

- W porządku. Wobec tego północ. Pogadam z Amy Grabę. Zarządzi obserwację w Oakland, w porcie, nad zatoką San Francisco...

- Spokojnie, powoli, Kathryn. - Na twarzy Overby'ego odmalowało się zaskoczenie, jak gdyby właśnie Dance powiedziała: „Chyba popłynę wpływ na Santa Cruz”.

Spojrzała na niego krytycznie spod zmarszczonych brwi. W jego tonie dała się słyszeć protekcyjna nutka.

Zerknęła na Fostera, który zupełnie przestał się nią interesować i przyglądał się jakiemuś trofeum na biurku Overby'ego w formie złotej piłki golfowej. Nie chciał okazywać triumfalizmu, kiedy Dance usłyszy to, co z pewnością za chwilę miało paść z ust jej szefa. Lepiej patrzeć na nieważną nagrodę z plastiku udającego szlachetny kruszec.

- Właśnie rozmawiałem z Sacramento - powiedział Overby.

- Z Peterem.

Dyrektorem CBI. Szefem wszystkich szefów.

- Próbowałem mu tłumaczyć...

- Możesz przejść do sedna, Charles?

- Zrobiłem wszystko, co się dało, Kathryn. Wziąłem twoją stronę.

- Jestem zawieszona.

- Nie jesteś zawieszona, ależ nie. - Rozpromienił się w uśmiechu, jak gdyby właśnie wygrała rejs po Karaibach w stanowej loterii.

- Niezupełnie. Straciłaś broń, Kathryn. Teraz ma ją sprawca. To... Zresztą sama wiesz. Kwalifikuje się do zawieszenia w obowiązkach i bezpłatnego urlopu. Tak dalece jednak się nie posunęli. Ale na razie chcą cię przenieść do działu cywilnego.

Cywilny był odpowiednikiem wydziału ruchu drogowego w miejskiej policji. Pracując bez broni, można dokonać najwyżej obywatelskiego aresztowania. Był to przedsiónek dla kandydatów do służby w Biurze Śledczym Kalifornii, których obowiązki sprowadzały się do zbierania informacji o wykroczeniach popełnianych przez obywateli i firmy: naruszenia przepisów budowlanych lub podatkowych, niewłaściwego oznakowania miejsca pracy czy nawet spóźnienia ze zwrotem kaucji za butelki. Agenci zwykle niezbyt długo wytrzymywali przytłaczającą nudę i nawał papierkowej roboty. Jeżeli nie dostawali awansu i zostawali w cywilnym, szybko rzucali pracę.

- Przykro mi, Kathryn. Nie miałem innego wyjścia. Próbowałem. Naprawdę próbowałem.

Wziął jej stronę...

Foster obrzucił Overby'ego obojętnym spojrzeniem, które Dance zinterpretowała jako pogardę wobec miękkości jej szefa.

- Mówiłem im, że kinezyka to właściwie nie jest nauka. Zrobiłaś z Serranem



wszystko, co mogłaś. Widziałem. Wszyscy widzieliśmy. Rzeczywiście wydawało mi się, że nie kręci. Prawda, Steve? Kto mógł wiedzieć, że jednak kłamie?

Dance widziała, że Foster myśli: ale to nie nasza broszka siedzieć naprzeciwko sprawcy i rozkładać na czynniki pierwsze jego słowa, postawę i gesty, żeby poznać prawdę.

- Ale nikomu nie stała się krzywda - ciągnął Overby. - Żadna poważna krzywda. Nie doszło do użycia broni.

Rudowłosa kobieta na parkingu nie została jednak przejechana. Kiedy jej nissan ruszył, zdążyła odcoczyć się na bok, chowając się pod zaparkowany obok wóz terenowy. Makabryczny chrzęst był jedynie odgłosem miażdżonego laptopa Dell i jej lunchu, te rzeczy nie przeżyły.

- Charles, Serrano to makiawelista. Przyznaję, że tego nie zauważyłam. Ale taki typ zdarza się raz na sto przypadków.

- Makiawelista? - spytał Foster. - Co to znaczy?

- To kategoria osobowości kłamcy. Najbardziej bezwzględni i, zgadza się, najbardziej cwani - rzuciła mu w twarz słowo, którego wcześniej użył - to „makiaweliści”. Uwielbiają kłamać. Kłamią bezkarnie. Nie widzą w tym nic złego. Używają fałszu jak smartfona albo wyszukiwarki internetowej, to dla nich narzędzie do osiągnięcia określonego celu. Wszystko jedno, czy w miłości, biznesie, polityce - czy zbrodni. - Dodała, że innym rodzajem są kłamcy towarzyscy, którzy kłamią dla rozrywki, oraz adaptatorzy, zagubione i niepewne siebie osoby, starające się wywrzeć na innych korzystne wrażenie. Innym powszechnie spotykanym typem jest „aktor”, człowiek, któremu bardzo zależy na sprawowaniu kontroli nad innymi. - Nie kłamią regularnie, tylko wtedy, kiedy uznają za konieczne. Ale Serrano nie pasował mi do żadnej z tych kategorii. Na pewno nie wyglądał na makiawelistę. Wyczułam tylko drobne uniki. Kłamstwa towarzyskie.

- Towarzyskie?

- Wszyscy kłamią. - Według statystyk każdy człowiek kłamie co najmniej dwa razy dziennie. Dance posłała Fosterowi spojrzenie z ukosa. - Kiedy ostatni raz kłamałeś?

Przewrócił oczami. Pewnie kiedy powiedziałeś mi rano „miło cię widzieć”, pomyślała.

- Ale zaczynałam go poznawać - ciągnęła. - Jestem jedyną osobą spośród wszystkich funkcjonariuszy, która spędziła z nim trochę czasu. A teraz wiemy, że Serrano może być kluczowym elementem całej operacji. Nie muszę nią kierować. Tylko nie odsuwaj mnie od sprawy.

Overby przejechał dłonią po przerzedzonych włosach.

- Kathryn, chcesz to naprawić. Rozumiem. Jasne. Ale nie wiem, co mam ci powiedzieć. Decyzja zapadła. Peter już podpisał twoje przeniesienie.

- Już.

Foster:

- Swoją drogą to może usprawnić działanie. Naprawdę nie potrzebujemy aż dwójki agentów z tego biura. Jimmy Gomez jest niezły. Nie sądzisz, Kathryn?

Młodszy rangą agent CBI, jeden z dwóch pozostałych członków grupy specjalnej do sprawy Guzmána. Owszem, był niezły. Nie o to jednak chodziło. Zignorowała słowa Fosterá. Wstała i zwróciła się do Overby'ego:

- Co teraz?

Spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

W zniecierpliwieniu wzruszyła ramionami.

- Przecież nie zostałam zawieszona. Jestem w dziale cywilnym. Co jest w grafiku zadań?

Miał bezradną minę, po chwili jednak przetrząsnął papiery na biurku. Dostrzegł jasnożółtą samoprzylepną karteczkę, na którą padł promień słońca.

- Tu coś mam. Notatka z komunikatu straży pożarnej, który przyszedł jakiś czas temu. O incydencie w Solitude Creek. Słyszałaś?

- Pożar w klubie.

- Zgadza się. Sprawę prowadzi okręgowa, ale ktoś z organów stanowych musi sprawdzić, czy klub ma aktualne zaświadczenia podatkowe i ubezpieczeniowe.

- Podatkowe? Ubezpieczeniowe?

- Policja stanowa nie chce się tym zajmować.

A kto by chciał? - pomyślała Dance.

Brak triumfującej miny Fosterá był wyrazem największego triumfalizmu, jaki kiedykolwiek widziała.

- Załatw to. Potem zobaczę, co jest jeszcze do zrobienia.

Overby „uzadaniował” Dance, bez słowa ją odprawił, by zmierzyła się ze spisanyymi drobnym drukiem przepisami ubezpieczeniowymi Kalifornii, po czym wrócił do rozmowy ze Steve’em Fosterem, omawiając plany obławy na Joaquina Serrana.

1

Benedict Cumberbatch - odtwórca roli Holmesa w serialu BBC Sherlock (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 7

Na początek ciekawostka - nie było żadnego pożaru.

- Nie było? - zdziwiła się Dance. Stała przed klubem Solitude Creek, otoczonym żółtą taśmą policyjną. Mężczyzna przed nią był krępy, miał czterdzieści kilka lat i dziwną plamę na twarzy; wyglądała jak znamię, ale Dance wiedziała, że to blizna od ognia, który wiele lat temu zaatakował nowo mianowanego strażaka, zanim ten zdążył go ugasić.

Kilka razy współpracowała z komendantem straży okręgu Monterey Robertem Hollym i uważała go za spokojnego, inteligentnego i rozsądnego człowieka.

- Formalnie rzecz biorąc, był - kontynuował Holly. - Tyle że na zewnątrz. W samym klubie nic się nie paliło. Tam, w beczce na ropę.

Dance dostrzegła zardzewiały dwustulitrowy pojemnik, podobny do tych, w których gromadzi się śmieci na parkingach oraz za sklepami i restauracjami. Stał obok urządzeń wentylacji i klimatyzacji klubu.

- Przeprowadziliśmy wstępne oględziny. Ktoś wrzucił do beczki papierosa razem ze szmatami nasączonymi olejem silnikowym i benzyną. Wystarczyło.

- Olej i benzyna zadziałały jak akcelerator ognia - powiedziała Dance.

- Taki był skutek, chociaż nie ma dowodu na celowe działanie.

- Dlatego ludzie pomyśleli, że wybuchł pożar. Poczuli dym.

- I rzucili się do wyjść ewakuacyjnych. W tym właśnie problem. Były zablokowane.

- Zamknięte na klucz?

- Nie, zablokowane. Widzisz tę ciężarówkę?

Wskazał wielki ciągnik siodłowy z naczepą, zaparkowany po zachodniej stronie klubu. Też został otoczony żółtą taśmą.

- Wóz należy do tamtej firmy. Henderson Jobbing and Warehouse. - Dance przyjrzała się szerokiej parterowej budowli. Przy rampie załadunkowej i obok niej stało sześć podobnych ciężarówek. Na rampie i przed biurem było kilka osób w ubraniach roboczych, parę w garniturach, i patrzyło na klub, jak gdyby zobaczyli wieloryba wyrzuconego na brzeg morza.

- Kierowca wozu tam zaparkował?

- Twierdzi, że nie. A co ma powiedzieć? Wcześniej dochodziło do podobnych incydentów, kiedy ciężarówki blokowały parking klubu. Ale nigdy żadnego wyjścia ewakuacyjnego.

- Kierowca jest tu dzisiaj?

- Powinien niedługo być. Zadzwoiłem do niego do domu. Jest przybity. Ale zgodził się przyjść.

- Dlaczego w ogóle miałyby tam parkować? Przecież wyraźnie widać tablice: „Zakaz parkowania. Droga pożarowa”. Jak wyglądał scenariusz całego zajścia? Co się dokładnie zdarzyło?

- Wejdźmy do środka.

Dance ruszyła za krzepkim mężczyzną do klubu. Sala nie została jeszcze doprowadzona do porządku po tragedii. Wszędzie poniewierały się rozrzucone krzesła, stoły i stołki, potłuczone szklanki, butelki, skrawki materiału, buty, zerwane bransoletki. Na scenie leżały instrumenty. Gitara akustyczna była roztrzaskana na kawałki. Martin D-28, zauważyła mimochodem Kathryn. Świetne stare pudło warte dwa tysiące dolarów.

Na podłodze zostały plamy zaschłej krwi i brązowe ślady butów.

Była tu dziesiątki razy. Wszyscy na półwyspie znali Solitude Creek. Klub należał do łysiejącego restauratora z kolczykami w uszach, dawnego hipisa z Haight-Ashbury w San Francisco (skądże indziej?), Sama Cohena, który był na festiwalu w Monterey w sześćdziesiątym siódmym i podobno nie spał przez trzy dni. Impreza tak go poruszyła, że poświęcił całe swoje młode życie promocji rockowych koncertów. Nie odniósł większych sukcesów, więc zrezygnował z tej działalności i otworzył steakhouse niedaleko Presidio. Potem sprzedał lokal z dużym zyskiem i kupił opuszczoną restaurację rybną nad rzeczką, od której klub wziął nazwę.

Solitude Creek była szarobrązowym dopływem rzeki Salinas, żeglownym dla jednostek o zanurzeniu nie większym niż pół do najwyżej trzech czwartych metra. Znaczyło to, że mogły tam pływać wyłącznie małe łodzie, choć korzystanie z tego szlaku nie miało większego sensu. Budynek klubu stał przycupnięty na dużym parkingu między rzeczką a firmą transportową, na północ od Monterey, przy drodze numer jeden, tej samej drodze, która wije się przez majestatyczny krajobraz Big Sur; widoki były tu jednak zupełnie inne niż tam.

- Ile ofiar śmiertelnych?

- Trzy. Dwie kobiety i mężczyzna. W dwóch przypadkach asfiksja spowodowana uciskiem klatki piersiowej - ofiary zostały zgniecione na śmierć. U jednej doszło do zagardlenia. Ktoś nadepnął jej na szyję. Dziesiątki poważnych obrażeń. Złamania kości, przebicie płuc żebrami. Wyglądało to tak, jakby ludzie utknęli w gigantycznym imadle.

Dance trudno było sobie wyobrazić ból, panikę i przerażenie.

- Klub był prawie pełny - ciągnął Holly - ale nie ponad normę. Sprawdziliśmy to na samym początku. Na sali jest dwieście miejsc, większość właścicieli udaje, że to oznacza dwieście dwadzieścia. Ale Sam ściśle przestrzega limitów. Nigdy się nie wygłupia. Wygląda na to, że wszystko było w porządku, cała dokumentacja - jeżeli chodzi o nasze przepisy bezpieczeństwa. Widziałem w biurze zaświadczenia podatkowe i potwierdzenia ubezpieczenia. Też aktualne. Charles mówił, że przysłaś właśnie w tej sprawie.

- Zgadza się. Będę potrzebowała kopii.

- Jasne. W zeszłym miesiącu inspektor ochrony przeciwpożarowej nie miał żadnych zastrzeżeń, a firma ubezpieczeniowa dwa dni temu kontrolowała klub i oceniła go na piątkę z plusem. Gaśnice, instalacja tryskaczowa, alarmy i wyjścia ewakuacyjne.

Tyle że drzwi się nie otworzyły.

- Czyli był tłok, ale zgodny z przepisami.

- Tak jest - odparł Holly. - Zaraz po rozpoczęciu koncertu - o ósmej, parę minut po - wybuchł ogień w beczce. System wentylacji i klimatyzacji wciągnął dym i rozproszył go po całej sali. Nie był gęsty, ale dał się wyczuć. Zapachu palonego drewna i oleju można się przestraszyć. Ludzie rzucili się do najbliższych drzwi, większość oczywiście do wyjść na wschodniej ścianie. Drzwi dały się uchylić - widziałas, że ciężarówka stoi jakieś ćwierć metra od budynku, więc nikt nie mógł się zmieścić. Na nieszczęście ludzie wyciągali przez szpary ręce, które tam utknęły, i... rozumiesz, tłum ciągle się poruszał. Trzem czy czterem osobom zmiażdżyło ręce i ramiona. Dwie kończyny trzeba było amputować. - W jego głosie zabrzmiał głuchy, drewniany ton. - Jednej dziewczynie, może dziesięcioletniej... dosłownie wyrwało rękę. - Wbił wzrok w podłogę. - Potem

się dowiedziałem, że miała wykształcenie muzyczne, grała na fortepianie. Wyjątkowo zdolna, prawdziwy talent. Boże.

- Co się stało, kiedy ludzie się zorientowali, że nie można otworzyć drzwi?

- Wszyscy z przodu zostali przyciśnięci do drzwi i krzyczeli do ludzi z tyłu, żeby zawrócili. Ale nikt nie słyszał. Nawet jeżeli słyszeli, to nie posłuchali. Panika. Czysta panika. Powinni wrócić do innych drzwi, do wyjścia przez scenę. Kurczę, do kuchni są podwójne drzwi. Ale z jakiegoś powodu wszyscy rzucili się w drugą stronę - do wyjść ewakuacyjnych, tych zablokowanych. Pewnie zobaczyli podświetlone napisy i po prostu ruszyli.

- Mówiłeś, że dymu było niewiele. A widoczność?

- Ktoś zapalił światła w sali i ludzie dobrze wszystko widzieli.

W drzwiach pojawił się Sam Cohen. Sześćdziesiąt parę lat, brudne dżinsy i rozdarta niebieska koszula robocza. Resztki siwych kędzierzawych włosów miał w nieładzie i według oceny Dance tej nocy nie zmrużył oka. Idąc wolnym krokiem przez klub, zbierał rzeczy z podłogi i wkładał je do sfatygowanego kartonowego pudła.

- Panie Cohen?

Właściciel Solitude Creek chwiejnie zbliżył się do Dance i Holly'ego. Miał zaczerwienione oczy, zapewne od płaczu. Podszedł, zwracając uwagę na plamę krwi na podłodze; okrutna ironia losu sprawiła, że miała kształt serca.

- Jestem Kathryn Dance. Biuro śledcze.

Spojrzał niewidzącym wzrokiem na jej legitymację. Dance szybko ją schowała.

- Przed chwilą znowu dzwoniłem do szpitala - powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Wypisali trzy osoby. U tych w stanie krytycznym - czterech - ciągle bez zmian. Jedna osoba w śpiączce. Prawdopodobnie przeżyją. Ale szpitale, lekarze niewiele mówią. Pielęgniarki nic. Po co ten przepis? Nie ma żadnego sensu.

- Mogę panu zadać kilka pytań?

- Biuro śledcze? FBI?

- CBI. Kalifornia.

- Ach. Mówiła pani. Czy... to znaczy, chodzi o śledztwo w sprawie przestępstwa?

- Nie zakończyliśmy jeszcze czynności wstępnych, Sam - rzekł Holly.

- Nie jestem agentem śledczym - wyjaśniła Dance. - Pracuję w dziale cywilnym.

Cohen rozejrzał się, oddychając ciężko. Zgarbił plecy.

- Wszystko... - wyszeptał.

Dance nie miała pojęcia, co zamierzał powiedzieć. Patrzyła na twarz ściągniętą bezbrzeżnym, nieutulonym smutkiem.

- Co pan pamięta z wczorajszego wieczoru? - Zapytała o to odruchowo. Przypomniała sobie jednak, że decydujący głos ma tu komendant straży. - Pozwolisz, Bob?

- Możesz mi pomagać, kiedykolwiek zechcesz, Kathryn.

Zastanawiała się, po co w ogóle zadaje pytania. To nie jej rola.

Czasem jednak po prostu nie można się pohamować.

Cohen nie odpowiedział.

- Panie Cohen? - powtórzyła pytanie.

- Przepraszam. - Znów szeptał. - Stałem przy drzwiach wejściowych, sprawdzałem kwitki. Usłyszałem muzykę. A potem poczułem zapach dymu, dość silny, i spanikowałem. Zespół przerwał w połowie numeru. Zaraz potem ktoś zadzwonił z parkingu i mówił, że jest pożar w kuchni. Albo za sceną. Nie miał pewności. Chyba zobaczył dym i pomyślał, że sytuacja jest poważniejsza, niż naprawdę była. Nie sprawdzałem. Pomyślałem tylko: trzeba stąd wszystkich usunąć. No i ogłosiłem to na sali. Potem usłyszałem głosy. Coraz większy gwar. Ludzie mówili coraz głośniej. Nagle ktoś zaczął krzyczeć. Poczułem jeszcze silniejszy zapach dymu. Pomyślałem, nie, tylko nie pożar. Przypomniał mi się wypadek w Station na Rhode Island parę lat temu. Odpalili fajerwerki. Nielegalnie. Ale w sześć minut w ogniu stanął cały budynek. Zginęła setka ludzi.

Kaszel. Łzy.

- Wszedłem na salę. Nie mogłem w to uwierzyć, nie wierzyłem własnym oczom. W ogóle nie wyglądali jak ludzie - to był jeden ogromny stwór, który się kłębił i przepychał w stronę drzwi. Ale drzwi się nie otwierały. Nie zauważyłem ognia. Nigdzie. Ani nawet gęstego dymu. Tylko zapach jak z dzieciństwa jesienią. Kiedy się paliło liście. Tam, gdzie się wychowałem, w Nowym Jorku.

Dance dostrzegła kamerę monitoringu.

- Jest zapis wideo? Z kamery?

- Z zewnątrz nie. W sali tak, jest kamera.



- Mogłabym zobaczyć wideo?

Odezwała się w niej natura „niecywilna”.

*Czasem po prostu nie można się pohamować...*

Cohen rozejrzył się po sali, po czym wyszedł na korytarz, niosąc pudło z rzeczami osób, które przeżyły. Trzymał je ostrożnie, jak gdyby silniejszy uścisk miał przynieść pecha hospitalizowanym właścicielom przedmiotów. Dance zobaczyła, że w kartonie są portfele, klucze, buty, jakaś wizytówka.

Poszła za nim, a za nią ruszył Holly. Biuro Cohena było udekorowane plakatami mało znanych wykonawców - a także wielu tych, którzy wystąpili na festiwalu w Monterey - oraz pełne rupieci i gadżetów typowych dla małego klubu rozrywkowego: skrzynek piwa, stosów faktur, pamiątek (T-shirty, kowbojskie kapelusze i buty, wypchany grzechotnik, dziesiątki kubków rozdawanych przez stacje radiowe). Masa przedmiotów. Ich nagromadzenie wprawiło nerwy Dance w wibrację.

Cohen podszedł do komputera i usiadł. Chwilę patrzył na biurko, gdzie leżała jakaś kartka; Dance nie widziała, co tam jest napisane. Stała przed monitorem. Przygotowała się psychicznie. Jako agentka biura śledczego najczęściej pracowała na zapleczu dochodzenia. Rozmawiała z podejrzanymi już po dokonanych przestępstwie. Rzadko pojawiała się w terenie i nigdy nie brała udziału w zatrzymaniach. Owszem, można analizować pozycję ciała denata i na tej podstawie wyciągać wnioski kryminalistyczne, ale od Dance rzadko wymagano takich czynności. W większości przypadków miała jednak związek z żywymi. Zastanawiała się, jak zareaguje na zapis wideo.

Niezbyt dobrze.

Jakość obrazu pozostawiała wiele do życzenia i część widoku zasłaniał filar. Dance zwróciła uwagę na trochę inne ustawienie kamery, ale być może się myliła. Z początku patrzyła na szeroki fragment sali, na stoliki, krzesła i klientów, na kelnerów z tacami. Potem, mimo że światła przygasły, widziała wnętrze klubu.

Nagranie było bez dźwięku. Na szczęście.

Kiedy licznik czasu pokazywał 20:11:11, zapanowało wśród publiczności poruszenie. Ludzie wstawali, rozglądali się. Wyjmowali telefony. W tym momencie nie ulegało wątpliwości, że większość z nich jest zaniepokojona, ale ich mimika

i gesty nie zdradzały nic więcej. Żadnych objawów paniki.

Ale o 20:11:17 nastąpiła nagła zmiana. W ciągu zaledwie sześciu sekund. Jak gdyby zostali zaprogramowani, wszyscy jak jeden mąż runęli w stronę drzwi. Dance nie widziała wyjść ewakuacyjnych: były z tyłu, poza kadrem. Widziała jednak, jak ludzie zderzali się ze sobą nawzajem i ze ścianą, rozpaczliwie usiłując uciec przed niewyobrażalnym bólem śmierci w płomieniach. Tłoczyli się, zbici w coraz gęstsza masę wirującą jak leniwy huragan. Dance zrozumiała: ci z przodu próbowali się poruszać po łuku w prawo, aby oddalić się od ludzi napierających z tyłu. Nie mieli jednak miejsca.

- Rany - szepnął Bob Holly, komendant straży pożarnej.

Niespodziewanie, ku zaskoczeniu Dance, szła minął. Wydawało się, że ludzie nagle się opamiętali, jak gdyby czar przestał działać. Tłum się rozsypał i widzowie ruszyli w stronę dostępnych wyjść - przez hol, scenę i kuchnię.

Na ekranie było widać dwa ciała, wokół których skupili się ludzie. Próbowali reanimować ofiary, bez rezultatu. Zabiegi resuscytacyjne nie mogą uratować kogoś ze zmiażdżoną klatką piersiową, z przebitymi płucami i sercem.

Dance spojrzała na licznik czasu.

20:18:29.

Siedem minut. Od początku do końca. Od życia do śmierci.

Po chwili w kadrze pojawiła się jakaś postać.

- To ona - powiedział Bob cicho. - Studentka muzyki.

Młoda kobieta, jasnowłosa i niezwykle piękna, trzymała się za prawą rękę, która kończyła się na wysokości łokcia. Chwiejnym krokiem cofnęła się w stronę uchylonych drzwi, być może szukając urwanej kończyny. Po przejściu trzech metrów osunęła się na kolana. Podbiegło do niej dwoje ludzi. Mężczyzna szybko wyjął pasek ze spodni i razem zrobili z niego prowizoryczną opaskę uciskową.

Sam Cohen bez słowa wstał od biurka i podszedł do drzwi. Przystanął na progu. Spojrzał na pobojuwisko, w jakie zmienił się jego klub, uświadomił sobie, że ścisną w dłoni telefon z Hello Kitty, i wsunął go do kieszeni. Powiedział, nie zwracając się do nikogo:

- To koniec. Moje życie się skończyło. Wszystko... przepadło. Po czymś takim nie można się pozbierać. Nigdy.

## ROZDZIAŁ 8

Przed klubem Dance schowała do torebki kopie aktualnych zaświadczeń podatkowych i potwierdzeń ubezpieczenia, kończąc w ten sposób zadanie, które miała tutaj wykonać.

Czas wracać do biura.

Zdecydowała jednak, że nie wróci.

*Nie można się pohamować...*

Postanowiła zostać pod Solitude Creek i na własną rękę zadać kilka pytań.

Zaczęła krążyć wśród trzydziestu kilku osób przed budynkiem, z których połowa, jak udało się jej ustalić, była tamtego wieczoru na koncercie. Wrócili tu, by złożyć kwiaty, zostawić kartki. I poznać odpowiedzi. Większość z nich zadawała Dance więcej pytań niż ona im.

- Jak to się mogło stać?
- Skąd się wziął dym?
- To był terrorysta?
- Kto tam zaparkował ciężarówkę?
- Aresztowano już kogoś?

Niektórzy byli zdenerwowani i podejrzliwi. Inni traktowali ją z nieskrywaną wrogością.

Jak zawsze starała się unikać jednoznacznych odpowiedzi, tłumacząc, że śledztwo jest w toku. Zebrani przed klubem - w każdym razie nie gapie, tylko osoby, które ocalały, i krewni - byli niezadowoleni i rozsierdzeni słowami Dance. Jakaś blondynka z opatrunkami na twarzy powiedziała, że jej narzeczony leży na intensywnej terapii.

- Wie pani, jakie ma obrażenia? Ktoś mu nadepnął na jądra, kiedy próbował uciec z klubu. Lekarze mówią, że możemy już nie mieć dzieci!

Wyraziła jej szczere współczucie i zadała kilka pytań. Kobieta nie miała ochoty odpowiadać.

Dance zauważyła dwóch mężczyzn w garniturach, którzy kręcili się przed klubem, białego i Latynosa. Każdy rozmawiał z osobami ze swojego kręgu językowego, rozdając wizytówki. Nic nie mogła na to poradzić. Pierwsza poprawka

- jeżeli to właśnie jej zapisy chroniły prawo największych szumowin spośród adwokatów do nagabywania klientów. Posłała wściekłe spojrzenie korpulentnemu białemu mężczyźnie w szarawym garniturze, który odpowiedział cwaniackim uśmiechem. Jak gdyby pokazał jej środkowy palec.

Wszystko, co mówili jej ludzie, którzy wrócili na miejsce zdarzenia, pokrywało się z tym, czego dowiedziała się od Holly'ego i Cohena. Przedstawiali tę samą wersję z różnych punktów widzenia, ale we wszystkich relacjach powtarzał się ten sam szok, jak szybko spokojna i zrelaksowana publiczność koncertu przepoczwarzyła się w hordę dzikich, ogarniętych paniką zwierząt.

Obejrzała beczkę, źródło ognia. Stała około pięciu metrów za budynkiem klubu, w pobliżu instalacji wentylacyjnej i klimatyzatorów. Wewnątrz, zgodnie z tym, co mówił Holly, był popiół i fragmenty na wpół spalonych śmieci.

Następnie spojrzała na główny obiekt śledztwa policji okręgowej: ciężarówkę zastawiającą wyjścia ewakuacyjne. To był czerwony peterbilt, starszy model, zdezelowany i ozdobiony jak biedronka białymi, żółtymi i zielonymi kropkami. Naczepa miała około dziesięciu metrów długości i razem z ciągnikiem skutecznie zastawiła trzy wyjścia ewakuacyjne. Przedni prawy błotnik znajdował się parę centymetrów od ściany klubu Solitude Creek; prawy koniec naczepy w odległości około ćwierć metra. Kąt pozwolił odrobinę uchylić drzwi, ale nikt nie mógł się nimi wydostać na zewnątrz. Dance dostrzegła plamy krwi na ziemi. Może właśnie tutaj straciła rękę ta ładna dziewczyna.

Próbowała zrozumieć, jak ciężarówka tam trafiła. Klub i magazyn miały wspólny parking, chociaż wyraźnie oznakowano, które miejsca są przeznaczone dla klientów Solitude Creek, a które dla ciężarówek i pracowników Henderson Jobbing. Czerwone tabliczki ostrzegały o „odholowaniu na koszt właściciela”, lecz były tak wyblakłe i zardzewiałe, że groźba chyba dawno odeszła w zapomnienie.

Nie, parkowanie ciężarówki w tym miejscu nie miało sensu. Część parkingu przeznaczona dla ciągników z naczepami była w połowie pusta; kierowca miał mnóstwo miejsca, aby zostawić tam wóz. Czemu więc postawił go pod ścianą?

Wydawało się bardziej prawdopodobne, że pojazd sam się odtoczył i zatrzymał pod murem; magazyn na południe od klubu stał na lekkim wzniesieniu, a parking łagodnie opadał i wyrównywał się bliżej budynku. Ciężki samochód dojechał do

bocznej ściany, zwolnił i stanął.

Dance poszła do magazynu oddalonego o około trzydzieści metrów, gdzie na drzwiach biura zawieszono odręcznie napisaną kartkę „Zamknięte”. Ludzie, których tu widziała kilka chwil temu, zniknęli.

Nacisnęła klamkę i pociągnęła. Zamknięte na klucz - choć przez rozdarcie w rolecie sączyło się światło i wewnątrz zauważyła jakiś ruch.

Głośno zapukała w szybę.

- Biuro śledcze. Proszę otworzyć.

Nic.

Zastukała mocniej.

Odsunęła się roleta; ukazała się twarz mężczyzny w średnim wieku z rozwichrzonymi brązowymi włosami. Spiorunował ją wzrokiem, przyjrzał się pokazanej przez nią legitymacji, po czym wpuścił Dance do środka.

Wnętrze wyglądało tak, jak można się spodziewać po firmie transportowej średniej wielkości, przycupniętej przy drugorzędnej autostradzie. Nieco podniszczone, funkcjonalne, umeblowane nabytkami z Sears i Office Depot w czerni, chromie i szarości. Tablice grafików i wywieszone przepisy transportowe. Mnóstwo papierów. Wyraźnie wyczuwalny zapach smaru albo spalin oleju napędowego.

Dance przedstawiła się obecnym. Mężczyzna, Henderson, był właścicielem firmy. Kobieta, chyba sekretarka czy asystentka, oraz dwaj inni mężczyźni w ubraniach roboczych patrzyli na nią niepewnie. Bob Holly mówił, że miał się tu zjawić kierowca ciężarówki: był jednym z tych mężczyzn?

Zapytała o to, ale dowiedziała się, że nie, Billy jeszcze nie przyjechał. Następnie spytała, czy magazyn był otwarty w czasie incydentu w klubie.

- Mamy swoje reguły - odparł szybko właściciel. - Może je pani tam przeczytać.

Tabliczka na ścianie przypominała zasady kultury korporacyjnej, w zagadkowy sposób używając wielkich liter:

*Wyjeżdżając w trasę Międzynarodową, pamiętajcie o swoich  
Paszportach!*

Tabliczka, o której mówił, wisiała poniżej:

*Zaciągnij Hamulec i zostaw Samochód na biegu!*

Ileć ktoś odpowiada na niezadane pytanie, budzi to czujność przesłuchującego. Nic lepiej nie ilustruje, co się dzieje w jego głowie.

Zamierzała za chwilę poruszyć sprawę hamulców i biegów.

- Dobrze, ale pytałam o godziny.

- Zamykamy o piątej. Firma pracuje od siódmej do piątej.

- Ale czasem ciężarówki przyjeżdżają później, prawda?

- Ten wóz wjechał o siódmej. - Właściciel spojrzał na kartkę

- którą oczywiście znalazł i nauczył się na pamięć jej treści w chwili, kiedy dowiedział się o tragedii. - Dziesięć po siódmej. Pusty z Fresno.

- I kierowca zaparkował tam, gdzie zwykle?

- Parkuje się na wolnym miejscu - wtrącił jeden z pracowników.

- Na wzgórzu. - Był podobny do Hendersona. Pewnie bratanek, syn. Zwróciła uwagę, iż wspomniał o wzniesieniu. Umówili się wcześniej, że zrobią z kierowcy kozła ofiarnego, i zaplanowali jego publiczne ukrzyżowanie.

- Kierowca mógł zaparkować tam samochód celowo? - zapytała.

- Obok klubu?

To ich zaskoczyło.

- No, nie. To by nie miało sensu. - Wahanie zdradziło, że nie pomyśleli o takim scenariuszu i teraz żałują. Postanowili już jednak poświęcić kierowcę, sugerując, że nie zaciągnął hamulca ręcznego.

*Na wzgórzu...*

Trzeci z mężczyzn, krzepki, o brudnych rękach, zorientował się, że przyszła jego kolej.

- Te auta są ciężkie. Ale mogą się stoczyć.

- Gdzie była zaparkowana ciężarówka, zanim znalazła się przy klubie?

- Na jednym ze stanowisk - odparł Henderson w wersji soft.

- Tego się już domyśliłam. Na którym?

- Czy będę potrzebować adwokata? - Właściciel nie krył irytacji.

- Próbuję tylko ustalić, co się stało. To nie jest śledztwo w sprawie przestępstwa. Na razie - nie omieszkała dodać.

- W ogóle muszę z panią rozmawiać? - spytał urzędniczki od dokumentów podatkowych i ubezpieczeniowych.

- Będzie dla pana o wiele lepiej, jeżeli zgodzi się pan współpracować - odparła spokojnie, jak gdyby w trosce o niego.

Z rozmysłem wzruszył ramionami i wyprowadził ją na zewnątrz, po czym wskazał miejsce na parking - jak mogła się spodziewać, na wzniesieniu dokładnie naprzeciw klubu. Ciężarówka stoczyła się w prawie prostej linii do miejsca, w którym stała. Lekki skośny spadek powierzchni asfaltu sprawił, że samochód odrobinę skręcił w lewo i stanął pod takim kątem w stosunku do budynku.

Henderson:

- No więc nie wiemy, co się stało.

Co znaczyło: weźcie sobie tego kierowcę. Pieprzyć go. To jego wina, nie nasza. Myśmy wywiesili przepisy.

Dance rozejrzała się po parkingu.

- Jak to wygląda? Kierowca przyjeżdża po godzinach pracy i zostawia gdzieś kluczyki czy zabiera je ze sobą?

- Zostawia. - Henderson pokazał zamykaną skrzynkę wrzutową.

Na parking wjechał biały pikap, zbliżył się do nich i zatrzymał z piskiem hamulców. Wysiadł z niego szczupły mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, w dżinsach i T-shircie z logo AC/DC. Narzucił skórzaną kurtkę, przygładził zaczesane do tyłu i zlepione na końcach blond włosy. Wokół ust miał bruzdy w kształcie nawiasów, na czole trwale wyżłobione zmarszczki. Był biały, ale opalony na brąz wyprawionej skóry.

- Oto i on - rzekł Henderson.

Mężczyzna stanął zmieszany przed swoim szefem.

- Panie Henderson...

- Billy - powiedział właściciel - to jest...

- Kathryn Dance, CBI. - Pokazała legitymację.

- Billy Culp - odparł w roztargnieniu młody człowiek, patrząc na dokument. Miał w oczach lęk, widząc być może otwarte drzwi celi.

Dance odprowadziła go na bok.

Właściciel firmy westchnął, podciągnął spodnie, odczekał jeszcze chwilę, a potem zniknął w środku. Jego krewny ruszył za nim.

- Może mi pan opowiedzieć, jak wczoraj wieczorem parkował pan ciężarówkę?

Mężczyzna skierował spojrzenie w stronę klubu.

- Przyjechałem dzisiaj rano pomóc. Pomyślałem, że mogę się do czegoś przydać. Ale się nie przydałem. - Błady, niewesoły uśmiech. - Chciałem pomóc.

- Panie Culp?

- Tak, oczywiście. Miałem kurs do Fresno, wróciłem pusty około siódmej. Zaparkowałem tam. Stanowisko numer dziesięć. Nie widać wyraźnie numeru. Prawie cała farba zeszła. Zapisałem w karcie długość trasy i poziom paliwa w zbiorniku, wsunąłem w szczelinę w drzwiach, wrzuciłem kluczyki do skrzynki. Proszę mi mówić „Billy”. Kiedy słyszę „panie Culp”, zaczynam się rozglądać za ojcem.

Dance uśmiechnęła się do niego.

- Zaparkowałeś, zaciągnąłeś hamulec ręczny i wrzuciłeś bieg.

- Zawsze tak robię, proszę pani. Hamulec, bieg. - Przełknął ślinę. - Ale przyznaję, że wczoraj byłem zmęczony. Naprawdę zmęczony. Bakersfield, Fresno, a potem tu.

- Drżał mu głos. Wahał się, czy wyznać prawdę. - Jestem prawie pewien, że zrobiłem, co trzeba. Ale żeby miał przysiąc na sto procent? Nie wiem.

- Dziękuję za szczerść, Billy.

Westchnął.

- Wszystko jedno, co się stanie, ale na pewno stracę robotę. Pójdę do więzienia?

- Na razie wyjaśniamy sprawę. - Nosił obrączkę. Pewnie miał też dzieci. Wiek mógł na to wskazywać. - Zdarzyło się panu kiedyś o tym zapomnieć? O hamulcu i wrzuceniu biegu?

- Raz zapomniałem zamknąć. Straciłem CB. Radio. Ale co to, to nie. - Pokręcił głową. - Hamulec zawsze zaciągam. Po jednym piwie nigdy nie siadam za kółkiem swojego prywatnego wozu. Nigdy nie przejeżdżam na żółtym świetle. Chociaż brakuje mi inteligencji i talentu do wielu rzeczy, kierowcą jestem dobrym, agentko Dance. Nie dostałem żadnego mandatu, nie spowodowałem żadnego wypadku. - Wzruszył ramionami. - Ale to prawda, byłem zmęczony, proszę pani. Agentko



Dance.

- Jezu, uwaga! - krzyknął Henderson przez otwarte drzwi biura.

Billy i Dance obejrzeni się i uchylili, bo w tym momencie coś świsnęło im nad głowami. Kamień odbił się od asfaltu i rąbnął w koło innej ciężarówki.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął człowiek, który nim rzucił.

Od strony klubu po wzniesieniu szła szybkim krokiem grupa kilkunastu osób - głównie mężczyzn. Któryś z nich cisnął drugim kamieniem. Znowu zrobili unik. Pocisk chybił, ale gdyby trafił, mógłby roztrzaskać czaszkę. Dance ze zdziwieniem zauważyła, że ci ludzie są dobrze ubrani. Wyglądali na takich z klasy średniej. Nie jak bandyci czy gang bikerów. Ale wyraz ich twarzy budził przerażenie: byli żądni krwi.

- Brać go!

- Skurwiel!

- To ty jesteś tym pieprzonym kierowcą, nie?

- Patrzcie! Tam! To ten kierowca!

- Policja! - zawołała Dance, pokazując legitymację. Nie zwracała sobie głowy szczegółami. - Stać!

Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Ty gnoju! Morderco!

- Nie - wykrztusił Billy. - Nic nie zrobiłem.

Nagle do grupy dołączyli inni, ruszając szybkim marszem od prowizorycznego pomnika ofiar obok klubu. Niektórzy biegli. Pokazywali palcami. Było ich już około dwudziestu. Mieli czerwone z wściekłości twarze, krzyczeli. Dance chwyciła telefon i wybrała numer dziewięćset jednaście. Połączenie z centralą trwało za długo.

Usłyszała:

- Pogotowie policji i straży pożar...

I stłumiła okrzyk, zobaczywszy, że leci prosto w jej twarz wirujący w powietrzu klucz do kół.

## ROZDZIAŁ 9

Billy rzucił się na nią i metalowe narzędzie śmignęło obok.

Oboje upadli na ziemię. Po chwili jednym szarpnięciem postawił ją na nogi i pobiegli w stronę drzwi biura. Dance dokończyła rozmowę, nadając komunikat „funkcjonariusz wzywa pomocy”, po czym odwróciła się i zawołała do zbliżającego się tłumu:

- Policja prowadzi dochodzenie! Rozejść się! Zostaniecie aresztowani!

Odpowiedzią był następny pocisk - znowu kamień. Ten sięgnął celu, choć niezbyt dokładnie, trafiając ją w lewe przedramię, blisko zegarka, który rozbiła na parkingu przed siedzibą CBI. Krzyknęła z bólu.

- Aresztować go! - wrzasnęła zażywna blondynka, której narzeczony doznał poważnych obrażeń.

- Aresztować? Wpierdol mu spuścić!

Ludzie już byli przy nich. Kilku mężczyzn brutalnie odsunęło na bok Dance i popchnęło do tyłu Billy'ego, uderzając go mocno w klatkę piersiową.

- Popełniacie przestępstwo! Zaraz tu będzie policja.

Jeden z mężczyzn podbiegł i stanął tuż przed nimi. Siny z wściekłości wbił Billy'emu palec w pierś.

- Zaparkowałaś tam, żeby się wysrać? Uciekłeś. Kurwa, pani władzo, dlaczego on nie jest aresztowany?

- Nie, nie. Nic nie zrobiłem. Proszę! - Billy kręcił głową i Dance dostrzegła łzy w jego oczach. Rozcierał pierś po którymś z ciosów.

Pozostali tłoczyli się już wokół nich. Uniosła odznakę i udało się jej na moment przerwać szaleństwo.

- Zaraz rozpęta się piekło - szepnęła. - Musimy uciekać. Schować się w biurze.

Razem z Billym precyzyjnie się między osobami stojącymi naprzeciw nich i szli dalej w stronę drzwi. Ludzie ruszyli za nimi jak nieprzyjazna eskorta. Powoli, powtarzała sobie. Wiedziała, że jeżeli zaczną biec, tłum znowu zaatakuje.

I chociaż było to wyjątkowo trudne, szła spokojnym, miarowym krokiem.

Ktoś wrzasnął:

- Niech mi go pani da na pięć minut. Przyzna się.

- Powtarzam, lepiej mu spuścić wpierdol.

- Zabiłeś moją córkę!

Od drzwi biura dzieliło ich niecałe dziesięć metrów. Tłum zgęstniał i wykrzykiwał obelgi. Przynajmniej niczym nie rzucał.

Nagle jakiś niski i przysadzisty mężczyzna w dżinsach i koszuli w kratę podbiegł do swojej ofiary i rąbnął Billy'ego w głowę. Kierowca krzyknął.

Dance podstawiała agresorowi pod nos odznakę.

- Jak się pan nazywa? Nazwisko!

Zaśmiał się okrutnie, złapał odznakę i odrzucił.

- Pierdol się, suko!

Przypuszczała, że nie udałoby się ich powstrzymać, gdyby nawet zaczęła wymachiwać bronią. Zresztą i tak nie miała przy sobie glocka.

- Wpierdolić mu! Brać gnoja!

- Zabić go!

- Ją też, sukę!

Ci ludzie oszaleli. Zachowywali się jak zwierzęta. Rozwścieczone psy.

- Posłuchajcie! - krzyknęła Dance. - Popełniacie przestępstwo! Zostaniecie aresztowani, jeżeli...

Właśnie w tym momencie puściły im wszystkie hamulce.

- Brać gnoja. Na niego!

Obejrzała się szybko i zauważyła, że kilku z nich podnosi z ziemi kamienie. Ktoś ścisnął w dłoni następny klucz do kół.

Jezu.

Uchyliła się, gdy spory kamień świsnął obok jej ucha. Nie widziała, kto go rzucił. Potknęła się i upadła na kolana. Tłum rzucił się naprzód.

Billy znów pomógł jej wstać i osłaniając rękami głowy, pobiegli sprintem do drzwi biura. Były już zamknięte. Jeżeli Henderson zamknął je na klucz, do cholery, mogli już za parę minut nie żyć.

Dance poczuła dławiącą falę paniki, jak antylopa, która słyszy zbliżający się tupot lwich łap.

Drzwi...

Błagam...

Otworzyły się dokładnie w chwili, kiedy do nich dobiegli. Billy odwrócił się i tym razem kamień precyzyjnie trafił w cel. Z trzaskiem uderzył go w szczękę i mężczyzna krzyknął. Trysnęła krew - było jasne, że stracił co najmniej jeden ząb, być może doznał złamania jakiejś kości.

Wpadł do środka i runął na podłogę, trzymając się za usta. Dance też schowała się w biurze. Henderson błyskawicznie zatrzasnął drzwi i przekręcił zamek.

- Zadzwońm pod dziewięćset jedenaście - powiedział.

- Ja też - mruknęła Dance, patrząc na rozcięcie na twarzy Billy'ego. - Niedługo powinni tu być.

Wyjrzała przez okno. Dygotały jej ręce, serce głośno łomotało.

Panika...

Tłum zebrał się przed drzwiami. Ludzie mieli obłęd w oczach. Dance pomyślała o oszalałym dobermanie spuszczonej ze smyczy, który kiedyś zaatakował na spacerze ją i jej owczarka niemieckiego, Dylana. Powstrzymał go dopiero gaz pieprzowy.

Nie można było przemówić nikomu do rozsądku, nie było dokąd uciec.

Dance skrzywiła się, widząc, że Henderson trzyma rewolwer Smith & Wesson z krótką lufą kaliber .38 Special. Ścisnął go w niepewnej dłoni.

- Niech pan to odłoży.

- Ale...

- Już - ucięła.

Odłożył broń do szuflady.

W budynek biura stuknął kamień, wydając głośny huk przy zetknięciu z metalową ścianą. Potem posypały się następne. Wybiły dwa okna, nikt jednak nie próbował wejść przez nie do środka. Znów rozległy się krzyki.

Spojrzała na Billy'ego, miał zamknięte z bólu oczy. Do opuchniętej twarzy przykładął ręcznik z lodem, który przyniósł mu krewny Hendersona. Wyglądało, że kierowca ma złamaną żuchwę.

Przez wybite okno Dance dostrzegła błyski niebieskich i białych świateł.

I nagle, tak samo jak na wideo z Solitude Creek z zeszłego wieczoru, szaleństwo ustało. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą byli gotowi zlinczować Billy'ego i rozbić czaszkę Dance, odwrócili się i ruszyli w stronę swoich samochodów jak

gdyby nigdy nic.

Raptownie wpadli we wściekłość i tak samo szybko się uspokoili. Opętanie minęło. Niektórzy upuszczali na ziemię kamienie; chyba nawet nie zdawali sobie sprawy, że je trzymają.

Przed Henderson Jobbing zatrzymały się radiowozy z MCSO, biura szeryfa. Dwoje zastępców szeryfa z samochodu zaparkowanego najbliżej biura rozejrzało się po parkingu, po czym weszło do środka.

- Kathryn - powiedziała funkcjonariuszka, wysoka i urodziwa Latynoska. Towarzyszący jej krępy Afroamerykanin powitał Dance skinieniem głowy. Dobrze znała ich oboje.

- Kit, John.

- Co tu się stało? - zapytała Kit.

Opowiedziała o natarciu rozszalałego tłumu, dodając:

- Wydaje mi się, że moglibyście zatrzymać parę osób za czynną napaść. - Ruchem głowy wskazała Billy'ego i pokazała własne przedramię zsiniałe po uderzeniu kamieniem. - Zostawiam to wam. Nie zajmuję się już sprawami kryminalnymi.

Kit Sanchez uniosła brew.

- To długa historia. Gdybyście potrzebowali, mogę być świadkiem.

John Lanners, drugi zastępca szeryfa, obejrzał rozbitą twarz Billy'ego Culpa i zapytał, czy chce wnieść skargę przeciwko komuś z tłumu.

- Nikogo nie widziałem - wymamrotał Billy.

Dance nie miała wątpliwości, że on kłamie. Oczywiście rozumiała, że nie chce już więcej szumu wokół siebie jako człowiek odpowiedzialny za nieszczęście w Solitude Creek. Jego żona i dzieci... Przeciw nim też mogłaby się obrócić ludzka złość.

Pokręciła głową.

- Sami zdecydujcie.

- Kto prowadzi sprawę? CBI czy my? - spytał Lanners, wskazując na budynek klubu.

- Nam jest wszystko jedno - powiedziała Sanchez. - Tylko że rozumiesz...

- Na miejscu jest Bob Holly z okręgowej straży, więc chyba wy. Ja przyszedłam

tylko sprawdzić zaświadczenia - dodała Dance. Wzruszyła ramionami. - Ale postanowiłam zostać. Zadać parę pytań.

Lanners otarł pot z czoła - był dość masywnie zbudowany - i rzekł do Billy'ego:  
- Wezwiemy pomoc medyczną.

Kierowca sprawiał wrażenie, jakby w ogóle się tym nie przejmował, chociaż było widać, że bardzo cierpi. Otarł łzy.

Drugi zastępca szeryfa zdjął z pasa radio i połączył się z pogotowiem ratunkowym. Dyżurny poinformował go, że karetka będzie za dziesięć minut. Dance zwróciła się do Lannersa:

- Możecie z nim pojechać? - Zniżając głos do szeptu, dodała: - Zdaje się, że wyznaczyli cenę za jego głowę.

- Jasne - zapewnił. - I zawiadomimy rodzinę. - Policjant też zauważył obrączkę na jego palcu.

Dance przemyśla swoje obrażenie.

- Wszystko w porządku, Kathryn? - zapytała Kit.

- To nic ta...

Nagle wzrok Dance zatrzymał się na innej tabliczce na ścianie za plecami policjantki. Pokazała napis.

- To prawda?

Henderson przymrużył oczy i podążył za jej spojrzeniem.

- To? Tak. Zaoszczędziliśmy dzięki temu sporo pieniędzy.

- Wszystkie ciężarówki to mają?

- Co do jednej.

Kathryn Dance się uśmiechnęła.

## ROZDZIAŁ 10

Człowiek, którego Ray Henderson zamierzał poświęcić, człowiek, którego dziesięć minut temu tłum chciał zlinczować, był niewinny. Wystarczyło zaledwie pięć minut, aby się dowiedzieć, że Billy Culp nie jest odpowiedzialny za tragedię w Solitude Creek.

Na tabliczce, którą Dance zobaczyła na ścianie w Henderson Jobbing, niedaleko kierowcy, który siedział ze zbolałym sercem i obolałą szczęką, widniał napis:

*Wiemy, że Prowadzisz bezpiecznie.*

*Pamiętaj: Nasz GPS też!*

*Przestrzegaj ograniczeń prędkości.*

Wszystkie ciężarówki Henderson Jobbing były wyposażone w nawigację satelitarną, nie tylko po to, żeby pomagała kierowcom odnaleźć drogę, ale by ich szef wiedział, gdzie dokładnie są i jak szybko jadą. (Henderson wyjaśnił, że w ten sposób chroni ich na wypadek kradzieży albo uprowadzenia samochodu; Dance podejrzewała, że miał też dość płacenia mandatów za przekroczenie prędkości i bulenia za paliwo więcej, niż trzeba).

Dance dostała pozwolenie od Boba Holly'ego i funkcjonariuszy policji stanowej na wymontowanie odbiornika GPS z ciężarówki Billy'ego i przeniesienie go do biura Hendersona. Kiedy urządzenie zostało podłączone kablem USB do komputera, razem z zastępcami szeryfa przejrzała dane.

Poprzedniego dnia odbiornik GPS włączył się o dwudziestej dziesiątej. Zarejestrował, że samochód przemieścił się o mniej więcej trzydzieści metrów w kierunku północnym - w stronę klubu - i potem się zatrzymał, a odbiornik został wyłączony.

- Wynika z tego - powiedziała Kit Sanchez - że ktoś celowo postawił wóz w tym miejscu.

- Aha - przytaknęła Dance. - Ktoś się włamał do skrzynki na kluczyki. Zabrał je, podjechał ciężarówką pod klub, żeby zablokować drzwi, wyłączył silnik i odłożył kluczyki na miejsce.

- Byłem już w domu! - zawołał Billy. - Kiedy to się stało, o ósmej, byłem w domu. Mam świadków!

Henderson i jego domniemany bratanek starannie unikali wzroku Dance i Billy'ego, wiedząc już, że kierowca ciężarówki, który stał się dla nich tak uciążliwy, że chcieli się go pozbyć, jest niewinny.

- Kamery monitoringu? - spytała Dance.

- W magazynie. Na zewnątrz nie ma żadnych.

Szkoda.

- A kluczyk do samochodu?

- Mam tutaj. - Henderson sięgnął do szuflady.

- Niech pan nie dotyka - uprzedziła go.

Odciski palców. Kryminalistyka nie bardzo interesowała Kathryn Dance, ale dowody rzeczowe należało traktować z najwyższym pietyzmem.

- Cholera. Już je miałem w ręce.

John Lanners, zastępca szeryfa:

- Pewnie będzie na nich sporo śladów, ale damy sobie radę. Zdejmiemy odciski panu i pracownikom do porównania. Znajdziemy te, których nie zostawili Billy ani inni kierowcy.

Kit Sanchez w rękawiczkach wzięła kółko z kluczykami do inkryminowanej ciężarówki i włożyła do torebki na dowody. Dance w głębi duszy wiedziała jednak, że mężczyzna, który celowo blokował drzwi klubu, na pewno nie zostawił na nich swoich odcisków palców. Instynkt podpowiadał jej, że to ktoś skrupulatny.

Ironia losu sprawiła, że właśnie gdy Dance została przeniesiona do działu cywilnego, kwestia administracyjna związana z podatkami i ubezpieczeniami, którą miała się zająć, zmieniła się w przestępstwo. W zbrodnię. Morderstwo. Mógł wchodzić w grę nawet zamach terrorystyczny.

- Możecie oficjalnie uznać, że to zabójstwo? - zwróciła się do Sanchez i Lannersa. - Ja nie mogę. - Krzywy uśmiech. - To właśnie długa historia, jak mówiłam. Zabezpieczcie miejsce. Skrzynkę na klucze, ciężarówkę, beczkę, klub. Lepiej też będzie zbadać cały parking.

- Jasne - odparł Lanners. - Wezwę ekipę techników. Wszystko zabezpieczymy.

Przed biurem zatrzymała się karetka, wydając krótki świergot syreny. W drzwiach



ukazali się dwaj ratownicy, rośli biali mężczyźni. Powitali wszystkich skinieniem głowy, namierzili Billy'ego i podeszli do niego, by sprawdzić, jakie odniósł obrażenia i czy może się poruszać.

- Mam złamaną szczękę? - spytał Billy.

Jeden z ratowników odsunął lodowaty i zakrwawiony ręcznik.

- Najpierw trzeba będzie zrobić prześwietlenie i dopiero lekarz stwierdzi, kiedy obejrzy zdjęcie. Ale tak, złamana. Złamana w cholerę. Da pan radę iść?

- Dam. Ktoś jest na zewnątrz?

- O co pan pyta?

Dance wyjrzała przez okno.

- Pusto.

Wszyscy czworo wyszli z biura i pomogli chudemu kierowcy wdrapać się do karetki. Kierowca ujął dłoń Dance w obie ręce. Miał wilgotne oczy, chyba nie z bólu.

- Uratowała mi pani życie, agentko Dance. Nie tylko w jednym sensie. Niech panią Bóg błogosławi. - Po chwili zmarszczył brwi. - Ale niech pani uważa. Ci ludzie, te zwierzęta, chcieli panią zabić tak samo jak mnie. A nie zrobiła pani zupełnie nic złego.

- Wydobrzej, Billy.

Znalazła swoją odznakę, wytarła z kurzu i wsunęła do kieszeni. Następnie wróciła do klubu. Powie Bobowi Holly'emu, co odkryła, ale nie zdradzi tego Charlesowi Overby'emu, dopóki nie zdobędzie więcej informacji.

Musiała zebrać jak najwięcej amunicji.

Zbliżając się do zebranych dziennikarzy i gapiów, spojrzała w stronę ładnej reporterki telewizyjnej, ubranej w nienagannie skrojony kostium, która rozmawiała ze strażakiem, solidnie zbudowanym, opalonym mężczyzną o krótko ostrzyżonych włosach i potężnych ramionach. W ciągu minionego roku widziała go przy kilku akcjach w czasie pożarów i wypadków.

Dziennikarka powiedziała do kamery:

- Rozmawiam z Bradem C. Dannonem, strażakiem z okręgu Monterey. Brad, wczoraj wieczorem zjawiłeś się pierwszy w Solitude Creek?

- Zgadza się, tak się złożyło, że byłem niedaleko, kiedy dostaliśmy wezwanie.

- A więc widziałeś scenę wybuchu paniki? Mógłbyś ją opisać?

- Wszyscy wpadli w panikę, to prawda. Próbowali się wydostać, rzucali się do drzwi jak zwierzęta. Jestem strażakiem od pięciu lat i nigdy...

## ROZDZIAŁ 11

...Nie widziałem niczego podobnego.

- Od pięciu lat, naprawdę, Brad? Posłuchaj, wszystko wskazuje, że drzwi, wyjścia ewakuacyjne, były otwarte, ale zostały zablokowane przez ciężarówkę, która zaparkowała przy budynku. Ciągnik z naczepą. Widzimy go... tam.

Antioch March oderwał oczy od tego, na co właśnie patrzył - poszewki z drobno tkanej bawełny, piętnaście centymetrów od swojej twarzy - i spojrzał na ekran telewizora na przeciwległym końcu sypialni w luksusowym hotelu Cedar Hills Inn w Pebble Beach. Kamera przed klubem Solitude Creek panoramowała budynek Henderson Jobbing and Warehouse, znajdujący się co najmniej piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie March leżał.

- Tak, tak! - usłyszał wilgotny szept ust tuż przy swoim uchu.

Na ekranie HD znów pojawiła się reporterka o włosach koloru toffi.

- Brad, wiele ofiar i krewnych ofiar oskarża kierowcę ciężarówki o to, że beztrosko zablokował drzwi. Twierdzą, iż zaparkował tam, żeby skorzystać z toalety, a może nawet chyłkiem przedostać się do środka, by zobaczyć koncert. Uważasz, że to możliwe?

- Jest za wcześnie, żeby stawiać hipotezy - odparł strażak. Nierozsądnie jest w ogóle stawiać hipotezy, poprawił Brada March, wszystko jedno, za wcześnie czy za późno. Strażak kulturysta, choć

pewnie nie aż taki entuzjasta ćwiczeń jak March, wyglądał na zadowolonego z siebie. Ja bym nie uwierzył, że potrafi mnie uratować z zadymionego budynku.

A tym bardziej spod nóg tratujących się w popłochu ludzi w klubie. Brad przystąpił jednak do drastycznego opisu „horroru”, jaki rozegrał się tam wczoraj. Dość wiernego opisu. Dzięki pomocy Brada i obrazom, które odmalował, March mógł się skupić na swoim zadaniu, opuścił głowę na poduszkę i wrócił do pulsującego rytmu.

Calista nieskazitelnymi zębami złapała płatek jego ucha. March poczuł nacisk jej siekaczy. Poczuł jej ozdobiony kolczykiem nos na swoim gładkim policzku. Poczuł, że jest głęboko w niej.

Wydawała z siebie miarowe pomruki. Może on też.

- Jesteś tak cholernie przystojny... - szepnęła.

Wolałby, żeby nie mówiła. Tak naprawdę nie wiedział, co z tym zdaniem począć. Może miała nadzieję, że to potrwa dłużej niż dwa dni. Wiedział też jednak, że w takich chwilach ludzie mówią przeróżne rzeczy z przeróżnych powodów, więc nie wpadał w popłoch.

Po prostu wolałby, żeby nie mówiła. Chciał słyszeć. Chciał widzieć. Chciał sobie wyobrazić.

Uderzała go piętami w kość ogonową, karmazynowymi paznokciami - koloru tętnicznej krwi - orała jego plecy.

Wrócił myślą do tego, do czego ludzie często wracają myślą w takich chwilach: do przeszłości. Do incydentu w Solitude Creek. Ale zaraz potem jeszcze dalej: oczywiście do Sereny. Często wracał do Sereny, tak jak wirujący bąk w końcu nieruchomieje.

Serena. Pomagała mu funkcjonować.

Myślał też o Jessice.

I naturalnie o Toddzie. Nie było Sereny i Jessiki bez Todda.

Zaczął się szybciej poruszać.

Znów dyszała:

- Tak, tak, tak...

Dłonie leżącej pod nim Calisty powędrowały w górę kręgosłupa i mocno złapały go za ramiona. Paznokcie barwy wozu strażackiego wbiły mu się w skórę. Odpowiedział tym samym, zagłębiając palce w bladym ciele. Pojękiwała między innymi z bólu; jego ponad dziewięćdziesiąt kilogramów wyciskało z jej płuc powietrze miarowymi wilgotnymi podmuchami.

Przygniatał ją.

Trochę jak ludzie wczoraj wieczorem.

- Och... - Zesztywniała.

Złagodził ruchy. Istniała pewna równowaga między jego przyjemnością a jej bólem. Trudna sprawa. Naprawdę nie chciał, żeby teraz krzyczała. Miał wszystko, czego chciał.

- Jeżeli dopiero teraz włączyli państwo telewizory...

- Och, tak - szepnęła Calista. Nie udawała. Odleciała, zatraciła się w chwili.

Wysunął lewą dłoń spod kościstego kręgosłupa, owinął gęste truskawkowe włosy wokół swoich grubych palców i odciągnął jej głowę do tyłu. Cudownie byłoby ciąć tę gładką szyję. Ale tego nie było w planach. Mimo wszystko wizja utkwiała mu w myślach. To też mu pomogło.

Odmierzył rytm i odrobinę przyspieszył. Usłyszał głęboki wdech i lśniąca perłowe zęby wbiły się w jego szyję - wiele kobiet miało takie wampiryczne skłonności, Calista, jak widać, też. Wstrząsnął nią dreszcz, z ust wyrwało się głębokie westchnienie:

- Taaaak... - Nie grała, nie próbowała pomóc mu skończyć: to było bezwiedne, autentyczne. Poczł się w miarę zadowolony.

Teraz jego kolej. Złapał ją jeszcze mocniej. Pierś o biust, udo o udo. Trochę niepewnie; w pokoju było gorąco, śliska od potu skóra wymykała się z rąk.

- Rozmawiam z Bradem Dannonem, strażakiem z okręgu Monterey, który pierwszy pojawił się na miejscu tragedii w klubie Solitude Creek wczoraj wieczorem. Brad uratował co najmniej dwie ofiary, które mocno krwawiły. Rozmawiałeś dzisiaj z tymi osobami?

- Tak jest. Straciły dużo krwi, ale udało mi się utrzymać je przy życiu, zanim na miejsce przyjechali nasi wspaniali ratownicy z pogotowia. To oni są prawdziwymi bohaterami, nie ja.

- Jesteś bardzo skromny, Brad. Powiedz mi...

Klik.

Zorientował się, że imponujące paznokcie jednej ręki oderwały się od jego pleców. Znalazła pilot i wyłączyła telewizor.

Nieważne. Mając w pamięci piękną twarz Sereny, a w uszach słowa Brada: „dużo krwi”, był gotowy.

Sapnął i opadł na nią całym ciężarem ciała. To było dobre, myślał. Wystarczająco dobre.

Na jakiś czas powinno zająć uwagę.

Po chwili zdał sobie sprawę, że Calista lekko się pod nim wije. Z trudem oddychała.

Asfiksja spowodowana uciskiem klatki piersiowej, pomyślał.

Nie uwolnił jej od swojego ciężaru. Minęło dziesięć sekund.

Dwadzieścia. Potem trzydzieści. Mógł tę kobietę zabić, po prostu nie ruszając się z miejsca.

- Khm - wykrztusiła. - Nie mogę...

Poczuł, jak jej pierś faluje.

Stoczył się na bok.

- Przepraszam. Zupełnie mnie wykończyłaś.

Odzyskała oddech. Usiadła i okryła się prześcieradłem. Dlaczego po wszystkim kobiety nagle stają się takie wstydlive? Zdjął z poduszki poszewkę i wytarł się nią jak ręcznikiem, po czym mimochodem zerknął na swoje paznokcie. Ani śladu krwi. Był zawiedziony.

Odwróciła się do niego z lekkim uśmiechem i położyła głowę na poduszce.

March się przeciągnął. Jak zawsze w takich chwilach, tuż po, milczał, ponieważ nigdy nie można sobie do końca wierzyć, nawet jeżeli się jest tak opanowanym jak on. Tego się nauczył.

Ale odezwała się Calista.

- Andy?

Wolał to przezwisko. „Antioch” za bardzo zwracało uwagę.

- Tak?

- To straszne, co się stało.

- Co takiego?

- Panika w klubie, kiedy ludzie się tratowali. Mówili w wiadomościach. Przed chwilą.

- Aha, nie słuchałem.

Jakiś test? Nie wiedział. Udzielił jednak dobrej odpowiedzi. Położyła mu na ramieniu dłoń o czerwono zakończonych palcach. Pewnie w ogóle nie powinien włączać telewizora - nie należy za bardzo interesować się Solitude Creek, to nierozważne. Kiedy jednak przyszła czterdzieści minut temu, na samym początku nalał jej chardonnay i zaczął gadać jak najęty, żeby nie przyszło jej do głowy wyłączyć trwającą relację.

Znów się przeciągnął, a materac w ekskluzywnym hotelu nie zakołysał się nawet o pół centymetra. Pomyślał o nieustannie poruszającym się Pacyfiku, którego wprawdzie nie widział, ale słyszał przez uchylone okno po lewej.

- Dużo ćwiczysz - zauważyła.

- Dużo. - Musiał. Tego wymagała jego specjalność. W każdym razie jedna z jego specjalności. Ćwiczył co najmniej godzinę dziennie. Gimnastyka nie sprawiała mu trudności - miał dwadzieścia dziewięć lat, był z natury silny i dobrze zbudowany. I lubił wysiłek. Poprawiał samopoczucie. Zajmował uwagę.

Calista, z niezmiądzonymi płucami i niepoderżniętym gardłem, wysunęła się z pościeli i jak hollywoodzka aktorka wstała, odwrócona plecami do kamery.

- Nie patrz.

Nie patrzył. Zdjął prezerwatywę i rzucił ją na podłogę po drugiej stronie łóżka. Poza jej polem widzenia.

Spojrzał na pilot. Uznał, że zostawi go w spokoju.

Przypuszczał, że Calista pójdzie do łazienki, ale skręciła w stronę szafy, otworzyła ją i przyjrzała się wiszącym ubraniom.

- Masz jakiś szlafrok, żeby mi pożyczyć? Nie patrzysz?

- Nie. W łazience, na drzwiach.

Poszła tam i wróciła spowita w cienką bawełnę.

- Ładny. - Poglądziła materiał.

Hotel należał do najlepszych na półwyspie Monterey, a ostatnio March przekonał się, że w okolicy jest dużo świetnych hoteli. W tym goście mogli zabierać sobie do domu szlafroki jako miłą pamiątkę pobytu - za przedziwną cenę dwustu trzydziestu dwu dolarów.

To właśnie było charakterystyczne dla Cedar Hills. Nie równe dwieście pięćdziesiąt, bo byłaby to horrendalna, choć logiczna kwota. Nie sto, co miałyby więcej sensu, bo taka była cena detaliczna.

Nie - pretensjonalne dwieście trzydzieści dwa.

Pewnie miało to coś wspólnego z ludzką naturą.

Calista Sommers przyniosła torebkę i zaczęła w niej szperać, wyjmując niektóre rzeczy.

Poczuł zapach wina ze stojących obok kieliszków. Ale to było dla niej. On sączył sok ananasowy z kostkami lodu, których krawędzie zdążyły już stopnieć i stępieć.

Odsunęła zasłonę w oknie.

- Niesamowity widok.

Rzeczywiście. Niedaleko stąd rozciągało się pole golfowe Pebble Beach, widać było sosny wygięte w akrobatyczne pozycje, karmazynowe strelacje, rzeźbę, fontanny. Jelenie, które strzygąc uszami, przechadzały się na swoich komicznych i jednocześnie zgrabnych nogach.

Calista błędziła gdzieś myślami. Może rozmyślała o swoim spotkaniu. Może o chorej matce. Calista, dwudziestopięcioletnia księgowa, nie była stąd. Wzięła dwa tygodnie urlopu i przyjechała do Kalifornii z małego miasteczka w północnej części stanu Waszyngton, by poszukać miejsca, do którego mogłaby przenieść matkę mieszkającą w domu opieki z powodu choroby Alzheimera. - Chodziło o miejsce w okolicy, gdzie panuje lepsza pogoda. Sprawdziła już w Marin, Napa, San Francisco, a teraz, gdy rozejrzała się po wybrzeżu zatoki Monterey, ono już było jej faworytem.

Poszła do łazienki i po chwili zaczął pulsować prysznic. March rozciągnął się na łóżku, słuchając szumu wody. Wydawało mu się, że Calista nuci.

Znów pomyślał o pilocie. Nie. Więcej cierpliwości.

Zamknął oczy, jeszcze raz odtwarzając w wyobraźni przebieg wypadku w Solitude Creek.

Dziesięć minut później wyszła z łazienki.

- Jesteś niegrzeczny! - oświadczyła z diabolicznym uśmiechem, ale i karcącym tonem. - Podrapałeś mnie.

Uniosła szlafrok. Bardzo, bardzo ładna pupa. Czerwone zadrapania. Na ich widok poczuł ukłucie w dole brzucha.

- Przepraszam.

Widocznie nie była typem dziewczyny z Pięćdziesięciu twarzy Greya.

Zapomniała o swoich wyrzutach.

- Jesteś do kogoś podobny, jakiegoś aktora.

Zwykle kojarzył się ludziom z Channingiem Tatumem. March był szczuplejszy, mniej więcej tego samego wzrostu, ponad metr osiemdziesiąt.

- Nie wiem.

Oczywiście to nie miało żadnego znaczenia. Chodziło jej tylko, żeby przeprosić za pretensje o zadrapania.

Przeprosiny przyjęte.



Sięgnęła do torebki po puder i pędzelek, zaczęła odtwarzać makijaż.

- Wieczorem nie powiedziałaś mi za dużo o swojej pracy. Wiem, że to jakaś organizacja non profit. Strona internetowa? Robicie coś dobrego. Podoba mi się to.

- Zgadza się. Podnosimy świadomość i zdobywamy pieniądze, żeby pomagać ludziom w sytuacjach kryzysowych. Ofiarom wojen, klęsk żywiołowych, głodu i tak dalej.

- Pewnie masz dużo pracy. Dzieje się tyle strasznych rzeczy.

- Jestem w drodze sześć dni w tygodniu.

- Co to za strona?

- Nazywa się „Dłoń sercu”. - Podniósł się z łóżka. Mimo że nie był przesadnie wstydlivy, nie miał ochoty paradować nago po pokoju.

Włożył dzinsy i koszulkę polo. Włączył laptop i otworzył główną stronę serwisu.

*Dłoń sercu.*

*Działamy w celu szerzenia świadomości  
o tragediach humanitarnych  
na całym świecie.*

*Jak możesz pomóc...*

- Sami nie zbieramy pieniędzy. Uświadamiamy tylko ludziom potrzeby humanitarne, a oni mogą kliknąć link, powiedzmy, pomocy dla ofiar tsunami albo katastrofy elektrowni jądrowej w Japonii czy ataku gazowego w Syrii. Mogą wpłacać datki. Moje zadanie polega na tym, że jeżdżę po kraju, spotykam się z różnymi organizacjami non profit i zbieram materiały prasowe oraz zdjęcia z katastrofy, żeby wrzucić na naszą stronę. Poza tym sprawdzam te organizacje. Niektóre planują przekręty.

- Co ty!

- Zdarza się.

- Ludzie potrafią być tacy wredni. - Zamknęła laptop. - Całkiem niezła praca. Robisz coś dobrego. I masz okazję mieszkać w takich hotelach.

- Czasami. - Prawdę mówiąc, „w takich hotelach” czuł się trochę nieswojo. Wystarczał mu Hyatt, a nawet skromniejsze motele. Ale akurat takie podobały się szefowi; Chris wybierał najlepsze hotele, właśnie w takich umieszczał Marcha. Podobnie było z ubraniami i rzeczami rozrzuconymi na podłodze. Garnitur Canali, buty Louis Vuitton, aktówka Coach, spinki do mankietów Tiffany - to nie był jego wybór. Szef nie rozumiał, że niektórzy wykonują tę pracę dla czegoś innego niż pieniądze.

Calista zniknęła w łazience, żeby się ubrać - wstydlivość rosła - i po chwili wyszła. Wciąż miała wilgotne włosy, ale w Hertz wypożyczyła kabriolet, więc przypuszczał, że przy opuszczonym dachu wysuszy je wiatr, zanim ona dotrze do jakiegoś domu seniora. March irytował się, że jego brązowa czupryna, gęsta jak futro, potrzebuje aż dziesięciu minut, by stanąć na baczność.

Pocałowała go, krótko, ale nie za krótko; oboje znali zasady. Numerek w południe.

- Zostaniesz tu jeszcze przez parę dni, panie Humanitarny?

- Zostanę - odparł.

- To dobrze. - Zabrzmiało radośnie. Po chwili autentycznie zaciekawiona zapytała: - Udał ci się ten wyjazd?

- Aha, naprawdę udał.

Po chwili Calista żwawym krokiem wyszła z pokoju.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, March wyciągnął rękę i chwycił pilot. Włączył telewizor, mając nadzieję, że może informacja o Solitude Creek pojawi się w krajowych wiadomościach. Był ciekawy, co ważniacy mówią o tragedii.

Na ekranie zobaczył jednak reklamę płynu do płukania tkanin.

Włożył strój do ćwiczeń, szorty i koszulkę bez rękawów, rozciągnął się na podłodze i zaczął drugą porcję pięciuset pompek na dziś. Potem brzuszki. I przysiady. Później zamierzał pobiegać po Seventeen Mile Drive.

W telewizji: reklamy lekarstwa na refluks i ubezpieczeń.

Proszę...

- A teraz najnowsze informacje na temat tragedii, jaka rozegrała się w klubie Solitude Creek w środkowej Kalifornii. Jest z nami James Harcourt, nasz korespondent z miejsc katastrof.

Serio? Jest taki specjalista?

- Niewiele było trzeba, aby wybuchła panika.

Niewiele, pomyślał March. Trochę dymu. Potem telefon do kogoś, kto dyżurował w holu:

- Stoję przed klubem. Pali się wam w kuchni! I za sceną! Zadzwońcie po straż pożarną, ale trzeba ewakuować klub. Wyprowadźcie ludzi, szybko!

Zastanawiał się, czy będzie musiał zrobić coś jeszcze, żeby wywołać przerażenie ludzi. Ale nie, wystarczyło tylko tyle. W ciągu paru sekund da się wymazać z ludzi sto tysięcy lat ewolucji.

Wrócił do ćwiczeń, od czasu do czasu z przyjemnością oglądając obrazy z wnętrza klubu.

Po trzydziestu minutach spocony Antioch March wstał, otworzył zamykaną na klucz aktówkę i wyjął mapę okolicy. Coś, co powiedział korespondent z miejsc katastrof, podsunęło mu pewną myśl. Wszedł do Internetu, poszukał paru rzeczy. Zanotował kilka informacji. Dobrze. Tak, dziękuję, rzekł w duchu do dziennikarza. Po chwili odtworzył w pamięci słowa wypowiedziane matowym głosem Calisty.

*Udał ci się ten wyjazd?*

*Aha, naprawdę udał.*

Niebawem uda się jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ 12

Do Solitude Creek zaczęli zjeżdżać politycy.

Przy podobnych zdarzeniach zawsze było tak samo. Pojawiały się grube ryby, te na stanowisku i te z aspiracjami do stanowisk, a także nie brakowało takich jak jej szef, Charles Overby, który chciał stanąć na kilka minut w blasku jupiterów, bo lubił stawać w blasku jupiterów. Przyjeżdżali, rozmawiali z dziennikarzami i pokazywali się rodzinom ofiar albo gapiom.

Czyli wyborcom i opinii publicznej.

Owszem, zdarzało się, że naprawdę chcieli pomóc. Zdarzało się. Czasami. Być może. (Jako funkcjonariuszka służb stanowych Kathryn Dance stale broniła się przed cynizmem).

W tym momencie na miejscu było więcej ekip telewizyjnych niż chętnych do występu przed kamerą, więc największe sieci brały na cel najbardziej smakowite kąski, tak jak wędkarze na łodzi na zatoce Monterey wypatrujący najtłustszych łososi.

Sieci. Ryby. Dance spodobała się ta metafora.

Kongresmenem reprezentującym okręg, w którego granicach znajdował się klub Solitude Creek, był Daniel Nashima, potomek imigrantów z Japonii w trzecim czy czwartym pokoleniu, sprawujący mandat od kilku kadencji. Czterdziestokilkuletniemu politykowi towarzyszył asystent, wysoki i czujny młody człowiek, podobny do aktora Josha Broлина, w nieskazitelnym, choć anachronicznym trzyczęściowym garniturze.

Nashima dzięki rodzinnemu biznesowi był zamożnym człowiekiem, ale zwykle ubierał się dość swobodnie. Dzisiejszy strój też nie odbiegał od jego stylu: spodnie chinosy i niebieska koszula z podwiniętymi rękawami - zestaw odpowiedni na poranną imprezę dobroczynną organizowaną przez klub Kiwanis z naleśnikami na śniadanie. Nashima, przystojny mężczyzna o złagodzonych azjatyckich rysach - jego matka była biała - ze zgrozą przyjrzał się budynkowi Solitude Creek. Dance się nie dziwiła. Był znany z wrażliwości na kataklizmy, takie jak na przykład trzęsienie ziemi, które niedawno nawiedziło Santa Cruz. Przyjechał tam wtedy o trzeciej nad ranem i pomagał wygrzebywać spod gruzów ocalałych i szukać ciał ofiar

śmiertelnych.

Reporterka CNN, urodziwa blondynka, błyskawicznie dopadła do Nashimy.

- Z całego serca współczuję ofiarom tej okropnej tragedii - powiedział kongresmen. Obiecał, że razem ze swoim współpracownikiem dopilnują, aby ustalono jej przyczyny i przeprowadzono szczegółowe śledztwo. Gdyby doszło do jakichkolwiek zaniedbań ze strony właściciela klubu, obiecał dopilnować, by stanął przed sądem.

Tak się złożyło, że kilka chwil później przybył burmistrz Monterey. Nie przyjechał limuzyną. Wysoki Latynos wysiadł ze swojego prywatnego samochodu - ładnego rangę rovera - i zdążył ujść dziesięć kroków w stronę tłumu gapiów/rodzin/ofiar, gdy i do niego zbliżyli się dziennikarze. Było to jednak tylko kilkoro miejscowych reporterów. Burmistrz spojrział w stronę Nashimy i z trudem udało mu się zachować kamienne oblicze, jak gdyby bagatelizował fakt, że kongresmen usunął go na dalszy plan; ekipa z Atlanty - i kobieta o tak doskonale ułożonej fryzurze - dobrze wiedziała, kto jest dla nich ważniejszy.

Dance dowiedziała się, że reprezentant regionu w zgromadzeniu stanowym Kalifornii - i podobno konkurent do mandatu w senacie, do którego w przyszłym roku przymierzał się Nashima - wyjechał z miasta i nie zamierzał wrócić z Vegas, by wyrazić współczucie swoim wyborcom. Gafa mogła się odbić na jego karierze.

Nashima uprzejmie, lecz stanowczo zakończył wywiad i odszedł, odmawiając komentarza innym mediom. Oglądał miejsce zdarzenia i podchodził do osób, które składały kwiaty, modliły się albo po prostu stały w pełnych smutku pozach. Rozmawiał z nimi, pochylając głowę, obejmował je. Dance zdawało się, że raz czy dwa ocierał komuś łzy z policzka. Tego nie widziały kamery. Kongresmen ostentacyjnie odwrócił się plecami do dziennikarzy.

Na miejscu było około trzydziestu takich pogrążonych w bólu osób oraz gapiów. Za zgodą Boba Holly'ego Dance krążyła wśród nich, pokazując odznakę, tak samo urzędową i błyszczącą w trybie cywilnym jak wówczas, gdy prowadziła sprawy kryminalne, i zadawała pytania o ciężarówkę, o ogień w beczce na ropę, o kogoś, kto może czaił się pod klubem zeszłego wieczoru.

Słyszała same przeczące odpowiedzi.

Próbowała zidentyfikować kogoś, kto dziś rano pojawił się w agresywnym tłumie,

ale nie potrafiła. Rzeczywiście, większość z nich prawdopodobnie już zniknęła. Mimo to z doświadczenia wiedziała, że w chwilach przerażenia spostrzegawczość i pamięć zupełnie zawodzą.

Zwróciła uwagę na samochód skręcający na parking. Powoli podjechał do policyjnej taśmy, przy której rósł zaimprovizowany pomnik z kwiatów i pluszowych zwierząt. Ładny wóz, nowy dwudrzwiowy model Lexusa, elegancki i czarny.

Siedziały w nim dwie osoby i choć nie widziała ich wyraźnie, odniosła wrażenie, że prowadzą poważną rozmowę. Nawet z sylwetki można wyczytać czyjś zamiar i nastrój. Kierowca, mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat, wysiadł, pochylił się, powiedział jeszcze parę słów przez otwarte okno, po czym odchylił oparcie fotela i z tylnego siedzenia wziął bukiet. Powiedział coś jeszcze do pasażera, od którego chyba usłyszał przeczącą odpowiedź, bo wzruszył ramionami i sam ruszył w stronę stosu kwiatów.

Dance podeszła do niego, pokazała legitymację.

- Jestem Kathryn Dance. Biuro Śledcze Kalifornii.

Przystojny mężczyzna w roztargnieniu skinął głową.

- Domyślam się, że wczoraj wieczorem stracił pan tu kogoś.

- Tak, straciliśmy.

- Przykro mi.

*Straciliśmy...*

Ruchem głowy wskazał lexusa. Blask słońca ją oślepił... i choć japońscy inżynierowie potrafili znakomicie przyciemniać szyby, zobaczyła, że osoba na miejscu pasażera ma długie włosy. Kobieta. Prawdopodobnie żona. Ale mężczyzna nie nosił obrączki. Może była żona. I nagle wstrząśnięta zrozumiała. Boże. Stracili tutaj dziecko.

Mężczyzna nazywał się Frederick Martin i wyjaśnił, że owszem, jego była żona Michelle przyprowadziła tu wczoraj wieczorem ich córkę.

Dance miała rację. Ich dziecko, prawdopodobnie kilkunastoletnie. Jakie to smutne. A sądząc po kwiatach złożonych na pomniku, dziewczyna nie została tylko ranna. Zginęła.

Największy lęk Dance. Każdej matki.

To był powód napięcia w samochodzie. Eksmałżonkowie, którym chwile takie

jak ta kaza się spotkać. Pewnie jechali do domu pogrzebowego ustalić szczegóły. Współczuła im z całego serca.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie tego incydentu - powiedziała po części zgodnie z prawdą. - Mam kilka pytań.

- Nic nie wiem. Nie było mnie tu. - Wiedziała, że jest zdenerwowany. Chciał już odejść.

- Rozumiem. Ale proszę mi pozwolić zamienić kilka słów z pańską byłą żoną.

- Co takiego? - Głęboko zmarszczył czoło.

Nagle za nim rozległ się głos. Dziewczęcy. Prawie szept.

- Nie żyje.

Dance odwróciła się i ujrzała nastolatkę. Ładną, ale z wykrzywioną i zapuchniętą od płaczu twarzą. Włosy miała nieuczesane, tylko niedbale przygładzone palcami.

- Mamusia nie żyje.

Och. A więc zginęła była żona.

- Trish, wracaj do samochodu.

Patrzyła na klub.

- Utknęła. Przy drzwiach. Widziałam ją. Nie umiem... Popatrzyłyśmy na siebie, a potem upadłam. Taki wielki facet, płakał jak dziecko, wszedł mi na plecy i mnie przewrócił. Myślałam, że umrę, ale ktoś mnie podniósł. Potem ludzie, z którymi byłam, wyszli innymi drzwiami, nie ewakuacyjnymi. A tłum, gdzie była mama...

- Trish, kochanie, nie. Mówiłem już, że to zły pomysł. Chodźmy. Umówiliśmy się z twoimi dziadkami na lotnisku. Mamy dużo do przygotowania.

Ujął córkę za ramię. Odsunęła się. I skrzywiła.

- Trish, jestem Kathryn Dance, Biuro Śledcze Kalifornii. Chciałabym ci zadać kilka pytań, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Mamy - wtrącił Martin. - Mamy coś przeciwko temu.

Dziewczyna, płacząc cicho, popatrzyła na budynek klubu.

- To było piekło. Mówi się o piekle w filmach i tak dalej, ale nie, to było prawdziwe piekło.

- Moja wizytówka. - Dance podała ją Frederickowi Martinowi.

Pokręcił głową.

- Nie chcemy. Nic pani nie może powiedzieć. Proszę dać nam spokój.

- Przykro mi z powodu waszej straty.

Mocniej chwycił ramię córki i chociaż się opierała, pociągnął ją z powrotem do lexusa. Kiedy wsiedli, sięgnął ponad jej ramieniem i zapiął jej pas. Odjechali z parkingu tak szybko, że Dance nie zdążyła zobaczyć numerów rejestracyjnych.

Przypuszczała jednak, że to i tak nie ma znaczenia. Jeżeli dziewczyna i jej matka były wewnątrz, kiedy wybuchła panika, nie widziały tego, co naprawdę interesowało Dance: osoby, która zaparkowała ciężarówkę przed drzwiami i wznieciła ogień.

Zresztą nie mogła mieć za złe ojcu, iż stara się chronić córkę. Podejrzewała, że musiał zniecka wejść w trudną, zupełnie nieznaną rolę; widocznie przy podziale opieki nad dzieckiem matce przyznano większą część, może nawet całość.

Incydent w Solitude Creek zmienił życie wielu osób w różny sposób.

Lotem koszącym nadleciała mewa i Dance odruchowo uniosła rękę. Wielki ptak niezdarnie wylądował obok strzępka kartonu, myśląc, że to coś do jedzenia. Wyraźnie zły, że łup tylko nęcił zapachem, z powrotem wystrzelił w niebo, kierując się w stronę zatoki.

Wróciła do klubu i odbyła drugą trudną rozmowę z Samem Cohenem, który nadal był w stanie bliskim otępienia, a potem zaczęła wypytywać personel. Nikomu nie przychodził do głowy żaden klient ani były pracownik klubu, który mógłby mieć powody, by narzekać na Cohena czy kogokolwiek innego z Solitude Creek. Nie wydawało się też, że za incydem stała konkurencja - nikt nie chciał wyeliminować Cohena z branży ani mścić się na nim za coś, co kiedyś zrobił w życiu zawodowym.

Wychodząc na zewnątrz, Dance wyjęła z kieszeni iPhone'a i zadzwoniła do Jona Bolinga, żeby spytać, czy mógłby odebrać dzieci ze szkoły.

- Jasne - odparł. Ucieszyła się, słysząc jego spokojny głos. - Jak ci idzie w dziale cywilnym?

Już wiedział o porażce z Serranem.

- Niełatwo - powiedziała, patrząc na Boba Holly'ego. Przesłuchiwał właśnie ludzi, z którymi przed chwilą sama rozmawiała. - Jestem w Solitude Creek.

Chwila ciszy.

- Nie zajmujesz się teraz kaucjami za butelki?

- Powinam.



- Straszne, co mówią w wiadomościach - rzekł Boling. - Podobno kierowca zaparkował ciężarówkę za klubem, żeby zapalić trawkę. Kiedy pojawił się ogień, wpadł w panikę i zostawił wóz pod drzwiami. Nikt nie mógł się wydostać.

Dziennikarze...

Ponieważ zegarek był zepsuty, sprawdziła godzinę w telefonie. Wpół do trzeciej.

- Będę za jakieś trzy, cztery godziny. Wieczorem przyjdą moi rodzice. Martine, Stephen...

- Zajmiemy się z dziećmi kolacją.

- Naprawdę? Wielkie dzięki.

- Do zobaczenia.

Rozłączyła się. Omiotła wzrokiem klub, budynek firmy transportowej, a potem parking.

Na koniec przyjrzała się roślinności w pobliżu zabudowań. Po wschodniej stronie parkingu rozciągał się wydeptany teren, gdzie rosły dęby karłowate, wierzby australijskie, sosny i magnolie. Poszła w tamtą stronę i wkrótce znalazła się nad samym Solitude Creek. Brzegi ciemnej rzeczki - w tym miejscu jej szerokość nie przekraczała dziesięciu metrów - porastały trawy wydmowe i bagienne, osty oraz inne rośliny piaskolubne, których nazw nie próbowała nawet odgadnąć.

Oddalając się od parkingu, ruszyła ścieżką wśród gęstwiny krzewów i traw. Zobaczyła zarośnięte i przysypane piaskiem pozostałości dawnych zabudowań: betonowe fundamenty, resztki zardzewiałych ogrodzeń z siatki i części kolumn. Musiały pochodzić sprzed siedemdziesięciu pięciu, może stu lat. Obejmowały dość dużą powierzchnię. Może w tamtych czasach rzeczka była głębsza, a tu stała jakaś przetwórnia ryb. Ruiny znajdowały się dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Cannery Row w Monterey, ale wtedy na całej tej części wybrzeża kwitł przemysł rybny.

A może zaczęła się tutaj jakaś budowa - domów mieszkalnych, hotelu albo restauracji. Dzisiaj też byłoby to dobre miejsce dla hotelu, pomyślała: blisko oceanu, wśród łagodnych, trawiastych wzgórz. Sama rzeczka działała uspokajająco, a szarawa woda nie musiała wcale oznaczać kiepskich połowów.

Mijając ruiny, Dance rozejrzała się dokoła. Zastanawiała się, czy zabójca nie zaparkował tu samochodu - niedaleko były zamieszkałe okolice i twarde drogi -

i pokonał pieszo tę samą ścieżkę. Mógł niepostrzeżenie dotrzeć na parking, a potem okrążyć budynek firmy transportowej, by dostać się do skrzynki na kluczyki i do ciężarówek.

Kiedy doszła do skupiska domów - kilku parterowych budynków i jednej przyczepy mieszkalnej - zorientowała się, że gdyby ktoś tu zaparkował, byłby bardzo widoczny: właściwie jedyne miejsce znajdowało się dokładnie przed domem. Wątpiła, żeby sprawca był tak nieostrożny.

Ale trzeba robić, co się da.

W trzech domach było ciemno i Dance zostawiła w drzwiach swoje wizytówki.

Dwie kobiety zastała w domu. Obie białe, tęgie, z niemowlętami na rękach, oświadczyły, że nikogo nie widziały.

„Zresztą jakby ktoś tu zaparkował, tobyśmy zobaczyły, a wieczorem Emie z laczka wyskoczyłyby z nim pogadać”.

Podeszła do ostatnich drzwi przyczepy mieszkalnej. Tylko jej okno wychodziło na Solitude Creek.

Hm. Czyżby wziął łódź, żeby popłynąć do klubu i firmy Hendersona?

Zapukała w futrynę drzwi. Uchyliła się zasłonka i Dance podsunęła kobiecie legitymację do obejrzenia. Szczęknęły trzy zamki czy zasuwki. Brzęknął też łańcuch. Mieszka sama, pomyślała Dance. Albo produkuje amfę.

Sięgnęła tam, gdzie kiedyś był pistolet. Skrzywiła się i zasunęła poły marynarki.

Kobieta, która otworzyła jej drzwi, była szczuplejsza od tamtych, miała około czterdziestu pięciu lat, długie siwo-brązowe włosy. Na ramieniu nosiła cienki fioletowy warkoczyk zakończony piórem. Sądząc po jej stroju i rzeczach rozrzuconych po wnętrzu przyczepy, gustowała w makramach, farbowanych na tęczowo koszulkach i frędzlach. Dance natychmiast pomyślała o swoim koledze TJ-u Scanlonie z CBI, który przez całe życie zawsze żałował tylko tego, że pod koniec lat sześćdziesiątych nie było go jeszcze na świecie.

- Słucham?

Dance przedstawiła się i jeszcze raz pokazała legitymację, aby kobieta przyjrzała się dokładniej. Mieszkanka przyczepy, Annette, nie zdradzała żadnych oznak zaniepokojenia, rozmawiając z funkcjonariuszką biura śledczego. Dance wyczuła tylko zapach papierosowego dymu i jego osadu, gorzki i stęchły. Nic nielegalnego.

- Słyszała pani o zdarzeniu w klubie Solitude Creek?

- Straszne. Pani w tej sprawie?

- Mam tylko kilka pytań, jeżeli można.

- Proszę. Wejdzie pani?

- Dziękuję. - Weszła do przyczepy. Na półkach i pod ścianami stały tysiące płyt kompaktowych i winylowych. Jako niepraktykujący już muzyk i współzałożycielka strony internetowej poświęconej muzyce Dance była pod dużym wrażeniem. - Często chodzi pani do klubu?

- Czasami. Trochę za drogo jak dla mnie. Sam słono sobie liczy za wstęp.

- Wczoraj nie była pani na koncercie?

- Nie, bywam tam może raz do roku i tylko jeżeli gra ktoś, kogo naprawdę lubię.

- Annette, zastanawiam się, czy ludzie pływają łodziami po Solitude Creek.

- Łodziami? Można. Widziałam paru kajakarzy i kanadyjki. Czasem motorówkę. Ale naprawdę małe. Dalej na wschód robi się dość płytko. - Czerwonawe palce bawiły się warkoczykiem fioletowych włosów z piórkiem.

- Jest jakieś miejsce, gdzie można zaparkować samochód i dopłynąć kajakiem do klubu?

Ruchem głowy wskazała drogę.

- Nie, tylko tam można zostawić samochód, a Emie...

- Ten z naprzeciwka?

- Tak. Nie pozwoli tu parkować nikomu nieznanemu.

- Emie to kawał chłopca?

- Raczej nie. Ale... rozumie pani.

Z łaczka. Cokolwiek to może znaczyć.

Dance zauważyła urzędowe koperty rozdarte jak rozdziobana padlina na drodze. Zasilek. Kobieta zapaliła papierosa i wydmuchała dym daleko od Dance.

- Wczoraj wieczorem nie widziała pani nikogo płynącego łódką po rzeczce?

- Nikogo. Na pewno bym zauważyła. Niech pani popatrzy na okno. Wychodzi na wodę. Tamto.

Rzeczywiście, choć szyba była tak brudna od osadu tytoniowego dymu, że o zmierzchu niewiele można było przez nią zobaczyć.

Dance wyjęła i otworzyła niewielki notes, który przy sobie nosiła. Zanotowała

parę informacji.

- Jest pani mężatką? Mieszka tu ktoś jeszcze?

- Nie. Tylko ja. W pojedynkę. Nie mam nawet kota. - Uśmiech. - A z tych pani wszystkich pytań wynika, jakby coś się działo. To znaczy, jakby pani zakładała celowe działanie kogoś.

- Takie jest rutynowe śledztwo. Zawsze tak robimy.

- Jak *Agenci NCIS*.

Dance się uśmiechnęła.

- Właśnie. Nie widzi pani stąd klubu, ale czy przypadkiem wczoraj wieczorem nie mogła się pani wybrać na spacer w tamtą stronę?

- Nie. Trzeba uważać. Mamy tu pумы.

Dance przypomniała sobie, że niedawno w okolicy zginęła podczas joggingu kobieta, pracownica banku w San Francisco.

- Cały wieczór spędziła pani w domu? - upewniła się.

- Caluteńki. Nie ruszałam się stąd.

- I w sąsiedztwie nie widziała pani ostatnio nikogo nieznanego? Nie pytam tylko o wczorajszy wieczór.

- Nie. Gdybym widziała, powiedziałabym pani.

Dance znów zapisała coś w notesie.

A potem sięgnęła do torebki i zmieniła okulary w różowych oprawkach na szkła oprawione w czarny metal.

Okulary drapieżnika.

- Annette?

- Słucham?

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego kłamiesz?

Spodziewała się protestów, spodziewała się oporu, spodziewała się złości.

Nie spodziewała się natomiast, że kobieta osunie się na kolana, zanosząc się szlochem.

## ROZDZIAŁ 13

Nie, Kathryn. Nie możesz przez pół dnia być od spraw cywilnych, a drugie pół od kryminalnych. To nie tak. Już o tym rozmawialiśmy. Charles Overby był po prostu nieprzyjemny. Dochodziła piąta, kiedy zjawiała się w jego gabinecie. Zdziwiła się, że wciąż jest w pracy: do zmierzchu została jeszcze godzina, którą mógł wykorzystać na tenisa.

Wiedziała, że szef ma rację, ale zirytowała się, że tak szybko ją zbywa („to nie tak”).

- Kto inny się tym zajmie? - spytała. - Mamy braki kadrowe. CBI dotknęły cięcia budżetowe, jak wszystkie służby organów ścigania w Kalifornii, której pracownicy instytucji stanowych zaczęli nazywać „Nędzkwiedzim stanem”, robiąc aluzję do flagi z niedźwiedziem grizzly.

- T.J. Rey. Przydzielę któremuś z nich.

Obaj byli bardzo kompetentnymi agentami, ale młodymi. Nie mieli, ani nikt inny w biurze, takich umiejętności przesłuchiwania jak Dance. A jej zdaniem w tej sprawie gości w pokojach przesłuchań będzie w bród. Było prawie sto ofiar i każda z nich mogła podsunąć jakiś trop. Każda z nich mogła także okazać się sprawcą - ustawionym wczoraj wieczorem przy drzwiach klubu, żeby bezpiecznie uciec, gdyby sytuacja stała się zbyt niebezpieczna, albo żeby napawać się zemstą za jakąś rzeczywistą czy wyimaginowaną zniewagę.

A może chciał patrzeć, jak giną ludzie.

- W ogóle to powiem ci, że zamiast w biurze powinnaś być w domu, sadzić kwiaty, piec ciasto albo... No dobrze, tylko tak mówię.

Dance powstrzymała grymas.

- A co powiesz na Michaela O'Neila? - spytała.

Naczelnika wydziału dochodzeniowego w MCSO, Biurze Szeryfa Okręgu Monterey.

- Co mam powiedzieć?

- On poprowadzi śledztwo.

- No, nie wiem.

- Charles. Przecież to nie jest sprawa dla straży pożarnej. Ogień w beczce na ropę

miął drugorzędne znaczenie. Sprawę powinno przejąć biuro szeryfa, to logiczne.

Odwrócił wzrok.

- Zdasz relację O'Neilowi, to wszystko.

- Jasne. Doradzę mu.

Doradzanie to nie to samo, co relacjonowanie. Overby nie oponował, ale wyczuła, że być może nie zwrócił uwagi na to wyrażenie.

- Nic się nie zmienia, Kathryn. Nie dostajesz broni. Ciągłe jesteś w dziale cywilnym.

- Oczywiście - odparła pogodnie. Była górą.

- Myślisz, że się zgodzi? - zapytał Overby.

- Zobaczymy. Chyba tak.

Wiedziała, bo wysłała mu wiadomość. A Michael już się zgodził.

Overby jednak znów się zaniepokoił.

- Oczywiście jeżeli to będzie dochodzenie okręgowej...

Znaczyło to, że ominą go zasługi - i konferencje prasowe - nieodłącznie związane z zamknięciem sprawy.

- Powiem ci tak. Tobie wolno najwyżej zdać relację.

Czyli nie doradzać.

- Ale i tak możemy wetknąć swoje trzy grosze.

Nigdy nie rozumiała sensu tego wyrażenia.

- Jak to, Charles?

- Włączmy do sprawy ludzi z CBI, których mamy w grupie specjalnej. Jimmy'ego Gomeza i Steve'a Fostera.

- Co? Nie, Charles. Pracują nad Serranem i Guzmanem... Na tym muszą się skupić.

- Nie, nie, to dobra myśl. Można z nimi po prostu obgadać parę pomysłów.

- Z Fosterem? Obgadać parę pomysłów? On nie obgaduje pomysłów. On im strzela w łeb.

Overby na nią nie patrzył. Może jej piorunujący wzrok za bardzo go raził.

- Kiedy się nad tym zastanowić, to naprawdę ma sens, żeby zasięgnąć ich opinii. Pod każdym względem. Trzeba... wziąć pod uwagę różne czynniki. W tych okolicznościach.

- Charles, proszę cię, nie.

- Chodźmy z nimi porozmawiać, nic więcej. Zobaczymy, co o tym myśli Foster.

I Jimmy. Jest jednym z nas.

Bez względu na konsekwencje postanowił, że jego firma nie może ustąpić pola biuru szeryfa.

Unikając jej wzroku, wstał, włożył marynarkę na nieskazitelnie białą koszulę i ruszył do drzwi gabinetu.

- Myślę, że to świetny pomysł, Kathryn. Chodź. Pogadamy z naszymi przyjaciółmi.

## ROZDZIAŁ 14

Grupa specjalna do sprawy Guzmana była w pełnym składzie.

Oprócz zadziornego Steve'a Fostera i solidnej Carol Allerton w sali konferencyjnej przeznaczonej dla zespołu prowadzącego operację byli obecni dwaj pozostali.

- Kathryn, Charles - przywitał ich Steve Lu, szef wydziału dochodzeniowego policji w Salinas, alias Steve Dwa, ponieważ w zespole mieli już jednego, Fostera Lu, zdaniem Dance wyjątkowo chudy, był specjalistą od gangów. Do jednego z nich należał jego młodszy brat, trafił do więzienia za parę drobnych przestępstw, ale już wyszedł na wolność i zawrócił ze złej drogi. Lu był nieustępliwym i rzeczowym człowiekiem, może starał się zrekompensować błędy brata. W ciągu kilku lat współpracy Dance zorientowała się, że Lu nie ma za grosz poczucia humoru, ale w odróżnieniu od drugiego Steve'a nie jest tak otwarcie przekorny.

Czwartym członkiem grupy specjalnej był Jimmy Gomez, młody agent CBI, którego nazwisko padło wcześniej. Miał ciemną karnację i gęste, brązowe wąsy, zupełnie inne niż jasny, fantazyjny wąsik Fostera, i utrzymywał dobrą formę fizyczną dzięki piłce nożnej; grze poświęcał każdą wolną chwilę, kiedy nie był w pracy i nie zajmował się rodziną. Gdy przydzielono go do tego regionu CBI, on i Dance mieli pokoje na tym samym korytarzu. Zostali współpracownikami i przyjaciółmi. (Przed dwoma tygodniami Dance z dziećmi oraz Gomez, jego żona i trójka ich potomstwa wybrali się razem do multipleksu w Centrum Del Monte, a potem poszli do Lala's, aby przy deserze i kawie pogadać o błyskotliwych pomysłach Pixara i zastanowić się, którą z animowanych postaci każde z nich chciałoby być; Dance wybrała bohaterkę Meridy Walecznej, przede wszystkim dlatego, że zazdrościła jej włosów).

Obaj Steve'owie siedzieli przy jednym stole, Jimmy Gomez przy innym. Carol Allerton pomachała z rogu pokoju do nowo przybyłych, po czym wróciła do poważnej rozmowy telefonicznej.

- Potrzebujemy pomocy, *s'il vous plait* - oznajmił Overby.

Dance, zaciskając szczęki, doskonale wiedziała, jaki komunikat kinezyczny wysyła w tym momencie. Ciekawe, czy odczytał go ktoś jeszcze w tym pokoju. Jej



niezadowolenie musiało rzucać się w oczy.

- Pewnie słyszeliście o incydencie w klubie Solitude Creek - rzekł Overby. -  
Wiem, że ty słyszałeś, Jimmy.

- Chodzi o ten pożar? - odezwał się Foster. Sprawiał wrażenie wiecznie  
roztargnionego.

- Nie, to było coś więcej. - Overby zerknął na Dance.

- Klub się nie palił - powiedziała. - Sprawca wzniecił ogień na zewnątrz,  
nieдалeko systemu klimatyzacji, żeby zapach dymu dostał się do środka.  
Zablokował wyjścia ewakuacyjne. Trzy osoby zginęły, dziesiątki odniosły  
obrażenia. Ludzie tratowali się w panice. Wyglądało to dość poważnie.

- Umyślne działanie? Żeby ludzie rozgnietli się na śmierć? - szepnęła Allerton. -  
Straszne.

- Jezu - mruknął Steve Lu. - Czyli mówimy o spowodowaniu śmierci.

Ten termin obejmował wszystko, od samobójstwa przez spowodowanie wypadku  
ze skutkiem śmiertelnym po zabójstwo z premedytacją. Zdarzenie w Solitude Creek  
prawdopodobnie kwalifikowało się do ostatniej z tych kategorii.

Foster zareagował na wiadomość mniej emocjonalnie.

- Nie może wchodzić w grę ubezpieczenie. Wtedy właściciel puściłby z dymem  
pusty lokal. Nie chciałby żadnych ofiar śmiertelnych. Niezadowoleni pracownicy,  
wkurzeni klienci, których pijanych wywalono z klubu?

- Po wstępnych przesłuchaniach nie ma żadnych podejrzanych, ale nie można tego  
wykluczyć - odparła Dance. - Będziemy szukać.

- Posłuchajcie - włączył się Overby. - Kathryn ma trop.

- Szukałam świadków w okolicy. Znalazłam kobietę, która mieszka około dwustu  
metrów od parkingu przy klubie. Powiedziała mi, że nie widziała nic dziwnego, że  
nie było jej w pobliżu klubu. Ale wiem, że kłamała.

Foster słuchał jej obojętnie, ale i tak wytknął, iż podczas tamtego przesłuchania  
nie zauważyła żadnych oznak fałszu.

- Dlaczego uważasz, że kłamała? - spytał Steve Lu.

- Odniosłam wrażenie, że coś ją łączy z klubem. Jest na zasiłku, żyje biednie, ale  
uwielbia muzykę. Podejrzewam, że chodzi pod klub posłuchać koncertów  
z zewnątrz. Zapytałam ją, czy była tam wczoraj wieczorem. Odpowiedziała, że nie.

Kłamała.

Foster spojrział w swoje cenne notatki.

- Na ogół trudno stwierdzić, czy ktoś kłamie, jeśli wcześniej nie ustalili się wzorca jego zachowania - ciągnęła Dance.

- Charles już nam to mówił - wtrąciła Allerton.

- Ale jest kilka niezależnych sygnałów fałszu. Człowiek zaczyna mówić wolniej, ponieważ próbuje wymyślić kłamstwo, które będzie zgodne z wszystkim, co powiedział wcześniej. Druga wskazówka to trochę wyższy ton głosu - kłamstwo wywołuje stres, a stres większe napięcie mięśni, w tym i strun głosowych. Kiedy ta kobieta ze mną rozmawiała, pojawiły się obydwie symptomy. Wytknęłam jej kłamstwo. Rozpłakała się i przyznała, że była pod klubem od około wpół do ósmej do incydentu.

- Co widziała? - zapytał Lu.

- Białego mężczyznę, wzrostu ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, w ciemnozielonej kurtce z jakimś logo, może robotnika budowlanego, w czarnej czapce i żółtych okularach pilota. Średniej budowy ciała. O ciemnych włosach. Prawdopodobnie przed czterdziestką. Nikt z Henderson Jobbing nie nosi takiego stroju. Zaparkował ciężarówkę pod klubem, podpalił śmieci w beczce na ropę i wrócił do magazynu - żeby wrzucić kluczyki do skrzynki. I tyle. Kobieta została na miejscu, dopóki nie wybuchła panika. Wtedy uciekła.

- Bała się zgłosić.

- Mówiła, że gdyby sprawca się o niej dowiedział, wróciłby i ją zabił.

- Przeprowadzić tę kobietę i przetrzepać - odezwał się Foster, wciąż przeglądając notatki.

- Powiedziała nam wszystko, co wie.

Jego spojrzenie mówiło: „czyżby?”.

- Jeżeli się boi, może coś ukrywa - zauważył.

- Przestała się bać, kiedy jej powiedziałam, że tymczasowo przeprowadzimy ją gdzie indziej i umieścimy w jednym z naszych strzeżonych domów.

Zobaczyła, jak Overby sztywnieje. Tego z nim nie uzgodniła. Utrzymywanie świadków przy życiu było kosztowne.

*Kwestie budżetowe...*

Foster wzruszył ramionami.

- Trzeba rozesłać komunikat z rysopisem. Jak najszybciej.

- Już rozesłano - odparła Dance. Każdy policjant i urzędnik na półwyspie i w sąsiednich okręgach otrzymał informacje przekazane przez świadka, Annette. - Ale nie umiała podać dokładnego rysopisu - było ciemno, a ona stała za daleko, żeby zobaczyć jego twarz.

- Przekażcie to też do mediów - dodał.

- Nie - powiedziała Dance.

Popatrzył na nią spod imponujących brwi.

Carol Allerton spojrzała na nią ze zdumieniem, nie znając tematu rozmowy.

Dance zrelacjonowała jej szczegóły.

- Do mediów - powtórzył Foster. - Trzeba nagłośnić.

- Zastanawiamy się nad tym - rzekł Overby.

- Nad czym tu się zastanawiać? - zdziwił się.

- Jeżeli się dowie, zniknie - powiedziała Allerton.

- Tak bym zrobił na jego miejscu - wtrącił Gomez. - Daje nogę. Farbuje włosy.

Wyrzuca kurtkę, zmienia okulary na różowe ray-bany.

Foster do Dance:

- Ta kobieta myśli, że ją dostrzegł?

- Nie, jest pewna, że jej nie widział.

- Czyli facet ciągle spokojnie chodzi po mieście i pewnie ciągle nosi te same rzeczy. Zieloną kurtkę i tak dalej. Z tysiąc ludzi mogło go zobaczyć. Recepcjonista w hotelu albo kobieta w pralni chemicznej, jeżeli jest miejscowy. W moich sprawach to standardowa procedura.

Overby musiał balansować na cienkiej linii.

- Każda decyzja ma swoje plusy i minusy.

- Ja bym głosował na nie - oświadczył Gomez. Allerton skinieniem głowy przyznała mu rację.

Dance odwróciła się do Overby'ego i przeszła go wzrokiem jak laserem.

Po chwili, ze spojrzeniem utkwionym w dokładnie obejrzone linoleum, powiedział:

- Na razie utrzymamy to w tajemnicy. Nie ujawnimy mediom szczegółów.

Jeden zero dla nas, pomyślała Dance, bardzo się starając, żeby nie okazać zaskoczenia.

## ROZDZIAŁ 15

Mamo, znaczy się Donnie chciał ciebie o coś zapytać.

Znaczy się, pomyślała Dance. Ale rzadko poprawiała dzieci w obecności innych. Woląła łagodnie zwrócić im uwagę później. Przechyliła głowę, patrząc na swojego szczupłego, jasnowłosego syna. Prawie dorównywał jej wzrostem.

- Oczywiście. O co?

Donnie Verso, ciemnowłosy trzynastolatek z klasy Wesa, popatrzył jej w oczy.

- No... nie jestem pewien, jak mam się do pani zwracać. Wszyscy troje stali o zmierzchu na rozległej werandzie - nazywanej przez jej rodzinę i przyjaciół „Tarasem” - za wiktoriańskim domem Dance w północno-zachodniej części Pacific Grove, pomalowanym na ciemną zieleń, z podniszczonymi przez słońce i deszcz szarą stolarką, balustradami i okiennicami. Gdyby ktoś zaryzykował i wychylił się daleko za poręcz, mógłby dojrzeć ocean oddalony o niecały kilometr od domu.

- Nie wie, czy powinien do ciebie mówić „pani Dance”, czy „agentko Dance” - wyręczył kolegę Wes.

- To bardzo grzecznie, że pytasz, Donnie. Ale skoro jesteś kolegą Wesa, możesz mi mówić po prostu Kathryn.

- Och, nie wolno mi tak się zwracać do ludzi. Znaczy się do dorosłych. Po imieniu. Mój tato woli, żebym okazywał szacunek.

- Mogę z nim porozmawiać.

- Nie, to mu się nie spodoba.

- W takim razie mów do mnie „pani Dance”. - Wes bez oporów mówił kolegom, że jego ojciec nie żyje, ale Dance przekonała się już, że dzieci rzadko rozróżniają subtelne różnice między „panią” a „panną”.

- Super - rozpromienił się. - Pani Dance.

Donnie, o kędzierzawej czuprynie i twarzy cherubina, pewnie niedługo będzie działał na dziewczyny jak magnes. Może zresztą już działa, przebiegło jej przez myśl. A Wes? Przystojny... i miły. Niebezpieczne połączenie; dziewczyny już zaczynały fruwać wokół niego. Kathryn miała ochotę zahamować proces dorastania swoich dzieci, ale wiedziała, że łatwiej zatrzymać fale przyboju na plaży

Spanish Bay. Donnie mieszkał niedaleko stąd, w odległości, którą można było pokonać rowerem, z czego Dance była bardzo zadowolona - jako samotna matka, nawet mimo sieci wsparcia, na której zawsze mogła polegać, cieszyła się, jeśli choć trochę mogła odpocząć od obowiązków szofera. Pomyślała, że Donnie wyglądałby lepiej, gdyby nie nosił bluz z kapturem i workowatych dżinsów... ale prymusi w szkołach średnich i gwiazdorzy chrześcijańskiego popu ubierali się dzisiaj jak gangsterzy, więc nie jej było to oceniać.

Po powrocie z pracy nie weszła do domu od frontu, ale przez ogródek z boku i furtkę, by sprawdzić, czy jest zamknięta na klucz, a potem wspięła się schodami na Taras. Co znaczyło, że nie przywitała się z czworonożnymi mieszkańcami domostwa. Przybiegły teraz długimi susami, żeby podsunąć łby do pogłaskania, a może nawet dostać jakiś smakołyk (niestety, dziś musiały obejść się smakiem). Dylan, owczarek niemiecki, który imię zawdzięczał legendarnemu autorowi i pieśniarzowi, oraz suka Patsy, retriever gładkowłosa, nazwana na cześć pani Cline, ulubionej piosenkarki country Dance.

- Czy Donnie może zostać na kolacji? - spytał Wes.
- Jeżeli można, pani Dance.
- Zadzwońię do twojej matki. - Procedura.
- Jasne. Dziękuję.

Chłopcy wrócili do gry planszowej, siadając na deskach z drewna sekwojowego, chrupali chipsy i popijali herbatę mrożoną Honest Tea. W domu Dance nie było napojów gazowanych.

Odnalazła numer do domu chłopca i zadzwoniła. Matka Donniego powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, żeby został na kolacji, ale powinien być w domu przed dziewiątą.

Rozłączyła się i weszła do salonu, gdzie przed telewizorem siedział jej ojciec, Stuart, i dziesięcioletnia Maggie.

- Mamo! Weszłaś tylnymi drzwiami!

Rzecz jasna, nie powiedziała jej, że robiła obchód domu i zamykała furtkę na dwa zamki. Prowadziła dwie sprawy, w których uczestniczyło wielu graczy, i gdyby naprawdę chcieli, mogliby ją bez trudu odnaleźć.

- Chodź, kochanie, przytulę cię.

Maggie ochoczo spełniła prośbę.

- Wes i Donnie nie pozwalają mi zagrać w swoją grę.

- To na pewno gra dla chłopców.

Jej twarz w kształcie serca ściągnęła się w wyrazie dezaprobaty.

- Nie wiem, co to jest. Chyba nie powinno być gier dla chłopców i gier dla dziewczyn.

Słuszna uwaga. Gdyby Kathryn kiedykolwiek zdecydowała się ponownie wyjść za mąż, Maggie oznajmiła, że będzie „družbiną” - bez względu na swój wiek. W szkole dowiedziała się, co to jest feminizm, i wracając do domu po lekcji wiedzy o społeczeństwie, ku radości Dance oświadczyła, że nie jest feministką. Jest egalitarystką.

- Cześć, tato - powiedziała Kathryn.

Stuart wstał i przytulił córkę. Miał siedemdziesiąt lat i choć czas spędzony pod gołym niebem w pracy biologa morskiego odcisnął piętno na jego ciele, nie wyglądał na swój wiek. Był barczysty, miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i niesforne, gęste siwe włosy. Na jego skórze pozostały ślady skalpelów i laserów dermatologów i dziś rzadko wychodził na dwór bez kapelusza z szerokim, opadającym rondem. Był na emeryturze, ale kiedy nie opiekował się wnukami albo nie krzątał po domu w Carmel, kilka dni w tygodniu pracował w słynnym oceanarium w Monterey.

- Gdzie mama?

Edie Dance, rzetelna i solidna kobieta, pracowała jako pielęgniarka na oddziale kardiologicznym szpitala Monterey Bay.

- Wzięła dzisiaj w zastępstwie nocny dyżur. Będę tylko ja.

Kathryn poszła do sypialni, umyła się i przebrała w czarne dżinsy, jedwabny T-shirt i bordowy wełniany sweter. Na środkowym wybrzeżu po zachodzie słońca robiło się wręcz zimno, a kolacja miała się odbyć na Tarasie.

Kiedy schodziła po schodach do korytarza, w drzwiach wejściowych stanął mężczyzna. Czterdziestokilkuletni Jon Boling nie imponował wzrostem. Przewyższał ją o parę centymetrów, był szczupły - dzięki jeździe na rowerze i ćwiczeniom z hantlami, które uprawiał od czasu do czasu (dziesięciokilogramowymi u siebie i pięciokilogramowymi u niej). Miał przerzedzone proste włosy, podobne odcieniem

do koloru włosów Dance, choć o ton ciemniejsze od kasztanowego, i pozbawione siwych nitki (które u niej zwykle zniknęły po wizycie w drogerii Rite-Aid czy supermarkecie Save Mart).

- Popatrz, przynoszę greckie dary. - Pokazał dwie duże torby ze śródziemnomorskiej restauracji w Pacific Grove.

Pocałował ją i poszli do kuchni.

Boling był profesorem w pobliskim college'u, prowadził zajęcia z literatury science fiction oraz z przedmiotu komputery i społeczeństwo. Na studiach podyplomowych uczył, jak to nazywał, nudnych przedmiotów technicznych. „Trochę matematyki, trochę inżynierii”. Pracował też jako konsultant dla firm w Dolinie Krzemowej. Podobno uchodził za geniusza w świecie skrzynek - czyli komputerów. Dance musiała się o tym dowiedzieć z prasy i od Wesa, który ocenił jego umiejętności programowania: skromność była trwale wbudowana w geny Bolinga. Pisał kod tak, jak Richard Wilbur i Jim Tilley pisali poezję. Potoczyście, błyskotliwie i zachwycająco.

Spotykali się ze sobą już przez jakiś czas, odkąd Dance wynajęła go do pomocy przy sprawie, w której istotną rolę odgrywały komputery.

Kiedy wypakowywał pojemniki z musaką, ośmiornicami, taramosalatą i resztą specjałów, spojrzał na jej rękę.

- Co tam się stało?

Marszcząc brwi, podążyła za jego wzrokiem.

- Ach, to. - Szkiełko zegarka było rozbite. - Przez tę historię z Serranem. - Opowiedziała o starciu w CBI, kiedy młody człowiek uciekł po przesłuchaniu.

- Wszystko w porządku? - Przymrużył łagodne oczy.

- Nic mi nie grozi. Po prostu nie upadłam tak elegancko, jak powinnam.

Skrzywiła się, oglądając stłuczone szkiełko. Zegarek był prezentem na Boże Narodzenie od jej przyjaciół z Nowego Jorku, słynnego kryminalistyka Lincolna Rhyme'a i jego partnerki Amelii Sachs. Kilka lat temu pomogła im w śledztwie w sprawie błyskotliwego przestępcy do wynajęcia, znanego pod pseudonimem Zegarmistrz. Rozpięła ciemnozielony skórzany pasek i położyła uszkodzony zegarek na półce nad kominkiem. Niedługo zanieś go do naprawy.



- Mags? - zawołał Boling.

Dance zobaczyła, jak jej córka w podskokach biegnie w stronę drzwi. Dziewczynka z namysłem marszczyła czoło.

- *Geia!* - zawołała po chwili Maggie.

Boling skinął głową.

- *Kalos!*

Kathryn parsknęła śmiechem.

- Pomyślałem, że z okazji kolacji powinniśmy się nauczyć odrobiny greckiego - wyjaśnił. - Gdzie Wes?

- Na dworze z Donniem.

Boling też wziął na siebie dużą część opieki; w szkole miał niewiele zajęć, a pracę konsultanta informatycznego mógł wykonywać gdziekolwiek. Znał plan lekcji, rozkład dnia i kolegów dzieci tak samo dobrze jak Kathryn.

- Miły chłopak ten Donnie. Rok starszy, zgadza się?

- Tak, ma trzynaście lat.

- Kiedyś przyszli po niego rodzice. Matka to urocza osoba. Ojciec niewiele mówi. - Zmarszczył brwi. - Zastanawiałem się, co się stało z Rashivem? Przez jakiś czas bardzo się kumplował z Wesem. Zdolna bestia. Matematyka to dla niego pestka.

- Nie wiem. Dzieci się zmieniają. - Wes, którego ona zawsze uważała za dojrzałego jak na swój wiek, ostatnio wolał towarzystwo Donniego i starszych chłopaków. Rashiv, o ile sobie przypominała, był o rok młodszy od jej syna. Maggie, trochę samotniczka, zaczęła spędzać czas z grupką czterech dziewczynek ze swojej szkoły (ku jeszcze większemu zaskoczeniu Dance, bardzo lubianych - dwie z nich startowały w konkursie małych Miss America, jedna pragnęła zostać cheerleaderką).

Boling postawił wino i sięgnął po kieliszki.

Dzwonek do drzwi.

- Ja otworzę! - Maggie już biegła.

- Zaczekaj, Mags. - Wiedział, że Kathryn prowadzi kilka potencjalnie niebezpiecznych spraw, więc szybko poszedł za dziewczynką. Wyjrzał na zewnątrz, po czym pozwolił Maggie otworzyć drzwi.

Goście byli serdecznymi przyjaciółmi rodziny. Steven Cahill, mniej więcej w wieku Bolinga, nosił ponczo. Szpakowate włosy związał w kucyk, a niedawno zapuścił wąsy a la David Crosby. Towarzyszyła mu Martine Christensen. Mimo nazwiska nie miała w sobie ani kropli skandynawskiej krwi. Miała natomiast śniadą karnację i ponętą figurę, a pochodziła od pierwotnych mieszkańców tej ziemi: Indian Ohlone, grupy szczepów, które prowadziły łowiecko-zbieraczy tryb życia od Big Sur po zatokę San Francisco.

Na schodach za Steve'em i Martine stali ich synowie, bliźniacy o rok młodszy od Maggie. Jeden dźwigał futerał z gitarą matki, drugi świeżo upieczone brownie. Maggie zaprowadziła bliźniaków i psy do ogrodu, który rozciągał się pod Tarasem. Dance uśmiechnęła się, widząc, jak ukradkiem rzuca bratu przez ramię parę słów, najprawdopodobniej o tym, jak niewłaściwe są gry przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn. Starsi chłopcy nie zwrócili na nią uwagi.

Młodsze dzieci i psy zaczęły improwizowany i chaotyczny mecz frisbee.

Dorośli zgromadzili się wokół dużego plastikowego stołu piknikowego na Tarasie.

To było centrum życia towarzyskiego w domu - życia wielu osób, które znała Dance, członków jej rodziny i przyjaciół. Rozległa przestrzeń, sześć na dziewięć metrów, ciągnąca się od kuchni w głąb ogrodu, była zastawiona przeróżnymi krzeselkami, leżakami i stolikami. Wyposażenie stanowiły duża lodówka i zlew, a dekorację lampki choinkowe, parę bursztynowych lamp oraz reflektorki skierowane w górę. Stało też kilka doniczek z kwiatami, walczącymi o przetrwanie. Poniżej w ogrodzie można było zobaczyć skarłowaciałe dęby i klony, kropliki, astry, łubin, psianki i koniczynę. Gdzieniegdzie próbowały rosnać warzywa, ale ślimaki nie miały dla nich litości.

Taras był miejscem setek przyjęć, mniejszych i większych, a także cichych rodzinnych posiłków i wieczorków przy kakao, spędzanych tylko we czwórkę. Potem, od niedawna, w trójkę. To tutaj mąż się jej oświadczył i prawie dokładnie w tym samym miejscu Kathryn wygłaszała mowę pożegnalną po jego śmierci.

Wieczór był chłodny i wilgotny, więc podkręciła gazowy grzejnik, który buchał przyjemnym ciepłem. Dorośli siedzieli przy stole, pili wino, sok albo wodę i rozmawiali... właściwie o wszystkim. To była trwała cecha Tarasu. Dozwolony był

każdy temat. I właśnie tutaj zawsze znajdowano rozwiązania wszystkich problemów miasta, stanu, kraju i świata.

Martine zapytała ściszym głosem:

- Słyszeliście o Solitude Creek?

- Pracuję nad tą sprawą - oznajmiła Kathryn.

- Nie!

- Katie, ostrożnie - przestrzegł ją ojciec. Jak każdy rodzic zrobiłby na jego miejscu.

- Firma transportowa zwinie interes - zawyrokował Steve. - A kierowca powinien trafić za kratki, nie sądzisz?

- Na razie nie podajemy tego do publicznej wiadomości - powiedziała. - Nikomu nie mówcie, proszę. - Nie czekała nawet, by pokiwali głowami. - To nie kierowca ciężarówki. I nie ma mowy o wypadku.

- Jak to? - zdziwiła się Martine.

- Cały czas badamy sprawę, ale ktoś wszedł do ciężarówki i podjechał pod drzwi, by je zatarasować, a potem wzniecił ogień, żeby wszyscy w klubie wpadli w panikę. - Zerknęła, sprawdzając, czy dzieci nie słyszą. - I tak się oczywiście stało. Ludzie tratowali się nawzajem, zgniatali i dusili, byli ranni i ofiary śmiertelne. Krew widziałam wszędzie.

- Jaki był motyw? - spytał Boling.

- To dla nas zagadka. Kiedy go poznamy, będziemy mogli namierzyć podejrzanych. Ale na razie nie wiemy nic.

- Zemsta? - podsunął Steve.

- Nigdy nie można wykluczyć. Ale nie wchodzi w grę żaden konkretny klient, pracownik ani nikt z konkurencji.

- Mam klaustrofobię - wyznała Martine. - Nie wyobrażam sobie, co by się ze mną działo, gdybym znalazła się w środku takiego tłumu.

Stuart Dance przejechał dłonią po bujnej czuprynie.

- Chyba nigdy ci tego nie opowiadałem, Katie, ale kiedyś widziałem trujących się ludzi w tłumie. Wyglądało okropnie.

- Co takiego?

- Może słyszeliście. Hillsborough w Sheffield. W Anglii. Dwadzieścia pięć lat

temu. Do dzisiaj mam koszmary. Chcecie o tym posłuchać?

Dance upewniła się, że dzieci są w bezpiecznej odległości.

- Mów, tato.

## ROZDZIAŁ 16

Był pewien, że zginą.

Przynajmniej niektórzy.

Antioch March stał nad brzegiem wzburzonego oceanu w Pacific Grove, w pobliżu centrum konferencyjnego Asilomar. Niedaleko Sunset Drive.

Przeprowadzał rekonesans przed jutrzejszym „wydarzeniem” i wracał właśnie samochodem do Cedar Hills Inn, kiedy ich zauważył. Ach, tak...

Zatrzymał się.

A potem wyszedł na wystającą skałę, z której powinien mieć dobry widok na tragiczny rozwój wypadków.

Przyglądał się grupce ludzi, których otaczał obłok kropelek wody, wzbijających się ponad skały, gdy brzeg atakowała rozszalała woda. Słońce stało nisko. Nadeszła „wyjątkowa pora”, jak nazywali te chwile fotografowie. Kiedy światło staje się twoim przyjacielem i zamiast przeszkadzać, pomaga w robieniu zdjęć. March, oprócz bardziej ezoterycznych zagadnień intelektualnych, studiował także fotografię i dobrze sobie z nią radził. Liczne zdjęcia na stronie „Dłoń sercu” były jego autorstwa. Już po nich, pomyślał znowu.

Rodzina, którą obserwował, pochodziła z Azji. Prawdopodobnie Chińczycy albo Koreańczycy. Znał różnice w układzie twarzy - odwiedził jeden i drugi kraj (Korea okazała się bardziej pożyteczna dla jego pracy). Odległość była jednak zbyt duża, by mógł rozstrzygnąć. A nie zamierzał podchodzić bliżej.

Małżeństwo, dwoje dzieci w wieku około dziesięciu, dwunastu lat oraz teściowa: grubo opatulona matrona. Mężczyzna, uzbrojony w aparat kompaktowy, dawał wskazówki dzieciom, które pozowały na czerwonych, brązowych i burych skałach.

Spanish Bay, turystyczne „dwa w jednym”, czyli plaża i urwiste wybrzeże, to przepiękny nadbrzeżny rezerwat, gdzie można spotkać wszystko, co człowiek pragnie zobaczyć w malowniczej Kalifornii. Półtora kilometra piasku, surferzy odporni na lodowatą wodę, delfiny, pelikany, wydmy, jelenie, skały, na których przysiadają foki, tętniące życiem baseny pływowe.

I oczywiście wydry morskie. Te urocze futrzaste stworzenia swobodnie unoszą się na powierzchni wzburzonej wody i otwierają małże, uderzając muszlą

o trzymany na brzuchu kamień.

Idylliczne miejsce.

I śmiertelnie niebezpieczne.

Przygotowując plany na Monterey, March dowiedział się, że raz na kilka miesięcy turyści, wędrując po urwistych skałach, zapuszczają się za daleko i potężne ramie Oceanu Spokojnego zagarnia ich w morze. Ci, którzy nie roztrzaskali głów o skały i nie utonęli, umierali na skutek hipotermii, zanim zdążyła ich odnaleźć straż przybrzeżna, albo wydawali ostatnie tchnienie, zaplątani w zdradliwe wodorosty. Niedaleko stąd zginął piosenkarz John Denver, gdy jego eksperymentalny samolot runął na ziemię.

Rodzina Azjatów była coraz bliżej końca naturalnego falochronu, a występ skalny sięgał ponad dziesięć metrów w głąb oceanu, dwa metry nad spienioną wodą. Różany blask zachodzącego słońca oświetlał ich sylwetki.

Pięknie.

March wyjął z kieszeni samsunga galaxy s5 i zaczął filmować krajobraz. Jak zwykły turysta. Nie budził żadnych podejrzeń, zapisując pikselami piękny, surowy pejzaż.

Potężna fala rozbiła się o brzeg i chmura kropelek wody musiała połaskotać dzieci. Chyba chichotały. Ojciec gestem polecił im przesunąć się kilkadziesiąt centymetrów w stronę końca skalistego cypla. Wycelował w nich nikona i nacisnął spust migawki.

Babcia została na szlaku, w pewnej odległości od reszty rodziny. Matka trzymała się około pięciu metrów za mężem i dziećmi. Wołała do nich. Ale tego wietrznego dnia ryk oceanu był tak głośny, że mąż prawdopodobnie nic nie słyszał.

Kolejna wielka fala z hukiem roztrzaskała się o szaro-brązowe skały, na moment zasłaniając dzieci. Zerknął na ekran i zobaczył tęczę namalowaną promieniami słońca.

Po chwili zza mgiełki wyłoniły się dzieci, które, nieświadome zagrożenia, spoglądały w dół na wodę, a tymczasem ojciec kazał im podejść jeszcze bliżej krańca skał.

March zauważył, że w oddali tworzy się i nabiera sił ogromna fala.

Obiektyw aparatu był skierowany w stronę grupki na skałach, on jednak nie

skupiał się na filmie. Patrzył na piętrzącą się falę.

Pięćdziesiąt metrów, czterdzieści.

Woda szybko się przemieszcza, mimo że oczywiście jest największym poruszającym się ciałem na ziemi. A ten kolos właśnie ruszył naprzód.

No, bliżej, bliżej...

Marchowi spoczęły się dłonie. Poczł ukłucie w brzuchu i powtarzał w duchu: proszę, chcę tego...

Trzydzieści metrów.

Na szczycie fali formował się grzebień, a masa wody zmierzała w stronę rodziny niczym ręka Boga, by zadać śmiertelny cios.

Dwadzieścia pięć metrów.

Dwadzieścia...

W tym momencie matka nie wytrzymała. Rzuciła się naprzód, ślizgając się na mokrych skałach, i stanęła przed mężem, a ten zaczął gniewnie gestykulować.

Zignoruje ją? Postaw się suce, pomyślał March. Proszę.

Wezbrana fala była już piętnaście metrów od nich.

Miał szybki, urywany oddech. Jeszcze tylko trzydzieści sekund. Nic więcej nie chcę.

Ale zniecierpliwiona kobieta z rozpaloną gniewem twarzą wyminęła męża i podeszła do dzieci.

Dziesięć...

Wzięła je za ręce i krzycząc na nie, pociągnęła zdumione pociechy z powrotem w kierunku szlaku. Mąż z bezradną miną poszedł za nimi.

Fala z impetem rozbiła się o skały i zalała miejsce, gdzie jeszcze parę sekund temu stały dzieci. Miała na tyle energii, że mogłaby zgarnąć do morza ojca i dzieci. Na domiar złego, sądząc z kąta uderzenia, cisnęłaby ich o skały tuż naprzeciw niego, a potem wciągnęła w rozszalałą kipiela oceanu.

Opuścił rękę z telefonem.

Rodzice i dzieci, odwrócenii plecami do skał, nie widzieli spektakularnej eksplozji wodnej. Widziała tylko babka. Nie odezwała się, zrobiła w tył zwrot na artretycznych nogach i poszła ścieżką za swoim potomstwem.

March westchnął. Był zły. Ostatni raz spojrział w stronę głupiej, niczego

nieświadomej rodziny. Spostrzegł, że mocno zaciska zęby.

Wypełniło go uczucie pustki, rozlewało się po całym ciele jak woda rozpuszczająca sól.

Ktoś nie jest zadowolony...

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Zamierzał wrócić do Cedar Hills Inn i kontynuować pracę nad planami następnego wydarzenia nad zatoką Monterey. Powinno pójść jeszcze lepiej niż w Solitude Creek. Oczywiście miał też inne zadanie. W tej branży należało zachować więcej niż ostrożność. Między innymi trzeba się dowiedzieć, kto ciebie tropi.

I znaleźć sposób, jak umknąć przed pościgiem.

Albo jeszcze lepiej, powstrzymać ścigających, zanim naprawdę zaczną ci zagrażać. Bez względu na środki.



## ROZDZIAŁ 17

Nikt z obecnych na Tarasie nie słyszał o tragedii w Sheffield w Anglii.

- Byłem w Londynie na stypendium badawczym - zaczął opowiadać Stuart Dance.

- Pamiętam - odezwała się Kathryn. - Odwiedziłyśmy cię z mamą. Miałam siedem czy osiem lat.

- Zgadza się. Ale to się zdarzyło, zanim przyjechałyście. Byłem w Nottingham na wykładach i kolega doktor, z którym pracowałem, zaproponował, żebyśmy pojechali do Sheffield zobaczyć mecz na stadionie Hillsborough. Kibice piłki nożnej w Europie potrafią reagować bardzo emocjonalnie, więc pucharowe półfinały organizuje się na neutralnym gruncie, żeby uniknąć starć. Grał klub z Nottingham - oczywiście drużyna mojego współpracownika - z Liverpooliem. Pojechaliśmy pociągiem. Kolega miał pieniądze - chyba jego ojciec był sir Jakimstam - więc dostaliśmy niezłe miejsca. To, co się rozegrało na stadionie, działo się daleko od nas. Ale widzieliśmy wszystko. Och, tak, dobrze widzieliśmy.

Kathryn zaniepokoiła się, widząc, jak twarz ojca blednie, a oczy nerwowo obracają się w stronę dzieci, sprawdzając, czy nie podeszły za blisko. Wydawał się poruszony okropnością tamtych wydarzeń, które wróciły we wspomnieniach.

- Wyglądało, że tuż przed rozpoczęciem meczu kibice Liverpoolu zgromadzili się przy kołowrotekach wejściowych. Byli zdenerwowani, bali się, że nie zostaną wpuszczeni. Napierali na bramki. Kiedy ktoś otworzył trzecią bramę, żeby rozładować tłok, kibice włali się do środka i ruszyli w stronę trybuny. Ścisk był potworny. Zginęło dziewięćdziesiąt pięć czy sześć osób.

- Boże - mruknął Steve.

- Największa katastrofa na stadionie w historii Wielkiej Brytanii - dodał niemal szeptem Stuart. - Straszne. Kibice usiłowali wejść na siebie nawzajem, przeskakiwali mur. Padali jak muchy. Nie wiem, jak ginęli. Chyba się dusili.

- Fachowcy nazywają to asfiksją spowodowaną uciskiem klatki piersiowej - powiedziała Kathryn.

Skinął głową.

- Wszystko działo się bardzo szybko. Absurdalnie szybko. Mecz zaczął się

o trzeciej. Sześć minut po trzeciej został przerwany, ale prawie wszystkie ofiary śmiertelne już wtedy nie żyły.

Kathryn przypomniała sobie, że śmierć ludzi, którzy zginęli w Solitude Creek, choć nie w tak ogromnej liczbie, nastąpiła mniej więcej w takim samym czasie.

- Wiecie, co było najbardziej przerażające? - dodał Stuart.

- Razem, w tym tłumie, kibice stali się kimś zupełnie innym. Przestali być ludźmi.

*W ogóle nie wyglądali jak ludzie - to był jeden ogromny stwór, który się kłębił i przepychał w stronę drzwi...*

- To mi przypominało coś innego, co kiedyś widziałem - kontynuował Stuart. - Kiedy wyjechałem popracować w Australii...

- Jesteśmy głodni! - Wes i Donnie przybiegli do stołu. Kilkoro dorosłych wzdrygnęło się, kiedy tak nagle pojawili się przy nich w środku okropnej opowieści.

- No to jedzmy. - Kathryn ucieszyła się w duchu, że można zmienić temat. - Idź po siostrę i bliźniaki.

- Maggie! - wrzasnął Wes.

- Wes. Powiedziała, idź po siostrę.

- Słyszała. Zaraz przyjdzie.

Po chwili nadeszła reszta dzieci w towarzystwie psów, które zawsze miały nadzieję, że jakaś niezdarna istota ludzka upuści na ziemię kawałek czegoś dojedzenia.

Nakrywając do stołu razem z Maggie i Bolingiem, Kathryn poinformowała zebranych na Tarasie, że jej przyjaciółka z Fresno, piosenkarka country Kayleigh Towne, przysłała jej i dzieciom bilety na koncert Neila Hartmana, który miał się odbyć w następny weekend.

- Nie! - Martine żartobliwym gestem trzepnęła ją w ramię. - Tego nowego Dylana? Biletów nie można dostać już od miesiący.

Może to nie nowy Dylan, ale znakomity autor i wykonawca, a także świetny muzyk, któremu towarzyszył utalentowany zespół. Występ w mieście był zaplanowany, zanim młody artysta został nominowany do nagrody Grammy. Zaraz potem niewielkie Centrum Kultury i Rozrywki w Monterey wyprzedzało bilety na

pniu.

Kathryn i Martine łączyła długa znajomość, którą od początku przenikała muzyka. Poznały się na koncercie będącym bezpośrednim spadkobiercą słynnego Monterey Folk Festival, gdzie w sześćdziesiątym piątym roku debiutował na Zachodnim Wybrzeżu „Dylan oryginał” - Bob. Zaprzyjaźniły się i założyły stronę internetową non profit, aby promować rodzime talenty muzyczne. Dance, która hobbystycznie zajmowała się folklorem - jako „poławiaczka piosenek” -jeździła po całym stanie, z rzadka zapuszczając się w odleglejsze strony, i uzbrojona w drogi przenośny rejestrator dźwięku, zbierała piosenki i melodie, które następnie sprzedawała za pośrednictwem strony, zostawiając sobie jedynie skromną część pieniędzy na utrzymanie serwera i opłacenie kosztów, a zyski przekazywała artystom.

Serwis nazywał się American Tunes na cześć wspaniałej piosenki Paula Simona z lat siedemdziesiątych.

Boling wyniósł na Taras jedzenie i otworzył następne wino. Dzieci zasiadły przy swoim stoliku, lecz ustawionym tuż obok piknikowej ławy dorosłych. Kathryn była zadowolona, ponieważ żadne z nich nie poprosiło o włączenie telewizora do kolacji. Donnie był urodzonym komikiem. Opowiadał żart za żartem - żadnych nieprzyzwoitych - i do łez rozśmieszał młodsze dzieci.

Podczas kolacji toczyła się rozmowa. Po posiłku, kiedy Boling podawał kawę zaparzoną z kapsułek, z kofeiną i bez, oraz kakao, Martine otworzyła futerał i wyjęła pięknego starego martina 00-18. Razem z Kathryn zaśpiewały kilka piosenek - Richarda Thompsona, Kayleigh Towne, Rosanne Cash, Pete’a Seegera, Mary Chapin Carpenter i oczywiście Dylana.

- Hej, Maggie! - zawołała Martine. - Twoja mama mówiła, że na waszym konkursie talentów śpiewasz *Mam tę moc*<sup>1</sup>.

- Aha.

- Podobała ci się *Kraina lodu*?

- Mhm.

- Bliźniaki ją uwielbiają. Właściwie wszyscy ją uwielbiamy. Zaśpiewaj. Będę ci akompaniować.

- Och. Nie, nie będę śpiewać.

- Bardzo chętnie posłucham, kochanie - zachęcił wnuczkę Stuart Dance.
- Ma śliczny głos - zapewniła wszystkich Martine.
- Tylko że nie pamiętam jeszcze słów - wymigiwała się Maggie.
- Mags, zaśpiewałaś dzisiaj tę piosenkę od początku do końca - odezwał się Boling. - I to kilkanaście razy. Słyszałem cię w pokoju. A książeczka z tekstami leżała obok mnie w salonie.

Chwila wahania.

- Aha, pamiętam. Oglądałam film na DVD, a słowa leciały na dole na ekranie. Matka widziała, że ona kłamie. Kinezyczny wzorzec swoich dzieci znała doskonale. O co chodziło? Uświadomiła sobie, że od dwóch dni córeczka jest bardziej wycofana i markotna niż zwykle. Rano, kiedy Maggie związywała jej warkocz kolorową gumką, Kathryn próbowała coś z niej wyciągnąć. Śmierć Billa najbardziej przeżył Wes, ale radził już sobie ze stratą ojca lepiej, znacznie lepiej; może teraz Maggie zaczęła odczuwać jej skutki. Córka jednak zaprzeczała - zresztą zaprzeczała, że cokolwiek się dzieje.

- Nie szkodzi - powiedziała Martine. - Następnym razem.

- Zaśpiewała jeszcze kilka folkowych kawałków, po czym spakowała gitarę.

Boling zapakował część z tego, co zostało z kolacji, i obdarował gości. Wszyscy zaczęli się żegnać, ścisnąć i całować, po czym skierowali się do drzwi, zostawiając Jona i Kathryn ze starszymi chłopcami. Wes i Donnie pisali teraz wiadomości do kolegów, wciąż siedząc nad swoją skomplikowaną grą, w którą wpatrywali się z uwagą. Tak samo jak w ekrany telefonów.

Ach, entuzjazm młodości...

- Dziękuję za kolację, za wszystko, Jon - powiedziała Kathryn.
- Wyglądasz na zmęczoną - rzekł. Mogła liczyć na jego nieskończone wsparcie, ale żył w zupełnie innym świecie niż ona i niechętnie zdradzała mu szczegóły swojej niełatwej pracy. Mimo to była mu winna szczerość.

- Bo jestem zmęczona. Mam straszny mętlik. Nie tyle chodzi o Serrana, ile o Solitude Creek. Bez sensu, żeby ktoś to zrobił celowo. Ta sprawa nie przypomina żadnej, przy której wcześniej pracowałam. Już jest męcząca.

Nie mówiła mu dotąd o konfrontacji z tłumem przed Henderson Jobbing. I postanowiła nie mówić. Po tym starciu pozostał jej lęk - i ból. Jeśli miała być

wobec siebie szczerza, po prostu nie chciała przeżywać tego jeszcze raz. Nadal miała w uszach trzask, gdy kamień złamał szczękę Billy'emu Culpowi. Wciąż widziała zwierzęce oczy tłumu, kiedy się zbliżał.

*Pierdol się, suko...*

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Boling zmarszczył brwi.

Kathryn zawahała się chwilę.

- Ach, to pewnie Michael. Razem pracujemy nad tą historią w Solitude Creek.

Nie mówiłam ci, że przyjdzie?

- Chyba nie.

- To był zwariowany dzień. Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

Otworzyła drzwi i wszedł Michael O'Neil.

- Cześć, Michael.

- Jon. - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Przekąsisz coś? Mieliśmy grecką kolację. Jest mnóstwo jedzenia.

- Nie, dziękuję.

- Nie daj się prosić - nalegał Boling. - Przecież Kathryn nie może jeść musaki przez cały tydzień.

Zwróciła uwagę, że nie powiedział „nie możemy jeść musaki”, chociaż mógłby. Jak widać, nie był typem chełpliwego samca znaczącego swoje terytorium.

- Dobra, jeżeli to nie za duży kłopot - odparł O'Neil.

- Wina?

- Piwo.

Boling nałożył jedzenie na talerz i podał mu butelkę corony. O'Neil uniósł ją w podziękowaniu, po czym zawiesił na haku sportową marynarkę. Rzadko nosił mundur i dziś miał na sobie spodnie w kolorze khaki i jasnoszarą koszulę. Usiadł na kuchennym krześle, poprawiając glocka w kaburze.

Dance znała O'Neila i współpracowała z nim od lat. Zastępca komendanta i naczelnik biura dochodzeniowego w Biurze Szeryfa Okręgu Monterey był jej mentorem, kiedy wstąpiła do CBI. Nie pracowała w biurze śledczym od początku: wcześniej była ekspertem w dziedzinie kinezyki i pomagała obrońcom

i prokuratorom w selekcji przysięgłych i przesłuchaniach biegłych. Po śmierci męża - Bill Swenson był agentem FBI - postanowiła zostać gliną.

O'Neil od lat służył w MCSO, a choć dzięki swojej inteligencji i uporowi (nie wspominając o godnym pozazdrosczenia koncie aresztowań i wyroków skazujących) mógłby pracować wszędzie, wybrał lokalną policję. Półwysep Monterey był jego domem i O'Neil nie miał ochoty przenosić się nigdzie indziej. Wolał zostać blisko rodziny i blisko zatoki. Uwielbiał pływać łodzią i łowić ryby. Przypominał bohatera powieści Johna Steinbecka: milczący, mocno zbudowany, silny, o brązowych oczach i ciężkich powiekach. Miał gęste i krótko ostrzyżone włosy, ciemne, choć przetykane siwizną.

Pomachał do Wesa.

- Cześć, Michael!

Donnie też się odwrócił. Na jego twarzy odmalowało się zafascynowanie typowe dla chłopców, kiedy zobaczą broń na biodrze policjanta. Szepnął coś do Wesa, który z uśmiechem skinął głową, a potem wrócili do gry.

O'Neil wziął talerz i spróbował.

- Dzięki. Rzeczywiście wyśmienite.

Stuknęli się kieliszkami i butelką. Kathryn nie była głodna, ale skubnęła trochę pity z tzatziki.

- Nie wiedziałam, czy zdążysz dzisiaj przyjść - powiedziała. - Przecież opiekowałeś się dziećmi. - O'Neil miał ich dwoje z poprzedniego małżeństwa, dziewięcioletnią Amandę i starszego o rok Tylera. Oboje przyjaźnili się z jej dziećmi - choć bardziej z Maggie z powodu zbliżonego wieku.

- Ktoś ich pilnuje - odparł.

- Nowa opiekunka?

- Można tak powiedzieć.

Rozległy się kroki. Przyszedł Donnie. Skinął głową O'Neilowi i powiedział do Dance:

- Hm, powinienem już wracać do domu. Nie wiedziałem, że już tak późno.

- Odwiozę cię - zaproponował Boling.

- Ale mam tu rower. Znaczy się, nie mogę go zostawić.

- Mam z tyłu uchwyt na rowery.

- Świetnie! - Odetchnął z ulgą. Kathryn przypuszczała, że rower jest nowy, prawdopodobnie dostał go w prezencie na urodziny, które miał kilka tygodni temu. - Dziękuję, panie Boling. Dobranoc, pani Dance.

- Wpadaj, kiedy chcesz, Donnie.

Jon wziął kurtkę i pocałował Kathryn. Lekko przechyliła się w jego stronę.

Chłopcy przybili żółwika.

- Na razie! - zawołał Wes i poszedł do swojego pokoju.

Boling podał rękę O'Neilowi.

- Dobranoc.

- Trzymaj się.

Drzwi się zamknęły. Kathryn przyglądała się, jak Boling i Donnie zmiierzają w stronę samochodu. Zdawało się jej, iż Jon obejrzał się przez ramię i zobaczył, że do niego macha, ale nie była pewna.

## 1

Tytuł polskiej wersji piosenki *Let It Go* z filmu animowanego Frozen (Kraina lodu) (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 18

Zajrzawszy do dzieci („Myć zęby! Żadnego esemesowania!”), Kathryn wróciła do O’Neila na Taras. Kończył jeść. Spojrzał na nią i powiedział:

- No dobrze. Solitude Creek. Na pewno chcesz się do tego zabrać w taki sposób?

Usiadła obok niego.

- O czym mówisz?

- Przenieśli cię do cywilnego?

- Zgadza się.

- Nie masz broni?

- Nie. Zdegradowali mnie do praktykanta. Mam, cytuję, „zdać ci relację” ze sprawy incydentu w klubie. Obsadziłam siebie w roli „udzielającej wskazówek”, a potem użyłam małego wybiegu i...

- I zagrabiłaś sobie prawo do poprowadzenia sprawy. Uśmiechała się ze swojego żartu, ale kiedy jej przerwał, spoważniała.

- Przecież poprowadzę ją z tobą.

- Słuchaj, naprawdę mogę sobie sam poradzić.

- Nie, chcę to wziąć.

Chwila ciszy.

- Gdybym miał profilować sprawcę, zakładałbym, że jest uzbrojony. Jak sądzisz? Stworzenie wstępnego profilu nieznanego sprawcy było dość łatwe. Najłatwiej ustalić, czy istnieje skłonność do popełnienia przestępstwa z użyciem broni.

- Pewnie tak. Przecież czysty nie pakowałby się w taką sytuację.

Wzruszył ramionami.

- Będziesz mnie pilnować - powiedziała.

Skrzywił się. Ugryzł się w język i nie powiedział czegoś w rodzaju: „nie mogę być niańką”.

Jej spokojne, nieruchome spojrzenie powiedziało mu jednak, że nie zamierza odgrywać roli widza. Chciała poprowadzić tę sprawę ramię w ramię z nim. Skinął głową.

- Dobra, w takim razie jest, jak jest.

- Co teraz robisz? Bardzo jesteś zajęty?



- Mam na tapecie parę spraw. Słyszałaś o Ottonie Grancie?

- Brzmi znajomo.

- Sześćdziesięcioletni farmer z doliny Salinas. Stan zajął kawał jego ziemi, wywłaszczył go. Farma należała do jego rodziny od wielu lat, a resztę musiał sprzedać, żeby zapłacić podatki. Wściekł się. I zginął.

- Rzeczywiście. - Dance przypomniała sobie rozlepione w mieście plakaty z nagłówkiem „Ktokolwiek widział”. Były na nich dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało uśmiechniętego mężczyznę z siedzącym u jego stóp labradorem. Na drugim ten sam człowiek miał rozwichrzone włosy i obłęd w oczach. Przypominał świętego aktora Bruce’a Dema w Nebrasce. - To smutne - powiedziała.

- Fakt. Pisał błogi, w których mieszał z błotem władze stanowe za to, co mu zrobiły. Ale parę dni temu wpisy się urwały i facet zniknął. Rodzina przypuszcza, że popełnił samobójstwo. Też mi się tak wydaje. Po co porywać człowieka, który nie ma żadnych pieniędzy. Wysłałem zespół, żeby go odnalazł. Albo jego ciało.

Twarz O’Neila znów wykrzywił grymas.

- No i jeszcze akty nienawiści. Też mam takie sprawy na głowie.

Znała tę historię. Jak wszyscy w mieście. W ciągu kilku ostatnich tygodni wandalę oszpecili budynki, w których mieszkali „inni”. Na afroamerykańskim kościele namalowali graffiti Ku Klux Klanu i płonącego krzyża. Na domu pary gejów pojawił się napis: „Niech was AIDS wykończy”. Latynosi też stali się celem prześladowań.

- Jak myślisz, czyja to robota? Neonazistów?

Takie grupy należały do rzadkości na półwyspie. Ale nie były zupełnie nieznane.

- Raczej jakaś organizacja rasistów, białych bikerów i robotników z Salinas i Seaside. Pasuje do ich poglądów, ale graffiti to nie ich metody. Wolą rozbijać łby w barach. Rozmawiałem z paroma. Czuli się obrażeni, że w ogóle ich o to podejrzewam.

- Widocznie są różne stopnie fanatyzmu.

- Amy Grabę zastanawia się, czy nie wysłać tam swoich. Ale na razie to moja działka.

FBI. Oczywiście. Przestępstwa, o których mówił, prawdopodobnie kwalifikowały się do kategorii naruszeń praw obywatelskich, czyli powinni się tym zająć federalni.

- Nie doszło jednak do aktów przemocy - ciągnął - więc sprawa nie jest na liście priorytetów. Mogę wziąć Solitude Creek.

- Cieszę się - odparła.

O'Neil westchnął i się przeciągnął. Stała na tyle blisko niego, że wyczuła zapach płynu do golenia czy mydła. Przyjemny, korzenny aromat. Odsunęła się odrobinę.

- Jutro powinien być raport z zabezpieczenia śladów wokół klubu i firmy transportowej - poinformowała go.

Opowiedziała szczegółowo, co się wydarzyło tego dnia, począwszy od jej przyjazdu do Solitude Creek. O'Neil robił notatki. Następnie podała mu wydruki przesłuchań, które udało się jej przeprowadzić. Przerzucił plik kartek.

- Przeczytam wieczorem.

- Może znajdziesz coś, czego nie zauważyłam. Ale chyba żaden z pracowników, byłych czy obecnych, ani klientów nie miał motywu, żeby zorganizować ten atak. Nikt z konkurencji nie chciał wyeliminować z rynku Sama.

- Tak się zastanawiam... może jakiś wkurzony mąż chciał wyrównać rachunki z kimś, kto tego dnia umówił się na randkę w klubie?

- Albo żona - zauważyła. Drugim pod względem popularności motywem podpaleń - oprócz wyłudzenia odszkodowania - była zazdrość; kobieta zamierzała puścić z dymem dom, mieszkanie czy pokój hotelowy, w którym znajdował się niewierny kochanek. - Taka możliwość też pojawiła się w moich pytaniach. Ale nie trafiłam na żaden ślad.

Przejrzał stronicę wydruków.

- Miałaś pracowity dzień.

- Wolałabym, żeby ta praca była efektywna. - Pokręciła głową.

Dokończył piwo. Jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom.

- Jednej rzeczy nie rozumiem.

- Dlaczego po prostu nie spalił klubu?

Uśmiechnął się.

- Aha.

- To właśnie klucz do zagadki.

Rozległ się sygnał jego telefonu. Detektyw odczytał wiadomość.

- Powinienem już wracać do domu.

- Oczywiście.

Podeszli do drzwi.

- Dobranoc.

Zszedł z werandy po stopniach, które skrzypnęły pod jego ciężarem. Potem odwrócił się i pomachał.

Kathryn jak zawsze sprawdziła cały dom, zamykając wszystkie drzwi i okna. W ciągu lat pracy przysporzyła sobie wrogów, a szczególnie teraz mogła się znaleźć na celowniku każdego z gangów, przeciw którym prowadzono operację Kanał. Od Oakland po Los Angeles.

A także na celowniku sprawcy tragedii w Solitude Creek. Człowieka, który jako broni użył paniki, żeby mordować ludzi w straszny sposób.

Szybko skorzystała z łazienki, przebrała się w piżamę, po czym przeniosła kasetkę z bronią z podłogi na nocny stolik. Jako funkcjonariuszka działu cywilnego nie mogła nosić pistoletu w pracy, ale we własnym domu nikt nie mógł jej zabronić wpakować trzech kul w intruza z prywatnego glocka 26.

Położyła się w łóżku przy zgaszonych światłach. Nie chciała, by zaatakowały ją obrazy z miejsca zdarzenia, ale trudno było się przed nimi bronić. Same do niej wróciły. Plama krwi w kształcie serca. Brązowa kałuża za wyjściem ewakuacyjnym, gdzie być może straciła rękę tamta dziewczyna.

*Miała prawdziwy talent...*

W myślach wirowały jej trudne do zniesienia obrazy. Nazywała to „napaścią pamięci”.

Słuchała wiatru, przez jego szelest udało się wyłowić szum oceanu.

Sama tego wieczoru, rozmyślała o nazwie rzeczki w pobliżu klubu. Solitude Creek - Strumień Samotności. Ciekawe, skąd taka nazwa. Miała jakieś inne znaczenie, poza oczywistym, wynikającym z tego, iż rzeczka płynęła przez położoną na uboczu część okręgu, odgradzona od świata ścianą chwastów i sitowia, ukryta za wzgórzami?

*Samotność...*

Przemówiło do niej to słowo, wraz ze swoim sensem i brzmieniem. Ale to przecież nonsens. Samotność nie miała nic wspólnego z jej życiem. Prawie zupełnie nic. Pomyślała o dzieciach, rodzicach, przyjaciółach, swoim Tarasie. I o Jonie

Bolingu.

Jak mogła doświadczać samotności?

Może, ironizowała, może dlatego, że...

Dlatego...

Dość, powiedziała sobie. Rozstroiła cię okropna śmierć i niewyobrażalna tragedia tych ludzi w klubie. To wszystko. Nic więcej.

*Samotność, samotność...*

Siłą woli udało się jej odrzucić od siebie to słowo tak, jak dzieci rzucają śnieżkami w tych niezwykle rzadkich chwilach, gdy wzgórza Carmel Valley okrywają się bielą.

PŁÓD

CZWARTEK, 6 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 19

Nie. Och, nie...

Po odwiezieniu dzieci do szkoły i po kawie, którą wysączyła w samochodzie w trakcie porannej pogawędki z Jonem Bolingiem, Kathryn Dance była w połowie drogi do siedziby CBI, kiedy usłyszała tę wiadomość.

- .. .władze w Sacramento twierdzą dziś, że tragedia w klubie Solitude Creek mogła zostać spowodowana celowo. Poszukują niezidentyfikowanego sprawcy, białego mężczyzny w wieku około czterdziestu lat. Ciemne włosy, średnia budowa ciała, ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Kiedy widziano go po raz ostami, miał na sobie zieloną kurtkę ozdobioną nieznanym logo.

- Jezu Chryste - mruknęła.

Chwyciła iPhone'a, ale wyslizgnął się jej z ręki. Rzuciła się za nim, lecz po chwili zaprzestała szukania aparatu. Była tak wściekła, że wysyłając wiadomość, jaką chciała napisać, naraziłaby własną karierę i własne życie.

Po dziecięciu minutach zatrzymała się na parkingu przed CBI, zostawiając na asfalcie ślady hamowania, choć niezbyt wyraźne. Głęboki oddech i gorączkowe myśli - czyhało na nią wiele min, które musiała ominąć - złość jednak wzięła górę, więc Dance wyskoczyła z samochodu i wpadła do budynku.

Przemknęła jak burza przez swoje biuro.

- Cześć, Kathryn, coś się stało? - Pytanie padło z ust jej asystentki administracyjnej, Maryellen Kresbach. Niewysoka, stale zaaferowana matka trojga dzieci, miała niebezpiecznie wysokie czarno-białe szpilki oraz misterną koafiurę ułożoną z burzy ciemnych loków, ujarzmionych lakierem.

Dance uśmiechnęła się, dając tym znak światu, że nikomu w budynku nie grozi z jej strony żadne niebezpieczeństwo. I popędziła dalej. Bez pukania wkroczyła do gabinetu Overby'ego, który właśnie rozmawiał przez Skype'a.

- Charles.

- Ach, Kathryn, to ty.

Oszczędziła mu inwektywy, którą miała na końcu języka, i usiadła.

Na ekranie zobaczyła smagłego, barczystego mężczyznę w ciemnym garniturze i białej koszuli, pod krawatem w niebieskie i czerwone prążki. Miał wzrok

skierowany obok kamery internetowej, patrząc na monitor komputera.

- Kathryn, pamiętasz komendanta Ramona Santosa z Policji Federalnej w Chihuahua? - zwrócił się do niej Overby.

- Dzień dobry, komendancie.

- Witam panią, agentko Dance. - Mężczyzna na ekranie się nie uśmiechał. Overby też siedział sztywno na krześle. Zapewne do tej pory rozmowa przebiegała niezbyt pomyślnie. Komendant był jednym z wyższych rangą policjantów w Meksyku uczestniczących w operacji Kanał. Oczywiście nie wszyscy za południową granicą popierali tę akcję: narkotyki i broń to grube pieniądze, nawet - a zwłaszcza - dla tamtejszej policji.

- Mówiłem już Charlesowi. Niestety, właśnie doszło do bardzo przykrego zdarzenia. Nadszedł duży transport. Sto sztuk karabinków M4, jakieś pięćdziesiąt H&K kaliber osiemnaście. Dwa tysiące sztuk amunicji.

Overby zapytał:

- Zostały dostarczone przez...

- Tak. Przez węzeł w Salinas. Towar pochodził z Oakland.

- Nic nie słyszeliśmy.

- Nie. Nie słyszeliście. Dowiedzieliśmy się od naszego informatora na miejscu. Ściślej mówiąc, miał wiadomości z pierwszej ręki. - Santos westchnął. - Znaleźliśmy ciężarówkę, ale była pusta. Ta broń jest już na naszych ulicach. I odpowiada za śmierć kilku osób. Bardzo niedobrze.

Dance wiedziała, że komendant jest niezłomny w swoich wysiłkach powstrzymania karteli od szmuglowania heroiny i kokainy na północ. Bardziej jednak martwiła go fala broni napływającej do Meksyku, kraju, w którym jej posiadanie w większości sytuacji było nielegalne, mimo że miał jeden z najwyższych na świecie wskaźników zabójstw dokonanych z użyciem broni palnej.

Która prawie w całości była przemycana ze Stanów Zjednoczonych.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Overby.

- Nie jestem przekonany, że robimy wszystko, co się da.

Pierwsza osoba nie została tu jednak użyta trafnie. Chciał przez to powiedzieć: to wy nie robicie wszystkiego, co się da zrobić.

- Panie komendancie - mówił Overby - w operacji Kanał bierze udział

czterdziestu funkcjonariuszy z pięciu służb. Robimy postępy. Powoli, ale jednak postępy.

- Powoli - odparł policjant. Dance przyjrzała się obrazowi wideo na ekranie. Jego pokój bardzo przypominał gabinet Overby'ego, choć nie zdobyły go trofea golfowe ani tenisowe. Zdjęcia na ścianach przedstawiały Santosa w towarzystwie meksykańskich polityków i chyba celebrytów. W pozach takich samych jak jej szef na swoich fotografiach.

- Agentko Dance, a co pani o tym sądzi? - spytał komendant.

- Moim zda...

- Agentka Dance została tymczasowo przydzielona do prowadzenia innej sprawy.

- Innej sprawy? Rozumiem.

Nie został poinformowany o wpadce z Serranem.

- Panie komendancie. - Dance nie ustępowała, nawet w tych okolicznościach nie dawała się tak łatwo uciszyć. - W zeszłym miesiącu przechwyciliśmy cztery transporty...

- A według mojego wywiadu do celu dotarło jedenaście. Łącznie z tym najgroźniejszym, o którym przed chwilą wspominałem.

- Owszem, wiem o pozostałych - powiedziała. - Były niewielkie. Bardzo mało amunicji.

- Ach, agentko Dance, wielkość transportu prawdopodobnie nie ma większego znaczenia dla rodziny zamordowanej z jednej sztuki broni maszynowej.

- Oczywiście. - Z tym nie mogła dyskutować.

- Tak, tak - włączył się Overby. - Pod koniec roku przyjrzymy się statystyce. Przekonamy się, jaki jest trend.

Komendant chwilę patrzył bez słowa w kamerę, być może zastanawiając się, o czym, u licha, Overby mówi.

- Mam teraz spotkanie - oznajmił. - Zbadam sytuację. I mam nadzieję, że w przyszłym miesiącu dowiem się o kilkunastu przechwyconych transportach. Co najmniej. Adios.

Ekran zgasł.

- Drażliwy - zauważyła.

- Jak można mu się dziwić? W zeszłym roku tylko w jego stanie zamordowano



ponad tysiąc pięćset osób.

W Dance odżył gniew.

- Słyszałeś już?

- O czym?

- Mówili w radiu. Rysopis sprawcy z Solitude Creek wyciekł do mediów.

Wszyscy go znają. A on już wie, że go szukamy.

Overby wpatrywał się w martwy ekran monitora.

- Ach, tak. Też słyszałem.

- Jak to się stało? Ty to puściłeś?

Wiedziała, że skwapliwie korzystał z każdej okazji kontaktów z prasą, wątpiła jednak, by to on kopał pod nią dołki, zwłaszcza że wcześniej zgodził się poprzeć jej stanowisko - zresztą gdyby to zrobił, w informacji z pewnością pojawiłoby się jego nazwisko.

- Ja? Oczywiście, że nie. Co prawda nie mam pewności, ale to chyba Steve Foster. Wiadomość nadeszła z Sacramento. Jego rewiru. - Sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego, choć nie tak wściekłego jak ona.

Dance zrozumiała jednak, iż jego niepokój ma inną przyczynę. Ona martwiła się, że komunikat może spłoszyć sprawcę. Overby natomiast został zaszachowany politycznie. Wciągnął Fostera, aby włączyć CBI do sprawy, skoro Dance została odstawiona na boczny tor. Ale ten posunął się o krok dalej i zadbał, by chwała spłynęła na centralę w Sacramento. Nie na środkowo zachodni region biura.

Czemu w ogóle ją to nie dziwiło?

- Czyja to sprawa?

- Formalnie rzecz biorąc, Kathryn, nie nasza.

- Daj spokój. Nie można dłużej grać tej komedii. Foster jest tutaj w związku z Wątkiem Guzmana. Nie ma nic wspólnego z moją sprawą.

- Sprawą O'Neila. Sprawą MCSO. Nie...

- Charles! Mniejsza z tym. Pójdę z nim porozmawiać.

- Myślisz, że to dobry po...

Ale już szła korytarzem. I skręciła do pokoju grupy specjalnej do sprawy Guzmana. Chwilę potem w drzwiach pojawił się Overby.

- Cześć - powiedział Jimmy Gomez.

- Steve. - Obaj mężczyźni o tym imieniu odwrócili głowy, ale Dance utkwiała wzrok w Fosterze.

- To było nieporozumienie - rzekł zwalisty agent i ponownie skierował uwagę na monitor komputera. Nie próbował nawet zaprzeczać.

- Uzgodniliśmy przecież, że nie będziemy podawać do wiadomości rysopisu. Nie chcieliśmy nawet mówić, że to śledztwo w sprawie zabójstwa.

- Powiniennem wyrażać się jaśniej, kiedy rozmawiałem ze swoimi ludźmi w Sacramento - odburknął. - Uprzedzić ich, żeby nie kontaktowali się z mediami.

- Kto to był? - zapytała Dance.

- Hm, trudno powiedzieć. Nie wiem, co się stało. Zagadka. Przykro mi.

Wcale nie wydawał się zakłopotany sytuacją ani tym bardziej skruszony.

- O co chodzi? - spytała flegmatyczna Carol Allerton, gwiazda DEA. Dance przypomniała jej o dyskusji na temat ujawnienia rysopisu sprawcy. Mówiąc, nie odrywała wzroku od Fosterza.

- I to trafiło do mediów? - upewniła się Carol Allerton. - Aj. - Jej reakcja wskazywała, za którą opcją byłaby skłonna się opowiedzieć.

- Trafiło do mediów - potwierdził Overby, ściągając usta.

- Dlaczego w ogóle o tym rozmawiałeś z kimś z Sacramento? - zwróciła się do Fosterza Dance. - To śledztwo regionu środkowo-zachodniego. Nasze.

Nie był przyzwyczajony do krzyżowego ognia pytań.

- Chyba chcesz powiedzieć, śledztwo biura szeryfa w Monterey.

- W każdym razie nie śledztwo Sacramento. - Mocno zacisnęła usta.

- Przykro mi. Powiedziałem komuś, ten ktoś przekazał prasie. Powiniennem uprzedzić, że nie wolno puszczać farby. Dali ciała. Ale z drugiej strony, jeżeli popatrzeć na to optymistycznie, ktoś już na pewno namierzył ewentualnych kandydatów. I to zgłosi. Lada chwila. Niewykluczone, że jeszcze dzisiaj będziesz go miała, Kathryn.

- Dzisiaj rano Michael i ja wysłaliśmy wszystkie patrole na półwyspie, żeby zaczęły sprawdzać miejsca, w których mógłby przeprowadzić następny atak. Pracują przez cały dzień. Centrum handlowe, kościoły, kina. Nie wiem, czego teraz będą szukać. Jeżeli sprawca słuchał tych samych wiadomości, co ja, nie znajdą żadnego ciemnowłosego mężczyzny w zielonej kurtce.

Foster nie zamierzał dawać za wygraną.

- Zakładacie z góry, że sprawca spróbuje jeszcze raz. Macie na to jakiś dowód?

- Żadnego konkretnego. Ale w mojej ocenie istnieje duże prawdopodobieństwo. -

Z pewnością nie zamierzała ryzykować i przyjmować założenia, że nie będzie kolejnych ataków.

Foster nie musiał powtarzać swojego zdania na temat zdolności Dance do dokonywania ocen.

- Pewnie mówimy o czysto hipotetycznej sytuacji - stwierdził. - Facet jest już tysiąc kilometrów stąd.

## ROZDZIAŁ 20

Antioch March w ciągu trzech lat cztery razy zmieniał kierunek studiów na dwóch uczelniach. Trudności w skupieniu uwagi, nuda, no i oczywiście Płód kazały mu zmieniać wydziały (a w rezultacie opuścić uniwersytet Northwestern i Chicago bez dyplomu, chociaż mógł się pochwalić prawie nieposzlakowaną kartą przebiegu studiów).

Mimo to w trakcie różnych zajęć zdobył pewne wiadomości. Właśnie myślał o jednej z takich informacji, przypominając sobie neogotycką salę, której okna wychodziły na północny brzeg jeziora Michigan. Zajęcia z psychologii. Był zaintrygowany, gdy dowiedział się, że istnieje tylko pięć podstawowych lęków.

Na przykład strach przed rekinami, ten szczególnie go interesował. Jest niczym więcej, tylko podkategorią lęku przed okaleczeniem: przed uszkodzeniem albo utratą części ciała. Ogólniej mówiąc, to strach przed zranieniem.

Cztery pozostałe lęki: przed śmiercią fizyczną, przed śmiercią ego (zażenowaniem i wstydem), przed rozłąką (z mamą, narkotykami, które tak chciwie wdychamy, z kochankiem) oraz przed utratą niezależności (od klaustrofobii w sensie fizycznym po zdominowanie przez agresywnego małżonka).

Przypomniał sobie zimny listopadowy dzień, kiedy usłyszał o tym na wykładzie. Był naprawdę zafascynowany.

Teraz zamierzał zrobić dobry użytek z kilku z nich. Lęku przed fizyczną śmiercią, przed okaleczeniem i utratą niezależności, połączonych w jednym. Następnym celem miało być kino.

Zaparkował samochód przed pasażem handlowym około stu metrów od Marina Hills Cineplex, tuż przy drodze numer jeden w Marinie. Właśnie szedł w stronę multipleksu.

Czyż to nie miła chwila, kiedy przygasają światła, kończą się zwiastuny najbliższych premier i zaczyna się film? Czekamy na porcję radości, zabawy, strachu - śmiechu albo płaczu. Dlaczego kino bije na głowę Netflix i telewizje kablowe? Bo na jakiś czas znika rzeczywistość.

Dopóki z impetem nas nie zaatakuje.

W formie dymu albo wystrzałów.

A wówczas miła chwila zmienia się w pułapkę.

Lęk przed fizyczną śmiercią, lęk przed okaleczeniem i najwspanialszy ze wszystkich lęk przed utratą niezależności - kiedy rządy przejmuje tłum. Stajesz się bezbronną komórką istoty, mającej jedyny cel - przetrwanie. Ale dla osiągnięcia tego celu jest gotowa poświęcić część samej siebie: komórki, które zostaną zdeptane, uduszone albo zmienione na zawsze, gdy złamią kręgosłupy albo zostaną przebite własnymi żebrami.

March przyjrzał się budynkowi Marina Hills Cineplex, zatrzymując wzrok na parkingu, głównym wejściu i wejściach technicznych. Był to jeden ze starszych multipleksów w okolicy, pochodzący z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku - składał się tylko z czterech sal z miejscami od trzystu do sześciuset. Wyświetlał premiery, od czasu do czasu jakiś niszowy film artystyczny i konkurował z gigantem w Centrum Del Monte niższymi cenami biletów (jeżeli miałeś pięćdziesiąt dziewięć lat, zyskiwałeś status seniora, co ty na to?) i darmowym serem w proszku do popcornu (który i tak sprzedawano za drogo).

Wiedział o tym, ponieważ po spotkaniu z organizacją charytatywną, działającą na rzecz ofiar tsunami w Indonezji (jako przedstawiciel strony „Dłoń sercu”), obejrzał film pod tytułem Kiedy jest sama, krwawy horror, całkiem niezły - jak w wielu produkcjach tego typu powstających współcześnie, w epoce taniej technologii, efekty specjalne były dobre, a aktorstwo znośne. Znalazł parę pomysłowych motywów (na przykład witraże: kolorowe odłamki szkła okazały się ulubioną bronią mordercy).

Uważnie przyjrzał się też wyjściom. Każdą salę widzowie mogli opuścić tylko dwiema drogami: wejściem, które prowadziło do wąskiego korytarza połączonego z holem, oraz wyjściem ewakuacyjnym w głębi. To ostatnie zostało zamknięte podwójnymi drzwiami, na tyle szerokimi, by pomieścić tłum ludzi, którzy pragną uciec z sali... o ile ten tłum jest dość zdyscyplinowany.

Dziś jednak tylne wyjście będzie wyłączone z użytku.

Sześćset osób pędzących przez pojedyncze drzwi do holu.

Doskonale.

Bacnie przyglądał się parkingowi, zwracał uwagę na kosze na śmieci, słupy latarni i przede wszystkim mamą zieleni - doskonały kamuflaż.

Dobrze, czas zabrać się do pracy.

Zarzucił na ramię sportową torbę i mszył w stronę kina. Było jeszcze dość wcześnie i o tej porze budynek świecił pustkami. Kilka samochodów pracowników zgodnie z przepisami stało w głębi parkingu.

Akurat jakiś wóz skręcił na parking i podjechał do kina od tyłu, niedaleko Marcha. Mężczyzna, który z niego wysiadł, wysoki, ze sporą łysiną, mszył w stronę tylnego wejścia dla personelu, wysupłując z kieszeni klucze. Zerknął na Marcha i znieruchomiał.

Jego wzrok przesunął się po zielonej kurtce, firmowym logo, czarnych spodniach, czapce, ciemnych okularach.

Ten wzrok wyjaśniał wszystko.

Ktoś go zauważył pod Solitude Creek. Domyślił się, że w wiadomościach podano jego rysopis.

Niech to szlag. Był pewien, że poprzedniego wieczoru nikt go nie widział, gdy okrążał parking, wsiadał do ciężarówki i podjeżdżał pod drzwi. Kiedy rozpałał ogień w pobliżu klimatyzatora klubu. Zaraz potem się przebrał, ale w ciągu dwudziestu minut, jakie upłynęły do tamtej chwili, ktoś mógł go zauważyć w ubraniu roboczym, które właśnie miał na sobie.

Mężczyzna wyjął z kieszeni telefon.

Wiej, powiedział sobie March. Natychmiast.

Zawrócił. I w tym momencie zauważył coś jeszcze. W cieniu na pobliskim trawniku stał zaparkowany nieoznakowany wóz policyjny. Skierowany przodem dokładnie w stronę kina. Gdyby March poszedł jeszcze pięć metrów dalej, funkcjonariusz w środku by go zobaczył. A jeżeli został rozpoznany przez pracownika kina, policja z pewnością miała jego rysopis.

Szczęście. Ocalił go łut szczęścia.

Wolnym krokiem zmierzając w stronę pasażu handlowego, gdzie sto metrów dalej stał jego samochód, zauważył, że policjant nie patrzy w jego stronę. Możliwe, iż nastąpiło jakieś opóźnienie albo wręcz błąd w przekazaniu funkcjonariuszowi informacji, że widziano tu podejrzanego.

Gdyby pracownik kina albo policjant próbowali go śledzić, musiałyby wyjąć z torby glocka i go użyć. Minął skrzyżowanie i dopiero wtedy rozpiął torbę, zacisnął

dłoń na rękojeści pistoletu i się odwrócił.

Nie. Nikt za nim nie szedł.

Zdjął zieloną kurtkę, wepchnął ją do torby i pobiegł sprintem. Wskoczył do szarej hondy accord i uruchomił silnik, zanim zamknęły się drzwi. Ciężka torba z narzędziami leżała na fotelu pasażera, więc zadziałał ostrzegawczy brzęczyk przypominający o zapięciu pasów. Wolno sunąc podjazdem, zdjął torbę z siedzenia i postawił na podłodze. Musiał bardzo ostrożnie obchodzić się z jej zawartością. Brzęczyk umilkł.

Marcha ogarnęła fala gniewu, że odmówiono mu dostępu do kina, idealnego miejsca na drugi atak zainspirowany przez telewizyjnego „korespondenta z miejsc katastrof”, którego słuchał po seksie z Calistą: *To, co zrobił ten człowiek, można porównać z klasyczną sytuacją, kiedy ktoś krzyknie „Pożar!” w zatłoczonym kinie.*

Owszem, był zły. Ale jadąc powoli wśród innych pojazdów, zerknął w lusterko wsteczne i coś zauważył. Uznał, że być może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Zatoczył koło i zatrzymał się na wolnym miejscu niedaleko kina, sprzed którego właśnie odjechał; miejsce było doskonałe do jego celu. I okazało się, że również dobre do innego planu: kto rano o tej porze nie miałby ochoty na McMuffina z jajkiem i kubek gorącej kawy?

## ROZDZIAŁ 21

Kathryn Dance weszła do Babskiego Skrzydła.

Była to część budynku środkowo-zachodniego regionu CBI zajmowana, całkiem przypadkowo zresztą, przez cztery kobiety, które tu pracowały: Dance, Connie Ramirez, najbardziej zasłużoną agentkę CBI w biurze, Grace Yuan, administratorkę, oraz Maryellen Kresbach.

Nazwa skrzydła pochodziła od pewnego agenta, który użył jej po raz pierwszy, kiedy oprowadzając po biurze swoją dziewczynę, chciał zrobić na niej wrażenie. Powodem jego odejścia z CBI prawdopodobnie nie były powtarzające się akty wandalizmu w jego gabinecie, w którym pojawiały się artykuły kobiecej higieny osobistej, ale Dance lubiła myśleć, że walnie się do tego przyczyniły.

O ironio, kobiety jednogłośnie postanowiły zachować tę nazwę. Jako powód do dumy.

I ostrzeżenie dla innych.

Przyjęła od Maryellen kubek kawy, podziękowała i zwędziwszy jedno z niewiarygodnie pysznych ciastek jej roboty, poszła do swojego gabinetu.

- Ładne buty. No dobrze, fantastyczne. - Maryellen przyglądała się jej sandałkom Stuart Weitzman Filigree z brązowej skóry (Dance była dumna, że udało się je kupić za mniej niż połowę ceny). Pasowały do długiej czekoladowej spódnicy. Miała dziś na sobie jeszcze prążkowany sweter w kolorze złamanej bieli i czarną sportową

marynarkę. Ustępstwem na rzecz koloru była gumka, którą Maggie ściągnęła francuski warkocz matki. Jasnoczerwona.

Podziękowała za komplement - Maryellen potrafiła rozpoznać obłędne buty.

W gabinecie usiadła za biurkiem, myśląc, że powinna coś wreszcie zrobić ze skrzypiącym krzesłem, by po chwili jak zawsze o tym zapomnieć.

Właśnie wróciła z Marina Hills Cineplex, gdzie widziano człowieka podejrzanego o spowodowanie tragedii w Solitude Creek. Kierownik kina zauważył mężczyznę ubranego zgodnie z opisem podanym przez świadka, mniej więcej takiej samej budowy ciała. Podejrzany zorientował się, że został rozpoznany, i uciekł, potwierdzając tym samym, że jest sprawcą.



Dance i inni szukali świadków, nie znaleźli jednak nikogo więcej, kto widział tego mężczyznę. Nie zauważono żadnych pojazdów, nie podano bardziej szczegółowego rysopisu. Zmartwiła ją wiadomość, iż przed kinem stał jeden z radiowozów poszukujących sprawcy; zastanawiała się, czy przez to, że Steve Foster „przypadkowo” ujawnił rysopis podejrzanego, kierownik go nie spłoszył, zanim mężczyzna pojawił się w polu widzenia funkcjonariusza.

Pomyślała, że czasem błędy i nieostrożność kolegów, ale też własne, mogą być tak samo niebezpiecznym przeciwnikiem jak sprawcy, których ścigasz.

Oczywiście porażka była frustrująca. Ale bardziej zaniepokoiło ją prawdopodobieństwo następnego ataku. I to nie tysiąc kilometrów stąd, szanowny Stevie Numer Jeden. Może podejrzany uciekł z wybrzeża zatoki Monterey, skoro już wiedział, że go widziano. Z pewnością zamierzał zmienić wygląd lub przynajmniej pozbyć się rzeczy, które wcześniej miał na sobie. Ale czy nadal był zdecydowany znowu uderzyć? Dance wysłała drugi komunikat do miejscowych służb, aby przestrzegły szefów wszystkich większych sal w okolicy, że potwierdzono próbę drugiego ataku.

Sięgnęła po telefon, by zadzwonić do Michaela O'Neila, ale przeszkodził jej TJ Scanlon. Miał na sobie T-shirt z napisem „Beck” (a nie, jak można było przypuszczać, „Grateful Dead”), dzinsy oraz sportową marynarkę w paski. Była w stylu epoki Lata Miłości i mogła rzeczywiście pochodzić z lat sześćdziesiątych; TJ gromadził w swoim hipisowskim domu w Carmel Valley przedmioty związane z kontrkulturą i stylem życia epoki, która skończyła się na długo przed jego narodzinami.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej.

- Oho, szefowo. Bardziej nawet niż oho. Coś się stało?
- Nie słyszałeś? Nasz przyjaciel z Sacramento ujawnił rysopis sprawcy.
- Rany. Foster?
- Aha. I ktoś widział podejrzanego.
- Dobra wiadomość, chociaż sądząc po twojej minie, chyba jednak niedobra.
- Bo zobaczył tego, kto go zobaczył, i zniknął.
- Cholera. Czyli dał dyla z miasta.
- Albo został mistrzem błyskawicznej przemiany - kto wie? Buty na koturnie.

Ufarbowane włosy. Nowy strój. Poza tym - dodała ponuro - może nie zrezygnował i bierze na cel inne miejsce. Właśnie w tym momencie. Zanim zdążymy przegrupować siły.

Powiedziała mu o kinie, gdzie sprawca zapewne planował przeprowadzenie nowego ataku.

Młody człowiek pokiwał głową.

- W sam raz dla niego. Zatłoczony multipleks.

Zerknęła na teczkę, którą trzymał agent.

- Może się przyda - rzekł TJ. - Namierzyłem tę dziewczynę. Trish.

Dance powierzyła mu zadanie odnalezienia nastolatki, którą poznała na miejscu zdarzenia przed Solitude Creek.

- Michelle Cooper, jej matka, zginęła w klubie. Córka nazywa się Trish Martin. Nazwisko ojca.

Tak jak Maggie i Wes nosili nazwisko Swenson.

- Dziewczyna ma siedemnaście lat. Nie znam numeru jej komórki, ale tu jest domowy numer matki. Na Seventeen Mile Drive - dodał.

Dance знаła już scenariusz. Mąż zdradza żonę, ta go przyłapuje, więc buli za dom w najbardziej eleganckiej dzielnicy Pebble Beach.

- Masz adres i numer ojca? Pana Życzliwego. Pewnie córka jest teraz u niego.

- Przepraszam, nie szukałem. Sprawdzić?

- Najpierw spróbuję zadzwonić pod numer matki.

Jak się okazało, nie udało się jej przeprowadzić żadnej rozmowy.

- Halo? - odezwał się męski głos. Opryskliwy. Cholera, od razu wiedziała, kto to.

- Dzwonię do Trish Martin.

- Kto mówi?

Niestety, trzeba było grać uczciwie.

- Agentka Kathryn Dance, Biuro Śledcze Kalifornii. Pan Martin? Jestem...

- Tak, poznałem panią. Pamiętam. Skąd pani wiedziała, że tu jestem?

Dziwne pytanie.

- Nie wiedziałam. Zadzwoiłam do Trish. Muszę koniecznie z nią porozmawiać.

Mam nadzieję...

- Dlaczego?

- Są nowe ustalenia w śledztwie. Drzwi w klubie Solitude Creek zostały zablokowane celowo. Pańska żona i inne osoby są więc ofiarami zabójstwa, nie wypadku.

Chwila ciszy.

- Słyszałem. Podawali to w wiadomościach. Szukają jakiegoś człowieka. Robotnika czy kogoś takiego.

- Zgadza się. I sprawdzamy, czy ktoś mógł go widzieć. Pańska córka wydaje się inteligentną i spostrzegawczą osobą. Mam nadzieję-••

- Jest teraz za bardzo wytrącona z równowagi.

- Rozumiem, że to trudne chwile dla niej i dla całej pańskiej rodziny. Ale koniecznie musimy zrozumieć, co się tam stało.

- W takim razie będziecie sobie musieli poradzić bez mojej córki.

- W tle odezwał się inny głos. Martin, odsuwając usta od słuchawki, powiedział: - Nikt. Nie przerywaj, kochanie.

To pewnie Trish. Dance przypuszczała, że zamierza przeprowadzić się do ojca. Prawdopodobnie się pakowała.

- Panie Martin, specjalizuję się w przesłuchaniach. Rozmawiałam z setkami nastolatków, często w traumatycznych sytuacjach. Przyrzekam panu, że będę pamiętać o stanie psychicznym Trish i potraktuję ją bardzo delikatnie. Nie...

- Jeżeli jeszcze raz do nas pani zadzwoni - warknął - postaram się o sądowy zakaz kontaktowania się z nami.

- Hm, panie Martin, naprawdę nie ma takiej procedury, z której mógłby pan skorzystać, żeby to zrobić. Może cofnijmy się do początku i...

Rzucił słuchawką.

Ciekawe, czy jedną z przyczyn rozwodu, oprócz zdrady, nie była przemoc psychiczna wobec małżonki.

TJ patrzył na nią.

- Skreśl ją z listy. Zresztą pewnie i tak nic nie widziała. Mimo to...

- Korci cię, szefowo.

Rzeczywiście korciło.

- Świadkowie powiedzieli jeszcze coś ciekawego?

TJ rozmawiał z osobami, które były wtedy w klubie, w poszukiwaniu informacji,

prawdopodobnych motywów i podejrzanych.

- Nic na temat zemsty pracownika albo zdegustowanego klienta. Pomyślałem, że sprawdzę, czy motywem nie była na przykład chęć ukarania kogoś z zespołu albo zniszczenia kariery.

- Dobrze. - O tym nie myślała.

- Ale chyba nic z tych rzeczy. Świat muzyki jest dzisiaj słabutki - zyski są za małe, żeby kogoś mordować i wybić się jego kosztem. Szefowo, tak się zastanawiam, czy „zgustowany” znaczy „zadowolony”.

Dance poszperała w szufladzie i znalazła starego timeksa na baterie. Włożyła zegarek na rękę i sprawdziła godzinę. Ścisząc głos, spytała:

- Jak sytuacja z Serranem?

- Za jakąś godzinę - odrzekł. - Już gotowe. Właśnie rozmawiałem z Alem Stemple'em.

Stemple, potężnie zbudowany, małomówny i budzący grozę mężczyzna, był funkcjonariuszem CBI najbardziej przypominającym kowboja. Ściślej mówiąc, Johna Wayne'a. Agent śledczy specjalizował się w operacjach taktycznych. Zważywszy na niestabilną sytuację w sprawie Serrana, uważano, że najlepiej będzie włączyć do niej siłacza CBI.

TJ wstał i wyszedł z gabinetu. Dance była pewna, że wyczuwa pozostawioną przez niego woń płynu po goleniu albo wody kolońskiej o zapachu paczuli.

Wdechowo...

Kilka minut później akurat spojrzała na drzwi, kiedy pojawił się w nich Michael O'Neil. Miał na sobie ciemną marynarkę w kratę, granatową koszulę i dżinsy. Wydawało się jej, że od rozwodu jego ubrania są starannie wyprasowane niż w czasach małżeństwa z Annę, która nie cieszyła się sławą królowej obowiązków domowych. Chociaż może to tylko wyobraźnia płatała jej figle.

- Widziałem się z TJ-em. Mówił, że od świadków nic się nie dowiedział?

- Nic. Przesłuchaliśmy chyba siedem ósmych z ludzi, którzy byli wtedy w klubie. Nikt nie zauważył żadnych potencjalnych sprawców.

- Powiedziała mu, że TJ wziął też pod uwagę zawistnych muzyków.

- Dobra myśl.

- Ale nie ma punktu zaczepienia. Wiadomo coś więcej o kinie?

- zapytała.

- Nie. Rozmowy ze świadkami, przegląd zapisów z monitoringu. Żadnego pojazdu. Co to było z ujawnieniem rysopisu? Overby?

Wydeła usta.

- To wyszło od Steve'a Fostera. Człowiek od nas - z CBI - z Sacramento. Twierdzi, że tak się stało przez przypadek. Zrzuca winę na, cytuję, „kogoś” ze swojego biura. Ale to on jest źródłem przecieku. Na pewno chodzi o jakąś grę o władzę.

- Rany.

- Ale to nie jego sprawa. Nic go nie obchodzi.

- Myślisz, że ten nasz dał nogę?

- Na jego miejscu bym uciekła. Ale nigdy nie wywołałam paniki w klubie i nie zabiłam trzech osób. Nie wiem, co nim kieruje. Może być już w Missouri albo w stanie Waszyngton. A może planuje atak na oceanarium.

Kiwając głową, O'Neil wyjął z aktówki cienką szarą teczkę z metalową klamrą u góry. Wewnątrz tkwiło kilkanaście kartek papieru.

- Z kryminalistyki. Pracują non stop. Nic dziwnego, nasz sprawca jest niezły. Używał rękawiczek z tkaniny.

Rękawiczki z lateksu uniemożliwiają pozostawienie odcisków palców sprawcy na tym, czego dotyka na miejscu zdarzenia, ale nic nie uniemożliwia pozostawienia odbitek linii papilarnych wewnątrz rękawiczek. Nieostrożni sprawcy często się ich pozbywają, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Rękawiczki z tkaniny natomiast ani nie pozostawiają, ani nie zachowują wewnątrz odcisków palców.

- Znalaziono odciski na breloczku z kluczykami do peterbilta - ciągnął O'Neil - ale żadnego nie da się zidentyfikować oprócz odcisków kierownika i kierowcy. Na skrzynce wrzutowej nie było żadnych śladów. Brak odcisków butów. Nic w beczce na ropę, zresztą ogień i tak zniszczył wszystko, co nadawałoby się do analizy.

- Przyszło mi do głowy, że chyba trudno prowadzić taką dużą ciężarówkę - powiedziała Dance. - Można w ten sposób zawęzić pole poszukiwań? Znaleźć kogoś, kto niedawno skończył kurs?

- Mnie też przyszło to do głowy. Ale sprawdziłem w sieci. Wystarczyłoby pół godziny, żeby się nauczyć podstaw, nawet bez doświadczenia. Taki kierowca bez

praktyki pewnie nie umiałyby cofać ani jeździć z ładunkiem, ale ten musiał po prostu zjechać w prostej linii pod budynek klubu.

Internet... można się z niego nauczyć wszystkiego, od konstruowania bomby z nawozów po pieczenie ciasta z wiśniami, aby uczcić udane wysadzenie celu w powietrze.

O'Neil zajrzał do teczki.

- W okolicy nie ma żadnych kamer. Rzeczka jest za płytka, żeby pływać po niej czymś większym, zresztą szukając świadków, nie znaleźliśmy żadnych wędkarzy. Nie było też zgłoszenia kradzieży żadnego kajaku czy kanadyjki. - Myślał tak samo jak ona.

Rozległ się sygnał jej telefonu: wiadomość od TJ-a. Sprawa Serrana. Odpisała „KK”. Nowy esemesowy komunikat oznaczający „zrozumiałem i zgadzam się”. Pojedyncze K nie wystarczało. Nauczyła się tego od syna, Wesa. Wspomniała o tym O'Neilowi. Skinął głową.

- Moje dzieci często też mówią „amen”. Wyrażając zgodę. Zauważyłaś coś takiego?

- Ja słyszę „na bank szwajcar”. W sensie „naprawdę”. I jeszcze „coś”.

- „Coś”?

Chciała mu powiedzieć, że pierwszy raz usłyszała takie wyrażenie, kiedy Maggie rozmawiała przez telefon ze swoją koleżanką Bethany, którą poinformowała: „Aha, mama i Jon to chyba coś”. Ale zamiast tego wytłumaczyła detektywowi:

- Wydaje mi się, że znaczy „fenomen”. Niezwykła czy osobliwa rzecz. Ważna.

Ciekawe, czy wyczuł jej wahanie i zwrócił uwagę na zbyt szczegółowe wyjaśnienie.

- „Coś” - powtórzył. - Lepsze niż „fenomen”. Martwiłbym się, gdyby w słowniku moich dzieci pojawiło się takie słowo.

Parsknęła śmiechem.

Michael O'Neil nie był typem gaduły. Dla niego to czcza paplanina.

Dance spojrzała na teczkę z raportem o zabezpieczonych śladach.

- Ach, zapomniałam. Przepraszam, że musieliśmy odwołać wyprawę na ryby.

O'Neil żył dla swojej łodzi, którą wypływał na zatokę Monterey co najmniej raz w tygodniu. Często zabierał na pokład swoje dzieci i dzieci Dance. Ona też kilka

razy im towarzyszyła, ale połączenie jej błędnika z falami morskimi nie było dobrym pomysłem. Jeżeli nie zadziałały dramamine i plaster ze skopolaminą, spędzała rejs przechylona za burtą, co było nieprzyjemne dla wszystkich obecnych. I wycieczkę musieli skrócić. Rozmawiali o spędzeniu dnia na wodzie w zeszły weekend, ale zanim sprecyzowali plany, Dance i Boling postanowili zabrać dzieci do San Francisco. Nie zdradziła O'Neilowi, dlaczego odwołali rejs. Podejrzewała, że się domyślał. Ale nie pytał.

Parę minut rozmawiali o dzieciach, o planach na ferie wiosenne. Wspomniała o zbliżającym się konkursie talentów w szkole, w którym miała wziąć udział Maggie.

- Będzie grała na skrzypcach?

Instrument Maggie. Była bardziej muzykalna od matki, która nieźle radziła sobie z gitarą, ale nie czuła gryfu pozbawionego progów.

- Nie, będzie śpiewać.

- Ma wspaniały głos. - Pokiwał głową. - Pamiętam, jak zabrałem dzieciaki na *Lego: Przygodę*. Kojarzysz piosenkę *Życie jest czadowe*<sup>1</sup>? Śpiewała ją przez całą drogę do domu. Nawiasem mówiąc, znam ją na pamięć. Kiedyś ci zaśpiewam.

- Będzie śpiewać piosenkę z *Krainy lodu*.

- *Mam tę moc*. Też znam. - Samotne rodzicielstwo i opieka nad dziećmi potrafią wpłynąć łagodząco nawet na najtwardszego detektywa od najcięższych przestępstw. O'Neil przyglądał się jej badawczo.

- Co się stało?

Uświadomiła sobie, że marszczy czoło.

- Jest niespokojna przed tym konkursem. Zwykle nie można jej utrzymać za kulisami, ale teraz ma dziwne opory.

- Śpiewała już kiedyś publicznie?

- Tak. Kilkanaście razy. Nigdy wcześniej nie miała takiego dobrego głosu. Zamierzałam namówić ją na lekcje, ale ni stąd, ni zowąd oświadczyła, że nie chce. Ich nastroje zmieniają się jak w kalejdoskopie. Przez jakiś czas Wes był przygnębiony, a Maggie dokazywała jak Bella. Przeszcześliwa. Teraz jest odwrotnie. - Wyjaśniła, że to może być traumatyczna reakcja na śmierć jej męża.

- Wiem, że Bill zginął mniej więcej o tej porze roku - powiedział cicho.

Dobrze znał Billa Swensona; od czasu do czasu razem pracowali.

- Myślałam o tym. Ale kiedy dzieci nie chcą puścić pary z ust...

O'Neil, który miał dzieci w podobnym wieku, rzekł:

- Mnie nie musisz tłumaczyć. Ale trzeba być upartym.

Skinęła głową.

- To co, w niedzielę o siódmej? Chcesz przyjść z dziećmi? - Poszperała w torebce. - Hm. W samochodzie mam setkę ulotek z informacją o jej występie. Myślałam, że przynajmniej jedną będę miała przy sobie. - Zatrzasnęła torebkę Coach.

- Umówimy się, że dam ci jeszcze znać, dobrze? Może się zdarzyć, że będziemy mieli inne plany. Mogę kogoś przyprowadzić?

- Oczywiście.

Czyżby z kimś się spotykał? - pomyślała. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz rozmawiali na tematy towarzyskie. Czy raczej osobiste. Dlaczego nie miałyby się z kimś spotykać? Rozwiódł się przecież już jakiś czas temu. Był przystojnym, wysportowanym mężczyzną, miał świetną pracę. Był zabawny, miły... i wychowywał dwójkę uroczych dzieci, którymi jego ekszona mieszkająca w San Francisco mało się interesowała.

Matka Dance nazywała go „Połów”, bo lubił wędkować... i warto go było złowić.

Spojrzała na tarczę Timeksa.

- Muszę jechać w teren.

- W związku z naszą sprawą?

- Nie. Inną.

Westchnął, zerkając na jej biodro, gdzie zwykle spoczywała broń.

- Jadę z tobą.

- Tam nie. Nie martw się, wszystko w porządku. Będę miała obstawę. Sprawa jest delikatna. Muszę ją załatwić w szczególny sposób. - Niewiele brakowało, żeby dodała: „to naprawdę coś”, ale widząc zaniepokojenie na twarzy O'Neila, wiedziała, że teraz nie jest dobry moment do żartów.

1

Tytuł polskiej wersji piosenki Everything Is Awesome z filmu The Lego Movie (przyp. tłum.).



## ROZDZIAŁ 22

Charles Overby poklepał wałek tłuszczu nad paskiem. Nie było szczególnych powodów do niepokoju, wiedział jednak, że musi ograniczyć przekąski, które trochę zbyt beztrosko pakował w siebie w barze po golfie. Może przeczuci się na czerwone wino. Chyba miało mniej kalorii niż białe.

Nie, lepiej szprycer. Oczywiście po martini. I żadnego dipu z karczochów. To najgorsze diabelstwo.

Na jego biurku leżały starannie uporządkowane pliki dokumentów - oznaka zdrowego umysłu i ciała, jak często mawiał. Najbardziej martwił go stos papierów, na którego szczycie leżała kartka z nagłówkiem: „Raport ze zdarzenia: Joaquin Serrano”. W szarych polach formularza rzuciły mu się w oczy słowa „Kathryn Dance”, a także „Środki dyscyplinarne”.

Jego telefon zasygnalizował nadejście wiadomości, którą przeczytał, i kręcąc głową, wstał. Zastanawiał się, czy włożyć marynarkę, ale dał sobie spokój.

Na korytarzu poczuł specyficzny zapach środka do czyszczenia - niedawno zaczął go używać personel sprzątający. Dlaczego to sobie uświadomił? Z powodu śledztwa. Drobne szczegóły odwracały uwagę od zmartwień.

*Serrano...*

W sali konferencyjnej zajmowanej przez grupę do sprawy Guzmana siedziała samotnie Carol Allerton, wyciskając resztki życia z torebki herbaty rumiankowej. Przechylała się na prawo, żeby ani kropla nie spadła na dziesiątki leżących przed nią papierów. Pod względem dbałości o służbowe dokumenty też była osobą uporządkowaną.

- Cześć, Charles.

- Gdzie reszta?

- Obaj Steve'owie w Salinas. FBI przysłało do miasta kogoś z ich grup specjalnych w Oakland. Chcą się go poradzić.

- Spotkania, spotkania, spotkania. - W głosie Overby'ego dało się wyczuć znudzenie, ale nie pogardę. - A Jimmy?

- Powiedział, że ma trop w innej sprawie, nad którą pracował, zanim jeszcze zabraliśmy się do Guzmana.

- A my dostaliśmy trop w sprawie Serrana. - Pokazał telefon, na którym przed chwilą przeczytał wiadomość. Zerknęła na aparat, być może zastanawiając się, po co ta prezentacja. - Trzeba działać.

- Namierzyli Serrana?

- Aż tyle szczęścia nie mieliśmy. Ale TJ znalazł faceta, który zna Serrana.

- Kto to jest?

- Nie zdradził mi nic więcej, poza tym, że człowiek nie jest z gangu. Pracował z Serranem albo z jego bratem czy kimś innym. Malarz, pokojowy. Może wiedzieć, gdzie się ukrywa Serrano.

- Naprawdę? - Agentka miała gardłowy i zmysłowy głos. Overby, żonaty od zawsze z tą samą kobietą, zwrócił uwagę na jej ton zupełnie obiektywnie.

- Powinnaś się tym zająć. Zamierzam zadzwonić do Sacramento i bardzo bym chciał im zakomunikować, że jesteśmy coraz bliżej zatrzymania Serrana.

Pewnie Allerton myśli: przede wszystkim dlatego, że to region środkowo zachodni CBI pozwolił mu uciec.

- Gdzie jest ten człowiek?

- W Seaside. TJ mówi, że pracuje w nocy. Nazywa się Tomas Allende.

- Nie brzmi za bardzo z meksykańska. - Allerton mówiła z roztargnieniem.

- Nie wiem. A jak brzmi?

- Co? No, z hiszpańska.

- Tu jest adres. Zabierz ze sobą Ala Stemple'a. Nie ma powodu przypuszczać, że facet będzie wrogo nastawiony, ale i nie ma co zakładać, że nie będzie. Zadzwonię do Ala. - Wcisnął odpowiednie przyciski.

Allerton wstała i wygładziła obcisłą szarą spódnicę. Ona też miała trochę tłuszczu nad paskiem. W innych okolicznościach Overby porozmawiałby o tym, jak trudno stracić te ostatnie pięć kilogramów. Okryła szerokie ramiona marynarką.

W jego telefonie odezwał się głos.

- Tak?

- Albert, tu Charles. Chcę, żebyś pojechał z agentką Allerton sprawdzić trop w sprawie Serrana... Zgadza się... Nie wiem, na parkingu? - Spojrzał na nią pytająco. Skinęła głową. - Dobrze. Za chwilę. - Rozłączył się. - Powodzenia - rzekł Overby i wycofał się do swojego gabinetu.

## ROZDZIAŁ 23

Albertowi Stemple'owi mówiono, że często burczy, chociaż on wcale tak nie sądził. Niewiele mówił, uważał, że to niepotrzebne, więc odpowiadał zwykle monosylabami w rodzaju „hm” i „a”.

Być może uważano takie słowa za burknięcia. Skoro wygląda na faceta, który burczy, ludzie słyszą burknięcia.

Potęźnie zbudowany mężczyzna o pozbawionej włosów czaszce w kształcie jaja, choć bardziej lśniącej, stał z rękami skrzyżowanymi na piersi przed tylnym wyjściem z budynku CBI i przyglądał się parkingowi. Ponieważ Stemple był czymś w rodzaju brygady terrorystycznej biura, brał udział w większej liczbie strzelanin i miał na koncie więcej zatrzymań niż którykolwiek z innych agentów regionu, co spowodowało, że wyznaczono cenę za jego błyszczącą głowę.

Miał zwyczaj sprawdzania, co się dzieje w perspektywie ulicy i w ciemnych zaułkach.

Otworzyło się tylne wyjście z biurowca CBI i ukazała się w nim Carol Allerton, która powitała go skinieniem głowy, przyglądając się jego džinsom, czarnemu T-shirtowi oraz imponującej beretcie .45, bo Stemple uważał, że powinno się nosić tylko taką broń. Przypuszczał, że uwypuklona na biodrze szara marynarka Carol ukrywa maleńkiego glocka. Pewnie 26. Niezły. Jeżeli ktoś lubił strzelać z dmuchawek.

Kiedy z pewnym wahaniem spojrzała na jego twarz, Stemple domyślił się, że przypatruje się jego bliznom. Powinna zobaczyć twarze tamtych.

Skinął głową.

- Cześć - powiedziała Allerton.

- Jedziemy do Seaside. W sprawie tropu Serrana.

- Zgadza się.

- Hm. - Może to rzeczywiście brzmiało jak burknięcie. - Ja poprowadzę.

- Hej! - odezwał się kobiecy głos za ich plecami.

Z boku budynku wyszła Kathryn Dance. Zaparkowała tam swój samochód, szarego nissana pathfindera; tylną szybę zdobiły wzory wymalowane mokrymi nosami psów. Stemple lubił jej psy; będąc stałym gościem na Tarasie, dobrze je znał.

Dręczył Dance, żeby pożyczyła mu retrievera gładkowłosego na polowanie, z którego chciał przywieźć rodzinie ze dwie sprawione kaczki. Popęłnił błąd, wspominając o tym w obecności dzieci Kathryn; trudno opisać ich reakcję i wyraz oczu. To był czytelny sprzeciw w przeróżnych odcieniach.

Allerton patrzyła bez zainteresowania na Dance, która zbliżyła się do nich. Agentka CBI rozejrzała się po parkingu, zanim podeszła jeszcze bliżej.

- Cześć, Al.

Skinął głową.

- Carol, chcę z tobą o czymś pogadać. Właściwie z wami obojgiem.

- Jasne, Kathryn.

Stemple znów kiwnął głową. Może burknął.

- Słyszałam, że macie trop w sprawie Serrana. Znalaziono jakiś kontakt.

Agentka DEA zawahała się chwilę.

- Wiem, że tak - ciągnęła Dance. - TJ mi mówił. Jest moją wtyczką. Jedziecie teraz porozmawiać z tym człowiekiem?

Allerton wytrzymała jej spojrzenie.

- Tak.

- Chcę go przesłuchać - oznajmiła Dance.

- No...

- Znam to podwórko, Carol. Tego konkretnego człowieka nie, ale znam kręgi, w których się obraca. Dzięki temu mam dużą przewagę.

- Charles cię zawiesił - przypomniała Allerton.

Stemple patrzył, jak Dance zaciska usta.

- No dobrze, chcesz wiedzieć coś jeszcze? - Zerknęła na Stemple'a, po czym chyba uznała, że może iść za ciosem. - Nie znasz Charlesa tak dobrze jak ja. Wiesz, jak by to wyglądało, gdybym była mężczyzną i z Serranem stałoby się to, co się stało? Nie zdegradowałby mnie. Przykro mi to mówić, ale... - Pokręciła głową. - Przecież wiesz, o co mi chodzi, Carol. Wiesz, jak to jest.

Jej mina mówiła: tak, wiem. Kobiety w organach ścigania.

- Wszystko, czego się dowiem, pójdzie na twoje konto - dodała Dance. - I wiadomość o tym trafi aż do Waszyngtonu. A ja zniknę.

- Nie, to nie jest konieczne.

- Owszem, konieczne. Charles nie może wiedzieć, że brałam w tym udział. Zależy mi tylko na przymknięciu Serrana.

- Jasne. - Allerton pokiwała głową. - Rozumiem. Dyskrecja. Sub rosa.

Cokolwiek to znaczyło, Stemple zdołał się domyślić definicji.

Dance znów zerknęła na niego.

- Może już zostałam rzucona na pożarcie...

- Charles zrobiłby ci coś takiego? - W tym momencie Stemple nie umiał powstrzymać gniewnego pomruku.

- ...na pożarcie, ale jeżeli odzyskamy Serrana, Sacramento nie będzie się aż tak głośno domagać mojej głowy. To jedyna szansa, żebym zdążyła jeszcze coś uratować.

Allerton w zamyśleniu rozglądała się po parkingu, choć w odróżnieniu od Stemple'a nie szukała obiektów do zlikwidowania.

- Prawdę mówiąc, Kathryn, przydałaby mi się twoja pomoc. Nie jestem mistrzynią świata w przesłuchaniach.

- To co, umowa stoi?

- Stoi.

Dance zwróciła wzrok na Stemple'a.

- Mnie pytasz? Jestem tylko obstawą. Rób, co chcesz.

Podeszli do samochodu. Stemple zajął miejsce za kierownicą.

Wielki dodge ugiął się pod ciężarem jego ciała. Kobiety też wsiadły. Zawarczał silnik i z piskiem opon ruszyli z parkingu, kierując się na autostradę.

Pół godziny później Stemple skręcił na ulice Seaside i ruszył radiowozem po spękany asfalcie drogi, obrzeżonej trawą, przysypanymi kurzem krzakami i ogrodzeniami z rdzewiejącej siatki. Po stu metrach dotarli do osiedla, zbudowanego prawdopodobnie pół wieku wcześniej, złożonego z maleńkich bungalów i domów w stylu Cape Cod.

- To tutaj. - Allerton wskazała najbardziej odrapany, przechylony parterowy budynek, który ostatni raz malowano bardzo dawno temu. Kiedyś był biały. Dziś szary. Ogródek przed domem w połowie składał się z piasku, w połowie z żółknącej trawy. Spragniona ziemia, pomyślał Stemple. Wszystko było spragnione. Przez suszę. Najgorszą, odkąd sięgał pamięcią.

Wyłączył silnik. Wysiedli.

Stemple lustrował okolicę, gdy tymczasem agentki skierowały się w stronę drzwi. Allerton zapukała. Żadnej reakcji. Dance pokazała na taras z boku budynku. Ruszyły w tamtą stronę.

Obszedł dom, patrząc na sąsiednie zabudowania, i zastanawiał się, po co ktoś przykleił w oknie wielki plakat ze stokrotką. To miała być osłona przeciwsłoneczna? Nie bardziej pasowałby słonecznik?

Przede wszystkim jednak szukał zagrożeń.

To nie była ślepa ulica, ale rzadko uczęszczana. Naliczył na niej cztery samochody, którymi rodziny albo samotne osoby jechały do lub ze szkoły, pracy albo w innych sprawach. Co oczywiście nie znaczyło, że to nie są gangsterzy uzbrojeni w uzi, MAC-10 czy M4. Dawno minęły dobre czasy, gdy bandyci pakowali się do „gang-mobilów”, podrasowanych buicków lowriderów z hydraulicznym zawieszeniem. Dziś często sunęli acurami, nissanami, niekiedy beemką albo porsche cayenne, w zależności od tego, jak ostatnio szedł interes z bronią i prochami.

Ale nikt w żadnym wozie nie zwrócił na niego uwagi.

Wrócił na popękany chodnik i właśnie kontemplował jakąś jaskrawofioletową roślinę, gdy z wnętrza domu dobiegł huk czegoś ze szkłem, z mnóstwem szkła.

A potem rozległ się wrzask kobiety.

## ROZDZIAŁ 24

Godzinę później w pokoju grupy do sprawy Guzmána w biurówcu CBI Al Stemple rozparł się wygodnie na krześle, aż skrzypnęło pod jego ciężarem.

Zespół był w pełnym składzie. Jeden i drugi Steve - Lu i Foster - oraz Jimmy Gomez. Allerton też wróciła z wyjazdu do domu w Seaside.

- Co ci się stało? - zapytał ją Gomez. Miała bandaż na rękę.

- Ten facet, kontakt Serrana, miał w sypialni dobermana, ogromne bydlę. Na psa urok. Obudził się. Nie lubił gości.

- Ugryzł cię?

- Podrapałam się, kiedy przed nim uskokczyłam. Przewróciłam stolik z jakimś tandetnym szkłem i porcelaną. Dostał za swoje.

- Al, chyba nie strzelałeś do żadnego psa, co? - Gomez spojrzał na niego z udawaną zgrozą.

- Przemówiłem mu do rozsądku.

Foster rozmawiał przez telefon z funkcjonariuszem policji stanowej.

- To są wasze procedury, nie moje, a macie stosować moje procedury. Mamy jasność w temacie?... Zadałem pytanie... Mamy jasność?... . To dobrze. Nie chcę więcej słyszeć tych bzdetów.

Odłożył słuchawkę.

Co za palant, pomyślał Stemple, zastanawiając się, czy mógłby znaleźć jakiś pretekst, żeby werbalnie poszatkować go na kawałki. To jednak nie lada wyzwanie. Foster sam nieźle potrafił szatkować. Ale byłaby przednia zabawa.

Kiedy Foster skończył rozjaśniać temat funkcjonariuszowi stanowej, głos zabrała Allerton:

- Trop nie do końca spełnił nasze nadzieje. Ten kontakt Serrana z Seaside.

- Kto to był? - spytał Gomez.

- Malarz, podwykonawca budowlany, malarz pokojowy, nie artysta. Tomas Allende. Serrano kiedyś z nim pracował. Mhm, naprawdę harował na dniówkę, zanim zaczął ukatrupiać ludzi.

- Co to znaczy trop nie spełnił nadziei? - burknął Foster.

- Powiedziałam, że nie do końca spełnił nasze nadzieje. Zaraz powiem, czego

udało się nam dowiedzieć.

*Nam.*

Nikt nie zwrócił uwagi na liczbę mnogą. Pewnie uznali, że ma na myśli siebie i Stemple'a.

Krępa kobieta wstała, podeszła do drzwi, wyjrzała na korytarz, po czym je zamknęła.

Gomez zmarszczył brwi. Obaj Steve'owie przyglądali się jej obojętnie.

- Muszę wam powiedzieć, że nie pojechałam sama. Była ze mną Kathryn.

- Kathryn Dance? - upewnił się Gomez.

- Jak ona to zrobiła? - Foster wydawał się równocześnie zdumiony i urażony tą informacją. Trudna ekipa, pomyślał Stemple. - Przecież jest zawieszona. Coś się zmieniło i tylko ja nic o tym nie wiem?

- Nic się nie zmieniło - odparła Allerton.

- No więc jakim cudem się tam znalazła? Nie chcę, żeby spieprzyła jeszcze jedną operację w tej sprawie.

Stemple wysunął przed siebie nogi i z hukiem postawił obcas na linoleum. Foster tego nie usłyszał. Albo - jeśli usłyszał - w ogóle się tym nie przejął.

- Daj spokój, Steve - odezwał się Gomez. - To niepotrzebne.

- Co niepotrzebne? Mówię, że to przez nią znaleźliśmy się w tej sytuacji.

Allerton:

- Poprosiła mnie i się zgodziłam. Wie, że popełniła błąd, i chce go naprawić. Słuchaj, Steve, w tym domu w Seaside była dobra. Naprawdę. Szkoda, że jej nie widziałeś.

- Widziałem. Z Serranem. I nie zaimponowała mi. Komu by zaimponowała?

Stemple podrapał bliznę na udzie, niezbyt świeżą, ale kaliber .40 zostawia na ciele szeroką pręgę, która pod wpływem wilgoci swędzi jak diabli.

- Nie da się za każdym razem trafić w dziesiątkę - rzekł Gomez. Jego głos, zwykle łagodny, teraz zabrzmiał szorstko.

Dzięki, Jimmy, pomyślał Stemple.

Steve Lu, szef wydziału dochodzeniowego w Salinas, powiedział:

- No dobrze, pojechała. Nie rozumiem, co w tym złego. Co się stało?

- Jak mówiłam, świadek, nasz malarz - podjęła Allerton - był kiedyś kolegą



z pracy Serrana. Zgodził się z nami współpracować i opowiedział nam dużo rzeczy, ale przysięgał, że od pół roku nie miał żadnych wiadomości od Serrana. Zupełnie stracił z nim kontakt. Wydawał się wiarygodny. Ja mu w każdym razie wierzyłam. Wszystko, co mówił, trzymało się kupy. A Kathryn ciągle powtarzała: „Oczywiście, rozumiem, to ciekawe, dziękujemy za pomoc”. I nagle, ni stąd, ni zowąd, wylała na niego kubek zimnej wody. Wytknęła mu kilkanaście kłamstw, zaczęła nad nim pracować i wreszcie zaczął mówić.

- No więc czemu trop nie do końca spełnił wasze nadzieje? - burknął znowu Foster.

- Nie podał nam obecnego miejsca pobytu Serrana. Zresztą trudno się dziwić, skoro ten jest poszukiwanym zbiegiem. Ale według malarza krążą pogłoski, że pojawia się w okolicy. Nie wyjechał ze stanu. Ważniejsze jednak, że podał nam nowe nazwisko - dodała Allerton.

- Czyje?

- Kobiety, która niedawno była dziewczyną Serrana. Niejaka Tia Alonzo. Nie jest poszukiwana, ale gdzieś się ukrywa. Pracuje nad tym TJ Scanlon, próbuje ustalić, gdzie ona jest.

- Naprawdę sądzisz, że Picasso mówi prawdę?

- Kto?

- Malarz. - Foster westchnął.

- Kathryn tak sądzi. Ja też.

- Kiedy będziemy znać adres señority Alonzo?

- TJ twierdzi, że niedługo. Jest przekonany, że za dzień czy dwa.

- Przekonany.

- Jeżeli chodzi o Kathryn... - ciągnęła Allerton - ..to było nieoficjalne.

- Czyli? - Pytanie padło z ust Foster.

*Sub rosa...*

- Nic nie powiedziała Overby'emu.

Foster:

- Pojechała do Seaside, żeby na lewo przesłuchać tego cykora?

- Mniej więcej.

- Jezu.

- Rozumiem, że Charles robi to, co musi - mówiła Allerton - ale Kathryn jest zbyt cenna, żeby przesiedziała tę sprawę z boku. Chciałabym...

- Jasne, jasne - przerwał jej zniecierpliwiony Foster. - Chciałaby za plecami Overby'ego zostać w zespole. Po kryjomu.

Sub rosa...

- Owszem, Steve - warknęła Allerton. - Właśnie tak chciałaby zrobić. I ma moją zgodę. Zna teren, zna tych ludzi. Nie tylko ona dała się oszukać Serranowi. Oglądaliśmy całe przesłuchanie. Czy ktoś z nas coś podejrzewał? Bo ja nie.

Wreszcie dupek się zamknął.

- Jestem za - powiedział lojalny Jimmy Gomez, kiwając krótko ostrzyżoną głową.

- Nie zaszkodzi - przytaknął Lu.

Foster zmierzył wzrokiem Stemple'a od stóp do głów. Wróciła ochota, żeby go poszatkować.

- A ty? - spytał go Foster. - Jak głosujesz?

- Jestem tylko fizyczny - odparł Stemple. - Nie mam prawa głosu.

Foster odwrócił się i przyjrzał się pozostałym.

- Dobrze to przemyśleliście, wszyscy?

- Dobrze przemyśleliśmy? - powtórzył Gomez.

- Naprawdę przemyśleliście? No więc możliwość A: Dance zgodnie z poleceniem zostaje z boku, a my prowadzimy całą akcję, Wątek Guzmana, obławę na Serrana, wszystko. Powiedzmy, że Serrano rozwala kogoś z gangu albo, co gorsza, niewinną osobę. Nawet wtedy może jeszcze ocaleć. Powie na przykład, że nie dostała szansy naprawy tego, co się schrzaniło. Możliwość B: Dance nieoficjalnie wraca do sprawy, coś się pieprzy, z jej winy czy kogoś innego, i koniec. Może się pożegnać z karierą.

Tu była całkowita jasność w temacie.

Cisza.

Drugie głosowanie. Wynik był taki sam.

- A ty? - spytała Allerton.

Foster mruknął coś pod nosem.

Gomez:

- Co?

- Tak, tak. Zgadzam się z resztą. Mam coś do zrobienia. - Gwałtownym ruchem odwrócił się do klawiatury i zaczął pisać.

## ROZDZIAŁ 25

Po zakończeniu zadania w sprawie Serrana, które okazało się częściowo udane, Kathryn Dance wróciła do tropienia sprawcy tragedii w Solitude Creek.

Zalogowała się do systemu NCIC - Krajowego Centrum Informacji Kryminalnych - aby poszukać podobnych incydentów. Sprawca zapewne nie był debiutantem. Czy wcześniej zrobił już coś takiego?

NCIC podawało tylko jedno przestępstwo przypominające Solitude Creek, popełnione pół roku wcześniej w Fort Worth w Teksasie. Jakiś człowiek zadrutował drzwi niewielkiego klubu country Prairie Valley i rozpałił ogień tuż za tylnym wyjściem. Wybuchła panika, tłum stratował na śmierć dwie osoby, a kilkadziesiąt odniosło obrażenia. Sprawa nie miała jednak związku z ich śledztwem, ponieważ sprawca, cierpiący na schizofrenię paranoidalną bezdomny, zginął, kiedy przypadkowo podpalił też samego siebie.

Ogólnie dostępne źródła odsyłały ją do podobnych zdarzeń, ale żadne z nich nie zaszło w ostatnich czasach. Przeczytała o pożarze w klubie Happy Land w Nowym Jorku w latach osiemdziesiątych. Setki ludzi tłoczyły się w nielegalnym klubie, gdy człowiek, którego nie wpuszczono do środka, wrócił z butelką benzyny za dolara i podpalił budynek. Zginęło dziewięćdziesiąt osób. W tym przypadku ludzie nie zdążyli się stratować: tak szybko umierali w dymie i płomieniach, że znaleziono ciała, które nadal ścisnęły w rękach drinki albo siedziały wyprostowane na barowych stołkach.

Dowiedziała się, że klasycznym przypadkiem śmiertelnego w skutkach wybuchu paniki była tragedia w Italian Hall w Calumet w stanie Michigan w tysiąc dziewięćset trzynastym roku. Na przyjęciu bożonarodzeniowym zostało stratowanych ponad siedemdziesięciu strajkujących górników i ich najbliższych, kiedy ktoś krzyknął „Pożar!”, chociaż nic się nie paliło. Podobno panikę celowo wywołał jakiś bandyta powiązany z szefostwem kopalni.

Znalazła informacje o wielu wypadkach, gdzie ofiarami byli ludzie stratowani przez tłum. Szczególnie niebezpieczne pod tym względem okazały się imprezy sportowe - na przykład dramat na stadionie Hillsborough w Sheffield w Anglii, którego świadkiem był jej ojciec. Chyba największe zagrożenie stwarzały mecze

piłki nożnej. Na Estadio Nacional w Chile zginęło trzysta osób, kiedy rozwścieczony kibic zaatakował sędziego, interweniowała policja, co wywołało panikę wśród publiczności. Przed rozpoczęciem finału Pucharu Europy na stadionie Heysel w Belgii w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku zginęło prawie czterdzieści osób, ponieważ kibice Liverpoolu rzucili się na fanów przeciwnika swojej drużyny, Juventus. Tragedia doprowadziła do wieloletniego wykluczenia angielskich klubów z rozgrywek na kontynencie.

Jeszcze groźniejszy był popłoch podczas uroczystości religijnych.

Podczas hadżu, islamskiej pielgrzymki, w ciągu wielu lat zginęły tysiące ludzi, gdy tłumy ogarnięte paniką falami przelewały się z miejsca na miejsce, by wziąć udział w kolejnym obrzędzie. Najwięcej ofiar pochłonął rytuał kamienowania szatana. Takich zdarzeń można było liczyć na setki.

Dance przeglądała dokumenty leżące na biurku. Nadchodziły dziesiątki zgłoszeń od ludzi, którzy widzieli w okolicy wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, zachowującego się podejrzanie. Wszystkie te tropy okazały się jednak fałszywe. A dalsze przesłuchania osób, które we wtorek wieczorem były w Solitude Creek, nie przyniosły nic nowego.

O szóstej po południu zorientowała się, że czyta w kółko te same zgłoszenia.

Złapała torebkę i ruszyła na parking, żeby wrócić do domu. Pół godziny później była na miejscu. W drzwiach powitał Kathryn całusem Jon Boling i podał jej kieliszek chardonnay.

- Na pewno ci się przyda.

- Och, nawet nie wiesz jak.

Poszła do sypialni, by zrzucić skórę gliny. Nie musiała zamykać w kasetce broni, ale musiała wziąć prysznic i się przebrać. Położyła akta sprawy na biurku, zrzuciła marynarkę i spódnicę, po czym weszła pod strumień wody. Nie była dziś na żadnym miejscu zdarzenia prócz kina - gdzie zresztą nic się nie wydarzyło, nie było żadnych zwłok ani drastycznych widoków; mimo to na samą myśl o zabójcy, winnym masakry w Solitude Creek, czuła się brudna.

Wytarła się puszystym ręcznikiem. Wyciągnęła się na łóżku i na trzy minuty zamknęła oczy. Potem się zerwała. Włożyła dzinsy, czarny T-shirt i jasnozielony sweter. Buty? Hm. Powinny być zabawne. Aldo w krzykliwe paski. Śmieszne.

Bardzo dobrze.

Zeszła na dół i skręciła do kuchni.

- Cześć, skarby! - zawołała.

Maggie, w dzinsach i koszulce z Fineaszem i Ferbem, skinęła głową. Znowu wydawała się przygaszona.

- Wszystko w porządku?

- Aha.

- Co dzisiaj robiłaś?

- Różne rzeczy. - Wycofała się do pokoju.

Co się dzieje? Nerwy przed konkursem talentów? Mam tę moc była trudną piosenką, ale w granicach możliwości głosu Maggie. Bóg jej świadkiem, że dużo ćwiczyła, mimo wczorajszego kłamstwa, że nie zna słów.

Może chodziło o coś innego? Niebawem hormony zaczną dokonywać trudnych zmian w jej ciele. Może już nawet zaczęły.

Wiek dojrzewania. Wes już w niego wszedł.

Niech Bóg ma nas w opiece...

A może przyczyną było to, o czym rozmawiała z O'Neilem? Śmierć jej ojca.

Ale Maggie nie zdradzała żadnego zainteresowania rozmową na ten temat. Dance nie zauważyła żadnych wskaźników emocji ani innych komunikatów kinezycznych, kiedy ktoś wspomniał o Billu. Kinezyka to jednak niedoskonała dziedzina nauki i choć talent Kathryn ujawniał się podczas kontaktów z osobami, których nie znała, świadkami i podejrzanymi, to w przypadku rodziny i przyjaciół umiejętności czasem ją zawodziły.

Ruszyła za córką do pokoju i usiadła na kanapie.

- Jak leci, kochanie?

- W porządku. - Maggie natychmiast nabrała podejrzeń.

- Ostatnio jesteś jakaś markotna. Chcesz o czymś porozmawiać?

- Nie jestem markotna. - Przerzucała którąś z książek o Harrym Potterze.

- Może więc „roztargniona”? - Dance się uśmiechnęła.

- Wszystko okay.

Pomyślała o innej piosence z filmu dla dzieci, Życie jest czadowe, o której wspomniał Michael O'Neil, grożąc jej żartem, że ją zaśpiewa. Tak jak w filmie,

gdzie życie nie było wcale aż tak czadowe, życie Maggie nie było tak całkiem okay.

Próbowała jeszcze ze dwa razy skłonić córkę do rozmowy, ale nauczyła się już, że to niemożliwe, jeśli dzieci się nie zgadzają. Najlepiej w takim wypadku poczekać na inną okazję.

Zakończyła klasycznym:

- Jeżeli będziesz chciała o czymś pogadać, o czymkolwiek, daj mi znać. Inaczej zmienię się w potwora. Wiesz, jakim potworem umiem być. Matką Potworem. Nie straszne?

Maggie nie odwzajemniła jej uśmiechu, ale z wyrozumiałością pozwoliła się pocałować w głowę. Kathryn wstała i wyszła na Taras, gdzie przy gazowym grzejniku siedział Boling.

Rozmawiali o śledztwie - na tyle szczegółowo, na ile mogła sobie pozwolić - potem trochę o jego projektach, nowym kodzie, który pisał, o tym, dlaczego jego studenci z college'u nie skończyli swoich prac.

- Szkoda, że nie mogę dać im ocen za najlepsze wymówki. Miałbym kandydatów na piątki z plusem.

Kathryn spojrzała na koniec Tarasu, gdzie Wes i jego dwaj koledzy siedzieli pochłonięci grą. Poznała Donniego. Drugi chłopiec u nich bywał, ale nie pamiętała jego imienia.

Szepnęła do Bolinga:

- A to jest...

- Nathan.

- No tak.

Był wyższy od kolegów, mocno zbudowany. Kiedy przyszedł tutaj pierwszy raz, nie zdjął wełnianej czapki. Dance zaczęła coś mówić, a Donnie, spojrzawszy na niego ze zdziwieniem, rzekł:

- Stary, no co ty? Szacun.

- Och, przepraszam. - Czapka zniknęła i już nigdy jej nie wkładał.

Chłopcy w głębi Tarasu grali w grę, którą sami wymyślili.

Nazywała się chyba Oddziały Wielozadaniowe Wywiadu i Neutralizacji czy jakoś podobnie. Kathryn przypuszczała, że są w niej jakieś elementy zwykłej strzelanki, ale tym się nie przejmowała. Ponieważ była to odmiana gry planszowej

prowadzona za pomocą długopisu i papieru, nie miała nic przeciwko odrobinie działań wojennych. Większą uwagę zwracała na gry wideo i filmy. A także seriale. W kablówkach można było zobaczyć wszystko bez ograniczeń. Wes zapytał ją kiedyś, czy mogą z Donniem obejrzeć Breaking Bad. Dance najpierw sama przeprowadziła kontrolę i serial szalenie jej się spodobał, ale kiedy przez sufit spadły rozpuszczone w kwasie zwłoki, postanowiła: nie. Niech chłopcy poczekają jeszcze kilka lat.

Ale gra toczona długopisami na kartce? Jaką szkodę może komuś wyrządzić?

- Chłopcy, chcecie zostać na kolacji? Zadzwońcie do waszych rodziców?

- Dziękuję, pani Dance, ale muszę wracać do domu - powiedział Donnie.

- Aha, ja też - dorzucił Nathan. Na jego twarzy malowało się równocześnie skrepowanie i poczucie winy - wyraz właściwy wiekowi dojrzewania.

- Kończcie grę. Niedługo siadamy do stołu.

- Dobrze - odparł Donnie.

Spojrzała na syna i ze względu na obecność rówieśników powstrzymała się, by nie powiedzieć „kochanie”.

- Wes, rozmawialiśmy z Jonem o Rashivie. Nie spotykasz się już z nim?

Na chwilę zapadła cisza.

- Z Rashivem?

- Był miły. Od jakiegoś czasu go nie widuję.

- Nie wiem. Chyba... trzyma się z inną paczką.

Szkoda, pomyślała. Chłopiec hinduskiego pochodzenia, jak zauważył Jon Boling, był zabawny, bystry i grzeczny. Co znaczyło, że nie tylko był dobrym towarzystwem, ale mógł mieć też dobry wpływ na Wesa. Jej syn zbliżał się do momentu, gdy w gimnazjum, do którego chodził, będzie czyhało coraz więcej pokus, by zwrócić się ku ciemnej stronie.

- W każdym razie gdybyś się z nim widział, pozdrów go ode mnie.

- Jasne.

Po wyjściu kolegów Wesa Kathryn przyprowadziła Maggie i obie panie przygotowały kolację. W rolach głównych wystąpiły produkty z Whole Foods: sushi, pieczony kurczak, piure ziemniaczane, fasola szparagowa oraz skomplikowana sałatka złożona między innymi z żurawiny, jakichś tajemniczych



nasion, kawałków sera i wspaniałych grzanek.

Boling nakrył do stołu.

Kiedy mu się przyglądała, jej myśli powędrowały ku nim obojgu.

Godziny, które Jon spędzał z nią i dziećmi, były czasem błęgiego spokoju. Kiedy z rzadka spędzali noc w hotelu, też czuła się wspaniale. (Nigdy nie nocował u niej, jeśli w domu były dzieci). Wszystko układało się dobrze.

Ale Kathryn Dance była wdową od niedawna. Pilnie monitorowała swoje uczuciowe tętno, uważając na podświadome skoki pulsu, które mogły zaszkodzić związkowi - pierwszemu od śmierci Billa. Nie chciała podejmować pochopnych decyzji ze względu na swój spokój ducha i na dzieci: to one były Gwiazdą Polarną wyznaczającą kurs jej związkowi z Bolingiem. A zadanie Kathryn sprowadzało się do tego, by pewnie trzymać ster. I w odpowiedniej chwili dać całą wstecz.

Nagle znieruchomiała jej ręka, w której trzymała dużą łyżkę, przekładając piure z kartonowego pudełka do miski. I Dance zadała sobie pytanie: może jest inny powód, dla którego woli nic nie przyspieszać z Jonem Bolingiem?

Uniósł wzrok znad stołu i pochwycił jej spojrzenie. Uśmiechnął się. Odpowiedziała mu tym samym.

- Kolacja na stole! - zawołała.

Wes wyjął z lodówki sok i dołączył do nich.

- Odłóż telefon. Żadnego esemesowania.

- Mamo, tylko...

- W tej chwili. Jak możesz równocześnie pisać i otwierać tropicanę?

Mruknął coś, ale oczy mu rozblęskły na widok ziemniaków.

- Super.

Kiedy usiedli, Maggie spytała:

- Odmówimy modlitwę?

To było coś nowego. W ich domu religia nie odgrywała wyjątkowej roli.

- Jeżeli masz ochotę. Za co chcesz podziękować?

- Podziękować?

- Przy stole odmawia się modlitwę dziękczynną, gdy chcesz podziękować Bogu.

- Och, myślałam, że wtedy o coś się prosi.

- Nie, prośbą jest modlitwa błagalna - wyjaśnił Boling - a modlitwa dziękczynna

to podziękowanie.

- A o co chciałaś poprosić? - Kathryn spojrzała na córkę, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- O nic. Tak sobie tylko pomyślałam. Poproszę o masło.

## ROZDZIAŁ 26

Antioch March wszedł do restauracji na Fisherman's Wharf i usiadł przy stoliku pod oknem.

Turystyka na sterydach. Chyba zupełnie inna niż w czasach *Ulicy Nadbrzeżnej Steinbecka*.

Zamówił sok ananasowy i znów spojrzał w ekran telefonu na kartę. Nie nadchodziły informacje, których się spodziewał.

Zamówił stek z kalmara z warzywami na parze.

- Przykro mi, ale mamy tylko warzywa saute. Kucharz chyba nie...

- W porządku. Wezmę saute.

Łyk soku. Otworzył sportową torbę i zaczął przeglądać mapy i notatki - związane z planami na jutro. Odmówiono mu dostępu do kina, przez co miał dzień opóźnienia, ale nie stało się nic złego. Może to nawet lepiej, pomyślał.

Rozejrzał się po restauracji. Nie obawiał się, że zostanie rozpoznany. Jego wygląd znacznie się różnił od podanego w komunikacie. Co za szczęście, że policja ujawniła publicznie jego rysopis, zamiast zachować go dla siebie. Gdyby pracownik kina z tym się nie zdradził, March mógłby już siedzieć w pudle.

Albo nie żyć.

Przyglądał się rodzinie obok. Rodzice i dwójka nastolatków sprawiali wrażenie trochę rozczarowanych mołem. Rzeczywiście było dość anemiczne. Główną atrakcją pozostały sklepy. Żadnych karuzeli ani kolejek oprócz ustawionego przed sklepikiem z muszelkami statku kosmicznego dla małych dzieci, który za pięćdziesiąt centów kołysał się w górę i w dół.

*Rodzina...*

Ojciec Antiocha Marcha był agentem handlowym - tak jest, komiwojażerem z prawdziwego zdarzenia. Sprzedawał części do maszyn produkcji amerykańskiej (choć może niektóre drobne elementy dołączono w Chinach. Ojciec, człowiek o konserwatywnych poglądach politycznych, mówił o tym bardzo niechętnie).

Podano mu zamówione danie i zaczął jeść. Był głodny. Od śniadania w McDonalddie minęło sporo czasu.

Ojca Marcha nigdy nie było w domu, matki zresztą też, choć niewiele

podróżowała. Dużo pracowała, choć mały Andy potrafił liczyć. Zmiana kończyła się o piątej, ale matka wracała dopiero o wpół do ósmej albo ósmej, brała prysznic, potem schodziła na dół przygotować kolację i zapytać synka, jak minął dzień.

Nie codziennie. Ale dość często. Andy się tym nie przejmował. Mama mogła robić, co chciała. On miał to, czego potrzebował. Swoje gry wideo.

- Jak kalmar, proszę pana? - zapytała młoda kelnerka, jakby bardzo ją to interesowało.

- Smakuje.

Dostał od niej napiwek w postaci uśmiechu.

March sądził kiedyś, że to właśnie był powód, dla którego miał, powiedzmy, mniej zdrowe zainteresowania niż jego koledzy ze szkoły: taty nigdy nie było, mama na swój sposób próbowała opanować swój Płód. Dużo wolnego czasu w dzieciństwie. Samotnicze gry.

*No chodź, Serena.*

*Trochę bliżej, Serena.*

*Patrz, co dla ciebie mam, Serena...*

Czy złościła go ich nieobecność? Naprawdę nie wiedział, czy stałby się inny, gdyby wieczorami zwijał się w kłębek w piżamce, a mama albo tato czytaliby mu *Władcę pierścieni*.

Nie, złości było niewiele. Jasne, Markiatikakis stał się Marchem, ale to było logiczne. Antiocha przecież zachował.

*Chociaż wolę Andy 'ego.*

I poszedł w ślady ojca. Życie w drodze. Życie w interesach. W pewnym sensie też był komiwojażerem.

Zatrudnionym przez serwis internetowy.

I pracującym dla swojego najważniejszego szefa.

Płodu.

Dokładnie pamiętał, kiedy ukuł to określenie. W college'u. Hyde Park, Uniwersytet Chicagowski, tydzień egzaminów. Kilka zdał już celująco, a do pozostałych był przygotowany, zupełnie przygotowany. Mimo to leżał w łóżku spocony, kompulsywnie przygryzając trzonowcami wewnętrzną stronę policzka. Próbował się uspokoić grami wideo, telewizją. Na nic. Wreszcie dał spokój i wziął

podręcznik *Mitologia klasyczna jako podstawa archetypów psychologicznych*. Czytał tę książkę kilka razy i był przygotowany do testu, ale kartkując ją, natknął się na coś, co przedtem umknęło jego uwagi. W historii Edypa, gdzie syn zabija ojca i sypia ze swoją matką, znalazł fragment, w którym była mowa o tym, że Edyp został „spłodzony przez Lajosa i Jokastę”.

Głód... płód...

Mimo obawy, która dręczyła go tej nocy, musiał się zaśmiać. Słowo doskonale pasowało do kontekstu. Coś w środku, twór jego ciała, coś, co się z niego zrodziło, zaczynało się zwracać przeciwko niemu. Tak jak Edyp zniszczył swojego ojca i matkę.

To uczucie, wszystko jedno, czym było, kazało młodemu Antiochowi Marchowi robić wszystko, by nakarmić „płód”, odzyskać równowagę i spokój ducha.

W ten sposób ów przymus, niepokój, ów głód zyskał swoją nazwę.

Płód.

Czuł go w sobie przez całe życie; czasem bywał uśpiony, czasem nienasycony. Wiedział jednak, że nigdy go nie opuści. Płód mógł się odezwać w każdej chwili, gdy tylko miał na to ochotę.

On, nie ty. Ty nie miałeś nic do powiedzenia.

A jeśli nie zaspokoileś Płodu, musiałeś się liczyć z konsekwencjami.

*Ktoś nie był zadowolony...*

Oczywiście March zwracał się do lekarzy - mówiąc ściślej, rozmawiał z psychiatrami. Rozumieli; nazywali to inaczej, ale w gruncie rzeczy chodziło o to samo. Chcieli, żeby mówił o swoich problemach, co znaczyło, że musiałby ujawnić wszystko o Serenie, o Skrzyżowaniu, o Toddzie. A do tego nie mogło dojść. Albo chcieli go faszerować lekami (rozwścieczając Płód, do czego nigdy, przenigdy nie można było dopuścić).

Starał się zachować umiar w swoich zadaniach. Ale odmówiono mu śmierci rodziny Azjatów, podobnie jak dramatu w kinie.

Co jest?

- Proszę pani? Szklaneczkę johnniego walkera. Czarnego. Bez wody i lodu.
- Oczywiście. Już pan skończył?
- Tak, skończyłem.

- Pudełeczko?

- Słucham?

- Żeby zabrać resztę do domu?

- Nie. - Czasem z winy Płodu stawał się niegrzeczny. Uśmiechnął się. - Było bardzo smaczne. Po prostu się najadłem. Dziękuję.

Kelnerka podała drinka. Pociągnął łyk. Rozejrzył się wokół siebie. Jakaś biznesmenka, jedząca kolację w towarzystwie iPada i kieliszka wina koloru grejpfruta, zerknęła w jego stronę. Miała jakieś trzydzieści pięć lat i zaokrąglone kształty, ale była ładna. Nawet zmysłowa, prawdopodobnie seksowna na poziomie Calisty, sądząc ze sposobu, w jaki jadła karczocha (jedzenie i seks były zawsze związane ze sobą).

Ale jego wzrok prześlizgnął się po niej, unikając jej oczu.

Nie, nie dzisiaj.

Czy któregoś dnia założy rodzinę z kimś takim jak ona? Ciekawe, jak może mieć na imię. Sandra. Joannę. Tak, pewnie Joannę.

Ustatkuje się przy boku jakiejś Joannę, gdy zmęczą go noce z kobietami o imionach w rodzaju Calista i Tiff?

March - tak cholernie przystojny - mógłby zagadnąć Joannę, siedzącą przy karczochu i winie, z odrobiną masła na policzku, i zaprosić ją jutro na kolację, za miesiąc na wspólny weekendowy wyjazd, a po roku mógłby się jej oświadczyć. Udałoby się. Umiałby się postarać, żeby się udało.

Gdyby niejedna rzecz.

Płód nigdy by się na to nie zgodził.

Płód nie chciał, żeby March miał życie towarzyskie, uczuciowe, rodzinne.

Pomyślał o ataku w Solitude Creek - Strumieniu Samotności.

Może to był znak? Choć Antioch March pomyślał o tym z rozbawieniem: nie wierzył w znaki.

*Samotność...*

Rodzina szykowała się do wyjścia, zbierając telefony, torebki z czekoladowych wydr morskich, resztki posiłku, które rano zostaną wyrzucone. Ojciec wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. Kluczyki już nie pobrzękiwały. Dziś to były bezgłośnie plastikowe piloty.

W tym przeklętym refleksyjnym nastroju nie mógł nie pomyśleć o skrzyżowaniu. O Skrzyżowaniu, wielką literą.

Serena zmieniła jego życie pod pewnym względem, ale w największym stopniu odmieniło je Skrzyżowanie. Wszystkie późniejsze zdarzenia można wytłumaczyć tym, co stało się w miejscu, gdzie droga numer trzydzieści sześć przecina Mockingbird Road. Gdzie unosił się nieprzyjemny duch Środkowego Zachodu.

Powrót samochodem z pogrzebu wujka Jima.

„Być bliżej Ciebie chcę, Boże mój”.

„U Chrystusa nie ma wschodu ni zachodu”.

Mdłe, bezbarwne hymny protestantów. Nie było w nich żadnej pasji. Nie ma to jak Bach albo Mozart, żeby wyrazić przejmujące do głębi chrześcijańskie poczucie winy. March myślał tak już wtedy, jako mały chłopiec.

W firmowym fordzie panowała cisza. Jego ojciec dla odmiany przyjechał do domu. Matka dla odmiany była żoną. Jechali ponurą listopadową drogą, która wiała się i wiała wśród poszarzałych od mgły sosen. Wszystko zastygło w bezruchu.

Nagle za zakrętem kamienie i czarne pnie sosen.

Matka wydaje krótki okrzyk na wdechu.

Poślizg wgniata go w drzwi, hamulce blokują koła, a potem...

- Proszę pana?

March zamrugał oczami.

- Proszę. - Kelnerka położyła przed nim rachunek. - Jeżeli pan wypełni krótką ankietę na dole, może pan wygrać darmową kolację dla rodziny.

Zaśmiał się w duchu.

*Dla rodziny...*

Odliczył banknoty, nie mówiąc jej, że po zakończeniu tej sprawy przez bardzo długi czas nie pojawi się w tej okolicy, jeśli kiedykolwiek tutaj jeszcze zawita.

Kiedy uniósł wzrok, małżeństwo z dziećmi już wyszło.

Jutro będzie pracowity dzień. Czas wracać do hotelu.

Telefon zasygnalizował nadejście e-maila.

Nareszcie.

Wiadomość pochodziła od komercyjnej firmy sprawdzającej dane wydziału komunikacji. Odpowiedź, na którą czekał.

Tego ranka, posilając się McMuffinem z jajkiem i kawą, obok multipleksu, który miał być jego następnym celem, zobaczył różne wozy policyjne oraz - co ciekawe - szarego nissana pathfindera.

Inne pojazdy ani mundury i marynarki ludzi, którzy z nich wysiadali, nic mu nie mogły powiedzieć. Ale kierowca pathfindera to zupełnie inna sprawa. Samochód nie był służbowy. Nie wskazywały na to tablice rejestracyjne. Na zderzaku nie było naklejek z pełną dumy informacją, że w środku są dzieci, ani chrześcijańskiej rybki. Prywatny wóz.

Ale kierowca nie był osobą prywatną. Poznał to, gdy kobieta podeszła do funkcjonariuszy. Odpowiadali na jej pytania, czasem odwracając wzrok. Choć March znajdował się w pewnej odległości od niej, przypuszczał, że kobieta mierzy ich wściekłym wzrokiem. A przynajmniej przenikliwym.

Trzymała się prosto jak struna. Instynktownie wyczuł, że ona jest jedną z najważniejszych osób w ekipie, która go szuka.

Według otrzymanej przez niego informacji nissan pathfinder należał do niejakiej Kathryn Dance.

Urocze imię i nazwisko. Przykuwało uwagę.

Znów zobaczył ją w wyobraźni i poczuł ukłucie w dole brzucha. Odzywał się Płód. On też był coraz bardziej zaciekawiony panią Dance. Obaj chcieli dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Chcieli wiedzieć o niej wszystko.



# ŚRODKI OSTROŻNOŚCI

PIĄTEK, 7 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 27

Nieszczęścia chodzą parami - oznajmił Michael O'Neil, wchodząc do gabinetu Dance.

TJ Scanlon zerknął na detektywa, który siadał naprzeciw jej biurka.

- I chodzą po ludziach. Czy to znaczy, że jeżeli jakieś dopadnie człowieka, zawsze będzie miało towarzystwo?

- Nie wiem. Chodzi mi o to, że mam coraz więcej na głowie.

- Nieszczęść? - spytał TJ.

- Zabójstw.

- A. Przepraszam. - TJ często balansował na subtelnej granicy między wesołością a nonszalancją.

- Ten zaginiony farmer? - zapytała Dance. - Otto Grant? - Myślała o domniemanym samobójcy, zrozpaczonym człowieku, wywłaszczonym przez władze stanowe, które zajęły jego ziemię. Nie wyobrażała sobie, co przeżywał, gdy stracił farmę, od lat należącą do jego rodziny. Ostatnio była z dziećmi w Safewayu i zauważyła jeszcze więcej małych plakatów w jaskrawym żółtym kolorze, z podobizną Granta.

*Ktokolwiek widział...*

O'Neil pokręcił głową.

- Nie, nie, to całkiem inna sprawa. - Podał jej kilka zdjęć z miejsca zdarzenia. - Niezidentyfikowana kobieta. Znaleziona dzisiaj rano w Cabrillo Beach Inn.

Dance wiedziała, że to nieprzyjemna nora. Na północy Monterey.

- Odcisków palców nie ma w bazie.

Zdjęcie przedstawiało młodą kobietę, która, sądząc po plamach opadowych, nie żyła od siedmiu czy ośmiu godzin. Była ładna. Kiedyś.

- Przyczyna zgonu?

- Asfiksja. Uduszona plastikową torbą zawiązaną gumką.

- Gwałt?

- Nie. Ale może asfiksja erotyczna.

Pokręciła głową. Naprawdę? Narazić własne życie? O ile lepszy może być orgazm?

- Wrzucę to do naszej wewnętrznej sieci - zaproponował TJ. W ten sposób zdjęcie miało trafić do wszystkich biur CBI, gdzie zostanie sprawdzone przez system rozpoznawania twarzy i porównane z twarzami w bazach danych.

- Dzięki.

Zabrał fotografie, aby je zeskanować.

- Chłopak tej kobiety jest prawdopodobnie żonaty - ciągnął O'Neil. - Spanikował i uciekł z jej torebką. Przeglądamy nagrania z monitoringu w okolicy, sprawdzamy marki i numery samochodów. Może uda się coś znaleźć.

- Dlaczego nie leżała na łóżku? Nawet gdybym była bardzo perwersyjna, seks na podłodze w tym motelu to ohyda.

- Właśnie dlatego powiedziałem „może asfiksja erotyczna” - odparł. - Miała ślady na nadgarstkach. Ktoś ją mógł przytrzymywać, kiedy umierała. Albo to był element ich zabawy. Na razie nie chcę niczego przesądzać.

- Czyli - powiedziała powoli - ciągle szukasz z nami sprawcy z Solitude Creek? - Obawiała się, że ta śmierć - przypadkowa czy zadana umyślnie - utrudni mu udział w śledztwie.

- Tak. Tylko narzekam na nieszczęścia.

- Dalej prowadzisz sprawę tych aktów nienawiści?

- Aha. - Grymas. - Mieliśmy następny.

- Nie! Co się stało?

- Jeszcze jedna para gejów. Z Pacific Grove. Niedaleko ciebie, przy Lighthouse. Ktoś rzucił kamieniem w ich okno.

- Są jacyś podejrzani?

- Nie. - Wzruszył ramionami. - Ale niezależnie od par nieszczęść mogę pracować nad Solitude Creek.

Spojrzał na gazetę leżącą na krześle. Na pierwszej stronie zamieszczono duże zdjęcie Brada Dannona. Strażak, w garniturze, z błyszczącą flagą wpiętą w klapę, siedział na kanapie obok dziennikarki o azjatyckich rysach. „Bohaterski strażak i jego przerażająca opowieść o Solitude Creek”.

- Przesłuchiwałaś go? - spytał O'Neil.

Skinęła głową i zaśmiała się cierpko.

- Tak. Strażaka i jego rozdęte ego.

- Dowiedziałaś się czegoś od jednego albo drugiego?

- Mhm, nie. Trzeba przyznać, że był zajęty, pomagał rannym. A wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że popełniono przestępstwo.

- Załatwiłaś to coś z Serranem w Seaside?

- Aha.

- I jak idzie sprawa? - Pytanie zabrzmiało szorstko.

- Posuwa się naprzód. - Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat.

Zadzwonił jej telefon.

- Kathryn Dance.

- Hm, pani Dance. Mówi Trish Martin.

Córka Michelle Cooper, która zginęła w Solitude Creek.

- Ach, Trish, dzień dobry. - Zerknęła w stronę O'Neila. - Jak się czujesz?

- Nie najlepiej. Rozumie pani.

- Na pewno jest ci trudno. - Wróciła pamięcią do dni tuż po śmierci Billa.

*Nie najlepiej... Nigdy już nie będzie najlepiej.*

- Słyszałam, to znaczy oglądałam wiadomości i mówili, że próbował to zrobić jeszcze raz.

- Tak, na to wygląda.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Chciała pani ze mną porozmawiać?

- Żeby cię spytać, co widziałaś tamtego wieczoru.

- Dobrze. Chcę pomóc. Chcę pani pomóc go złapać. Co za skurwiel.

- Będę wdzięczna.

- Nie mogę tu rozmawiać. Zaraz wróci mój ojciec. Jestem w domu matki. On nie chce, żebym z panią rozmawiała. Żebym w ogóle z kimkolwiek rozmawiała.

- Jesteś w Pebble Beach, prawda?

- Tak.

- Jeździsz samochodem?

- Mhm.

- Spotkajmy się w Bagel Bakery na Forest Avenue. Wiesz, gdzie to jest?

- Jasne... Muszę kończyć już wchodzi do widzenia - powiedziała na jednym oddechu.

*Klik.*

## ROZDZIAŁ 28

Było widać, że płakała.

Dance z uznaniem zauważyła, że dziewczyna nie próbowała tego maskować. Żadnego makijażu, odwracania wzroku. Ślady łez na policzkach były wyraźnie widoczne.

Trish Martin siedziała w głębi Bagel Bakery, w rogu, pod prymitywnym, ale poruszającym obrazem akrylowym, który przedstawiał psa uważnie przyglądającego się żółwiowi. Było to jedno z powieszonych na ścianach dzieł na sprzedaż, jak wynikało z umieszczonej tam kartki, autorstwa uczniów. Dance bywała tu regularnie z dziećmi i kupiła kilka prac. Pies z żółwiem naprawdę się jej spodobał.

- Witaj.

- Hej - odparła dziewczyna.

- Jak samopoczucie?

- W porządku.

- Na co masz ochotę? Zamówię. - Dance kusilo, by zaproponować Trish kakao, ale mogłoby to sugerować, że traktuje ją jak dziecko i lekceważy. Wybrała kompromis. - Ja wezmę cappuccino.

- Może być.

- Z cynamonem?

- Może być.

- Coś dojedzenia?

- Nie. Nie jestem głodna. - Jak gdyby nigdy już nie miała odczuwać głodu.

Kathryn złożyła zamówienie i wróciła. Usiadła. Machinalnie sięgnęła do plastikowej kabury z glockiem, którą zwykle musiała poprawiać, kiedy siadała. Jej dłoń trafiła w próżnię i przypomniała sobie, że nie ma do czego sięgać.

Skupiła się na dziewczynie. Trish miała na sobie dzinsy i zdarte, ale drogie brązowe botki. Dance, wielbicielka obuwia, rozpoznała włoską markę. Czarny sweter z okrągłym dekoltem. Włosy przyciśnięte beżową wełnianą czapką. Rękawy swetra sięgały palców.

- Dziękuję, że zadzwoniłaś. Jestem ci naprawdę wdzięczna. Wiem, co teraz przeżywasz.

- No. - Utkwiła przenikliwy wzrok w Dance. - Dowiedzieliście się już, kto to może być? Kto zabił moją matkę i tamtych ludzi?

I o mały włos nie zabił ciebie, pomyślała Kathryn.

- Niewiele wiemy. Ta sprawa w niczym nie przypomina moich poprzednich.

- W każdym razie to pieprzony sadysta.

Mało fachowe określenie, ale na miejscu.

Dance otworzyła notes.

- Twój ojciec nie wie, że tu jesteś?

- Nie jest taki zły. Też spanikował po tamtym. Jest po prostu troskliwy. Wie pani.

- Rozumiem.

- Ale mam mało czasu. Ojciec pakuje rzeczy u siebie. Niedługo przyjedzie do domu mamy.

- Wobec tego od razu przejdę do pytań.

Podano napoje w kartonowych kubkach. Obie wypiły po łyku.

- Możesz mi powiedzieć, co pamiętasz? - zapytała Dance.

- Zespół właśnie zaczął grać. Byli może przy drugiej czy trzeciej piosence.

I wtedy... - Głęboko nabrała powietrza i powtórzyła mniej więcej tę samą opowieść, którą Kathryn słyszała od innych świadków. Rozniósł się zapach dymu, choć nie było widać ognia. Potem, jak gdyby za naciśnięciem niewidzialnego włącznika, cała publiczność zerwała się z miejsc, ludzie przewracali stoliki, rozlewali drinki, odpychali na bok innych, rzucając się do wyjścia.

Ze skonsternowaną miną powtórzyła:

- Nie było żadnego pożaru, ale wszyscy powariowali. W pięć, może dziesięć sekund, odkąd wstała pierwsza osoba. Tyle wystarczyło. - Westchnęła. - To chyba mama. Chyba ona była pierwsza. Wpadła w panikę. Potem zapalili te mocne światła i skierowali na wyjścia ewakuacyjne, żeby wszyscy widzieli, gdzie są. Pewnie dobrze zrobili, ale część z nas jeszcze bardziej spanikowała. Były takie jasne.

Wypiła łyk kawy z kubka, patrząc na piankę.

- Trafiłam w środek jednej masy ludzi, a mama w środek innej. Krzyczała do mnie, ja krzyczałam do niej, ale zносиło nas w inne strony. Nie można się było zatrzymać. - Ściszyła głos. - Nigdy nie widziałam niczego takiego. Jak gdybym totalnie... nie wiem, jakbym nie była sobą. Byłam częścią tej masy. Nikt nikogo nie

słuchał. Nikt po prostu nie mógł nad nami zapanować.

- A twoja matka?

- Szła w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Widziałam, jak walczy i próbuje się do mnie dostać. Grupa, w której się znalazłam, znosiła mnie w przeciwnym kierunku - w stronę kuchni. Nie było tam żadnej tabliczki „wyjście”, ale ktoś powiedział, że można się tamtędy wydostać z klubu.

- I tamtędy uciekłaś?

- Tak. Ale nie od razu. Właśnie dlatego to było takie okropne. - W jej oczach błysnęły łzy, które szybko wytarła.

- Co, Trish?

- Przez głośniki padła informacja „Pali się w kuchni”. Albo coś w tym rodzaju.

Dance przypomniała sobie, że taki komunikat podał Cohen.

- Ale ktoś blisko mnie zobaczył, że w kuchni nic się nie dzieje. Nie było żadnego pożaru. Poszliśmy w tamtą stronę. Próbowaliśmy to ludziom powiedzieć, ale nikt nie słyszał. Nic nie było słychać.

Dance notowała wszystko, co przypominała sobie dziewczyna.

- Najważniejsze dla nas są jakiegokolwiek informacje na temat tego człowieka. Mamy coś w rodzaju rysopisu, ale niezbyt szczegółowego. Nie przypuszczamy, żeby znalazł się w klubie. Był na zewnątrz. Kiedy przyjechałyście z mamą na koncert?

- Nie wiem, może piętnaście po siódmej.

- Chciałabym, żebyś cofnęła się pamięcią do tamtego wieczoru. Ten człowiek...

- Morderca.

Kathryn uśmiechnęła się do niej.

- My go nazywamy nieznanym sprawcą.

- A ja bydlakiem.

- No więc ten bydlak wsiadł do ciężarówki zaparkowanej przed magazynem i podjechał pod klub około ósmej. Musiał być na miejscu wcześniej. Widziałaś, żeby ktoś kręcił się tam, na przykład w pobliżu magazynu? Patrzył na klub? Może przy beczce na ropę, gdzie rozpalił ogień?

Trish chyba czerpała większą przyjemność z trzymania kubka w stulonych dłoniach o paznokciach, z których złuszczał się czarny lakier, niż z picia



cappuccino.

Westchnęła.

- Nie, nikogo nie pamiętam. Wie pani, jak to jest, kiedy przyjeżdża się na koncert i mówi się, myśli o tym, co się zaraz zobaczy, co będzie na kolację. Prawie na nic nie zwraca się uwagi.

Niewielka część pracy Kathryn Dance polegała na wykrywaniu kłamstwa u sprawców; jej zadaniem była przede wszystkim pomoc świadkom w wydobywaniu na światło dzienne istotnych wspomnień.

Jeśli chodzi o zapamiętywanie szczegółów, nastolatki stanowiły jedną z najgorszych grup. Ich myśli kłębiły się jak szalone, były tak rozkojarzone, że niewiele zauważały i potrafiły sobie przypomnieć jeszcze mniej - chyba że temat ich interesował. Mimo to często obrazy tkwiły gdzieś w ich umyśle. Jedno z zadań przesłuchującego polega na umiejętnym wskazaniu świadkowi drogi do miejsca i czasu w przeszłości, kiedy być może zauważył jakiś drobny szczegółik, który mógł się okazać kluczowy do znalezienia sprawcy. Zastanawiając się, jak ma się do tego zabrać, dostrzegła pilot do samochodu dziewczyny leżący na stoliku obok jej torebki.

Z logo Toyoty z miejscowego salonu.

- Prius? - spytała.

Trish skinęła głową.

- Mama mi kupiła. Skąd pani wie?

- Domyśliłam się.

Praktyczny wóz. I drogi. Przypomniała sobie, że ojciec dziewczyny jeździł lexusem.

- Lubisz prowadzić?

- Uwielbiam! Kiedy się czymś zdenerwuję, wsiałam do samochodu i jeżdżę pojedyncie. Do Big Sur i z powrotem.

- Trish, chciałabym, żebyś przypomniała sobie parking tamtego wieczoru.

- Nie widziałam nikogo.

- Rozumiem. Ale zastanawiam się nad samochodami. Wiemy, że ten człowiek jest inteligentny. Nic nie wskazuje, że miał współników, więc musiał sam przyjechać do Solitude Creek, ale na pewno nie zaparkował zbyt blisko klubu. Obawiałby się, że

nagrają go kamery monitoringu albo ktoś zauważy, jak wysiada z ciężarówki po jej prze-parkowaniu i wsiada do swojego samochodu.

Trish zmarszczyła brwi.

- Srebrna honda.

- Proszę?

- Albo w jasnym kolorze. Zjeżdżaliśmy z drogi, z jedyнки, na drogę dojazdową do klubu, i mama powiedziała: „Ciekawe, czy go ukradną”. Honda stała sama po drugiej stronie drzew, które otaczają parking. Przy klubie.

Dance przypomniała sobie zielsko i wydmy między parkingiem a drogą numer jeden.

- Przedtem widzieliśmy reportaż o gangach z okolicy. Jeżdżą po drogach lawetami i zabierają auta zaparkowane w pustych miejscach.

O tym właśnie mówiła mama.

- Wiesz, jaki to był model?

- Nie bardzo. Tylko typ. Accord albo civic. Dużo ludzi ze szkoły ma takie. Zastanawialiśmy się z mamą, czy nie zadzwonić na policję i zgłosić, żeby nie ukradli tego wozu. Ale nie zadzwoniłyśmy. Gdybyśmy zadzwoniły, może... - Nagle opadła z sił i chwilę bezgłośnie płakała. Dance wyciągnęła dłoń i ścisnęła jej rękę. Trish nie zareagowała. Wreszcie się uspokoiła i wypła łyk cappuccino. - Myśli pani, że to jego samochód?

- Niewykluczone. To takie miejsce, w którym ktoś mógłby zostawić wóz, jeżeli chciał zaparkować na uboczu. Zwróciłaś uwagę na tablice rejestracyjne, z jakiego był stanu, może widziałaś numer?

- Nie, tylko kolor. Srebrny. Albo inny jasny. Może szary.

- I nikogo nie było w pobliżu?

- Nie. Przykro mi.

- Bardzo nam pomogłaś, Trish.

Dance miała taką nadzieję.

Wysłała wiadomość do TJ-a z prośbą, żeby zrobił listę właścicieli srebrnych hond w okolicy. Zdawała sobie sprawę, że to mamy trop. Wszyscy policjanci wiedzą, że hondy civic i accord to chyba najliczniejsze sedany w Ameryce - i przez to najtrudniej je namierzyć. Zastanawiała się, czy właśnie dlatego sprawca nie kupił

ani nie ukradł takiego samochodu.

Poprosiła też TJ-a, aby jeszcze raz przerobił listę świadków z Solitude Creek. I sprawdził, czy ktokolwiek inny zauważył ten samochód i mógł udzielić więcej informacji. Powinien to wrzucić do wewnętrznej sieci policyjnej.

Po chwili: *Działam, szefowo.* ☺

Trish zerknęła na ekran swojego iPhone'a.

- Już późno. Muszę iść. - Żaden nastolatek nie nosił dzisiaj zegarka. - Niedługo tato przywiezie do domu rzeczy. Powinnam tam być. - Szybko dokończyła kawę i wrzuciła kubek do kosza.

Może niszczyła dowody potajemnego spotkania.

- Dziękuję. - Trish zrobiła głęboki wdech, po czym łamiącym się głosem powiedziała: - Nie w porządku.

Dance uniosła brew.

- Pytała mnie pani o samopoczucie. I powiedziałam „w porządku”. Ale nic nie jest w porządku. - Zadygotała i znów zaczęła płakać. Dance wyciągnęła garść serwetek z serwetnika i podała jej.

- Cholernie nie w porządku - dodała Trish. - Mama... może nie była najlepszą mamą na świecie, mnie wydawała się bardziej przyjaciółką niż mamą. Czasami cholernie się na nią wkurzałam. Jakby chciała być moją starszą siostrą czy kimś takim. Ale mimo tych wszystkich bzdetów strasznie mi jej brakuje.

- Nos - powiedziała Dance. Dziewczyna go otarła.

- Tato jest inny.

- Sąd przyznał im wspólną opiekę?

- Prawie zawsze byłam z mamą. Chciała tego, a tato nie walczył. Jakby przede wszystkim po prostu chciał to skończyć.

Zakochał się w sekretarce. Dance przypomniała sobie swój wcześniejszy scenariusz rozstania tych dwojga.

- To po prostu będzie strasznie dziwne znowu zamieszkać z nim w tym domu. Rozwiedli się sześć lat temu. Wszyscy mi mówią, że minie to wszystko, co teraz czuję. Z czasem się ułoży.

- Wszyscy się mylą - powiedziała Dance.

- Słucham?

- Kilka lat temu straciłam męża.

- O, przykro mi.

Podziękowała skinieniem głowy.

- To nie mija. Nigdy. I nie powinno. Zawsze powinniśmy tęsknić za niektórymi ludźmi, którzy pojawili się w naszym życiu. Ale pojawią się wyspy, coraz więcej wysp.

- Wysp?

- Tak o tym myślałam. Wyspy - chwile, kiedy będziesz czuła zadowolenie i nie myślała o stracie. Teraz cały twój świat jest pod wodą.

Zupełnie pogrążony. Ale woda opada i ukazują się wyspy. Woda nigdy nie zniknie, ale znów znajdziesz suchy ląd. Dzięki temu mogłam to przeżyć.

- Muszę już iść. Niedługo wróci.

Wstała i ruszyła do drzwi. Dance też. Ułamek sekundy później dziewczyna odwróciła się i zarzuciła agentce ręce na szyję, znowu płacząc.

- Wyspy - szepnęła. - Dziękuję... Wyspy.

## ROZDZIAŁ 29

Halo?

Arthur K. Meddle przerwał nadzorowanie ustawiania krzeseł w Centrum Bay View i zobaczył stojącego w drzwiach mężczyznę.

- Słucham pana? Chwileczkę. - Odwrócił się i krzyknął: - Charlie, postaw jeszcze jeden rząd. No, dawaj. Czterysta miejsc. Musi być czterysta. Słucham pana?

Mężczyzna podszedł bliżej. Wyglądał na znużonego.

- Jestem inspektorem ochrony przeciwpożarowej okręgu Monterey. Wzrok Meddle'a prześlizgnął się po legitymacji.

- Słucham, inspektorze Dunn, co mogę dla pana zrobić?

- Pan tu jest dyrektorem?

- Zgadza się.

Dobrze ubrany jegomość rozejrzał się po sali centrum, głęboko marszcząc czoło. Po chwili zwrócił oczy na Meddle'a.

- Może słyszał pan o incydencie w Solitude Creek? W klubie?

- Och, tak. Straszne.

- Przypuszczamy, że to było celowe działanie.

- Słyszałem w wiadomościach. - Meddle nie znał tego człowieka, więc nie dodał tego, co chciał powiedzieć: „Co za stuknięty gnojek mógł zrobić coś takiego?”.

- Zdaniem władz okręgowych i biura szeryfa - także biura śledczego - ten człowiek może próbować powtórzyć taki atak.

- Nie! Cholera, to naprawdę terrorysta? Tak słyszałem w Foksie. Czyba O'Reilly? Nie pamiętam.

- Nie wiem. Między nami mówiąc, gdyby to był terrorysta, ktoś już by się do tego przyznał. Tak zwykle robią.

- To prawda.

- W każdym razie rada okręgu wydała rozporządzenie, które mówi, że wszystkie obiekty organizujące imprezy z udziałem ponad stu osób muszą je odłożyć albo poddać się specjalnej inspekcji.

- Odłożyć?

- Albo poddać się inspekcji. Staramy się zrobić wszystko, żeby to, co się stało

w Solitude Creek, więcej się nie powtórzyło. Chyba że wcześniej złapią sprawcę. Jest taka możliwość.

- Nie możemy tego ot tak odwołać. To spotkanie przyniesie nam siedem tysięcy dolarów. Wieczór autorski i podpisywanie książki. Płaci wydawca. Zna pan naszą sytuację gospodarczą. Nie możemy sobie pozwolić na zamknięcie centrum.

- Jak powiedziałem, wybór należy do pana.

- Co to za inspekcja? Mam aktualne pozwolenie na użytkowanie obiektu.

- Nie, to inna kontrola. Musimy sprawdzić, czy wyjść ewakuacyjnych na pewno nie da się zablokować. Będzie pan musiał usunąć wszystkie zamki z drzwi wyjść awaryjnych albo zakleić je taśmą, poza tym odgrodzić na zewnątrz teren wokół wyjść, żeby nikt nie mógł ich zablokować.

- Tak jak zrobił ten człowiek w klubie, zastawiając je ciężarówką.

- Właśnie - przytaknął Dunn. - Wszystkie osoby przebywające w środku podczas tego spotkania muszą mieć możliwość swobodnego opuszczenia sali.

- Odgrodzić teren przed drzwiami?

- Dosłownie odgrodzić, łańcuchami. W odległości trzech metrów. Żeby nie mógł ich zablokować. Szczerze mówiąc, łatwiej będzie odwołać całą imprezę.

- Chce pan, żebym ją odwołał?

- Przedstawiam panu tylko możliwości do wyboru.

- Ale skłania się pan ku zamknięciu.

- Tak będzie prościej dla wszystkich.

- Nie dla nas.

*Siedem tysięcy dolarów...*

- Niech pan posłucha, ma pan dwa wyjścia - mówił Dunn. - Otoczy pan teren przy wyjściach łańcuchami i dopilnuje, żeby drzwi się nie zamykały, tak aby w sytuacji awaryjnej wszyscy mogli szybko wyjść. Albo odwołuje pan wieczór.

Niech to szlag najjaśniejszy trafi. Jakby miał mało do zrobienia.

- Nie, nie odwołuję. Ale jeżeli przez otwarte drzwi nawłazą ludzie, to będzie wasza wina.

- To ma być wieczór autorski, zgadza się? Ma pan wielu chętnych, którzy chcą się wcisnąć na gapę na wieczór autorski?

Meddle zawahał się chwilę.

- No, nie jest to koncert Stonesów.
- Widzi pan. Jak wygląda sprawa alarmów przeciwpożarowych? Były ostatnio testowane?
- Mieliśmy kontrolę jakieś dziesięć, dwanaście dni temu.
- Dobrze. Mimo wszystko sprawdzę jeszcze raz.
- Jeżeli chodzi o łańcuch, którym mam odgrodzić wyjścia, sugeruje pan jakiś szczególny typ? - spytał Meddle. - Może konkretną markę?
- Wybrałbym taki, którego nie rozerwie ciężarówka.  
Zapowiadał się chyba duży wydatek.
- Zaraz pojedę do Home Depot - powiedział Meddle.
- Dziękuję panu. Na pewno wszystko odbędzie się spokojnie... Co to za książka?
- Nowy bestseller, poradnik. O życiu jutrem. Czytałem ją, lubię wiedzieć, kto u nas występuje. Autor twierdzi, że ludzie za bardzo żyją teraźniejszością. Powinni bardziej żyć w przyszłości.
- To znaczy? Podróżować w czasie? - Inspektor był skonsternowany.
- Nie, nie, chodzi o to, żeby myśleli, gdzie chcą się znaleźć w przyszłości. Żeby umieli to sobie wyobrazić, zaplanować, przemyśleć. I w ten sposób osiągać cele. Nosi tytuł Jutro to nowe dziś.  
Dunn zmarszczył brwi i pokiwał głową.
- Pójdę sprawdzić czujniki. A pan niech lepiej zmierzy, ile trzeba łańcucha.

## ROZDZIAŁ 30

Hm, ciekawe.

Dance zatrzymała nissana na podjeździe prowadzącym na parking przed siedzibą biura śledczego. Stała między rozrośniętym i nie-przystrzyżonym bukszpanem a częścią budynku zajmowaną przez nową spółkę internetową.

Na parkingu w pobliżu głównego wejścia do biura CBI stał Michael O'Neil, rozmawiając ze swoją byłą żoną, Annę. Ich dzieci, dziewięcioletnia Amanda i dziesięcioletni Tyler, siedziały z tyłu w jej samochodzie, widoczne przez otwarte drzwi. Annę jeździła perłowym lexusem na kalifornijskich tablicach.

Strój tej kobiety diametralnie różnił się od ubiorów, jakie Dance zapamiętała z czasów, gdy Annę mieszkała z Michaelem na półwyspie. Wtedy nosiła cieniutkie, dopasowane rzeczy w cygańskim stylu. Koronki i tiule. Newage'ową biżuterię. Wysokie buty na obcasach, żeby dodać sobie parę centymetrów wzrostu. A dzisiaj miała na sobie buty do biegania, dżinsy i szarą kurtkę z grubej wełny. Do tego, Boże mój, czapkę bejsbolową. Egzotyczna zwiewność ustąpiła miejsca żywej rezolucji.

Kto by się spodziewał?

To ona podjęła decyzję o rozwodzie i przeprowadzce do San Francisco. Krążyły plotki, że ma tam kochankę. Dance wiedziała, że Annę jest utalentowaną fotografką i w mieście nad zatoką

może znaleźć więcej ofert niż tu. Była dość zaradną, choć niezbyt zaangażowaną matką, mało czułą żoną. Rozstanie nikogo nie zaskoczyło. Choć na pewno nastąpiło w niedogodnym momencie. Bez wątplenia między Kathryn i O'Neilem zawsze istniała jakaś chemia, której pozwalali działać tylko w sferze zawodowej. On był żonaty, a po śmierci Billa jej zainteresowanie sprawami uczuciowymi zniknęło jak mgła w blasku słońca. Później, z biegiem czasu, ze względu na siebie i na dzieci postanowiła wkroczyć na grząski grunt randkowania. Powoli i ostrożnie stawiając kroki, poznała Jona Bolinga.

I nagle trach! O'Neil ogłosił, że się rozwodzi. Krótco potem chciał się z nią umówić. Wówczas była już jednak blisko z Bolingiem, więc odmówiła.

Klasyczna sytuacja jak w piosence Sendln The Clowns Sondheima o dwojgu



niedoszłych kochankach, którym nie sprzyja czas i okoliczności.

O'Neil jako dżentelmen pogodził się z tym stanem rzeczy. Wycofali się na pozycje „może kiedyś, innym razem”. Jeśli chodziło o Bolinga, nic nie mówił o relacjach Kathryn z detektywem, ale jego mowa ciała nie pozostawiała wątpliwości, że wyczuwa, iż coś ich łączy (doskonale wiedziała, że siła zaprzeczenia jest często wprost proporcjonalna do prawdy, którą chce się odrzucić).

Zauważyła, że ręce O'Neila są swobodnie opuszczone wzdłuż ciała, nie tkwią w kieszeniach ani nie są skrzyżowane na piersi, co stanowiłoby obronny gest, znaczący „nie chcę, żebyś tu była, Anne”. Nie spoglądał też bezwiednie, co zdradzałoby napięcie, dyskomfort i podświadome pragnienie ucieczki od osoby, która wywołuje stres.

Nie, oboje wręcz się uśmiechali. Coś, co powiedziała, go rozbawiło.

Po chwili Annę cofnęła się, szukając w torebce kluczyków, a O'Neil podszedł bliżej i ją objął. Nie pocałował, nie pogładził jej włosów. Po prostu objął. Niewinnie jak piłkarze po zdobyciu gola.

Potem pomachał do dzieci i wrócił do biura. Annę uruchomiła silnik i ruszyła w stronę wyjazdu.

A Dance nagle przypomniała sobie coś jeszcze. Kiedy przedwczoraj zapytała O'Neila o nową opiekunkę do dzieci, jego mowa ciała zauważalnie się zmieniła.

Nowa opiekunka?

Można tak powiedzieć.

Czyli chodziło o nią. A ten „ktoś”, kogo chciał przyprowadzić na występ Maggie? Annę, rzecz jasna.

Patrzyła, jak Annę wyjeżdża z parkingu.

Usłyszała za pathfinderem trąbienie klaksonu. Ruszyła. Zerknęła w lusterko wsteczne i pomachała do kierowcy, któremu zatarasowała drogę, mówiąc szeptem „przepraszam”, choć nie mógł tego usłyszeć. Podjechała pod budynek CBI, zaparkowała i wysiadła.

Myśląc o Annę i Michaelu, zorientowała się, że nuci tamtą piosenkę.

*Daj spokój...*

Zastała O'Neila w swoim gabinecie, gdzie wraz z TJ-em ślęczał nad listą danych

z wydziału komunikacji.

- Mniej więcej pięć tysięcy. Hondy sedany na terenie trzech okręgów. Szare, białe, beżowe - wszystkie jasne.

- Pięć tysięcy? - Aj. Siadając obok O'Neila, poczuła zapach jego płynu po goleniu, jak poprzedniego wieczoru... ale odrobinę inny.

Przemieszany z wonią perfum?

- Nie ma żadnych zgłoszeń kradzieży - dodał detektyw.

- Nie pamięta go żadna z osób z klubu, z którymi rozmawiałem - dorzucił TJ. - Jeżeli podamy rozstaw osi i ślad bieżnika, poznamy model. Civic i accord są różne. To się może przydać.

I zmniejszyć liczbę aut do dwóch i pół tysiąca, pomyślała drwiąco. Jeżeli - co stoi pod wielkim znakiem zapytania - to w ogóle samochód sprawcy.

- Chcesz rzucić okiem? - spytał O'Neil. - Na to miejsce, gdzie był zaparkowany? Dance sprawdziła godzinę. Dwadzieścia po trzeciej.

- Dzieci są u moich rodziców.

- Moje też pod opieką.

Wiem.

- Możemy się przejechać - powiedziała.

- To nie jest sprawa Serrana. Weźmiesz broń?

Przecież znał zasady. Po co w ogóle pytał?

- Ciągle jestem w dziale cywilnym.

Skinął głową.

Poleciła TJ-owi zacząć sprawdzanie właścicieli jasnych hond.

Pół godziny później byli z O'Neilem pod klubem. Wciąż był nieczynny, a budynek firmy transportowej, gdzie o mały włos nie doznała wstrząsu, też świecił pustką. Ale coś się działo. Dwoje ludzi składało kwiaty przed wejściem. Podeszli do nich i Dance zapytała, czy tamtego wieczoru byli na koncercie. Nie byli; zginął kuzyn mężczyzny i przyszli uczcić jego pamięć.

Zobaczyli też kilku ludzi pracujących około pięćdziesięciu metrów od klubu, w stronę ścieżki, którą Dance poszła wtedy do domu świadka. To zespół geodetów ustawiał statyw i sprzęt. Byli pochłonięci tajemną sztuką obliczania długości i szerokości geograficznej czy innych wielkości, jakie zwykle mierzą geodeci.

- Może? - rzekł O'Neil. W jego głosie zabrzmiała optymistyczna nuta.

- Dobra, spróbujmy.

Podeszli i przedstawili się.

Szef grupy, szczupły mężczyzna o długich włosach wystających spod czapki, skinął głową.

- Dzień dobry. To straszne, co się stało.

- Pracowali tu panowie tego dnia, kiedy wydarzył się incydent? - zapytała Dance.

- Nie, proszę pani. Mieliśmy zajęcia gdzie indziej.

O'Neil:

- A wcześniej?

- Nie. Dostaliśmy to zlecenie niedawno.

- Dla kogo pracujecie? - spytała Dance.

- Anderson Construction.

Była to duża firma budowlana z siedzibą w Monterey.

- Wiecie, co to za inwestycja?

- Nie.

Podziękowali geodetom i ruszyli w drogę powrotną w stronę podjazdu.

- Powinniśmy porozmawiać z tą firmą - powiedziała. - We wtorek mogli tu przysłać innych robotników. Przekonamy się, czy widzieli hondę, może kogoś oglądającego ciężarówkę albo klub. - Zadzwoiła do TJ-a Scanlona i poleciła mu dowiedzieć się, kto wynajął Andersona i czy deweloper lub firma budowlana miały tu swoich robotników w dniu zdarzenia albo wcześniej.

- Zrobi się, szefowo.

Schowała telefon.

O'Neil skinął głową. Minęli klub i podjazdem podeszli do pola, gdzie Michelle i Trish widziały hondę.

Dance zastanawiała się, czy będzie musiała zaryzykować telefon do Trish, aby dokładnie ustalić miejsce, w którym zaparkowano hondę, ale nie było potrzeby. Zgnieciona trawa wyraźnie wskazywała, gdzie samochód skręcił z podjazdu na łąkę porośniętą niską trawą i kwiatami, by dotrzeć do kępy drzew. Choć przeważającą część regionu trawiła susza, tu ziemia była miękka i grząska od rzeczki, więc opony hondy zostawiły w piaszczystym błocie wyraźne ślady. Kiedy kierowca cofał, jedno

koło straciło przyczepność i obróciło się w miejscu.

Zanim przystąpili do oględzin śladów, zatrzymali się i uważnie obejrzel podłoże, a potem zlustrowali otoczenie. Dance sięgnęła do torebki i wyszperała cztery gumki do włosów. Nałożyli je na buty - nauczyła się tej sztuczki od swoich przyjaciół z Nowego Jorku, Lincolna Rhyme'a i Amelii Sachs. W ten sposób ich ślady będą się odróżniać od śladów pozostawionych przez podejrzanego, kiedy oględzin będzie dokonywać ekipa techników.

- Tam. - O'Neil wskazał na drzewa. - Wsiadł z samochodu i przeszedł tam i z powrotem, żeby znaleźć odpowiednią trasę dookoła firmy transportowej.

Autostradą przejechało kilka samochodów. Jeden skręcił w następny podjazd. O'Neil skupił na nim uwagę i śledził go, dopóki jego światła nie zniknęły.

- Co?

- Po prostu wolę mieć oczy szeroko otwarte.

Pies obronny. Dlatego że nie mam broni. Chociaż prawdopodobieństwo, że spomiędzy drzew wybiegnie sprawca i otworzy do nich ogień, było raczej znikome.

O'Neil odwrócił się w stronę pola. Podeszli bliżej i Dance okrążyła miejsce, gdzie stał samochód, stąpając ostrożnie, żeby nie zniszczyć żadnych śladów.

- Patrz, Michael. On nie był sam.

Kucnął i wyjął małą latarkę. Oświetlił to, co zobaczyła. Na ziemi były widoczne dwa rodzaje śladów, zupełnie inne. Pierwsze pozostawiły jakieś buty do biegania albo trzewiki z podeszwą o skomplikowanym protektorze. Drugie, dłuższe, były całkiem gładkie.

O'Neil wstał i ostrożnie stawiając kroki, podszedł z drugiej strony, gdzie musiały się znajdować drzwi pasażera. Obejrzał ziemię.

- Nie. Była tylko jedna osoba. Nikt nie wysiadł od strony pasażera.

- Ach, jasne. Zmienił buty. Nie, przebrał się i zmienił wszystko.

- Na pewno. Na wypadek gdyby ktoś go widział.

- Powinniśmy sprowadzić tu wasz zespół kryminalistyczny, poszukać mikrośladów, sprawdzić odciski butów i opon.

Biuro szeryfa i FBI dysponowało bazami danych wzorów podeszew obuwia i bieżników opon. Jeżeli będą mieć szczęście, może uda się ustalić markę butów i model samochodu.

Chociaż w tym śledztwie szczęście należało do towarów deficytowych.

## ROZDZIAŁ 31

*Jutro to nowe dziś...* Należy myśleć nie o terażniejszości, ale o przyszłości. Wystarczy mgnienie oka, żeby to, co jeszcze przed chwilą było przyszłością, stało się terażniejszością. Rozumiemy się? Czy to do was przemawia?

Autor wyglądał jak autor. Nie, nie miał tweedowej marynarki z łątami na łokciach, fajki ani wygniecionych spodni. Chociaż być może kiedyś pisarze tak wyglądali, pomyślała Ardel. Ten miał na sobie czarną koszulę, czarne spodnie i nosił modne okulary. I wysokie sznurowane buty. Hm.

- Tak więc jeżeli skupiacie się na obecnej chwili, tracicie z oczu najważniejszą część swojego życia: jego resztę.

Pięćdziesięcio-dziewięć latnia Ardel Hopkins i jej przyjaciółka Sally Gelbert, która siedziała obok niej, przysły do Centrum Bay View przy Cannery Row, na samym brzegu oceanu, ponieważ były na diecie.

Kiedy się zastanawiały, jak zorganizować sobie ten babski wieczór, pierwszą opcją, którą brały pod uwagę, były dwie godziny w Carambas. Ale to by oznaczało margaritę z chipsami, czyli sześćset kalorii, a potem enchilady. Ryzykowny wybór. Tak więc gdy Sally zobaczyła, że w Bay View przy tej samej ulicy wystąpi dzisiaj znany pisarz, decyzja zapadła: doskonale. Jeden drink, parę chipsów, salsa, a potem porcja kultury.

Druga dobra wiadomość: Ardel, jak wszyscy, obawiała się zatłoczonych miejsc - po tym strasznym wydarzeniu w Solitude Creek, celowo wywołanym przez jakiegoś szaleńca. Ale razem z Sally obejrzały salę w Bay View i zauważyły, że drzwi w wyjściach awaryjnych zostały zabezpieczone przed zamknięciem - zaklejono taśmą zamki. Poza tym gruby łańcuch uniemożliwiał zaparkowanie samochodu przed drzwiami i ich zastawienie.

Wszystko wyglądało dobrze. Prawie wszystko - problem w tym, że Richard Stanton Keller, podobno poradnikowy geniusz, okazał się trochę nudny.

- Podwójne nazwisko - szepnęła Ardel. - To już powinno być ostrzeżenie. Dużo słów w nazwisku. Dużo słów w książce.

I dużo słów padających z jego ust.

Sally skinęła głową.

Keller nachylał się nad mikrofonem, przemawiając do publiczności złożonej z dobrych czterystu osób. Czytał, czytał i czytał.

*Jutro to nowe dziś.*

Chwytny tytuł. Ale nie miał większego sensu. Bo kiedy wstajesz następnego dnia, jutro zmienia się w dziś, ale równocześnie żyjesz w starym dziś, musisz więc myśleć o jutrze, które jest nowym dziś.

Jak w filmach o podróżowaniu w czasie, za takimi też nie przepadała.

Wolałaby spotkanie z kimś, kto fajnie pisze i fajnie mówi, na przykład z Janet Evanovich albo Johnem Gilstrapem, ale były gorsze sposoby spędzania godziny po strawieniu bardzo małej - stanowczo zbyt małej - porcji chipsów i jednej margarity. Mimo wszystko uznała, że sala to sympatyczne miejsce na wieczór autorski. Budynek stał na palach i spoglądając w dół, można było zobaczyć jakieś dziesięć czy dwanaście metrów niżej ostre skały, na których pełne wigoru fale właśnie popełniały burzliwe samobójstwo.

Próbowała się skupić.

- Opowiem wam pewną historię. O moim najstarszym synu, który wyjeżdżał do college'u.

Nie wierzę w ani jedno słowo, pomyślała Ardel.

- To prawda, wszystko rzeczywiście się wydarzyło.

W ani jedno słowo.

Zaczął opowiadać, jak jego syn zrobił coś złego albo autor zrobił coś złego, albo żona autora, matka chłopaka, zrobiła coś złego, bo skupiała się na życiu dziś, które w rzeczywistości jest jutrem. Hm. Czy to znaczyło...

Nagle gdzieś spoza sali dobiegł donośny huk. Z niedaleka.

Wszyscy spojrzeli w stronę holu. Pisarz umilkł.

Teraz na zewnątrz rozległy się wrzaski. I drugi huk, głośniejszy i bliższy.

To nie był strzał z tłumika samochodu. Samochody nie strzelały już z wydechu. To musiał być wystrzał z broni palnej. Ardel poznała ten odgłos. Kilka razy, kiedy żył jeszcze jej mąż, była na strzelnicy. Nie chciała strzelać, więc siedziała z boku i przyglądała się, jak pasjonaci, drżąc z podniecenia, prowadzą fachowe rozmowy na temat broni.

Następny strzał-jeszcze bliżej.

Dyrektor centrum podbiegł do wyjścia ewakuacyjnego i otworzył drzwi. Szybko wyjrzał na zewnątrz. I jeszcze szybciej się cofnął.

- Uwaga! Na zewnątrz jest uzbrojony człowiek. Idzie do nas! - Zamknął drzwi, ale ponieważ zaklejono w nich zamek, otworzyły się na oścież.

Ludzie podnosili się z miejsc.

Znowu strzał, potem jeszcze dwa. I krzyki.

- Jezu Chryste - wyszeptała Ardel.

- Ardie, co się dzieje?

Jakiś rosły mężczyzna, chyba były wojskowy, zerwał się z krzesła i też wyjrzał na zewnątrz.

- Jest! Idzie w tę stronę. Ma automat!

Wrzaski:

- Nie! Jezu! Dzwoncie pod dziewięćset jedenaście!

Kilka osób podbiegło do wyjścia awaryjnego.

- Nie, nie tędy! - krzyknął ktoś. - On tam jest. Chyba strzela do ludzi przed budynkiem!

- Wracać!

Rozbłysło jasne światło reflektora. Nie! - pomyślała Ardel. Łatwiej będzie mógł dostrzec cel.

Autor nie powiedział nic w rodzaju: „Proszę zachować spokój”. W ogóle nic nie powiedział, tylko zerwał się z miejsca, odepchnął ludzi stojących mu na drodze i pobiegł w stronę holu. Kilkanaście osób ruszyło za nim. Stłoczyli się w drzwiach. Jakaś kobieta cofnęła się z wrzaskiem, ściskając ręką okropnie wykręcone ramię.

Od strony holu padł następny strzał. Większość tych, którzy uciekli w tamtą stronę, wróciła do głównej sali.

Ardel z płaczem chwyciła dłoń Sally i próbowały odsunąć się od wyjść awaryjnych. To jednak było niemożliwe. Zostały uwięzione w gromadzie spoconych ludzi, przyciśnięte do napiętych ciał.

- Uspokójcie się! Cofnijcie! - krzyczała Ardel zduszonym głosem. Sally też szlochała, podobnie jak dziesiątki innych osób.

- Gdzie policja?

- Cofnijcie się, odsuńcie się ode mnie...



- Pomocy! Moja ręka, nie czuję ręki!

Ogłuszające wrzaski, tak głośne, że groziły uszkodzeniem bębenków. Kiedy ludzka masa napierała od strony wyjść ewakuacyjnych, kilka osób się potknęło - jakiś starszy mężczyzna osunął się pod kolumnę nóg. Krzyknął, gdy rozległ się trzask łamanej kończyny. Dwaj młodzi ludzie, może jego wnukowie, chyba tylko nadludzką siłą zdołali rozdzielić tłum i dźwignąć staruszkę. Był blady i chwilę potem stracił przytomność.

Huknęły jeszcze dwa strzały, tym razem już bardzo blisko wyjść awaryjnych.

Tłum ruszył jak wezbrana fala od drzwi w stronę okien. Wszyscy już oszaleli, opętani wściekłością i paniką. Ludzie okładali się pięściami, usiłując uciec z pierwszej linii, myśleli - jeśli w ogóle ktokolwiek myślał - że jeśli znajdą się w głębi, kule trafią w tych z przodu, a napastnikowi skończy się amunicja albo zostanie zastrzelony przez policję, zanim zdąży zabić więcej osób.

Niepowstrzymanie sunęli do okien - jedynej drogi ucieczki.

Ardel usłyszała trzask we własnym barku, w oczach zamigotało jej żółte światło i straszliwy ból przeszył ją od szczęki aż do podstawy kręgosłupa. Jej krzyk utonął w morzu wrzasków. Nie mogła się nawet odwrócić, żeby zobaczyć, co się stało. Głowę miała zakleszczoną między ramieniem jednego mężczyzny a piersią innego.

- Ardie! - zawołała Sally.

Ardel nie miała jednak pojęcia, gdzie jest przyjaciółka.

W głośnikach rozległ się głos, ale nie należał do pisarza, którego już dawno nie było:

- Odsunąć się! Jest już prawie w drzwiach!

Zza jej pleców dobiegł trzask tłuczonego szkła i tłum runął w tę stronę, pociągając ze sobą Ardel. Nie miała wyboru: jej stopy unosiły się nad podłogą. Wreszcie zdołała jakoś odwrócić głowę i zobaczyła, że widzowie rzucają krzesłami w okna. Na parapetach pojawiły się sylwetki zdesperowanych ludzi. Niektórzy rozcinali sobie dłonie i ramiona o wystające z ram odłamki szkła. Po chwili wahania skakali.

Wcześniej wyglądała przez okno. Znajdowało się na wysokości trzech pięter nad brzegiem morza - trzeba skoczyć naprawdę daleko, by trafić w wodę, ale chyba nawet tam tuż pod powierzchnią były ostre skały i betonowe podpory, najeżone

stalowymi prętami zbrojeniowymi.

Ludzie patrzyli w dół i krzyczeli, być może widząc, jak ich bliscy i przyjaciele lądują na skałach.

- Nie! Nie skaczę! - wrzasnęła Ardel do nikogo konkretnego. I używając nieuszkodzonej ręki, próbowała precyzyjnie się w drugą stronę. Wolała zaryzykować spotkanie z uzbrojonym bandytą.

Nie mogła jednak nic zrobić, absolutnie nic. Kipiąca masa ludzka napierała coraz bliżej okien, gdzie niektórzy się wahali, a inni spychali opornych w dół i po ich plecach albo brzuchach wdrapywali się na okno, by skoczyć i szukać pozornego ratunku na skalistym brzegu.

- Nie, nie, nie! - próbowała krzyczeć Ardel, usiłując złapać oddech, gdy grupa wokół niej wspięła się po ciałach tych, którzy upadli pod naporem tłumu, i zbliżyła się do parapetu. Nie mogła spojrzeć w dół, nie mogła się przytrzymać, nie mogła nawet znaleźć bezpiecznego miejsca do wylądowania, jeżeli w ogóle było takie miejsce.

- Przestańcie! - zawołała do tłumu.

Ale po chwili już spadała, czerpiąc dziwną przyjemność z tych dwóch czy trzech sekund swobody w przestrzeni, wolna od uścisku masy ciał, oplatającej ją jak dusiciel.

A potem rozległ się głuchy łomot i uderzenie wydarło jej dech z piersi.

Nie odniosła jednak poważnych obrażeń. Wylądowała na mężczyźnie, który skoczył tuż przed nią. Leżał nieprzytomny na wystającej skale, miał rozprutą prawą stronę twarzy, zmiażdżoną szczękę, policzek i ramię. Ardel wylądowała prawie na nogach, a potem osunęła się na siedzenie, unikając zderzenia uszkodzonego barku z ostrą skałą, co na pewno byłoby katastrofalne w skutkach.

Potężny słup słonej wody rozprysnął się nad Ardel i ludźmi wokół niej, leżącymi, siedzącymi i pełzającymi po zimnych jak lód kamieniach.

Wrzask ofiar mieszał się z rykiem fal.

Wstała na chwiejnych nogach i rozejrzała się, trzymając za ramię.

Sala zaroiała się już pewnie od policji, a szaleniec został zastrzelony albo aresztowany. Pomyślała, że najlepiej tu zostać i...

- Aach! - wrzasnęła, gdy ktoś wylądował tuż za nią, strącając ją ze skały. Runęła

naprzód w spienioną wodę.

Fala już się cofała i prąd powrotny szybko pociągnął ją w głąb morza.

Z bólu zrobiła gwałtowny wdech, lecz wciągnęła do płuc tylko wodę. Zakrztusiła się i odwróciwszy głowę, szukała pomocy, patrząc, czy jest daleko od brzegu. Znosiło ją coraz dalej, cztery metry, pięć, coraz więcej. Chłód pozbawił ją tchu i organizm przestawał funkcjonować.

Spojrzała na bezużyteczne ramię unoszące się bezwładnie w wodzie.

Zresztą to nie miało znaczenia: nawet gdyby ręka działała bez zarzutu, nie mogłaby zupełnie nic zrobić. Ardel Hopkins nie potrafiła przepłynąć nawet centymetra.

## ROZDZIAŁ 32

Antioch March wrócił z Bay View i siedział w hondzie zaparkowanej około pięciu przecznic od centrum kulturalnego, niedaleko Sardine Factory, wspaniałej restauracji, która pojawiła się w *Zagraj dla mnie Misty*, poruszającym thrillerze Clinta Eastwooda. To był jeden z ulubionych filmów Marcha, o pięknej kobiecie opętanej obsesją na punkcie prezentera radiowego. Opętanej psychopatyczną obsesją.

Prawdziwym bohaterem był oczywiście Płód.

Nie brakowało jej odwagi, żeby zdobyć to, czego pragnęła. Przeciągnął się, myśląc o planie, który właśnie doprowadził do skutku. Poszło całkiem dobrze.

Czterdzieści minut wcześniej szedł Cannery Row, niosąc torbę z oceanarium Monterey, a potem ukrył się za jakąś restauracją w pobliżu Centrum Bay View. Przebrał się w swój „uniform rezerwisty”, jak zażartował na własny użytek, czyli mundur kamuflażowy, bandanę, rękawiczki, maskę i wysokie sznurowane buty. Dziesięć minut po rozpoczęciu wieczoru autorskiego twórcy poradnika przystąpił do ataku szału.

Wyszedł z kryjówki i zaczął strzelać z glocka, zmierzając coraz bliżej Centrum Bay View; celował w kierunku ludzi, ale nie prosto w nich. Wszyscy się rozpierzchli. Wszyscy krzyczeli.

Szedł w stronę wyjść awaryjnych centrum, strzelając bez opamiętania. Obliczył, że do przyjazdu policji ma około czterech minut.

Później, gdy ludzie zaczęli wyskakiwać przez okna, lądować na skałach i w oceanie, wycofał się do swojej bazy. Po chwili znów miał na sobie T-shirt, kurtkę, krótkie spodnie i japonki. Pistolet zatknął za pasek na plecach. Strój maskujący trafił do obciążonej kamieniami torby z siatki na sprzęt do nurkowania, którą wrzucił do zatoki, gdzie pogrzyżyła się dziesięć metrów pod warstwą glonów.

Przeobrażony w turystę, wrócił brzegiem morza do zaparkowanej hondy. Z telefonu na kartę zadzwonił pod dziewięćset jedenaście i zawiadomił policję, że uzbrojony bandyta ruszył w kierunku Fisherman's Wharf, czyli w stronę przeciwną od miejsca, w którym się znajdował. Następnie zadzwonił do lokalnej stacji telewizyjnej i powiedział to samo. Trzeci telefon był do restauracji na

Fisherman's Wharf - nie tej, gdzie poprzedniego dnia jadł kolację - z informacją, że nadchodzi oszalały człowiek z bronią.

- Uciekajcie stamtąd, szybko!

Na ulicach mnóstwo policjantów - nie wszędzie, ponieważ to było małe miasteczko - ale naprawdę sporo. Żaden nie zwracał na niego uwagi. Interesowało ich co innego. Ciekawe, czy w ogóle się domyślali, że podając się za inspektora ochrony przeciwpożarowej Dunna, sam polecił zakleić zamki w drzwiach w wyjściach ewakuacyjnych. Prawdopodobnie nie. Dzięki „środkom ostrożności” zastosowanym przez centrum bez trudu przeprowadził atak.

Odczekał jakiś czas, wreszcie uznał, że może wrócić - tak jest, na miejsce przestępstwa.

Ulice były, rzecz jasna, zatłoczone, gdy szedł w stronę centrum kulturalnego, gdzie tragedia trwała w najlepsze. Na morzu zobaczył kilkanaście łodzi policji i straży przybrzeżnej z błyskającymi niebieskimi światłami i reflektorami, które przeszukiwały powierzchnię wody. Na falach unosili się jacyś ludzie, głównie nurkowie. Dostrzegł też parę osób na skałach pod rozbitymi oknami sali Bay View. Część z nich siedziała jakby w odrętwieniu. Inni leżeli na wznak i na boku.

Ratownicy ostrożnie schodzili do rannych po stromych skałach, śliskich od wody i roślin przypominających zielone włosy. Kilku z nich poślizgnęło się i wpadło do oceanu. Był wśród nich strażak, który rozpaczliwie wymachiwał rękami w wodzie, kiedy fala zносиła go na skały. Koledzy bezpiecznie wyciągnęli go na brzeg.

March zauważył, że to nie tamten Bohaterski Strażak. Ale był pewien, że Brad Dannon jest gdzieś niedaleko.

Między budynkami dotarł na Cannery Row. Przeszedł na drugą stronę ulicy i wspiał się na wzgórze wznoszące się nad Centrum Bay View.

*Cudowny chaos...*

Podszedł bliżej. Zobaczył trzy worki na zwłoki złożone z szacunkiem w bocznym podjeździe przy budynku Bay View, obok drzwi ewakuacyjnych, otwartych na oścież. To był niezły plan kazać czytelnikom poradników skakać przez okna na ostre skały i do przenikliwie zimnej wody.

Spoglądając w dół, zauważył jeszcze jeden pojazd, który z włączonym klaksonem przedzierał się w kierunku Bay View.

Ach, kogóż my tu widzimy?

*Moja znajoma...*

Szary nissan pathfinder miał na desce rozdzielczej prowizorycznego niebieskiego koguta. Samochód zaparkował blisko niego - przez ulice zatłoczone ludźmi i pojazdami ratowniczymi nie sposób było podjechać bliżej centrum.

Kathryn Dance wysiadła i marszcząc brwi, rozejrzała się dookoła.

March oczywiście pojechał do jej domu, ale niewiele udało mu się zobaczyć. Widział psy, wchodzących i wychodzących ludzi. Poznał parę szczegółów na temat jej życia, rodziny i przyjaciół, choć nie zdołał się jej bliżej przyjrzeć. Teraz miał taką okazję. Całkiem atrakcyjna. Trochę podobna do aktorki Cate Blanchett. Miała na sobie ciemną marynarkę i spódnicę do połowy łydki. Modne buty. Włosy uczesane w ciasny kucyk związany jasnoczerwoną gumką.

Ciekawa rzecz: w tym stroju i z taką fryzurą przypominała odrobinę Jessicę ze świętej trójcy w życiu Antiocha Marcha, w której skład wchodził jeszcze Serena i Todd.

Szybkim krokiem zbliżyła się do kilku umundurowanych policjantów i pokazała im odznakę, chociaż funkcjonariusze chyba ją znali. Podeszli inni i przekazywali jej informacje w taki sposób, jak gdyby witali królową. Jego wrażenie z przedwczoraj, kiedy widział ją przed kinem, było trafne: to ona go ścigała. Szefowa ekipy śledczej, czy jak to nazywają. Przypuszczał, że jest inteligentna. Miała uważne, przenikliwe spojrzenie, zarys jej szczęki zdradzał upór.

W ciągu mniej więcej pięciu minut wysłuchiwała wszystkich próśb i wydała stosowne polecenia. Podeszła do ciał, spoglądając na nie posępnym wzrokiem. Następnie skierowała się do sali centrum.

Kiedy Antioch March stracił ją z oczu, zszedł ze wzniesienia. Ponieważ ulica była zatłoczona ludźmi i pojazdami, Dance zaparkowała przed policyjną taśmą otaczającą miejsce zdarzenia, mógł więc bez trudu podejść do jej samochodu, niezatrzymywany przez nikogo.

Sprzyjał mu też fakt, że kobieta zaabsorbowana dramatem w Centrum Bay View nie zamknęła nissana.

Rozejrzał się i nie zauważywszy nikogo, kto zwracałby na niego uwagę, otworzył drzwi od strony kierowcy.

## ROZDZIAŁ 33

Wyskoczyło około pięćdziesięciu osób. Większość spadła na skały.

- Dance zdawała relację Charlesowi Overby'emu w swoim gabinecie w siedzibie CBI. Był też z nimi O'Neil. - Połowa wylądowała w morzu. Woda miała siedem stopni. Można przeżyć jakiś czas w takiej temperaturze, niektórym to się udaje, ale ci, którzy zginęli, nie umieli pływać albo zostali ogłuszeni czy ranni w wyniku upadku. Innych porwały fale i rzuciły o skały. Stracili przytomność i utonęli. Dwie osoby zaplątały się w wodorosty.

- Liczba ofiar?

O'Neil:

- Cztery śmiertelne, trzydzieści dwie osoby ranne. Dwanaście w stanie krytycznym. Dwie w śpiączce na skutek upadku i hipotermii. Trzy prawdopodobnie stracą kończyny w wyniku obrażeń po lądowaniu na skałach. Nikt nie zaginął. Wszystkich znaleziono i policzono. - Nie było ochrony?

- Nie - odparła Dance. - Dyrektor stanął na pierwszej linii, pomagał. A autor? Schował się w toalecie. Damskiej, mówiąc ściśle. A napastnik zniknął - około trzech minut przed przyjazdem policji. Przepadł bez śladu.

- Jak to się stało?

- Przypuszczamy, że zdjął i wyrzucił przebranie - powiedział O'Neil.

- Kamuflaż?

- Wzdłuż brzegu jest mnóstwo miejsc, w których mógł się ukryć, przebrać, wrzucić wszystkie rzeczy do reklamówki, a potem zniknąć w tłumie - wyjaśniła szefowi Dance.

- Były zgłoszenia, że poszedł w stronę Fisherman's Wharf.

- Przypuszczamy, że to on za tym stał - odrzekła Dance.

- Zadzwoił pod dziewięćset jedenaście, do telewizji i pewnej restauracji. Z telefonu na kartę. Kupionego za gotówkę w Chicago mniej więcej miesiąc temu. Kiedy się o tym dowiedziałam, sprawdziłam rejestr połączeń z tamtego wieczoru w Solitude Creek. Ktoś dzwonił do Sama Cohena z parkingu i powiedział mu, że pożar jest w kuchni i za sceną klubu. Ta wiadomość wywołała jeszcze większą panikę i tłok przy drzwiach.

- Dzwonił z tego samego numeru?

- Nie. Ale telefon też pochodził z Chicago. Kupiono go w tym samym czasie. Wysłałam prośbę do policji w Chicago, żeby to sprawdzili. Cudów się nie spodziewam. Wracając do Bay View: dyrektor mówił, że nie ma zapisu z monitoringu. Widziałam kamery w sali i na zewnątrz, ale chyba nie były podłączone.

- A sprawca w ogóle nie wszedł do środka - powiedział wolno Overby. - Ani nikogo nie uderzył. Dlaczego?

- To pierwsze pytanie o Solitude Creek, które postawiliśmy z Michaeliem. Dlaczego po prostu nie puścił klubu z dymem? Nie zastrzelił ofiar? Woli, żeby same się zabijały. Bawi się wrażeniami, uczuciami, paniką. Nie ma znaczenia, co ludzie widzą. Liczy się to, w co wierzą. Strach to jego broń. I dobrze się na niej zna. Rozmawiałam z kobietą, która cudem przeżyła. Ardel Hopkins. Została zgnieciona przez tłum, zmiażdżono jej ramię. O mało się nie utopiła, ale wyłowiła ją straż przybrzeżna. Z tego, co mówiła, wynika, że tak samo jak w Solitude Creek ludzie oszaleli. Bezrozumny tłum. Zapaliły się lampy ewakuacyjne, mocne reflektory. To wzmogło jeszcze panikę. Ktoś pewnie wybił okno i skoczył. A reszta ruszyła za nim. Jak lemingi. Nikt nie popatrzył, czy napastnik rzeczywiście dostał się do środka. Usłyszeli tylko, że ktoś krzyknął: „Skacz!”, i skoczyli. Dyrektor powiedział o przeprowadzonej u nich kontroli przeciwpożarowej - centrum miało albo odwołać wieczór autorski, albo spełnić wymagania inspekcji, czyli zabezpieczyć wyjścia ewakuacyjne, by żaden pojazd nie mógł zaparkować przed drzwiami, i zablokować zamki, żeby drzwi nie mogły się zamknąć.

- Przynajmniej straż pożarna wykazała się proaktywnością. Nie słyszałem o tym. Ale to ironia losu, hm? Dyrektor zastosował wszystkie wymagane środki ostrożności - a to właśnie one przyczyniły się do tragedii.

- Zabezpieczamy teraz ślady - mówił O'Neil. - Aha, dostaliśmy od kryminalistyki wyniki analizy odcisku buta - jednego ze śladów, które znaleźliśmy z Kathryn przy Solitude Creek. I okazuje się, że sprawca ma dość rzadkie obuwie.

- Dlaczego obuwie może być rzadkie? - spytał Overby.

- Bo kosztuje około pięciu tysięcy dolarów za parę.

- Co?!



- Spece od traseologii mają dziewięćdziesiąt procent pewności. Louis Vuitton. Ktoś ode mnie sprawdza sprzedaż tych butów w całym kraju, ale są rzeczy rzadkie i rzadkie. Sprzedaje się około czterystu par rocznie. Poza tym założę się, że ten nasz kupił je za gotówkę. A jeśli chodzi o hondę, rozstaw osi i kół oraz bieżnik wskazują, że to accord. Najwyżej czteroletnia.

- Dlaczego człowiek w butach za pięć tysięcy miałby jeździć hondą? - zastanawiał się głośno Overby, po czym sam sobie udzielił oczywistej odpowiedzi: - Bo to najbardziej popularny pojazd na ziemi. Jezu. Buty za pięć tysięcy dolarów. - Overby parsknął śmiechem. - Kurczę, kto to jest? - Zaczął coś jeszcze mówić, ale nagle jego wzrok padł na ekran komputera. - O. Hm.

- Co, Charles?

Czytał chwilę.

- Wiadomość w sprawie Kanału - od grupy specjalnej z Oakland. Dwaj ludzie z gangu spalili jeden z magazynów G-82. Ten przy Everly Street.

- Spalili? - Dance skrzywiła usta. - Miesiąc temu dowiedzieliśmy się, że hurtownia to przykrywka - wyjaśniła O'Neilowi. - Mogliśmy zrobić tam nalot, ale uznaliśmy, że pozwolimy im działać, była jednak pod obserwacją. Żebyśmy mieli dane ciężarówek jadących na południe. - Westchnęła. - Teraz G-82 znajdą sobie inny skład, nie wiemy gdzie. To przyhamuje śledztwo.

Overby czytał dalej:

- W magazynie było około dziesięciu tysięcy sztuk amunicji. Niezły pokaz sztucznych ogni.

- Nie rozumiem - powiedziała Dance. - Magazyn jest terytorium neutralnym. Wszystkie gangi o tym wiedzą. Nie było sensu go niszczyć.

- Komuś widocznie nie podobała się ta neutralność - odparł O'Neil. - Może jakiejś zbuntowanej grupie z południa. Albo stąd.

Overby czytał dalszy ciąg wiadomości. Po chwili uniósł wzrok.

- Dziwne. Ludzie, którzy spalili magazyn, byli biali. Przynajmniej tak wynika z nagrania wideo. Wszystkie gangi objęte operacją Kanał to czarni albo Latynosi. Może nadepnęli na odcisk temu, komu nie trzeba.

- Właściciel nie zrobiłby tego dla odszkodowania. Przecież w środku znajdowała się amunicja - zauważyła Dance. - Zaczekałby, aż się opróżni.

- Policja z Oakland i DEA znają część numerów rejestracyjnych podpalaczy - dodał Overby. - Właśnie je sprawdzają. Szukają też kamer w okolicy, świadków. - Pokręcił głową i odwrócił się od ekranu.

W tym momencie w gabinecie pojawił się TJ Scanlon. Przywitał wszystkich skinieniem głowy.

- Chciałem, żebyście byli na bieżąco. Mam info na temat Anderson Construction.

Ach, tak. Dance wyjaśniła Overby'emu, że w pobliżu klubu spotkali ekipę geodetów. Miała nadzieję, że któryś z pracowników firmy budowlanej widział sprawcę pod Solitude Creek.

- Do Andersona zwróciła się firma z Nevady, która chciała zrealizować w okolicy jakiś projekt. Od dwóch tygodni nie było tam nikogo z Andersona, ale przypuszczają, że firma z Nevady niedawno wysłała na miejsce jakichś ludzi. Zostawiłem im wiadomości.

- Dzięki, TJ. Idź już do domu.

- Do zobaczenia rano. Dobranoc wszystkim.

Overby też się pożegnał, a po nim wyszedł Michael O'Neil.

Dance spojrzała na zegarek: dochodziła jedenasta wieczorem. Porządkując papiery na biurku, zerknęła na ekran komputera, który wyświetlał relację lokalnej telewizji z dramatu w Centrum Bay View, przy ściszonej fonii. W kadrze pojawił się nie kto inny, jak Brad Dan-non, Bohaterski Strażak. Tym razem nie pojawił się pierwszy na miejscu zdarzenia, ale zmieścił się w pierwszej trójce. Dance oglądała ponure obrazy. Plamy krwi w drzwiach, odłamki szkła z rozbitych szyb w oknach, skały, skulonych ludzi, których wyłowiono z wody i otulono szczelnymi foliami termicznymi; ludzi idących niepewnym krokiem przez parking i ludzi w tłumie gapiów, nawołujących żałośnie zaginionych krewnych i przyjaciół.

Po chwili ukazał się nowy materiał związany z tym samym tematem. Zwiększyła głośność. Osiemnaście osób pozwało do sądu Henderson Jobbing za zaniedbanie polegające na niezabezpieczeniu pojazdów i kluczyków. Komentatorzy przypuszczali, że firma zbankrutuje, choć nie z powodu winy za tragedię - prawdopodobnie nie ponosiła prawnej odpowiedzialności - ale dlatego, iż obrona przed zarzutami w procesie będzie tak kosztowna, że przedsiębiorstwo trzeba będzie zamknąć.

- Firma od lat była liczącym się pracodawcą w Monterey, świadczyła usługi magazynowe i transportowe w całym stanie... wykonywała także przewozy międzynarodowe. Odniosła sukces na lokalnym rynku, wygląda jednak na to, że teraz zniknie z niego na dobre.

Dance odwróciła się od ekranu. Pomyślała o biednym Samie Cohenie. Klub na pewno też trzeba będzie zamknąć.

*Po czymś takim nie można się pozbierać. Nigdy.*

Wyjęła telefon i zadzwoniła.

- Kathryn? - odezwał się męski głos.

- Jesteś jeszcze w pracy, Rey?

- Jasne.

Rey Carreneo był agentem, który jej zdaniem w głębi duszy miał więcej lat niż w rzeczywistości. Kiedyś służył w patrolu w Reno w Nevadzie, gdzie otrzymał dobrą szkołę policyjnego rzemiosła. Miał barwną przeszłość, po części chlubną, po części mroczną, a między jego palcem wskazującym a kciukiem można było dostrzec maleńką bliznę po tatuażu gangu, który usunął nie tak wiele lat temu.

- Potrzebuję pomocy.

- Jasne, Kathryn. W sprawie Serrana?

- Nie, sprawcy z Solitude Creek. Chciałabym, żebyś sprawdził parę rzeczy. Mogę do ciebie zajrzeć za pięć minut?

- Czekam.

## ROZDZIAŁ 34

Antioch March, siedząc w zaparkowanej hondzie, obserwował dom z odległości piętnastu metrów i czekał na dogodny moment, by na zawsze odmienić życie Kathryn Dance.

Poprawił się na fotelu. Jako mężczyzna słusznej postury nie przepadał za hondą accord. U siebie jeździł dużym mercedesem AMG z silnikiem o mocy pięciuset koni. Prezent od szefa. Tu oczywiście nie mógł rzucać się w oczy.

Przyglądał się domowi spod przymrużonych powiek.

Był tu, ponieważ niedawno w nissanie Dance znalazł całkiem przydatne informacje i nasunął mu się dość oczywisty plan. Na siedzeniu obok leżała jego kominiarka, bawełniane rękawiczki i klucz do kół. Wyobraził sobie uroczą twarz Kathryn, kiedy się dowie o tej tragedii. Będzie płakać? Krzyczeć? - zastanawiali się obaj, March i Płód.

Słuchał na przemian radiowej relacji z wydarzeń w Centrum Bay View i audiobooka, znakomitej książki Keitha Hopkinsa *Śmierć i odnowa*. March zawalił studia przez Płód, nie z powodu deficytu inteligencji; zawsze bardzo dużo czytał. Preferował literaturę non-fiction - przede wszystkim biografie i książki historyczne. Odnowa była pracą naukową na temat śmierci i struktury społecznej w starożytnym Rzymie, epoce, która go fascynowała. Bitwy, rozrost imperium, kultura. Z książki dużo się dowiedział o walkach gladiatorów, a te szczególnie go interesowały. Czytał o nich wszystko, co udało mu się znaleźć, ale niewiele było naukowych dzieł poświęconych gladiatorom i ich światu. March nie mógł się nadziwić, że większość książek na ten temat stanowiły romanse, gdzie występowali muskularni mężczyźni odziani w skórzane stroje, przesiąknięte potem i zaopatrzone w mnóstwo pasków.

Romanse!

Mój Boże.

Wyłączył audiobooka i wpatrywał się w dom. Ciekawe, jak długo jeszcze będzie musiał czekać.

Odprężył się i rozparł wygodnie na fotelu.

Jego zainteresowanie gladiatorami nie miało oczywiście nic wspólnego ze sferą erotyczną - ani hetero, ani homo - która była produktem Hollywood oraz, jak się

wydawało, popularnych publikacji. Nie, intrygowała go instytucjonalizacja śmierci.

Historia uczyła, historia wyjaśniała. Człowieka nie można oceniać na podstawie jednego dnia: należy prześledzić całe jego życie, by zobaczyć kierunki i tendencje, by zobaczyć, kim jest naprawdę. Czas równa wszystko.

To samo dotyczy całej ludzkości.

A istnienie Antiocha Marcha przesiąknęło światem turniejów gladiatorskich. Same walki, ciekawe i skomplikowane, u swojego zarania, w bardzo skromnej formie, były rodzajem hołdu dla zmarłych krewnych; nosiły nazwę munus - walczyło dwóch lub trzech wojowników, czasem na śmierć i życie, czasem nie. Ostatecznie rzymscy oficjele połączyli munera z innymi rozrywkami, które nie miały charakteru walki, jak na przykład konkurencje sportowe popularne wśród obywateli, tworząc widowiska gladiatorskie (słowo „gladiator” oznaczało szermierza).

Jako odwieczny fan gier komputerowych - nadal regularnie grał dla relaksu - March postanowił kiedyś stworzyć własną grę. Opartą na walkach gladiatorskich, prowadzoną z perspektywy pierwszoosobowej, gdzie ogląda się akcję, jak gdyby się w niej uczestniczyło.

Nieprzyjaciel naciera na gracza, a ten musi walczyć o życie (albo, jak w niektórych grach, zająć wroga od tyłu i podciąć mu gardło). Dzięki książkom takim jak ta, której właśnie słuchał, a także innym źródłom dowiedział się o turniejach gladiatorów wszystkiego, czego potrzebował. Następnym krokiem miało być zgłębienie tajników tworzenia gry wideo. Grał od prawie dwudziestu lat, sporo gier ukończył, i dobrze wiedział, jak działają, musiał jednak poznać techniczną stronę produkcji i znaleźć komputerowego fachowca, by mu w tym pomógł.

Godzinami snuł fantazje o grze i wyobrażał sobie, jak mogłaby wyglądać. Miał już nawet tytuł: „Krew wszystkich”. Zaczerpnął ją z wiersza, peanu na cześć gladiatora Werusa z pierwszego wieku, autorstwa być może Katullusa. Ostatnią strofę znał na pamięć.

*O, Werusie, walk stoczyłeś czterdzieści i po trzykroć Ofiarowano ci drewniany rudis wolności,*

*A ty wzgardziłeś nim i nie odszedłeś z areny.*

*Niebawem zbierzemy się, by patrzeć, jak miecz W twojej dłoni pogrąża się w sercu przeciwnika.*

*Chwała ci, który nie chciałeś przekraczać progu Bram Życia, który postanowiłeś złożyć nam w darze to.*

*Czego pragniemy najbardziej, czym żyjemy:*

*Krew wszystkich.*

Pracował nad grą od wielu lat z przerwami. Gdyby stała się przebojem, musiałby oczywiście uważać, by zachować anonimowość. O autorze gry zapewne zrobiłoby się głośno, a March przypuszczał, że ktoś, kto poświęca swój czas na... to, czym on się trudnił, powinien raczej pozostać w cieniu. Doszedł jednak do wniosku, że projekt nie wywoła aż tak wielkiego zainteresowania jego osobą - inaczej niż w przypadku znanego pisarza. Nigdy nie będzie miał wieczoru autorskiego dla czterystu osób jak dziś Richard Tchorz Stanton Keller.

*Jutro to nowe dziś.* Uśmiechnął się, myśląc: na pewno nie dla niektórych uczestników spotkania w Bay Yiew.

Znów spojrzał na dom. W środku paliło się światło. Ale... W tym momencie jego telefon odebrał wiadomość. Zerknął na ekran i wziął aparat do ręki.

Co to może być? - pomyślał. Nie. Och, nie...

Plany na wieczór uległy zmianie.

## ROZDZIAŁ 35

Bardzo źle? - spytał Jon Boling.

- Nie chcę rozmawiać, jak minął mi dzień. Porozmawiajmy, co u ciebie.

Uśmiechnął się.

- Nie wiem, czy pasjonujący będzie artykuł o wadach logiki wyszukiwania bulowskiego. Może lepiej pobawimy się w kanapkę z rostbefem?

Odpowiedziała uśmiechem i pocałowała go.

- Umieram z głodu. Dzięki.

Chwycił talerze i zaniósł je na Taras, postawił na stole płonąca świeczkę. Kathryn nie mogła nie pomyśleć: zapalają dla tych, którzy zginęli w Centrum Bay View.

Otworzył butelkę cabemeta Jack London. Wino nie było złe, ale najbardziej podobał się jej wilk na etykiecie.

- Co porabiały nasze szkraby? - zapytała, kiedy sączyli wino, jedli kanapki i sałatkę ziemniaczaną.

- Mags ciągle jest markotna.

Pokręciła głową.

- Spróbuję jeszcze raz. Może uda mi się to z niej wyciągnąć.

- Wygląda, że lubi swój klub przyjaciółek. Godzinę gadała z nimi przez Skype'a.

- Ach, jak to się nazywa? Klub Sekretów.

- Właśnie. Bethany i Cara. Zdaje się, że jeszcze Lucie. Chyba dość ekskluzywny.

- Miałeś ją na oku?

- Miałem.

Kathryn wprowadziła zasadę, zgodnie z którą dzieciom wolno korzystać ze Skype'a i Internetu tylko wówczas, jeśli w pobliżu jest dorosły i od czasu do czasu sprawdza, co robią.

- Klub istnieje oficjalnie? - spytała.

- Nie przypuszczam, żeby szkoła podstawowa Pacific Hills wymagała obszernego statutu, aby klub mógł działać oficjalnie.

- Słusznie... Klub Sekretów - powiedziała w zamyśleniu. - Co one właściwie robią? Plotkują o swoich lalkach American Girl?

- Pytałem ją, ale powiedziała, że to sekret.

Roześmiali się.

Boling odmówił drugiego kieliszka wina. Ponieważ w domu były dzieci, zostawał tylko do chwili, gdy Kathryn szła spać, a potem samochodem wracał do siebie. Nigdy też nie pił, kiedy miał gdzieś zawieźć dzieci.

- A Wes?

- Wpadł do niego Donnie. Lubię tego chłopaka. Naprawdę łąbski. Uczyłem go pisania kodu. Szybko załapał.

- Co sądzisz o grze, która teraz tak bardzo ich zajmuje - Oddziały Wielozadaniowe Wywiadu i... Jak to się nazywa?

- Neutralizacji.

- Właśnie.

- Nie mam pojęcia, o co w niej chodzi, ale to ciekawe, że odrzucają model komputerowy. Spisują ręcznie jakieś plany bitew czy coś w tym rodzaju. Wygląda to trochę jak taktyka meczu futbolowego. Albo stara gra w okręty, pamiętasz?

- Pewnie.

- Widoczny powrót do gier w tradycyjnej formie. Jest nawet część, w której organizują coś w rodzaju podchodów, kiedy muszą znaleźć wskazówki w parku albo na brzegu morza. Wychodzą na dwór, jeżdżą na rowerach, mają trochę ruchu.

- Bawią się tak jak ja, gdy byłam mała.

- Muszę przyznać, że nawet w tym wieku skłaniałem się raczej ku skrzynkom.

Skrzynkom. Komputerom.

- Słyszałam, że ludzie wracają do papierowych książek i rezygnują z e-booków.

- Rzeczywiście. Też wolę papierowe. Poza tym, jeśli przyjrzeć się moim typowym lekturom, zapewne nie da się znaleźć *Zastosowania modeli wektorowych i podobieństwa cosinusowego do algorytmów wyszukiwarek* w wersji na Kindle'a.

Kathryn skinęła głową.

- Zdaje się, że na podstawie tej książki powstaje film, prawda?

- W produkcji Pixara.

Na Taras przywędrowały Patsy i Dylan. W takie wieczory aromat pieczeni wołowej niesie się daleko. Psy klapnęły obok nich, a Boling ukradkiem, choć nie całkiem się z tym kryjąc, podsuwał im smakowite kąski.

- No dobrze, więc jak jest? Bardzo źle?



Pochyliła głowę i wypła łyk wina.

- Nie chciałaś o tym rozmawiać - ciągnął. - Ale może już chcesz.

- Jest źle, Jon. Nie mamy pojęcia, co ten człowiek planuje. Dzisiaj ... słyszałeś wiadomości? Uzbrojony szaleniec, ale do nikogo nie strzelał. Wzniął tylko panikę. Ludzie wskakiwali do wody. Cztery czy pięć osób zginęło.

Umilkła, spoglądając na małe bursztynowe światełka w ogrodzie. Kiedy odchyliła się na krześle, chrupnęła jej jakaś kość w barku. Wcześniej nic takiego się nie zdarzało. Popatrzyła przez gałęzie sosen na gwiazdy. To był Półwysep Mgieł, ale bywały chwile, gdy temperatura i wilgotność decydowały się na współpracę, aby powietrze stało się tak czyste, że przy dyskretnym oświetleniu otoczenia, patrząc przez tunel między sosnami, można było czasem zobaczyć początek wszechświata.

- Zostań - powiedziała.

Boling zerknął na psy. Spały.

Skierował wzrok na nią.

Uśmiechnęła się.

- Mówię do ciebie. Nie do psa.

- Zostać?

- Na noc.

Nie musiał mówić „Ale przecież dzieci”. Kathryn Dance nie trzeba było przypominać o rzeczach oczywistych.

Nie musiał się też wahać. Pochylił się i mocno ją pocałował. Dłonią przytrzymała jego szyję i przyciągnęła go do siebie.

Żadne z nich nie spytało o niedokończoną kolację. Wzięli opróżnione do połowy talerze i zanieśli do zlewu w kuchni. Potem zawołała do domu psy i zamknęła drzwi na klucz.

Boling wziął ją za rękę i zaprowadził po schodach na górę.

# FLASH MOB

SOBOTA, 8 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 36

Budzik włączył się o wpół do ósmej.

Zagrał klasyczną melodię - Kathryn jako muzyk niezbyt dobrze znosiła dysonanse. To była *Toccata i fuga* jak z *Upiora w operze* - nie, nie tego. Z wcześniejszej wersji.

Otworzyła oczy i po omacku odnalazła wyłącznik.

Zgadza się, była sobota. Ale sprawca wciąż pozostawał na wolności. Pora wstawać.

Odwróciła się i zobaczyła Jona - zaczesywał do tyłu przerzedzone włosy. To nie przesadna troska o wygląd: po prostu pojedyncze kosmyki sterczały mu na boki. Był ubrany tylko w szary T-shirt, który włożył chyba po północy, co pamiętała jak przez mgłę. Ona miała na sobie drobiazg Victoria's Secret z różowego jedwabiu, odrobinę ekstrawagancki. Zresztą, jak często go wkładała?

Pocałował ją w czoło.

Ona pocałowała go w usta.

Nie żałowała, że został.

Nawet teraz, słysząc dobiegające z dołu skrzypienie drzwi, trzask zamka, przyciszone głosy, brzęk miseczek z płatkami, wiedziała, że to była dobra decyzja. Czas zrobić krok naprzód. Spotykali się od roku, może trochę dłużej. Układała sobie w głowie argumenty i przygotowywała kampanię public relations dla dzieci, przewidując, co pomyślą, powiedzą, zrobią, kiedy zobaczą mężczyznę schodzącego po schodach. Będą miały pewne wyobrażenie, o co chodzi: już kilka lat temu przeprowadziła z nimi tę ważną Rozmowę. (Reakcje: Maggie rzeczowo pokiwała głową, jak gdyby potwierdziło się to, co od dawna wiedziała; Wes spurpurowiał, a kiedy go ośmielała, by pytał, o co tylko zechce, bąknął: „A nie ma innych sposobów?"). Dance z trudem zachowała kamienną twarz).

Tak więc dzieci miały się za chwilę zmierzyć z faktem, że u mamy został na noc mężczyzna, aczkolwiek mężczyzna, którego dobrze znały i lubiły i który był im bliższy niż ich własna ciotka, siostra Kathryn (beztroska, urocza i czasem irytująca Betsey, wielbicielka New Age, mieszkała w Santa Barbara).

Pora się przekonać, co przyniesie najbliższe pół godziny.

Zastanawiała się, czy wystarczy narzucić tylko szlafrok, wybrała jednak prysznic. Przemknęła się do łazienki, a kiedy wyszła, ubrała się w dżinsy i różową koszulę, gdy tymczasem Boling, z trochę niepewną miną, mył zęby. Też się ubrał.

- No dobrze - powiedział wolno.

- Nie.

- Nie? - zdziwił się.

- Patrzyłeś na okno. Nie możesz przez nie wyskoczyć. Zejdiesz razem ze mną i zjemy moje słynne francuskie grzanki. Danie na szczególne okazje.

- A to szczególna okazja?

Nie odpowiedziała. Pocałowała go przelotnie.

- W porządku - rzekł. - Chodźmy do dzieci.

Jak się jednak okazało, nie zobaczyli dzieci.

Kiedy zeszli po schodach i z korytarza skręcili do kuchni, Kathryn omal nie wpadła na Michaela O'Neila, który ze szklanką soku pomarańczowego w dłoni podchodził do stołu.

- Och - szepnęła.

- Dzień dobry. Cześć, Jon.

- Hej, Michael.

O'Neil z zupełnie obojętnym wyrazem twarzy powiedział:

- Wes mnie wpuścił. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale miałaś wyłączony telefon.

Wyłączyła go celowo, zanim się położyła, nie chcąc ryzykować, że w takiej chwili zadzwoni - że rozlegnie się przypisany do numeru O'Neila dzwonek, irlandzka ballada, którą wybrały mu dzieci. Nie zdążyła go włączyć i zasnęła. To była niedbałość z jej strony. Brak profesjonalizmu.

- Bo... - zaczęła, ale nie przychodziła jej do głowy ani jedna sylaba więcej. Spojrzała w stronę pracowitych pszczołek krzątających się przy śniadaniu.

- Cześć, mamó! - zawołała Maggie. - W telewizji był program o zwierzętach i jest taki ratel miodożerny i ptak miodowód, który prowadzi go do ula, a wtedy ten ratel go rozrywa i zjada miód, a ma taką grubą skórkę, że pszczoły go nie żądla. Cześć, Jon.

Jak gdyby mieszkał z nimi od lat.

Wes, który rozmawiał przez telefon, przywitał ich skinieniem głowy, uśmiechając się pogodnie do matki i jej chłopaka.

Matka i córka zajęły się śniadaniem - oczywiście z miodem do francuskich grzanek. Kathryn zerknęła na Wesa.

- Kto to? - szepnęła, wskazując głową telefon.

- Donnie.

- Pozdrów go ode mnie, a potem skończ.

Wes pozdrowił go i mówił dalej, ale widząc jej wzrok, zaraz się rozłączył.

O'Neil, który tak samo mógł spędzić noc z byłą panią O'Neil, wpatrywał się w swój sok. W jego rosłej sylwetce wibrowało kilkanaście kinezycznych komunikatów, niczym cylindry w silniku sportowego samochodu. Albo w białym SUV-ie marki Lexus, wyprodukowanym przez Toyota Motor Corporation.

Dość, powiedziała sobie.

*Daj spokój...*

Jon zaparzył kawę.

- Michael? - Uniósł kubek.

- Pewnie. Jest coś nowego - dodał, zwracając się do Kathryn. - Właśnie dlatego próbowałem się z tobą skontaktować.

- W sprawie Solitude Creek?

- Zgadza się.

Nie musiała zerkać na dzieci, którym nie zdradzała większości szczegółów związanych z pracą. To O'Neil wskazał na korytarz. Poprosiła Maggie, by nakryła do stołu. Boling opiekał grzanki i podsmażył bekon. Wes znów miał w ręku telefon i pisał wiadomość, ale Dance nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Idąc za O'Neilem, uświadomiła sobie, że ma rozpięty górny guzik; wcześniej jej myśli zaprzętało coś innego. Poprawiła go gestem, pozornie niedbałym, ale na pewno kierującym uwagę na jej dekolt obsypany bladymi piegami. I w duchu podziękowała własnemu wewnętrznemu impulsowi, który zabronił jej zejść do kuchni w szlafroku narzuconym na koronkową koszulkę Victoria's Secret.

- Musimy sprawdzić jeden trop. Za miastem.

- Honda sprawcy?

- Nie. Alert z monitoringu aktywności w Internecie.

Razem z O'Neilem rozmawiali z Amy Grabę z San Francisco, która udostępniła im potężną sieć FBI do monitorowania Internetu, aby szukali wiadomości na temat obydwu ataków. Zdarzało się, iż świadkowie nieumyślnie umieszczali w sieci istotne informacje o przestępstwach; były nawet przypadki, że sprawca przechwalał się swoim sprytem.

- Wczoraj wieczorem ktoś wrzucił klip na Vidstera.

Dance знаła ten serwis. Konkurencję YouTube'a.

- Co to było?

- Fragment telewizyjnej relacji z wydarzeń w klubie - sfilmowany ekran telewizora. I zdjęcia z innych incydentów.

- Innych?

- Niezwiązanych z tym, co się stało u nas. I bardzo zaangażowany tekst kogoś przedstawiającego się jako Ahmed. Groził, że tak właśnie będzie wyglądać Zachód, kiedy rozprawi się z nim islam. Nie przyznaje się wprost, ale powinniśmy to sprawdzić.

- Co to za incydenty?

- Z zagranicy. Ścięcie chrześcijan w Iraku, wybuch samochodu pułapki pod Paryżem. Wykolejenie pociągu w Nowym Jorku. I jeszcze jeden wybuch paniki - kilka lat temu w Fort Worth. W nocnym klubie.

- Czytałam o tym. Ale sprawca sam zginął w trakcie zdarzenia. To był bezdomny.

- Ahmed twierdzi, że dżihadysta.

O'Neil przesuwał palcem po ekranie telefonu. Odtworzył parę filmów. Zbliżenia ciał znieruchomiłych w dramatycznych pozach, uśpionych na zawsze.

- I to rzekomo miało być dzieło jakiejś komórki terrorystycznej?

- Mniej więcej.

- Mamy jego adres?

- Jeszcze nie. Nasi specje techniczni mówią, że to kwestia czasu.

- Mamo! - zawołała Maggie.

- Zaraz wracam.

O'Neil schował telefon i weszli do kuchni.

- Powinienem już iść - stwierdził detektyw.

- E, nie, zostań! - zaprotestował Wes.

Kathryn się nie odzywała.

- Tak, Michael, prooszę. - Maggie uderzyła w swój najbardziej przekonujący ton.

- Daj spokój, zjedz coś - zawtórował Boling. - To sekretny przepis Kathryn.

- Jajka i mleko - powiedziała. - Tylko nikomu nie powtarzaj.

- No dobrze.

Wszyscy usiedli przy stole, a ona podała śniadanie.

- Widziałem w wiadomościach, że ten facet znowu to zrobił - powiedział Wes.

- Na to wygląda - przytaknęła Kathryn.

- Co zrobił? - chciała wiedzieć Maggie.

- Coś złego ludziom w Centrum Bay View.

- Ktoś zginął? - zapytała cicho jej córka.

Nigdy nie wdawała się w szczegóły, ale zawsze odpowiadała na pytania dzieci wprost, zgodnie z prawdą.

- Tak.

- Och.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Kathryn nie miała apetytu. Boling i O'Neil wprost przeciwnie. Podobnie jak Wes.

Popijając kawę, zauważyła, że Maggie znów wygląda na zmartwioną i ledwie skubie francuską grzanekę.

- Kochanie, co się stało? - zapytała szeptem, pochylając głowę.

- Nic. Już nie jestem głodna.

- Wypij sok.

Przełknęła maleńki łyczek. Była już bardzo pochmurna. Po chwili powiedziała:

- Mamo? Tak sobie pomyślałam...

- O czym?

- O niczym.

Kathryn zerknęła na pozostałych, po czym powiedziała do córki:

- Chodźmy na Taras.

Maggie wstała, a Dance, spoglądając najpierw na Bolinga, potem na O'Neila, wyszła za nią na zewnątrz. Wiedziała, że czekają poważna rozmowa, którą tamtego

wieczoru odłożyła.

- No, skarbie, mów. Od jakiegoś czasu jesteś bardzo smutna.

Maggie patrzyła na kolibra unoszącego się nad poidelkiem.

- Chyba nie chcę jutro śpiewać tej piosenki.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Clara nie wystąpi.

- Clarze właśnie wycięto wyrostek. Przecież cała twoja klasa coś robi.

Niedzielny program nosił tytuł „Szósta klasa pani Bendix ma talent!”, który mówił wszystko. Na scenie miały być skecze, numery taneczne, recitale fortepianowe, solo skrzypcowe. Nauczycielka namówiła Maggie do wykonania piosenki, kiedy dziewczynka na apelu szkolnym znakomicie zaśpiewała solo America the Beautiful.

- Ciągle zapominam słowa.

- Naprawdę? - Ton głosu Kathryn sugerował, że wyczuwa kłamstwo.

- No, znaczy się, czasem zapominam.

- Razem nad tym popracujemy. Wyciągnę gitarę. Zgoda? Zobacysz, będzie fajnie.

Wyglądało, że Maggie przeraziła ta propozycja, co poważnie zaniepokoiło matkę. O co tak naprawdę chodziło?

- Kochanie?

Ponure spojrzenie.

- Jeżeli nie chcesz śpiewać, nie musisz.

- Nie... Naprawdę? - Jej oczy pojaśniały.

- Naprawdę. Zadzwońię do pani Bendix.

- Powiedz jej, że gardło mnie rozboleło.

- Mags. Nie kłamiemy.

- Czasem mnie boli.

- Powiem jej, że śpiewanie ciebie krępuje. Możesz zagrać na skrzypcach tę inwencję Bacha. Brzmi pięknie.

- Naprawdę? Zgodzisz się?

- Oczywiście.

- Nawet jeżeli... - Urwała, kierując wzrok na pustelnika pręgosternego, który pił



wodę słodzoną cukrem.

- Jeżeli co?

- Nic. - Maggie rozpromieniła się w uśmiechu. - Dzięki, mamusiu! Kocham cię, kocham! - Biegiem wróciła na śniadanie. Kathryn od wielu tygodni nie widziała jej tak uszczęśliwionej.

Bez względu na powody, dla których nie chciała śpiewać, Dance wiedziała, że podjęła słuszną decyzję. Matka musi umieć odróżniać rzeczy istotne od nieistotnych. Zmuszanie córki do śpiewania w konkursie talentów szóstej klasy nie było najważniejszą sprawą.

Zadzwoniła do nauczycielki i zostawiła jej wiadomość. Gdyby pojawił się jakiś problem, pani Bendix mogła oddzwonić. W przeciwnym razie stawią się jutro w szkole o wpół do siódmej ze skrzypcami.

Kiedy wróciła do stołu w kuchni i wzięła do ust kęs grzanki, zadzwonił telefon O'Neila. Detektyw spojrział na wyświetlacz.

- Mam.

- Adres człowieka, który to wrzucił do sieci?

- Rejon obsługiwany przez jego dostawcę. - Gwałtownie odsunął krzesło. - Jeszcze nie ustalili nazwiska i dokładnego adresu, ale pracują nad tym.

- Jon... - zaczęła Dance.

- Odwiozę twoją bandę na treningi - odparł z uśmiechem. - Nie ma sprawy.

Wes miał lekcję tenisa. Maggie zaczęła ćwiczyć gimnastykę

- która zupełnie jej nie interesowała, dopóki koleżanka, Bethany, cheerleaderka, nie zasugerowała, że mogłaby spróbować.

- A potem skoczmy do Quinzos - zapowiedział dzieciom Boling.

- Tylko nic nie mówcie matce. Aj, wyrwało mi się!

Maggie się roześmiała. Wes pokazał uniesiony kciuk.

- Dzięki, Jon. - Kathryn go pocałowała.

O'Neil rozmawiał przez telefon.

- Jasne, rozumiem. Dobra. Możecie się postarać o służbowy samolot?

Samolot?

Rozłączył się.

- Jest.

- Dokąd lecimy? - zapytała, zlizując z palca odrobinę miodu.
- Do Los Angeles. Dokładniej na południe. Do okręgu Orange.
- Pójdę się spakować.

## ROZDZIAŁ 37

Antioch March otworzył oczy i próbował sobie przypomnieć, gdzie jest.

Ach. No tak.

W motelu przy autostradzie sto jeden.

Kiedy odebrał na telefonie alert Google'a, próbował pokonać całą drogę jeszcze wczorajszej nocy. Ale były opóźnienia. Musiał ukraść samochód - trafił się stary czarny chevrolet - z długoterminowego parkingu przy lotnisku Monterey. Brał pod uwagę taką możliwość, że kiedy dotrze do celu, będzie musiał porzucić wóz, a nie był jeszcze przygotowany, by pożegnać się z hondą.

Istniały lepsze sposoby zdobycia niewykrywalnego samochodu niż kradzież, dużo lepsze, ale sprawa była pilna, nie miał więc innego wyjścia. Uruchomienie wozu okazało się całkiem proste: wystarczyło wyjąć wiązkę stacyjki, złączyć ze sobą wszystko oprócz - w tym przypadku - niebieskiego przewodu. Wpiąć przełącznik, potem zetknąć niebieski przewód z połączonymi kablami (i od razu puścić, żeby nie zniszczyć rozrusznika). Następnie zdjąć osłonę z korpusu stacyjki i wyłamać bolec blokady kierownicy. Pestka.

Mimo to ruszył w drogę dopiero o drugiej w nocy.

Kilka godzin później niedaleko Oxnard dopadło go zmęczenie i musiał się zatrzymać, by odpocząć. Wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby zapadł w drzemkę i zjechał z drogi. Patrol drogówki, podejrzewając, że kierowca jest pijany, prawdopodobnie znalazłby dziewięćmilimetrowego glocka i dowód rejestracyjny z nazwiskiem kogoś innego. I wieczór nie zakończyłby się przyjemnie.

Dlatego zrobił sobie przystanek w tym obskurnym motelu, gdzie gościli kierowcy ciężarówek, turyści zmierzający do Disneylandu i studenci college'ów, dysponujący nadzwyczajnymi zasobami energii do hałaśliwej kopulacji.

Tuż przed ósmą rano March się budził wolno, wstał, myśląc o tym, co mu się przyśniło.

W snach często pojawiała się Serena. Czasem Jessica.

A dziś śnił mu się Todd.

Todd w Przełomie Harrisona. Na północy stanu Nowy Jork, nad tłumnie odwiedzaną rzeką, która wpadała do Hudsonu.

Park i pobliskie miasto z czasów kolonialnych to romantyczne miejsce odpoczynku, położone cztery godziny drogi od Manhattanu. Dzień, o którym myślał, Dzień Todda, przypadł na sam środek kolorowej jesieni. Już oficjalnie rzucił szkołę, został sprzedawcą i służbowo przyjechał do Ithaca w stanie Nowy Jork. Z sentymentu do życia akademickiego zatrudnił się w firmie sprzedającej college'om sprzęt audio-wideo. Odbył jakąś rozmowę na Uniwersytecie Comella i rozpoznał typowe symptomy: czuł się spięty i przygnębiony. Płód dawał znać o sobie. March odwołał drugie spotkanie i opuścił uczelnię, żeby wrócić do motelu.

Po drodze zobaczył park i pod wpływem impulsu postanowił go obejrzeć. Godzinę włóczył się po szlakach, wśród barwnych liści, które wyglądały efektownie nawet w stonowanym świetle sączącym się przez niskie chmury. Miał przy sobie aparat i w trakcie spaceru zrobił parę zdjęć. Większe wrażenie niż kolory zrobiły na nim skały, szare i brązowe jak wiekowe kości, i nagie pnie drzew.

Klik, klik, klik...

Dostrzegł tablicę „Przełom Harrisona” i poszedł w kierunku wskazanym przez strzałkę.

Choć pogoda przerzedziła nieco tłum turystów, natknął się na gromadkę ludzi - młodych, twardych, ogorzałych wspinaczy skałkowych. Kaski, liny, sfatygowane plecaki. Jeden z nich stał trochę z boku, patrząc na wodę w dole. Ktoś go zawołał po imieniu.

Todd...

Blondyn, o rzeźbionych mięśniach, mniej więcej w tym samym wieku, co March. Szczupła, przystojna twarz. Oczy, w których w innych okolicznościach prawdopodobnie malowała się pewność siebie. Ale nie dziś. Po chwili jego towarzysze odeszli. Todd został sam.

I zbliżył się do niego March.

Posłuchaj, Todd, wiem, że to ryzykowny skok. Wiem, że się boisz. Ale przestań, nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Jeżeli czegoś nie spróbujesz, nigdy się nie dowiesz, prawda?

Widzę, że cię korci, że też masz swój Płód, który ci nie daje spokoju.

Nie bój się... Trochę bliżej...

Śmiało, Todd. Śmiało.

Tak, tak, tak...

Antioch March uśmiechnął się na to wspomnienie. Wydawało się, jakby pochodziło z innego życia, a równocześnie było tak żywe, jak gdyby to wszystko zdarzyło się wczoraj.

Przeciągnął się. Dobra. Pora zabrać się do pracy. Wziął prysznic i się ubrał. Spoglądając w lustro, skrzywił się. Blond włosy wyglądały po prostu dziwnie.

Zaparzył kawę w tandetnym ekspresie na biurku i wsypał śmietankę w proszku. Śniadanie było wliczone w cenę pokoju, ale nie zamierzał iść do jadalni, gdzie inni mogli go zobaczyć. Rysopis człowieka, który „rzekomo” spowodował tragedię w Solitude Creek, nie zawierał szczegółów twarzy, mimo to March uznał, że lepiej być ostrożnym. Popijając cierpką kawę, włączył telewizor.

Skończył się pakować. Wyrzucił fusy, wytarł odciski palców w całym pokoju, używając chusteczek dezynfekujących (zwykłe ściereczki są na nic). Wyszedł na świeże, chłodne powietrze. Rozejrzał się, patrząc na dęby i zarośla, brązowe wzgórza, parking, sprawdzał, czy nikt go nie obserwuje, czy nigdzie nie czai się żadne zagrożenie.

Niczego nie zauważył.

Wsiadł do samochodu zaparkowanego z tyłu. Włączył zasilanie. Niebieski przewód do wiązki.

Silnik zawarczał.

March ruszył w dalszą drogę, kierując na południe chevroleta malibu, w którym unosił się zapach papierosowego dymu.

Dwie godziny później znalazł się w granicach okręgu Orange i zbliżał się do mieszkania człowieka, który zamieścił w Vidsterze osobliwą przemowę kogoś o imieniu albo przezwisku Ahmed, łącząc zdarzenie w Solitude Creek i kilka innych masowych tragedii z terrorem fundamentalistycznego islamu.

I kierując na Antiocha Marcha uwagę, czego bynajmniej nie pragnął.

## ROZDZIAŁ 38

Kiedy poprzedniego dnia wieczorem robot internetowy wysłał do niego alert, March skorzystał z pomocy osób, które zaciągnęły u niego dług wdzięczności, i ustalił adres autora postu na Vidsterze. Mieszkał w Tustin, sympatycznym i nijakim przedmieściu w samym sercu okręgu Orange. March mijał teraz liczne sklepy, restauracje, pasaż handlowe i skromne domy.

Znalazł mieszkanie Ahmeda w cichej dzielnicy i zaparkował chevroleta malibu cztery ulice dalej, przed pustym lokalem na parterze. Nie zauważył żadnych kamer, które mogłyby zarejestrować numery auta albo jego samego, choć w tym momencie trudno byłoby go rozpoznać. Pocił się pod czapką bejsbolową i beżową kurtką roboczą, dość grubą jak na pogodę w południowej Kalifornii. Nic nie mógł jednak na to poradzić. Przyzwyczyił się do niewygód podczas pracy. Płód zawsze poddawał go ciężkim próbom.

Szczególnie irytowały go cieliste bawełniane rękawiczki. Przypuszczał, że przede wszystkim denerwuje go sama konieczność tego wyjazdu. Marzył o powrocie do Monterey. Nie chciał dawać Kathryn Dance dłuższego wytchnienia.

Ale gdy twoją profesją jest śmierć, musisz być gotów zrobić wszystko, by ochronić własną skórę. Cierpliwości, powiedział do Płodu. W stosownym czasie wrócimy do naszej uroczej Kathryn.

Pstryknął wyłącznikiem zasilania, wysiadł i włożył okulary w czarnych oprawkach ze szklami zerówkami. Przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie.

Skrzyżowanie gwiazdy porno i „Mad Men”...

Potem chwycił torbę leżącą na tylnym siedzeniu. Nie miał kluczyka, musiał więc zostawić otwarty samochód. Okolica nie sprawiała jednak wrażenia miejsca, gdzie istnieje duże ryzyko kradzieży samochodu. Zresztą nie miał innego wyjścia.

Ze spuszczoną głową zaczął kluczyć ulicami, zmierzając w stronę jednopiętrowego budynku wielorodzinnego.

Na podwórku przystanął. Jeszcze raz się rozejrzał. Żadnych kamer. Nikogo w zasięgu wzroku. Podeszedł do drzwi mieszkania numer 236 i chwilę nasłuchiwał. Z wewnątrz dobiegała cicha muzyka. Pop.

Prawą rękę wsunął do kieszeni i zacisnął w niej pistolet, a lewą zapukał do drzwi.

- Przepraszam?

Muzyka umilkła.

- Kto tam?

- Sąsiad. - Stał dokładnie na wprost wizjera, aby wyraźnie było widać, że jest biały. Czyli nie stanowi zagrożenia. To chyba była dzielnica tego rodzaju.

Szczęknął łańcuch, potem zamek.

Mężczyzna w środku mógł być potężnie zbudowany. Niebezpieczny. I uzbrojony.

Otworzyły się drzwi. Hm. Ahmed rzeczywiście był nieźle zbudowany, ale raczej wszerek. Miał sylwetkę w kształcie gruszki. I prawdopodobnie nie był Ahmedem, ponieważ wyglądał na modelowego Anglosasa. Około czterdziestki. Bródka, ogolona głowa. I kilkanaście tatuaży, z których największy przedstawiał amerykańską flagę i orła.

Nie miał u boku broni, chociaż bardzo by pasowała.

- Z którego pan mieszkania? - zapytał.

March wcisnął lufę glocka w jego tłustą pierś. I popchnął go w głąb pokoju.

- Kurwa, nie... O co chodzi?

- Ciii. - March szybko go przeszukał. Potem zarzucił sobie na ramię torbę i zamknął drzwi na zamek.

Pięć minut później tęgi mężczyzna leżał na wznak z rękami i nogami skrupowanymi taśmą izolacyjną i płakał.

- Proszę, nie rób mi nic złego. Ja przecież... Czego chcesz? Błagam, nie!

March zabrał się do zabawy i wkrótce znał wszystkie odpowiedzi. Stan Prescott to oczywiście nie terrorysta. Chrześcijanin. Przy mocno sfatygowanym fotelu leżała mocno sfatygowana Biblia. Z zawodu był barmanem. A z zamiłowania, po godzinach pracy - jak sam być może by to nazwał - patriotą.

Po pieszczocie lufy glocka przyznał, że zamieścił w Internecie zdjęcia, i twierdził, że w imię Allaha, czy czegokolwiek innego wymienionego drobną czcionką, rozbudza się w kraju nastroje anty-islamskie. Oszalał? - pomyślał March. Przecież jego plan potrafiłby przejrzeć każdy ze śladową ilością oleju w głowie. A ci, którzy w to wierzyli? To akurat była grupa, której nikt nie musiał nawracać.

Głupota z każdej strony. Zwłaszcza że wybrał niewłaściwą osobę, by zwrócić na nią uwagę.

Oczywiście Prescott miał swój własny Płód: pragnienie, aby w jego kraju był bezpieczny i wolny... od wszystkich, którzy nie są Amerykanami. Ściślej mówiąc, Amerykanami wyznającymi chrześcijaństwo. Białymi Amerykanami wyznającymi chrześcijaństwo. Nie nauczył się tylko, że Płód należy traktować jak zwierzę, które nie do końca zostało oswojone. Nie można być tak głupim: równie szybko zabije swojego właściciela jak kogokolwiek innego.

- Podaj mi hasło. Do komputera.

Prescott natychmiast spełnił rozkaz.

March przeglądał jego dane. Czytał pisane pod pseudonimem diatryby przeciwko Ameryce. Oglądał kilkadziesiąt ponurych zdjęć ścinania jeńców, zamachów bombowych i innych rzekomych zamachów terrorystycznych, pod którymi nie podpisałyby się żaden szanujący się dżihadysta. Miał całkiem pokaźną kolekcję makabrycznych fotografii.

Zapytał go o hasła do konta na Vidsterze oraz do błoga i obydwaj zanotował.

- O co ci chodzi? Przestań! Pracujesz dla nich? Wyglądasz jak jeden z nas!

Dla nich...

Marchowi przyszło na myśl, że może to wykorzystać: gdyby śledczy zobaczyli post Prescottta, utkwiłby im w głowach wątek terrorystyczny jako możliwy motyw tego, co się stało. To pomogłoby jeszcze lepiej ukryć prawdziwy powód ataków w Monterey, który oczywiście należało utrzymać w najgłębszej tajemnicy.

- Przepraszam. Zrobię, co tylko zechcesz. Jezu. Przestań. Przecież jesteśmy... podobni.

Biali.

March zamknął laptop. Rozejrzał się po pokoju, po czym przyciągnął lampę podłogową i ustawił nad spoconą twarzą mężczyzny.

- Co robisz?

March wyszedł na korytarz i przyniósł swoją torbę.

- Co robisz? - powtórzył rozpaczliwie Prescott.

March kucnął i uważnie przyjrzał się jego twarzy. Potem poklepał go po ramieniu.

- Nic się nie martw.

I rozpiął zamek torby.



## ROZDZIAŁ 39

To tutaj. - Michael O'Neil zatrzymał wypożyczony samochód na parkingu przed budynkiem Sama Prescottta w Tustin na południu Kalifornii.

Zaparkowali kilkoro drzwi dalej od mieszkania Prescottta, by zaczekać na funkcjonariusza z policji okręgowej Orange.

W czasie, gdy samolot zabrał Dance i O'Neila z lotniska regionalnego w Monterey i wylądował na lotnisku Johna Wayne'a w okręgu Orange, policyjni eksperci komputerowi ustalili tożsamość człowieka, który wrzucił do sieci film z ofiarami tragedii w Solitude Creek.

Stanley Prescott alias Ahmed był czterdziestojednoletnim barmanem. Samotnym. Z zebranych informacji wynikało również, że podczas zdarzeń w Solitude Creek i Centrum Bay View pracował w swoim klubie w Long Beach, więc nie mógł być sprawcą.

Z jego profilu na Facebooku i blogu wynikało z kolei, że jest zaciekle bigotem. Nie ulegało wątpliwości, że jego zdaniem Solitude Creek i inne zdarzenia były dziełem muzułmanów, którzy w ten sposób chcieli wzbudzić antyislamskie nastroje.

Ludzie naprawdę bywają idiotami.

Wiadomość podziałała zniechęcająco, ponieważ znaczyła, że Prescott prawdopodobnie nie ma absolutnie nic wspólnego z atakami i po prostu umieszczał na swoim profilu okrutne zdjęcia i wideo wyszperane gdzieś w sieci. Mimo to, skoro już tu przyjechali, chcieli z nim porozmawiać. Może sprawca wysłał do niego e-mail albo umieścił jakiś wpis w blogu.

Kiedy czekali na przyjazd zastępcy szeryfa z okręgu Orange, O'Neil odebrał telefon. Kiwnął głową i Dance zauważyła, że uniósł brew. Po krótkiej rozmowie rozłączył się.

- Otto Grant. Pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętała. Farmer wywłaszczony przez władze stanowe. Przepuszczalnie samobójca.

- Policja z Santa Cruz znalazła ciało w wodzie przy molu. Mężczyzna. Zgadza się wiek i budowa ciała. Zabezpieczą ślady i przyślą mi raport.

Smutne, pomyślała.

- Miał rodzinę?

- Był wdowcem. Dorosłe dzieci. Praca na farmie musiała być dla niego całym życiem, może wszystkim, co mu zostało.

- Nieprzyjemna śmierć. Utonięcie.

- Nie wiem. - O'Neil się zamyślił. - W tej wodzie? Po trzech, czterech minutach człowiek drętwieje. A potem... nic. Są gorsze rodzaje śmierci, niż zasnąć w zatoce.

Wkrótce pojawił się zastępca szeryfa, na którego czekali Dance i O'Neil. Pomachali do niego. Tęgi mężczyzna w mundurze nazywał się Rick Martinez.

- Siedzimy komunikaty w sprawie waszego sprawcy. Z Solitude Creek. I tej drugiej historii. Wczorajszego wieczoru autorskiego. Rany, straszna rzecz. Nigdy nie słyszałem o niczym podobnym. Terrorysty? - Ruchem głowy wskazał mieszkanie. - To Prescott?

- Wiemy, że nie - odparła Dance. - Ale mamy nadzieję, że może mieć jakiś związek z naszym sprawcą.

- Jasne. Jak chce pan to rozegrać? - zwrócił się do O'Neila.

- Agentka Dance zaczeka tutaj. Podejdę do drzwi od frontu, pan do tylnego wejścia, jeśli można prosić. Jeżeli będzie czysto, agentka Dance przeprowadzi przesłuchanie.

Zaczeka tutaj. Zacisnęła usta.

- Nie ma na niego żadnych kwitów. Parę lat temu został zatrzymany za zakłócanie porządku publicznego po pijanemu i za napaść, ma broń, więc trzeba zachować ostrożność.

Obaj mężczyźni ruszyli chodnikiem, mijając rząd uschniętych krzewów i zdrowych sukulentów - kolejne świadectwo problemów z wodą, które dotykały Kalifornii.

O'Neil czekał przed drzwiami Prescottta, trzymając się z dala od wizjera i bocznego okna, zasłoniętego. Martinez, człowiek okazałej i imponującej postury, okrążył budynek, by znaleźć się na jego tyłach.

O'Neil zaczekał cztery minuty, potem zapukał.

- Stanley Prescott? Mówi zastępca szeryfa. Proszę otworzyć drzwi.

Jeszcze raz.

Nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Spojrzał przez ramię na Dance. Chwilę

patrzył jej w oczy. Wszedł do środka.

Niecałą minutę później rozległy się dwa ogłuszające strzały, a po nich jeszcze jeden.

## ROZDZIAŁ 40

Antioch March biegł.

Pędził sprintem, ile sił w nogach. Zorientował się, że wciąż ściska w dłoni glocka, więc wsunął go do kieszeni. Nie zatrzymując się, podciągnął wyżej zawieszoną na ramieniu torbę.

Kominiarka? - pomyślał. Nie, to na pewno zwróciłoby na niego uwagę. Oglądając się, zobaczył, że nikt go nie ściga. Wiedział, że to nie potrwa długo. Ludzie z całej dzielnicy zaczną dzwonić na policję. Tustin nie jest miastem, gdzie ignoruje się strzały.

Znał jedną osobę, która na pewno w tym momencie wzywała posiłki: zauważył tę kobietę przed budynkiem. Kathryn Dance. Była tu! Nie widziała go, bo ruszyła biegiem do drzwi mieszkania Prescottta z komórką w dłoni. Mógłby podejść bliżej, spróbować do niej strzelić. Ale na pewno miała broń i przypuszczał, że nieźle sobie z nią radziła. Łowczym...

W okolicy byli już prawdopodobnie inni funkcjonariusze. Może kilkudziesięciu. A jeszcze więcej w drodze.

Przyspieszył. Ciężko dyszał.

Zastanowił się chwilę, jak się dowiedzieli o żalonym Stanleyu Prescottcie. No jasne: też mieli robota internetowego, który przeczesywał sieć w poszukiwaniu wzmianek o zdarzeniach w Solitude Creek i Bay View, sprawdzając błogi, filmy na YouTube, Vidsterze i innych serwisach. Kathryn odebrała podobny alert jak on i też szybko zjawiała się na miejscu. Ciekawe, czy przyjechała samochodem. Może przyjechali z Monterey we dwójkę.

Z trudem wciągał powietrze do płuc. Był w dobrej formie, ale jeszcze nigdy w życiu nie biegł tak szybko.

Od chevroleta dzieliło go jeszcze tylko jedno skrzyżowanie.

Leć, leć. Gazu!

Był zły, że nie zdążył zabrać komputera Prescottta. Ale mógł myśleć wyłącznie o ucieczce. W mieszkaniu zapanował chaos.

Dwa strzały miały go ochronić przed pościgiem. Kiedy potężny mężczyzna padł na ziemię, przyciskając dłoń do rany, March rozpoczął swój sprint.

Już zobaczył samochód. Chevroleta.

Znów obejrzał się za siebie. Na razie nikogo.

Jego stopy tupotały po ulicy, ciężka torba sportowa podskakiwała na plecach. Jutro będą sińce.

Jeżeli dożyje jutra.

Serce pracowało z mozołem, a klatkę piersiową przeszył ból sięgający szczęki. Jestem za młody na pieprzony zawał. Usta wypełniły się śliną, musiał splunąć.

Pierś mu falowała, zwolnił kroku i spokojnie zbliżył się do skradzionego samochodu. Chwycił za klamkę, otworzył drzwi, rozejrzał się po ulicy. Opadł na fotel kierowcy i przycisnął potylicę do zagłówka, łapiąc oddech. W pobliżu było kilka osób, ale chyba nikt nie widział jego szaleńczego biegu. Nie przyciągnął uwagi ludzi. Dalej pchali wózki z dziećmi, spacerowali z psami i uprawiali jogging.

Po chwili zetknął przewody stacyjki. Silnik ożył i zaczął warkotać.

March włączył kierunkowskaz i obejrzał się przez ramię. Ostrożnie, bez pośpiechu wyjechał na ulicę i ruszył na zachód, po czym skręcił w ulicę prowadzącą na południe.

Za pięć godzin powinien być z powrotem w Monterey. W sumie...

Jego wzrok przyciągnął jakiś błysk. Zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że w jego stronę pędzą dwa radiowozy, migocząc niebieskimi światłami.

Może to zbieg okoliczności.

Nie... gonili go. Ktoś z tych przeklętych ludzi z wózkami albo psami na smyczy jednak doniósł na niego policji.

Wykonał ostry skręt, aż chevroleta lekko zarzuciło, po czym do oporu wcisnął pedał gazu i wyjął glocka z kieszeni kurtki.

## ROZDZIAŁ 41

Dance pobiegła do zacienionego miejsca za mieszkaniem Stana Prescottta i osunęła się na kolana obok dwóch mężczyzn.

Michael O'Neil klęczał nad zastępcą szeryfa Martinezem, który leżał na wznak, przytomny, ale oszołomiony i przestraszony.

- Nie widziałem go - wykrztusił Martinez. - Skąd on wyszedł?

- Wydostał się przez okno w łazience - wyjaśnił O'Neil.

- Nie boli. Czemu mnie nie boli? Umieram? Słyszałem, że jeśli cię nie boli, to umierasz. Umieram?

- Wyjdiesz z tego - uspokoił go O'Neil, choć wcale nie był pewien.

Jeden pocisk ugodził Martineza w klatkę piersiową i został zatrzymany przez kamizelkę kuloodporną. Drugi trafił wysoko w ramię. Rana mocno krwawiła, została uszkodzona tętnica ramienna. O'Neil ręką uciskał ranę. Z pochwy na pasie policjanta Dance wyciągnęła składany nóż, otworzyła go i odcięła Martinezowi rękaw, którym obwiązała mu ramię. Używając gałązki znalezionej na podwórku, mocno zacisnęła opaskę z tkaniny, dopóki krwotok się nie zmniejszył. Ranny zastępca szeryfa wykrztusił:

- Strzeliłem. Spudłowałem. Szlag by to...

- Już zgłosiłem - powiedział O'Neil, wskazując motorolę Martineza.

Posiłki powinny się zjawić dość szybko. Dance przypuszczała, że wszyscy lokatorzy sąsiednich mieszkań, słysząc strzały, zadzwonili pod dziewięćset jedenaście. Już wyły syreny, coraz głośniejsze dźwięki dochodziły z kilku stron.

- Gdzie on jest? - spytał O'Neil.

- Nie widziałam go - odparła Dance. - Prescott?

- Nie żyje. Trzymaj się, Martinez. Dasz radę. Jesteś mańkutem?

- Nie.

- Świetnie. Za parę tygodni będziesz mógł grać z dziećmi w softball.

- Mogę stracić rękę.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Gramy tylko w piłkę nożną. - Uśmiechnął się.

- Wyjdiesz z tego - powtórzył O'Neil.

Syreny gwizdały już od strony frontu budynku. Dance wstała - opaskę uciskową przejął O'Neil - i pobiegła przed budynek. Chwilę później wróciła w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy i dwóch ratowników medycznych z noszami na kółkach.

Ratownicy zajęli się rannym, a Dance i O'Neil odsunęli się na bok, żeby im nie przeszkadzać. Opowiedzieli zastępcom szeryfa, co się stało.

Jeden z nich wyjął telefon. Powiedział do słuchawki kilka słów, po czym się rozłączył.

- Mamy trop. Człowiek mieszkający trzy ulice stąd widział wysokiego białego mężczyznę, blondyna, który bardzo szybko biegł ulicą. Wsiadł do samochodu i odjechał. Facet twierdzi, że to wyglądało podejrzanie. Spisał numery wozu. Czarny chevrolet z Monterey, zarejestrowany na nazwisko człowieka, który, jak mówi jego żona, wyjechał na tydzień z miasta. Dwa dni temu zostawił samochód przy lotnisku Monterey.

- To nasz sprawca.

- Radiowozy prowadzą już pościg. Pojechał Cumberland na północ.

- Chcemy tam jechać. - Dance spojrzała na O'Neila, który otworzył już mapę w telefonie.

Bez względu na procedury wypożyczania pojazdów dla funkcjonariuszy spoza okręgu zastępca szeryfa nie wahał się ani chwili.

- Weźcie radiowóz Martineza. Światła i syreny na pewno się przydadzą.

## ROZDZIAŁ 42

Antioch March był pewien, że na autostradzie nie uda mu się wygrać z policją.

Wiedział o tym nie z żadnych badań naukowych, ale z serialu telewizyjnego COPS i innych programów o pościgach policyjnych w rejonie Los Angeles. Kolczatki na jezdni, uderzanie z boku przez radiowozy i tysiąc funkcjonariuszy, którzy nie mają nic lepszego do roboty, tylko cię złapać. Ucieczka samochodem była jedynie fantazją z kiepskich filmów i wydumanych thrillerów.

Chociaż chevrolet był szybki, zawieszenie w porządku, ruch o tej porze, przed południem, niewielki, March wiedział, że nie dojedzie zbyt daleko. Pomyśl, by wyskoczyć z auta i uciekać pieszo, też nie wchodził w grę.

Spokojnie. Pomyśl.

Co wchodziło w grę?

Część przedmieścia Orange, przez którą właśnie pędził, była dzielnicą mieszkalną. Przypuszczał, że mógłby skraść inny samochód, ale w ten sposób tylko trochę zyskałby na czasie.

Potrzebował dużego skupiska. Mnóstwa ludzi.

I nagle ich zobaczył.

Przed sobą, w odległości nieco ponad kilometra. Idealnie! Zerknął w lusterko. Radiowozy wciąż go ścigały, z syrenami i światłami. Ale nie spieszyły się z zatrzymaniem. Dopóki go widzieli, nie było potrzeby wykonywania żadnych nagłych manewrów i narażania życia innych.

Przyspieszył i pokonał tę odległość w ciągu niecałej minuty. Następnie wykonał ostry skręt w prawo, minął drewnianą bramę i zaczął sunąć przez ludzką cizbę.

Wspaniale. Mnóstwo, mnóstwo ludzi.

Zatrąbił i błysnął światłami. Tłum się rozstępował, a większość osób spoglądała na niego krzywym okiem, choć niektórzy przypuszczali zapewne, że chodzi o pilną pomoc medyczną czy inny uzasadniony powód, dlatego samochód nadjechał z tak szaloną prędkością.

Kiedy miał przed sobą wolną drogę, skierował chevroleta w stronę bramy w dwumetrowym metalowym ogrodzeniu. Wcisnął gaz do deski.

Spod kół uniósł się dym, gdy wóz z impetem wjechał w siatkę. Wybuchła



poduszka powietrzna, a potem szybko się skurczyła. Uderzenie maski otworzyło bramę na oścież. I przewróciło dwie osoby, które rozciągnęły się jak długie na ulicy. Pierwsza z nich to mężczyzna na szczudłach przebrany za kowboja, druga, nieokreślonej płci, miała na sobie fioletowy kostium kota, a w ręku parasol w tym samym kolorze z napisem: „Witamy gości!”.

## ROZDZIAŁ 43

Dance kilka lat temu przywiozła tu dzieci.

Global Adventure World był parkiem rozrywki w okręgu Orange, mniejszą wersją pobliskich Universal Studios i Disneylandu. Pełen typowych dla takich miejsc karuzeli i kolejek, animatronicznych figur, cudów holograficznych, teatrów i kin, ludzi w kostiumach postaci z filmów i seriali produkcji macierzystej firmy. Bary i bufety z przekąskami i napojami, a było ich w bród, ochoczo pomagały klientom odzyskać w ciągu jednego dnia kilogram, którego z wielkim trudem pozbyli się przed urlopem.

Kiedy pędzili w stronę głównej bramy, gdzie stało kilkanaście radiowozów, Dance zauważyła:

- Dziwny wybór kryjówek.

O'Neil skinął głową. Parki rozrywki miały najlepszą ochronę w kraju. Wysokie ogrodzenia. Wysokiej klasy kamery monitoringu udające kamienie i gałęzie albo ukryte w słupach latarni i karuzelach, strażnicy w cywilu, nieuzbrojeni, ale wyposażeni w nowoczesny sprzęt łączności, którzy krążąc po parku, wyglądali jak zwykli turyści. Poza tym sprawca bynajmniej nie próbował wejść ukradkiem i rozpuścić się w tłumie. Nie, wkroczył z największym możliwym hukiem, staranował główną bramę i ranił dwóch pracowników w kostiumach, a potem wyskoczył z samochodu i sprintem wbiegł na teren parku.

W pewnej odległości od chevroleta stało około setki gości. Patrzyli na zgniecione auto, z którego unosiły się smużki dymu. Chyba połowa robiła zdjęcia i kręciła filmy.

Dance i O'Neil spotkali się z dowódcą zespołu z Biura Szeryfa Okręgu Orange, sierżantem George'em Ralstonem, wysokim i korpulentnym Afroamerykaninem.

- Ktoś go widział? - zapytał O'Neil.

- Nikt - odparł Ralston. - Cześć, Herb. Co wiadomo?

Dołączył do nich jakiś mężczyzna. Wysoki, solidnie zbudowany - zdaniem Dance był policjant. Dokonano prezentacji. Mężczyzna był szefem ochrony parku i nazywał się Herbert Southern.

- Na razie ani śladu.

- Śledzicie go kamerami? - spytała Dance.

- Był śledzony - odrzekł Southern. - Wysłaliśmy za nim naszych ludzi. Ale zniknął. Zgubił się w tłumie czekających na wejście na kolejkę „Aleja Tornad”. Nazwa wzięła się od tytułu kreskówki. Jest tu bardzo popularna. W kolejce stała setka ludzi. Ochrona przeczesła tłum, ale bez skutku.

Dance domyślała się, że strażnicy nie byli szczególnie agresywni. Nie chcieli wystraszyć klientów. Zapewne słowem kluczowym w ich działaniu była „subtelność”. Dbać przede wszystkim o to, żeby goście czuli się bezpieczni.

- Rysopis?

- Biały mężczyzna - powiedział Ralston. - Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Dość długie blond włosy, zielona czapka bejsbolowa z niezidentyfikowanym logo. Okulary. Ciemne spodnie, jasna koszula, beżowa kurtka. Wełniana albo bawełniana. Sportowa torba. Biała.

Blond włosy. Oczywiście, ufarbował je, kiedy Foster ujawnił mediom rysopis.

- Ochronie udało się zrobić zbliżenie twarzy? - odezwał się O'Neil.

- Nie. Miał spuszczoną głowę.

- Na pewno już się przebrał - uznała Dance. - Jeżeli nie miał w torbie ubrania na zmianę, a mogę się założyć, że miał, kupił w sklepie z pamiątkami kurtkę, szorty i buty do biegania. A torba sportowa jest już schowana w reklamówce Global. Koloru włosów nie może zmienić, więc będzie nosił inne nakrycie głowy. Może kapelusz kowbojski.

W zeszłym roku jednym z wielkich przebojów studia była animowana historia z Dzikiego Zachodu, która za coś wygrała Oscara.

- Zdaniem niektórych świadków nosił rękawiczki. Jasne.

- Nosił - przytaknął O'Neil. - Żeby nie zostawiać odcisków palców.

- Dlaczego? - zdziwił się Southern.

- Jest poszukiwany w związku z zabójstwem w Monterey - wyjaśniła Dance.

- Chodzi o to zdarzenie w klubie? - upewnił się Ralston. - I tamto drugie? Było w komunikatach policyjnych. Wczoraj wieczorem.

- Zgadza się - potwierdził O'Neil.

- Przyjechaliśmy szukać potencjalnego świadka - dodała Dance. - Sprawca okazał się szybszy. Był w mieszkaniu w Tustin - zabił świadka tuż przed naszym

przyjazdem.

Twarz O'Neila stężała.

- Wasz człowiek został ranny. Zastępca szeryfa Martinez. Słyszałem, że to nic poważnego, ale dostał postrzał w ramię.

- Ricky. - Ralston pokiwał głową. - Pewnie, że go znam.

Szef ochrony odebrał telefon.

- Dzięki. - Rozłączył się i powiedział: - Nic. Mamy obstawione wszystkie wyjścia z parku, ale są jeszcze służbowe wjazdy z bramami.

- Wysłałem tam funkcjonariuszy - rzekł Ralston. - Jest uzbrojony. Nie chcę, żeby twoi ludzie zbliżali się do niego - zwrócił się do szefa ochrony.

- Nie. Będziemy współpracować z wami. Jeżeli coś zobaczą, mają was zawiadomić. Tak im powiedziałem.

Zwracając się do Dance i O'Neila, Ralston dodał:

- Moje zespoły patrolują teren wokół parku. Nie ma mowy, żeby się wydostał niezauważony.

Southern pokręcił głową, spoglądając na coraz większy tłum gości w parku. To byli jego ludzie, nad których ochroną czuwał.

- Weźmie zakładników? - spytał ze zgrozą.

Dance uważała jednak, że to mało prawdopodobne. Taktyka w takiej sytuacji polega na prowadzeniu negocjacji, a w tym czasie udaje się przemówić porywaczowi do rozsądku albo umieścić na stanowisku snajpera, żeby oddał śmiertelny strzał. Nigdy nie darowuje się mu wolności. Ten sprawca był inteligentny - wręcz błyskotliwy. Z pewnością domyślał się, że branie zakładnika to krok nieracjonalny i jałowy.

Wyjaśniła to, spoglądając na O'Neila, który przyznał jej rację.

Po chwili powiedziała:

- Mam pomysł. Nie znamy rysów twarzy, żeby go zidentyfikować, ale on o tym nie wie. Czy można... - Rozejrzała się i dostrzegła w pobliżu jakieś biuro. - Można zrobić sto wydruków?

- Czego?

O'Neil kiwał głową. Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Czegokolwiek, na czym będzie twarz jakiegoś mężczyzny. Rozdamy kopie

policjantom i strażnikom z ochrony. Będą chodzić po parku, od czasu do czasu patrząc na wydruk, i rozglądać się w tłumie.

- I zwracać uwagę na każdego wysokiego blondyna, wszystko jedno, w co będzie ubrany. Ten, kto się odwróci albo będzie unikał kontaktu wzrokowego, to będzie on.

Southern poszedł do biura i kilka minut później wrócił z plikiem kartek. Pokazał jedną.

- Wiadomość od naszego nowego dyrektora. Wita cały personel, cieszy się, że będzie z nami pracował i tak dalej.

- Doskonale - odparła Dance. Na kartce było zdjęcie mężczyzny, z odległości większej niż metr mogło z powodzeniem uchodzić za fotografię sprawcy zrobioną przez kamerę monitoringu.

Southern i Ralston podzielili plik wydruków, aby rozdać je funkcjonariuszom i strażnikom, wysłanym w głąb parku.

Dance wzięła kartkę, drugą podała O'Neilowi.

- Potrzebne wam radio? - zwrócił się do nich sierżant.

- Mnie wystarczy telefon.

O'Neil przytaknął i oboje zapisali w komórkach numer Ralstona.

- Agentka Dance potrzebuje broni.

- Co? - zdziwiła się. - Nie.

- Kathryn - rzekł stanowczym tonem O'Neil.

Sierżant z policji okręgowej przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Zostałam przydzielona do działu cywilnego CBI, bez prawa do noszenia broni - wyjaśniła.

- Aha - powiedział Ralston. Sprawa była załatwiona. Użyczenie jej broni palnej byłoby nielegalne.

O'Neil westchnął.

- W takim razie lepiej zostań przy wejściu i...

Agentka Dance zaczeka tutaj...

Ale ona przechodziła już przez otwartą bramkę obrotową, tuż pod nosem ogromnego i realistycznego w każdym calu niedźwiedzia grizzly w hełmie wikinga, który mierzył ją złowrogim spojrzeniem.

## ROZDZIAŁ 44

Antioch March znajdował się mniej więcej w środku parku rozrywki, obok karuzeli dla mniejszych dzieci, które siedziały przypięte pasami w wirujących liściach z włókna szklanego, wyglądając jak kurczak na sałacie w chińskiej restauracji. On po takiej jeździe na pewno puściłby pawia.

Niedaleko była atrakcyjna wycieczka do dżungli - gości straszyły olbrzymie i groźne podobizny mięsożerców, zwierząt z wielkiego hitu kinowego. March go oglądał. Film, prosty i makabryczny, skutecznie szokował publiczność. Tak zwykle działały proste i makabryczne obrazy.

Sztuczny kanion, którym właśnie szedł, przypominał mu Przełom Harrisona. Uderzające podobieństwo. Niemal czuł zapach wilgotnych kamieni, liści, gliny, ziemi, wody. Widział Todda, jakby go miał przed sobą. Wyraźniej niż barwne liście.

Skup się, powiedział sobie. Musisz się stąd wydostać, i to szybko. W ciągu godziny zaroi się tutaj od tysiąca policjantów wtykających nos pod każdego winylowego triceratopsa i pod każdy krzew śpiewający.

Właśnie wtedy ich zobaczył.

Dwóch młodych ludzi ubranych jak turyści, chociaż nie miał wątpliwości, że to ochroniarze. Zerkali na jakieś kartki, a potem rozglądali się w tłumie.

Niech to szlag. Zrobili mu zdjęcie, kiedy przebiegał przez bramę? Widział dziesiątki kamer ukrytych w drzewach i sztucznych skałach.

March wyglądał teraz inaczej - dokonał szybkiej przemiany, przebrał się nie w toalecie, której wejście z pewnością monitorowały kamery, lecz w samym środku tłumy czekającego na przejazd jakąś obłąkaną kolejką górską, „Aleją Tornad”. Ale czy udało im się zrobić zdjęcie, kiedy się już przebrał?

Wiać. Trzeba stąd wiać...

Kiedy się odwrócił, ku swojemu zaskoczeniu zobaczył innego strażnika, ten szedł w jego stronę, zerkając na wydruk, a potem na ludzi w pobliżu - na mężczyzn, wysokich mężczyzn. Był około dziesięciu metrów od niego.

Idąc dość wąską ścieżką, March nie miał wyboru, musiał podążać dalej jak gdyby nigdy nic, z grupą ludzi, w której się znalazł. Albo zawrócić i odejść, co mogłoby się wydać podejrzane.

Nie chciał używać pistoletu ukrytego w reklamówce, ale obawiał się, że być może będzie musiał. Szedł w tę samą stronę w tym samym wolnym tempie, spoglądając na mapę parku, którą wcześniej kupił. Przystanął i zapytał o drogę jakąś parę. Mężczyzna spojrzął na mapę, po czym wskazał mu ścieżkę obok.

Strażnik zbliżał się do nich swobodnym krokiem, zbyt swobodnym, rozglądając się wśród gości.

March zaczął rozmawiać z sympatycznym małżeństwem, oboje mówili z południowym akcentem, i poczuł, jak wzrok ochroniarza prześlizguje się po nich, a potem kieruje gdzie indziej. Obejrzał się i zobaczył, że strażnik oddala się, nie sięga po radio ani telefon.

Ach, tak, próbują podstęp. Nie mieli pojęcia, jak wygląda. Trzymali albo pustą kartkę, albo ulotkę reklamową. Mieli nadzieję, że kiedy to zobaczy, odwróci się i ucieknie, co go zdemaskuje.

Sprytnie, ale nic z tego.

Ciekawe, czy autorką fortelu była Kathryn Dance. Nie inaczej, powiedział do Płodu.

March odwrócił się do mężczyzny, który okazał mu taką życzliwość, i powiedział:

- Dziwne.

- Co takiego?

- Widzieli państwo? Umundurowanego policjanta z wydrukiem w ręce?

Oboje spojrzeli w tę stronę, mrużąc oczy.

- A, tak - rzekł mężczyzna. - Są też inni ludzie z ulotkami. Widzi pan?

- Ochrona w cywilu - stwierdził March.

- Co się mogło stać? - zastanawiała się kobieta.

- Pewnie nic. Tylko... mam nadzieję, że to nie żadni terroryści czy coś w tym stylu.

- Terroryści - powtórzyła szeptem żona.

- Tak, słyszeli państwo wiadomości na Foksie? Albo na CNN? Podobno mówiło się o możliwym zamachu terrorystycznym w Los Angeles.

- Nie!

- Plotki i tyle. Wiadomo, że policja zawsze tak mówi, a potem nic się nie dzieje.

Najczęściej. - March wzruszył ramionami. - W każdym razie miłej zabawy.

Po około pięciuset metrach spacerem krętymi ścieżkami Antioch March ujrzał następną parę, która wyglądała obiecująco. Podszedł do niej, wymachując mapą.

- Dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzam.

- Nie ma sprawy - odparł mężczyzna. On i jego żona byli w parku z trójką dzieci w wieku od ośmiu do dwunastu lat.

March spytał mężczyznę o drogę do konkretnej restauracji. Miał się tam spotkać ze swoją rodziną. Małżeństwo spojrzało na plan parku.

- Tu ją pan ma - powiedział mąż. - Kawał drogi, ale idzie pan w dobrym kierunku.

March wiedział, gdzie jest restauracja, zdawał sobie też sprawę, że idąc do niej, będzie miał pretekst, by towarzyszyć rodzinie.

- Dziękuję. - Ruszyli razem w tę samą stronę.

- Przyjeżdżamy tu co roku - powiedział mężczyzna. - A pan?

- Nie, jestem pierwszy raz - odparł March. - Josh był za mały. Ale już ma pięć lat.

Wyminęli łukiem dwóch umundurowanych policjantów, którzy patrzyli w otrzymane ulotki reklamowe. Nawet nie rzucili okiem w jego stronę.

- Mieliśmy to samo z Beth i Richardem - powiedziała żona, wskazując na swoją trzódkę. - Zabraliśmy ich do Disneylandu, kiedy mieli trzy i cztery lata. Śmiertelnie przestraszyli się Goofy'ego. Dzwoneczek też nie za bardzo ich przekonała.

March parsknął śmiechem.

Mąż:

- Lepiej z wizytą tutaj zaczekać. Nawet cena biletów dla dzieci jest z sufitu. Chcą człowieka zrujnować.

Rozmawiając z nimi o atrakcjach parku, March rozejrzał się dookoła. Patrzył między drzewa, na skały - sztuczne skały - na słupy latami i teren. Przyglądał się uważnie. Czytał o parkach rozrywki, ale w rzeczywistości nigdy żadnego nie odwiedził. Nie miały absolutnie nic wspólnego z wyobrażeniami jego rodziców na temat rozrywki. Idź na dół, pograj na komputerze, Andy. Idź pograć.

Zauważył ciekawe rzeczy.

- O, następny. - March zmarszczył brwi.



- Co następny?

- Policjant. Albo jakiś inny strażnik. Z tą kartką. Widziałem ich już chyba z dziesięciu.

Żona:

- Tak, też widziałam kilku. O co im chodzi?

March:

- Wydaje mi się, jakby kogoś szukali.

- Może ktoś wszedł bez biletu.

- Nie sądzę - powiedział wolno - żeby zadawali sobie tyle trudu dla kogoś takiego.

- Pewnie ma pan rację - przytaknęła żona. - Hm. Patrzcie, jeszcze dwóch.

- Dziwne - zgodził się mąż.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - rzekł March. - Może... Przepraszam... mam wiadomość. - Spojrzał w ekran telefonu, trzymając go tak, aby nie mogli nic zobaczyć. Udał, że czyta. - Ojej. No nie. - Omal nie dodał „Chryste”, lecz zauważył, że kobieta nosi krzyżyk, a zależało mu na poparciu nowych znajomych. Całkowitym poparciu.

- Co się stało?

- Od mojej żony. Jest w restauracji. I właśnie dostała wiadomość od matki. Słyszała o tym w telewizji. Mówili o jakimś alarmie terrorystycznym w parku.

- Terrorystycznym? - krzyknęła kobieta. - Tutaj?! - Sześć czy siedem osób odwróciło się w ich stronę.

Nie odpowiedział. Rozejrzał się z niepokojem. Zaczął pisać wiadomość. Nie był to jednak SMS do wymyślonej żony. Wysyłał ją na różne błogi, do autentycznych serwisów informacyjnych i na Twittera.

Podobno terrorysta staranował bramę wjazdową do parku Global Adventure World. Po parku krąży zamachowiec samobójca.

Uniósł wzrok znad telefonu.

- Muszę się dostać do mojej żony i syna. - Zaraz jednak znów spojrzął na ekran. - Nie, nie!

- Co się stało, proszę pana?

- Od mojego brata. Z Seattle. Ogląda CNN i podobno ktoś staranował bramę

wjazdową. Jakiś człowiek z plecakiem. Jest teraz w parku!

- Och, Bill. Dzieci! Chodźcie tu! Dzieci, wróćcie do mnie!

- Na której karuzeli są Sandy i Dwight? - spytał mąż. Jak gdyby brakowało mu tchu.

- Na którejś kolejce, nie wiem. Zadzwoń do nich i powiedz.

Za jego plecami odezwał się inny głos. Kolejne małżeństwo.

- Mówił pan o jakimś terroryście? Widziałem tych policjantów. Z ulotkami.

- Właśnie się dowiedziałem, że ktoś staranował bramę i dostał się do parku - powiedział March. - Ma bombę i karabin maszynowy.

- Karabin też? - zapytał pierwszy mężczyzna.

March machnął telefonem.

- Brat pisze. Tak podają. Mówią, że to zamachowiec samobójca. Uzbrojony. Może ich być więcej.

- Kurwa mać, nie.

Bogobojna żona nie próbowała besztać męża za język.

- Tak w każdym razie słyszał. W CNN i Fox.

Wszyscy dorośli do kogoś dzwonili albo wysyłali wiadomości. Niektórzy szukali potwierdzenia. Ale inni powtarzali kłamstwo.

Jakaś kobieta mówiła zrozpaczona do iPhone'a:

- Kochanie, gdzie jesteście z dziećmi? To wyjdźcie. Już, zaraz. W parku są terroryści!... Tak, też ich widzieliśmy! Jeżeli jest tylu policjantów, znaczy, że dzieje się coś złego. Wychodźcie!... Ja też. Zaraz tam będę.

March się odwrócił.

O, fantastycznie! Mijał go przewodnik, trzymając wysoko złożony parasol, żeby widziała go cała grupa. Mniej więcej sześćdziesięcioro dzieci z prywatnej szkoły średniej w Ohio, jak wynikało z napisów na ich identycznych koszulkach.

March zaczął rozmawiać z kierownikiem wycieczki, ale nie musiał nic mówić. Kobieta, której męża wcześniej zagadnął w sprawie restauracji, zapytała:

- Słyszał pan coś o terrorystach w parku? Wie pan, gdzie będziemy bezpieczni?

Przewodnik utkwiał w niej zdumione spojrzenie i opuścił parasol.

- Nie, o czym pani mówi?

Wieść rozeszła się wśród uczniów jak pożar ogarniający suche zarośla Kalifornii.

„Terrorystów”. Niektóre dziewczynki w grupie zaczęły płakać. Kilku chłopców też. Pojawiły się telefony. Znów SMS-y i rozmowy.

- W parku - dodał z przejęciem March. - Staranował bramę. Zamachowiec samobójca. Ale ma też broń. Może ich być więcej. - Na dowód pokazał telefon.

Cudowne krzyki i szlochy nastolatków.

Płód był zadowolony.

W tej części parku zebrał się już spory tłum. Ludzie nie bardzo wiedzieli, dokąd iść. Rozmawiali, sprawdzali wiadomości w telefonach, dzwonili albo esemesowali. Zbierali dzieci.

I szukali kogoś z bombą w plecaku, w pasie szahida, z bronią maszynową albo granatnikiem.

Jakiś mężczyzna przypadł do zastępcy szeryfa trzymającego kartkę, która rzekomo miała pomóc zidentyfikować poszukiwanego, i natarł na niego. Dołączyli do niego inni.

- Co robicie w tej sprawie, do cholery?

- Dlaczego nie ma żadnych komunikatów?

- W ogóle wiecie, co się dzieje?

Policjant się zdenerwował. Rozejrzał się. Zaczepił go jeszcze jeden gość parku, potem dwaj następni dopytywali się, dlaczego ukrywają wiadomość o ataku i nie ogłaszają ewakuacji. Czyżby po to, żeby park rozrywki nie stracił twarzy - albo kraj nie stracił podatków, które płacił do jego kasy? Funkcjonariusz zaprzeczył, jakoby istniało zagrożenie terrorystyczne, nikt go jednak nie słuchał.

March z boku obserwował coraz większe poruszenie w tłumie. Już około dwustu osób kłębiło się na ścieżkach, krzycząc na sprzedawców w barach, na dozorców, na ludzi w kostiumach postaci filmowych.

Czas podkreślić atmosferę, postanowił. Zadzwoił pod dziewięćset jedenaście.

- Pogotowie policji i straży pożarnej, słucham.

- Moja rodzina jest w Global Adventure. Ktoś staranował bramę i dostał się na teren parku. To terrorysta. Widziano go. Ma bombę!

Dyżurny:

- Dostaliśmy zgłoszenie wypadku, ale nie ma zgłoszenia żadnego terro...

- Jezu, on tam jest! Ma bombę! I broń!

- Proszę podać swoje nazwisko i miejsce, z którego pan dzwo...

Rozłączył się i odszedł trochę dalej w stronę obrzeża parku, kierując się okrężną drogą do wejścia. Zaglądał między drzewa, za budynki.

Znów zadzwonił, tym razem do lokalnego oddziału telewizyjnej stacji informacyjnej.

- Błagam, musicie mi pomóc! Jesteśmy w Global Adventure World, w parku w Orange. Ukrywamy się. Moja rodzina się ukrywa, ale on tu jest! Terrorysta. Człowiek z karabinem maszynowym. A drugi z bombą! Błagam... Park zaatakowali terroryści! Zamachowiec samobójca. Staranował bramę i jest w parku. Widzę go.

- Jak się pan nazywa?

- Jezu Chryste, idzie w moją stronę.

Rozłączył się i dalej szedł przez park, widział, że coraz więcej ludzi rozmawia przez telefon i zbija się w grupki, razem czuli się pewniej. Niektórzy schodzili ze ścieżek, chronili się w krzakach i wyglądali z nich - jak gdyby grając w scenie filmu wyprodukowanego przez macierzystą firmę parku: niewinne ofiary, które zaraz zostaną pożarte przez kosmitów.

Szybkim krokiem maszerował ścieżką. Zamierzał jeszcze raz odegrać cały scenariusz, podchodząc do następnej rodziny, i jak ostrym nożem zaatakować ją paniką, gdy mężczyzna nagle chwycił go za ramię.

- Halo!

Wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, zapytał:

- Przyszedł pan z rodziną?

- Tak, są na „Alej Tornad”. Czemu pan pyta?

- W parku są terroryści. Co najmniej sześciu. Chcą wysadzić w powietrze karuzele.

Jego żona łkała.

- Nie! - krzyknął March. Popatrzył na ekran telefonu. - Cholera, ma pan rację. Dostałem wiadomość od żony. Mówią o tym w CNN. Alarm terrorystyczny. Zamachowiec samobójca w parku.

- Dlatego tyle tu policji. Jest wszędzie.

- I w ogóle nam nie mówią, co się dzieje! - rzucił wściekle March.

Przypuszczał, że będzie musiał powtarzać plotkę jeszcze kilka razy, ale nie,

okazało się, że to niepotrzebne. W parku huczało jak od szarańczy. Jeden zamachowiec, kilkunastu. Karabiny maszynowe. Al-Kaida. Państwo Islamskie. Pakistan. Syria.

- Co mamy robić? Jak się stąd wydostać?

- Znam tylko jedną drogę - krzyknął March. - Przez bramę główną. Podobno nie ma stąd żadnych wyjść awaryjnych.

- Nie ma? Nie przypuszczali, że kiedyś może się zdarzyć coś takiego?

- Zostaniemy tu uwięzieni!

Machnął ręką.

- Nie, nie zostaniemy. Chodźmy!

Tłum płynął już w stronę bramy głównej. Grupa, która wcześniej liczyła około stu osób, rozrastała się trzy-, cztero-, pięciokrotnie. March towarzyszył im chwilę, a potem skręcił ze ścieżki w zarośla, schodząc z drogi spłoszonemu bydłu, które pędziło coraz szybciej tam, gdzie - jak przypuszczało - czekał ratunek.

## ROZDZIAŁ 45

Co się dzieje? - zastanawiała się Dance.

Razem z O'Neilem stali przy bramie głównej parku Global Adventure World, dowiedziawszy się, że z niewiadomego powodu setki - nie, już tysiące turystów zmierzały w tę stronę. Agentka i detektyw byli za ogrodzeniem i bramkami obrotowymi.

Ludzie zgromadzeni po drugiej stronie, czekający, by wyjść z parku, byli zdenerwowani, zaniepokojeni. Padały ostre słowa. Dochodziło do przepychanek, gdy ktoś wciskał się do kolejki, by uciec wcześniej od innych. Tłok mógłby być mniejszy, gdyby została otwarta szeroka brama główna, ale nadal zastawiał ją dymiący chevrolet sprawcy.

Dance pomyślała o kibicach Liverpoolu zbierających się przed stadionem Hillsborough, o tragedii, której świadkiem był jej ojciec. Dwadzieścia pięć lat temu. Do dzisiaj mam koszmary...

O'Neil i Dance podeszli do szefa ochrony parku i sierżanta Ralstona.

- Co się dzieje? - spytała Dance.

I Herb Southern, i Ralston rozmawiali przez telefon.

- Jezu - mruknął sierżant, zmartwiony tym, czego się dowiedział. Southern zakończył rozmowę.

- W środku wybuchła panika. Dwoje gości pobiło jednego z moich strażników. Nie wiem dlaczego.

Ralston też się rozłączył.

- Dobra, już wiem, o co chodzi. Dzwonią do nas wszyscy - biuro szeryfa, media, FBI, Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Nadchodzą zgłoszenia o terrorystach w parku. Z bronią maszynową. W kamizelkach samobójców. Pieprzone plotki, ale pod dziewięćset jedenaście urywają się telefony, linie są przeciążone.

- To on - mruknęła Dance.

- Wasz sprawca?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Wystarczyło, że powtórzył tę samą plotkę kilku osobom - mówił O'Neil - przekazał ją jednemu kanałowi informacyjnemu, przesłał na parę blogów,

a rozprzestrzeniła się jak pożar w buszu. To jego specjalność. Wywołuje panikę. I naprawdę dobrze to robi. W ten sposób będzie się próbował wydostać - dodał O'Neil. - Przypuszcza, że nie możemy sprawdzić wszystkich.

- Cholernie bliskie prawdy - mruknął sierżant Ralston.

Herb Southern podszedł do obrotowych bramek, za którymi przepychał się tłum złożony z trzydziestu czy czterdziestu szeregów, usiłując się wydostać.

- Nie ma żadnego zagrożenia! - krzyknął do ludzi. - Jesteście bezpieczni. Możecie zostać w parku. Nie pchać się! Nie napierać!

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

- A jakie macie procedury na wypadek prawdziwego zamachu terrorystycznego?  
- spytała Dance.

- Zamknięcie parku. Wszyscy schodzą z karuzeli, kolejek i czekają w miejscach wskazanych przez ochronę. Mamy specjalne strefy ochrony przed uzbrojonymi bandytami, złą pogodą, pożarem.

- Przeprowadzacie ewakuację?

- Masowej nie. - Southern patrzył na rosnące ludzkie morze. - Dzisiaj nie ma wielkiego ruchu, proszę pani, ale i tak na terenie parku jest tysiąc trzysta osób. Gdyby wszyscy ruszyli do wyjścia... wyobraża sobie pani.

Tłum gęstniał, ponieważ goście z głębi parku dołączali do wychodzących, ci zaś przeciskali się przez zwężenie między dwoma sklepikami pamiątkowymi, które wcinały się w przejście. Na każdej twarzy malował się strach.

W bramkach dochodziło do walki, coraz więcej osób odpychało na bok innych i przeskakiwało przez barierki, co wzmagało panikę. Na wyjście napierało już pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt szeregów. Ta liczba rosła. Jakaś kobieta wrzasnęła, kiedy tłum przycisnął ją do ogrodzenia. Złamała rękę w nadgarstku. Strażnicy dostali się do niej i udało im się uspokoić tę grupkę gości. Chwilę później znów wybuchła bójka, ludzie przepychali się i krzyczeli. Dance zobaczyła, że dwie osoby padają na ziemię. Zanim strażnicy zdążyli pomóc im wstać, zostały podeptane. Na twarzach pracowników było widać taki sam przestrah jak u gości parku.

- To na granicy, ale da się opanować - powiedziała Dance. - Uda się, jeżeli nic więcej ich nie sprowoku...

Z daleka dobiegł huk sześciu strzałów.

- Cholera - mruknęła.

Nagle w głośnikach rozległo się:

- Uwaga, wszyscy goście, przygotować się do natychmiastowej ewakuacji. W parku są terroryści. Zamachowiec samobójca w parku. To nie są ćwiczenia. Wszyscy ewakuować się natychmiast!

- To niezgodne z procedurą! - wybuchnął wstrząśnięty Southern.

- Uwaga, do wszystkich gości, należy się szybko ewakuować. W parku jest zamachowiec samobójca.

- To on. Jakimś cudem dostał się do centrali.

- Wyślijcie tam ludzi! - warknął O'Neil.

Ralston uniósł radio i nadał komunikat.

Szef ochrony rozmawiał przez telefon.

- Derek, co się dzieje?... Jest w centrali?... Dobra, sprawdź. Ode-tnij zasilanie nagłośnienia.

- Uwaga, ewakuować się! Ewakuować się natychmiast! Ktoś otworzył ogień, są ofiary! Jeżeli ktoś został ranny, niech się natychmiast ukryje. Pomoc medyczna jest w drodze!

- Mamy sieć podziemnych tuneli, gdzie jest biuro ochrony - wyjaśnił Dance i O'Neilowi Southern. - Tamtędy wyprowadzamy chorych, kieszonkowców, pijanych. W tym miejscu jest też nasza centrala. Wszedł tam i będzie próbował wydostać się tunelami. Wyjście prowadzi na parking po drugiej stronie parku... Jezu... Patrzcie!

Na wyjście nacierała ława tysiąca, dwóch tysięcy ludzi.

- Cofnąć się, wszystko jest pod kontrolą! - wrzasnął do nich szef ochrony. Tak jak poprzednio, bez skutku.

Rodzice porzucili wózki i nieśli w objęciach krzyczące dzieci. Ludzie, którzy czekali przy bramkach, odwrócili się i ujrzeli nadciągającą falę.

Krzyki przybrały na sile, ludzie z tyłu wdrapywali się na stojących przed nimi, aby się dostać do bramek. Niektórzy forsowali zastawioną bramę, przełaząc przez czarnego chevroleta. Jakiś mężczyzna upadł na wznak i znieruchomiał.

Dance, O'Neil i Southern wybiegli naprzód, unosili ręce, by powstrzymać strumień ludzkich ciał, i wołali, że nie ma żadnego zamachu.



Ale tłum nie kierował się rozsądkiem. Ratunek, ucieczka - nic innego nie miało znaczenia.

*Jak jakiś stwór... niepodobny do ludzi...*

O'Neil:

- Brama. Trzeba ją otworzyć. Szybko!

On, Ralston i sześciu pracowników parku podbiegło do samochodu sprawcy i wyęzając siły, zaczęli odciągać chevroleta - półtora metra, trzy, pięć. Następnie złapali za skrzydła bramy, szarpnęli i otworzyli ją na oścież. Metal zgrzytnął o beton.

O'Neil uskoczył na bok, a fala szerokości dwudziestu osób runęła przez otwarte wyjście. Inni dalej się przepychali albo przeskakiwali przez obrotowe bramki.

Przez bramę chwiejnym krokiem przeszła matka z czteroletnim dzieckiem na rękach, a potem skręciła w stronę pustej części parkingu. Dance zauważyła, że ma paskudnie złamaną rękę. Kobiecie udało się zrobić dziesięć kroków w stronę ławki, ostrożnie postawiła córkę na asfalcie i upadła. Dance ruszyła jej na pomoc.

Kiedy do niej dobiegła, rozległ się brzęk tłuczonego szkła i dziesiątki ludzi skoczyły na chodnik. Wybili ogromne okno w jednym ze sklepów z pamiątkami i przez nie uciekali z parku. Tłum szybko rozrósł się do kilkuset osób.

I zaczął sunąć w stronę Dance, kobiety i jej dziecka. Mimo że ludzie wydostali się z parku, biegli co sił w nogach, wciąż ogarnięci paniką.

- Wstawaj! - krzyknęła do półprzytomnej kobiety Dance, złapała dziecko w pasie i podniosła. Tłum był już dziesięć metrów od nich, pięć.

Kobieta nagle chwyciła Dance za kołnierz. Agentka, stojąc na lekko ugiętych nogach, straciła równowagę i runęła jak długa. Padła na wznak, wciąż przyciskając do siebie dziecko. Oszołomiona uniosła wzrok i ujrzała mur złożony z setki turystów pędzących prosto w ich stronę. Sądząc po dzikim spojrzeniu, nikt z tej hordy ich nie widział, a tym bardziej nie zamierzał skręcić w bok.

## ROZDZIAŁ 46

Ambicją Antiocha Marcha byłoby wywołanie paniki bez jednego strzału.

Co za cudowna myśl. Gdyby same słowa potrafiły spowodować takie zniszczenia i chaos. Prawdę mówiąc, wolałby wzniecić szaleństwo, zadawać tylko pytania, nie używać fałszywych SMS-ów od fałszywej żony.

- Jak pan myśli, kogo szukają strażnicy?

- Słyszał pan coś w wiadomościach o zagrożeniu terrorystycznym w parku?

Subtelność, finezja. Niech ofiary same użyją wyobraźni.

Nauczył się, że wybuchy paniki mogą brać początek z drobnej aluzji, lekkiej i delikatnej jak skrzydełko ćmy, że nie dostaniesz tego, czego pragniesz. Albo że strach cię zniszczy. Dzięki, tato... Pragnienie i strach to klucz do sukcesu w sprzedaży, powtarzał mu ojciec.

March ukrywał się teraz w bagażniku nissana altimy, który nadal stał na jednym z podziemnych parkingów Global Adventure World. W kominiarce i bawełnianych rękawiczkach było mu gorąco.

Bez większego trudu zdołał się wydostać z parku, dzięki ogromnemu stadu gazeli uciekających przed lwem terrorystą. Dostrzegł nawet swoją ukochaną Kathryn, która patrzyła osłupiałym wzrokiem na spiętrzoną falę ludzką, nie widząc go. Ale dalszy ciąg ucieczki - opuszczenie okolicy - stanowił większy problem. Kiedy tłum wylał się przez bramę, March zboczył w stronę parkingu, gdzie zaczął się rozglądać za konkretnym rodzajem samochodu. Wreszcie znalazł to, czego szukał: wóz z wypożyczalni (z dużym bagażnikiem) i hotelowym biletem parkingowym na desce rozdzielczej, ważnym jeszcze trzy dni. Znaczyło to, że rodzina już się zameldowała w hotelu i przez jakiś czas nie wyjeżdżała z Orange; dlatego w najbliższej przyszłości bagażnik pozostanie pusty. Oczywiście niewykluczone, że Billy albo Suzy kupili jakieś pamiątki, ale jeśli nawet tak, to prawdopodobnie stracili je w tłoku.

Podważył drzwi, otworzył bagażnik - przekonał się, że istotnie jest pusty, świetnie. Wlaź do środka, zabierając ze sobą reklamówkę ze swoją torbą i pistoletem, po czym zatrzasnął klapę. To prawda, być może będzie musiał wywalczyć sobie wolność bronią, gdyby kierowca i jego rodzina rzeczywiście

postanowili wrzucić coś do bagażnika. Nie miał jednak większego wyboru.

Będą blokady na drodze, podczas kontroli otworzą bagażnik?

Nie miał innego wyjścia.

Ocecił sytuację. Podczas sprintu do samochodu w Tustin stracił jeden z telefonów na kartę, zawierający pewne informacje, których wolałby nikomu nie ujawniać, ale nie było tam nic o krytycznym znaczeniu. Żadnych odcisków palców. Zawsze korzystał z telefonu w rękawiczkach. Żałował, że nie zdążył zabrać komputera Prescottta. Ale gdy szybko przejrzał zawartość laptopa, nie znalazł nic jednoznacznie obciążającego. Nie było żadnych tropów prowadzących bezpośrednio do niego. Nawet błyskotliwa Kathryn Dance miałaby wielkie trudności w połączeniu tych punktów.

Godzinę po wybuchu paniki w parku usłyszał skrzypienie zbliżających się kroków i szcęk zamków w samochodzie. Zacisnął pistolet w dłoni. Ale kłapa bagażnika pozostała zamknięta. Drzwi otworzyły się i zatrasnęły. Ponure głosy. Dorośli. Trzasnęły trzecie drzwi. Nastolatek, sądząc z barwy głosu.

Zawarczał silnik i ruszyli, ale co chwilę się zatrzymywali; oczywiście do wyjazdu ciągnęły się długie kolejki. Radio w samochodzie było włączone, ale niewiele słyszał. Rany, ależ gorąco. Miał nadzieję, że nie zemdleje, zanim rodzina dotrze do celu.

Rozmawiali. Rozróżniał głos kobiety, ale męczyzny nie. Może to kwestia wysokości tonu.

- Jest policja. Blokada.

Mężczyzna mruknął coś ze złością. Pewnie irytował się na zator, na czekanie w korku.

March otarł pot z oczu i mocniej chwycił pistolet.

Wóz zatrzymał się z piskiem hamulców.

Usłyszał dobiegający z zewnątrz niewyraźny głos, który zadawał pytania. Kobięcy. Czyżby Kathryn Dance?

Nie, to byli szeregowi funkcjonariusze. Nie Wielki Strateg, kobieta, której tak bardzo zależało, żeby go złapać... jego i Płód.

Otarł pot.

Cisza.

Kontrola bagażnika? Zastrzeli policjantkę, zarekwiruje samochód i odjedzie jak szalony.

Nie będzie innego wyjścia.

Kroki.

Po chwili jednak wóz ruszył w dalszą drogę. Radio zabrzmiało głośniejsze. Chłopiec skarżył się, że jest głodny. Mężczyzna - na pewno ojciec - mruknął coś niezrozumiałego.

- W hotelu - powiedziała matka.

Po czterdziestu minutach samochód kilka razy skręcił i wreszcie się zatrzymał. Radio umilkło, dźwignię zmiany biegów przestawiono na „park”. Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Miejsce za kierownicą zajął pracownik obsługi parkingu i przez pięć minut pokonywał różne podjazdy. Wreszcie zaparkował. Zatrzasnął drzwi, zamknął pilotem i odszedł.

March odczekał pięć minut, a kiedy nie usłyszał żadnego dźwięku z zewnątrz, pociągnął dźwignię awaryjnego otwierania, szybko wysiadł i rozejrzał się po garażu.

Pusto. I żadnych kamer.

Przez jakiś czas chodził tam i z powrotem, zataczając się jak pijany, aby przywrócić normalne krążenie w nogach. W pewnej chwili musiał usiąść i opuścić głowę między drżące kolana.

Potem wstał i wszedł do hotelu. To był Hyatt. Skręcił do toalety w holu i obejrzał się w lustrze. Nie wyglądał źle. Na lśniącej czaszce, ogolony kilka dni temu, gdy usłyszał w radiu swój rysopis, pojawił się już lekki meszek. Jak u Waltera White'a z Breaking Bad. Otworzył reklamówkę z Global Adventure i wyjął swoją torbę, a z niej blond perukę, z którą pokazywał się w miejscach publicznych, odkąd ogolił się na zero.

Skrzyżowanie gwiazdy porno i „Mad Men”...

March wrzucił do kosza na śmieci perukę, czapkę bejsbolową i roboczą kurtkę, które miał na sobie w mieszkaniu Stana Prescottta i gdy wbiegł do parku rozrywki. (Zdjął te rzeczy, stojąc w ogonku bez końca przy kolejce górskiej „Aleja Tornad”, a potem włożył pamiątkową kurtkę kupioną w parku. Nikt nie zauważył jego błyskawicznej przemiany: wszyscy obserwowali pędzącą nad nimi

szpanerską kolejkę).

Wyrzucił też kurtkę z Global i reklamówkę.

Wyszedł do holu. Rzucił okiem na telewizor w barze, nadający relację z wydarzeń w parku rozrywki. Nie zauważył zdjęć swojej twarzy ani portretu pamięciowego, nie usłyszał żadnej wzmianki o Solitude Creek.

W sklepie z upominkami kupił wiatrówkę, ciemne okulary oraz płócienną torbę na zakupy, do której powędrowała sportowa torba.

Taksówką pojechał do biura Hertz w centrum, żeby wypożyczyć samochód. Poinformował pracownika za ladą, że zwróci wóz za trzy dni w biurze w San Diego - policja mogłaby szukać wynajętych samochodów, które jechały do Monterey. Zamierzał zadzwonić później, aby przedłużyć wynajem, i ostatecznie zwróci wóz gdzieś w środkowej Kalifornii. Być może podróż samolotem byłaby bezpieczniejsza, ale miał tylko jeden pistolet: nie mógł go tutaj zostawić - nie było mowy o zdobyciu nowej broni w Kalifornii.

A wiedział, że jeszcze w tym tygodniu będzie mu potrzebna.

Mając w głowie natłok myśli - istotną rolę grała w nich Kathryn Dance - March ruszył labiryntem ulic i lokalnych dróg, krętą trasą na północ, dopóki nie uznał, że już bezpiecznie może wskoczyć na Ventura Freeway, autostradę sto jeden.

Na północ. Za pięć godzin powinien być z powrotem na półwyspie.

## ROZDZIAŁ 47

Proste.

Ale skuteczne.

Dance i O'Neil byli przy głównym wejściu do parku Global Adventure World, obok zniszczonej bramy. Przed nią stał skradziony przez sprawcę chevrolet; pod samochodem zebrały się kałuże oleju i płynu chłodniczego. Panika minęła i kilka tysięcy ludzi krążyło po części parku w pobliżu wejścia, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć.

Trzydzieści kilka osób zostało rannych, ale niegroźnie. Otwarcie bramy głównej i unieruchomionych wejść pozwoliło w znacznym stopniu rozładować napór ludzkiej masy.

- Kontynuujcie - powiedziała Dance do Southema i sierżanta Ralstona, którzy relacjonowali dwojgu funkcjonariuszy z Monterey przebieg wydarzeń.

Proste i skuteczne.

Nie, sprawca nie uciekł przez sieć tuneli oplatającą park rozrywki. Nie nadał komunikatu o rzekomym zamachu terrorystycznym. Najwidoczniej zauważył wejścia do tuneli oraz rozbudowany system nagłośnienia z głośnikami ukrytymi między drzewami i roślinnością. Włożył kominiarkę i napadł na ochroniarza - którego bez trudu rozpoznał, ponieważ strażnik miał w ręku ulotkę z fałszywym zdjęciem poszukiwanego.

Ochroniarz - Bob - był teraz z nimi.

- Potem zapytał mnie o tunele - ciągnął. - Nie chciałem mu nic powiedzieć, ale miał broń. Stał tuż za mną. To było... straszne.

- Na pewno - przyznała Dance. - Oczywiście.

Bob z nieszczęśliwą miną kontynuował stłumionym głosem:

- Zabrał mi portfel i zadzwonił do kogoś. Podał mój adres. Kazał swojemu znajomemu pojechać tam i mieć na oku moją rodzinę. Musiałem zrobić wszystko, co mi kazał.

- Wysłaliśmy już kogoś na miejsce - powiedział Ralston.

- Nie ma dowodów, że ktoś z nim współpracuje - rzekł O'Neil. - To chyba była lipa.

- Nie chciałem mu pomagać - odezwał się wstrząśnięty pracownik parku.

- W porządku, Bob - uspokajał go Southern. - Wybuchła panika i kilka osób odniosło obrażenia, ale nikt nie został poważnie ranny. Zrobiłeś to, co musiałeś. Na twoim miejscu zachowałbym się tak samo.

- Miałem wejść do tunelu i poczekać pięć minut, a potem on miał strzelić. Obiecał mi, że nikogo nie zabije. Robił to tylko po to, żeby uciec. Gdybym myślał, że naprawdę zamierza kogoś zastrzelić, nie zrobiłbym tego. Nigdy bym...

- Nic się nie stało, Bob.

Ochroniarz przełknął ślinę.

- No i zrobiłem to, co chciałem. Złapałem mikrofon i powiedziałem to, co miałem powiedzieć.

Dance pokręciła głową, patrząc na tłum, który liczył teraz około trzech tysięcy osób. Tak jak w Solitude Creek uspokoił się w mgnieniu oka, gdy tylko wydostali się z parku, a policja przez głośniki zapewniła, że w pobliżu nie ma żadnych terrorystów.

Sprawca znalazł się wśród uciekających turystów i wyszedł razem z nimi. Nie potrzebował nawet przebrania. Mógł mieć na głowie czarny kaptur, a w rękach karabin maszynowy - i nikt by go nie zauważył.

O'Neil odebrał telefon.

- Zgadza się... Tak... Już stoją? - Podziękował rozmówcy i się rozłączył. Spojrzał na pozostałych. - Drogówka. Zorganizowali blokady dróg. Szybko się uwinęli. Nie zablokowali wszystkich dróg ucieczki, ale główne. I zatrzymują na wyrywki samochody jadące od strony parku.

Funkcjonariusze sprawdzali też autobusy. I taksówki.

Nie znaleziono żadnego mocno zbudowanego mężczyzny mającego ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i jasne włosy, z białą torbą sportową (lub reklamówką Global z białą torbą sportową w środku).

Na koniec personel obsługujący kamery monitoringu poinformował, że w żadnej z wielu minut zapisu wideo nie zauważono nic, co mogłoby pomóc w jego odnalezieniu. Tłum był zbyt gęsty.

Dance obrzuciła wzrokiem masę ludzką i nawet nie zadawała sobie trudu, by szukać tam świadków.

- Wracamy do Prescottta? - spytał O'Neil.

- Dobra.

Na miejsce dotarli pół godziny później - ruch oczywiście był gęsty jak śmietana; nawet światła ostrzegawcze i syrena w radiowozie Martineza nie pozwoliły im rozwinąć większej szybkości. Weszli do mieszkania, kiedy kończyła pracę ekipa techników kryminalistyki.

Jeden z nich powiedział:

- Znał się na rzeczy. Rękawiczki z tkaniny.

- Wiem.

- Niewiele znaleźliśmy.

Popatrzyli na Prescottta, który leżał na wznak, uduszony taśmą izolacyjną. Widzieli go ostro i wyraźnie: oświetlała go mocna lampa podłogowa.

- Dlaczego go zabił? - spytał O'Neil.

- Może przez zdjęcie Solitude Creek, które dołączył do wpisu w Internecie? - zastanawiała się głośno Dance. - Były tam jakieś wskazówki?

Post zniknął, lecz O'Neil zdążył wcześniej zrobić kopię. Jeszcze raz uważnie ją obejrzel. Na Yidsterze był film, ale Solitude Creek przedstawiała tylko fotografia. Zdjęcie pochodziło z fotoreportażu i zostało zrobione po tragedii, kiedy ciała zabrano już z klubu, a na podłodze walały się śmieci, torebki, strzępki ubrań i wywrócone meble.

Żadne z nich nie dostrzegło nic, co mogłoby stanowić jakiś trop.

- Może sprawca po prostu nie chciał, żeby interesowano się Solitude Creek - podsunął O'Neil.

Dance skinęła głową.

- Przez to zwrócił na siebie uwagę federalnych.

Ponieważ incydent był związany z zagrożeniem terrorystycznym, CBI i biuro szeryfa odebrało telefony od Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Po zbadaniu sprawy agenci uznali jednak, że to nie był zamach terrorystyczny - ani nawet przestępstwo federalne.

- Niewykluczone. - Jeszcze raz przyjrzała się zwłokom, skupiając się na twarzy, wyraźnie widocznej w blasku lampy. Szeroko otwarte oczy z zastygłym wyrazem przerażenia. Przypuszczała, że umierał cztery czy pięć minut. Sprawca zabił go



w ten sposób prawdopodobnie dlatego, aby nie robić hałasu.

W drzwiach pojawił się policjant. Powitał obecnych skinieniem głowy i spytał:

- Detektyw O'Neil?

- Tak?

- Szukaliśmy w dzielnicy świadków na trasie ucieczki waszego podejrzanego. I znaleźliśmy to. - Pokazał foliową torebkę na dowody, w której tkwił telefon Nokia. - Jakiś facet z psem powiedział, że komórka wypadła z kieszeni sprawcy, kiedy biegł do chevroleta.

Dance i O'Neil spojrzeli na siebie. Z ostrożnym optymizmem. Znaleziony aparat na pewno był jednorazowym telefonem na kartę - wskazywał na to tani model - wydawało się więc mało prawdopodobne, że doprowadzi ich do właściciela. Mógł jednak zawierać cenne informacje.

- Można zdjąć odciski palców człowiekowi, który go znalazł?

Mundurowy się uśmiechnął.

- W ogóle go nie dotykał. Wziął go przez plastikową torebkę. Powiedział, że ogląda wszystkie seriale kryminalne.

Dance wzięła telefon i przez folię nacisnęła parę klawiszy.

- Chroniony hasłem. Ale, tak czy inaczej, dostaniemy się do środka. - Zwracając się do detektywa z policji okręgowej, dodała: - Będę chciała zatrzymać do zbadania jego komputer i telefon sprawcy. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie, proszę.

O'Neil nie mógłby tego zrobić bez zgody policji okręgowej w Orange, ponieważ do przestępstwa doszło na jej terenie, gdzie nie sięgała jurysdykcja biura szeryfa Monterey. CBI natomiast przebijało lokalne organa ścigania i Dance mogła zabrać dowody. Nie zamierzała jednak przekazać komputera ofiary i znalezionej telefonu małemu wydziałowi kryminalistyki biura - na ogół zlecali analizę dowodów fizycznych laboratorium w Monterey - ale poprosić Jona Bolinga, żeby do nich zajrzał. Kiedyś cudowne dziecko Doliny Krzemowej, a dzisiaj od czasu do czasu udzielał konsultacji CBI, FBI i innym instytucjom, kiedy potrzebowały pomocy informatycznej. Informatyka śledcza to prawdziwa sztuka, a Boling był w niej bardzo biegły.

Funkcjonariuszka z wydziału kryminalistyki podała laptop Dance, która

podpisała karty ewidencyjne przekazania dowodów. Następnie wyszła i włożyła do walizki foliowe torby z komputerem i komórką.

Umówili się z miejscowym detektywem, że prześle raporty z oględzin mieszkania i parku rozrywki do Monterey. W milczeniu wsiedli do wypożyczonego samochodu i ruszyli na lotnisko. Po takim dniu perspektywa lotu samolotem rejsowym ze wszystkimi towarzyszącymi im uciążliwościami byłaby nie do zniesienia; Dance starała się pamiętać, żeby zrobić coś miłego dla Charlesa Overby'ego w ramach podziękowania za niemały wydatek na służbowy samolot.

Może upiecze mu ciasto.

## ROZDZIAŁ 48

Samolot z lotniska Johna Wayne'a w Orange wylądował w Monterey o szóstej po południu. Na Dance i O'Neila czekał młody policjant z Biura Szeryfa Okręgu Monterey.

Dobrze go znała. Gabriel Rivera często pracował z O'Neilem. Korpulentny i wesoły zastępca szeryfa, z zadbanym wąsem, który mógł konkurować z zarostem Steve'a Fostera, bardzo chciał zostać detektywem jak jego mentor i często pracował do późna.

- Dobry wieczór, detektywie, agentko Dance.

Podawała mu rękę.

- Mam wstępny raport z oględzin miejsca zdarzenia w Santa Cruz. Sprawa Ottona Granta.

Dance przypomniała sobie, że O'Neil odebrał telefon z wiadomością o znalezieniu ciała w zatoce.

*Są gorsze rodzaje śmierci, niż zasnąć w zatoce...*

Podał O'Neilowi szarą kopertę, z której detektyw wyjął kopie odręcznych notatek oraz kilka zdjęć.

Zerknęła na fotografie z miejsca zdarzenia. Na ich podstawie trudno było zidentyfikować zwłoki: długo leżały w wodzie i choć w niskiej temperaturze ciało powinno się dobrze zachować, to napoczęły je morskie stworzenia. Duże fragmenty szczątków zostały ogołoczone do kości.

- Nie kontaktowałem się jeszcze z rodziną - mówił Rivera. - Mam od nich próbkę DNA i w laboratorium właśnie trwa analiza. Wyniki powinny być za dwadzieścia cztery godziny. - Pokazał zbliżenie rąk denata. - Odcisków palców oczywiście nie ma.

O'Neil przyjrzał się jednemu zdjęciu.

- To nie Grant.

- Ale...

- To nie on. Grant miał endoprotezy stawów kolanowych. A ten ma nietknięte obydwa kolana. Może to jakiś bezdomny, włóczęga, który zasnął na plaży i zabrała go fala. W każdym razie to nie Grant.

- W porządku, detektywie. Zawiadomię wszystkich.

- Gabriel?

- Słucham?

- Oszczędzisz sobie trochę czasu, jeżeli dowiesz się wszystkiego o poszukiwanym.

- Zapamiętam, detektywie. - Zastępca szeryfa zabrał od niego kopertę i wsiadł do radiowozu.

Dance i O'Neil poszli na parking po samochód detektywa. Mgła znów zasnuła ulice i zapowiadał się chłodny wieczór.

- Solitude Creek... Bay View... O co mu może chodzić? - zastanawiała się głośno Dance.

O'Neil milczał. Chyba ogarnął go jakiś zły nastrój. Nic dziwnego: policjant został ranny, zginął świadek, a podejrzany uciekł. Wyczuwała jednak, że dręczy go coś jeszcze.

Otworzył okno i do wnętrza samochodu napływało zimne powietrze. Chciała go poprosić, żeby zamknął, ale z jakiegoś powodu się rozmyśliła. Podkreśliła ogrzewanie.

Gdyby chciał pogadać, świetnie; nie zamierzała nic z niego wyciągać jak ze swojej córki, to nie była jej rola. Wyjęła telefon, żeby zadzwonić do Bolinga, ale myśl, że miałyby teraz prowadzić wesołą rozmowę, nie bardzo się jej podobała; byłoby to zachowanie pasywno-agresywne - rodzaj rewanzu za humory O'Neila. Napisała więc SMS z informacją, że niedługo będzie w domu.

Prawie natychmiast rozległ się sygnał odpowiedzi. *Tęsknię. CNK?*

Odpisała, że na kolację może być to, co zostało z wczoraj, i spytała o dzieci.

Boling wysłał następną wiadomość: Maggie rozmawiała przez Skype'a z Bethany i Carrie (*telekonferencja Klubu Sekretów*), a Wes wyszedł na rower z Donniem (*wraca o 7, obiecał*).

Wstukała: Nara.

Po chwili jednak zadzwoniła - do Charlesa Overby'ego.

- Włączyłam głośnik, rozmawiasz ze mną i z Michaeliem.

- Cześć, Michael - rozległ się głos jej szefa.

- Witaj, Charles.

Oczywiście wcześniej kilka razy do niego dzwoniła, zdając relację z przebiegu wydarzeń w Orange.

- Nic nie wskazuje, żeby Prescott był kimś więcej niż dziwakiem z ciemnogrodu - jeżeli są tacy w Orange - który prowokował nastroje antyislamskie. Nasze lokalne biuro przesłucha jego rodzinę, znajomych i współpracowników, ale jestem pewna, że nie uda mi się dodać nic więcej do jego profilu. Mamy komputer Prescottta i telefon zgubiony przez sprawcę. Chciałabym, żeby Jon Boling złamał hasła i sprawdził, co tam jest.

- Dobrze. W porządku, o ile pamiętam, nie liczy sobie zbyt słono za usługi.

Dance nie zareagowała na tę uwagę.

- Jakieś przypuszczenia, po co sprawca zadał sobie tyle trudu i pojechał go zabić? - zapytał Overby.

O'Neil powiedział mu o hipotezie, że Prescott swoimi „terrorystycznymi” komentarzami zainteresował incydentem federalnych.

- Nic innego nie przychodzi nam do głowy.

Umówili się na jutro na spotkanie u Overby'ego, aby przeanalizować raporty z biura szeryfa z Orange.

Dance zakończyła rozmowę. Potem zadzwoniła jeszcze raz.

- Hej, szefowo. Wróciłaś już z Miasta Aniołów?

- Właśnie wylądowałam - odpowiedziała TJ-owi. - Jutro o jedenastej u Overby'ego. W sprawie Solitude Creek i Bay View.

- Z dziką rozkoszą.

- Co z Serranem? - spytała. - Z tym drugim tropem? Przypomnij mi nazwisko.

- Ach, seflorita Alonzo. Dawna panna Serrana. Jutro w Moss Landing o dziewiątej? Może być?

- Dobrze. Dam znać Alowi.

- Foster nie będzie. Będzie Steve Dwa i Jimmy.

- Dzięki. Do jutra.

Rozłączyli się.

Kilka chwil panowała cisza.

- Uważaj! - krzyknęła nagle, wskazując przed siebie.

W ciemności błysnęły blisko osadzone żółte oczy.

- Widzę - odrzekł, hamując.

Wolno minęli jelenia, który się zastanawiał, kto wyjdzie górą ze zderzenia.

O'Neil nie od razu jednak zauważył zwierzę. Był rozkojarzony. Myślał o czymś innym.

Znow cisza. Jego mowa ciała zdradzała napięcie.

Minęło kolejne pięć minut. Wreszcie Dance uznała, że ma dosyć. Zamierzała wziąć go na spytki, żeby się przyznał, o co chodzi, ale właśnie w tym momencie zadzwonił jego telefon. O'Neil wyciągnął aparat i wcisnął przycisk ODBIERZ. Słuchał z ponurą miną.

- Gdzie?

Serce w niej struchlało. Czyżby sprawca tak szybko wrócił i zorganizował jeszcze jeden masowy atak?

- Właśnie tam jadę. Będę za kwadrans.

Rozłączył się.

- Znowu?

- To nie nasz sprawca. Następny akt nienawiści. - Westchnął i pokręcił głową.

- Ktoś został aresztowany?

- Nie, właściciel zobaczył graffiti na murze swojego domu.

Wpadnę tam i rozejrzę się po okolicy. To w Pacific Grove, niedaleko ciebie. Najpierw odwiozę cię do domu.

- Nie, jadę z tobą.

- Na pewno?

- Tak.

Włączył lampy ostrzegawcze i przyspieszył, uważając jednak na śliskiej drodze.

- Myślisz, że masz szansę znaleźć tam sprawcę? - zapytała.

- Nie mógł się za bardzo oddalić. Farba graffiti jest jeszcze mokra.

## ROZDZIAŁ 49

No i proszę. Witamy w Berlinie w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym.

Dance i O'Neil stali obok Davida Goldschmidta, właściciela jednego z ładniejszych sklepów meblowych w centrum. Szczupły, łysiejący mężczyzna był ubrany w granatowy płaszcz marynarski i dżinsy. Na bosych stopach miał buty żeglarskie. Stali w ogrodzie z boku domu.

Goldschmidt był poniekąd lokalnym celebrytą: w zeszłym tygodniu „Monterey Herald” napisał o nim artykuł. Kiedy niedawno Hamas zaczął odpalać rakiety ze Strefy Gazy w kierunku Izraela, zgłosił się na ochotnika do pomocy. Miał czterdzieści lat, za dużo, by służyć w izraelskim wojsku - granica wieku wynosiła dwadzieścia trzy lata - ale spędził kilka miesięcy, pracując przy wsparciu medycznym i zaopatrzeniu. Przypominała sobie jednak, że według artykułu podczas pobytu w kibucu pod Tel Awiwem przed laty Goldschmidt brał udział w walce.

Prawdopodobnie przez ten rozgłos został ofiarą.

A atak był naprawdę okrutny.

Na bocznej ścianie pięknego wiktoriańskiego domu jasnoczerwoną farbą wymalowano swastykę, a pod spodem napis: „ŚMIERĆ ŻYDOWI”.

Farba ściekała z symbolu i słów jak krew z głębokich ran.

Wszyscy troje stali w mglistym zmierzchu, a w powietrzu unosił się zapach ściółki z ogrodu Goldschmidtów.

- Nigdy w życiu - mruknął gospodarz.

- Zauważył pan kogoś?

- Nie, w ogóle się nie zorientowałem, dopóki nie usłyszałem krzyku z naprzeciwka - z drugiej strony ulicy, tam.

Podeszła do nich pięćdziesięciokilkuletnia kobieta w dżinsach i skórzanej kurtce.

- Dave, tak mi przykro. Dobry wieczór.

O'Neil i Dance przedstawili się sąsiadce.

- Jestem Sara Peabody. Widziałam ich. To ja wezwałam policję. Krzyknęłam. Chyba niepotrzebnie. Powinnam zadzwonić do was. Może już by siedzieli. Ale straciłam głowę, rozumieją państwo.

- Widziała ich pani? - spytał z naciskiem O'Neil.

- Tak, było dwóch. Patrzyłam zza drzew, widzi pan? Nie miałam dobrego widoku. No więc nie umiem powiedzieć, czy byli młodzi, czy starsi, mężczyźni, czy kobiety. Moim zdaniem chyba mężczyźni, nie sądzi pan?

- Tak zazwyczaj bywa w przypadku przestępstw z nienawiści - przytaknął. - Choć nie zawsze.

- Jeden stał na czatach, a drugi przeskoczył przez ogrodzenie i wymalował sprayem te obrzydlistwa. Ten, który pilnował, robił tamtemu zdjęcia albo kręcił film. Chyba na pamiątkę. Okropność.

Goldschmidt westchnął.

- Czy ostatnio ktoś panu groził? - zapytała Dance.

- Nie, nie. Nie sądzę, żeby chodziło o jakieś osobiste urazy. To pewnie kolejna akcja, nie uważają państwo? Wiadomo, co się dzieje. Kościoły czarnoskórych, tamten dom gejów...

- Tak można przypuszczać - odrzekł O'Neil. - Pismo wygląda podobnie jak w przypadku tamtych ataków, zgadza się też kolor farby.

- W każdym razie chcę to usunąć. Będą państwo fotografować to, pobierać próbki farby czy coś w tym rodzaju? Zamaluję to jeszcze dzisiaj. Jutro rano wraca z Seattle moja żona. Nie chcę, by oglądała takie rzeczy.

- Oczywiście - uspokoił go O'Neil. - W ciągu godziny pojawią się tu nasi technicy. Szybko się uwiną. - Rozejrzał się. - Pójdę teraz porozmawiać z sąsiadami.

- Niech mnie. Po tylu latach - mruknął ze złością Goldschmidt.

- Czasami wydaje mi się, że nie ma zupełnie żadnego postępu.

- Dance przyjrzała mu się, widząc fizyczne sygnały sprzeciwu i determinacji, nieruchomy wzrok utkwiony w ohydny symbol i słowa.

O'Neil spytał Dance, czy może przyjąć zeznanie Goldschmidta i jego sąsiadów.

- Pewnie.

Ruszył w głąb ulicy porozmawiać z innymi sąsiadami, którzy mogli widzieć czyn wandalii.

Dance obejrzała ogród. Na trawie rzecz jasna nie było śladów stóp. Może ekipie techników uda się zdjąć odcisk palca z ogrodzenia, które pokonał sprawca, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Ach, nagle przebłysk nadziei. Pod okapem dachu krył się obiekt kamery monitoringu.



Goldschmidt pokręcił jednak głową.

- Działa, ale nie nagrywa. Monitor jest w sypialni, ale kiedy to się stało, byłem w innym pokoju. Korzystamy z kamery, kiedy jesteśmy już w łóżku. Na wypadek jakichś hałasów.

Dance wysłała Bolingowi wiadomość, że będzie trochę później, niż planowała. Odpowiedział, że Maggie ciągle siedzi przy Skypie, a Wes jeszcze nie wrócił - ale ma pięć minut do obiecaney godziny. Pozostałość wczorajszej kolacji już się podgrzewała.

Michael O'Neil był w głębi ulicy i Dance nie miała tu nic więcej do roboty. Zaczęła poszukiwać świadków na własną rękę, ruszając w przeciwną stronę. Z okien nie było widać domu Goldschmidtów, ale być może wandale zaparkowali obok sąsiadów. Ci, którzy byli w domu, nic jednak nie widzieli, a Dance nie dostrzegła u nich oznak kłamstwa. Mimo że mieli do czynienia z szokującym aktem wandalizmu, istniało niewielkie ryzyko agresji fizycznej, więc świadkowie zgłaszali się chętniej niż w sytuacji, gdyby widzieli morderstwo, gwałt czy napaść.

Jeszcze dwa domy, ciemne i puste.

Zamierzała wrócić na miejsce zdarzenia, gdy dostrzegła jeszcze jeden budynek - po drugiej stronie miejskiego parku, który był znanym przystankiem migrujących motyli, monarchów. Zadrzewiony park zajmował około dwóch akrów.

Dom stał na granicy terenu centrum konferencyjnego Asilomar, a dalej rozciągał się nadmorski park przy Spanish Bay. Z jego okien widać też było piaszczyste pobocze drogi, doskonałe miejsce, w którym sprawcy mogli zostawić samochód i pieszo ruszyć do domu Goldschmidta. Może właściciele ich widzieli.

Zanurzyła się między drzewa, stąpając powoli; parku dawno nie przycinano - zapewne z powodu kłopotów budżetowych - i bała się, by nie potknąć się w zaroślach.

Jest jakieś niebezpieczeństwo? - pomyślała, przystając. Nie. Sprawcy musieli odjechać zaraz po skończeniu graffiti. Jeżeli nie, na pewno uciekli, gdy zobaczyli biało-niebieskie światła ostrzegawcze samochodu O'Neila.

Ruszyła dalej w głąb ciemnego rezerwatu.

## ROZDZIAŁ 50

Ktoś idzie, stary. Na bank.

Powiedział to Wolverine.

- Ciii. - Darth machnął ręką, żeby się uciszył.

- Spadajmy już.

Darth nie zwracał na niego uwagi, przebijając wzrokiem półmrok zmierzchu. Dwaj chłopcy tkwili nieruchomo jak snajperzy w rozległym ogrodzie za domem, który właściciele nazwali Rezydencją Junipero czy jakoś tak, ukrytym między porośniętymi mchem drzewami jak z *Hobbita*, sękatymi i pokręconymi. Dom z nazwą. Dziwne.

Ocean był niedaleko stąd i Darth słyszał fale rozbijające się o skały, odgłosy mew i fok. Dobrze jest. Hałas zagłuszał ich ruchy.

- Mówię ci, trzeba spierniczać. - WoWerine miał granatową kurtkę. Czarną bejsbolówkę obróconą daszkiem do tyłu. Darth był w dzinsach, czarnej koszulce i bluzie z kapturem. Kiedy szli zjebać dom albo kościół, lubił myśleć o sobie i swoim kumplu, używając ich pseudonimów. Czuli się jak żołnierze, jak superbohaterowie.

Obaj byli szczupli, młodzi. Darth trochę wyższy, starszy o rok z groszami, chociaż chodzili do tej samej klasy. Kryli się za krzakiem, który cuchnął szczynami, Darth czuł na kolanach wilgoć piasku mokrego od mgły.

- Stary? - szepnął rozpaczliwie WoWerine. - Chodź! Wybijamy stąd. Nie możemy tu zostać.

Darth poruszył się i rozległo się: brzęk, brzęk.

- Jezu, cicho!

Darth ostrożnie postawił na ziemi płócienny plecak i poprawił puszki czerwonej farby, wkładając między nie T-shirt, po czym znów zarzucił go na ramię.

- Mówię ci, stary. - Wolverine raczej nie dorastał do swojej ksywy<sup>1</sup>. Ale Darth miał dla kumpla sporo cierpliwości. Koleś często się cykał. Darth teraz też trochę dygał, bo krążył tu jakiś dupek i był coraz bliżej.

Ale przecież szefował zespołowi, rozkazał więc:

- Wyluzuj.

Wolverine skinął głową.

Fakt, koleś był mięczakiem, ale to on zauważył, że ktoś idzie przez park. Jasne, powinni się stąd wynosić. Darth nie zamierzał się o to spierać, ale za cholere nie mogli, bo pieprzony Żyd znalazł rowery i wpakował je do garażu. Kiedy zrobili mu graf na ścianie i przeleźli z powrotem przez ogrodzenie, jakaś dziwka z przeciwka wyskoczyła z domu i zaczęła wrzeszczeć, przestańcie, co wy wyprawiacie, to okropne, za kogo się uważacie...

Pierdu, pierdu...

Nie chcieli, żeby ktoś ich widział, więc pobiegli w stronę parku i schowali się w jakichś krzakach, patrząc, jak ten Goldszwanc wychodzi z domu, namierza rowery, bierze je i - skurwiel - wrzuca do garażu.

Potem pojawiły się koguty.

A teraz słyszeć kroki.

Czyje? Goldszwanca? Tej baby, która ich wsypała?

Tylko po co by tu leźli? Nie, pewnie zjawił się glina. I jeżeli to pies, będzie uzbrojony w paralizator, glocka i ogromną latarkę, którą można wgnieść czaszkę. Kiedy Darth siedział w poprawczaku, miał pod celą kumpla z czaszką wgniecioną właśnie taką latarką.

Kroki się zbliżały, ale ciągle były w odległości połowy boiska do koszykówki.

- Dlaczego czekamy?

Darth nie miał czasu - ani ochoty - tłumaczyć dlaczego: gdyby jego ojciec dowiedział się, że rower zniknął, w ruch poszłaby gałąź i popłynęłaby krew Dartha.

Jeszcze bliżej. Chyba gliniarz poruszał się wolno, ale szedł prosto w ich stronę.

Darth pokazał głową ogrodową szopę za Rezydencją Junipero.

Podeszli bliżej przekrzywionego budynku i przyczaili się między nim a splątanym krzewem. Gliniarz nie miał w ręce latarki. Idąc, zatrzymywał się i nasłuchiwał. Zachowywał się ostrożnie, jakby kolesie, których tropił, byli zimnymi jak lód draniami. Jeżeli ktoś zakradł się pod czyjś dom i napisał: „ŚMIERĆ ŻYDOWI”, ozdabiając to grubą swastyką, musiał być zimny jak lód.

Aha, pomyślał Darth, może trudno w to uwierzyć, ale tacy właśnie jesteśmy.

Totalnie zimni...

- Mam pomysł - szepnął. - Zmylę go.

- Ale... Co chcesz zrobić?

- Pójdę tędy, do parku, narobię hałasu czy coś, a ty uciekniesz.

- Tak? A co się stanie z tobą?

- Nikt mnie nie tknie - szepnął Darth z ustami tuż przy jego uchu. - Jestem sportowcem, pamiętasz? Nic mi się nie stanie. - Ojciec Dartha pilnował, żeby syn zdobywał trofea w każdej konkurencji lekkoatletycznej (gdyby nie zdobył, miałby do czynienia z gałęzią).

- Spoko?

- Tak. - W zielonych oczach kumpla malowała się niepewność.

- Dobra, zostań tu i... daj mi minutę, żebym zajął pozycję. Jak doliczysz do sześćdziesięciu, pryskaj - w tamtą stronę, do Asilomar. Biegnij, nie zatrzymuj się. Zacznie cię gonić, ale narobię kupę hałasu i go zmylę.

- Dobra. Do sześćdziesięciu.

Darth uśmiechnął się do niego.

- Dobrze nam dzisiaj poszło, co nie?

Skinął głową. Przybili żółwia.

- Zaczniij liczyć. - Darth ostrożnie, cicho ruszył między drzewa, oddalając się od szopy. Po drodze rozglądał się dookoła. O, super. Znalazł doskonałą broń. Ostro zakończony kamień długości około ćwierć metra. Podniósł go i zważył w dłoni. Dobrze. Dobrze.

Nie zamierzał uciekać. Był wściekły, że zostali przyparci do muru, wściekły, że Żyd zabrał mu rower. Kiedy tylko Wolverine zwieje, zamierzał zająć od tyłu gliniarza, którego uwagę przyciągnie odgłos kroków jego kumpla.

Wtedy walnie gliniarza kamieniem w głowę i go ogłuszy.

I zabierze sukinsynowi broń, pewnie lśniącego, gładkiego glocka, berettę albo coś w tym rodzaju.

Przeniknął go dreszcz przyjemności, gdy snuł fantazję: ojciec wchodzi do jego pokoju, rzuca go twarzą na łóżko, unosi gałąź... a Darth się wykręca, wyciąga spod poduszki automat i widzi przerażenie na twarzy ojca, który bezradnie gapi się w pieprzoną lufę kaliber dziewięć milimetrów.

Nacisnąłby spust?

Nie. Tak. Może.

Bezszelestnie okrążył gliniarza, uważając, gdzie stawia stopy.

Dobra, Wolverine. Teraz twoja kolej.

Do końca umówionego czasu zostało piętnaście sekund. Zacisnął kamień w dłoni i podszedł trochę bliżej.

Zaraz, dziwne. To nie gliniarz. Kobieta. Może łązi ta dziwka, sąsiadka Goldszwanca? Nie, to by było bez sensu. Na pewno glina, tyle że kobieta.

Czy Darth mógł załatwić dziewczynę?

Po chwili wahania uznał: kurwa, co to za różnica? Oczywiście, że mógł.

Nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl: matka Wolverine'a - naprawdę miał na imię Wes - pani Dance, była gliną. A jeżeli to ona? Za ciemno, żeby zobaczyć coś więcej niż długie włosy. Zaraz jednak Darth, to znaczy Donnie Verso, przypomniał sobie, jak Wes mówił, że jego matka wyjechała. Służbowo, w jakiejś dużej sprawie, którą prowadziła.

Czyli ktokolwiek to był, na pewno nie pani Dance.

Dobra. Zbliżył się jeszcze trochę, po czym przystanął, ściskając w dłoni kamień. Przyczaił się i przygotował, by ruszyć sprintem i rozwalić dziwcę głowę. Za niecałą minutę będzie miał pistolet.

## ROZDZIAŁ 51

Kathryn Dance szła dalej w stronę dużego wiktoriańskiego domu na drugim końcu parku.

Spotkało ją rozczarowanie, mimo że światła na werandzie się paliły, reszta domu tonęła w mroku. Szkoda. Mimo sceptycznej opinii O'Neila wciąż była skłonna przypisać przestępstwo gangowi bikerów. Mieszkańcy domu mogliby słyszeć chrapliwy warkot motocyklowego silnika, może wyjrzeliby przez okno od frontu i wyraźnie zobaczyli sprawców. Podaliby markę i model motocykla, rysopisy.

Ktoś jednak mógł być w domu. Jeśli nawet trop jest niepewny, to nie powód, żeby go zignorować.

*Nie można się pohamować...*

Zbliżając się do rozległego, rustykalnego ogrodu otaczającego dom, znów przystanęła. Usłyszała kroki. Co więcej, kroki dwóch osób. Jedna poruszała się w pewnej odległości przed nią, druga bliżej, po prawej, za jej plecami. Spojrzała w ciemność, ale nic nie widziała. Najprawdopodobniej jelenie. W okolicy mieszkała liczna populacja tych stworzeń.

Oczywiście pomyślała też, czy nie nazbyt pochopnie wykluczyła możliwość, że sprawcy nadal są w okolicy domu. To prawda, zwykły bandyta już dawno by zniknął. Spadajmy stąd. Dokonaliśmy czynu, wystarczy. Ale nie chodziło o włamanie, napad czy wandalizm w stylu „chodźmy dla hecy podpalić przenośny kibel”. To było co innego.

Dlatego zasadne jest przypuszczenie, że w tym przypadku sprawcy zostali, aby obserwować reakcję przejętych zgrozą ofiar.

Jelenie?

Niedaleko trzasnęła gałązka, lecz Dance nie wiedziała, skąd dokładnie dobiegł odgłos.

Dobra. Pora się stąd zabierać, powiedziała sobie. I to szybko.

Szelest w zaroślach.

I nagle...

Zadzwoił telefon komórkowy - niecałe dziesięć metrów przed nią.

- Szlag! - krzyknął głos z tyłu, z bardzo bliska. Jezu Chryste, próbowali ją

otoczyć. Miała za plecami jednego ze sprawców.

- Uciekaj, uciekaj! - rozległ się męski głos w miejscu, gdzie odezwał się dzwonek telefonu.

I usłyszała tupot kroków dwóch par nóg, które oddalały się od niej biegiem. Nikogo nie zobaczyła. Wahała się chwilę, czy nie kazać im się zatrzymać, ale nie mając broni, nie chciała zdradzać swojego położenia.

Wzięła telefon i wcisnęła klawisz szybkiego wybierania numeru.

- Kathryn?

- Michael, są tutaj, na wschód od końca drogi. Junipero Drive.

- Sprawcy? Od Goldschmidta?

- Tak. Właśnie mówię.

- Co tam robiłaś?

Po co, do cholery, o to pytał?

- Zgłoś to - ucięła. - Rozdzielili się. Jeden ucieka w kierunku miasta. Drugi do Asilomar.

- Gdzie jesteś?

Po co pytał?

- Już powiedziałam. Na wschód od końca drogi. Przy dwupiętrowym wiktoriańskim domu.

- Zadzwoń. Natychmiast tu wracaj - burknął.

Pół godziny później Dance i O'Neil byli razem z ekipą kryminalistyczną pod domem Goldschmidta.

Nadjechał radiowóz policji Pacific Grove i wysiadło z niego dwóch funkcjonariuszy.

O'Neil skinął im głową.

- Macie coś?

- Nie. Zaniknęliśmy Sunset, Asilomar, Ocean View i Lighthouse, ale musieli wsiąść do samochodu, zanim postawiliśmy blokady.

- Ślady butów?

Krzywy uśmieszek na twarzy jednego z policjantów świadczył o tym, z czego wszyscy zdawali sobie sprawę: podłoże stanowił tu przede wszystkim piasek i jeżeli ktoś spodziewał się śladów stóp, które można zabezpieczyć metodą

elektrostatyczną, czekał go zawód.

Zbliżył się do nich David Goldschmidt, niosąc wałek do malowania i puszkę farby. Postawił jedno i drugie na ziemi. Zainteresowała go informacja, że Dance natknęła się na sprawców niedaleko domu w głębi ulicy, Rezydencji Junipero.

- Wygląda, że znalazła się pani bardzo blisko nich - zauważył.

- Tak, dość blisko. Rozdzielili się. Jeden był prawdopodobnie z sześć, siedem metrów ode mnie, drugi około piętnastu.

- Jak wyglądali? - Zwęził szare oczy. Patrzył na nią w skupieniu, chłonąc każde słowo, jak gdyby chciał się dowiedzieć wszystkiego o tych dwóch, którzy haniebnie oszpecili mu dom.

- Było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć - wyjaśniła. Pacific Grove nie służyła z rzęsistego oświetlenia ulicy.

- Sześć, siedem metrów, mówi pani? I nic pani nie widziała?

Ruchem głowy wskazała park.

- Było ciemno.

- Ach, tak. - Ponownie skierował wzrok na napis szpecący boczną ścianę domu.

- Przykro mi, panie Goldschmidt.

- W każdym razie dziękuję za szybką reakcję. - Myślami błędził gdzie indziej.

Skinęła głową i podała mu wizytówkę.

- Gdyby przypomniał pan sobie coś jeszcze, proszę dać mi znać.

- Och, na pewno dam znać. - Uważnie rozejrzał się po ulicy.

Przyglądała się, jak wsuwa wizytówkę do tylnej kieszeni, a potem podeszła do samochodu O'Neila. Uruchomił silnik.

Już miała wsiadać, ale zmieniła zamiar.

- Zaczekaj chwilkę. - I wróciła do domu. - Panie Goldschmidt?

- Tak, agentko Dance?

- Można na słówko?

- Oczywiście.

- Granice obrony koniecznej są jasno określone w kalifornijskim prawie.

- Naprawdę?

- Tak. Jest bardzo niewiele sytuacji, które usprawiedliwiają zabicie człowieka.

- Oglądam program Nancy Grace. Wiem o tym. Dlaczego pani mi przypomina?



- Miałam wrażenie, że bardzo panu zależy na dokładnym rysopisie sprawców tego przestępstwa. Bardziej szczegółowym niż to, co mógł pan zobaczyć na monitorze. - Zerknęła na oko kamery pod okapem.

- Już mówiłem, że nie widziałem ich na monitorze. Nie, nie, myślałem tylko, co zrobię, jeżeli zobaczą ich w mieście albo w dzielnicy. Mógłbym zadzwonić na policję. Gdybym znał dokładny rysopis.

- Chcę panu tylko powiedzieć, że wyrządzenie krzywdy osobie jest przestępstwem, jeżeli nie ma pan absolutnej pewności, że panu lub komuś innemu grozi niebezpieczeństwo. A uszkodzenie mienia nie uzasadnia użycia siły.

- Przypuszczam, że ci ludzie są skłonni zrobić o wiele więcej, niż malować groźby. Ale po co w ogóle prowadzimy tę rozmowę? Przecież nie mają żadnego powodu, żeby tutaj wracać, prawda? Już wyrządzili szkodę.

- Ma pan broń?

- Owszem, mam. Teraz spyta mnie pani, czy jest zarejestrowana.

Na pewno pani wie, że w Kalifornii nie trzeba rejestrować broni, którą posiadało się przed pierwszym stycznia. Większej gimnastyki może wymagać uzyskanie pozwolenia na noszenie ukrytej broni. Takiego pozwolenia nie mam. Ale swojej strzelby nie muszę rejestrować.

- Mówię tylko, że granice prawa do obrony koniecznej są ostrzejsze, niż sądzi większość ludzi.

- Być może większość ludzi. Ale ja całkiem nieźle orientuję się w prawie panującym w tym kraju. Oglądam Nancy Grace, jak wspominałem. - Lekko przymrużył jasne oczy, uśmiechając się z pewnością siebie. - Dobranoc, agentko Dance. I jeszcze raz dziękuję.

## ROZDZIAŁ 52

Michael O'Neil podjechał przed dom Dance i zatrzymał samochód. Kathryn czytała wiadomości w telefonie.

- Z naszego biura w Los Angeles. Jutro rano Orange prześle raporty z oględzin miejsca zdarzenia i z przesłuchań świadków.

- Dobrze - odburknął.

Pociągnęła klamkę, otworzyła drzwi i wysiadła, a O'Neil zwolnił klapę bagażnika. Został za kierownicą. Dance poszła po swoją walizkę i torbę z laptopem.

Na trawnik przed domem padł klin światła i na progu stanął Jon Boling.

O'Neil, jak gdyby nagle uświadomił sobie, że jest niegrzeczny czy nietaktowny, spojrział na niego, potem na Dance. I wysiadł z samochodu.

Zwracając się do Bolinga, powiedział:

- Przepraszam, że tak późno, Jon. W drodze do domu porwałem ją na akcję.

- Mam nadzieję, że nic poważnego się nie wydarzyło.

- Następny akt nienawiści. Niedaleko stąd.

- Och. Ktoś ucierpiał?

- Nie. Ale sprawcy uciekli.

- To przykre.

Dance zaniosiła walizkę na kółkach na werandę, a tam Boling zabrał ją od niej.

- Informuję tylko, że Wes spóźnił się o mniej więcej czterdzieści minut.

Westchnęła.

- Porozmawiam z nim.

- Chyba jakaś dziewczyna nie przyjęła jego zaproszenia na bal na zakończenie roku czy coś w tym stylu. Był nie w humorze. Próbowałem go namówić, żeby mi pomógł przy pisaniu kodu, ale zupełnie nie był zainteresowany - co ty na to? Musi być chory z miłości, nie ma innej odpowiedzi.

- Mamy służbową sprawę i liczę na twoją pomoc - powiedziała.

- Pewnie. Co mam zrobić?

Przypomniała mu o filmie, który poprzedniego wieczoru pojawił się w sieci - z tragedii w Solitude Creek.

- Ach, no tak. Mówiłeś nam o tym rano przy śniadaniu - rzekł do Michaela.

O'Neil przytaknął skinieniem głowy. Dance opowiedziała, co zrobił Stan Prescott i jak został zamordowany w Orange - przez sprawcę z Solitude Creek - pomijając fakt, że oboje z O'Neilem znaleźli się na linii ognia.

- Zamordowany? Dlaczego?

- Na razie nie wiemy. Być może istnieje związek między sprawcą a Prescottem. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Mam jego komputer i telefon sprawcy. Mógłbyś złamać hasła i zbadać zawartość?

- Co to za skrzynka?

- Laptop Asus. Nic specjalnego. Windows, dostęp chroniony hasłem. I nokia.

- Bardzo chętnie. Lubię się pobawić w policjanta. Chciałbym kiedyś dostać odznakę. Albo taką kurtkę jak w Castle. Na mojej mógłby być napis GEEK.

O'Neil parsknął śmiechem.

Dance podała mu urządzenia. Boling, sam z siebie, wpisał swoje nazwisko na karcie ewidencyjnej dowodów.

- Zdjęto odciski palców, ale...

- Włożę rękawiczki do sprzątania. Zajrzę teraz, ale żeby złamać hasła, pewnie będę potrzebował cięższych dział. Zabiorę się jutro z samego rana.

- Dzięki - powiedziała.

- Aha, sprawdzili też, czy nie ma materiałów wybuchowych - dodał O'Neil.

- To zawsze duży plus.

- Dzięki, Jon.

- Dzieci już jadły. Mamy mnóstwo resztek po wczorajszych resztkach. Może zostaniesz na kolacji?

- Nie, dzięki - odparł O'Neil. - Jestem już umówiony w domu.

- W porządku. - Przyjaźnie skinął głową. - Do zobaczenia, Michael.

- Dobranoc. - Spojrzał na Kathryn. - Jutro o jedenastej u Overby'ego. Do zobaczenia. - Ruszył z powrotem do samochodu.

Położyła dłoń na klamce. Puściła ją. Odwróciła się i podeszła do samochodu, zanim Michael zdążył wsiąść. Popatrzyła w jego ciemne oczy; nie była niska, lecz od niego niższa o piętnaście centymetrów.

- Coś jeszcze? - spytał.

Właśnie tego nie powinien mówić.

- Szczerze mówiąc, tak, Michael.

Rzadko mówili sobie po imieniu. To był sygnał ostrzegawczy.

- Chcę wiedzieć, co cię gryzie. I jeżeli powiesz „nic”, to chyba zacznę wrzeszczeć.

- To był długi dzień.

- Jeżeli chodzi o prowokowanie do wrzasku, takie zdanie ma podobny skutek jak „nic”, kiedy wypowiada je mężczyzna.

- Nie wiedziałem, że to problem płci.

- Racja. Ale to ty stroisz fochy.

- Fochy.

- Tak.

- Być może jestem wkurzony, bo nie była to najbardziej udana akcja w mojej karierze. Wkurza mnie nie tylko ucieczka sprawcy. Przez nas został ranny funkcjonariusz.

- To był nieszczęśliwy wypadek. Ale Martinez nie został postrzelony z naszej winy. Sam się dał postrzelić, bo nie sprawdził otoczenia. Podstawowa procedura służby patrolowej, a sama nigdy nawet nie pracowałam w patrolu. Daj spokój. Bez kitowania. Mów, co jest grane.

Szczęka i język przyjmują łatwo rozpoznawalne ustawienie, by wyartykułować głoskę nosową - czyli słowo rozpoczynające się od spółgłoski „n”. Twarz O’Neila przygotowała się do wymówienia słowa „nic”. Powiedział jednak:

- Popełniasz błąd.

- Błąd?

- Dobra. Chcesz znać prawdę?

W odróżnieniu od czego? - pomyślała, unosząc brew.

- Chodzi o Wątek Guzmana, o Serrana.

Zdziwiła się. Była pewna, że jest zdenerwowany, bo Jon Boling został u niej na noc.

- Jak to? Dlaczego o Serrana?

- Nie podoba mi się twój udział, sposób, w jaki się angażujesz.

To była dla niej nowina. O’Neil nie był zaangażowany w operację Kanał ani jej pochodne, Wątek Guzmana i sprawę Serrana.

- Dlaczego?

- Po prostu mi się nie podoba.

Jak gdyby to cokolwiek tłumaczyło. Westchnęła.

- Niech ktoś inny to poprowadzi.

- Kto? Przecież nikt oprócz mnie nie może.

Nie była to zbyt precyzyjna odpowiedź i jego milczenie powiedziało jej, że czeka na wyjaśnienia. Była na siebie zła, że dała się zepchnąć do defensywy.

- Chcę to prowadzić.

- Słyszałem, jak rozmawiałś z TJ-em. O spotkaniu w sprawie Serrana jutro. Jedziesz tam.

- W tym właśnie rzecz, Michael. Będzie ze mną Al.

- Dlaczego nie cały zespół?

- Bo wtedy zapaliłyby się im lampki alarmowe.

- A jeżeli jakiś bandzior dowie się, że jesteś z jednym z jego ludzi w Motelu 6, i przyśle ci zespół cyngli?

- Zdaję sobie sprawę. To dopuszczalne ryzyko.

- Ach, tak. Sprecyzuj.

- Michael.

- Weź ze sobą broń. Tylko tyle chcę powiedzieć.

Ach, więc o to chodziło.

- Jestem w cywilnym i nie...

- Nie jesteś. Normalnie prowadzisz dochodzenie. Tak się przynajmniej zachowujesz.

- W każdym razie nie mogę mieć broni. Procedura. Nie ma innej możliwości.

- Mimo to weź. Bodyguarda albo berettę nano. Dam ci jeden z moich.

- Naruszyłabym przepi...

- Naruszyłabyś, gdyby cię przyłapali.

- Gdybym dała się przyłapać, wszystko bym zniszczyła. - Dobra, Serrano to twój priorytet. Chcesz to doprowadzić do końca, w porządku.

Jak gdyby udzielał jej zezwolenia.

- W takim razie odpuść sobie Solitude Creek. Poprowadzę to ze swoimi ludźmi. We współpracy z TJ-em i Reyem. Wezmę nawet Connie Ramirez. - W jego głosie

brzmiał surowy ton, groźny jak siny skraj nadciągającej chmury burzowej. - Sprawa w całości pójdzie na konto CBI.

- Myślisz, że mi na tym zależy? - odrzekła drwiąco.

Odwrocił wzrok, odpowiadając w ten sposób: nie, oczywiście, że nie. Jego uwaga była odruchowym ciosem.

- Michael, nie mogę zrezygnować z tej sprawy. Po prostu.

- Dlaczego?

Bo nie mogła.

- Dzisiaj w domu Goldschmidta w ogóle nie miałaś szukać świadków na własną rękę. Miałaś zostać na miejscu zdarzenia.

- „Miałam”?! - powtórzyła ostrym tonem.

- I nagle dowiaduję się, że jesteś niedaleko Rezydencji Junipero ze sprawcami? Najpierw powinnaś do mnie zadzwonić. Jeżeli nie uciekli, to znaczy, że mogli mieć w planie coś jeszcze - na przykład załatwić policjantów, którzy ich szukali. Neonazistowskie gnidy z glockami kaliber czterdzieści?

- Albo dzisiaj w Tustin - ciągnął - gdyby sprawca po wyjściu z mieszkania Prescottta, kiedy strzelił do zastępcy szeryfa, skręcił w prawo zamiast w lewo, wpadłby prosto na ciebie.

- Nie wiedzieliśmy, że tam jest. Chcieliśmy porozmawiać ze świadkiem.

- Nigdy nie wiadomo, jak potoczy się sprawa.

- Chcesz, bym siedziała w pokoju i przez Skype'a nakłaniała podejrzanych, żeby przyznali się do winy? To tak nie działa, Michael.

- Pamiętaj o dzieciach.

- Nie mieszaj do tego moich dzieci - warknęła.

- Ktoś musi - mruknął tym swoim irytująco spokojnym, ale złowieszczym tonem.

- Trzeba złapać sprawcę z Solitude Creek, Kathryn. Ale to nie musisz być ty. - Usiadł za kierownicą i odpalił silnik.

Nie odjechał przed dom z piskiem opon - to nie było w jego stylu. Z drugiej jednak strony nie zatrzymał się, nie cofnął i nie wrócił, żeby przeprosić.

Patrzyła na tylne światła, dopóki nie zniknęły we mgle.

*To nie musisz być ty...*

Owszem, Michael, muszę.

---

[1](#) WoWerine - komiksowy superbohater, należący do drużyn X-Men i Avengers (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 53

Wes leżał w łóżku i pisał SMS-a, kiedy weszła powiedzieć mu dobranoc.

- Hej.

- Cześć - odparł.

- Słyszałam, że późno wróciłeś.

- Aha. Złapałem gumę. Musiałem zostawić rower u Donniego.

- Nie zadzwoniłeś? Przecież Jon mógł po ciebie przyjechać.

- No, nie zadzwoniłem. Karen mnie zdołowała. Woli iść na bal z Randym.

Prawda, nieprawda? Wyczuła nutę fałszu. Ale po tym okropnym dniu jej umiejętności kinezyczne nie pracowały pełną parą. Poza tym analizowanie wszystkiego, co mówią dzieci, mogłoby ją wyczerpać i zatrwożyć.

Dlatego nie naciskała.

- Kiedy mówisz, że będziesz w domu za piętnaście minut, masz być za piętnaście minut. Jeżeli to się powtórzy, będą konsekwencje. - Aha. Okay.

- Jeździcie w kaskach?

- Aha, mam. W kaskach.

- Dobranoc. - Pocałowała go.

Weszła do sypialni obok.

- Mags?

Maggie spała. Kathryn otuliła ją kołdrą i zamknęła okno. Pocałowała córeczkę w głowę.

Tuż przed północą weszli z Bolingiem na górę do jej sypialni. Zostawił tu parę swoich rzeczy w sportowej torbie, co stanowiło nieśmiały krok naprzód w ich związku. Nie miała nic przeciwko temu: parę rzeczy, nie cała garderoba.

*Nie ma co się spieszyć...*

Wzięła prysznic, włożyła piżamę i wpełzła do łóżka obok niego. Kiedy leżeli udo przy udzie, wyczuła, że jest gotowy porozmawiać o tym, jak jej minął dzień, gdyby chciała, ale nie zamierzał naciskać. Dziękuję, pomyślała i ścisnęła jego dłoń w geście, który wyrażał tę myśl i który na pewno zrozumiał. Ciekawe, czy słyszał jej kłótnię z Michaelem.

- Co u Mags? - zapytała.



- Miałem ją na oku podczas konferencji na Skypie z Klubem Sekretów. Co za młoda dama z tej Bethany. Przypuszczam, że za kilka lat będzie stała na czele Departamentu Stanu. W grę ewentualnie wchodzi Biały Dom. Chyba rozmawiały jakimś szyfrem. Nie umiałem nic rozgryźć. Jakby stworzyły sobie własny język.

Kathryn się zaśmiała.

- Gdyby wkładały choć połowę tej energii w naukę.

- Kiedy byłem mały i miałem wziąć prysznic, puszczałem wodę, moczyłem ręcznik, zbierałem myjką brud z podłogi i poświęcałem na to więcej czasu, niż gdybym po prostu się umył. Chciałem, żeby grzeszek uszedł mi na sucho.

- I udawało ci się?

- Nigdy. Ale próbowałem. Nie martw się, już dawno skończyłem z udawanymi prysznicami.

Wróciła myślą do swojej kłótni z O'Neilem. Poczowała ucisk w żołądku i falę złości. Uświadomiła sobie, że Jon mówi coś jeszcze.

- Hm?

- Chciałem tylko powiedzieć dobranoc. - Pocałował ją w policzek.

- Dobranoc.

Obrócił się na bok i po kilku minutach zapadł w sen, a ona mogła mu tylko pozazdrościć.

Z uwagą wpatrywała się w sufit. Powiedziała sobie, że musi się rozluźnić. Ale cóż to za nedorzeczne polecenie?

Wciąż się zmagала z ważniejszym wnioskiem, który wynikał ze słów O'Neila, choć nie został wypowiedziany wprost. Gdyby zabrała broń, owszem, być może zatrzymaliby dzisiaj sprawcę z Solitude Creek. Może znalazłaby się bliżej drzwi i zobaczyła, że próbuje uciekać.

Jeżeli ktoś jeszcze zginie podczas następnego ataku, ta śmierć spadnie na jej barki.

Gdyby jednak wzięła pistolet i do centrali CBI dotarłaby informacja, że złamała procedury, to oznaczałoby koniec jej udziału w sprawie oraz - co ważniejsze - jej poufnej roli w sprawie Serrana. Nie była gotowa tego zrobić. Michael musiał to zrozumieć.

Tyle że, jak widać, nie rozumiał.

Też odwróciła się na bok, do mężczyzny obok niej, licząc na to, że szybko zaśnie. Zbliżał się świt, kiedy myśli splątane w półprzytomnej głowie wreszcie zasnuła pozbawiona snów ciemność.

# KLUB SEKRETÓW

NIEDZIELA, 9 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 54

Dostaliście wiadomość od TJ-a? Trop się sprawdził, jest namiar i trzeba zaraz jechać.

Te słowa zostały wypowiedziane przez Ala Stemple'a jak jedno zdanie, na jednym oddechu. Bez żadnego burknięcia. Wiedział, że nie jest znany z zamięłowania do pośpiechu, więc fakt, że ponaglał grupę specjalną do sprawy Guzman, znaczył: ludzie, nie marnujmy czasu.

W sali narad wojennych byli obecni Carol Allerton, Jimmy Gomez i Stephen Lu.

- Trop? - spytał Lu.

- Aha - burknął Stemple, patrząc na zegarek. - Trop do Tii Alonzo, laski Serrana. Allerton posłała mu znaczące spojrzenie.

Och, daj spokój...

- Gdzie? - pytał dalej Lu.

Stemple zastanawiał się, gdzie Lu kupuje ubrania. Nosił numer kołnierzyka nie większy niż trzydzieści dwa. Drobnutki. Biała koszula i czarne spodnie dosłownie na nim wisały.

- Barka mieszkalna w Moss Landing.

- Barka mieszkalna.

Przecież mówię, pomyślał Stemple.

- Jest z nią ktoś? - odezwał się Gomez.

- Nie, jest sama. Był jakiś facet, ale TJ mówi, że już wyszedł. - Ściszył głos. - Kathryn czeka na zewnątrz. Pojedzie z nami. No już, ciągnijcie zapałki. Jimmy?

- Pewnie, że jadę.

- Może pojedziemy wszyscy? - zaproponował Lu.

- Ktoś będzie mi tu potrzebny - sprzeciwiła się Allerton. - Muszę skończyć tę transkrypcję z Oakland. Prokurator chce ją mieć za dwie godziny, a sama nie zdążę.

- Jasne, mogę zostać - zaofiarował się Lu. - Chętnie pomogę.

To właśnie była cecha charakterystyczna Steve'a Dwa. Ktoś inny powiedziałby na jego miejscu: „Och, wręcz uwielbiam papierkową robotę. Nigdy nie mam jej dość”. Ale szczerłość stanowiła cechę wdrukowaną w niego na stałe.

Gomez narzucił beżową marynarkę, sprawdził glocka. Jak gdyby naboje wypadły

od ostatniego razu, kiedy go sprawdzał.

- Prowadź, Al.

Wyszli razem na parking.

Czekała na nich Kathryn Dance.

- Cześć - powiedział Gomez.

- Hej, Jimmy. - Skinęła głową. Podeszli do samochodu Stemple'a.

Rozglądając się, zapytała:

- Charles nie wie, że tu jestem, prawda? Jesteście pewni?

- Jeżeli wie, to nie od nas - zapewnił ją Gomez. - Nasza Fantastyczna Czwórka złożyła śluby milczenia. Zgodził się nawet Steve Foster. Potrafi być... zresztą sama wiesz.

- Wiem.

Mamy jasność w temacie, pomyślał Stemple.

Wsiedli do samochodu. Stemple uruchomił silnik i ruszył na zachód drogą numer sześćdziesiąt osiem, kierując się w stronę autostrady numer jeden, którą mieli się dostać do Moss Landing w ciągu dwudziestu minut.

- Kim jest ta Tia, z którą się mamy spotkać? - spytał Gomez. Po chwili: - Hej, prr!

Stemple nigdy nie zwracał większej uwagi na ograniczenia prędkości.

- Tia Alonzo - powiedziała Dance. - Kiedyś była tancerką egzotyczną.

- Cudowne. „Egzotyczną”.

- I oczywiście marzyła o karierze modelki. Serrano poznał ją na jakiejś imprezie no i, hm, imprezowali przez miesiąc czy dwa. Zerwali, ale od czasu do czasu się kontaktują. TJ dowiedział się, że ostatnio Tia dostała od Serrana parę wiadomości. Sprawdza teraz jej kartotekę, szuka haków, które można by wykorzystać, żeby ją nakłonić do współpracy. Ale niewykluczone, że pomoże nam bez zachęty. Z dobroci serca.

Teraz Stemple naprawdę burknął.

Prawdziwa barka mieszkalna.

Zapuszczona, ale Alowi Stemple'owi się podobała.

Przysadzista, bielona konstrukcja na pontonach miała około dwunastu metrów

długości i pięciu szerokości.

Nie miałyby nic przeciwko takiemu mieszkanku.

Moss Landing było ciągiem przystani, sklepów i restauracji, rozrzuconych wzdłuż piaszczystej drogi, która biegła równoległe do autostrady numer jeden. Barka stała przycumowana do ustronnej części nabrzeża. W czasach swojej świetności, gdy w zatoce roiło się od ryb, w latach Steinbecka, w porcie stały setki piętnasto- i dwudziestometrowych kutrów rybackich. Ale to dawne dzieje. Dziś można było zobaczyć jakiś statek wycieczkowy, parę jednostek rybackich - głównie do wynajęcia - a także, jak tu, nieliczne domy na wodzie.

Stemple zaparkował około dwudziestu pięciu metrów od barki. Troje agentów CBI wysiadło z samochodu i wolno szło w jej stronę. Na zarośniętym chwastami parkingu przed łodzią czy domem stała poobijana toyota.

- Tylko jeden wóz. Ale to nie znaczy, że jest sama. - Stemple ruszył na szybką inspekcję bezpieczeństwa. I wrócił. - Wygląda, że czysto.

Dance spojrzała na swój telefon.

- To TJ - poinformowała Gomeza. - Nie ma żadnego haka na Alonzo. Jest żółta kartoteka - czyny lubieżne, prostytutka, pijaństwo w miejscach publicznych. Wiele lat temu. Potem była już grzeczną dziewczynką.

- Czyli żadnych aktów przemocy.

- Nic. Ale musimy zakładać, że jest uzbrojona.

- A ty nie jesteś, prawda? - spytał Gomez.

- Nie jestem. Bądź blisko mnie, Jimmy.

- Och, będę.

- Al, nie obserwuj okolicy.

- Jasne.

Podeszli do barki, która nazywała się „Leń”. Nazwa nie spodobała się Stemple’owi. Nie była elegancka. Gdyby on miał barcę mieszkalną, nazwałby ją „Brylancik”. Nie, to kiczowate. „Dom Walecznych”. Właśnie. Coś w tym guście.

Niedaleko brzegu był falochron, więc nie wdzierały się tu wody zatoki Monterey, która czasem podnosiła bunt. Dzisiaj „Leń” kołysał się dość... leniwie.

Gomez zerknął na Dance, która skinęła głową i powiedziała:

- Chodźmy.

Przeszli po krótkim trapie na pokład, pomalowany szarą, łuszczącą się farbą. Gomez zapukał do drzwi.

Otworzyły się i weszli do środka.

Stemple obrzucił wzrokiem przystań, poprawił berettę na szerokim biodrze i założył ręce na piersi.

## ROZDZIAŁ 55

Piętnaście minut później Gomez, Stemple i Dance wracali samochodem do centrali.

Agentka zadzwoniła do grupy specjalnej i zgłosiła się Carol Allerton.

- Tu Kathryn. Jimmy i Al słyszą cię przez głośnik.

- Ty też jesteś na głośniku. Wrócił Steve Foster. Jest też Steve Dwa. - Humor nietypowy dla agentki DEA.

- Cześć, Steve, cześć, Steve - powiedziała Dance.

- Hej, Kathryn. - Powitanie zabrzmiało serdecznie, więc to musiał być Lu.

- Tak? - Szorstki głos. Czy Foster kiedykolwiek wypowiedział pogodnym tonem choć jedną sylabę?

- Właśnie wyjechaliśmy z Moss Landing - poinformowała ich Dance.

- No i? - mruknął Foster.

- Tia Alonzo nie widziała Serrana od miesiąca. Uwierzyłam, że mówi prawdę.

Foster milczał. Nie powiedział tego, co miał na końcu języka.

- Podała za to nowe nazwisko - ciągnęła Dance. - Pete albo Pedro Escalanza. TJ je sprawdzi. Facet na dziewięćdziesiąt procent zna miejsce pobytu Serrana.

- Trop tropu tropu - rzekł Foster z triumfalnym sarkazmem.

- Czyli rozmowa na barce była owocna? - odezwała się Allerton.

- Zgadza się.

- I nic ci się nie stało. Jimmy też jest cały?

- Wszystko gra - odezwał się Gomez.

- Tia mówiła, że ten Escalanza ma dostęp do niektórych kont Serrana. Jeżeli to dobrze rozegramy, być może uda się zdobyć numery jego kart kredytowych i śledzić go w czasie rzeczywistym.

- A być może znajdziemy następny trop - wtrącił Foster. - Miejmy jasność w temacie. Nie czuję się za bardzo uspokoiony.

Stemple zakasłał.

- Zrobiliśmy wszystko, co się dało, Steve - powiedziała Dance.

- Przekażę Charlesowi - rzekła Allerton.

- Dzięki. Zaraz będziemy. - Dance zakończyła rozmowę.



- Życie to cholerna partia warcabów - oznajmił Stemple. - Nie, szachów. Grasz w szachy, Jimmy?

- Nie. A ty?

- Aha. Gram w szachy.

- Naprawdę? - zdziwił się Gomez.

- Czemu „naprawdę”? Bo wyciskam sto czterdzieści kilo i mam minimalny rozrzut z piętnastu metrów - jeżeli strzelam z długiej lufy?

- Nie wiem. Po prostu nie wyglądasz na szachistę.

- Ludzie przeważnie myślą, że moje hobby to stepowanie.

Pół godziny później, o jedenastej, była już w biurze CBI i szła do gabinetu Overby'ego w towarzystwie TJ-a Scanlona.

Po drodze znów zajrzała do telefonu. SMS-y od matki, Bolinga. Od Maggie, niemądry i radosny - oczywiście dlatego, że darowano jej okrutną i niespotykaną karę w postaci śpiewania na szkolnym konkursie talentów.

Ani słowa od O'Neila.

Spodziewała się przeprosin? Przykre słowa, jakie od niego usłyszała, były podyktowane troską o jej bezpieczeństwo, ale uznała je za protekcyjne. Nie potrafiła przejść nad nimi do porządku.

Przypuszczała, że napięcie między nimi rozproszy się jak dym po ogniu, który buchnął i zaraz zgasł. Od czasu do czasu dochodziło do takich frontalnych starć. Mimo to mieli za sobą tak skomplikowaną przeszłość, osobistą i zawodową, że nigdy nie wiedziała, czy wybuch przerodzi się w ogień i rozprzestrzeni niczym pożar trawiący suchą, kłującą roślinność, jaka porasta ten stan. Niszczycielski, wręcz śmiertelny. Wiedziała, że nigdy nie będzie przygotowana na ostateczny i nieodwracalny rozdźwięk między nią a Michaeliem O'Neilem, bo po prostu nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Jeszcze raz zerknęła na ekran telefonu. Nic.

*Daj spokój...*

Stanęli w drzwiach gabinetu Overby'ego i szef gestem zaprosił ich do środka.

- Właśnie dowiedziałem się czegoś ciekawego. Dzwoniła do mnie policja z Oakland. W sprawie tego podpalenia.

Dance skinęła głową i wyjaśniła TJ-owi, że magazyn obserwowany w ramach operacji Kanał został puszczony z dymem przez jakiś gang.

- Ale okazuje się, że to nie sprawka gangsterów.

Dance w zdumieniu uniosła brwi.

- Najemnicy - oznajmił szef.

- Pracowali dla gangu - domyślił się TJ. - Który nie chciał sobie brudzić delikatnych rączek.

- Nie, nie pracowali dla gangu. Wyjechali już z kraju, ale zostawili po sobie trochę śladów. Zgadnijcie, gdzie mieli siedzibę. W Kalifornii Dolnej.

- I nie pracowali dla żadnego z meksykańskich karteli?

- Nie. Dla kogoś innego.

Dance zrozumiała.

- Proszę, proszę: wynajął ich Santos. On jest mózgiem.

- Bingo - odrzekł Overby.

Komendant Policji Federalnej z Chihuahua, Ramon Santos, który przed kilkoma dniami rozmawiał z Overbym, aby wyrazić swoje głębokie niezadowolenie z amerykańskiej reprezentacji uczestniczącej w operacji Kanał, która za mało robi, by powstrzymać napływ broni do jego kraju.

- Wziął sprawy w swoje ręce.

- Oddział DEA w Oakland skontaktował się ze swoimi ludźmi w Meksyku, a oni to potwierdzili.

Dance skrzywiła twarz w grymasie.

- Myślał, że niszczy źródło zaopatrzenia w broń? Strzelił sobie w stopę. Magazyn był świetnym źródłem informacji. Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, że przez zorganizowany przez niego mały pokaz fajerwerków śledztwo będzie miało jakiś miesiąc opóźnienia?

- Dowie się - odparł Overby - kiedy zadzwonię do niego po południu.

Cokolwiek powiedzieć o jego stylu, Overby doskonale łączył ze sobą poczucie sprawiedliwości i oburzenie.

- Czyli Santos ma ciekawe podejście do egzekwowania prawa - zauważył TJ. - Sam je łamie.

Zza pleców Dance dobiegł szelest papierów i kroki. Do gabinetu wszedł Michael

O'Neil.

- O, Michael.

- Cześć, Charles.

Spojrzała w jego stronę. Przywitał wszystkich skinieniem głowy.

- Dzień dobry.

- Dobra, pogadajmy o sprawcy z Solitude Creek - powiedział Overby. - Jak wygląda sytuacja?

O'Neil zerknął na Dance.

- Na razie zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, szukając jego hondy. Ale Jon Boling właśnie włamuje się do telefonu sprawcy. To może być tymczasowy aparat, z którego dzwonił do Sama Cohena, albo ten, którego użył pod Centrum Bay View, skąd dzwonił pod dziewięćset jedenaście i do restauracji na Fisherman's Wharf. A może jeszcze inny. Jon próbuje też dostać się do komputera Stana Prescottta - człowieka zamordowanego w Orange. Mamy nadzieję, że znajdziemy tam jakąś wskazówkę, dlaczego sprawca zadał sobie tyle trudu, żeby go zamordować. TJ? Coś nowego na temat Anderson Construction?

Młody agent przypomniał Overby'emu, że stara się namierzyć szefów firmy z Nevady, która zamówiła u Andersona jakieś prace budowlane w pobliżu Solitude Creek. Liczyli, że uda się znaleźć świadków.

- Na razie się nie kwapią, żeby się odezwać. Może nie chcą sobie przerywać błogiego weekendowego nieróbstwa. Jutro na pewno ich przycisnę. Cały czas rozmawiam z ludźmi, którzy tamtego wieczoru byli w klubie. Ale ciągle to samo. Żadnego tropu.

Overby pokiwał głową i spojrzał na O'Neila, gdy ten otwierał aktówkę i wyjmował teczkę.

- Raport z oględzin miejsca w Orange? - spytał Overby.

- Tak. Niewiele w nim jest. Trochę mikrośladów. Ślady butów, prawdopodobnie Louis Vuitton. W parku Global Adventure World mają dobry monitoring, ale kamery nagrały tylko moment, kiedy wjechał w bramę, a potem przeskoczył przez samochód i pobiegł w głąb parku. Policja przesłuchała setkę osób, ale nikt nie widział nikogo, kto by go przypominał.

- Paru detektywów z przestępczości zorganizowanej wzięło Prescottta pod bardzo

mocną lupę - dodał. - Rozmawiali z większością jego znajomych, szefów, współpracowników. Z jego wszystkimi kumplami z ciemnogrodu. Nie ma żadnych związków z naszym sprawcą. Przypadkowo wziął z sieci zdjęcie z Solitude Creek i dołączył do swojego tekstu.

- Czyli miał po prostu pecha, wybierając do wpisu atak naszego sprawcy - dorzuciła Dance.

- Kiedy zaczęły się rozchodzić plotki o zamachu - ciągnął O'Neil - z parku nadeszło prawie cztery tysiące wiadomości tekstowych i zgłoszeń telefonicznych. Część z nich prawdopodobnie pochodziła z jego telefonów na kartę. Ale okręg Orange nie może poświęcić wszystkich swoich ludzi, żeby sprawdzali każde połączenie i próbowali stworzyć listę podejrzanych telefonów.

- Wywołał cały ten chaos kilkoma telefonami? - zdumiał się Overby.

- Mniej więcej. Ale działał sprytnie. Rozsiewał też plotki w samym parku. A goście oczywiście tylko mu pomagali, pisząc SMS-y i tweety. Telewizja i media internetowe zauważyły wiadomość w ciągu paru sekund, a potem ludzie, których nie było w parku, zaczęli wysyłać wiadomości do członków rodziny, będących w środku.

Overby pokiwał głową.

- Reakcja łańcuchowa.

- Flash mob - podsumowała Dance. - Na żadnym z miejsc, ani w parku, ani w mieszkaniu Prescottta, nie ma odcisków palców na niczym, nawet na łuskach po pociskach. Nawet w samochodzie, który ukradł na lotnisku, żeby dojechać do miasta. - O'Neil wyjaśnił, że kradzież została dokonana byle jak, co wskazywało, że nie jest w tej dziedzinie profesjonalistą.

Ale zrobił to skutecznie, pomyślała.

Overby'emu zadrgał policzek.

- A więc nie ma nic oprócz telefonu.

- Znalazłem coś jeszcze - rzekł O'Neil. - Trudno powiedzieć, że mamy nowy trop, ale trzeba dorzucić do tego zlepek informacji o sprawcy.

- Co? - spytał TJ.

- Pamiętacie tamtą niezidentyfikowaną dziewczynę? - Rozłożył zdjęcia, które Dance już widziała. - Uduszoną. - Przypomniał im o sprawie zabójstwa, nad którą

pracował - atrakcyjna młoda kobieta została znaleziona w obskurnym motelu z plastikową torbą na głowie, zawiązaną gumką.

Nieszczęścia chodzą parami...

- Możliwe, że to był wypadek podczas seksu, do którego doszło za obopólną zgodą, możliwe, że to celowe zabójstwo. Pewności nie mamy. Ale mamy to. - Otworzył teczkę i wyjął fotografię. Przedstawiała kadr z zapisu kamery. Obraz był czarno-biały, ale wyraźnie pokazywał jasną hondę accord.

- Nie ma numerów rejestracyjnych. - Dance pokręciła głową.

Czasami jest łatwo. Nieczęsto. Na pewno nie teraz.

- Gdzie stał ten wóz?

- Ulicę dalej od motelu, w którym zginęła dziewczyna. Wysłałem paru ludzi, żeby sprawdzili okoliczne lokale oraz sklepy, i jeden z nich wrócił z tym. - Stuknął palcem w zdjęcie.

- A gdzie związek między jednym a drugim? - zapytał Overby.

O'Neil z głębi teczki wydobyl drugie zdjęcie z miejsca zdarzenia i położył obok fotografii uduszonej dziewczyny. Przedstawiało zwłoki Stana Prescottta.

Porównując ze sobą fotografie, Dance powiedziała:

- Jest w takiej samej pozie jak Prescott, przyczyna zgonu ta sama. Asfiksja. Oboje leżą na wznak. Obydwa zdjęcia są ostre: ofiary leżą w jasnym świetle lamp stojących obok.

- Po co miałyby ją zabijać? - zastanawiał się głośno Overby.

- Według oceny patologa zgon dziewczyny nastąpił mniej więcej tuż po tym, gdy Foster ujawnił informację o ubraniu sprawcy - podsunęła Dance. - Może widziała jego rzeczy - kurtkę roboczą z logo, którą miał na sobie pod Solitude Creek. Zorientował się, że mogłaby go zidentyfikować.

O'Neil:

- Prawdopodobnie dlatego nie miała przy sobie telefonu ani komputera, ani notesu, bo jakaś informacja mogłaby nas naprowadzić na jego ślad. Scenariusz wyglądałby tak: dziewczyna nie była stąd. Poznali się w barze, spędzili ze sobą noc czy dwie. Potem każde miało pójść w swoją stronę, ale on musiał ją zlikwidować.

- Ale dlaczego zabił ich w podobny sposób? - spytała Dance.

- Sadyzm? - zasugerował Overby.

Być może. Nie było to jednak najważniejsze pytanie, jakie w tym momencie stawiała sobie Dance. Myślała tylko o jednym: czy sprawca jest z powrotem w mieście i bierze na cel następne miejsce?

## ROZDZIAŁ 56

Antioch March myślał o Caliście Sommers.

Policja nadal nie znała jej nazwiska. W mediach mówiono o niej „niezidentyfikowana kobieta”. Ujawniono zdjęcie. Padła ofiarą albo morderstwa, albo jakichś dziwnych sadystycznych praktyk seksualnych.

Tak się złożyło, że właśnie mijał bar, gdzie ją poderwał na początku tygodnia.

Dla niej martini, dla niego sok ananasowy.

Żyłaby, gdyby nie okazała się na tyle bezczelna, by otworzyć jego szafę w poszukiwaniu szlafroka. Wstydlivość. To ją zabiło. Widziała strój, który miał na sobie pod Solitude Creek, kiedy przestawiał ciężarówkę, by zatarasować wyjścia awaryjne. Wtedy nie podano żadnego komunikatu, że widział go jakiś świadek - więc nie bardzo się tym przejął. Krótco potem, przed kinem, dowiedział się, że informacja dotarła do opinii publicznej. Wciąż nie mógł pojąć, dlaczego podano do wiadomości jego rysopis.

Przeciek z policji nie tylko uratował go przed kinem, ale także zakończył życie Calisty. Gdy tylko March wyszedł z McDonalda niedaleko kina, a chwilę wcześniej dowiedział się o agentce Dance, pojechał do motelu Calisty w Carmel. Miał nadzieję, że nie słyszała rysopisu podanego w radiu i telewizji. Okazało się, że nie. Jego widok mile ją zaskoczył. Zapytał ją, czy chce się przejechać. A kiedy byli w drodze, zaproponował: co powiesz na przygodę? W jakimś dyskretnym moteliku?

- Ty łobuziaku...

*Jesteś tak cholernie przystojny...*

A potem...

Przepraszam, Calisto.

- Nie, nie...

Wyobraził ją sobie leżącą na podłodze taniego, nędznego pokoiku, jak dygocze i umiera. Z plastikową torbą na głowie. Pięć, sześć minut i było po wszystkim.

Odłożył na bok to miłe wspomnienie i dalej jechał do miejsca, które znalazł przed kilkoma dniami, idealnego na następny atak: do sali bankietowej przy kościele.

Zdumiewała go liczba ludzi stratowanych na śmierć podczas uroczystości religijnych.

Mekka. Strzeżcie się Mekki.

Nie potrafił pojąć, jak ktoś mógłby zachować wiarę, słysząc o tylu ofiarach śmiertelnych. Ginęły tam tysiące ludzi.

Niebezpiecznie było też w Indiach, gdzie w jednym miejscu często gromadziły się setki tysięcy ludzi. Och, cóż mógłby zrobić z takim stadem...

Zobaczył przed sobą miejsce, które wcześniej oglądał. Na dzisiejszy wieczór zaplanowano tam wspólną kolację dla wiernych. Sala świetnie nadawała się do jego celów. Dwoje drzwi wyjściowych można zablokować zwykłym drutem florystycznym. Doskonale.

Tak się składało, że był to kościół afroamerykański. Na szczęście dla niego ktoś w okolicy wybrał takie właśnie obiekty mniejszości etnicznych. To znaczyło, że ludzie będą reagować paranoicznym lękiem i szybką ucieczką, czując zagrożenie.

Będą gotowi strzelać współwyznawców, żeby ocalić siebie.

Zamierzał wzniecić na zewnątrz niewielki ogień, tak jak zrobił w Solitude Creek. Powinno wystarczyć, jeśli dym przeniknie do środka. Wierni pomyślą, że neonaziści wrócili i mając dosyć prostackiego graffiti, postanowili zrobić coś poważnego. Doszczętnie spalić kościół. March przypuszczał, że to będzie...

Zaraz, co to?

Zbliżając się do budynku, ujrzał przed frontem billboard z ogłoszeniem.

*Wieczera z Jezusem przełożona na inny termin. Zapraszamy na nasze nabożeństwa w przyszłym tygodniu. Módlmy się za ofiary z Solitude Creek i Centrum Bay View.*

Westchnął. Chyba powinien to przewidzieć. Organizatorzy imprez w większych salach prawdopodobnie uruchomili automatyczną informację telefoniczną dla posiadaczy biletów i odwoływali przedstawienia i spotkania.

Ciekawe, czy stała za tym Kathryn Dance.

Może nie sama. Ale miała w tym swój udział.

Na pewno nie mógł jeszcze wyjechać z tych stron. Co więc robić? Przechytrzyć ich, przechytrzyć uroczą Kathryn. Hm, publiczne występy odpadały, sale przyjęć też. Być może odbywały się jeszcze wesela, ale prawdopodobnie organizowano je na świeżym powietrzu - sprzyjała temu pogoda.

Jakich miejsc się nie zamyka?



Kin, ale one nie wchodziły w grę. Po tamtej nieudanej próbie licznie odwiedzane multipleksy na pewno mają już ochronę, a nawet policjantów pilnujących sal.

Co jeszcze na pewno jest nadal czynne?

Chwileczkę. Warto pomyśleć nad tym: szefostwo nie zgodziłoby się na zamknięcie hoteli, zwłaszcza w sympatyczne niedzielne popołudnie, kiedy wszyscy wybierają się na późny lunch lub wczesną kolację.

Hotel albo zajazd... Tak.

Pomysły zaczynały nabierać kształtu. Świetnie, solidny plan.

Ale zamierzał go zrealizować dopiero po ukończeniu najpilniejszego zadania - sprawy, w której załatwieniu przeszkodził mu wyjazd do Orange po zdarzeniu w Bay View.

Zadanie polegało na tym, by utrudnić, wręcz zupełnie powstrzymać, pościg.

Szczególnie jedną ze ścigających go osób.

Uśmiechnął się. Szczególną osobę spośród nich.

Nie było lepszego słowa na określenie Kathryn Dance, o której zeszłej nocy wreszcie śnił cudowny sen.

## ROZDZIAŁ 57

Problem Kathryn Dance.

Tak Jon Boling zaczął nazywać w myślach tę sprawę. Określenie mogło mieć negatywną konotację, ale nie chodziło mu o nic takiego. Boling, który wyszedł ze środowiska akademickiego i zarabiał na życie w świecie komputerów, był analitykiem z natury.

Tej szarej, ponurej niedzieli jechał na rowerze Ocean Avenue, głównym traktem handlowym w Carmel, podczas gdy jego partnerka z college'u, Lily, pracowała nad złamaniem haseł Stanleya Prescottta i mordercy. Dopóki się z tym nie upora, on nie miał nic do roboty, więc wybrał się na przejażdżkę. Poza tym chciał załatwić sprawę, bardzo dla niego ważną.

Nie zwracał szczególnej uwagi na uroki krajobrazu, ale rozmyślał nad istotą Problemu KD.

Owszem, kochał ją. To nie ulegało wątpliwości. Ilekroć na nią spojrzeł, czuł charakterystyczny ucisk w żołądku. W każdej chwili umiał przywołać w pamięci zapach jej włosów, który wypełniał mu nozdrza, gdy leżeli obok siebie. Zobaczyć błysk jej zielonych oczu, usłyszeć serdeczny śmiech. Otwierali się przed sobą, bez wahania mówili o swoich słabościach. Pamiętał jej ból i sam go odczuwał, kiedy dochodziło do (tak uważała) najgorszego: nie udawało się jej złapać sprawcy. W takich chwilach otaczał Kathryn ramionami, a ona szukała w jego objęciach pociechy. I znajdowała. Do pewnego stopnia. To była miłość.

Zjeżdżał ze stromego wzniesienia. Tylko mnie teraz nie zawiedźcie, powiedział w duchu do hamulców. Długi odcinek drogi prowadził prosto w stronę skał i gęstego ruchu przy plaży. Zatrzymał się na skrzyżowaniu, po czym ruszył dalej.

Dzieci też pokochał. Wes i Maggie... Zawsze chciał zostać ojcem, ale się nie udało. Nie był to powód czarnej rozpacz, ale luka w życiu, którą postanowił szybko wypełnić. Przyznawał, że nie ma wrodzonych talentów rodzicielskich, ale bardzo się starał. I widział, że jego wysiłki nie idą na мамę. Kiedy poznał Kathryn, dzieci często bywały przygnębione, Wes bardziej, ale Maggie też. Rozumiał je, minęło niewiele czasu, odkąd straciły ojca. Jeszcze dziś czasami stawały się markotne i opryskliwe.

Ale przecież tak wygląda życie, prawda? Nastolatki i dorośli.

Głęboka uczuciowa więź z Kathryn, dobre stosunki z dziećmi... nawet budząca respekt Edie Dance trochę go polubiła. Oczywiście ze Stuartem połączyła go zażyła przyjaźń.

Coś jednak było nie całkiem w porządku. Stąd „problem”.

Czyli pewne kwestie wymagały rozważenia. Opracowania planu. Korekty. Rozwiązania.

Jon Boling nie znał się na kinezyce, ale dowiedział się od Kathryn wystarczająco dużo, by nauczyć się rozpoznawać napięcie. A kiedy było najbardziej widoczne? Nie wówczas, gdy angażowała się w śledztwo. Nie, gdy któreś z dzieci było chore. Ale wówczas, gdy ona, Boling i Michael O’Neil znaleźli się razem w jednym pokoju.

Zapisem kodu komputerowego, języka, którym Jon Boling posługiwał się najlepiej, kierują zasady logiki. Parametry są klarowne i nie pozwalają na żaden błąd w odstępach między znakami. Żałował, że nie może napisać programu do rozwiązania Problemu Kathryn Dance, skompilować go i ujrzeć pulsującej na monitorze odpowiedzi.

```
<!DOCTYPE html> <html>
```

```
<body>
```

```
<h1>Problem Kathryn Dance</h1>
```

```
<p> Kocham ją.</p>
```

```
<p>Kocham dzieci. </p>
```

```
<p>Wiele spraw układa się bardzo dobrze. </p>
```

Jon Boling bardzo lubił Michaela O’Neila. Detektyw był porządnym, godnym zaufania człowiekiem. Dobrym ojcem, którym pozostał po rozwodzie z niewierną i lekkomyślną żoną. Z tego, co mówiła Kathryn, wynikało, że jest też świetnym policjantem. Ale w kodzie, który Boling właśnie pisał, należało uwzględnić jeszcze jeden czynnik.

```
<p>Michael O ’Neil kocha Kathryn. </p>
```

Na płaskim odcinku ulicy zatrzymał się na chodniku. Napisał wiadomość do wydziału informatyki na college’u, gdzie Lily ciężko pracowała nad komputerem Stana Prescottta i telefonem sprawcy. Lily, nawet ładna. I inteligentna jak diabli.

Żadnych postępów. Ale Boling był przekonany, że Lily znajdzie hasła.

Wrócił do Problemu. I wielkiego pytania: czy Kathryn kocha Michaela?

Przez wiele nocy nie mógł zasnąć, rozmyślał, próbując przypisać znaczenie jej słowom, spojrzeniom, gestom, rozmyślał bez końca... i odtwarzał w myślach pewne obrazy i słowa z zeszłego roku. Promienny blask jej oczu, uniesione w uśmiechu kąciki ust, obrysowane delikatnymi, uroczymi zmarszczkami.

Przypomniał sobie podsłuchaną poprzedniego wieczoru kłótnię między nią a O'Neilem. Zazartą. Doszło do wymiany ostrych słów. Kiedy weszła do domu, zobaczył, jak twarz się jej zmienia, mięknie, łagodnieje i wraca na nią spokój. Boling i Dance śmiali się, jedli indyka przetworzonego w inne, nowatorskie danie, sałatkę, pili wino. A ciężki dzień w okręgu Orange i ciężkie słowa, które padły z ust Michaela O'Neila, odpłynęły w zapomnienie.

*<p>Czy Kathryn i Jon mają przed sobą przyszłość?</p>*

Zatrzymał się przed sklepem, do którego jechał, pokonując rowerem ponad piętnaście kilometrów. Jak większość sklepów i domów w Carmel ten balansował na granicy między oryginalnością a pretensjonalnością. Wystrój był utrzymany w stylu bawarskiego miasteczka narciarskiego, spotykanym tu dość często, choć Boling podejrzewał, że śnieg padał tutaj najwyżej raz na dziesięć lat.

Odpiął owalny kask i powiesił go na kierownicy. Oparł rower o płot. Nie zawracał sobie głowy zamykaniem blokady. Nikt nie ukradnie roweru w biały dzień w centrum Carmel. Przypominałoby to próbę zorganizowania targów broni w Berkeley.

Zrobił rozeznanie na temat sklepu jubilerskiego By the Sea Jewelry, do którego właśnie zmierzał. Mieli dokładnie to, czego szukał. Zerkając na piękne stylowe pierścionki i obrączki na wystawie, wszedł do środka. Drzwi otworzyły się z brzękiem krowiego dzwonka, który wydawał się równocześnie niedorzeczny i wyjątkowo trafny.

Pięć minut później był z powrotem na ulicy.

*<p>Czy Kathryn i Jon mają przed sobą przyszłość?</p>*

Boling otworzył firmową torebkę ze sklepu i zajrzał do pudełeczka. Świetnie. Wsunął ją do kieszeni kurtki. Uświadomił sobie, że się uśmiecha.

Włożył kask. Czas w drogę.

Miał kilka tras do wyboru, by dostać się do domu Kathryn. Krótsza prowadziła z powrotem przez Ocean Avenue. Tam jednak czekała go mozolna wspinaczka, przeznaczona raczej dla ud dwudziestolatka. Mógł wybrać inną, dłuższą drogę, zjeżdżając w stronę plaży, a potem krętą Seventeen Mile Drive do Pacific Grove.

Ładniej i znacznie łatwiej.

Zerknął na zegarek. Tędy dotrze do Dance w ciągu trzydziestu minut. Kiedy odwrócił rower w stronę stromego zjazdu, mignęły mu w oddali ocean, plaża i skały otulone mgłą.

Co za widok.

Ruszył, używając w drodze przede wszystkim tylnego hamulca - spadek był tak duży, że gdyby wcisnął tylko przedni, wyleciałby jak z procy na łeb na szyję. Zdawało mu się, że tył reaguje wolno i koło zaczyna lekko drżeć. Zachowywało się inaczej niż w drodze do sklepu, zaledwie parę minut temu. Przyczynę widział w nierównym asfalcie na tym odcinku drogi. A może tylko wyobraźnia płatała mu figle. Nie miał przed sobą żadnych pojazdów, więc puścił hamulce. Nabierając szybkości, rozkoszował się podmuchem wiatru, gdy smagał mu twarz i szumiał we wnętrzu kasku. Myślał o torebce tkwiącej w jego kieszeni.

*<p>Problem Kathryn Dance został rozwiązany.</p>*

*</body>*

*</html>*

## ROZDZIAŁ 58

Dance i jej ojciec siedzieli na Tarasie. Było ciepłe niedzielne popołudnie, przyjemne, choć niebo dla odmiany zasnuwały szare chmury, a mgła zniknęła. Miejscowi potrafili to odróżnić. Na niebie nad półwyspem często pojawiały się zwiastuny deszczu, ale nie należało w to wierzyć. Z roku na rok była coraz gorsza susza. Dance dowiedziała się na przykład, że Solitude Creek, rzeczka, miała kiedyś głębokość dwóch i pół, trzech metrów. Dziś nie więcej niż jedną czwartą tego. W niektórych miejscach mniej.

Pomyślała o trzcinie i trawach, o rozpadających się budynkach za parkingiem nad brzegiem rzeczki.

O zapłakanej Annette, świadku.

O Trish, osieroconej przez matkę.

O ciałach w klubie, o krwi. O plamie w kształcie serca.

*Miała prawdziwy talent...*

Ujrzała w wyobraźni Solitude Creek, szarą wstęgę wody okoloną trzcina i trawami.

Właśnie w tym momencie przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Przepraszam na chwileczkę - powiedziała do Stuarta.

- Oczywiście, kochanie.

Wyjęła telefon i napisała wiadomość do Reya Carreneo, powierzając mu jeszcze jedno zadanie.

Odpowiedział zwięźle i konkretnie.

*OK, Kathryn. Już się zbieram.*

Odłożyła telefon.

- Kiedy będzie podwieczorek? - zapytała Maggie, wystawiając głowę zza drzwi.

- Jon powinien zaraz wrócić. - Spojrzała na tarczę timeksa. Boling miał już dziesięć minut spóźnienia. I nie zadzwonił, co było nie w jego stylu.

- Okay. - Dziewczynka zniknęła.

Rozległ się sygnał telefonu.

Może to on. Jednak nie.

- Cześć, TJ.

Razem z kilkoma zastępcami szeryfa systematycznie kontaktował się z organizatorami spektakli, występów i dużych imprez, prosząc o ich odwołanie.

- Chyba udało się obskoczyć wszystkich większych graczy. Koncerty, nabożeństwa, mecze, imprezy sportowe - chwała Bogu, że to nie koszykówka ligi NCAA, bo mielibyśmy zamieszki na ulicach. Nawiasem mówiąc, szefowo, nie należę do najpopularniejszych osób na półwyspie - w oczach Izby Handlowej i części organizatorów wesel jestem wręcz persona non grata. Robertsonowie nie zaproszą mnie na przełożone przyjęcie.

Dance podziękowała mu i się rozłączyła.

- Co słyhać? - spytał Stuart.

Wzruszyła ramionami.

- Psuję ludziom niedzielę.

- No i co, Maggie nie będzie śpiewać na konkursie talentów?

- Nie, nie chciała. Zamierzałam ją przekonać, ale... - Znow wzruszyła ramionami.

Stuart się uśmiechnął.

- Czasami lepiej dać spokój.

Uświadomiła sobie, że rada ojca stała się jej mottem kilku ostatnich dni.

- Kiedy podwieczorek? - zawołał od drzwi Wes, wtórując siostrze. Kathryn zerknęła na telefon. Wciąż żadnych wiadomości od Bolinga.

- Zaraz zaczynamy.

Razem ze Stuartem poszli do kuchni. Zaparzyła kawę z kapsułek i przejrzała zawartość lodówki.

Zerknęła na syna.

- Żadnego esemesowania przy stole.

- Przecież jeszcze niejemy.

Wystarczyło spojrzenie mamy, by komórka zniknęła w tylnej kieszeni.

- Co jest na liście życzeń na dziś?

Maggie:

- Gof...

- ..ciastka - wtrącił brat.

- Gofciastka. Dobrze.

Maggie nalala sok pomarańczowy i wypila łyk.

- Kiedy zamierzasz wyjść za mąż? - spytała tonem ojca zwracającego się do córki w ciąży.

Stuart zachichotał.

Kathryn zamarła.

- Jestem za bardzo zajęta, żeby myśleć o małżeństwie.

- Same wymówki... Wyjdiesz za Jona czy za Michaela?

- Co? Maggie!

Nagle zadzwonił telefon. Odebrał Wes, który był najbliżej.

- Halo?

Nie wolno im się było przedstawiać imieniem ani mówić: „dom Kathryn Dance”.

Tam, gdzie mieszka stróż prawa, ochrona działa jeszcze przed progiem.

- Jasne. - Popatrzył na siostrę. - Do ciebie. Bethany.

Maggie wzięła bezprzewodowy aparat i oddaliła się od rodziny. Kathryn sprawdziła komórkę. Wciąż żadnej wiadomości od Jona. Zadzwoniła do niego i od razu połączyła się z pocztą głosową.

- Hej, to ja. Jesteś już w drodze? Chciałam tylko spytać.

Rozłączyła się i przypadkiem zerknęła w stronę córki rozmawiającej przez telefon. Bethany Meyer, przyszła sekretarz stanu, była nad wiek rozwiniętą jedenastolatką, całkiem grzeczną, choć Dance uważała, że jest nieco przekombinowana. Jej zdaniem dzieci w tym wieku powinny na ogół nosić dzinsy i T-shirty, a nie ubierać się co dzień jak na casting filmowy. To prawda, że miała zamożnych rodziców, ale topili za dużo pieniędzy w strojach dla córki. A ten nienaganny makijaż? U dziewczynki w tym wieku? Jednym słowem -nie.

Zauważyła, jak raptownie zmieniła się mowa ciała Maggie. Jej ramiona się uniosły, a głowa lekko opadła. Kolano wysunęło się do przodu - znak podświadomego, a nawet fizycznego pragnienia ucieczki albo walki. Dostała wiadomość, która wzbudziła w niej niepokój. Maggie rozmawiała jeszcze chwilę, po czym się rozłączyła. Wróciła do kuchni.

- Wszystko dobrze, Mags?

- Tak. Czemu? - Nerwowo.

Matka popatrzyła na nią surowo.



- Znaczy się wszystko w porządku.
- Uważaj na to „znaczy się”. Co ci mówiła Bethany?
- Nic. Takie tam.
- Nic?
- Mhm.

Kathryn zmierzyła ją wnikliwym spojrzeniem, które zostało ostentacyjnie zignorowane, po czym zaczęła gromadzić składniki posiłku.

- Chcecie borówki?

Maggie nie odpowiedziała.

Dance powtórzyła pytanie.

- Aha, pewnie.

Kathryn zastosowała sprawdzoną taktykę odwracania uwagi.

- Słuchajcie, cieszycie się na koncert? Neila Hartmana?

*Nowego Dylana...*

- Chyba tak - odparła Maggie bez zbytniego entuzjazmu.

Zerknęła na Wesa, który z kolei ukradkiem spoglądał na ekran swojego telefonu. Szybko go schował.

- Tak, pewnie... nie mogę się doczekać. - Z większym zapalem, ale i bardziej rozkojarzony. W każdym razie Kathryn cieszyła się na myśl zobaczenia Hartmana na scenie. Odnotowała w pamięci, żeby sprawdzić na biletach, jakie mają miejsca. Koperta od Kayleigh została w schowku nissana.

Po chwili Wes zapytał:

- Mamo, mogę iść zobaczyć się z Donniem?
- A podwieczorek?
- Mogę pójść do Starbucksa? Proszę, proszę... - Był wesoły do przesady.

Po chwili wahania wyjęła z torebki pięć dolarów i podała mu.

- Dzięki.
- Mogę też iść? - odezwała się Maggie.
- Nie - uciął Wes.
- Mamo!
- Kochanie, chcę z tobą zjeść podwieczorek - powiedział Stuart.

Maggie posłała bratu ponure spojrzenie i odrzekła:

- Dobrze, dziadku.

- Pa, mammo - powiedział Wes.

- Zaczekaj!

Stanął i popatrzył na nią z cieniem lęku na twarzy.

- Kask. - Pokazała.

- A. - Popatrzył na niego. - Idziemy pieszo. Ciągle mam gumę w rowerze.

- Będziecie szli aż do centrum?

- Aha.

- W porządku.

- No. Pa, dziadku.

- Tylko nie bierz dodatkowego espresso - poradził Stuart. - Pamiętasz, co się stało ostatnim razem.

Kathryn nie słyszała o tym incydencie. I nie chciała nic o nim wiedzieć.

Drzwi się zamknęły. Zaczęła znów dzwonić do Bolinga, ale zauważyła, że Maggie wciąż ma zmartwioną minę.

- Wynudziłabyś się z nimi.

- Wiem.

Dance zaczęła coś mówić, próbując obrócić wszystko w żart, kiedy zadzwonił jej telefon. Odebrała.

- Michael?

- Posłuchaj. Być może mam naszego sprawcę z Solitude Creek. Policjant z Pacific Grove zauważył srebrną hondę accord pod Del Monte View Inn.

Znała duży luksusowy hotel, nienależący do żadnej sieci. Znajdował się niedaleko jej domu.

- Wóz stoi zaparkowany zaraz za budynkiem. Kierowca był wysoki. Miał ciemne okulary. 1 czapkę, chociaż może mieć ogoloną głowę. Roboczą kurtkę. Jest teraz w środku.

- Numer rejestracyjny?

- Z Delaware. Ale posłuchaj tego. Wóz jest zarejestrowany na sieć spółek słupek, w tym jedną zagraniczną.

- Naprawdę? Ciekawe.

- Wysłałem na miejsce ludzi. Mają podjechać bez syren.

- Znasz ten hotel? Ma dwa parkingi. Powiedz swoim zespołom, żeby zebrały się na dolnym parkingu.

- Już im powiedziałem - odparł.

- Za dziesięć minut, Michael. Już jadę.

Odwróciwszy się do ojca i córki, zobaczyła, że Stuart już stał i czytał przepis na pudełku mieszanki do gofrów Bisquick.

Roześmiała się. Wyglądał poważnie, jak inżynier, który za chwilę ma uruchomić reaktor jądrowy.

- Dzięki, tato. Kocham was oboje.

## ROZDZIAŁ 59

Idąc do Starbucksa spotkać się z Wesem, Donnie Verso rozmyślał o ich przyjaźni.

Chłopak różnił się od Nathana, Lanna, Vince'a czy Petera. Nie można było na nim aż tak polegać. I czasem zdarzało się, że nie myślał tak, jak powinien, jeżeli chciał należeć do ekipy Wywiadu i Neutralizacji. Nie wyciszył telefonu, który ostrzegł tamtą cholerną policjantkę, kiedy Donnie właśnie miał jej rozwalić czaszkę i zabrać broń. Twój telefon, stary? Poważnie? (Potem uznał, że chyba dobrze się stało).

Jasne, sprawdzał się jako wsparcie, sprawdzał się na czatach - parę razy uratował Donniemu tyłek, ostrzegając go, że ktoś zaraz może zobaczyć, jak robi graffiti na kościele albo kradnie zegarek w drogerii Rite Aid.

Ale Donnie nie potrafił skłonić Wesa, żeby zrobił jeszcze jeden mały krok.

A było widać, że Wes chciał to zrobić. Był wściekły. O, tak. Totalnie wściekły. Wkurzony na swojego ojca za to, że nie żył, tak samo jak Donnie był wkurzony na swojego za to, że żył. Taka złość zwykle dość szybko pcha człowieka na ciemną stronę. Ale koleś ciągle miał opory.

Donnie nie wątpił, że chłopak potrafi to zrobić, jeżeli zechce, mimo że znali się dopiero od miesiąca. Od czasu do czasu widywał dwunastoletniego Wesa w szkole i nie zwracał na niego uwagi. Święto-jebliwiec? Możliwe. Należy do kółka naukowego? Możliwe. Donnie mógłby mu spuścić łomot (razem z Nathanem, bo Wes nie był chuchrem). Ale w szkole były inne, łatwiejsze cele.

Myślał o dniu, gdy pierwszy raz zaczęli ze sobą gadać. Kiedyś po szkole Donnie i Nathan dopadli przy Asilomar jednego mięczaka z podstawówki i trochę mu wpieprzyli, nic poważnego. Bijąc go, Donnie uniósł głowę i zobaczył Wesa, który stał niedaleko i patrzył; jakby był tylko ciekawy, nic więcej.

Przyglądał się chwilę, a potem popedałował dalej, nie za szybko, bez strachu, na totalnym luzie.

Następnego dnia w szkole Donnie przyparł go do muru i zapytał:

- Na kogo się, kurwa, wczoraj gapieś?
- Na nikogo szczególnego - odparł Wes.
- Wal się - rzucił Donnie. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

- Jak komuś powiesz, co widziałeś, masz przejebane.
- Mogłem powiedzieć, ale nie powiedziałem - skwitował Wes.
- Bo byłąś w pudle, a nie tutaj, co nie?
- Spierdalaj.

Wes odszedł, tak samo powoli jak poprzedniego dnia, odjechał rowerem.

*Luzik...*

Parę dni później podszedł do Donniego w korytarzu i dał mu Hit-mana, grę, w której można rozwalać ludzi, zabijać ich na zlecenie, nawet dusić dziewczyny.

- Mama nie pozwala mi w to grać. Ale to spoko gierka. Chcesz? Tydzień później, kiedy Wes siedział przed szkołą, Donnie podszedł do niego.

- Nie mogłem w to zagrać, nie mam Xboxa, ale mam *Cali of Duty*. Wymieniłem się w Games Plus. Chcesz kiedyś zagrać?

- W to mama też mi nie pozwoli grać. Ale u ciebie, czemu nie? Dopiero po paru tygodniach gier, pizzy i wspólnego włączenia się po mieście Wes powiedział:

- Mój ojciec nie żyje.

Donnie, który dowiedział się o tym wcześniej, odparł:

- Aha, słyszałem. To kicha.

Przez następny tydzień nic więcej. Potem Donnie przysiadł się do niego w stołówce, gadali trochę o pierdołach, potem zapytał:

- Słyszałem, że twój stary był w FBI. Ktoś go zabił?

- To był wypadek.

- Samochód?

- Ciężarówka.

Wes mówił spokojnie jak matka Donniego, kiedy wzięła swoje białe tabletki.

- Chcesz wjechać temu kierowcy?

- Aha, ale już go tu nie ma. Zresztą w ogóle tutaj nie mieszkał.

- Szkoda, że nikt nie przejechał mojego ojca. Nie masz czasem ochoty czegoś rozjechać?

- Aha, wysadzić w powietrze - odpowiedział Wes. - A mama chodzi z jednym gościem. Informatykiem. Całkiem spoko facet. Pisze zarabiste kody. Ale normalnie to tak wygląda, jakby mój tato nigdy nie istniał. A ja nic nie mogę powiedzieć.

- Bo tak dostaniesz w dupę, że nie będziesz mógł usiąść.

- Wysadzić w powietrze - powtórzył tylko Wes.

Gadali jeszcze trochę i wreszcie Donnie wtajemniczył go w grę Oddziały Wielozadaniowe Wywiadu i Neutralizacji. Potrzebował partnera, bo Lann, złamas jeden, właśnie się wyprowadził.

Donnie, który wiele godzin dziennie spędzał na grach komputerowych, sam wymyślił grę. Oddziały Wielozadaniowe Wywiadu i Neutralizacji. Ale między sobą używali skrótów, który był jej prawdziwą nazwą: WzWN. Czyli WYZWANIA.

Donnie i Wes byli po jednej stronie, a po drugiej Vincent i Nathan. Jeden zespół rzucał drugiemu wyzwanie, żeby zrobił coś totalnie popieprzonego: ukradł coś, zrobił zdjęcia dziewczynie pod spódnicą, nasikał na scenariusz lekcji nauczyciela. Ten, kto wykonał zadanie - i pokazał na to jakiś dowód - dostawał punkt. Pod koniec miesiąca wygrywał zespół, który zdobył więcej punktów. Zapisywali wyniki jak w grze planszowej, używając fikcyjnych nazw państw, imion i kryptonimów - Darth i Wolverine - żeby rodzice, przyglądając się grze, pomyśleli, że to coś w rodzaju *Władcy pierścieni* albo *Harry'ego Pottera*.

Z początku Wes nie był przekonany, czy chce w to wejść. Kumple Donniego nie bardzo mu pasowali. Ale Donnie widział, że jest zaintrygowany, i po pierwszych dwóch wyzwaniach, mimo że tylko zabezpieczał Donniemu tyły, było jasne, że to go kręci. Tak jak wtedy w Asilomar prawie się uśmiechał, patrząc, jak Donnie i Nathan tłuką małego kwękającego Latynosa.

Ale czy wreszcie się przełamie? - pomyślał znowu Donnie Verso.

Wszedł do Starbucksa, zamówił kawę i usiadł obok Wesa, który pisał wiadomość. Uniósł wzrok, kiwnął głową i schował telefon.

- Hej.

Przybili żółwia.

Przez następne dziesięć minut rozmawiali szeptem o tym, jak się dostać do garażu Goldszwanca i odzyskać swoje rowery. Wes uważał, że rozsądniej będzie nie robić tego tylko we dwójkę, ale wziąć do pomocy Nathana i Vincenta.

Donnie uznał, że to nie jest zły pomysł.

Kilka minut później Wes powiedział:

- Słyszałem, że Kerry i Gayle będą w Foster's. Chcesz tam iść?

- Jest z nimi Tiff?

- Nie wiem. Słyszałem tylko, że Kerry i Gayle.

- Okay. Chodźmy.

Wyszli i skręcili na północ, w stronę starego domu towarowego, który teraz był restauracją - przynajmniej na parterze.

Kiedy minęli jedno skrzyżowanie, Donnie zaśmiał się i klepnął Wesa w ramię.

- Ty, patrz, kto idzie.

Ten palant, Rashiv. Przed paroma dniami wspomniała o nim pani Dance. Donnie i jego kumple z WYZWAŃ spuścili mu łomot jakieś sześć tygodni temu. Donnie nie bardzo wiedział za co, może dlatego, że Rashiv nie był nawet demokratycznym obywatelem USA i powinien wracać tam, skąd przyjechał, do Syrii, Indii czy gdzie indziej. W każdym razie trochę mu dołożyli, spuścili mu spodnie i wrzucili torbę z książkami do wody przy Lovers' Point, bo uznali, że tak należy zrobić.

A teraz znalazł się przed nimi.

Spojrzał na nich z przerażeniem w oczach i zobaczył, że Donnie i Wes zmierzają prosto do niego. Byli na Lighthouse Avenue, głównej ulicy handlowej w Pacific Grove, mieli wokół siebie mnóstwo ludzi, więc chłopak nie przypuszczał, że dostanie po tyłku, mimo to wyglądał, jakby miał porządnego stracha.

- Siemasz, koleś - powiedział Donnie.

Rashiv skinął głową. Był strasznym chudzielcem.

- Co porabiasz?

Wzruszenie ramion.

- Nic. - Szukał schronienia, tak na wszelki wypadek, gdyby jednak Donnie postanowił mu przyłożyć, nawet w takim tłumie.

Wes patrzył na niego z obojętną miną.

- Cześć, Wes.

Wolverine nie odpowiedział.

- Dawno cię nie widziałem - ciągnął Rashiv. - Dzwoniłem.

- Byłem zajęty.

- A ty też byłeś zajęty, Raszmatto? - Dziwne, że pytanie może brzmieć równocześnie życzliwie i groźnie.

- Aha. Trochę. Szkoła, rozumiecie.

- Co to? - Wes patrzył na książkę, którą chłopak miał w rękach.

- Taka tam manga.

- Pokaż.

- Nie...

Wes zabrał mu książkę. Zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Japońskie wydanie Notatnika śmierci - z podpisem Ohby.

Kurde, pomyślał Donnie. Ja pierdykam. Jeden z najlepszych, najbardziej zajebistych komiksów mangi wszech czasów. Na dodatek podpisany przez autora?

- Myślałem, że brandzlujesz się przy *Czarodziejce z Księżycy* - powiedział.

*Notatnik śmierci* opowiadał o uczniu szkoły średniej, który dzięki tajemniczemu notesowi ma moc zabijania każdego, jeżeli zna jego nazwisko i twarz. Kurwa, to była najlepsza, najbardziej megaczadowa manga na świecie.

Wes przejrzał komiks.

- Pożyczę sobie.

- Zaraz! - krzyknął Rashiv z popłochem w oczach.

- Tylko przeczytam.

- Nie, nie przeczytasz! Nigdy mi go nie oddasz. Rodzice przywieźli mi go z Japonii! - Wyciągnął rękę i złapał Wesa za ramię. - Nie! Proszę!

Wes odwrócił się i spojrzał na niego tak, że nawet Donnie poczuł lodowaty dreszcz na plecach.

- Zabierz łapy. Bo wiesz, co ci zrobimy? - Pokazał głową na Donniego. - Totalnie cię rozjebimy.

Chłopak opuścił rękę i patrzył żalnym wzrokiem na Donniego i Wesa, którzy oddalali się bez pośpiechu, popijając kawę.

Słyszając to - *totalnie cię rozjebimy* - Donnie wiedział już, że Wes stał się jednym z nich.



## ROZDZIAŁ 60

Nissan pathfinder Dance pędził po stromym odcinku drogi numer sześćdziesiąt osiem, przechylając się na boki.

To nie był najlepszy pojazd do takich manewrów.

Kierująca też nie okazała się mistrzynią w ich wykonywaniu.. Kathryn Dance miała liczne talenty, lecz nie należała do nich jazda samochodem.

- Gdzie jesteś, Michael?

- Za dwadzieścia minut będę na miejscu. Jest tam już radiowóz. Akurat w pobliżu była drogówka.

- Będę za trzy minuty.

Ej, spokojnie - lekki poślizg i ryk klaksonu. Wolno trąbić na wielkiego nissana SUV-a, kiedy przekracza oś jezdni i wjeżdża na twój pas, nawet jeżeli ma na desce rozdzielczej migającego koguta. Rzuciła telefon na fotel obok. Przestań się wygłupiać.

Nissan wpadł na dolny parking hotelu i gwałtownie skręcił w stronę człowieka ubranego, jak każdy funkcjonariusz drogówki, w nienagannie odprasowany mundur, stojącego obok policjanta z Pacific Grove, którego Dance znała.

- Cześć, Charlie.

- Hej, Kathryn.

- Agentko Dance - powiedział funkcjonariusz drogówki. - Odebrałem komunikat. To jest podejrzany z Solitude Creek?

- Tak przypuszczamy. Gdzie on jest?

- Wszedł do środka, gdy tylko zaparkował wóz - wyjaśnił Charlie. - Na pewno mnie nie zauważył.

- Gdzie samochód?

- Chodź za mną.

Ruszyli ścieżką biegnącą między sosnami i sukulentami. Zatrzymali się za rozłożystym krzewem.

Srebrna honda stała niedaleko rampy załadunkowej na tyłach dużego budynku z kamienia i szkła, który mieścił około dwustu pokoi. Hotel słynął z doskonałej restauracji, zwykle w niedziele była licznie oblegana przez gości. Dance i Bill kilka

razy spędzali tutaj romantyczny weekend przerywany pracą, podczas gdy dzieci zostawały u Stuarta i Edie.

Pod hotel podjechały cicho dwa następne radiowozy z trzema zastępcami szeryfa. Dance przywołała ich gestem. Pojawił się jeszcze jeden samochód. O'Neil. Wysiadł i szybko pokonał ścieżkę, stając obok kolegów.

- Tam jest wóz - pokazała Dance.

O'Neil spojrzał na nią, po czym zwrócił się do pozostałych:

- Jeżeli coś tu podłożył - ładunki zapalające, granaty hukowo--błyskowe - prawdopodobnie żadna z tych rzeczy nie stanowi bezpośredniego zagrożenia życia. To go nie podnieca. Jego broń to panika, chce, żeby ludzie nie mogli się wydostać na zewnątrz i tratowali się nawzajem. Musicie powiedzieć ludziom, że nie ma niebezpieczeństwa. Mogą was nie słuchać. Nie będą chcieli. Ale musicie spróbować.

- Pamiętajcie, że pod Bay View był uzbrojony. Dziewięć milimetrów. Sporo amunicji.

Po kolei wchodzili do budynku.

Właśnie w tym momencie coś buchnęło, niezbyt głośno, i honda zaczęła się palić. W ciągu paru sekund rozszalał się potężny ogień. Urządzenie zapalające, cokolwiek to było, znajdowało się w bagażniku. Bezpośrednio nad zbiornikiem paliwa. Dance przypuszczała, że sprawca wywiercił albo wybił w nim otwór, by przyspieszyć pożar.

Zauważyła, że dym jest wciągany do systemu wentylacji klimatyzacji, tak samo jak w Solitude Creek.

- Drzwi wyjściowe - pewnie je zadrutował. Otwórzcie je, natychmiast! Wszystkie!

## ROZDZIAŁ 61

Zawsze to samo, pomyślał sanitariusz.

Dwie windy w tej części szpitala Monterey Bay na ogół były niezawodne. Ale akurat kiedy przyjeżdża kobieta z coraz częstszymi skurczami, winda numer jeden nie działa.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszał ją trzydziestopięcioletni pracownik szpitala. Obrócił ku niej życzliwą twarz, patrząc spod kędzierzawej grzywki.

- Au, au, au. Dziękuję. Mój mąż już jedzie. - Syknęła. - Oj, boli. Sanitariusz miał dyżur od piątej rano. Był wykończony. Niedziela dla prawie wszystkich jest dniem odpoczynku - ale nie dla szpitalnego personelu. Popchnął wózek trochę bliżej drzwi, przez grupkę ośmiu czy dziewięciu gości i medyków czekających na windę. Nie przypuszczał, by miał jakieś kłopoty z wejściem. Przecież oni nie rodzili.

Blondynka pod trzydziestkę obficie się pociała. Sanitariusz ucieszył się na widok obrączki na jej palcu. Był staroświeckim człowiekiem. Kobieta skrzywiła się z bólu.

No, jedź, powiedział w duchu do windy. Zerknął na wyświetlacz. Pierwsze piętro. Jedź.

- Gdzie jest pani mąż? - Uspokajał ją rozmową.

- Na rybach.

- A co łowi?

- Au, au, au... Łososie.

Czyli wypłynął wędkować na łodzi do wynajęcia. Minimum cztery godziny. Zwariował? Kobieta wyglądała, jak gdyby miała lada chwila pęknąć.

Uniosła wzrok.

- Mam dwa tygodnie do terminu.

Sanitariusz uśmiechnął się.

- Mój syn urodził się dwa tygodnie po terminie. Do dzisiaj ciągle się spóźnia.

- Córka. - Ruchem głowy wskazała ogromny brzuch. I wydała kolejny zestaw stęknień i westchnień.

Winda, nareszcie. Otworzyły się drzwi i na korytarz wysypali się ludzie.

- Jak cały tłum klaunów wysiadających z jednego samochodu w cyrku.

Kobieta ze skurczami porodowymi nie zaśmiała się. Trudno. Ale udało mu się wywołać uśmiech na twarzy pielęgniarki i starszego małżeństwa, które trzymało balon z napisem: „TO CHŁOPIEC!!!”.

Kiedy kabina windy opustoszała, jedna osoba przepchała się pierwsza - lekarz, rzecz jasna. Potem sanitariusz wprowadził wózek z pasażerką - ściślej mówiąc, z dwiema pasażerkami - i odwrócił kobietę twarzą do drzwi. Wsiadły pozostałe osoby, usiłując znaleźć dla siebie więcej miejsca. Jak we wszystkich szpitalach winda była bardzo duża - by mogła pomieścić łóżka na kółkach - ale ponieważ druga nie działała, kabina szybko się wypełniła. Kilku pasażerów powiedziało, że zaczeka. W sumie wsiadło dwanaście czy czternaście osób. Sanitariusz zerknął na tabliczkę informującą o udźwigu. Co mu to mogło powiedzieć? Przypuszczał, że w wypadku za dużego obciążenia włączyłby się jakiś sygnał alarmowy; winda na pewno ma zabezpieczenie tego rodzaju.

Taką miał nadzieję.

Zrobiło się naprawdę ciasno, duszno. I gorąco.

- Au, au, au...

- Spokojnie. Za trzy minuty będziemy na oddziale, zaraz się panią zajmą.

- Dziękuję... Aaa!

Drzwi się zamknęły. Wózek stał w prawym rogu w głębi kabiny, a sanitariusz za nim, plecami do ściany. Cierpiał na klaustrofobię, ale z jakiegoś powodu w tym momencie, gdy nie miał nikogo za sobą, udało mu się opanować lęk.

Jakiś biznesmen rozejrzał się po kabinie. Zmarszczył brwi.

- Cholera jasna, ale gorąco. Och, przepraszam.

Być może skierował przeprosiny do ciężarnej, jak gdyby przekleństwo mogło zszokować płód. Sanitariusz pomyślał jednak, że faktycznie, cholera jasna, bardzo gorąco. Klaustrofobia lekko ścisnęła mu trzewia.

Starsi państwo rozmawiali o wybranym przez wnuczkę imieniu dla synka, który się właśnie urodził. Sanitariusz usłyszał pikanie klawiszy telefonu. Oczywiście znowu lekarz.

- Chciałem potwierdzić rezerwację...

*I tak dalej, i tak dalej.*

Restauracja nie miała wolnego stolika, o który wcześniej prosił. A doktor nie był

zadowolony.

Winda zatrzymała się na pierwszym piętrze.

Wysiadły trzy osoby. Pięć wsiadło. Przyrost netto. Rany. Jedną z nich był motocyklista. Reprezentant odmiany harleyowców. Czarna skórzana kurtka, wysokie buty, wełniana czapka. I łańcuchy. Po co komu łańcuchy? Nastąpiły protesty w formie znaczących westchnień i piorunujących spojrzeń (przecież mógł zaczekać), po czym drzwi się zaniknęły i kabina ruszyła w górę, chybotając się pod ciężarem pasażerów. Nie chodziło o to, że wyglądał groźnie, a wyglądał, ale o jego gabaryty. Teraz stali stłoczeni jak sardynki, przyciśnięci brzuchami do pleców. Facet naprawdę mógł zaczekać na następny kurs.

Koszmar.

Cholera.

- Au, au, au... - jęczała kobieta.

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Sanitariusz pocieszał zarówno ciężarną, jak i siebie.

Tyle że bez skutku.

Kiedy winda pięła się na drugie piętro, cichły rozmowy, jeśli nie liczyć lekarza, który zgryźliwym tonem pytał, czy może rozmawiać z jakimś szefem.

- Nie wiem. Może z kierownikiem restauracji? Naprawdę tak trudno się domyślić?

Prawie na miejscu...

Sekundy wlokły się jak godziny.

Jezu Chryste. Dojeżdż wreszcie na to piętro. Otwórz te pieprzone drzwi!

Ale drzwi się nie otwierały. Co więcej, winda nie dotarła nawet na drugie piętro. Nagle zahamowała, zatrzymując się gdzieś między pierwszym a drugim.

Nie, nie, błagam. Zdawało mu się, że tylko tak pomyślał. Ale być może wypowiedział głośno tę modlitwę czy prośbę. Kilka osób spojrzało w jego stronę. Chociaż może powodem był wyraz jego spoconej twarzy, który zdradzał nadciągającą panikę.

- Wszystko w porządku. Na pewno zaraz ruszy. - To lekarz, który schował telefon i próbował dodać otuchy sanitariuszowi.

Ciężarna kobieta otarła z czoła strużki potu, założyła za uszy zlepione włosy

i próbowała uspokoić oddech.

- Au, au, au. To chyba już. Chyba się rodzi...

## ROZDZIAŁ 62

Antioch March, w chirurgicznej bluzie i spodniach oraz czepku i ochraniaczach na buty, wyszedł z maszynowni na ostatnim piętrze szpitala Monterey Bay, gdzie przed chwilą odciął zasilanie windy numer dwa we wschodnim skrzydle budynku. Dwadzieścia minut wcześniej zrobił to samo z windą numer jeden, kiedy była pusta. Pasażerowie zostali więc zmuszeni do skorzystania z drugiej kabiny, co znaczyło, że na pewno będzie zatłoczona, kiedy dojdzie do nieszczęścia.

I była. Oglądał obraz z kamery umieszczonej we wnętrzu windy. Szczególnie zainteresowała go kobieta w ciąży, która dyszała z głową odchyloną do tyłu. Na jej twarzy malował się grymas bólu. Jeszcze lepiej wyglądała mina towarzyszącego jej sanitariusza. Było widać, że ogarnia go panika. Znakomicie.

March wyobrażał sobie, jak tam jest. Dwanaście osób - nie, więcej - przyciśniętych do siebie brzuchami, plecami i bokami, powietrze coraz gęstsze, coraz mniej nadaje się do oddychania. Robi się coraz bardziej gorąco. Brak zasilania przerwał też działanie klimatyzacji.

Zamknął komputer, wrzucił narzędzia do płóciennej torby kupionej w hotelowym sklepie z upominkami. Opuścił ostatnie, czwarte piętro szpitala, a potem skierował się do piwnicy. Wiedział, że ma niewiele czasu. Wezwano już ekipę do naprawy windy numer jeden, a ponieważ firma znajdowała się w Salinas, pracownicy mogli się tu pojawić już za dwadzieścia minut. Po przyjeździe skupią się na pełnej pasażerów windzie numer dwa. Personel techniczny szpitala też zajrzy do maszynowni na ostatnim piętrze, aby sprawdzić napęd dźwigu. Od razu zauważą dzieło wandalą i być może wykombinują jakieś rozwiązanie, choć biorąc pod uwagę, że maszyna ważyła prawie tonę, prawdopodobnie nie będą chcieli ryzykować i zaczekają na fachowców.

Owszem, czasu miał niewiele, ale zaaranżował ten atak tak samo zręcznie jak pozostałe. Kiedy przed salą przykościelną, gdy odwołano spotkanie, postanowił, że dobrym celem może być hotel, ułożył plan, którego na pewno nie mogła przewidzieć nawet błyskotliwa Kathryn Dance.

Zainscenizował atak na pobliski hotel, podpalając hondę - zresztą i tak musiał się jej pozbyć. Policja skupi tam uwagę, zakładając, że celem jest hotel, podczas gdy

on pieszo ruszy do szpitala oddalonego o niecały kilometr.

Podjeżdżał, że nie biorą pod uwagę szpitala jako prawdopodobnego miejsca następnego ataku i nie wzmocnili ochrony, ponieważ nie było tam żadnej przestrzeni, gdzie mogłoby dojść do większego zagęszczenia ludzi: pacjenci, odwiedzający i lekarze byli rozproszeni w kilku dużych budynkach zaopatrzonych w liczne wyjścia.

Nie, czarująca i całkiem atrakcyjna Kathryn Dance była inteligentna, ale na pewno nie brała pod uwagę możliwości, że wielkie windy w szpitalu będą doskonałą areną gry w panikę.

Zbiegł do piwnicy, przeskakując po dwa stopnie naraz, i wyjrzał zza rogu. Tak, był w stroju chirurga, ale nie miał przypiętego na piersi identyfikatora, musiał więc uważać. Korytarz był pusty. March wszedł do magazynu i zabrał stamtąd galonowy pojemnik substancji, którą znalazł wcześniej, podczas rekonesansu.

Eteru dietylowego.

To przezroczysty płyn, dziś stosowany przede wszystkim jako rozpuszczalnik i środek do czyszczenia, ale przed laty był najczęściej używanym środkiem znieczulającym. Słynny dentysta z Bostonu,

William T.G. Morton, pierwszy zastosował opary eteru do usypiania pacjentów przed zabiegiem. Substancję wkrótce uznano za lepszą od chloroformu dzięki dużej rozpiętości między zalecaną dawką a ilością, która mogła człowieka zabić; w przypadku chloroformu margines bezpieczeństwa był węższy.

Eter miał jednak jedną wadę: pacjenci, którym go podawano, od czasu do czasu się zapalali. Niekiedy nawet eksplodowali (March widział nadzwyczajne zdjęcia). Mieszanka eteru z tlenem albo jeszcze lepiej, z tlenkiem diazotu - gazem rozweselającym - może być tak samo niebezpieczna jak dynamit.

Dlatego właśnie zdegradowano tę substancję do innych zastosowań, służyła jako rozpuszczalnik. Ale March bardzo się ucieszył, znajdując pojemnik w trakcie rekonesansu w piwnicy.

Podszedł do drzwi windy. Otworzył je i nalał trochę płynu na dno szybu, wstrzymując przy tym oddech (czasami eter wysadzał pacjentów w powietrze, ale był bardzo skutecznym środkiem znieczulającym).

Do powstałej kałuży rzucił zapalniczkę i buchnął płomień. Płyn idealnie nadawał się



do celu Marcha, bo palił się bez dymu; to powinno opóźnić przyjazd straży pożarnej, ponieważ ogień nie włączy żadnego automatycznego alarmu. Tymczasem pasażerowie poczują coraz silniejszą falę ciepła bijącą od podłogi i zapach dymu z hondy płonącej przed hotelem. Będą przekonani, że w szpitalu wybuchł pożar, a oni lada chwila upieką się żywcem.

Doktor March jak gdyby nigdy nic z opuszczoną głową przeszedł korytarzem i skręcił do wyjścia na szpitalny parking.

Wyobraził sobie ludzi uwięzionych w kabinie windy i pomyślał, że to, co zrobił, nie stwarza dla nich absolutnie żadnego fizycznego zagrożenia. Dym był ledwie wyczuwalny, ogień powinien zgasnąć za dziesięć minut, hamulce awaryjne windy nie zepsują się i kabina nie runie na ziemię.

Nie stanie im się zupełnie nic.

O ile nie wpadną w panikę.

## ROZDZIAŁ 63

Muszę się stąd wydostać, muszę się wydostać...

Proszę, proszę, proszę, proszę, proszę.

Sanitariusza sparaliżowało przerażenie. Zapaliły się światła awaryjne - kabina była jasno oświetlona - i nie wyglądało na to, by windzie groził upadek. Ale świadomość uwięzienia oplotła go lepкими mackami i dusiła, dusiła...

- Pomocy! - krzyczała starsza pani.

Trzy czy cztery osoby zaczęły łomotać pięściami w drzwi. Jak w rytualne bębny, ofiarne bębny.

- Czujecie? - zawołał ktoś. - Dym.

- Chryste. Pali się!

Sanitariusz stłumił krzyk. Spalimy się żywcem. Myślał o tej możliwości z dziwną obojętnością. Bolesna śmierć w płomieniach była straszna, ale nie aż tak jak zamknięcie w tej dławiącej ciasnocie.

Oczy miał pełne łez. Nie wiedział dotąd, że można płakać ze strachu.

- Jest tam kto? - krzyczała do interkomu pielęgniarka w wymiętej zielonej bluzie i spodniach. Ochrona nie podała żadnego komunikatu przez głośnik.

- Strasznie gorąco! - Kobięcy głos. - Pali się tuż pod nami. Pomocy! - Nie mogę oddychać.

- Muszę stąd wyjść.

Kobieta w ciąży płakała.

- Moje dziecko, moje dziecko.

Sanitariusz rozdarł koszulę, uniósł głowę i próbował złapać trochę świeższego powietrza. Ale jego płuca wypełniły się tylko cuchnącymi, wilgotnymi oddechami innych.

Jakaś kobieta w rogu zwymiotowała.

- Jezu, co pani, prosto na mnie. - Czterdziestokilkuletni mężczyzna obok niej, w szortach i T-shircie, próbował uskoczyć, aby go nie ubrudziła. Nie było jednak miejsca i odepchnął go mężczyzna stojący z tyłu.

- Wal się.

Zapach przytłoczył sanitariusza, który robił, co mógł, aby zapanować nad

własnym żołądkiem.

Mniej szczęścia miała kobieta obok niego. Ona też dostała torsji.

W ruch poszły telefony.

- Tak, dziewięćset jedenaście, jesteśmy uwięzieni w windzie i nikt nic nie robi.

- Jesteśmy w kabinie windy w szpitalu. Wschodnie skrzydło. Nie możemy oddychać.

Ktoś krzyknął:

- Nie dzwońcie naraz! Zwariowaliście? Zablokujecie im linie!

- Coś pan, urodziłeś się w latach pięćdziesiątych? Mogą obsłużyć więcej niż...

Nagle wewnątrz kabiny rozdarł wrzask nie z tej ziemi: harleyowiec przestał nad sobą panować, zupełnie. Krzycząc, chwycił za ramiona starszą panią, która stała przed nim, i wdrapał się na tłum.

Sanitariusz usłyszał trzask łamanego obojczyka, kobieta krzyknęła i zemdlała. Harleyowiec nawet tego nie zauważył; opierając się na ramionach, szyjach i głowach pozostałych, podczołgał się do przodu, uderzył pięściami w drzwi windy i łamiąc sobie paznokcie, usiłował rozsunąć ich skrzydła. Wrzeszczał i szlochał. Łzy i pot płynęły jak woda z pękniętej rury.

Szczupła Afroamerykanka, asystentka pielęgniarki, w stroju, który był współczesnym odpowiednikiem dawnych fartuszków w biało-czerwone prążki - bluzie w pluszowe misie - przedarła się naprzód i chwyciła go za kołnierz.

- Nic się nam nie stanie. Wszystko będzie dobrze.

Potężny mężczyzna znów wydał przenikliwy wrzask.

Kobieta pozostała niewzruszona.

- Słyszysz, co mówię? Wszystko będzie dobrze. Oddychaj powoli.

Harleyowiec zwrócił ku niej zaczerwienioną, brodatą twarz.

Nachylił się bardzo blisko. Chwycił ją za szyję. Nie patrzył na kobietę i wydawało się, że pogruchocze jej kości.

- Oddychaj - powtórzyła. - Powoli.

Zaczął to robić.

- Nic ci nie jest. Nikomu nic nie jest. Nic się nam nie stało. Jesteśmy cali i zdrowi. Mamy instalację tryskaczową. Straż pożarna już jedzie.

Te słowa uspokoiły harleyowca, a także czterech czy pięciu innych pasażerów,

ale wśród pozostałych narastała panika.

- Kurwa, gdzie strażacy?
- Jezus Maria, zginiemy!
- Nie, nie, nie!
- Czuję ciepło, ogień. Jest coraz większy!
- Nie, błagam! Niech ktoś nam pomoże!
- Hej! - huknął tubalnym głosem harleyowiec. - Spokój, wszyscy!

Niektórzy go posłuchali. Ale inni nadal tkwili w szponach paniki.

Zaczęli łomotać w ściany, krzyczeć, szarpać za włosy i ubrania współpasażerów, żeby się dostać do drzwi. Jakaś kobieta po czterdziestce odepchnęła na bok harleyowca, wbiła paznokcie w szczelinę między skrzydłami rozsuwanych drzwi i usiłowała je rozewrzeć, tak jak przed chwilą on.

- Wyluzuj - poradził kobiecie dryblas w skórze. I odciągnął ją od drzwi.

Jeden z pasażerów wrzasnął do interkomu:

- Czemu nie odpowiadacie? Czemu nie odpowiadają? Nikt nie odpowiada.

Łkanie, krzyki.

Ktoś się wypróżnił.

Sanitariusz zorientował się, że przygryzł sobie język. W ustach poczuł smak krwi.

- Ściany są gorące! Czuć dym.

- Spalimy się żywcem!

Sanitariusz spojrzał na lekarza. Ten był nieprzytomny. Dostał zawału? Zemdlął?

- Słyszycie nas? Utknęliśmy!

- Nie, nie!

Znów wrzaski.

- Nie jest wcale tak gorąco! - zawołał harleyowiec. - Myślę, że ogień nie jest aż tak blisko. Nic się nam nie stanie.

- Słuchajcie go! - dołączyła się pielęgniarka. - Wszystko będzie dobrze.

I rzeczywiście pasażerowie z wolna zaczęli się uspokajać.

Nie miało to jednak żadnego wpływu na sanitariusza. Nie mógł wytrzymać zaniknięcia w kabinie ani chwili dłużej. Nagle ogarnęła go zupełnie nowa, nieznana fala paniki. Odwrócił się tyłem do osób w windzie i szepnął:

- Przepraszam. - Do swojej żony i syna.

To były jego ostatnie słowa, po których panika zmieniła się w coś innego. Coś, co jak wąż wpełzło mu przez usta prosto do brzucha.

Szał...

Ze szlochaniem oderwał kieszeń bluzy, zwinął w kulę i wepchnął sobie do gardła. Wciągnął tkaninę do tchawicy.

Błagam, pozwólcie mi umrzeć... Niech ten koszmar się skończy.

Strasznie było się dusić, ale to nic w porównaniu z klaustrofobią.

Błagam, pozwólcie mi... pozwólcie mi...

Oczy zasnuła mu ciemność.

## ROZDZIAŁ 64

Niech mnie pan posłucha! - krzyknęła Kathryn Dance. - Niech pan słucha!

- Dostałem inne polecenia.

Była we wschodnim skrzydle szpitala i rozmawiała z pracownikiem technicznym.

- Trzeba natychmiast otworzyć te drzwi.

- Przykro mi, proszę pani... agentko. Musimy czekać na ekipę mechaników. To są niebezpieczne urządzenia. Kabina nie spadnie. Nie ma pożaru. To znaczy był niewielki, ale już się nic nie pali i...

- Nie rozumie pan. Ci ludzie wewnątrz mogą sami sobie wyrządzić krzywdę. Nie wiedzą, że nie ma żadnego pożaru.

Stała przed drzwiami windy numer dwa. Dobiegały z niej wrzaski i łomoty.

- Nie mam na to zezwolenia.

- Jezu Chryste. - Ominęła go i z jego zestawu narzędzi wybrała długi śrubokręt.

- Zaraz, nie może pani...

- Pozwól jej, Harry - wtrącił drugi pracownik. - Nie podoba mi się to, co stamtąd słychać.

Wrzaski przybrały na sile.

- Kurwa - mruknął Harry. - Sam to zrobię.

Odebrał jej śrubokręt i odłożył do torby, z której wyjął inne narzędzie, klucz do windy. Włożył go do otworu i po chwili z wysiłkiem rozsunał skrzydła drzwi.

Dance osunęła się na brzuch, uderzona falą obrzydliwego smrodu, jaki buchnął z windy - mieszaniny zapachów wymiocin, potu, kału, moczu. Spojrzała w głąb kabiny, mrużąc oczy. Świeciły jej prosto w twarz lampy awaryjne zamontowane w kamerze monitoringu w środku. Sufit kabiny znajdował się niecałe pół metra nad wyłożoną linoleum podłogą. Ku zaskoczeniu Dance pasażerowie zachowywali się całkiem spokojnie, przyglądając się dwóm osobom. Kobiecie w ciąży, która wydawała te straszne wrzaski. I mężczyźnie, który zemdlał, choć nadal stał; jego twarz była upiornie sina. Miał na sobie uniform sanitariusza.

- Pożar ugaszony! Jesteście bezpieczni! - Uznała, iż to najlepszy sposób, aby przekonać pasażerów, że powinni zachować spokój. Niewskazane jest informowanie ich, że to był figiel, a tym bardziej celowy atak.

Ktoś próbował założyć sanitariuszowi chwyt Heimlicha, ale miał za mało miejsca, by zastosować tę metodę z odpowiednią siłą.

- On umiera! - krzyknął ktoś, wskazując na sanitariusza. Jeden z pasażerów nagle stracił panowanie nad sobą, rzucił się naprzód i wdrapał na jakąś drobną kobietę, by dosięgnąć szpary nad podłogą.

- Muszę stąd wyjść, muszę wyjść! - Chwycił Dance za kołnierz, próbując się podciągnąć. Szarpnął ją mocno. Krzyknęła, gdy jej głowa zaklinowała się w szczelinie, a w policzek werznął się metalowy sufit kabiny.

- Nie, niech pan posłucha!

Ale on nie słuchał.

- Dość!

Poczuła zimny dotyk wzbierającej paniki. Zaczęła okładać pięścią głowę mężczyzny. Bez skutku. Jej głowa, zupełnie unieruchomiona, tkwiła bokiem w szparze nad podłogą. Od cuchnących wyziewów z windy wszystko zawirowało jej w oczach. Jeszcze to nieznośne uczucie, że nie może się ruszyć. I smak krwi, która kapiała do ust z rany na policzku.

Jezu...

Nie ma innego wyjścia.

Przepraszam.

Dance zdołała lekko odsunąć głowę i zacisnęła zęby na kciuku mężczyzny. Czując smak krwi i tytoniu, mocno ugryzła go trzonowcami.

Wrzasnął i puścił ją.

- Dajcie tu tego człowieka! - krzyknęła, wskazując na sanitariusza.

Kilku pasażerów chwyciło mężczyznę za kołnierz i w pasie. Unieśli go i podawali sobie nawzajem w górze jak publiczność rockowego koncertu. Dance dała znak dwóm medykom z oddziału ratunkowego, którzy razem z nią podciągnęli sanitariusza i wydostali go przez szparę.

Jeden z ratowników powiedział:

- Zabieramy go na dół. - Umieścili mężczyznę na łóżku na kółkach i pomknęli korytarzem.

Nadbiegł Michael O'Neil.

- Ogień w piwnicy zgaszony. Nic ci nie jest? - Zmarszczył brwi, patrząc na jej

twarz.

- Wszystko w porządku.

Zajrzała do kabiny. Rany.

- Kiedy będzie można podnieść windę? - krzyknęła przez ramię.

- Za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut - odparł pracownik techniczny.

- Dobrze, w takim razie będzie nam potrzebny ginekolog-położnik. I to szybko.

- Sprowadzę go! - zawołał jakiś pielęgniarz za jej plecami.

- Tylko niech to będzie najchudszy lekarz w całym szpitalu - dodała Dance.



## ROZDZIAŁ 65

Powinnam pomyśleć logiczniej - powiedziała Dance. - Ten... skurwiel jest za bardzo inteligentny.

Z jej ust rzadko padały słowa tego rodzaju.

Stali w szpitalnym holu, czekając na informację od techników kryminalistyki z biura szeryfa o śladach zabezpieczonych w maszynowni windy, w samej kabinie oraz na dnie szybu.

Kiedy ogień w hondzie rozszalał się na dobre i policjanci pobiegli do hotelu, Dance sprawdziła dwoje drzwi wyjściowych, przekonała się, że nie są zablokowane - i to ją zastanowiło. Przyjrzała się hotelowi.

- Nie - mruknęła pod nosem. Budynek był parterowy i choć stał na zboczu wzgórza, wzniesienie było minimalne. Aby stamtąd uciec, wystarczyło rzucić krzesłem w okno i wyjść, co nie groziło żadnym niebezpieczeństwem, o ile ktoś uważał na odłamki szkła.

Potem zauważyła, że dym płynie w stronę lasu, za którym zobaczyła szpital.

- Nie sądzę, żeby wziął na cel hotel - powiedziała do O'Neila.

- W takim razie co?

- Szpital.

Zastanowił się nad tym.

- Za dużo wyjść.

Zasugerowała, że mógłby zaatakować wydzieloną część, odizolowaną od reszty budynku.

- Blok operacyjny?

- Byłoby tam za mało osób, żeby się stratowały. Poza tym dobre zabezpieczenia i...

- Bufet? Poczekalnia? - Wreszcie: - Winda.

- Racja - przytaknął O'Neil.

I zaczęli biec ścieżką długości prawie pięciuset metrów, która prowadziła do szpitala.

Teraz, gdy czekali w holu przy windzie na drugim piętrze, z głębi korytarza nadeszła pielęgniarka.

- Pani jest agentką specjalną Dance?

- Zgadza się.

- Podobno chciała pani wiedzieć. Pytała pani wcześniej. Z dzieckiem wszystko w porządku. To dziewczynka. Matka ma złamaną rękę - ktoś na nią nadepnął - ale nic jej nie będzie. Pytała, jak się pani nazywa. Chyba chciała podziękować. Mogę jej przekazać?

Dance podała jej wizytówkę, zastanawiając się, czy noworodek dostanie inne imię, niż rodzice pierwotnie zaplanowali.

- Co z sanitariuszem?

- Chwył Heimlicha nie poskutkował - w tchawicy utkwiał kawałek tkaniny. Ale zrobiliśmy tracheotomię. Wiele wskazuje, że sam to połknął. Próba samobójstwa. Wyjdzie z tego. Jest mocno wstrząśnięty. Cierpi na ostrą klaustrofobię.

Podszedł do nich lekarz, wysoki Afroamerykanin. Obejrzał jej policzek.

- Nie wygląda źle. - Podał jej opatrunek antyseptyczny. Podziękowała mu, rozerwała opakowanie i przycisnęła gazę do rany, krzywiąc się z bólu, który szybko minął. - Zabandażuję to, jeżeli pani chce.

- Zobaczę. Może później przyjdę na ostry dyżur. Dzięki.

Zadzwoił telefon O'Neila. Detektyw odebrał. Kiedy się rozłączył, rzekł:

- Idę na dół. Technicy skończyli sprawdzać piwnicę. Niewiele tego jest, ale chcę zobaczyć. Idziesz ze mną?

W tym momencie rozległ się dzwonek jej telefonu. Zerknęła na ekran.

- Za chwilę przyjdę. - Odebrała. - Mags?

- Cześć, mamó.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tak. Skończyłam recenzję książki. Na pięć stron.

- To dobrze. Przejrzymy ją, kiedy wrócę.

- Mamó?

Oczywiście wiedziała, że chodzi o coś innego. Żadne dziecko nie dzwoni w sprawie wypracowania. Nie ma pośpiechu. Trzeba dać jej trochę czasu.

- Co, kochanie?

- Tak sobie myślałam.

- O czym, cudowne dziecko?

- Chyba jednak chcę zaśpiewać na tym konkursie talentów. Chyba już chcę.

Dance odczekała chwilę.

- Naprawdę chcesz?

- Mhm.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Nie wiem. Po prostu zmieniłam.

- I naprawdę chcesz wystąpić?

- Słowo daję.

Przysięgi i zapewnienia często świadczą o kłamstwie. Ale fakt, że zamierzała zaśpiewać, nawet jeśli nie miała na to ochoty, niekoniecznie musiał znaczyć coś złego. Podjęcie wyzwania mimo wewnętrznych oporów to etap w rozwoju, pozytywny krok na drodze do dorosłości.

- To świetnie, kochanie. Wszyscy bardzo się ucieszą, jeżeli zaśpiewasz. Wspaniale. Jestem z ciebie dumna.

- Pójdę teraz poćwiczyć.

- Tylko nie forsuj głosu. Pewnie już i tak znasz piosenkę na wylot. Słuchaj, kochanie, jest Jon?

- Nie, tylko dziadek i ja.

- Dobrze. Do zobaczenia niedługo.

- Pa.

- Kocham cię.

Gdzie Boling? Pewnie zatracił się w świecie superkomputerów, próbując złamać hasło do laptopa Stana Prescottta i komórki, którą sprawca zgubił w Orange. Ale żeby nie zadzwonił? Dziwne.

Odwróciła się i zobaczyła swoją matkę, która zbliżała się do niej szybkim krokiem.

- Katie! Nic ci nie jest? - zawołała jeszcze z daleka. Na dźwięk rozgorączkowanego głosu głowy odwróciły się w stronę krępej kobiety o krótkich, przyprószonych siwizną włosach.

- Nic. Wszystko w porządku. - Uścisnęły się.

Edie Dance była pielęgniarzką na kardiologii. Przyjrzała się kabinie windy. Krew, wymiociny, ślady pięści na metalu. Pokręciła głową i przytuliła córkę.

- Straszne - szepnęła. - Ktoś to zrobił celowo?

- Tak.

- Czy... Och, twoja twarz!

- To nic. Trochę się zadrapałam, zaglądnąjąc do kabiny.

- Nie wyobrażam sobie, jak bym się czuła uwięziona w tej windzie. Ile osób tam było?

- Około piętnastu. Między innymi kobieta w ciąży. Nic jej nie będzie. Dziecko urodziło się całe i zdrowe. Mało brakowało, a jeden człowiek by nie przeżył.

- Nie!

- Próbował popełnić samobójstwo. Nie wytrzymał paniki.

Edie Dance rozejrzała się po korytarzu.

- Jest tu Michael?

- Poszedł do swoich techników. Zabezpieczają ślady w piwnicy i w hotelu obok.

- Aha. - Edie nadal patrzyła w głąb korytarza. - Co u niego? Dawno go nie widziałam.

- U Michaela? Wszystko w porządku.

Mowa ciała to błogosławieństwo... i zarazem przekleństwo. Matka chciała coś powiedzieć i Kathryn wahała się, czy powinna to z niej wyciągnąć. Tak często bywało z Edie Dance.

Okazało się jednak, że nie musi.

- Parę dni temu widziałam Annę O'Neil - oznajmiła matka.

- Tak?

- Była z dziećmi w Whole Foods. A może używa teraz panińskiego nazwiska?

Dance dotknęła obolałej twarzy.

- Nie, została przy O'Neil.

- Myślałam, że mieszka w San Francisco.

- Z tego, co wiem, mieszka.

- Czyli Michael w ogóle o tym nie wspominał?

- Nie. Ale mieliśmy niewiele okazji do rozmowy o sprawach osobistych. - Wskazała na windę. - Przez to śledztwo i tak dalej.

- Domyślam się.

Czasami zastanawiała się, z kim właściwie trzyma matka. Niedawno Edie

skwapliwie poinformowała ją, że Boling chyba się wyprowadza - choć on nie wspomniał o tym Kathryn ani słowem. Okazało się, że wyjeżdżał służbowo i chciał to wykorzystać, zabierając ją i dzieci na mini wakacje w południowej Kalifornii. To prawda, że Edie miała na uwadze dobro córki i wnuków, jednak trochę za szybko przekazała jej wiadomość, która okazała się nieporozumieniem.

Teraz powiedziała, że mężczyzna, który kiedyś mógł zostać partnerem Kathryn, być może tak naprawdę nie rozstał się z żoną. Ale Edie nie rozsiewała plotek ani nie krytykowała złośliwie innych. Wyglądało, że chce chronić uczucia córki, jak zrobiłby każdy dobry rodzic. Chociaż ta informacja oczywiście nie miała znaczenia. Była teraz z Bolingiem.

Edie chyba się spodziewała, że córka powie coś jeszcze. Ale ta wolała zmienić temat.

- Maggie będzie śpiewać na dzisiejszym konkursie.
- Naprawdę? Cudownie. Co ją przekonało?
- Nie wiem.

Dzieci stanowiły zagadkę i można oszaleć, próbując ją rozwikłać.

- Będziemy tam z tatą. Przypomnij mi, o której to się zaczyna?
- O siódmej.
- A potem kolacja?
- Powinno się udać.

Matka zmierzyła ją krytycznym spojrzeniem.

- Wiesz co, Katie, naprawdę lepiej by było zająć się twoją twarzą.
- Sugerujesz lifting?

Obie się uśmiechnęły.

Zabrzączał jej telefon. Ach, nareszcie.

- Jon, gdzie się podziewałeś? Wszyscy...
- Czy rozmawiam z Kathryn? - Męski głos. Nie Bolinga.

Serce w niej zamarło.

- Tak. Kto mówi?

- Posterunkowy Taylor z policji w Carmel. Znalazłem pani numer na liście szybkiego wybierania w telefonie pana Bolinga. Pani jest jego przyjaciółką, koleżanką z pracy?

- Przyjaciółką. Kathryn Dance. Agentka specjalna CBI.

Chwila ciszy.

- Ach, agentka Dance.

- Co się stało? - spytała szeptem. Przytłoczyło ją lodowate wspomnienie tamtego dnia, kiedy po śmierci jej męża zadzwonił do niej policjant.

- Niestety, muszę panią zawiadomić, że pan Boling miał wypadek.

## ROZDZIAŁ 66

Antioch March był w swoim apartamencie w Cedar Hills Inn.

Skończył właśnie ćwiczyć w luksusowej siłowni hotelu i raczył się szklanką soku ananasowego, oglądając w telewizji relację z wydarzeń w szpitalu.

Ani jednej ofiary śmiertelnej.

Był nieco zawiedziony, ale Płód usatysfakcjonowany. Na razie. Zawsze na razie.

*Ktoś nie jest zadowolony...*

Zadzwęczał jego telefon. I człowiek, który do niego dzwonił, i on używali nowych aparatów na kartę. Wiedział jednak, kto to jest: jego szef. Serwis „Dłoń sercu” prowadził Christopher Jenkins. To on wysyłał Marcha do organizacji humanitarnych, które potem nawiązywały współpracę ze stroną. Zlecał mu również inne zadania, będące prawdziwym źródłem dochodów firmy.

- Cześć - powiedział.

Oczywiście w rozmowie nie padały żadne imiona ani nazwiska.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że klient jest wyjątkowo zadowolony.

- To dobrze. - Co tu jeszcze było do powiedzenia? March zrobił to, czego dotyczyło zlecenie na wybrzeżu zatoki Monterey. Pozbył się także dowodów i świadków, a także odciął wszystkie powiązania, jakie mogłyby łączyć zdarzenie z osobą klienta, który płacił

Jenkinsowi grube pieniądze za usługi Marcha. Klient nie należał do najsympatyczniejszych osób na świecie - prawdę mówiąc, potrafił być wrednym fiutem - ale trzeba mu było przyznać jedno: płacił dobrze i terminowo.

- Przesłał już osiemdziesiąt procent. Odpowiednimi kanałami.

Bitcoiny i inne dziwne nowoczesne systemy płatnicze w teorii były sprytnym mechanizmem dokonywania anonimowych płatności za pracę tego rodzaju, jaką wykonywał March, ale poddawano je coraz dokładniejszej kontroli. Dlatego Jenkins - biznesmen w tym przedsięwzięciu - postanowił uciec się do dobrej staroświeckiej gotówki. Mówiąc o „kanałach”, poinformował go, że FedEx dostarczył mu pudło z „dokumentami”, co poniekąd było zgodne z prawdą, choć każdy dokument był opatrzony wizerunkiem Benjamina Franklina.

Antioch March miał osiem skrytek bankowych w całym kraju, a w każdej z nich

znajdowało się około miliona dolarów.

- Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że znalazłem restaurację, którą musimy odwiedzić - ciągnął Jenkins. - Mają najlepsze *foie gras*. Serio, najlepsze. I podają chateau d'yquem, w Waterford. A wiesz, jakie mają czerwone wino? Petrus. - Zachichotał. - Wypiliśmy dwie butelki.

March nie znał tych win, zakładał jednak, że były drogie. Być może Jenkins kiedyś poczęstował go jednym z nich. Pracowali razem od około sześciu lat i od pierwszego dnia Jenkins podejmował Marcha wykwintnymi kolacjami takimi jak ta, którą właśnie opisywał. Były niezłe. Ale wyszukane dania nie poruszały Marcha, podobnie jak buty Vuitton, teczka Coach i włoskie garnitury. Przyjmował prezenty, ale nie przestawał się dziwić, że Jenkins nie zauważa jego obojętności. A może zauważał, ale się nią nie przejmował. Tak jak apatią Marcha w innych sytuacjach, które miały związek z Jenkinsem.

- Dostałem właśnie pewną propozycję - dodał szef. - Powiem ci o niej, kiedy wyjadę.

W trakcie rozmów telefonicznych zawsze unikali konkretów. Owszem, korzystali z telefonów na kartę, ale dałoby się je podsłuchiwać, gdyby ktoś miał ochotę podsłuchiwać, i dałoby się je namierzyć, gdyby ktoś miał ochotę je namierzyć.

A ludzie tacy jak Kathryn Dance bardzo chętnie zrobiliby jedno i drugie.

- Będę jutro wieczorem - rzekł Jenkins.

- To dobrze. - March starał się okazać entuzjazm. Oczywiście był jeszcze jeden powód, dla którego szef wybierał się do hotelu. Powód, bez którego March mógłby się obyć. Potrafił go jednak znieść: wszystko dla Płodu.

- Jeszcze raz dzięki za to, co zrobiłeś. Dobra robota. Wielki sukces. To nam otworzy wiele drzwi. No, myślę, że się już nagadaliśmy. Dobranoc.

Obaj odłożyli słuchawki.

Sprawdził wiadomości, ale nie było nic na temat śmierci Jona Bolinga spowodowanej awarią roweru. Przypuszczał, że jeśli wysiadły obydwie hamulce, rower musiał pędzić z prędkością osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu na godzinę, gdy chłopak Dance wpadł na zatłoczoną ulicę albo skały na Carmel Beach. March nie był pewien, jak bliskie relacje łączą Dance i Bolinga, ale wiedział, że to coś więcej niż przelotna znajomość; w jej samochodzie pod Centrum Bay View



znalazł kartkę, którą przysłał jej Boling. Zabawną i niemądrą. Podpisaną „Całuję, J.” March zapamiętał adres zwrotny i pojechał do niego prosto z miejsca ataku.

Powodowany chęcią odwrócenia uwagi łowczyni, a trochę też zazdrością (uświadomił sobie, że pożąda Kathryn bardziej niż Calisty), zaczął się pod domem Bolinga, zamierzając go pobić na śmierć, aby wyglądało to na przypadkową śmierć w czasie napadu rabunkowego. Albo przynajmniej pobić go do nieprzytomności. Ale Boling nie wracał, gdy tymczasem March dostał wiadomość o głupim Stanie Prescottcie z okręgu Orange i musiał tam jechać.

Później śledził Bolinga i doszedł do wniosku, że zamiast bezpośredniego ataku lepszy będzie wypadek rowerowy.

Spojrzał na swoją ogoloną czaszkę w lustrze. Nie podobała mu się. Odniósł wrażenie, że przypomina teraz trochę Chrisa Jenkinsa.

To ironia losu, pomyślał, że Jenkins - były żołnierz, świetny strzelec, który znał się na wszystkich rodzajach broni i miał wielu przyjaciół wśród ochroniarzy i najemników - jest biznesmenem i nigdy nie wyjeżdża w teren, by wykonać jakieś zadanie.

A całą robotę odwalał on, w gruncie rzeczy niedoszły naukowiec, który zszedł na manowce.

Taki podział ról działał jednak na korzyść wszystkich. Jenkinsowi brakowało finezji, by zorganizować akcje tak, jak potrafił to March, inteligencji, by przewidzieć, co zrobią policjanci i świadkowie.

March z kolei nie bardzo umiał radzić sobie z klientami. Negocjować, sprawdzać, czy na pewno nie są z policji, ustalać terminów płatności, prowadzić strony „Dłoń sercu”.

Dopił sok.

*Klient jest wyjątkowo zadowolony...*

Taki był również najważniejszy cel jego ojca, agenta handlowego.

Rozciągnął się na imponującym łóżku. Musiał ułożyć wiele planów. Ale w tym momencie wolał zająć myśli... kimże innym, jeśli nie zniewalającą Kathryn Dance?

## ROZDZIAŁ 67

Znów w siedzibie CBI.

Dance weszła do toalety, aby przemyć ranę na twarzy, ale oceniła, że to nic poważnego. Trochę poszczypie. Będzie siniak. Nic więcej.

Skręciła do Babskiego Skrzydła. Był weekend, administracja nie pracowała. Minęła biurko Maryellen Kresbach i weszła do swojego gabinetu.

- Hej. - Jon Boling, siedzący na krześle naprzeciw biurka, uśmiechnął się do niej.

- Jon! - Szybko podeszła do niego, żeby zarzucić mu ręce na szyję, ale zobaczyła, jak krzywi się na samą myśl, że miałyby go objąć. Zastygła w pół ruchu. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Relatywnie rzecz biorąc. Ale boli. Naprawdę boli. - Miał posiniaczoną twarz i dwa opatrunki, na policzku i szyi, nadgarstek owinięty beżowym bandażem elastycznym.

- Co się stało?

- Awaria hamulców na Ocean.

Była to główna ulica prowadząca prosto na plażę w Carmel. Bardzo stroma.

- Nie!

- Kiedy ruszyłem, zachowywały się trochę dziwnie, więc dojechałem do pierwszego skrzyżowania za sklepem... sklepem, w którym byłem, i chciałem się zatrzymać. Wtedy puściły. Klocki w jednym i drugim.

- Jon!

- Skręciłem w krzaki i dzięki temu zwoźniłem. Przejechałem przez nie i walnąłem w krawężnik i samochód, który stał przed znakiem stopu.

- Hamulce? - spytała. - Sądziś, że ktoś przy nich majstrował?

- Majstrował? Po co ktoś... Aha. Masz na myśli swojego sprawcę?

- Być może. Żeby mi przeszkodzić, odwrócić uwagę od sprawy.

- Ale jak nas skojarzył?

- Nic mnie nie zdziwi, jeżeli o niego chodzi. Zauważyłeś kogoś w pobliżu roweru?

- Nie. Miałem coś do załatwienia. Zostawiłem rower na ulicy. Tylko na pięć minut. Nie zwracałem na niego uwagi. - Nagle Boling przyjrzał się jej uważniej. -

Ale... co się tobie stało?

- Nic takiego. Uderzyłam się przy wejściu do windy.

- Cóż to musiało być za wejście.

Opowiedziała mu o ostatnim ataku.

- Nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Jej wzrok powędrował na biurko, przed którym siedział Boling: stał tam laptop Asus Stana Prescottta. Obok leżał przenośny dysk twardy.

- Złamałeś hasło?

- Ściślej mówiąc, moja partnerka.

- Partnerka?

- Lily.

Spojrzała na niego, żartobliwie marszcząc brwi.

- Lily. Czy mam już być zazdrosna?

- Ach, Lily... Moja ukochana. Superkomputer Blue Gene/P drugiej generacji, z czterordzeniowymi procesorami SMP i bezpośrednią komunikacją między węzłami. Chociaż jest szalenie seksowna, ty masz lepsze ciało.

W tym momencie do gabinetu wszedł O'Neil. Zrobił wielkie oczy. Nie była to chyba jednak reakcja na uwagę Bolinga na temat Dance. Patrzył zdumiony na sińce i opatrunki.

- Jezu, Jon, co się stało?

- Ryzyko ciągot do ekologicznego stylu życia. Wypadek na rowerze. Trochę się poobijałem. Miałem szczęście.

- Być może spowodowany celowo - dodała Dance.

- Czyli wie, kto go ściga - powiedział O'Neil. - Przyślę ludzi do ochrony, żeby mieli na oku twój dom.

Niezła myśl. Postanowiła dopilnować też, żeby dzieci nigdzie nie chodziły same. Wes na pewno nie będzie mógł jeździć na rowerze z Donniem. Przynajmniej dopóki nie złapią sprawcy.

O'Neil trzymał już telefon.

- Tobie też dam ochronę, jeżeli chcesz - zwrócił się do Bolinga.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Wystarczy tylko mój dom - powiedziała Dance.

- Dobra. - O'Neil przekazał telefonicznie prośbę o ochronę. Po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę. - Wieczorem przed domem będzie człowiek w cywilu. Od czasu do czasu przejedzie patrol. W ciągu dnia. - Poleciał także przydzielić ochronę jej rodzicom.

Podziękowała mu. Potem zerknęła na Bolinga.

- Jon dostał się do komputera Stana Prescottta. I do telefonu.

- Świetnie.

Boling podał jej niewielki dysk przenośny z interfejsem USB. Zgodnie z procedurami informatyki śledczej należało zrobić kopię dysku podejrzanego na nośnik zewnętrzny, ponieważ w samym komputerze mogły się czaić cyfrowe pułapki.

Podłączyła dysk i ruchem głowy wskazała klawiaturę. Boling zajął przed nią miejsce.

- Zdobyłem dostęp do e-maili Prescottta i adresów stron, które odwiedzał. Powinniście je sami przejrzeć, ale nie zauważyłem, żeby cokolwiek miało związek ze zdarzeniem w Solitude Creek albo Bay View. Chodzi mi o jego osobisty związek z tymi sprawami. Z nikim nie korespondował na ten temat - i nic nie usuwał. Zrekonstruowałem skasowane pliki. Wszystkie. Wygląda na to, że ściągnął zdjęcia z Solitude Creek z płatnej strony.

- Z płatnej strony? Jakiej? Myślałam, że wszystkie pochodziły z wiadomości telewizyjnych.

- Pierwotnie tak. Ale ktoś je umieścił w komercyjnym serwisie, którego członkowie oglądają drastyczne sceny przemocy - na fotografiach i filmach. Słyszeliście o tym?

Ani Dance, ani O'Neil nie znali strony.

- W takim razie zobaczcie. - Zawahał się chwilę. - Ale lepiej się przygotujcie.

- Przygotujmy?

Wstukał adres i otworzyła się strona.

Dance szeroko otworzyła oczy.

- Rany, co to jest?

O'Neil podszedł bliżej i stanął obok niej po drugiej stronie. Wszyscy troje patrzyli na ekran. Witryna nazywała się Cyber-Necro.com i na stronie głównej

wyświetliła się grafika przedstawiająca komputerowo wygenerowany obraz mężczyzny wbijającego nóż w brzuch kobiety o obfitych kształtach, przypiętej pasami do średniowiecznego stołu.

- To płatna strona z drastycznymi zdjęciami ofiar morderstw, gwałtów, katastrof, wypadków, zabiegów medycznych - wyjaśnił Boling. - Fotografie z Solitude Creek były w sekcji pod tytułem „Śmierć w kinach, teatrach i na imprezach sportowych”.

- Jest osobna kategoria?

- Aha. Ludzie płacą grube pieniądze, żeby zobaczyć te zdjęcia i wideo. Nie umiem wam powiedzieć dlaczego. Może psychiatra by umiał. Podglądactwo na tle seksualnym, sadystyczne skłonności. Któż to może wiedzieć? W ciągu paru ostatnich godzin przeszedłem intensywny kurs. Są setki takich stron. Mógłbym już napisać o nich referat. Niektóre strony wyglądają tak jak ta. - Wskazał na monitor. - Pokazują prawdziwą śmierć i obrażenia. Można też obejrzeć specjalnie nakręcone klipy. Takie, w których aktorki - zwykle aktorki - zostają zastrzelone, zakłute nożem albo przebite strzałami. Popularne jest też duszenie. Gwałty. Trochę hardcore'u. Jeżeli chodzi o broń - efekty specjalne są dobre. Można powiedzieć, że szokująco dobre. Wydaje się, jakby te kobiety naprawdę ginęły, ale pojawiają się w innych filmach. Chyba niektórzy mają ulubione aktorki i chcą ciągle oglądać, jak giną na ekranie. Bez końca.

- Nigdy o tym nie słyszałem - szepnął O'Neil.

- Znalazłem całe wielkie podziemie. - Boling wcisnął kilka klawiszy. - A tu macie zdjęcia z Solitude Creek.

Podstrona Cyber-Necro.com poświęcona tej tragedii zawierała około piętnastu fotografii. Większość pochodziła z mediów i została zrobiona już po tragedii, kiedy w klubie było widać krew. Nie brakowało kiepskich zdjęć z telefonów, w niskiej rozdzielczości, zrobionych wewnątrz podczas ataku paniki.

Dance i O'Neil spojrzeli po sobie. Oboje pomyśleli o tym samym: czy na filmach i zdjęciach jest coś, co może pomóc w śledztwie?

- Jak można obejrzeć wideo? - spytała.

- Trzeba się zapisać jako użytkownik serwisu. Za sto dolarów miesięcznie możesz ściągnąć wszystko, co zechcesz.

Wróciła na stronę główną i zarejestrowała konto.

- Możesz dostać zniżkę, jeżeli równocześnie zostaniesz użytkownikiem siostrzanej strony Cyber-Necro - dodał Boling.

- Jakiej?

Boling się uśmiechnął.

- Chyba się nazywa „Dziwki na żądanie”.

Skinęła głową.

- Prawdopodobnie zostanę tylko przy tej. I tak będzie trudno przekonać Charlesa, żeby mi pozwolił wrzucić to w koszty.

W ciągu pół godziny ściągnęli wszystkie filmy i zdjęcia z Solitude Creek. Zastanawiała się, kto nakręcił materiały wideo. Podczas rozmów ze świadkami pytała, czy ktokolwiek to robił; nikt się nie przyznał, być może nie chcąc wyjść na człowieka bez serca.

Nie znaleźli jednak nic istotnego dla sprawy. Obrazy, ruchome i nieruchome, były w niskiej rozdzielczości i ciemne. Żadnych tropów.

Dance przyglądała się długo pewnej fotografii, podobnej do jednego ze zdjęć, którymi na Vidsterze Prescott zilustrował swój fałszywy pean na cześć dżihadu. Jak wynikało z datownika na zdjęciu, przedstawiało wnętrze klubu kilka dni po zdarzeniu.

- Co? - zapytał O'Neil, widząc jej minę.

- Och, po prostu nie umiałam sobie przypomnieć, skąd znam tę twarz. - Pokazała. Mimo że ostrość zdjęcia ustawiono na plamach krwi, w lustrze za barem było widocznych kilka twarzy. Niewyraźnych, ale ta, którą wskazała, rysowała się całkiem wyraźnie.

- To kongresmen.

- Kongresmen?

- Nashima. Daniel Nashima. Pewnie wrócił, żeby obejrzeć klub, kiedy policja skończyła zabezpieczać ślady.

- Jeżeli mamy rok wyborczy - rzekł Boling - to będzie mówił o reformie przepisów przeciwpożarowych i tak dalej. Nie chcę, żeby to zabrzmiało cynicznie.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna, Jon - powiedziała Dance.

- Dzięki.

- Żałuję, że nie mogłem bardziej pomóc.

- Na tym właśnie polega policyjna robota - wtrącił O'Neil.

- Nawet kiedy coś się nie uda, i tak trzeba to robić.

Czyli komputer Prescottta okazał się klapą. Ale Dance spytała:

- A co z telefonem sprawcy?

Zgubił go w trakcie pościgu w okręgu Orange.

- Aparat na kartę z numerem z Chicago.

- Z takiego korzystał też pod Centrum Bay View, by podsunąć policji fałszywy trop, że morderca kieruje się na Fisherman's Wharf.

- Przypuszczam, że zmienia telefon co kilka dni - stwierdził Boling. - Na tym jest tylko kilka wiadomości. Wymienionych z numerem innego telefonu na kartę, z Kalifornii. - Zajrzał do notatek. - Odebrana: „Na razie bardzo zadowolony. Druga rata w drodze”. Wysłana: „To dobrze. Dzięki”. Odebrana: „Co dalej?”. Wysłana: „Sprzątanie. Wszystko będzie grać. Będę w kontakcie”.

- No... - szepnęła Dance.

O'Neil kiwał głową.

- Mamy swoją odpowiedź.

- Mamy - przytaknęła.

- Przepraszam? - zdziwił się Boling. - Jak to macie?

- Nasz sprawca to zawodowiec - wyjaśniła. - Pracuje dla kogoś.

Następnie zadzwoniła do TJ-a Scanlona, podała mu numer telefonu z Kalifornii i poprosiła go, żeby skontaktował się z operatorem i sprawdził, czy nadal jest aktywny.

- Robi się, szefowo.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Zastanowiła się nad nią. Ciekawe. Zapytała O'Neila:

- Masz zdjęcia tej niezidentyfikowanej kobiety, którą prawdopodobnie zamordował nasz sprawca?

- Jasne.

Połączył się z zabezpieczonym serwerem biura szeryfa i wyświetlił je na ekranie.

Dance na swoim komputerze otworzyła zdjęcia Stana Prescottta.

- Zgadza się - rzekł O'Neil. - Tak jak mówiliśmy: ten sam rodzaj modus operandi. Uduszenie albo asfiksja. Oboje leżą na wznak.

- Jeszcze coś - powiedziała. - Popatrz, oboje są w ostrym świetle.

- Może tylko tak upadli.

- Nie sądzę. Myślę, że przystawił lampy, żeby zrobić zdjęcia komórką. Przyszło mi to do głowy, kiedy oglądałam krwawe fotografie na płatnej stronie - wszystkie ciała też były dobrze oświetlone.

Skinął głową, rozumiejąc już.

- Dowód śmierci.

- Właśnie.

- To znaczy? - spytał Boling.

- Potrzebował wyraźnych zdjęć na dowód, że świadkowie zostali zlikwidowani. Píše w wiadomości o „sprzątaniu”. Zarabia na tym duże pieniądze i chce czarno na białym pokazać człowiekowi, który go wynajął, że nie zostawia żadnych śladów.

Buty za pięć tysięcy dolarów...

- Kapitalny pomysł - powiedział O'Neil. - Zaatakował w kilku miejscach, żeby to wyglądało na robotę psychopaty. A tymczasem ma na celu jedno konkretne miejsce. Dostał zlecenie, żeby je zniszczyć.

- Albo konkretną osobę - dodała po chwili Dance. - Niewykluczone, że został wynajęty, żeby zniszczyć jakieś miejsce. Ale i żeby zabić konkretnego człowieka.

O'Neil przytaknął skinieniem głowy.

- Jasne. To ma sens. Ale jeżeli chodzi o osobę, w takim razie o kogo?

- W szpitalu nikt w windzie nie mógł być celem ataku - orzekła Dance. - Bo skąd mógł wiedzieć, kto w tym momencie wsiądzie do kabiny? Centrum Bay View - też nie miałyby stuprocentowej pewności.

- Racja - zgodził się O'Neil. - Wszystkie ofiary śmiertelne utonęły. Nie mógł być pewien, że zginie jego. Skąd by wiedział, kto skoczy do zatoki? Nie, to był Solitude Creek. Ofiara była wśród publiczności.

- Wybucho panika - ciągnął. - Sprawca przebiera się z roboczego stroju. Jest na widowni. Podchodzi blisko ofiary i ją zabija. Może przewraca na ziemię, miażdży jej gardło, łamie żebro, które przebija płuco.

- Jest w tłumie. Ale nie...

- Zgadza się - podjął jej myśl O'Neil. - To potężny facet. Przeżyje taką przepychankę.



- Poza tym pamiętaj, że nie wybuchł pożar. Sprawca nie spłonąłby żywcem. Wiedział, że większości ludzi nic się nie stanie.

O'Neil przewijał notatki w telefonie.

- W Solitude Creek były trzy ofiary śmiertelne. Chyba trzeba będzie sprawdzić wszystkie.

Właśnie w tym momencie Dance olśniło.

*Od punktu A i B do Z...*

- Chodźmy się przejechać - powiedziała.

- My? - spytał Boling.

Uśmiechnęła się.

- Nie. Lepiej będzie, jeśli pojedziemy sami z Michaellem.

## ROZDZIAŁ 68

Dzień dobry, pani Dance. To znaczy agentko Dance.

- Cześć, Trish. To jest detektyw O'Neil z biura szeryfa w Monterey. Zdenerwowana. Naturalnie.

- Dzień dobry.

Detektyw skinął jej głową.

- Cześć, Trish. Przykro mi z powodu twojej matki.

- Aha, dziękuję. Faktycznie... ciężko mi z tym.

- Domyślam się.

Wszyscy troje stali na werandzie jednego z najładniejszych domów, jakie Dance widziała. Co najmniej sześćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Kamień, szkło i chrom. Dom jak w Beverly Hills, jak w Malibu. Dom zamożnego producenta albo gwiazdy filmowej.

Przy garażu stała zaparkowana ciężarówka z firmy transportowej. Robotnicy wnosili do domu pudła i meble - nie wynosili.

Dance wiedziała, że Frederick się wprowadza, ale dobrze, że ujrzała namacalny dowód na to, kto wynajął sprawcę z Solitude Creek.

- Ojciec jest w domu? - spytała.

- Nie. Pojechał odwiedzić ciocię i wujka na lotnisko. Ale powinien niedługo wrócić.

Konspiracyjny uśmiech.

- My tylko na chwilę. Wiem, że twój ojciec nie należy do moich fanów. Moglibyśmy zadać ci jeszcze kilka pytań?

- Wejdą państwo?

- Dziękuję.

Znaleźli się w korytarzu - większym niż salon Dance i jej kuchnia razem - a potem skręcili do gabinetu. Imponujące meble ze skóry i metalu. Samą kanapę można by było wymienić na nowego nissana pathfindera. Wszyscy usiedli.

- Hm, chodzi o to, że nie powiedziałam ojcu o naszej rozmowie w kawiarni - rzekła dziewczyna.

- Nie będziemy go wyprowadzać z błędu. - Dance uśmiechnęła się do niej. -

Jeżeli wróci.

W oczach Trish odmalowała się ulga.

- Super. Naprawdę dziękuję.

- Nie ma sprawy.

- Podobno zrobił to samo w Centrum Bay View.

- I w szpitalu - dodał O'Neil. - Wywołał pożar w windzie.

- Dlaczego to robi?

Oczywiście nie zamierzali jej wyjawiać motywu, jaki podejrzewali.

- Nie wiemy - odpowiedziała Dance. - Trudno dostrzec jakiś wyraźny powód.

Posłuchaj, Trish, przykro mi, że o to pytam, ale musimy wiedzieć coś więcej o śmierci twojej matki. Chodzi o parę faktów. Czujesz się na siłach odpowiedzieć?

Dziewczyna siedziała bez ruchu. Po chwili głęboko nabrała powietrza i skinęła głową.

- Jeżeli to wam pomoże złapać tego bydlaka.

- Mam nadzieję, że pomoże.

- W takim razie okay. Chyba.

- Przypomnij sobie tamten wieczór. W Solitude Creek. Kiedy zostałam rozdzielona z matką.

Skinienie głowy.

O'Neil, który czytał jej zeznanie, rzekł:

- O ile wiem, fala ludzi pociągnęła cię w stronę kuchni, a twoja matka znalazła się w tłumie napierającym na wyjścia awaryjne.

- Zgadza się.

- Ale zanim weszłaś do kuchni, widziałaś matkę, prawda? - pytała Dance.

Kiwnęła głową, patrząc przed siebie szklanymi oczami.

- Tak. Paliły się światła awaryjne. Wszystko widziałam.

- Trish, to trudne pytanie, ale muszę wiedzieć. Czy wyglądało tak, jak gdyby ktoś celowo zrobił krzywdę twojej matce? Odepchnął ją? Rzucił na podłogę? Żeby się ratować? - Nie chciała bynajmniej sugerować dziewczynie, że ojciec wynajął kogoś, aby zabił Michelle Cooper, jego byłą żonę.

- Och, myśli pani o aresztowaniu kogoś z tłumu w klubie?

- Kiedy ginie człowiek, trzeba koniecznie ustalić wszystkie szczegóły.

- Do protokołów - dodał O'Neil.

Trish pokręciła głową.

- Nie wiem. Kiedy widziałam ją ostatni raz... - Głos uwiązł jej w gardle. - Kiedy widziałam ją ostatni raz, machała do mnie, a potem zniknęła za filarem blisko ostatnich drzwi.

- Zauważyłaś obok niej kogoś, kto ją trzymał albo popychał?

- Nie. Ale zanim się zorientowałam, byłam już w kuchni, a potem upadliśmy na trawę i żwir, wszyscy krzyčili i płakali.

Łzy płynęły jej po policzkach. Dance sięgnęła do torebki i znalazła paczkę chusteczek.

- Proszę.

Trish otworzyła paczkę kleeneksów, wyciągnęła kilka, otarła oczy i wydmuchała nos.

Dance była rozczarowana, że nie usłyszała nic konkretnego. Ale musieli jeszcze ustalić kilka innych faktów - powoli i z finezją.

- Dziękuję, Trish, pomogłaś nam.

- Aha.

Dance rozejrzała się po pokoju.

- Twój ojciec wprowadza się tu z powrotem. Gdzie teraz mieszka?

- Mhm. Wprowadza się. Teraz mieszka w Carmel Valley.

- Ładne miejsce.

- Nie bardzo. To nie jego dom. W dodatku totalna nora. Mam do szkoły niecałe dwa kilometry, więc będzie większy sens, jak przeprowadzi się tutaj. A tu... - Rozejrzała się. - Raczej za bardzo nędznie nie jest, hm?

- Tutaj mieszkaliście, zanim twoi starzy się rozwiedli? - zapytał O'Neil.

Z finezją...

- Zgadza się.

Dance znów zerknęła na O'Neila. Niewierny mąż stracił dom w wyniku podziału majątku. Teraz do niego wracał. Nie mógł otrzymać tytułu własności - ten przypadek Trish w spadku po matce. Kiedy jednak dziewczyna osiągnie pełnoletność, mógłby ją przekonywać, aby mu go przekazała. Motyw numer jeden, który wskazywałby Fredericka Martina jako mordercę. Dance podejrzewała, że jest jeszcze numer dwa.

- To był trudny rozwód? - spytał O'Neil. Brzmi przekonująco, pomyślała Dance.  
W drodze przećwiczyli tę kwestię.

- Tak, było naprawdę nieprzyjemnie. Strasznie. Mówili o sobie okropne rzeczy.

- Współczuję - powiedziała Dance.

- Aha, było totalnie do kitu.

- Przypuszczam, że kwestia pieniędzy też była przykra - dodała Dance. -  
Rozmawiali o alimentach?

- Och, tak. Chyba tylko trochę inaczej to nazywali.

- Zobowiązania alimentacyjne - wtrącił O'Neil. Z nich dwojga to on miał  
bezpośrednie doświadczenia z rozpadu małżeństwa.

- Właśnie tak. Nie wiedzieli, że wiem. Ale słyszałam, jak rozmawiali. Była mowa  
o naprawdę dużych sumach. Jakichś piętnastu tysiącach miesięcznie.

Dance zakładała, że choć ojciec był zobowiązany do świadczeń na rzecz córki do  
ukończenia przez nią osiemnastu lat, obowiązek ustawał w przypadku śmierci albo  
zawarcia przez byłego małżonka ponownego małżeństwa. Martin zaoszczędziłby  
więc prawie dwieście tysięcy rocznie. Dla człowieka mieszkającego w małym  
domku w Carmel Valley, przypuszczalnie z niewielkimi dochodami, mógłby to być  
wielki zastrzyk środków.

Motywnumer dwa.

Poza tym Martin chyba wiedział, że Michelle będzie w klubie. Poleciliby sprawcy,  
żeby dopilnował, by dziewczynie nic się nie stało.

Ale czy naprawdę dałby mu takie zalecenie?

Poczuła, jak żołądek się jej przewraca. Gdyby dziewczyna też zginęła, ojciec  
zostałby jej spadkobiercą? Odzyskałby cały dom i majątek?

Usłyszała głos Trish:

- No i szkoda, że tato straci teraz to wszystko.

- Szkoda... Co takiego? - zdumiała się Dance.

- Bo nie ma złej pracy, ale naprawdę przydałyby mu się te pieniądze. Mógłby  
spróbować wrócić na uczelnię i tak dalej.

Chwilę panowała cisza. Słowa dziewczyny wirowały w głowie Dance jak  
puszczony w ruch bąk.

- To matka płaciła alimenty twojemu ojcu? - upewniła się.

- Aha.

- Dlaczego twoi rodzice się rozwiedli? - spytał O'Neil.

Trish spuściła wzrok.

- No, mama go zdradziła. A on jest fajny. Naprawdę w porządku. Ale mama... jakby... ciągle zadawała się z kimś innym. Nie z jednym facetem, ale z wieloma. Tato pracował na pół etatu, żeby się mną zająć i płacić za szkołę mamy. Sam nie skończył studiów. No więc kiedy się dowiedział, że go zdradza, i złożył pozew o rozwód, sędzia kazał jej płacić alimenty. Kurczę, nie wiem, co teraz robi, żeby zdobyć pieniądze.

Właśnie zniknął motyw, który mógł skłonić Fredericka Martina do zamordowania żony.

Dance zamierzała polecić TJ-owi, by sprawdził wszystkie te fakty, ale zdziwiłaby się, gdyby odkrył jakąś nieścisłość. Nie było wątpliwości, że dziewczyna mówi prawdę.

- Dziękuję za pomoc, Trish. Dam ci znać, jeżeli dowiemy się czegoś jeszcze.

- Naprawdę myślicie, że ktoś celowo zrobił mamie krzywdę, żeby się wydostać z klubu?

- Powoli dochodzimy do wniosku, że to mało prawdopodobne - odrzekł O'Neil.

- Gdyby tak nawet było - powiedziała dziewczyna - naprawdę nie miałabym mu tego za złe. Wtedy w klubie panowała straszliwa panika, to nie ludzie cisnęli się przy drzwiach. To tak jak nie można winić tornada albo trzęsienia ziemi. One nie myślą, nie zamierzają zrobić czegoś złego. One się po prostu zdarzają.

## ROZDZIAŁ 69

Siedząc przy swoim biurku, obok którego stał O'Neil, Dance odebrała telefon.

- Halo?

- Cześć, szefowo.

- TJ, przełączyłam na głośnik, jest ze mną Michael.

- Cześć, Michael. Bardzo się cieszę, kiedy ludzie mówią, że przełączają na głośnik. Pomyśl, ile pikantnych rzeczy chcieliby powiedzieć, a nie mogą.

- TJ?

- Pociągnąłem za odpowiednie sznurki i dostałem się do sądu. Tak jest, w niedzielę. Wersja dziewczyny się potwierdza. Trish. Czytałem umowę o podziale majątku i dokumenty sądowe, rozmawiałem z adwokatami. Frederick Martin zyskałby zero na śmierci swojej byłej. A nawet odnotowałby zysk ujemny, jeżeli istnieje coś takiego jak ujemny zysk. W każdym razie słono zapłaci za to, że Michelle zginęła. Córce też niewiele zostawiła. Dom, w zarządzie powierniczym, należy do niej, ale jest po szyję obciążony hipoteką. Trish dostaje niewielkie uposażenie. Resztę dostał niejaki Juan, ale to tylko pięćdziesiąt tysięcy. Za mało, żeby mordować. Zgadza się, powiedziałem „Juan”. Założę się, że to chłopak od czyszczenia basenu.

Dance westchnęła.

- Ale hipoteza jest słuszna, szefowo. Mamy jeszcze dwie ofiary śmiertelne w Solitude Creek. Może to one były celem.

- Myśleliśmy o tym i sprawdziliśmy, TJ - odezwał się O'Neil. - Jedną była studentka college'u, drugą dwudziestoparoletnia kobieta - zrobiła sobie tam wieczór paniński. Nie znaleźliśmy żadnego motywu.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia. Jestem ci potrzebny w biurze, szefowo?

- Nie. Tylko mi namierz tę firmę w Nevadzie, która zleciła pomiary przy Solitude Creek. Jutro rano mi to zreferujesz.

- Zrobi się, szefowo. - Rozłączył się.

O'Neil wyglądał na głęboko zamyślonego.

Dance spojrzała na zegarek.

- Och, miałam cię spytać. Myślałeś o konkursie talentów, na którym ma wystąpić

Maggie? Dzisiaj o siódmej?

*Może się zdarzyć, że będziemy mieli inne plany. Dam ci znać. Mogę kogoś przyprowadzić?*

- Powinienem cię wcześniej uprzedzić. Nie dam rady. Przeprós ją ode mnie.

- Jasne. Nie ma sprawy.

Razem wyszli z biura i skierowali się do wyjścia. Dance zauważyła, że w pokoju grupy specjalnej do sprawy Guzmana jest ciemno. Foster, Steve Dwa, Allerton i Gomez wyszli już do domu.

Na parkingu O'Neil i Dance podeszli do swoich samochodów zaparkowanych obok siebie.

- Ale sprawa, hm?

- Aha - odparł. Stali jeszcze chwilę. Wreszcie O'Neil powiedział:

- Dobranoc.

To było wszystko. Skinęła głową. Wsiadli do samochodów, jedno do radiowozu, drugie do nissana pathfindera, i nie patrząc na siebie, ruszyli w kierunku autostrady, po czym skręcili w różne strony.

Pół godziny później była w domu.

- Mamo! - Maggie czekała na werandzie przed wejściem.

Dance zadzwoniła wcześniej i powiedziała jej, że jest w drodze. Ale córka wyglądała na zdenerwowaną. Martwiła się, że mama się spóźni? A może dlatego, że matka zdąży na czas i nie będzie pretekstu, by nie jechać na przedstawienie? Chociaż Maggie zmieniła zdanie na temat śpiewania, Dance wiedziała, że ona nie cieszy się na ten występ.

- Daj mi kilka minut, a potem możemy jechać. Idź się przebrać.

Córka miała na tę okazję specjalny kostium.

Razem weszły do domu i Maggie zniknęła w swoim pokoju. Kathryn pocałowała Jona.

- Jak się czujesz? - spytał szeptem, delikatnie dotykając jej twarzy.

- Dobrze, a ty?

- Mój opatrunek jest większy od twojego opatrunku.

Zaśmiała się i pocałowała go jeszcze raz.

- Później porównamy siniaki. - Dostrzegła Wesa i Donniego na werandzie z tyłu.



Nie grali w swoją grę, ale z uwagą przeglądali jakiś japoński komiks. - Cześć, chłopcy!

- Dzień dobry, pani Dance.

- Hej, mamó.

- Wyjeżdżamy za piętnaście minut. Donnie, chcesz jechać na przedstawienie klasowe do szkoły Maggie? Jest o siódmej. Możemy cię odwieźć o dziewiątej.

- Nie, dziękuję. Muszę wracać do domu.

Wes schował komiks do swojej szkolnej torby.

Dance wypła łyk wina, które nalał jej Boling, a potem weszła na górę wziąć prysznic.

Kiedy się rozbierała, czuła bijący od swoich rzeczy zapach dymu - palonego oleju i gumy. Być może trzeba je będzie wyrzucić. Odkręciła wodę i gdy weszła pod parujący strumień, przeszył ją ból, dwa ukłucia były jak podwójny cios: w prawym boku od naciągniętego mięśnia i w rozciętym policzku. Pozwoliła się chłostać wodzie przez całe pięć minut, po czym wyszła z kabiny i wytarła się ręcznikiem.

Oglądając ranę na twarzy, zauważyła, że po rozcięciu zostanie blizna, a siniak zdobywa coraz większe terytorium. Pewnie powinna jednak wstąpić na ostry dyżur, żeby to obejrzeć.

Pomyślała z ironią o zadziwiającej dynamice swojego życia. Trafiła w środek ogarniętego paniką tłumu gości parku rozrywki, wciskała się do windy, aby uratować rodzącą kobietę i mężczyznę, który się dusił... a teraz jedzie na występ dziesięciolatki w szkole.

Ubrała się - w czarną bluzkę, fantazyjne džinsy i granatową marynarkę. Do tego złote aldo na obcasach w egzotycznych kolorach. Zerknęła w lustro. Rozpuściła włosy, by trochę ukryć zsiniałą szczękę i policzek.

Na dole zawołała:

- Donnie? Przyjechałeś na rowerze? Nie zauważyłam go.

Chłopiec patrzył na nią chwilę.

- Nie - odezwał się Wes. - Zostawiliśmy rowery u niego.

- Może cię podwieźć do domu? Mamy po drodze do szkoły Mag-gie.

Donnie zerknął na Wesa, po czym się odwrócił.

- Nie, dziękuję, pani Dance. Wolę się przejść.

- Jak chcesz. Chodź, Wes, musimy jechać.

Przybili z Donniem żółwia i jej syn wszedł do przedpokoju.

- Maggie! - krzyknęła Dance.

Córka pojawiła się na dole.

- Proszę, proszę - rzekł Boling.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Pięknie, Mags - pochwaliła Kathryn.

- Dziękuję - odparła nienaturalnie poważnym tonem. Sztywne zachowanie to forma uniku.

- Naprawdę.

Maggie rzeczywiście wyglądała bardzo ładnie. Miała na sobie białą sukienkę z cekinami, którą jej wyszperała w Macy's. Strój był idealny dla śpiewającej Elsy, królowej czy księżniczki lodu. Całości dopełniały jasnoniebieskie legginsy i białe buty.

Podeszli do samochodu - Boling utykał bardziej niż ona - wsiedli i zapięli pasy. Kathryn zajęła miejsce za kierownicą. Wyjechali na ulicę. Zatrąbiła, a Donnie Verso odwrócił się i pomachał. Włączyła odtwarzacz i zaczęli słuchać Happy, piosenki, która szybko wpadała w ucho. Boling próbował śpiewać razem z Pharrellem Williamsem.

- Beznadzieja - uznał.

Miał rację.

- Popracuję nad tym.

- Ja bym się nie martwił - powiedział Wes. Wszyscy się zaśmiali. Kathryn przełączyła płytę na utwór Broken Bells.

Po dziesięciu minutach dotarli do szkoły Maggie. Parking był pełen. Dance zatrzymała nissana niedaleko sali gimnastycznej i wysiedli. Zamknęła samochód.

- Chodźmy do green roomu.

- A co to? - zainteresowała się Maggie.

- Pokój za kulisami, gdzie można coś przekąsić.

- To idziemy! - zawołał Wes.

Otoczyła ramieniem córkę.

- Chodź, Elso. Pora zachwycić publiczność.  
Maggie nie odpowiedziała.

## ROZDZIAŁ 70

Jeszcze pan w pracy, detektywie? I to w niedzielę?

O'Neil uniósł wzrok i zobaczył Gabriela Riverę. Zastępca szeryfa, jak zawsze w mundurze, stał w drzwiach niewielkiego pokoiku O'Neila w budynku biura szeryfa w Salinas. Choć szef zniechęcał go do tego, młody funkcjonariusz niewzruszenie okazywał mu szacunek, tytułując go detektywem.

- Ty chyba też, jeżeli się nie mylę.

- Za niedzielę płacą potrójnie, prawda?

O'Neil się uśmiechnął.

- Co jest?

- Zidentyfikowali te zwłoki w Santa Cruz. Miał pan rację. Bezdomny, który od czasu do czasu pomieszkiwał w schronisku. Badanie krwi wykazało, że był pijany. - Zwalisty policjant pokręcił głową. - A jeżeli chodzi o Granta, nie ma nic. Po prostu ani śladu. Ma pan jeszcze jakiś pomysł? Bo ja jestem w kropce.

Ponieważ sprawca z Solitude Creek ciągle był na wolności, O'Neil musiał przekazać innym większą część sprawy zniknięcia Ottona Granta. Nikt nie widział farmera, który stracił ziemię.

- Rozszerzyliście poszukiwania na okoliczne okręgi?

- Aż po koniec Doliny Kalifornijskiej. Zero.

- A w sieci od ostatniego postu nic się nie pojawiło?

- Od pięciu dni nic.

Wtedy farmer napisał kolejną diatrybę przeciwko władzom stanowym.

*UKRADLIŚCIE moją ziemię na podstawie jakiejś parodii prawa o wywłaszczeniu!*

- Pokazałeś te posty doktorowi Shepherdowi?

- Pokazałem - przytaknął Rivera. - Zgadza się, że te uwagi mogą przemawiać za samobójstwem, ale nie udało mi się znaleźć żadnych innych oznak. Nie uporządkował swoich spraw. Nie wykupił ubezpieczenia na życie. Nie dzwonił do sąsiadów ani kumpli z wojska, ani krewnych, żeby się pożegnać.

- Znamy miejsca, do których mógł uciec?

- Sprawdziłem nad jeziorami, gdzie lubił łowić, wynajmował domki. Kasyno

w Nevadzie, tam czasem bywał. I nic.

O'Neil nawet nie pytał o karty kredytowe ani lokalizowanie telefonu komórkowego. Rivera sprawdził to wcześniej.

- W takim razie chyba niewiele mamy do roboty, dopóki jacyś biwakowicze nie znajdą zwłok. Albo wędkarze.

*Są gorsze rodzaje śmierci, niż zasnąć w zatoce...*

- A w sprawie naszej N.N.?

O'Neil spojrział na zdjęcie kobiety, która zmarła na skutek asfiksji - prawdopodobnie kolejnej ofiary sprawcy z Solitude Creek. Leżała na wznak pod lampą w nędznym pokoju motelowym.

- Dostałem wiadomości zwrotne z Nevady, Oregonu, Arizony, Kolorado. Fotografia nie pasuje do żadnego ze zdjęć do prawa jazdy w bazach danych. Ale sprzęt do rozpoznawania twarzy... - Wzruszył ramionami. - Sam pan wie. Może być trafienie, może być pudło. Są już zdjęcia w stanowych i federalnych komunikatach o zaginionych. Była młoda, na pewno ma rodzinę, która się o nią martwi.

- Niewiele więcej możemy zrobić.

- Zostaje pan jeszcze? - zapytał Rivera.

- Jeszcze trochę.

- W takim razie dobranoc.

- Nawzajem, Gabe.

O'Neil się przeciągnął. Zerknął na różową karteczkę z wiadomością o telefonie. Oddzwonił już wcześniej.

Dzwoniła Annę.

Pomyślał o swojej byłej żonie. Potem o występie Maggie, który wkrótce się zacznie. Żałował, że go tam nie ma. Miał nadzieję, że dziewczynka nie poczuje się zawiedziona.

Będzie tam Jon...

Ale obecność jej chłopaka nie była powodem, dla którego nie mógł być na widowni. Bynajmniej. Naprawdę miał inne plany na wieczór. Dziwne, że Dance w ogóle o nim wspomniała. O'Neil od początku zakładał, że Boling przyjdzie na występ.

Będzie tam Jon...

Wystarczy. Daj spokój.

Lepiej wracać do pracy.

Na biurku leżał wstępny raport z oględzin miejsca zdarzenia w szpitalu, który Michael O'Neil właśnie czytał. Osiemdziesiąt procent policyjnej roboty to tony papierów albo zapisanych bajtów.

Zrobił notatki z nowego raportu, po czym otworzył parę poprzednich, aby porównać dane: z Solitude Creek, z Centrum Bay View i z okręgu Orange.

*...w odcisku stopy długości czterdziestu trzech centymetrów od strony drzwi kierowcy pojazdu podejrzanego ujawniono częściowy odcisk wzoru przedniej części podeszwy długości dwóch centymetrów, niemożliwy do zidentyfikowania...*

Czytał i czytał.

Ale i myślał: pewnie była kiedyś taka chwila, w której mogłoby się nam udać, Kathryn i mnie. Ale minęła. Zmieniły się okoliczności.

Zaraz. Nie. To nie tak.

Była chwila, w której na pewno by się udało. Nie „mogłoby”.

Spostrzeżenie, że zmieniły się okoliczności, było jednak trafne. Tak więc to, co mogłoby się stać - i co byłoby naprawdę dobre - już się nie stanie.

Są inne. Okoliczności.

Takie jest życie. Na przykład Annę, jego była. Z pewnością się zmieniła. Zdumiał się, niemal osłupiał, kiedy w zeszłym tygodniu odebrał ten telefon. Mówiła do niego jak osoba, którą zapamiętał sprzed wielu lat, kiedy się poznali. Wydawała się rozsądna, życzliwa i zabawna.

Nagle surowo upomniał samego siebie, że nie powinien myśleć o Kathryn Dance.

Wracaj. Do tego.

*...akceleratorem ognia był eter diety Iowy, około 600 ml, zapalony zapałką Diamond Strike Anywhere, zabezpieczoną w miejscu wzniesienia ognia. Zapałka zwykła, źródło pochodzenia nie do wykrycia...*

Kathryn była z Jonem Bolingiem.

Zatem O'Neil też musiał pójść w swoją stronę.

Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Dla jego dzieci, dla Dance, dla Bolinga. Był przekonany, że tak właśnie należy postąpić.

*...Zeznanie świadka nr 43 z miejsca zdarzenia w Centrum Bay View, Jamesa Kellogga: - Stałem, zaraz, tak, stałem niedaleko ulicy, tej, która przecina Cannery Row. Nie jestem stąd, więc nie pamiętam, jaka to ulica. I nagle nie wiem, co jest grane, skąd tyle policji, co się dzieje? Terrorysta? Wcześniej, jakieś pięć minut wcześniej, słyszałem strzały albo petardy, ale nie miałem pojęcia, co to było. Nic nie widziałem - rozejrzałem się po ulicy-ale nie widziałem nic dziwnego. Znaczą się, widziałem, ale pomyślałem, że to normalne przestępstwo, nie żaden atak na klub.*

*- Ten facet był wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, miał szorty, ciemne okulary i czapkę - ale chyba blondyn, bo było widać. Rozglądał się i podszedł do jednego wozu, do SUV-a, zajrzał do środka i otworzył drzwi. Widziałem, jak zagląda do damskiej torebki. Myślałem, że chce coś ukraść, ale po prostu ją odłożył, więc to nie był złodziej.*

*- Co to był za samochód?*

*- Hm, nissan pathfinder. Szary. Pewnie facet nic nie ukradł, dlatego że to musiał być policyjny wóz. Miał na tablicy rozdzielczej niebieskiego koguta.*

O'Neil zamarł w bezruchu. Odsunął się z krzesłem od biurka. Nie! Niech to szlag. Sprawca grzebał w samochodzie Dance. Zobaczył jej dokumenty, dowiedział się, gdzie mieszka. Śledził ją. Zobaczył ją razem z Jonem Bolingiem. Dlatego wziął go na cel, zepsuł mu hamulce w rowerze. I...

Nagle poraziła go następna myśl. Dance mówiła mu, że ma w samochodzie ulotki o dzisiejszym występie. Całkiem możliwe, że sprawca je zobaczył.

Szkolna aula. Doskonałe miejsce na atak.

Chwycił telefon i zadzwonił do dyspozytorni.

- Halo?

- Sharon, tu Michael. Jest podejrzenie dwa cztery pięć w szkole podstawowej Pacific Hills. W Pacific Grove. Wyślij zespoły bez sygnałów. Kiedy uzyskam więcej informacji, zawiadomię cię.

- Zrozumiałam. Wysyłam. I czekam na dalsze instrukcje.

Rozłączyli się.

Jak to rozegrać? Gdyby zarządził ewakuację, a sprawca już zdążył pozamykać

drzwi, może się to skończyć wybuchem paniki i ucieczką. Do tego nie mógł dopuścić.

A może nawet jest za późno, by cokolwiek zrobić?

Zadzwoi do Dance i uprzedzi ją. Sama się zorientuje, czy istnieje sposób, żeby spokojnie wyprowadzić z sali rodziców i dzieci, zanim sprawca zacznie działać.

Złapał komórkę i wcisnął klawisz szybkiego wybierania numer jeden.



## ROZDZIAŁ 71

Wes i Jon Boling pałaszowali smakołyki w green roomie.

Trochę inne niż w Madison Square Garden albo MGM Grand, gdzie, jak przypuszczała Dance, za kulisami serwowano szampana Dom Perignon i kawior. Tu mogli się częstować krakersami Ritz, chipsami Doritos oraz mlekiem i sokiem w kartonach (szkoła, podobnie jak dom Dance, była strefą wolną od napojów gazowanych).

Nagle publiczność ucichła: za chwilę miało się rozpocząć przedstawienie. Boling szepnął, że idą znaleźć swoje miejsca, i razem z Wesem wyszli.

Kathryn została, przyglądając się córce, gdy stały razem w pobliżu wejścia na scenę. Maggie wpatrywała się w publiczność, było około dwustu osób.

Na jej nieszczęsnej twarzy malowało się napięcie i przygnębienie. Nagle odezwał się telefon Dance, ściszony, ale poczuła wibrację. Za chwilę odbierze. Na razie skupiała całą uwagę na córce.

- Maggie?

Dziewczynka uniosła wzrok. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

Co się, u licha, dzieje? Tygodnie lęków, niepokojów o ten występ. Huśtawka emocji.

Kathryn wykonała nagły przeskok. Z matki zmieniła się w policjantkę. Popełniła błąd, przyglądając się mękom córki. Patrzyła na jej zdenerwowanie przez pryzmat typowych dla wieku lęków i niepewności. W rzeczywistości powinna potraktować tę kwestię jak przestępstwo. Powinna myśleć o intrygach, motywach, modus operandi.

*Od punktu A i B do Z...*

Błyskawicznie zorientowała się, o co chodzi. Przecież to jasne. Miała wszystko jak na dłoni. Po prostu nie pomyślała, żeby złożyć te kawałki w całość. Zrozumiała prawdę: jej córka padła ofiarą wymuszenia.

Szantażystką była Bethany, zresztą cały Klub Sekretów też zrobił swoje...

Przypuszczała, że Bethany, na pozór niezwykle grzeczna, jest mistrzynią subtelnej tyranii, a jej bronią są sekrety. Aby wstąpić do klubu, należało wyjawic jakiś sekret, przyznać się do czegoś wstydlwego: zmoczenia się w łóżku, kradzieży pieniędzy,

rozbicia wazonu w domu, okłamania rodzica albo nauczyciela, jakiegoś zdarzenia z podtekstem seksualnym. Potem Bethany i jej paczka mogły to wykorzystać, aby zmusić dziewczyny z klubu do zrobienia wszystkiego, czego sobie zażyczy przywódczyni.

Opory Maggie przed występem stały się jasne. W ogóle nie zamierzała śpiewać *Mam tę moc*. Dziewczyny z klubu prawdopodobnie kazały jej się nauczyć zupełnie innej piosenki, może nieprzyzwoitej, kompromitującej - może szydzącej z pani Bendix, ich nauczycielki, cudownej kobiety, chociaż przysadzistej i ubierającej się byle jak. Łatwy cel dla młodzieńczego okrucieństwa.

Dance przypomniała sobie, że gdy się zgodziła, by Maggie nie wystąpiła w konkursie, jej córka odetchnęła z ogromną ulgą: jeśli przeciwstawi się klubowi, może liczyć na wsparcie mamy. Ale radość nie trwała długo. Niedawny telefon od Bethany był złowieszczym ostrzeżeniem, że wszystko jedno, na co pozwoli jej matka, Maggie i tak musi zaśpiewać.

Inaczej jej sekret zostanie ujawniony.

Ogarnęła ją wściekłość. Poczwała, że poca się jej dłonie. Co za wredne gówniary...

Znowu zawibrował jej telefon. Jeszcze raz go zignorowała.

Otoczyła ramieniem Maggie.

- Kochanie, porozmawiajmy chwilę.

- Ale...

- Porozmawiajmy. - Uśmiech.

Odeszły w głąb green roomu. Widziały stąd jedną z koleżanek Maggie, Amy Grantham, która wykonywała scenę baletową z *Dziadka do orzechów*. Nieźle tańczyła. Dance spojrzała na publiczność. Zobaczyła siedzących pośrodku swoich rodziców, a obok Wesa i Bolinga. Na krzesła, które dla niej zajęli, wisiała marynarka.

Odwróciła się do córki.

Podjęła decyzję. Maggie nie wystąpi. Wykluczone. Wszystko jedno, co to był za sekret, natychmiast musi jej o nim powiedzieć. Wyjawiając go, uwolni się od ich władzy.

Zresztą jakież to straszny występ mogła popełnić dziesięciolatka?

Znowu poczuła drżenie telefonu.

Trzy razy. Zbyt długo zwlekała z odebraniem. Wyciągnęła aparat z futerału. To nie było połączenie głosowe, tylko SMS. Od Michaela O'Neila.

Przeczytała wiadomość, napisaną wielkimi literami.

No tak. Hm.

- Co się stało, mamó?

- Chwileczkę, kochanie.

Wcisnęła klawisz szybkiego wybierania numer jeden.

Klik.

- Kathryn! Czytałaś wiadomość?

- Czyta...

- Sprawca grzebał w twoim samochodzie. Pod Centrum Bay View. Musimy zakładać, że wie o koncercie Maggie. Wysłałem ludzi. Nie wiadomo, co planuje, ale trzeba ewakuować szkołę. Tylko postaraj się to zrobić cicho. Sprawdź wszystkie wyjścia - pewnie są zamknięte na jakiś drut. - Michael O'Neil zwykle mówił mniej w ciągu pół godziny. - Musisz więc sprawdzić, czy pracownicy techniczni mają nożyce do drutu. Ale subtelnie. Jeżeli zaczniesz wyprowadzać ludzi...

- Michael.

- Jest dwadzieścia po siódmej, więc zgodnie z jego profilem może zaatakować w każdej chwili. Czeka na rozpoczęcie przedstawienia, a potem...

- Jest na dworze.

- Jest... Co?

- Przedstawienie. Koncert Maggie. Jesteśmy na boisku za szkołą. Nie w sali gimnastycznej ani auli.

- Ach, tak. Na dworze.

- Nie ma ryzyka, że zostaniemy uwięzieni. Że się stratujemy.

- Nie ma.

- Nawet kulisy są na zewnątrz, oddzielone od sceny tylko zasłonami.

- Jesteście na dworze - powtórzył.

- Tak. Ale dzięki.

- Hm... To dobrze. - Po chwili dodał: - Powiedz Maggie, że życzę jej powodzenia.

Szkoda, że mnie tam nie ma.

- Dobranoc, Michael.

Rozłączyli się.

*Na dworze...*

Ulga w jego głosie zabrzmiała tak dramatycznie, że wydawała się niemal komiczna.

Wróciła do rozmowy z córką.

- Kochanie, Mags... Posłuchaj. Musisz mi coś powiedzieć. Cokolwiek to jest.

- Hm?

- Wiem, dlaczego się tak denerwujesz.

- Nie denerwuję się. - Spojrzała na swoją nieskazitelną lśniąca sukienkę i wygładziła ją ruchem ręki. Jeden z bardziej wymownych sygnałów kinezycznych.

- Myślę, że się denerwujesz. Nie cieszysz się, że wystąpisz.

- Cieszę.

- Ale chodzi o coś jeszcze. Powiedz.

- Nie chcę o tym mówić.

- Posłuchaj. Kochamy się, a ludziom, którzy się kochają, czasem nie wystarczy powiedzieć coś takiego. Mów prawdę. Dlaczego nie chcesz śpiewać?

Może Klub Sekretów i jego wredna królowa Bethany zmusiły jej córkę, żeby rzuciła w nauczycielkę tortem albo balonem pełnym wody. Jeszcze gorzej? Przypomniała sobie Carrie Stephena Kinga, gdzie bohaterka zostaje oblana krwią na scenie.

- Kochanie? - powiedziała cicho.

Maggie spojrzała na nią, po czym odwróciła wzrok.

- To straszne - wykrztusiła.

I wybuchnęła rozzwierającym płaczem.

## ROZDZIAŁ 72

Kathryn Dance siedziała w trzecim rzędzie obok Jona Bolinga i Wesa, niedaleko swoich rodziców, i oglądała korowód artystów występujących w programie „Szósta klasa pani Bendix ma talent!”.

- Jak się bawisz? - spytała szeptem Jona. Zdumiewające, ile razy w ciągu jednej godziny można zapomnieć tekst piosenki, pomylić kroki w tańcu i zagrać fałszywy dźwięk.

- Lepiej niż na wszystkich telewizyjnych reality show - odpowiedział.

Racja, zgodziła się Kathryn. Znowu udało mu się pokazać coś z nowej perspektywy.

Odegrano kilka scen ze sztuk, w których występowało troje czy czworo uczniów (cała klasa liczyła trzydzieści sześć osób), co znacznie skróciło czas całego przedstawienia. Występy solowe nie składały się z całych koncertów Rachmaninowa. Były to raczej utwory z książek do nauki gry metodą Suzuki albo skrócone wersje przebojów Kąty Perry.

Sześć razy wykonano *The Cup Song*.

Kiedy nadeszła kolej Maggie, dochodziło wpół do dziewiątej. Pani Bendix zapowiedziała ją i dziewczynka pewnym krokiem wyszła zza kulisy w swojej połyskliwej sukience.

Kathryn głęboko nabrała powietrza. Zorientowała się, że ściska rękę Bolinga, tę zabandażowaną. Dość mocno. Poprawił ją.

- Przepraszam - szepnęła.

Pocałował ją we włosy.

Jej córka stanęła przed mikrofonem i spojrzała na widownię.

- Jestem Maggie i zaśpiewam *Mam tę moc z Krainy lodu*, która jest super filmem, moim zdaniem lepszym od Lego: Przygody i prawie wszystkich filmów o Barbie. Jeżeli ktoś z was go nie widział, chyba powinien. Znaczy się, zobaczyć. Powinien go koniecznie zobaczyć.

Zerknęła na mamę, uświadamiając sobie, że znów wyrwało się jej piętnowane przez nią wyrażenie.

Dance uśmiechnęła się wyrozumiale.

Maggie zamilkła i lekko pochyliła głowę. Przypomniała sobie coś jeszcze:

- Aha, chciałam jeszcze podziękować pani Gallard, że mi akompaniuje.

Skinęła głową nauczycielce muzyki.

Zabrział przejmujący molowy wstęp do pięknego utworu. Fortepian umilkł, pauza... a potem, precyzyjnie trafiając w punkt, Maggie przerwała ciszę pierwszymi słowami piosenki. Na początku śpiewała powoli i cicho, jak w filmie, później jej głos stopniowo nabierał mocy i pewności, wydobywając się z głębi piersi. Dance ukradkiem zerknęła na publiczność. Większość widzów słuchała urzeczona, kiwano głowami do rytmu. I prawie wszystkie dzieci poruszały ustami, a nawet śpiewały razem z nią.

Kiedy nastąpił łącznik, na podobieństwo operowego recytatywu, Maggie wykonała go bezbłędnie, co do nutki. Wreszcie zaśpiewała finałową zwrotkę, znakomicie rzucając jakby mimochodem błahe słowa o chłodzie, który i tak nigdy jej nie przeszkadzał.

Zerwała się burza gorących i szczerych oklasków. Dance domyślała się, że publiczność chce zgotować Maggie owację na stojąco, ale ponieważ wcześniej tego nie robiła, nie mogła tego zrobić teraz. Zresztą to nie miało znaczenia; widziała, że córka jest zachwycona. Z promiennym uśmiechem dygnęła - ćwiczyła to prawie tak samo pilnie jak piosenkę.

Posłała Maggie całusa. Oparła głowę o ramię Bolinga, a on przytulił Kathryn do siebie.

- No, no, Jackie Evancho - powiedział Wes.

Nie całkiem. Dance postanowiła jednak, że w tym roku do lekcji gry na skrzypcach dorzuci jeszcze lekcje śpiewu. Zaśmiała się głośno.

- Co? - spytała ją Edie.

- Nic, po prostu świetnie się spisała.

- Wspaniale.

Nie powiedziała matce, że przyczyną śmiechu nie jest występ Maggie, ale rozmowa, którą odbyły pół godziny wcześniej w green roomie.

- Kochanie?

- To straszne.

Kiedy płacz ustał, Kathryn oznajmiła:

- Wiem, o co chodzi, Mags. Wiem o klubie.

- O klubie?

Wyjaśniła, że wie o Klubie Sekretów i o szantażu.

Maggie patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby matka właśnie powiedziała, że zatokę Monterey napełniono mlekiem czekoladowym.

- Mamo, co ty, nie, Bethany jest super, nigdy by nie zrobiła czegoś takiego. Czasem zaczyna zgrywać szefową, patrzcie, jaka jestem ważna i tak dalej. Ale jest fajna. Same wybrałyśmy ją na przewodniczącą.

- Co mówiła, kiedy dzwoniła dzisiaj rano? Byłaś zdenerwowana.

Zawahała się.

- Powiedz, Mags.

- Mówiłam jej, że powiedziałaś, że nie muszę śpiewać, a ona, że rozmawiała z całym klubem i wszystkie naprawdę chcą, żebym zaśpiewała. Normalnie wszystkie.

- Żebyś śpiewała Mam tę moc?

- Aha.

- Dlaczego?

- Bo mówiły, że jestem jakby gwiazdą klubu. Że jestem dobra. One nie mają za bardzo talentu, to znaczy reszta dziewczyn. No bo tak, Leigh ma układ z pałeczkami. Ale Bethany i Carrie? Widziałaś, jak próbowały zagrać scenę z Kung Fu Pandy?

- Wyglądało dość mamie.

- Mhm. Tylko ja w klubie jestem muzykalna. Powiedziały jeszcze, że nikt nie będzie chciał słuchać głupiego rzępolenia na skrzypcach. I że klub nie będzie za dobrze wyglądał, jeżeli któraś z nas nie zrobi czegoś niesamowitego na przedstawieniu.

- Czyli nie zamierzały ujawnić twojego sekretu, nie chciały cię skrzywdzić?

- Nie zrobiłyby tego.

- Możesz mi wyjawić swój sekret?

- Nie mogę.

- Proszę cię. Nikomu nie powiem.

Nastąpiła chwila wahania. Maggie rozejrzała się dookoła.

- Może. Nikomu nie powiesz?

- Przysięgam.

Szepnęła:

- Nie lubię Justina Biebera. Nie jest fajny i nie podoba mi się to, co robi na scenie.

Dance czekała.

- To wszystko? Cały twój sekret?

- Aha.

- W takim razie dlaczego nie chciałaś śpiewać, kochanie?

Jej oczy znów zamglily się łzami.

- Bo się boję, że stanie się ta straszna rzecz. To będzie najgorsze. Będę stała przed wszystkimi.

- Co się stanie?

- Pamiętasz, jak mi mówiłaś o naszych ciałach i że kiedy robimy się starsi, dzieją się różne rzeczy?

Boże, martwiła się, że na scenie dostanie miesiączki. Dance chciała poruszyć ten temat, gdy Maggie powiedziała:

- Billy Truesdale.

- Billy. Z twojej klasy, prawda?

Skinęła głową.

- Jest w moim wieku.

Dance przypomniała sobie, że mieli urodziny mniej więcej w tym samym czasie. Wyjęła chusteczkę i osuszyła córce oczy.

- Co z tym Billym?

- No więc... - zaczęła Maggie, pociągając nosem. - W zeszłym miesiącu śpiewał na apelu. Był naprawdę dobry i śpiewał hymn państwowy. Ale nagle... przy wysokim dźwięku coś się stało, jego głos zrobił się strasznie dziwny, jakby się załamał i zaczął skrzeczeć. I Billy nie mógł już dalej śpiewać. Wszyscy się z niego śmiali. Wybiegł z auli, płakał. A potem usłyszałam, jak ktoś mówi, że tak to już jest w tym wieku. Głos mu się zmieniał. - Na chwilę zaniemówiła. - Jestem w tym samym wieku. I tak samo będzie ze mną. Na pewno. Wyjdę na scenę - i wiesz, przy którymś dźwięku w piosence, tym wysokim - stanie się to samo!



Kathryn zacisnęła zęby i głęboko wciągnęła powietrze przez nos, by powstrzymać uśmiech, który drgał w kącikach ust. Pomyślała o jednej z podstawowych stron rodzicielstwa: kiedy dochodzisz do wniosku, że przygotowałeś się na każdą ewentualność i opracowałeś stosowne plany, nagle coś spada na ciebie jak grom z jasnego nieba.

Jeszcze raz otarła łzy z oczu Maggie, a potem przytuliła córkę.

- Mags, muszę ci coś powiedzieć.

KREW WSZYSTKICH

PONIEDZIAŁEK, 10 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 73

Dance obudziła się wcześniej i zlustrowała skutki pizama party, które urządziła dla Klubu Sekretów po wczorajszych występach. Salon nie wyglądał źle jak na miejsce zabawy stada dziesięcio- i jedenastoletnich dziewczynek. Na stolikach walały się resztki pizzy, na podłodze popcorn, brokat z makijażu, z którym eksperymentowała któraś z nich, ślady lakiem do paznokci tam, gdzie nie powinno ich być, wszędzie porzucane ubrania po zaimprovizowanym pokazie mody. Mogło być znacznie gorzej.

Wracając wieczorem do domu, Maggie była niekwestionowaną celebrytką, godną najwyższych honorów. Bez względu na to, jakie inne kluby towarzyskie działały w szkole Pacific Hills, Siostry Sekretów wymiatały.

Kathryn z przyjemnością przekonała się też (był to jeden z powodów zorganizowania pizama party w jej domu), że wszystkie dziewczynki są całkiem sympatyczne. Owszem, Bethany prawdopodobnie zostanie kiedyś figurą w jednym z waszyngtońskich gmachów, z którą nie będzie chciał wchodzić w szranki żaden przeciwnik polityczny. Niech Bóg ma w swojej opiece męża Leigh. A Carrie umiała pisać kod, który zrobił wrażenie nawet na Jonie Bolingu. Ale wszystkie były jednakowo miłe, życzliwe i zabawne.

Edie Dance też została na noc, aby rano zająć się śniadaniem - przygotować hybrydowe specjalności córki, czyli gośniki i nalefity - a potem zadbać, by dziewczynki były gotowe do wyjścia, gdy przyjadą po nie rodzice. Z powodu wieczornego przedstawienia lekcje zaczynały się dziś później.

Kathryn, ubrana już do pracy, powiedziała do Edie:

- Dzięki, mamó. Przytuliła ją. - Tylko nie waż mi się sprzątać. Zrobię to po powrocie.

- Pa, skarbie.

Kiedy szła do drzwi, w korytarzu ukazała się Bethany w pizamie z Hello Kitty. Agentka już dawno doszła do wniosku, że w rysunkowym zwierzaku czai się jakaś perfidia.

- Tak, Bethany?

- Pani Dance, chciałam o czymś z panią porozmawiać. - Śmiertelnie poważny ton.

Spojrzała na nią z uwagą i skinęła głową.

- O co chodzi?

- Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem i postanowiliśmy, że może pani należeć do Klubu Sekretów.

- Naprawdę?

- Tak, lubimy panią. Naprawdę jest pani bardzo fajna. Ale żeby przystąpić do klubu, musi pani wyznać sekret. Bo właśnie dlatego...

- ...nazywacie się Klub Sekretów.

- Mhm.

Z poważną miną spytała:

- Ważny sekret?

- Jakiś sekret.

Kathryn spojrzała na fotografię zrobioną jej i Bolingowi przez kelnera na degustacji wina podczas weekendu w Napa, nie tak dawno temu.

Nie.

Zajrzała do kuchni.

- Dobrze. Już mam.

- Jaki? - Oczy piegowatej dziewczynki otworzyły się szeroko.

- Gdy byłam w twoim wieku, w czasie kolacji polałam masłem kawałek brokuła i nakarmiłam nim psa, kiedy matka nie patrzyła.

- Ona? - Bethany zerknęła na Edie Dance w sąsiednim pomieszczeniu.

- Ona. Wierzę, że nikomu nie powiesz.

- Nie. Nie powiem. Ja też nie lubię brokułów.

- Są obrzydliwe, prawda?

Bethany pokiwała głową, jak gdyby rozpatrywała wniosek złożony przez jedną ze stron w procesie. Po chwili wydała orzeczenie.

- Przyjmiemy panią w głosowaniu. - Odwróciła się i truchtem wróciła do pokoju, gdzie budziły się pozostałe dziewczynki.

Formalna i prawdopodobnie jedyna dorosła członkini Klubu Sekretów Pacific Hills wyszła z domu. Przywitała skinieniem głowy funkcjonariusza z biura szeryfa, który pilnował domu, i uśmiechnęła się do niego. Pomachał. Dance wsiadła do nissana i pojechała do biura. Ledwie weszła do holu, zauważył ją Rey Carreneo

i rzekł:

- Zbadałem sytuację, o której mi mówiłaś. - Podał jej teczkę. - Wszystko jest w środku.

- Dzięki.

- Coś jeszcze, Kathryn?

- Jeszcze nie. Ale bądź pod ręką.

- Jasne.

Otworzyła teczkę, przerzuciła jej zawartość. Potem zamknęła i ruszyła labiryntem korytarzy do gabinetu Overby'ego. Szef zaprosił ją gestem do środka, odkładając słuchawkę telefonu stacjonarnego.

- Sacramento - rzucił z grymasem. Logicznym następstwem byłoby wyjaśnienie, lecz nie kwapił się z jego udzieleniem, a Dance nie naciskała. Przypuszczała, że dzwoniли w sprawie ostatniego zdarzenia na półwyspie - ataku w szpitalu - oraz jego konsekwencji: przeciągających się poszukiwań zabójcy z Solitude Creek. Albo w sprawie pożaru magazynu w Oakland, który przyniósł szkody operacji Kanał. Albo w sprawie Serrana.

A może po prostu dlatego, że biurokracja jest zawsze biurokracją.

Kiedy siadała, w gabinecie zjawił się też Michael O'Neil.

- Witaj, Michael - powiedział Overby.

- Cześć, Charles. - Skinął głową Dance. Pomyślała, że wygląda na zmęczonego, gdy ciężko osunął się na krzesło obok niej.

- Co masz?

- Raport wstępny ze szpitala. Przykro mówić, ale niewiele w nim jest. Chociaż to nic dziwnego, skoro sprawca jest taki sprytny.

- Jak to zrobił w przypadku windy?

- Jest niewiele zapisu z monitoringu, ale jest prawdopodobne, że przebrał się w strój chirurgiczny - łącznie z czepkiem i ochraniaczami na buty - i ukradł klucz z pomieszczenia konserwatorów. Wszedł do maszynowni windy na ostatnim piętrze, przeciął przewody zasilania obu kabin. Głównego i awaryjnego. Technicy zabezpieczyli ślady narzędzi, ale sam wiesz, do czego to się zwykle przydaje.

- Przecież było zasilanie. - Dance przypomniała sobie oślepiający blask światła

zamontowanych na kamerze. Wspomniała o tym.

- Może z akumulatora w windzie - odparł O'Neil. - Za to kamera pewnie nie była podłączona do interkomu. - Zajrzał do notatek. - Ogień pojawił się w szybie windy, palił się eter. Daje mocny ogień, ale zero dymu. To, co czuli ludzie w środku, pochodziło z płonącej hondy. Przypuszczamy, że zrobił tak, żeby nie włączyły się alarmy przeciwpożarowe. Wtedy automatycznie zostałaby zawiadomiona straż pożarna. Byłaby na miejscu w ciągu pięciu, dziesięciu minut. Chciał, żeby ten kocioł trwał jak najdłużej.

- Hm - chrząknął Overby.

- Poza tym nie mamy pojęcia, czym teraz jeździ - dorzuciła Dance. - Nie ma nagrań wideo z monitoringu w garażu szpitala. Jeżeli w ogóle tam zaparkował. Mógł przejść pieszo prawie dwa kilometry, żeby się dostać do samochodu.

Wyjaśniła, że choć jej zdaniem sprawca jest zawodowcem wynajętym przez kogoś innego, to jeden z podejrzanych, Frederick Martin, okazał się niewypałem. Pozostałe osoby, które zginęły w Solitude Creek, nie sprawiały wrażenia potencjalnych ofiar zawodowca.

- Wróciliśmy do założenia, że ktoś może brać na cel same miejsca.

Klub, Centrum Bay View albo szpital. Ale dlaczego? Tego właśnie nie wiemy.

Zorientowała się, że Overby nie słucha zbyt uważnie. Patrzył na ekran komputera wyświetlający serwis informacyjny lokalnej stacji telewizyjnej. Kolejnego wywiadu udzielał Bohaterski Strażak - tym razem mówił o swoim udziale w akcji na terenie szpitala.

Overby wyłączył fonię.

- Czytałem kiedyś artykuł. Dość ciekawy. O strażaku z Buffalo w stanie Nowy Jork. Słyszeliście o tej historii?

W Buffalo było prawdopodobnie sporo strażaków, pomyślała Dance. Ale zwykle należało pozwolić szefowi kontynuować to, co zaczął.

- Nie, Charles.

- Nie.

- W swojej pracy był bardzo dobry. Odważny. Kiedy w mieszkaniu wybuchał pożar, strażak wpadał tam, przedzierał się przez płomienie i ratował rodzinę albo psa. Zdarzyło się to trzy czy cztery razy. Dokładnie wiedział, gdzie wybuchł pożar,

jak go najlepiej ugasić. Zdumiewająca była jego ofiarność w ratowaniu ludzi. Jego wóz zwykle pierwszy pojawiał się na miejscu, a on potrafił czytać ogień jak nikt inny. Tak mówią strażacy w swoim żargonie: czytać ogień.

I nie zgadniecie, moi drodzy, co się okazało. Strażak sam wzniecał pożary. Nie dlatego, że był piromanem, jeżeli tak się to nazywa. Nie, sam ogień guzik go obchodził. Zależało mu na prestiżu. Na chwale. Uwielbiał się w niej pławić. Poszedł siedzieć za usiłowanie morderstwa, poza tym podpalenie, włamanie i napaść. Chyba darowali mu zarzut wandalizmu. Naprawdę nie był do niczego potrzebny.

Wycelował palec w monitor.

- Zauważyliście, że Brad Dannon bardzo szybko zjawiał się w tych wszystkich miejscach? I że wyjątkowo chętnie opowiadał mediom o tym, co zrobił? „Bohater”. Tak go nazywają. No więc... nie sądzicie, że to może być on? Sprawca? - Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech triumfu.

- Właśnie... - zaczęła Dance.

- Ciekawe, dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy?

Wolałaby, żeby to ostatnie zdanie nie padło. W trakcie jego monologu próbowała znaleźć sposób, żeby go powstrzymać, zanim zdąży dorzucić uwagę w tym stylu.

Nic nie mogła na to poradzić.

Położyła na jego biurku teczkę, którą przed chwilą dostała.

- No więc powiem ci, Charles, że jeśli chodzi o Brada, też miałam wątpliwości. Dlatego poleciłam go sprawdzić Reyowi Carreneo. - Stuknęła palcem w teczkę. - Ustalił miejsce pobytu Dannonna podczas zdarzeń i sprawdził połączenia jego telefonu. Po Bay View zdobyliśmy numer telefonu na kartę należącego do sprawcy. Nie było żadnych połączeń. Strażak jest niewinny. Jego przełożony twierdzi, że zwykle przyjeżdża na miejsce zdarzenia w ciągu dziesięciu minut od wezwania. Wszędzie jeździ z radiowym skanerem, nawet po służbie. Aha, podobno jest znany z upierdliwości.

Chwila ciszy.

- Ach, tak. To dobrze. Mądrej głowie dość dwie słowie. - Jego mina nie wyrażała zmieszania faktem, że ktoś wykazał się szybszym refleksem, ale ulgę, że nie przedstawił swojej hipotezy na konferencji prasowej, by kilka godzin później ją

odwołać w świetle ustaleń swojej podwładnej, którą przecież zawiesił w obowiązkach.

Zabrzączał telefon Dance. Dzwonił TJ Scanlon.

- Cześć.

- Szefowo, buszowałem w przeróżnych ewidencjach i archiwach. Rejestr nieruchomości, akty własności, pozwolenia na budowę. Na twoją prośbę zresztą.

Wiedziała o tym.

- Tak?

- Mnóstwo kurzu. Człowiek spodziewa się, że wszystko będzie w sieci, ale nic z tego. Grzebię na regałach, na zapleczach. W jaskiniach. Gdzie jesteś?

- U Charlesa.

- Będę za minutę. Lepiej, żebyś to zobaczyła.

Zjawił się szybciej, niż zapowiedział. Przyprószony kurzem T-shirt Jefferson Airplane i dzinsy świadczyły, że istotnie odwalił kawał staroświeckiej żmudnej roboty detektywistycznej.

*Jaskinie...*

W ręku miał teczkę podobną do tej, którą przed chwilą podała Overby'emu.

- Cześć, Michael, Charles, szefowo. Rzućcie na to okiem. Nie odezwał się do mnie nikt z tej firmy w Nevadzie, która planuje budowę obok Solitude Creek. Pomyślałem sobie, że sam zacznę trochę grzebać. Spróbuję znaleźć udziałowców, cokolwiek. Otóż firma należy do funduszu powierniczego anonimowych inwestorów. Próbowałem sprawdzić, kim są, ale dane nie są dostępne publicznie. Udało mi się za to dowiedzieć, kto ich reprezentuje. Barrett Stone, prawnik z San Francisco. Niezłe nazwisko dla adwokata, nie? Mówię wam, chciałbym, żeby mnie reprezentował. Dobra, do rzeczy. Operator telefoniczny mimo wielkich oporów ujawnił mi rejestr jego połączeń. Przejrzałem je i zgadnijcie, do kogo pan prawnik dzwonił trzy razy w ciągu ostatnich dwóch dni?

Overby uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Do Sama Cohena. No więc i ja do niego zadzwoniłem. I dowiedziałem się, że Stone w imieniu funduszu złożył mu ofertę kupna za gotówkę klubu razem z działką.

- Czyli jest motyw - powiedziała Dance. - Zrujnować firmę, a potem kupić za



bezcen ziemię. Zbudować na niej nowy obiekt. Może kupić jeszcze Henderson Jobbing, skoro firma bankrutuje.

- Jak mamy się dowiedzieć, kto stoi za tym trustem? - spytał O'Neil. - Nie wiem, czy tyle wystarczy do wystawienia nakazu.

- Zrobiłem najlepszą rzecz, jaką się dało. Spisałem nazwiska najbardziej znaczących klientów Stone'a. Poznajecie któreś? - Położył przed nimi kartkę.

Jedno nazwisko zostało zakreślone na żółto. Dodatkowo TJ narysował obok niego wykrzyknik.

Ani jedno, ani drugie nie było potrzebne.

Dance zrobiła wielkie oczy.

- Hm.

- No - bąknął Overby. - To będzie... Sam nie wiem, jak to nazwać. „Niezręczność”, przyszło do głowy Dance. A potem „skandal”. Overby spojrzał na nią, potem na O'Neila.

- Lepiej od razu bierzcie się do tego. Powodzenia.

Znaczyło to, że już się zastanawiał, jak wysiąść z tego pociągu, który pędził ku nieuchronnej katastrofie.

## ROZDZIAŁ 74

W drodze do Salinas.

Kathryn Dance tworzyła portret człowieka podejrzanego o wynajęcie sprawcy masakry w Solitude Creek. Czytała informacje z Internetu. Michael O'Neil siedział za kierownicą.

Czterdziestojednoletni kongresmen Daniel Nashima od ośmiu kadencji reprezentował okręg wyborczy numer dwadzieścia w Kalifornii. Był demokratą, lecz umiarkowanym, miał poglądy liberalne pod względem społecznym, popierał gejowskie małżeństwa i prawo kobiet do aborcji, a równocześnie domagał się niższych podatków dla zamożnych („większość z nich osiągnęła swój status dzięki ciężkiej pracy, nie odziedziczeniu fortuny”).

Sam był żywym przykładem tej filozofii. Zarobił duże pieniądze na start-upach internetowych oraz transakcjach na rynku nieruchomości. Sukces finansowy nie osłabiał jednak wcale jego postawy dobroczyńcy. Przeciwnie, altruizm odwracał uwagę od kapitalistycznej strony jego osoby. Trudno się zastanawiać nad wielkością majątku człowieka, kiedy dźwiga dwudziestokilogramowe bloki betonu, by uwolnić ofiary trzęsienia ziemi uwięzione pod gruzami.

Nashima doskonale wypełniał swoje obowiązki w Kongresie. Był obecny na większości głosowań, szukał kompromisów z przeciwnikami politycznymi, nie skarżył się na ciężką pracę w komisjach etyki i bezpieczeństwa. W ciągu wszystkich kadencji nie otarł się o żaden skandal jakiegokolwiek natury: rozwiódł się, zanim nawiązał romans z lobbystką (która nie była z nim związana zawodowo), a jedyny konflikt z prawem polegał na tym, że ujawniono, iż jego gosposia sama fałszowała wizy - dał się oszukać przez nią jak wszyscy inni. Dance i O'Neilowi towarzyszył Albert Stemple oraz zastępca szeryfa z Monterey. Dowiedziała się, że Nashima jest myśliwym i ma pozwolenie na noszenie ukrytej broni.

Dotarli do jego biura w Santa Cruz. Mieściło się przy pasażu handlowym, obok sklepu i wypożyczalni desek surfingowych, w którego witrynie wisiały plakaty sugerujące, że można stąd dojść pieszo do Maverick, wymarzonego miejsca dla surferów na Zachodnim Wybrzeżu (w rzeczywistości leżało osiemdziesiąt kilometrów na północ).

Stemple został na zewnątrz, by pełnić straż, a pozostała trójka weszła do środka. Asystentka kongresmena, ładna i filigranowa Azjatka, obrzuciła ich nieprzyjaznym spojrzeniem, po czym zniknęła w głębi biura. Chwilę później wróciła i wprowadziła ich do gabinetu.

Gdy dokonano prezentacji, Nashima przyjrzał się im spokojnie.

- Czym mogę państwu służyć?

Mignęli odznakami, pokazali legitymacje.

Zanim Nashima skończył oglądać dokument Dance, agentka przeszła do rzeczy.

- Panie kongresmenie, chcielibyśmy zapytać o pana związki z Solitude Creek.

- Nie rozumiem. - Swobodnie odchylił się na krześle, jego twarz pozostała nieprzenikniona. Gesty były oszczędne i precyzyjne.

- Proszę. Wszystkim będzie łatwiej, jeżeli zdecyduje się pan współpracować.

- Współpracować? W jakiej sprawie? Wchodzicie tu z oskarżeniem wypisanym na twarzach. Przypuszczacie, że zrobiłem coś złego. Nie mam pojęcia co. Proszę mi dać jakąś wskazówkę.

Jego wzburzenie wyglądało bardzo wiarygodnie. Ale to powszechna reakcja u makiawelistów - wytrawnych kłamców - kiedy zostają przyłapani na kłamstwie.

Nie zamierzała ustępować. Spokojnym tonem spytała:

- Czy stara się pan kupić nieruchomość nad Solitude Creek na północ od autostrady numer jeden, budynek razem z ziemią, na której stoi klub?

Utkwił w niej zdumiony wzrok. Czy to chwila, w której może domagać się adwokata?

- Prawdę mówiąc, nie, nie staram się.

Pierwsze słowa są często oznaką fałszu. Podobnie jak „przysięgam”. Albo „nie zamierzam pani okłamywać”.

- W każdym razie pański pełnomocnik złożył ofertę kupna tej nieruchomości.

Chwila ciszy. Mogła znaczyć, że zaraz padnie kłamstwo, a on próbował ocenić, ile wiedzą. Albo że jest wściekły.

- Naprawdę? Nie wiedziałem o tym.

- Zaprzecza pan, że Barrett Stone, pański adwokat, rozmawiał z Samem Cohenem i złożył mu propozycję kupna nieruchomości?

Kongresmen westchnął. Spuścił wzrok.

- Ach, oczywiście, prowadzicie śledztwo w związku z tą tragedią w klubie. - Pokiwał głową. - Pamiętam panią, agentko Dance. Była tam pani na drugi dzień.

- A pan kilka dni później - odezwał się O'Neil - żeby obejrzeć działkę, którą chciał pan kupić.

Nashima znów pokiwał głową.

- Podejrzewacie, że zaaranżowałem ten atak, by obniżyć wartość nieruchomości. Ach, a drugi atak przy Cannery Row prawdopodobnie miał zamaskować motyw pierwszego ataku. Jak gdyby to była robota jakiegoś psychopaty. Podobnie jak w szpitalu, jasne.

Mówił z zagadkową pewnością siebie. Co jeszcze miał do powiedzenia?

- Mam alibi na jedno z tych zdarzeń albo na wszystkie... Ach, przecież nie sądzicie, że to ja. Sądzicie, że wynająłem tego psychopatę.

Dance milczała. W sztuce prowadzenia przesłuchań funkcjonariusz za często odpowiada na komentarze i pytania zadawane przez przesłuchiwanego. Lepiej nie puszczać pary z ust i pozwolić mu mówić. (Kiedyś Dance udało się skłonić podejrzanego o morderstwo do przyznania się do winy, pytając go tylko, „czy często przyjeżdża pan do Monterey?”).

Daniel Nashima wstał. Uważnie przyjrzał się funkcjonariuszom. Następnie położył dłonie na blacie biurka. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, kiedy oznajmił:

- Dobrze, przyznam się. Przyznam się do wszystkiego. Ale pod jednym warunkiem.

## ROZDZIAŁ 75

Donnie i Wes byli na werandzie za domem pani Dance, siedząc razem z Nathanem (Neo, z *Matriksa*) i Vince'em (Vulcanem - nie przedstawicielem rasy ze *Star Trek*, ale jednym z X-Men).

Przystawkami i koktajlami dnia były chipsy Fritos, sok pomarańczowy i parę przemyconych puszek red bulla.

- Znaczy się co, masz szlaban? - zapytał szczupły, pryszczaty Vince.

Wes westchnął.

- Moja matka prowadzi sprawę tej afery w Solitude Creek, gdzie zginęli ludzie.

I w Centrum Bay View.

Nathan:

- Chrzanisz. Tam ludzie skakali do wody i się topili. Ona to prowadzi?

- I boi się jak nie wiem co, że facet tu przyjdzie i robi nam jakiś numer.

- Załatw sobie gnata, stary. Poważnie. Rozwał gnoja, jeśli się pokaże.

- Chyba nie - odparł Wes.

- A jak będziesz grał w grę? - zapytał Vince. - Jezu.

Wes wzruszył ramionami.

- Wożą mnie do szkoły i do domu. Ale i tak mogę prysnąć. Tylko muszę uważać. Na pewno nie wtedy, kiedy mama jest w domu. Ale Jon? Powiem mu, że boli mnie głowa albo że się muszę zdrzemnąć. Wyjdę przez okno. Nie wiem. Coś wykombinuję.

Donnie pomachał do chłopaka pani Dance, Jona, który chyba ich szpiegował, a może nie. Facet wydawał się zresztą całkiem w porządku i na pewno znał się na maszynach: umiał epicko programować i pokazał Donniemu, jak się pisze skrypt do gier. Donnie marzył, by przenieść do sieci grę Oddziały Wielozadaniowe Wywiadu i Neutralizacji i zarobić na tym grube miliony. Żeby można było robić sobie jaja z ludzi w świecie wirtualnym.

To by mogła być dobra gra. Na pewno ciekawsza niż rozwalanie zombi z karabinów maszynowych.

Donnie poprawił się na ławce i chyba się skrzywił. Wes to zauważył.

- Co jest?

- Nic, koleś. Wszystko git.

Ale wcale nie było git. Ojciec zauważył brak roweru i chociaż nawet uwierzył w kłamstwo, że Donnie pożyczył go koledze, przyłożył mu kilka razy gałęzią za to, że nie zapytał o pozwolenie pożyczania prezentu. („Wiesz, ile kosztował?”). Dostał polecenie, żeby pokazać mu rower jutro albo przygotować się na jeszcze gorszą karę.

A kiedy ojciec zapowiadał coś gorszego, zawsze było gorsze.

Duży Nathan, który chodził pod prysznic rzadziej, niż powinien, odgarnął włosy z oczu.

- No to patrzcie. - Na swoim samsungu galaxy pokazał zdjęcie znaku stop, wyrwanego z ziemi i stojącego w garażu u Vince'a. Matka nigdy tam nie zaglądała. Być może jego ojciec popełnił w garażu samobójstwo - takie były plotki - więc dla rodziny to miejsce było nie do użytku. Dlatego garaż stał się meliną chłopaków.

- To co, amen? - spytał Nathan. - Zespół numer dwa dostaje punkt.

Przybili żółwia.

- Git - pochwalił Wes. - Ile to ważyło?

- Chyba z tonę - odparł Vince. - Musieliśmy targać we dwóch.

- Sam bym to zrobił - wtrącił szybko Nathan. - Ale długi, co nie? Ciężko było sobie poradzić samemu.

Jeżeli ktokolwiek poradziłby sobie sam, to na pewno Neo. Kawał mięśniaka.

- Nikt was nie widział? - upewnił się Donnie.

- Nikt. Może jakiś dzieciak, ale popatrzyliśmy na niego: wiesz, jak coś powiesz, to ci wpierniczymy.

Nathan powiedział „wpierniczymy” zamiast „wjebiemy”. Przełamię się, pomyślał Donnie. Wes się przełamał.

*Totalnie cię rozjebiemy...*

Donnie wyjął oficjalną kartę wyników Wywiadu i Neutralizacji, ozdobioną wykonanymi własnoręcznie przez niego ilustracjami. Tytani, X-Men, Fantastyczna Czwórka, mnóstwo zombi. Parę niezłych lasek z *Czystej krwi*.

Po stronie Nathana i Vince'a zapisał: *Zadanie 5 wykonane*.

To Donnie wpadł na pomysł rzucenia przeciwnemu zespołowi wyzwania, żeby ukradł właśnie znak stopu, a nie inny. Nie „ustąp pierwszeństwa przejazdu”, nie

„uwaga, dzieci”, nie „zakaz parkowania”. Ale prawdziwy pieprzony znak stopu ustawiony przed czterowłotowym skrzyżowaniem. Żeby go rąbnąć, musieli się dostać na skrzyżowanie, gdzie groziło im większe niebezpieczeństwo, że ktoś ich przyłapie. A zniknięcie znaku stopu znaczyłoby, że jakieś samochody mogą się rozjechać.

Vince skrzywił twarz.

- Tylko że jakieś pół godziny później postawili już nowy.

- To do dupy - orzekł rozczarowany Donnie.

Wes zaśmiał się gorzko.

- Kto jeździ po mieście ze znakami drogowymi, żeby je stawiać?

- A bo ja wiem? Tyle że cała robota poszła na mamę - powiedział Vince.

Nathan klepnął go w ramię.

- Pieprzysz, stary. Zaliczyliśmy punkt. - Dźgnął palcem w kartę wyników gry. -

Mam rację, panienki?

Donnie wolałby zajebiście wielką kraksę samochodową, ale zadanie nie polegało na tym, żeby dalej kraść znaki stopu, dopóki nie dojdzie do zajebiście wielkiej kraksy samochodowej; chodziło o kradzież pieprzonego znaku stopu. Koniec i kropka.

- Pokaż im, stary - zwrócił się do niego Wes.

Donnie wyjął iPhone'a i wyświetlił zdjęcie napisu: „ŚMIERĆ ŻYDOWI”.

Nathan nie wyglądał na zadowolonego. Stracili z Vince'em dwa punkty.

- A to chyba z Indii - stwierdził Vince.

Zniecierpliwiony Donnie warknął:

- Co? Z jakich Indii? Z Indii jest Rajesh.

- Jaki Rajesh? - zdziwił się Wes.

Matka rzadko pozwalała oglądać telewizję Wesowi i Maggie.

- Rajesh, koleś, Raj, ten łebski gość z Wielkiej teorii podrywu. Jezu.

- A. Jasne. - Nathan chyba nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Nie, chciałem powiedzieć, że w Indiach mieli taki znak - wyjaśnił Vince.

- To się nazywa swastyka - powiedział Wes. - Naziści jej używali.

- Indiańce też - dorzucił Donnie. - Znaczą się Indianie z lukami i tipi. Widziałem taki program w telewizji. Dokładnie nie wiem.

- Ta swastyka to coś w rodzaju ostrza rzucanego przez ninja? - zainteresował się Nathan. - Znaczy się, czy na końcach są noże?

- To tylko symbol - wytłumaczył Wes. - Na ich fladze.

- Indiańców?

Wes przechylił na bok głowę.

- Nie, stary. Nazistów.

- Kto to był? - dopytywał się dalej Nathan.

- Prowadzili wielką wojnę z Żydami - mruknął Donnie.

- Wojnę?

- Taką jak w *Grze o tron*. Mniej więcej.

Donnie uniósł i opuścił ramiona.

- Zdaje się. Dokładnie nie wiem. Chyba ze dwieście lat temu. - Nagle znudziła go historia. Dopisał ich punkt na karcie wyników.

- Dobra, teraz nasza kolej - powiedział Nathan. - Rzucamy wyzwanie Darthowi i Wolverine'owi. Wasze zadanie: znacie Sally Caruthers, cheerleaderkę? Macie nalać jej do napoju trochę kropli Visine. Dostanie sraczki.

- To dość obrzydliwe - zauważył Wes.

Donniemu spodobał się ten pomysł i uznał, że dobrze będzie przestać na jakiś czas gnębić Żydów i czarnych. Powiedział jednak:

- Dobra, ale musimy wstrzymać grę na parę dni.

- Tak? - Nathan zmarszczył brwi.

Wes westchnął.

- Skurwiel z tego domu, gdzie zrobiliśmy graf, skroił nam rowery.

- Schował u siebie w garażu. Gadaliśmy z Wesem, co teraz zrobić.

- Żeby je odzyskać - dodał Wes.

Donnie dał mu znak, żeby kontynuował.

- I potrzebujemy pomocy. Wsparcia, co nie? Wchodzicie w to?

Vince zastanowił się.

- Pomożemy wam, ale zarobimy za to punkt. - Stuknął w kartę wyników.

- Stary, to genialne - zachwycił się Nathan.

Donnie zmarszczył czoło. Ale tylko udawał, że się waha. Miał gdzieś ten punkt. Prawdę mówiąc, do planu, który chodził mu po głowie i którego nie zdradził



Wesowi, na pewno potrzebowal ich pomocy.

Oznajmil:

- W porzadku, panienki, dostaniecie punkt. - Otworzyi red bulla i rozdal puszki.

## ROZDZIAŁ 76

Jechali autostradą numer jeden. Za kierownicą radiowozu siedział O'Neil, Dance obok niego, a z tyłu Al Stemple oraz podejrzany, kongresmen Daniel Nashima, który zapowiedział, że przyzna się do winy.

Taki postawił warunek: pojedą na miejsce zdarzenia, gdzie powie jej wszystko, co chciała wiedzieć.

Nie został aresztowany, nie miał więc kajdanek, ale zrewidowano go, by sprawdzić, czy nie ma broni. To go rozbawiło.

Solidnie zbudowany mężczyzna milczał, patrząc na krajobraz za oknami samochodu - pola brukselki i karczochów po prawej; na zachodzie, od strony wybrzeża, szereg małych lokali (sklepek z pamiątkami i restauracji) oraz przystani, coraz marniejszych, im dalej na północ.

Wreszcie zjechali z autostrady i skręcili na podjazd prowadzący na parking; budynek klubu był zamknięty na głucho. Firma transportowa działała, ale Dance zastanawiała się, jak długo to potrwa: pamiętała podaną w telewizji informację o jej prawdopodobnym bankructwie.

O'Neil zamierzał się zatrzymać, ale Nashima poprosił go, żeby podjechał do końca parkingu, niedaleko miejsca, gdzie Dance odkryła ścieżkę, która doprowadziła ją do świadka, mieszkającej w przyczepie Annette, uzależnionej od papierosów i muzyki.

- Przejdźmy się - zaproponował Nashima.

Dance i O'Neil wymienili spojrzenia i razem wysiedli z samochodu, po czym poszli za Nashimą, gdy ruszył ścieżką. Stemple człapał z tyłu, głośno tupiąc po zwirowatym asfalcie. Al i O'Neil trzymali ręce w pobliżu broni. Sprawca, uzbrojony w co najmniej jeden pistolet kaliber dziewięć milimetrów, wciąż był na wolności.

Kongresmen zmierzał w stronę skupiska domków? Dlaczego w ogóle nie interesował go sam klub?

*Przyznam się...*

Nie uszedł jednak daleko, w pewnym momencie skręcił w lewo, w stronę rzeczki Solitude Creek, przez trawę i obrzeżem ruin (które widziała wcześniej), pozostałości

betonowych podłóg, ogrodzeń, ścian i słupów. Gdy znaleźli się bliżej brzegu, zobaczyła barierę z zardzewiałej siatki, która odgradzała ich od połyskującej rzeczki.

Nashima odwrócił się do nich.

- Mówiłem, że nic nie wiem o ofercie prawnika, dlatego że to ślepy fundusz.

- Wiemy - odparła Dance.

- Po zdobyciu mandatu ulokowałem w nim cały majątek. Nad wszystkim pieczę sprawuje Barrett jako zarządca funduszu. Ale zna moją ogólną strategię inwestycji. I kiedy się dowiedział o klubie, przypuszczam, że złożył ofertę, bo wiedział, że interesowały mnie wszystkie nieruchomości w tej okolicy. Ale fundusz ustala wytyczne dotyczące nabywania nieruchomości, których Barrett musi przestrzegać. Kupi, jeżeli są odpowiednie uwarunkowania; jeżeli nie, nie kupi. Nie mogę kazać mu niczego zmienić.

Dance zaczynała odnosić wrażenie, że jej umiejętność przeskoku myślowego od punktu A i B do Z może ją zawieść tuż przed dwudziestą szóstą literą alfabetu.

- Jeżeli wiecie o funduszu - ciągnął kongresmen - musicie też wiedzieć o należącym do niego przedsiębiorstwie. Spółce z ograniczoną odpowiedzialnością z Nevady.

- Tak, planują tu jakąś budowę.

- Do firmy należy też to wszystko. - Wykonał szeroki gest ręką, jak gdyby pokazywał cały teren od parkingu, wzdłuż brzegu Solitude Creek niemal po małe osiedle, w którym Dance odnalazła Annette.

- Firma, o której mówię, nazywa się Kodoku Ogawa Limited. Te japońskie słowa oznaczają „strumień samotności”, Solitude Creek. - Umilkł na chwilę. - Ciekawe, że po japońsku znaczy to też opuszczenie, osamotnienie, izolację. - Odwrócił się, mierząc ich przenikliwym wzrokiem. - Domyślcie się już, jaki cel ma Kodoku Ogawa?

Nikt nie odpowiedział. Stemple z rękami skrzyżowanymi na piersiach spoglądał na trawiastą przestrzeń.

Nashima podszedł do starego słupa ogrodzeniowego, zwieńczonego zardzewiałym drutem kolczastym. Ostrożnie go dotknął.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim prezydent Franklin Roosevelt

podpisał dekret numer dziewięćdziesiąt sześćdziesiąt sześć, nadający oficerom prawo do usunięcia wszystkich osób spełniających pewne warunki z tak zwanych wyznaczonych stref wojskowych. Wiecie, co to były za strefy? Cały stan Kalifornia i większa część obszaru Oregonu, Waszyngtonu i Arizony. A kto został usunięty? Ludzie japońskiego pochodzenia.

- Internowanie - powiedziała Dance.

- Ładniejsza nazwa pogromu - mruknął Nashima. - Wysziedlono prawie sto dwadzieścia tysięcy osób i umieszczono w obozach. Prawie sześćdziesiąt procent z nich miało obywatelstwo amerykańskie. Były wśród nich dzieci, starcy, niepełnosprawni umysłowo. - Zaśmiał się ponuro. - Szpieczy? Sabotażyści? Byli tak samo lojalni jak Amerykanie niemieckiego i włoskiego pochodzenia. Zresztą jak wszyscy Amerykanie. Gdyby rzeczywiście istniało takie ryzyko, to dlaczego na Hawajach, gdzie zgromadzono niewielką mniejszość Japończyków, nie było żadnych przypadków szpiegostwa ani sabotażu wśród dziesięciu tysięcy, które zostały na wolności?

- Tu był jeden z tych obozów?

- Ośrodek Przesiedlenia Solitude Creek. Rozciągał się od tamtego szczytu aż po autostradę. Urocze miejsce - rzekł z goryczą. - Ludzie mieszkali w ogromnych barakach podzielonych na wąskie klitki, których ściany nie sięgały sufitu. Korzystali ze wspólnych latryn, wszyscy, mężczyźni i kobiety. Nikt nie miał prawie żadnej prywatności. Obóz był otoczony drutem kolczastym, pięcioma pasmami, a co kilkadziesiąt metrów stały wieżyczki z karabinami maszynowymi.

Zawsze brakowało jedzenia - więźniowie żywili się ryżem i warzywami, a jeżeli chcieli coś więcej, musieli to sami wyhodować. Nikt oczywiście nie mógł wyjść na ulicę i kupić kurczaków, prawda? Nikt nie mógł też łowić ryb w rzeczce, bo mógłby uciec w pław i poderżnąć gardła mieszkających w pobliżu Amerykanów albo nadać komunikat radiowy o położeniu geograficznym Fort Ord setkom japońskich łodzi podwodnych, które czekały na tę informację w zatoce Monterey - dodał drwiącym tonem.

Podszedł do porośniętego trzcina kawałka piaszczystej ziemi.

- Odtworzyłem miejsce, gdzie więziono moją rodzinę. - Przyjrzał się fragmentowi ziemi. - Tutaj umarł mój dziadek. Na atak serca. Tego dnia w obozie nie było

lekarza. Musieli wezwać doktora z Fort Ord, ale to trochę trwało, bo oczywiście żółte zagrożenie mogło udawać atak serca, żeby uciec, trzeba więc było znaleźć uzbrojonych żołnierzy, żeby pilnowali medyków. Umarł, zanim pomoc dotarła.

- Przykro mi - mruknął O'Neil.

- Oboje z babcią byli nisei, drugim pokoleniem, które urodziło się już tutaj. Mój ojciec był sansei, trzecim pokoleniem. Wszyscy obywatelami Stanów Zjednoczonych. - Skierował na nich spokojne, nieruchome spojrzenie. - Trzeba zachować pamięć o tym, co się tu wydarzyło. Zawsze chciałem zbudować muzeum, które by o to zadbało. Właśnie w tym miejscu, gdzie tak źle potraktowano moją rodzinę.

Nad wejściem będzie tablica: MUZEUM I POMNIK KYÓSEISHU YÓSHO SOLITUDE CREEK". Czyli „obóz koncentracyjny”. Nie „ośrodek przesiedlenia”. Bo tak to należy nazwać.

Jak gdyby po namyśle dodał:

- Zanim pójdziecie do sędziego, żeby wystawił nakaz aresztowania, zajrzyjcie do dokumentów Kodoku. To spółka non profit. Nie zarobię na niej ani centa. A jeśli chodzi o sprawę mordowania ludzi, żeby kupić ziemię po niższej cenie - z planów, które złożymy razem z wnioskiem o pozwolenie na budowę, będzie wynikało, że nie potrzebuję klubu. Jeżeli Sam Cohen sprzeda, rozbierzemy budynek, żeby powiększyć parking. Jeżeli nie, kupimy część ziemi bliżej autostrady. A gdyby Sam chciał zatrzymać ziemię, będzie mógł zburzyć budynek i postawić restaurację. - Kongresmen przechylił głowę. - Mogę mu zagwarantować liczną klientelę, jeśli włączy do menu sushi i sashimi. - Przesuwał wzrokiem po falujących trawach i zmarszczkach na szarej powierzchni Solitude Creek.

- Wiem, o czym myślicie: mogłem to wszystko powiedzieć u siebie w biurze. Ale uważam, że nie możemy stracić żadnej okazji przypomnienia sobie, że nienawiść nie zniknęła. Od tego, co się tu zdarzyło, minęło siedemdziesiąt lat. - Wskazał betonowe granice dawnego obozu nad Solitude Creek. - To tylko kropla w morzu czasu. Spójrzmy na dzisiejszy półwysep. Na tę okropną falę nienawiści z ostatniego miesiąca. Synagogi, afroamerykańskie kościoły.

Pokręcił głową i zawrócił w stronę parkingu.

- Niczego się nie nauczyliśmy. Mam czasem wątpliwości, czy kiedykolwiek się

nauczymy.

## ROZDZIAŁ 77

Nie za dobrze poszło - mruknęła Dance.

Była z O'Neilem w swoim gabinecie.

- Lepiej, niż mogłoby pójść. Nie sądzę, żeby groził nam jakiś pozew o... właściwie nie wiem, o co Nashima mógłby nas pozwać.

- O fałszywe oskarżenie? - podsunęła, nie do końca żartując. Przejrzała rozłożone na biurku materiały sprawy, po czym przypięła je do białej tablicy. Dowody, adnotacje do zeznań, szczegóły zbrodni. I zdjęcia, te straszne zdjęcia.

Zadzwoił telefon Dance. Ale to nie był mecenas Barrett Stone z pytaniem, komu mógłby doręczyć wezwanie do sądu. TJ wydawał się zmieszany, kiedy powiedział:

- No dobra, szefowo, chyba się przyznam, że niedokładnie przyjrzałem się liczbom i faktom. To znaczy aktom własności, położeniu geograficznemu gruntów, działek i...

- Czy Nashima jest niewinny, TJ? Tylko to chcę wiedzieć.

- Jak owieczka, chociaż to wyrażenie zastanawia mnie nie mniej niż to o chodzących parami nieszczęściach. Plany budowy firmy z Nevady nie mają nic wspólnego z klubem; dotyczą tylko miejsca dawnego obozu dla internowanych i terenu w stronę autostrady numer jeden. Nashima mówił prawdę: wszystkie firmy, które biorą w tym udział, to spółki non profit. Zyski mają być przeznaczone na edukację, wsparcie finansowe muzeum i dla organizacji broniących praw człowieka.

Gwóźdź do trumny, pomyślała Dance. To wyrażenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do swojego znaczenia.

Znów znaleźli się w punkcie wyjścia.

Zabrzączał telefon O'Neila. Detektyw zerknął na ekran.

- Mój szef. - Szeryf okręgu Monterey. - Rany, ciekawe, o co chodzi. - Odebrał. - Ted, dzwonił Nashima ze skargą? Kongresmen?... Nie. W każdym razie może zadzwonić. Myślałem, że o tym chcesz rozmawiać.

Nagle Dance zauważyła, jak O'Neil sztywnieje. Uniósł ramiona, pochylił głowę.

- Naprawdę?... Są na sto procent pewni? Jestem u Kathryn. Możemy być na miejscu za dwadzieścia minut. Jaki jest adres internetowy?

Coś zanotował.

- Zajrzymy po drodze. - Rozłączył się i spojrzał na nią z miną, jaką rzadko u niego widziała.

Dance pytająco uniosła brwi.

- Zajrzymy?

- Chodzi o sprawę, którą prowadziłem. Zaginięcia Ottona Granta.

Przypomniała sobie: farmera, który zbankrutował, kiedy władze stanowe zajęły jego ziemię.

- Przypuszczałeś, że mógł popełnić samobójstwo.

- I tak się właśnie stało. Powiesił się. W chałupie w dolinie Salinas. - Wstał. - Jedziemy.

- Ja też? - zdziwiła się. - Przecież to twoja sprawa. Chcesz, żebym z tobą jechała?

- Wszystko wskazuje, że teraz to nasza sprawa.



## ROZDZIAŁ 78

Michael O'Neil jechał nieoznakowanym dodge'em przez wiejski krajobraz na wschód od Salinas, gdzie rozpościerała się rozległa, płaska przestrzeń pól, które dzięki cennej wodzie zieleniły się od młodych roślin. Dance przebiegała wzrokiem wpis, który Otto Grant zamieścił w swoim blogu kilka godzin temu, zanim odebrał sobie życie.

- To dużo wyjaśnia - powiedziała. - Właściwie wyjaśnia wszystko. Powód, dla którego sprawa Ottona Granta stała się ich wspólną sprawą, był prosty: to on wynajął sprawcę z Solitude Creek, aby wywołał chaos na półwyspie Monterey. W zemście za wywłaszczenie, które doprowadziło go do bankructwa.

- Rzeczywiście dziwak z niego, jak przypuszczaliśmy.

Nie odpowiedziała. Przeglądała dalej.

- Czytaj głośno.

*- Przez ostatnie miesiące czytelnicy tego BLOGA mieli okazję śledzić kronikę NISZCZENIA mojego życia przez stan Kalifornia. Tym, którzy właśnie się „włączyli”, wyjaśniam: byłem właścicielem farmy przy San Juan Grade Road, 239 akrów doskonałej ziemi, odziedziczonej po ojcu, który dostał ją w spadku po swoim ojcu.*

*W zeszłym roku stan postanowił mi ukraść dwie trzecie tego majątku - najcenniejsze dwie trzecie - na mocy totalitarnego „prawa ” nazywanego przepisami o wywłaszczeniu. A DLACZEGO chciał mi ją odebrać? Bo pobliskie wysypisko śmieci i odpadków było już pełne prawie po brzegi, władze wzięły więc na cel moją ziemię, żeby zmienić ją w wielki śmietnik.*

*Ojcowie założyciele zatwierdzili prawo, które pozwalało władzom przejmować ziemię obywateli w zamian za „SPRAWIEDLIWĄ KOMPENSATĘ”. Jestem Amerykaninem i patriotą, mieszkam w najlepszym kraju na ziemi, ale myślicie, że Thomas Jefferson pozwoliłby na to, żeby odbierać własność prywatną, a potem wyklócać się o jej wartość? Oczywiście, że nie. Bo był dżentelmenem i uczonym.*

*Dostałem odszkodowanie jak za pastwisko, nie grunty orne. Mimo że uprawiałem na tej ziemi warzywa, a w promieniu wielu kilometrów nie ma żadnych zwierząt hodowlanych. Musiałem sprzedać resztę ziemi, bo było jej za*

*mało na pokrycie wydatków.*

*Po spłacie kredytów zostało mi 150 000 dolarów. Może się wydawać, że to bajeczna suma, tylko że potem kazano mi zapłacić 70 000 podatku!!! Wiedziałem, że prędzej czy później skończę na ulicy.*

*Teraz już wiecie, co zrobiłem. NIE ZAPŁACIŁEM podatku. Wszystkie pieniądze co do centa dałem człowiekowi, którego poznałem kilka lat temu. Żołnierz fortuny, można powiedzieć. Jeżeli nie wiecie, kto jest winien temu, co się stało w Solitude Creek, w Centrum Bay View i w szpitalu, popatrzcie w lustro. WY! Może następnym razem lepiej się zastanowicie, czy okraść człowieka z duszy, z serca, ze źródła utrzymania, z nieśmiertelności, i odkryjecie w sobie sumienie.*

- To wszystko - oznajmiła.

- Uff. Wystarczy.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy za tę robotę. Nic dziwnego, że sprawcę stać na buty Vuittona.

Dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

- Nie można mu współczuć, ale miałoby się ochotę - odezwał się O'Neil.

To prawda, pomyślała Dance. Choć list brzmiał dziwnie, świadczył, że ten człowiek niewątpliwie postradał rozum.

Piętnaście minut później O'Neil zatrzymał się na gruntowej drodze, gdzie stał zaparkowany radiowóz z biura szeryfa. Funkcjonariusz dał im znak, żeby jechali dalej. Po około stu metrach zobaczyli opuszczony dom. Stały tam jeszcze dwa radiowozy oraz furgonetka z biura koronera. Policjanci pomachali do nich, gdy Dance i O'Neil wysiadali z samochodu i szli w stronę chałupki.

- Kiedy przyjechaliśmy, drzwi były otwarte, detektywie, ale urządził tu sobie niezłą fortecę. Był przygotowany do walki, gdybyśmy przyszli po niego, zanim wynajęty cyngiel dokończy zemstę.

Dance patrzyła na okna parterowego budynku zabite grubymi deskami. Policjant dodał, iż podobnie zostały zabezpieczone drzwi z tyłu, a wejściowe wzmocnione metalowymi płytami i zaopatrzone w kilka zamków. Żeby się tu dostać, trzeba by było użyć tarana.

Zobaczyła sztucer, parę śrutówek. Mnóstwo amunicji.

Zjawili się też technicy kryminalistyki w kombinezonach z tyveku, kapturach

i ochraniaczach na buty.

- Możecie się rozejrzeć - powiedział jeden z nich - tylko pamiętajcie o procedurach. Nic jeszcze nie jest zabezpieczone ani opisane.

Czyli: ręce przy sobie i wstęp tylko w ochraniaczach.

Włożyli jasnoniebieskie pokrowce i weszli do środka. Wnętrze wyglądało mniej więcej tak, jak się spodziewała: chatka z belkami u sufitu była obskurna i smętna. Minimum mebli z drugiej ręki. Butelki z wodą, gotowe dania w puszkach Chef Boyardee, warzywa i brzoskwinie. Tysiące urzędowych dokumentów, parę sfatygowanych tomów ustaw Zgromadzenia Kalifornii, których fragmenty były zaznaczone żółtym markerem. W powietrzu unosił się odór. Lokator używał wiadra jako toalety. Materac był przykryty szarym prześcieradłem. Koc w absurdalnym różowym kolorze.

- Gdzie ciało? - zapytał policjanta O'Neil.

- Tam, detektywie.

Weszli do pokoju w głębi, w którym nie było żadnych mebli. Otto Grant, brudny i potargany, leżał na wznak przed otwartym oknem. Powiesił się na belce u sufitu. Medycy odcięli nylonowy sznur i opuścili go na podłogę, prawdopodobnie próbując mężczyznę ratować, choć sina barwa twarzy i wyciągnięta szyja świadczyły, że zmarł na długo przed ich przyjazdem.

Szeroko otwarte okno. Dance przypuszczała, że wybrał to miejsce, aby przed śmiercią popatrzeć na malownicze wzgórza w oddali, zobaczyć jeszcze magnolie i dęby, pączkujące na polu rośliny. Lepiej mieć taki widok, kiedy oczy i umysł zasnuwa ciemność, niż odrapaną i poplamioną ścianę z płyty kartonowo-gipsowej.

- Michael? Kathryn?

Rzucając ostatnie spojrzenie na człowieka, który przysporzył tyle bólu niewinnym osobom, O'Neil i Dance wyszli z pokoju, aby porozmawiać z szefem zespołu techników, ubranym w kombinezon i kaptur.

- Cześć, Carlos - przywitała go Dance.

Szczupły Latynos, Carlos Batillo, skinął im głową. Podeszedł do stolika do kart, którego Grant używał jako biurka. Stał na nim komputer i przenośny router. Na ekranie wyświetlała się strona bloga z wpisem, który Dance czytała O'Neilowi w drodze.

- Znaleźliście na tym coś jeszcze? - spytał O'Neil.

- Najważniejsze rzeczy. Wiadomości o wybuchach paniki. Parę artykułów o wywłaszczeniu.

Dance wskazała komórkę Nokia.

- Wiemy, że wynajął kogoś do przeprowadzenia tych ataków. Chcemy go znaleźć - tego „żołnierza fortuny”, jak go nazwał. Naszego sprawcę. Jest jakaś wiadomość albo dane o połączeniach, które mogą nam pomóc? Czy może aparat jest chroniony hasłem?

- Nie ma hasła. - Batillo wziął telefon dłonią w rękawiczce. - Na kartę, numer z Kalifornii.

Podał jej numer, a Dance skinęła głową.

- Sprawca dzwonił do niego z aparatu, który zgubił w Orange. Mogę zobaczyć listę połączeń?

Podeszli z O'Neilem bliżej i spojrzeli na ekran, który pokazał im funkcjonariusz z ekipy techników.

- Chwileczkę - powstrzymała go Dance, gdy przewijał listę.

- Dobrze, to numer telefonu zgubionego przez sprawcę. A pozostałe tych, które kupił w tym samym czasie w Chicago.

Batillo parsknął krótkim śmiechem. Być może rozbawiony, że nauczyła się numerów na pamięć.

- Nie ma żadnych wiadomości na poczcie głosowej - ciągnął.

- Sporo SMS-ów, wysłanych i odebranych. - Przewinął je. - Na przykład taki. Grant pisze, że ma, cytuję, „ostatnią część twoich pieniędzy. Wiem, że chciałeś więcej, i żałuję, że nie mogę zapłacić ci więcej”.

- Czytał dalej. - „Wiem, jak ryzykowałeś. Zostanę twoim dłużnikiem Na Zawsze”. „Na Zawsze” napisał wielkimi literami. Często tak robi. A wcześniej... Grant pisze, że świetnie wybrał cele: klub, Centrum Bay View, szpital Monterey Bay, „chyba lepiej, że z kościołem się nie udało”.

- Zamierzał zaatakować kościół? - Dance pokręciła głową.

- „Dzięki za amunicję” - przeczytał jeszcze jedną wiadomość Batillo.

*Żołnierz fortuny...*

Policjant włożył telefon do torebki, dołączając kartę ewidencyjną dowodu.

Podpisał ją i umieścił torebkę w dużym plastikowym pojemniku przypominającym kosz na bieliznę.

Dance spojrzała na rozprawę na temat prawa o wywłaszczeniu.

- Jak poznał sprawcę? - zastanawiała się głośno. - Pisał, że spotkali się kilka lat temu.

- Widziałem wiadomości o „targach broni” - odparł Batillo.

- „Miło się z tobą rozmawiało o broni”. Znalazłem też chyba amunicję, o której pisze. Pudełko dwunastek i dwa pudełka dwudziestek-trójek. Na metce „Broń i Artykuły Sportowe Arlington Heights”.

- Chicago - powiedziała Dance.

- Szykuje się niezła obława - rzekł kwaśno O'Neil. - Sześć milionów ludzi.

- Mamy informację o targach broni. Mamy amunicję. Telefony.

- Wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła. - Wiem, igła w stogu siana.

„Nieszczęścia chodzą parami” też byłoby na miejscu. Ale to nie znaczy, że tej igły nie ma.

Czterdzieści minut później była z powrotem w swoim gabinecie i przewijała zdjęcia z miejsca zdarzenia, z samobójstwa Ottona Granta - resztę raportu miała dostać za dzień czy dwa. Zastanawiała się, jak zawęzić pole poszukiwań sprawcy w Chicago czy gdziekolwiek się teraz znajdował. Strona po stronie... Dance przyglądała się fotografiom Prescottta i zamordowanej kobiety, ułożonych do zdjęcia w świetle, by morderca miał dowód, że nie żyją. Gdyby na krótką chwilę mogła spojrzeć ich oczami, zanim stały się szklane i zasnuł je mrok.

Żeby zobaczyć człowieka, który to zrobił.

Kim jesteś? Jedziesz do domu w Chicago czy gdzie indziej?

Pracujesz już dla kogoś innego, dostałeś nowe zlecenie? Gdzieś w pobliżu? Czy w innej części świata?

Musiała znaleźć odpowiedzi na te pytania, choćby miało to trwać jeszcze tydzień, miesiąc, rok.

## ROZDZIAŁ 79

Maggie szeroko otwierała oczy i nawet zblazowany nastoletni syn Dance był pod wrażeniem.

Znajdowali się za kulisami w Centrum Kultury i Rozrywki w Monterey z samym Neilem Hartmanem. Chudy mężczyzna niewiele po trzydziestce, z pociągłą twarzą i ciemnymi kędzierzawymi włosami, wyglądał w każdym calu jak gwiazdor country, choć ten gatunek stanowił tylko część jego repertuaru. Stylem piosenek i ich interpretacji bardzo przypominał Kayleigh Towne - piosenkarkę i przyjaciółkę Kathryn mieszkającą we Fresno.

Kiedy Dance z dziećmi wprowadzono do green roomu, muzyk uśmiechnął się i przedstawił im obecnych tam członków zespołu.

- Kayleigh przesyła pozdrowienia - dodał.

- Gdzie dzisiaj występuje?

- W Denver. W wielkiej sali na ponad pięć tysięcy widzów.

- Dobrze jej się wiedzie - zauważyła Dance.

- Jadę tam po jutrzejszym koncercie. Może wybierzemy się do Aspen. -

Uśmiechnął się nieśmiało.

Dance poznała właśnie odpowiedź na jedno ze swoich pytań. Piękna piosenkarka przez pewien czas nie spotykała się z nikim na serio. Mogła trafić na kogoś gorszego niż trubadur z Portland o rozmarzonych oczach i stylu życia bardziej zbliżonym do atmosfery rodzinnego biznesu niż do Rolling Stonesów.

- Mhm... - bąknęła Maggie.

- Tak, młoda damo? - zainteresował się z uśmiechem Hartman.

- Poproś, Mags.

- Czy mogłabym dostać pana autograf?

Roześmiał się.

- Dam ci coś lepszego. - Podeszedł do pudła i znalazł w nim T-shirt w rozmiarze Maggie. Koszulkę ozdabiałoby zdjęcie - z najświeższej płyty - Hartmana siedzącego na werandzie z golden retrieverem. Podpisał T-shirt brokatowym flamastrem.

- Jeju.

- Mags?

- Dziękuję!

Prezent dla Wesa był bardziej stosowny do wieku: czarny T-shirt z literami „NHB”.

- Super. Dziękuję.

- Słuchajcie, macie ochotę pobrzdakać trochę na gitarze albo klawiszach?

- A możemy? - spytał Wes.

- Pewnie.

- Jaauu! - Maggie zasiadła za keyboardem - Dance ściszyła wzmacniacz - a Hartman podał Wesowi starego martina. Nie można mieszkać w domu Dance i nie znać się przynajmniej odrobinę na instrumentach muzycznych, a chociaż to Maggie miała prawdziwy talent, Wes też potrafił zagrać parę akordów i riffów.

Kiedy zaczął *Stairway To Heaven*, Hartman i Dance spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem. Piosenka nigdy nie umrze.

Rozmawiali o dzisiejszym koncercie. Artysta zdobywał coraz większą popularność, ale jeszcze nie na poziomie Kayleigh Towne, chociaż nagroda Grammy, którą zdobył, gwarantowała mu pełną salę w centrum rozrywki - na koncert wybierało się prawie tysiąc osób.

Dzieci były zajęte w rogu pokoju, więc dorośli rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Słyszałem, że go złapaliście. Człowieka, który stał za atakami.

- Tego, który wynajął sprawcę.

- Grant, zgadza się? Stracił farmę.

- Tak. Ale ciągle nie mamy samego mordercy, któremu to zlecił. Ale będziemy mieli. Znajdziemy go.

- Kayleigh mówiła, że jesteś... konsekwentna.

Zaśmiała się.

- Dokładnie tak powiedziała, hm? - Umiejętności kinezyczne powiedziały jej, że Hartman zinterpretował jej słowa. Może przyjaciółka użyła innego - „zawzięta” albo „uparta jak osioł”. Pod tym względem ona i Kayleigh miały ze sobą dużo wspólnego.

- Myślałem, że trzeba będzie odwołać show.

Dance była do tego w pełni przygotowana - gdyby przed rozpoczęciem koncertu

nie zamknęli sprawy.

- Słyszałaś o Samie Cohenie?

- Nie, a co?

- Zamierza odbudować klub. Kilkunastu z nas da parę charytatywnych koncertów i przekaże mu pieniądze. Sam rozbierze stary budynek i postawi nowy. Nie od razu na to przystał, ale byliśmy... - zaśmiał się - ..bardzo konsekwentni.

- Świetna wiadomość. Naprawdę bardzo się cieszę.

Może jednak Sam jakoś się pozbiera po tym, co się zdarzyło.

W drzwiach stanął perkusista Hartmana, uśmiechnął się do dzieci i oznajmił:

- Gramy.

Piosenkarz pokazał dzieciom uniesiony kciuk.

- Oboje nieźle wymiatacie. Kiedy następnym razem będę w mieście, opracujemy parę kawałków i wezmę was na scenę.

- Ja cię kręcę! - wykrzyknął Wes.

- Poważnie.

- Świetnie!

Maggie zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś.

- Będę mogła zaśpiewać piosenkę Patsy Cline?

- Mags, może jednak wybierzesz utwór Neila Hartmana - powiedziała matka.

Hartman się zaśmiał.

- Myślę, że pani Cline byłaby zaszczycona. Postaramy się spełnić twoje życzenie.

- Słuchajcie, bando, chodźmy już na salę.

- Do widzenia, panie Hartman. Dziękuję.

Wes oddał gitarę i zerkając na ekran telefonu, ruszył w stronę drzwi.

- Młody człowieku.

- Dzięki.

- Pozdrów od nas Kayleigh. - Dance uśmiechnęła się do niego.

Opuścili green room i weszli na widownię, która powoli się wypełniała. Kathryn oceniła, że zebrało się około ośmiuset osób.

Przed laty marzyła o karierze muzyka i występach w takich salach. Cierpliwie próbowała, ale mimo ciężkiej pracy doszła do punktu, w którym umiejętności nie pozwalały wykonać ostatniego kroku do świata profesjonalistów. Kończyła kolejne



studia, zaczęła pracować jako konsultant przy selekcji przysięgłych, wykorzystując zawodowo swoje doświadczenie kinezyczne, potem wstąpiła do biura śledczego. Wspaniała, trudna praca... mimo to oddałaby wszystko za talent, który pozwoliłby jej stale pojawiać się na takich scenach.

Tęsknota i marzenia zeszyły na dalszy plan, a do głosu doszła natura policjantki. Oczywiście wiedziała, że znajduje się w zatłoczonej sali, doskonałym celu ataku dla sprawcy, który ciągle przebywał na wolności. Z pewnością był już wiele kilometrów stąd. Ale nawet jeśli Otto Grant oświadczył, że zemsta go usatysfakcjonowała, to nie znaczyło, że nie kazał sprawcy przygotować wielkiego, widowiskowego finału. W drodze powrotnej z domku Granta poprosiła o przeprowadzenie drobiazgowego przeszukania sali koncertowej i postawienie policji przy każdych drzwiach wyjściowych.

Mimo to nie traciła czujności. Zwróciła uwagę na lokalizację wyjść, hydrantów przeciwpożarowych i gaśnic. Nie zauważyła żadnych miejsc, które nadawałyby się na stanowisko snajperskie. Upewniła się, czy na kamerach monitoringu jarzą się czerwone lampki, a ponieważ te modele nie były wyposażone w światła, sprawdziła oświetlenie awaryjne: w przypadku niebezpieczeństwa kilkanaście halogenów sprawiało, że w sali robiło się jasno jak w dzień.

Wreszcie, pewna, że są bezpieczni, Kathryn Dance rozsiadła się wygodnie, założyła nogę na nogę i dała się ponieść radosnemu podnieceniu, jakie zawsze towarzyszy gasnącemu światłu w sali koncertowej.

## ROZDZIAŁ 80

Antioch March znów raczył się sokiem ananasowym i patrzył w ekran telewizora w Cedar Hills Inn.

Hotel był superluksusowy, apartament został wyposażony w wyjątkowy telewizor - z rozdzielczością 4K, czyli ultra HD. Była prawie dwa razy większa od obecnego standardu, rozdzielczości ekranu 1920 na 1080 pikseli.

Głębia obrazu wręcz nieziemska.

March oglądał film nakręcony pod wodą w 4K. Odtwarzał wideo w komputerze połączonym kablem HDMI z ekranem o przekątnej pięćdziesięciu czterech cali.

Niesamowite. Glony wyglądały realistycznie. Tak jak samogłowy. Węgorze. Koralowce. Wszystko jak rzeczywiste. Zwłaszcza rekiny o giętkiej szarej skórze i niezwykłych oczach, poruszające się z gracją niczym szermierze.

Piękne. Intensywne. Człowiek tam był, stawał się częścią oceanu. Częścią łańcucha natury.

Na razie niewiele było dostępnych materiałów w 4K - do kręcenia filmów w tej rozdzielczości potrzebna jest specjalna kamera - ale wkrótce się pojawią. Gdyby rodzina na skałach w Asilomar została tam tylko chwilę dłużej, mógłby pokazać Płodowi jej śmierć w ultra HD: jego Samsung galaxy został wyposażony w taką kamerę.

*Ktoś nie jest zadowolony...*

Zadzwonił telefon stacjonarny i March podniósł słuchawkę, nadal wpatrzony w falujące glony, tak rzeczywiste, jak gdyby unosiły się w powietrzu wokół niego.

Recepcjonista zawiadomił go, że przyjechał pan Fred Johnson.

- Dziękuję. Niech wejdzie. - Ciekawe, po co taki pseudonim.

Kilka minut później gość stanął w drzwiach.

March wpuścił szefa do przedpokoju. Podał mu rękę, po czym weszli do luksusowego apartamentu. Kiedy zamknęły się drzwi, Jenkins jeszcze go objął.

March delikatnie odwzajemnił uścisk.

Jenkins, rzeczywiście trochę podobny do niego, po pięćdziesiątce, był barczysty i krępy - o dobre ćwierć metra niższy od swojego pracownika - i opalony. Miał

jasne, krótko ostrzyżone i gładko zaczesane włosy. I postawę żołnierza, ponieważ kiedyś służył w wojsku. Zerknął na ogoloną głowę Marcha.

- Hmm.

- Musiałem.

- Nawet nieźle.

Wiedział, że Jenkins wcale tak nie uważa, ale nigdy nie powiedziałby złego słowa na temat wyglądu swojego ulubionego pracownika. Nie wyglądał starzej niż sześć lat temu, kiedy się poznali. Był tylko trochę grubszy, bardziej masywny. Jenkins miał własny Płód, ale inny niż March. Jego demona znieczulało gromadzenie pieniędzy. Kiedy kupował sobie ferrari albo zabierał jakiegoś chłopca na kolację za tysiąc dolarów, albo znajdował świecidełko Cartiera... to trzymało w ryzach Płód Jenkinsa.

Dziwnie działały ich obsesje. Dopełniały się symbiotycznie.

- Carole pozdrawia.

- Nawzajem.

Była to jedna z dziewczyn, z którymi od czasu do czasu spotykał się Jenkins. March nie wiedział, po co właściwie szef utrzymuje pozory. Kto się tym przejmował w dzisiejszych czasach? Zresztą nie można oszukać Płodu, który wie, czego chcesz i kiedy, po co więc komplikować sobie życie? I tak jest za krótkie.

- Jak droga?

- W porządku. - Jenkins mówił z lekkim bostońskim akcentem. Zanim wstąpił do wojska, mieszkał na przedmieściach stolicy Massachusetts.

March zamówił najlepsze - to znaczy najdroższe - wino w karcie, francuskie chateau de coś tam. Rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty. Musiało być dobre: cena sześćset dolarów. Butelkę już otworzył. Skosztował. Było w porządku. Nie tak dobre jak Dole.

- Hm, wyśmienite! - orzekł Jenkins, oglądając etykietę, z której March nic nie rozumiał.

Pozwolił, by szef nalał mu zawiesistego wina, po czym stuknęli się kieliszkami, wznosząc toast za sukces. W ciągu kilku ostatnich dni zarobili kilkaset tysięcy dolarów.

- Zawsze uwielbiałem Cedar Hills.

Chris Jenkins przypominał Marchowi ludzi z klipów w telezakupach: przystojnego mężczyznę obok pięknej kobiety, siedzących na werandzie na Florydzie czy Hawajach, na tle łodzi i palm, którzy opowiadają, jak bez większego wysiłku zarobili miliony - inwestowali w rynek nieruchomości albo dokonali jakiegoś wynalazku. W przypadku Jenkinsa źródłem gigantycznych dochodów była sprzedaż czegoś niezwykle rzadkiego i cennego.

Mężczyźni usiedli na kanapie. Przyglądali się krystalicznie czystemu obrazowi na ekranie telewizora - hipnotycznie pływały ryby i falowały glony.

- Dobry obraz. Cztery K. Kurczę, piękne. Będziemy o tym pamiętać. - Jenkins odstawił kieliszek. - Jak wygląda sytuacja?

- Wszystko gra.

- Co z Ottonem Grantem? Słyszałem wiadomości. Wygląda na to, że kupili.

- Kupili.

March zatrzymał film z rekinami i otworzył w komputerze inny plik wideo. Klip w wysokiej rozdzielczości (choć tylko 2K) pokazywał ostatnie chwile życia Ottona Granta, gdy ten wierzgał nogami, rozpaczliwie szukając punktu oparcia, żeby spróbować się podciągnąć i odczepić sznur, który zawiązał March, by upozorować samobójstwo. Szamotał się przez pewien czas, a potem zadrzał i znieruchomiał.

- Spuścił się?

Krążyły plotki, że po powieszeniu u mężczyzn czasem dochodzi do ejakulacji. Żaden z nich nie potrafił tego potwierdzić.

- Tylko się posikał.

- Ach, tak.

- Zostawiłem w domku dowody, że człowiek, którego wynajął, pochodzi z Chicago i że już tam wyjechał, zaraz po zdarzeniu w szpitalu. Solidne. Telefony, serwery proxy, e-maile. Przez jakiś czas będą węszyć tym tropem.

- To dobrze.

- Wspominałeś o nowym zadaniu. - March wiedział, że Jenkins przyjechał do Carmel z innego powodu, ale nie zmyśliłby wiadomości o nowym zleceniu.

- Klient jest z Lozanny, więc nie chce, żeby to się stało w Europie. Wspominał o Ameryce Łacińskiej.

- Ma jakieś preferencje co do sposobu?

- Myślał o upadku, może wagonu kolejki linowej.

March się zaśmiał. Potrafił uruchomić samochód, zwierając kable stacyjki, potrafił unieruchomić windę. Na tym kończyła się jego znajomość budowy maszyn.

- Chyba nie da rady. Mógłby być autobus?

- Przypuszczam, że mógłby.

- Prześlij mi szczegóły.

Znów brzęknęły kieliszki. March wypił tylko łyżeczek wina. I patrzył na sok ananasowy.

Jenkins zaśmiał się i podał mu szklanekę z sokiem w taki sposób, aby ich palce znów się dotknęły.

- Tylko nie mieszaj tego z saint estephe.

March pozwolił szefowi potrzymać chwilę rękę na swojej dłoni.

- Kolacja? - zaproponował Jenkins.

- Nie jestem głodny.

W takich chwilach nigdy nie czuł głodu. Liczył na to, że cała praca się opłaci. Powodzenie planów zależało od niepewnych czynników. Wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Ryzykował, że cały poświęcony czas i pieniądze pójdą na marne. W każdym razie wszystko sprowadzało się do prostej zależności: kiedy Płód był głodny, March nie był.

- Aha. Coś ci przywiozłem. - Jenkins sięgnął do plecaka Vuitton. Podał mu małe pudełko. March otworzył je.

- No...

- Victoria Beckham.

W środku znajdowały się okulary przeciwsłoneczne z niebieskimi szklami.

- Włoskie - wyjaśnił Jenkins. - Szkła zmieniają kolor w słońcu. Albo robią się ciemniejsze. Nie wiem. Masz tam chyba instrukcję. Spodobają ci się.

- Dzięki. Naprawdę nie byle jakie.

Choć w pierwszej chwili March pomyślał: mam nosić niebieskie okulary w czasie zadania, kiedy trzeba jak najmniej rzucać się w oczy?

Może kiedyś wybiorę się na plażę. Gdy będę miał urlop.

Czy Płód mi na to pozwoli? Da po prostu odpocząć?

Przymierzył.

- W sam raz dla ciebie - szepnął Jenkins, zaciskając palce na jego bicepsie.

March schował okulary i sięgnął po pilot.

*Klik.* Na ekranie telewizora ponownie pojawił się hipnotyczny balet morskich stworzeń.

- Nadzwyczajne. Cztery K - powiedział z nabożnym podziwem. - Kto to nakręcił?

- Nie uwierzysz, ale nastolatek.

- Cztery K, hm. To jest przyszłość.

- Jaki masz plan? - spytał Jenkins.

- Trzeba ją powstrzymać.

- Tę agentkę? Dance?

- Zgadza się. - Wyjaśnił, że nie powiodła się próba zamachu na jej chłopaka, niejakiego Bolinga. Musieli więc wykonać jakiś skuteczniejszy ruch.

- Jutro wyjeżdżamy. Po co w ogóle coś robić? W południe będziemy już tysiąc mil stąd.

- Nie. Musimy ją powstrzymać. Nie spocznie, dopóki nas nie dopadnie.

- Na pewno?

- Tak - odrzekł March, wpatrując się w rekiny.

- Co konkretnie masz na myśli?

Kiedy wsiadł do jej nissana pod Bay View, dowiedział się, że Dance jest właśnie na koncercie w Centrum Kultury i Rozrywki w Monterey. Zastanawiał się chwilę nad zorganizowaniem ostatniego ataku, w którym mogłaby odnieść poważne obrażenia albo zginąć. Ale po samobójstwie Granta wzbudziłyby to podejrzenia.

Poza tym jeszcze z innego powodu nie chciał jej śmierci.

Zajrzał do notatek, które zrobił po otrzymaniu informacji o numerach rejestracyjnych tego człowieka.

- Ma bliskiego współpracownika. TJ-a Scanlona. Mieszka w Carmel Valley. Zlikwidujemy go tak, żeby wyglądało to na robotę gangu. Odwrócimy jej uwagę. Rzuci wszystko i zacznie szukać zabójców.

- Dlaczego jej po prostu nie zabijemy?

Marchowi nie przychodziła na myśl żadna odpowiedź. Tylko:

- Tak będzie lepiej.

*Inny powód...*

Pokazał palcem na telewizor.

- Uważaj teraz.

Na ekranie niezgrabny, choć poruszający się z gracją rekin młot podpłynął w stronę kamery i nagle wykonał zwrot w górę, i od niechcienia, jak człowiek, który chce trzepnąć komara, otworzył paszczę i zręcznie pozbawił nogi surfera unoszącego się pionowo na powierzchni. Rekin i odgryziona kończyna zniknęli w ogromnym czerwonym obłoku, który wykwitł w wodzie i jak dym zaczął wypełniać kadr, zasłaniając okaleczonego młodego mężczyznę, gdy ten miotał się w przedśmiertnych drgawkach.

- No, cztery K - rzekł Jenkins. - Wyśmienicie. - Uniósł kieliszek. March skinął głową. Jeszcze chwilę patrzył na podwodny obraz, a potem wyłączył telewizor. Wziął torbę Louis Vuitton, sprawdził, czy nadal jest tam pistolet i nóż myśliwski, po czym wskazał szefowi drzwi.

- Proszę, idź pierwszy.

## ROZDZIAŁ 81

O tej epoce nic nie wiedział, nie cenił jej i nic go nie obchodziła.

Lata sześćdziesiąte w Stanach. Przynajmniej ta strona lat sześćdziesiątych.

Antioch March przypuszczał, że to była tak zwana kontrkultura, i z niewiadomego powodu agent CBITJ Scanlon ją uwielbiał.

Stojąc w salonie parterowego domu z trzema sypialniami w Carmel Valley, March i Jenkins rozglądali się po wnętrzu, utrzymanym w brązowych i pomarańczowych barwach. Dywan, meble, obrus. Na ścianach plakaty - ładne, oprawione w ramki - Jimiego Hendriksa na Woodstock, The Mamas & the Papas, Jefferson Airplane. Zamiast drzwi w przejściach między pomieszczeniami sznury kolorowych koralików, które grzechotały, kiedy przechodziło się z pistoletem w rękę, sprawdzając, czy nikogo nie ma. Zgadza się, była też lampa lawa.

- Działa na nerwy, co? - odezwał się Jenkins.

Działało.

Dłonią w rękawiczce March włączył lampę ultrafioletową. Niewidzialne światło padło na ciemny plakat, efektownie wydobywając z mroku statek, który zdawał się płynąć po niebie.

Zgasił lampę.

Zerknął na dużą pacyfę przypominającą symbol Mercedesa, który miał na swoim samochodzie. Ikona lat sześćdziesiątych była ułożona z muszelek.

*Działa na nerwy...*

Kazał się uspokoić Płodowi, który chyba wciąż był zły na rodzinę Azjatów za to, że nie doszło do widowiskowej śmierci w lodowatej zatoce.

*Ktoś nie jest zadowolony...*

Wkrótce będziesz.

Zaparkowali dwie ulice dalej i dotarli do domu Scanlona pieszo przez las, nie pokazując się żadnym sąsiadom. March, lepszy technik w ich tandemie, uważnie zlustrował dom z odległości. Następnie, przekonany, że właściciela nie ma, podkraść się bliżej i zajrzał przez okna. Żadnej instalacji alarmowej ani kamer. Zamek dało się bez trudu podważyć. Później, gotowi do ucieczki, gdyby się okazało, że nie zauważyli jakiegoś alarmu, zaczekali chwilę i przystąpili do



przygotowań do dzisiejszych wydarzeń.

March przestał studiować dziwny wystrój i obejrzał składane łóżko, które ustawili w pokoju. Miejsce ostatniego spoczynku TJ-a Scanlona. Młody człowiek zostanie związany i poddany torturom. Niewiele było potrzeba. March miał nóż, znalazł kombinerki. Ból to prosta sprawa. Nie ma co komplikować.

Uznał, że scenografia wygląda całkiem nieźle. W latynoskiej dzielnicy Salinas, znanej z działalności gangów, kupili butelkę alkoholu izopropylowego, aby zwiększyć cierpienia agenta. Zebrali też w okolicy trochę śmieci i szmat. Przeprowadziwszy krótki rekonesans, ustalili, jak wyglądają znaki i barwy K-101, miejscowego gangu, z którym parę razy starło się CBI, aresztując kilku bandytów w randze odpowiadającej oficerom. March wymalował ich znaki na ścianie pokoju, tuż nad miejscem, w którym miał zginąć Scanlon. Prawdopodobnie wyjawiając wcześniej wszystkie cenne informacje na temat prowadzonych śledztw dotyczących gangu.

Zastanawiał się, co znaczą inicjały TJ. Nie zawracał sobie jednak głowy szukaniem w papierach szczegółów.

Thomas Jefferson?

- A jeżeli nie wróci na noc do domu? - zapytał Jenkins. - Może...

W tym momencie usłyszeli odgłos silnika samochodu zbliżającego się długim zwirowym podjazdem.

- To on?

March podszedł do okna, żeby wyjrzeć.

A Jenkins skorzystał z okazji i położył mu dłoń na plecach.

*Wszystko w porządku.*

- Aha.

Scanlon był w samochodzie sam. I nie towarzyszyły mu inne pojazdy.

Nagle Płód wsączył Marchowi do serca żal, że osoba, nad którą będzie pracował, to jednak nie Kathryn Dance.

March zawetował tę myśl. Nie. Właśnie tak należało to załatwić.

Co z kolei rozdrażniło Płód i Marcha ogarnęła paląca wściekłość.

Wal się, pomyślał. Ja też mam coś do powiedzenia.

Obaj mężczyźni bezszelestnie podeszli pod drzwi wejściowe. March wyjrzał

przez wizjer, zaciskając w dłoni młotek, którym chciał złamać Scanlonowi rękę, żeby odebrać mu broń, gdy tylko przekroczy próg.

Zobaczył, że młody człowiek z pochyloną głową zbliża się do furtki w płocie. Otworzył ją i ruszył krętą ścieżką, stąpając ostrożnie. Jeżeli miał lampy od frontu, to ich nie zapalił.

Wszedł na niską werandę, ale skręcił w bok. Usłyszeli skrzypnięcie otwieranej skrzynki na listy. Potem krótki śmiech wywołany tym, co przyszło pocztą - albo nie przyszło. Wreszcie zbliżający się do drzwi chrzęst kroków na deskach z drewna sekwojowego.

Chrobot klucza w zaniku.

A potem... nic.

Jenkins odwrócił się, skonsternowany. March mocniej chwycił młotek. Ostrożnie wyjrzał przez zasłonięte okno. Zobaczył pustą werandę.

- Wiejemy! - polecił ostrym szeptem March. - Szybko!

Jenkins zmarszczył brwi, ale instynktownie ruszył za Marchem.

Zdążyli się cofnąć o metr w głąb salonu, gdy zza koralików zasłaniających drzwi do kuchni wypadło sześciu zastępców szeryfa z Monterey w pełnym rynsztunku taktycznym.

- Ręce na widoku! Na ziemię, na ziemię! Już!

Drzwi frontowe wybuchły do wewnątrz. Do domu wtargnęło jeszcze dwóch funkcjonariuszy brygady antyterrorystycznej. Za nimi ukazał się Scanlon z pistoletem w ręku.

- Chryste! - krzyknął Jenkins. - Nie, nie, nie...

March cofnął się, uniósł ręce i osunął się na kolana. Jenkins zaczął robić to samo, ale kiedy klękał, opuścił rękę, jak gdyby chciał się podeprzeć, by nie stracić równowagi.

March spojrzał mu w oczy. Widział już coś takiego. To nie był wyraz buntu. To była rezygnacja. Wiedział, co zaraz nastąpi.

Spokojnie powiedział do Jenkinsa:

- Nie, Chris.

Ale to, co się miało stać, było nieuniknione.

W jego opalonej dłoni pojawił się mały pistolet, który bez pośpiechu wyjął

z tylnej kieszeni. Wymierzył broń w policjantów, lecz udało mu się unieść rękę o nie więcej niż czterdzieści pięć stopni, bo w tym momencie dwaj funkcjonariusze strzelili jednocześnie. W głowę i w klatkę piersiową. Huk ogłuszył Marcha. Jenkins z na wpół zamkniętymi oczami runął na podłogę.

- Padły strzały. Podejrzany dostał. Pomoc medyczna, pomoc medyczna! - Jeden z policjantów, którzy strzelali, rzucił radio i podbiegł do Jenkinsa, wciąż celując do niego z broni, choć sądząc po ilości krwi, nie stanowił zagrożenia. Dwaj inni skuli Marcha.

Policjant wyjął mały pistolet z dłoni Jenkinsa, rozładował go i odciągnął zamek.

Pozostali rozbiegli się po domu, zaglądając do wszystkich pomieszczeń. Rozległy się okrzyki:

- Czysto!

March wciąż patrzył na swojego szefa.

Może Jenkins naprawdę sądził, że za pomocą pistoletu uda mu się z tego wywinąć. Ale to mało prawdopodobne. Postanowił odebrać sobie życie. Takie sytuacje nie należały do rzadkości; nazywano to samobójstwem ze sprowokowanym udziałem policjanta. Rozwiązanie dla tych, którym brakowało odwagi, by przyłożyć sobie lufę do głowy i nacisnąć spust.

Przyglądał się zwłokom Jenkinsa na podłodze, krwi wsiąkającej w puszysty dywan, drgnieniu jego palca.

Do domu wbiegli następni funkcjonariusze, którym towarzyszyło dwóch ratowników medycznych. Pochylili się nad leżącym mężczyzną. Szybkie sprawdzenie czynności życiowych potwierdziło jednak to, co było oczywiste.

- Nie żyje. Zawiadomię coronera.

W domu pojawił się inny mężczyzna w kamizelce kuloodpornej i spojrzał na zatrzymanych. March rozpoznał w nim policjanta, którego widział tamtego ranka przed kinem, a potem pod Centrum Bay View. Kolegę Kathryn Dance.

- Detektywie O'Neil! - zawołał jeden z zastępców szeryfa. - Nie ma zagrożenia. - Funkcjonariusz podał O'Neilowi portfele Marcha i Jenkinsa. Detektyw przejrzał ich zawartość.

Podszedł do drzwi i powiedział:

- Czysto, Kathryn.

Weszła do środka, zerkając obojętnie na zwłoki. Potem utkwiała zielone oczy w oczach Marcha. Patrząc na nią, poczuł przenikające go dziwne doznanie. Ulga? Chyba tak. Szokujące, zważywszy na okoliczności, ale tak było. Niewiele brakowało, żeby się uśmiechnął. Pomyślał, że jest jeszcze piękniejsza, niż sądził. I taka podobna do Jessiki!

O'Neil podał jej dokumenty mężczyzn.

- Denat to Chris Jenkins. - Skinął głową. - Miałaś rację, Kathryn. To Antioch March.

Miałaś rację?

Nie był wcale zdziwiony, że piękna Kathryn go przechytryła.

- Przeczytajcie mu, jakie ma prawa, a potem zawieźmy go do CBI.

## ROZDZIAŁ 82

Światła, Antioch.

- Andy, jeżeli można. Światła?

- Światła na kamerach monitoringu w miejscach, gdzie zorganizowałeś ataki.

Dance przysunęła bliżej krzesło. Siedzieli w większym z dwóch pokoiów przesłuchań, tym samym, w którym zaczął się incydent z Serranem. Dance włożyła już okulary drapieżnika w ciemnych oprawkach. Przyglądała się uważnie Marchowi. Dopasowana jasnoniebieska koszula, ciemne spodnie. Obie rzeczy wyglądały na drogie. Nie widziała butów schowanych pod stołem: miał na sobie te za pięć tysięcy?

Wciąż wyglądał na zdumionego nagłym pojawieniem się policji w domu TJ-a, choć wyjaśnienie było dość proste.

Tuż po rozpoczęciu koncertu Neila Hartmana Dance znów pomyślała o swoim spostrzeżeniu sprzed chwili na temat oświetlenia awaryjnego w szpitalu i w miejscach poprzednio zaatakowanych przez sprawcę. Wszystkie kamery były wyposażone w lampy, w odróżnieniu od większości innych - tak jak kamery w Centrum Kultury i Rozrywki, na które właśnie spojrzała. Przypomniała sobie, iż świadkowie mówili, że w momencie wybuchu paniki w klubie i podczas wieczoru autorskiego w Bay View zapaliły się mocne światła; ona też to widziała, oślepiający blask bił od kamery w windzie.

Wyszła do holu sali koncertowej i obejrzała w telefonie zdjęcia z trzech miejsc zdarzenia. Kamery wyglądały tak samo.

Powiedziała o tym Marchowi, dodając:

- Wszystkie te miejsca niedawno odwiedził inspektor z firmy ubezpieczeniowej albo ochrony przeciwpożarowej. Tyle że to nie był żaden urzędnik. Ty zainstalowałeś kamery, kiedy szef nie patrzył. Inspektorze Dunn.

- Postawiłeś lampy nad dwiema innymi ofiarami - mówiła. - Calistą Sommers i Stanem Prescottem. Och, widzę twoją minę. Tak, wiemy o Caliście. Już nie jest bezimienna. Udało się ją zidentyfikować. Na podstawie informacji o zaginionych ze stanu Waszyngton.

Calista... Stan Prescott. I Otto Grant. Został powieszony przy otwartym oknie.

Tam też było dużo światła. Za każdym razem, kiedy ktoś przez ciebie ginął, chciałeś go oświetlić. Po co? Przypuszczaliśmy, że w przypadku Calisty i Prescottta światło było ci potrzebne, żeby sfotografować zwłoki. Filmowałeś też w salach?

Gdy tylko ta myśl przyszła jej do głowy, jeszcze z sali koncertowej zadzwoniła do O'Neila i poprosiła go, aby technicy zdjęli i rozmontowali kamerę monitoringu w szpitalnej windzie. Znaleźli tam moduł komórkowy.

Przypomniała sobie, że w Solitude Creek zastanawiała się, dlaczego zapis z kamery, który pokazał im Sam Cohen, przedstawia obraz z innego miejsca niż kamera, którą widziała w klubie. Zdała sobie sprawę, że dlatego, iż w sali znajdowały się dwie kamery - a zgodnie z tym, co powiedziała Trish Martin, ta zainstalowana przez Marcha była skierowana w stronę zablokowanych wyjść awaryjnych. Żeby jak najwyraźniej pokazać tragedię.

- Kamery transmitowały panikę tłumu w HD i mocnym świetle. Ale po co? Żeby Grant mógł się napawać zemstą? Być może. Skoro jednak zamierzał popełnić samobójstwo, niezbyt długo cieszyłby się widowiskiem. - Dance badawczo obserwowała jego twarz przez szkła w stalowych oprawkach. - A potem przypomniałam sobie wiadro.

- Wiadro?

- Dlaczego Grant używał wiadra jako toalety? Gdyby ukrywał się z własnej woli, chyba wychodziłby za potrzebą na zewnątrz, prawda? To porywacze stawiają wiadra ofiarom, które są skrupowane kajdankami albo taśmą.

Lekko zmrużył oczy. Kinezyczny sygnał, który znaczył, że trafiła w czuły punkt. Tu popełnił błąd.

- A sale, w których zorganizowałeś atak, Solitude Creek i Centrum Bay View? Grant skarżył się przecież na władze. Gdyby naprawdę zależało mu na zemście, wynająłby kogoś, żeby zaatakować jakieś budynki stanowe, nie prywatne.

Co znaczyło, że być może Otto Grant stał się kozłem ofiarnym. Znalazłeś w Internecie człowieka, który wypisywał teksty przeciwko władzy. Doskonały kandydat. Skontaktowałeś się z nim, udałeś, że mu współczujesz, a potem porwałeś go i uwięziłeś w tej chatce, dopóki nie skończyłeś tego, co miałeś do zrobienia. Upozorowałeś jego samobójstwo. A wszystkie dane o połączeniach i SMS-y o płatnościach i o tym, jaką świetną robotę wykonał wynajęty morderca? Obydwa

telefony były twoje; dzwoniłeś i wysyłałeś wiadomości do siebie, a potem podrzuciłeś aparat Grantowi.

Położyła dłonie płasko na stole.

- Czyli Grant był podstawiony. Ale kto w takim razie był prawdziwym klientem, od którego dostałeś zlecenie?

Wcześniej wyeliminowała męża Michelle Cooper, Fredericka Martina. Strażaka Brada. I Daniela Nashimę.

Na moment w kręgu podejrzeń pojawiła się jeszcze jedna osoba. Kiedy dowiedziała się, że podpalenie magazynu w Oakland jest dziełem najemników komendanta meksykańskiej policji Ramona Santosa, zaczęła się zastanawiać, czy to nie on stoi za całą intrygą, podejrzewając, że Henderson Jobbing and Warehouse przy Solitude Creek jest jednym z węzłów handlu bronią w środkowej Kalifornii, który Santos postanowił zamknąć na własną rękę, pozorując przestępstwo popełnione przez psychopatę.

Przypomniała sobie tabliczkę widzianą w dniu ataku w Solitude Creek:

Wyjeżdżając w trasę Międzynarodową, pamiętajcie o swoich Paszportach!

Zleciła Reyowi Carreneo zbadanie tej sprawy. Agent dowiedział się jednak, że choć Henderson rzeczywiście kursuje za granicę, to tylko do Kanady. Właściciel nie chciał ryzykować uprowadzenia ciężarówek ani kradzieży za południową granicą. Komendant Santos nie miał powodu wysłać najemnika, by zniszczył firmę.

Dla kogo więc pracował sprawca? - usiłowała zrozumieć. Dlaczego zabijał ludzi i to filmował?

Wreszcie znalazła odpowiedź.

*Od punktu A i B do Z...*

Znów przyjrzała się wyjątkowo przystojnej twarzy.

- Strony o przemocy w komputerze Stana Prescottta. To twoja praca, Andy. Twoja i Chrisa Jenkinsa. Nie chodziło o żaden zamach, o wyłudzenie odszkodowania ani o dzieło seryjnego mordercy psychopaty. Ty i twój partner sprzedawaliście klientom na całym świecie ultrabrutalne obrazy śmierci. Na specjalne zamówienie.

Pokręciła głową.

- Naprawdę nie przypuszczałabym, że istnieje taki duży rynek na te rzeczy.

Antioch March posłał jej rozbawione spojrzenie. Milczał, ale popatrzył na nią

z politowaniem, jakby okazała się naiwna jak dziecko. Jego oczy mówiły: och, agentko Dance, zdziwiłaby się pani.



## ROZDZIAŁ 83

Nie zabiłeś Prescottta dlatego, że przyciągnął uwagę do morderstw w Monterey. Zrobiłeś to dlatego, że w jego komputerze był trop do twojej strony internetowej, „Dłoń sercu”. Ściągnął z niej drastyczne zdjęcia zwłok i wrzucił na Vidstera. Na swojej stronie nie miałeś oczywiście żadnych zdjęć z Solitude Creek, ale Prescott miał je u siebie. A to wskazywało na związek między twoją stroną a klubem.

Kluczowym elementem działalności sprawców była witryna „Dłoń sercu”. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest poświęcona działalności humanitarnej i za pomocą umieszczonych na niej linków użytkownicy mogą wspomóc ofiary tsunami czy głodujących. Zawartość strony „Dłoń sercu” stanowiły jednak głównie zdjęcia i materiały wideo przedstawiające katastrofy, akty okrucieństwa, ćwiartowanie, śmierć.

Podejrzewała, że wspólnicy zwrócili uwagę na to, kto ściąga najwięcej zdjęć, i dyskretnie skontaktowali się z tymi osobami, by sprawdzić, czy byłyby zainteresowane czymś bardziej... drastycznym i brutalnym. Następnie, po należytej wzajemnej weryfikacji i wniesieniu słonej opłaty, klienci zyskali prawo do zamówienia filmów i zdjęć konkretnego rodzaju. W ten sposób śledczy poznali odpowiedź na pytanie, które wciąż ich nurtowało: dlaczego sprawca po prostu nie spalił Solitude Creek? Dlaczego nie zastrzelił ludzi zebranych w Bay View? Ponieważ ten szczególny klient - kimkolwiek był - zażyczył sobie zdjęć traktujących się ludzi.

March przechylił głowę i ściągnął brwi, a Dance domyśliła się, nad czym może się zastanawiać.

- Ach, jak znaleźliśmy was u TJ-a? W kamerach wykorzystasteś komórki na kartę, które łączyły się przez serwery proxy, ale wideo trafiało na serwer w Cedar Hills Inn.

Jon Boling tłumaczył jej, jak można namierzyć sygnał. Nie zrozumiała ani słowa, ale podziękowała mu pocałunkiem.

- Dzięki temu znaleźliśmy hotel, ale nie znaleźliśmy pokoju. Porównałam listę nazwisk gości z nazwiskami klientów, którzy wynajęli samochód w Los Angeles tuż po wybuchu paniki w parku rozrywki. Zgadzało się twoje. Weszliśmy do pokoju

i znaleźliśmy notatkę z adresem TJ-a.

Zdradziła go ta sama technika, która stanowiła integralny element ich perwersyjnej działalności.

Odchylił się na krześle, pobrzękując łańcuchem.

Znów przyszło jej na myśl, że jest wyjątkowo przystojny; był podobny do aktora, którego nazwiska nie potrafiła sobie przypomnieć. Jej akurat nie pociągał, ale obiektywnie rzecz biorąc, mógł się wydawać szalenie atrakcyjny - lekko opadające powieki, delikatnie zarysowane usta, które nie były ani zbyt pełne, ani za wąskie, wydatne kości policzkowe. I rzeźbiona, muskularna sylwetka. Wrażenia nie psuła nawet ogolona czaszka.

- Chcę, żebyś z nami współpracował, Andy. Chcę poznać nazwiska twoich klientów. Przynajmniej w Ameryce. I nazwiska twoich... jak ich nazwać? Rywali?

Miała świadomość, że trudno będzie zebrać dowody przeciwko nim, choć zamierzała spróbować razem z Michaeliem O'Neilem i Amy Grabę z FBI. Przede wszystkim jednak chciała poznać mechanizm, zrozumieć, co się dzieje w jego głowie. Nie przypominał żadnego z przestępców, z którymi dotąd miała do czynienia, a doświadczenie ją nauczyło, że jeśli istnieje ktoś o tak makabrycznych skłonnościach jak on, to są też inni.

- Zanim odpowiesz, powiem ci jeszcze jedno.

- Tak?

- Teksas.

Dostrzegła ledwie zauważalne drgnienie twarzy. Wiedział, co usłyszy.

- Rozmawiałam z naszym prokuratorem i jeżeli się zgodzisz, odstąpi od żądania kary śmierci. - Patrzyła na niego uważnie. -1 zagwarantuje, że nie zostaniesz poddany ekstradycji do Teksasu. Dostaliśmy nakaz wglądu do wyciągów twoich kart kredytowych, Andy. Pół roku temu byłeś w Fort Worth, szukałeś klientów dla swojej strony. W czasie, gdy doszło do wybuchu paniki w klubie Prairie Valley. Postarałeś się, żeby za sprawcę uznano bezdomnego. Na pewno znajdą się jakieś dowody łączące cię z tamtym zdarzeniem. Zostaniesz oskarżony o zabójstwo, będzie ci grozić kara śmierci. I zostaniesz skazany. W klubie zginęła córka stanowego polityka.

Między jego wargami ukazał się czubek języka i zniknął.

- A tutaj? Dostanę dożywocie.

- Może trochę mniej. To zależy.

Milczał.

- Albo dzwoń po adwokata.

Wzrok Marcha przebiegł po jej ciele od głowy do pasa, wzbudzając w niej obrzydzenie.

- Zagwarantuje mi to pani?

- Tak - zapewniła go.

- Osobiście. - Wypowiedział to słowo przeciągle, niemal uwodzicielsko.

- Tak.

- Mam jeden warunek.

- Jaki?

- Będę mógł pani mówić „Kathryn”.

- Zgoda. Jaki to warunek?

- Właśnie ten. Pozwoli mi pani mówić sobie po imieniu.

Może mnie nazywać, jak chce. Ale prosi o pozwolenie, żeby mi mówić po imieniu? Po karku przebiegł jej lodowaty dreszcz.

Powstrzymała się od reakcji.

- Dobrze, możesz mi mówić po imieniu.

- Dziękuję, Kathryn.

Otworzyła notes i wzięła długopis.

- Na początek powiedz mi, Andy, jak poznałeś Chrisa Jenkinsa.

## ROZDZIAŁ 84

Mężczyźni zawarli znajomość w sieci, na jednym z forów poświęconych filmom i zdjęciom snuff - rejestrującym prawdziwą śmierć.

Dance wróciła pamięcią do stron znalezionych w sieci przez Jona Bolinga: nie tylko pokazywano tam zdjęcia, które można było ściągnąć, ale użytkownicy mogli zamieszczać wiadomości na forach i prowadzić czat w czasie rzeczywistym.

Jenkins był dawnym wojskowym. Podczas służby na misjach zagranicznych zrobił mnóstwo fotografii z pól bitew, zdjęć ciał, ofiar tortur. Sam nie interesował się tymi obrazkami, ale dowiedział się, iż może nieźle zarobić, sprzedając je mediom informacyjnym albo - z jeszcze większym zyskiem - prywatnym kolekcjonerom.

- Codziennie oglądałem te rzeczy w Internecie - wyjaśnił March. - To był jedyny sposób, żeby zapanować nad...

- Nad czym? - spytała.

Chwila ciszy.

- To był jedyny sposób, żebym mógł zachować spokój - powiedział. - Jenkins miał zdjęcia dobrej jakości, dużo ich kupiłem. W ten sposób lepiej się poznaliśmy. Potem zaczęło mu brakować oryginalnego materiału - już od lat nie służył w wojsku. Zapytałem, czy nie chciałby kupić czegoś ode mnie - zdjęć, które mógłby potem odsprzedać. Niewiele miałem, ale wysłałem mu wideo z wypadku w czasie skoku na bungee, który kiedyś nakręciłem. Tylko mnie udało się sfilmować prawdziwą śmierć. Wyglądało to... dość drastycznie.

Chris powiedział, że to bardzo dobry materiał i że zna kolekcjonera, który jest gotów dużo zapłacić za filmy, jeżeli dostanie je na swój wyłączny użytek. Wideo musiałyby pozostać prywatne - gdyby wrzucić je do sieci, straciłoby na wartości. Zabrałem się do pracy i zacząłem mu wysyłać materiał. Po kilku miesiącach spotkaliśmy się osobiście i postanowiliśmy założyć interes. Wpadł na pomysł strony internetowej poświęconej pomocy humanitarnej, ze zdjęciami z katastrof. Oczywiście część ludzi wchodziła na nią, żeby wpłacać pieniądze. Ale na ogół ściągali zdjęcia. Sam zrobiłem ich dużo, jeżdżąc za granicę albo do miejsc, gdzie wydarzyła się jakaś katastrofa. Wideo i fotografie były naprawdę nieźle.

Podobały się ludziom. Jestem w tym dobry.

- Gdzie kręciłeś ten materiał?

Przez jego twarz przebiegł uśmiech. Musnął wzrokiem jej skórę, a Dance odpędziła uczucie chłodu.

- Kiedy następnym razem znajdziesz się w miejscu jakiejś tragedii - mówił - wypadku kolejowego, samochodowego, kraksy na wyścigach, pożaru, wybuchu paniki... - Ściszył głos.

- Mógłbyś mówić głośniej?

- Oczywiście, Kathryn. No więc kiedy następnym razem będziesz w takim miejscu, rozejrzyj się.

Przyjrzyj się ludziom, którzy patrzą na ciała zabitych i na rannych. Gapiom. Zobaczysz, że są ludzie, którzy pomagają ofiarom, modlą się za nie albo stoją bezradnie. Ale zobaczysz też ludzi z aparatami, którzy starają się znaleźć najlepsze ujęcie. Może po prostu są ciekawi... a może to kolekcjonerzy. Albo dostawcy, tacy jak ja. Mamy swoje „żniwa”. Łatwo nas można zauważyć. Właśnie my wściekamy się, bo policyjne taśmy nie pozwalają nam podejść bliżej, jesteśmy rozczarowani, że jest tak mało krwi, krzywimy się na wiadomość, że nikt nie zginął.

Żniwa...

- Zawsze się tym interesowałeś?

- Odkąd skończyłem jedenaście lat. - Zwilżył językiem wargi.

- Wtedy zabiłem swoją pierwszą ofiarę. Serenę. Miała na imię Serena. I do dzisiaj ją sobie wyobrażam. Codziennie.

Jedenaście lat. Rok więcej niż Maggie, rok mniej niż Wes.

- Mieszkałem z rodzicami pod Minneapolis. Nieduże przedmieście. Bardzo ładne, sympatyczne. Mój ojciec był sprzedawcą, matka pracowała w szpitalu. Oboje bardzo zajęci. Miałem dużo czasu dla siebie. Byłem dzieckiem z kluczem, ale to mi wcale nie przeszkadzało. Nie chciałem, żeby za bardzo się angażowali. Będąc typem samotnika, wolałem takie życie. Zabiłem Serenę z SMG.

Boże.

- To przecież pistolet maszynowy, zgadza się? Skąd go wzięłeś? Odwrócił wzrok.

- Strzeliłem do niej pięć razy i nie potrafię opisać, jaką to mi sprawiło

przyjemność. - Znów spojrzeniem prześlizgnął się po jej twarzy. Po ramieniu. Zatrzymało się na jej dłoniach. Dance cieszyła się, że nie ma polakierowanych paznokci. Miała wrażenie, jakby jej dotykał.

- Serena. Ciemne włosy. Latynoska uroda. Miała chyba dwadzieścia pięć lat. W wieku jedenastu lat niewiele wiedziałem o seksie. Ale kiedy patrzyłem na Serenę, coś czułem.

Patrzyłem, pomyślała Dance. To właśnie lubił.

Uczucie nostalgii przerodziło się w przyjemność wywołaną miłym wspomnieniem. Został złapany? Trafił do poprawczaka? W bazie danych NCIC nie znalazła nic na ten temat. Ale często utajniano informacje o przestępstwach popełnionych przed osiągnięciem pełnoletności.

- Tak, miałem wyrzuty sumienia. Straszne wyrzuty sumienia. Przysięgałem, że nigdy więcej tego nie zrobię. - Zaśmiał się cicho.

- Ale już następnego dnia znowu ją zabiłem.

- Słucham? Znowu ją...

- Zabiłem Serenę. Tym razem nie tak przypadkowo. Chciałem ją zabić. Opróżniłem cały magazynek. Potem przeładowałem i znowu strzeliłem dwadzieścia razy.

Dance zrozumiała.

- To była gra komputerowa.

Skinął głową.

- Pierwszoosobowa strzelanka. Wiesz, jak to wygląda?

- Tak. - Ogląda się przebieg akcji z perspektywy postaci gry, przechodząc przez kolejne poziomy, zwykle z karabinem lub inną bronią, i zabija się przeciwników albo jakieś stwory'.

- Następnego dnia znowu wszedłem do świata tej gry. I ciągle wracałem. Zabijałem ją bez końca. Potem Troya i Gary'ego, setki innych, godzinami tropiłem ich i zabijałem. Zaczęło się od impulsu, a stało się obsesją. To był jedyny sposób, żeby zapanować nad Płodem.

- Nad... nad czym?

Patrzył na nią dłuższą chwilę. Wahał się.

- Skoro poznaliśmy się już bliżej, mogę to powiedzieć. Zacząłem wcześniej, ale

zmieniłem zdanie.

To był jedyny sposób, żeby zapanować nad... żebym się mógł uspokoić.

- Nad Płodem - ciągnął. Wyjaśnił, co to znaczy. Nazywał tak nieodpartą potrzebę, by zdobyć coś, co przyniosłoby mu satysfakcję, zaspokoilo pragnienie, nasyciło głód. W jego przypadku to był widok śmierci, obrażeń, krwi. - Gry - ciągnął - łagodziły to, co czułem. Dawały kopa.

Typowy cykl uzależnienia, pomyślała Dance.

- Więcej - mówił cicho. - Chciałem coraz więcej i więcej. Gry stały się moim życiem. Grałem we wszystko, co udało mi się zdobyć, na różnych platformach. Playstation, Nintendo, Xbox, wszystko. - Spojrzał na nią lśnącymi oczami; poniosły go emocje. -1 tyle tego było - szepnął. - Prosiłem o gry na Boże Narodzenie i rodzice kupowali. Nigdy nie zwracali uwagi na zawartość.

Jego lista: Doom, Dead or Alive, Mortal Kombat, Call of Duty, Hitman, Gears of War.

- Nauczyłem się wszystkich kodów, żeby były jeszcze bardziej brutalne. Ostatnio moją ulubioną grą jest Grand Theft Auto. Można w niej wypełniać misje albo po prostu krążyć po mieście i zabijać ludzi. Obezwładniać ich paralizatorem, a kiedy padają na ziemię, strzelać do nich, wysadzać ich w powietrze albo palić żywcem. Chodzić po Los Santos i strzelać do prostytutek. Albo wejść do klubu ze striptizem i po prostu zacząć strzelać do ludzi.

Niedawno Dance uczestniczyła w sprawie, w której młody człowiek zatracił się w sieciowych grach fabularnych takich jak World of Warcraft. Analizowała gry wideo i śledziła nowości, ponieważ była matką dwojga dzieci, które wychowywała w epoce Internetu.

W świecie organów ścigania, psychologii i edukacji toczył się spór, czy pełne przemocy gry prowadzą do stosowania przemocy w rzeczywistości.

- Wydaje mi się, że zawsze miałem w sobie Płód. Ale to gry rozpały w nim żądze. Gdyby nie one, być może... poszedłbym inną drogą. Znalazłbym inne sposoby, żeby zaspokoić Płód. W każdym razie moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej, i nie ma sensu nad tym dyskutować. Kiedy byłem starszy, gry przestały mi wystarczać. - Uśmiechnął się. - Można powiedzieć, że to był miękki narkotyk na początek. Chciałem więcej. Znalazłem filmy - krwawe horrory, gore, slashery,

porno z torturami. Kanibale, Ostatni dom po lewej, Czarodziej Gore. Później przyszła kolej na bardziej wyrafinowane. Pila, Ludzka stonoga, Pluję na twój grób, Hostel... Setki innych.

Potem były strony internetowe, jak ta, którą znalazłaś w komputerze Stana Prescottta, gdzie pokazywano zdjęcia z miejsc zbrodni.

I można było kupić piętnastominutowe filmy, w których strzelano do aktorek albo zakłuwano je nożem.

- Wkrótce i to nie wystarczyło - powiedziała.

Skinął głowę, a kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała nuta rozpacz.

- A potem stało się coś, co wszystko zmieniło.

- Co?

- Jessica - szepnął. Jego wzrok znów pieszczotliwie przesunął się po jej twarzy i szyi. - Jessica.



## ROZDZIAŁ 85

Miałem kilkanaście lat. Zdarzył się wypadek. To było skrzyżowanie drogi numer trzydzieści sześć z Mockingbird Road. Na wsi w Minnesocie. Nazwałem to zdarzenie Skrzyżowaniem. Dużą literą. Było dla mnie bardzo ważne.

- Jechałem samochodem z rodzicami, wracaliśmy z pogrzebu w rodzinie. - Uśmiechnął się. - Ironia losu. Z pogrzebu. W każdym razie jechaliśmy przez pagórkowaty teren, skręciliśmy i na Skrzyżowaniu zobaczyliśmy tuż przed sobą samochód dostawczy. Ojciec wcisnął hamulec... - Wzruszył ramionami.

- Wypadek. Któreś z twoich rodziców zginęło?

- Słucham? Och, nie. Oboje żyją. Mieszkają teraz na Florydzie. Tato jest ciągle sprzedawcą. Mama prowadzi piekarnię. Czasem się z nimi widuję. - Zaśmiał się bezbarwnie. - Są dumni z mojej pracy na rzecz pomocy humanitarnej.

- Wróćmy na Skrzyżowanie - przypomniała Dance.

- No więc wóz dostawczy nie zatrzymał się przed znakiem stopu i zderzył się ze sportowym kabrioletem. Samochód wypadł z drogi i zsunął się ze wzniesienia. Było jasne, że kierowca bmw zginął. Rodzice kazali mi zostać w samochodzie i pobiegli do kierowcy pika-pa - tylko on przeżył - żeby spróbować mu pomóc.

Siedziałem w aucie może minutę, ale nagle zobaczyłem coś, co mnie zaintrygowało. Wysiadłem i zszedłem ze wzgórza, minąłem rozbity kabriolet i zatrzymałem się przy krzakach. Leżała tam na wznak dziewczyna, miała szesnaście, może siedemnaście lat. Wyrzuciło ją z samochodu i stoczyła się po zboczu.

Jessica - potem dowiedziałem się, że tak miała na imię - bardzo mocno krwawiła. Miała głęboko rozciętą szyję i klatkę piersiową. Przez rozerwaną bluzkę widziałem ranę w lewej piersi. Miała zmiażdżoną rękę. Była tak ładna. Zielone oczy. Intensywnie zielone oczy.

Powtarzała: „Pomóż mi, wezwij policję, wezwij kogoś. Zatamaj krwawienie, błagam”. - Popatrzył beznamiętnie na Dance. - Ale nic nie zrobiłem. Nie mogłem. Wyjąłem komórkę i przez pięć minut robiłem jej zdjęcia. Kiedy umierała.

- Chciałeś wykonać następny krok. Do prawdziwej śmierci. Oglądanej na żywo. Nie w grze ani na filmie.

- Zgadza się. Chciałem. Kiedy mi się to udało, z Jessicą, Płód uspokoił się na długo.

- Ale potem zrobiłeś następny krok, prawda? Musiałeś. Bo jak często zdarza się natrafić na taką scenę jak śmierć Jessiki?

- Todd - powiedział.

- Todd?

- To było jakieś cztery, pięć lat temu. Nie wiodło mi się najlepiej. Porażki w college'u, nudna praca... Gry i filmy przestały na mnie działać. Potrzebowałem czegoś więcej. Byłem na północy stanu Nowy Jork. Poszedłem na spacer do lasu. Zobaczyłem ludzi skaczących na bungee. Nielegalnie, to nie była żadna atrakcja turystyczna, nic z tych rzeczy. Grupa dzieciaków, które nakładały hełmy z zamontowanymi kamerami i skakały.

- O tym wcześniej wspominałeś? To nagranie sprzedałeś Chrisowi Jenkinsowi.

Skinął głową.

- Zacząłem rozmawiać z jednym chłopakiem. Miał na imię Todd. - March zamilkł na chwilę. - Todd. W każdym razie nie umiałem się powstrzymać. Przywiązał linę do skały i podszedł do krawędzi urwiska popatrzeć w dół przed skokiem. Obok nie było nikogo.

- Odwiązałeś linę?

- Nie, to byłoby podejrzane. Przedłużyłem ją tylko o jakieś półtora metra. Potem zszedłem na dół. Skoczył i uderzył w skały. Nagrałem wszystko. - Pokręcił głową. - Nie potrafię opisać ci... tego uczucia.

- Płód się uspokoił?

- Mhm. Odtąd wiedziałem, dokąd zmierza moje życie. Poznałem Chrisa i stałem się największym szczęściarzem na świecie. Mogłem zarabiać na tym, co musiałem robić. Zaczęliśmy na niewielką skalę. Od pojedynczych śmierci. Otruliśmy bezdomnego. Dziewczyna bez kasku na skuterze. Rozlałem olej na zakręcie. Ale wkrótce jedna śmierć przestała wystarczać. Chciałem więcej. Klienci też chcieli więcej. Byli uzależnieni, tak jak ja.

- Wtedy wpadłeś na pomysł wywoływania paniki, żeby ludzie się tratowali.

- Krew wszystkich.

Powiedział jej o wierszu ze starożytnego Rzymu, który słał gladiatora za to, że

nie zszedł z areny, mimo że cesarz darował mu wolność i prawo do rezygnacji z walk.

March wyrecytował go z roziskrzonymi oczami:

*O, Werusie, walk stoczyłeś czterdzieści i po trzykroć  
Ofiarowano ci drewniany rudis wolności,  
A ty wzgardziłeś nim i nie oszedłeś z areny.  
Niebawem zbierzemy się, by patrzeć, jak miecz  
W twojej dłoni pogrąża się w sercu przeciwnika.  
Chwała ci, który nie chciałeś przekraczać progu  
Bram Życia, który postanowiłeś złożyć nam w darze to,  
Czego pragniemy najbardziej, czym żyjemy:  
Krew wszystkich.*

- To było dwa tysiące lat temu, Kathryn. A my w ogóle się nie zmieniliśmy. Ani trochę. Wyścigi samochodowe, zjazdy narciarskie, rugby, boks, skoki na bungee, futbol, hokej, pokazy lotnicze - wszyscy potajemnie albo mniej potajemnie liczymy na śmierć i katastrofę. A wyścigi NASCAR? Samochody, które godzinami cały czas skręcają w lewo? Ktoś by to oglądał, gdyby nie było prawdopodobieństwa widowiskowej śmierci w płomieniach? Koloseum w tamtych czasach, Madison Square Garden w zeszłym tygodniu. Zero różnicy.

Dance zwróciła uwagę na coś jeszcze.

- W tym wierszu jest fragment o dłoni i sercu... To nazwa twojej strony. Miecz w dłoni pogrąża się w sercu. Trochę się różni od pomocy humanitarnej.

Wzruszył ramionami i oczy znów mu rozblęły.

- Chciałabym dowiedzieć się więcej o twoich klientach. Są przede wszystkim ze Stanów?

- Nie, z zagranicy. Wielu jest z Azji. Z Rosji. I Ameryki Południowej, chociaż tamtejsza klientela nie jest tak bogata. Nie stać ich na duże sceny.

Trudno byłoby zbudować oskarżenie przeciwko wielu spośród tych ludzi - prawie samych mężczyzn, jak przypuszczała Dance. (Ważnym elementem Płodu był prawdopodobnie składnik seksualny). Problemem mogłoby być udowodnienie zamiaru popełnienia przestępstwa.

- A kto zlecił ci to zadanie w Monterey?

- Japończyk. Od paru lat jest dobrym klientem.

- Miał jakąś szczególną urazę do tej okolicy?

Myślała o Nashimie i obozie internowania nad Solitude Creek.

- Nie. Powiedział, że możemy wybrać miejsce. Chrisowi Jenkinsowi podobał się hotel w Carmel. Dlatego mnie tam wysłał. Niezła karta win. Wygodne łóżka. I dobre telewizory.

Chciała zadać następne pytanie. Ale March pokręcił głową.

- Jestem już zmęczony. Możemy kontynuować jutro? Albo pojutrze?

- Tak.

Wstała.

- Kathryn? - zatrzymał ją jeszcze.

- Tak?

- Dobrze jest spędzić trochę czasu z bratnią duszą.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi, lecz po chwili zorientowała się, że mówi o niej. Znów poczuła przejmujący chłód w całym ciele.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Twój Płód i mój... są bardzo podobne do siebie. Cieszę się, że nasze drogi się przecięły. Dobranoc, Kathryn - szepnął. - Porozmawiam z tobą jutro. Dobranoc.

# OSTATNIE WYZWANIE

WTOREK, 11 KWIETNIA

## ROZDZIAŁ 86

Spoko, stary.

Donnie i Nathan przybili zółwia. Wes kiwnął głową, rozglądając się dookoła.

Siedzieli przy ławie piknikowej na szkolnym boisku, zbijając bąki. W pobliżu była Tiff; spojrzała w jego stronę i uniosła brew. Ale nic więcej. Żadnej innej reakcji.

Niedaleko kręciło się kilku czarnych, których nie było tu zbyt wielu. Jeden pokazał mu uniesiony kciuk. Pewnie gratulował mu biegów. Donnie poprowadził szkolną reprezentację lekkoatletyczną do zwycięstwa nad szkołą średnią Seaside, wygrywając bieg na dwieście i czterysta metrów (po powrocie do domu i tak jednak dostał po dupie gałęzią, bo na czterysta był o sekundę gorszy od swojej żydówki).

Kciuk pokazał mu Leon Williams. W porządku koleś. Donnie skinął mu głową. Dziwne, ale nie czuł żadnej nienawiści do czarnoskórych w szkole, zresztą w ogóle do żadnych. Dlatego między innymi sprayowanie kościołów dla czarnych uważał za dość popieprzony pomysł. Nie cierpiał Żydów - tak mu się w każdym razie wydawało. Ale głównie pod wpływem ojca. Donnie nie wiedział, czy kiedykolwiek spotkał prawdziwego Żyda, oprócz tego Goldszwanca.

Spojrzał na telefon. Nic.

- Odzywał się do was Yulcan? - zwrócił się do Nathana i Wesa.

Vince wyszedł zaraz po lekcjach, mówiąc, że wróci. Wyglądało to podejrzanie.

- Esemesował - powiedział Nathan.

- Może do ciebie - odparł Donnie. - Do mnie dygał się napisać.

- Powiedział, że będzie. Tylko miał coś wcześniej do zrobienia, no i może wpadnie Mary - wiesz, ta z cyckami - i dalej tak kitował. Pewnie wynika z tego, że nie przyjdzie.

- Jeżeli skurwiel się nie pojawi, odpada z gry. - Do udziału w WYZWANIACH było sporo chętnych. Po chwili Donnie pomyślał jednak: do tego, co będzie dzisiaj, chyba lepiej, że nie ma tu Vince'a Cykora. Bo nie chodziło o grę w Oddziały Wielozadaniowe. Chodziło o coś więcej. To była poważna rzecz i nie mógł pozwolić, żeby ktoś powiedział: „Dobra, pilnuję ci tyłka”, a potem dał dyla.

- To co, tylko we trzech? - zapytał Wes.

- Na to wygląda, stary.

Donnie zerknął na zegarek. Casio z niewielkim zadrapaniem w rogu, które przez godzinę próbował zamaskować farbą, żeby ojciec nie zobaczył. Było wpół do czwartej. Do domu Goldszwanca mieli dwadzieścia minut piechotą.

- Uwaga, plan. Najpierw bierzemy rowery. Dostajemy się do garażu. Tam je trzyma - wyjaśnił Nathanowi. - Macie.

- Co to jest?

Donnie wpychał im do rąk zwitki niebieskiego lateksu.

- Rękawiczki - zrozumiał Wes. - Odciski palców.

Nathan:

- Żeby nie zostawić odcisków palców na rowerach? Przecież je zabieramy, co nie?

Donnie obrócił głowę i z rozdrażnieniem przyjrzał się Nathanowi.

- Musimy otworzyć drzwi albo okno, żeby się dostać do środka, zgadza się?

- A, no tak. - Nathan włożył rękawiczki. - Ciasne.

- Nie teraz, koleś. Jezu. - Donnie rozejrzał się po boisku. - Ktoś może zobaczyć.

Nathan błyskawicznie je zdjął i wepchnął do kieszeni bluzy.

- Trzeba uważać - stwierdził Wes. - Kiedyś widziałem serial w telewizji. Kryminalny. Był wtedy u nas kumpel mojej mamy, Michael, a on jest zastępcą szeryfa. Oglądaliśmy razem. Powiedział, że morderca jest głupi, bo wyrzucił rękawiczki, gliniarze je znaleźli, a jego odciski palców były w środku. Zostawimy je i wyrzucimy później, kiedy będziemy gdzieś daleko stąd.

- Albo spalimy - podsunął Nathan. Był dumny ze swojego pomysłu. Po chwili zmarszczył brwi. - Powinniśmy wiedzieć coś jeszcze, co wie ten gość? Kumpel twojej mamy? No bo to jest włamanie. Poważna sprawa.

- Totalnie - przytaknął Wes.

Nathan przymrużył oczy.

- Może to jest całkiem legalne. Przecież idziemy odzyskać skradzione rzeczy, nie?

Wes parsknął śmiechem.

- Serio? Stary, jaja sobie robisz? Rowery zostały zajumane w czasie popełniania przestępstwa, więc na to nie licz.

- Zajumane? To znaczy? - spytał Nathan.

- Skradzione, koleś - wtrącił Donnie.

- Aha.

- No? - podjął Donnie. - Czego by jeszcze szukał ten gliniarz? Kumpel twojej mamy?

Wes zastanowił się chwilę.

- Śladów stóp. Można je zdjąć taką maszyną. I zidentyfikować.

- Kurwa, to znaczy, że policja ma grubą kartotekę ze śladami stóp wszystkich? - zdumiał się Nathan.

Ale Wes wyjaśnił, że nie, że zdejmują ślady stóp, a jeżeli cię złapią i ślady pasują do twoich, to mają dowód.

- Zagadki kryminalne - mruknął Donnie. - Będziemy szli podjazdem. Nie po miękkiej ziemi.

- Z asfaltu i betonu też mogą je zdjąć.

- Tak?

- Na bank szwajcar.

- Kurwa. No dobra. Gdy będziemy na miejscu, zostawimy buty w krzakach.

Nathan znów marszczył brwi.

- A mogą zdjąć ślady skarpetek?

Wes odparł, że jego zdaniem chyba nie mogą.

- Ten gliniarz - dodał Nathan. - To ten facet, którego u ciebie widziałem? Jon?

- Nie, Jon jest od komputerów. Też jest kumplem mojej mamy.

- Ma dwóch chłopaków?

Wes wzruszył ramionami, jak gdyby nie miał ochoty o tym gadać.

- Dobra, czyli jak mówiłem - przypomniał Donnie - najpierw wchodzimy do garażu i bierzemy rowery.

- Powiedziałaś „najpierw” - zauważył Nathan. - To znaczy, że będzie jeszcze coś potem. Kiedy już weźmiemy rowery.

Donnie się uśmiechnął. Klepnął się w wojskową kurtkę.

- Wziąłem puszkę.

- Kurwa, przecież to nie gra - sprzeciwił się Nathan. - Mieliśmy ci tylko pomóc, on i ja.



- Właśnie - zawtórował mu Wes. - Stary, daj spokój. Bierzmy rowery i spadajmy. Tak się umawialiśmy. Chcesz mu znowu zrobić graf? Po co?

- Chcę mu zrobić graf w środku. Żeby gnój wiedział.

- Beze mnie - oznajmił Wes.

- Nie będziesz musiał nic robić, żaden z was nie będzie musiał. Proszę was o coś? Ciebie albo ciebie?

- Tylko mówię - odburknął Nathan.

Zapadła cisza. Rozejrzeli się po boisku. Dzieciaki wracały do domu, wsiadały do samochodów rodziców, przede wszystkim matek, stojących w długiej kolejce na podjeździe. Tiff znowu spojrzała w ich stronę. Donnie odgarnął włosy z oczu, a kiedy się uśmiechnął, dziewczyna odwróciła wzrok.

Czemu miałyby być zainteresowana? - pomyślał ze smutkiem.

- Daj spokój, Darth - odezwał się Wes. - Idziemy z tobą. Wszystko jedno, co masz w planach, graf czy łomot. Idziemy. Pomogę ci zabrać rowery, ale nie wchodzę do domu.

- Nie chcę nic więcej. Obaj będziecie na czatach.

- Amen, kurwa - oznajmił wyższy.

Wszyscy pokiwali głowami.

- Idziemy? - rzucił Donnie.

Ruszyli w stronę furki w ogrodzeniu z siatki, prowadzącej na ulicę.

Donnie i jego ekipa. Nie zdradził im, co naprawdę zamierzał zrobić.

W kurtce nie miał puszkę krylonu. Krył się tam należący do jego ojca pistolet Smith & Wesson kaliber .38.

Postanowił to zrobić wczoraj wieczorem - kiedy ten sukinsyn, jego ojciec, wyciągnął gałąź, zsunął Donniemu spodnie i spuścił mu łomot, może przez rower, może z innego powodu, a może w ogóle bez żadnego pieprzonego powodu.

Kiedy skończył, Donnie podniósł się na chwiejnych nogach i unikając wzroku matki, poszedł do swojego pokoju, gdzie stał przez jakiś czas przy komputerze - klawiatura leżała na wysokim stoliku, bo wiele razy nie mógł usiąść - i grał w Assassin 's Creed, potem Cali of Duty i Grand Theft Auto 5, chociaż kiepsko strzelał i skakał. Nie da się, kiedy masz w oczach pełno pieprzonych łez. W Cali of Duty żołnierze Federacji osaczyli go i resztę elitarnego oddziału sił specjalnych

Duchy, a potem z jego winy rozjebali w proch wszystkich.

Właśnie wtedy podjął decyzję.

Uświadomił sobie, że jego życie już się nie ułoży. Miał dwa wyjścia. Pierwsze, iść do ojca, wyjąć z komody mały pistolet i wpakować mu kulę w łeb, gdy będzie spał. Ale chociaż była to przyjemna perspektywa - bardzo przyjemna - życie jego matki i brata zostanie spieprzone na zawsze, bo ojciec nie traktował ich tak źle jak Donniego i wprawdzie bywał wredny, ale przynajmniej płacił rachunki i było dzięki niemu co jeść.

Czyli zostawało wyjście numer dwa.

Weźmie pistolet ojca i ze swoją ekipą pójdzie do domu Żyda. Kiedy odbiorą rowery - dowody - każe pozostałym pilnować, czy nie pojawią się gliny, a sam wejdzie do środka, zwiąże gnoja i zabierze całą kasę, którą ma w domu, zegarki, biżuterię żony. Skurwiel musiał być bogaty. Ojciec mówił, że wszyscy Żydzi są bogaci.

Na pewno mógł być o parę tysięcy do przodu. Kilkadziesiąt tysięcy.

Z pieniędzmi wyjedzie. Do San Francisco albo do Los Angeles. Może do Hollister, gdzie szyją te wszystkie ubrania<sup>1</sup>. Zacznie coś robić - ale nie będzie handlować amfą ani trawką. Coś poważnego. Mógłby sprzedać grę WYZWANIA komuś w Dolinie Krzemowej. To nie było tak daleko; może odwiedziłaby go Tiff.

Życie się ułoży. Nareszcie. Życie będzie dobre. Donnie niemal już czuł jego smak.

## ROZDZIAŁ 87

Charles Overby, mężczyzna, który uwielbiał słońce i dobrze się czuł, mając rumianą cerę, szedł korytarzem do pokoju zajmowanego przez grupę specjalną do sprawy Guzmána na tym samym piętrze biura CBI. Spojrzawszy w okno, nie był zadowolony z tego, co zobaczył.

Późnym popołudniem zapadający zmierzch zmienił szyby w ciemne lustro. Wyglądał w nich trochę wampirowato, jeżeli istnieje takie słowo, a jeżeli nie, to powinno. Za dużo stresu, za dużo pracy, ciągły opieprz. Wszyscy się go czepiali, od Sacramento aż po Meksyk, gdzie urzędował komendant Santos, ich obłudny sojusznik, który ukradkiem łamał prawo.

Wszedł do pokoju. Przy jednym stole byli Fisher i Lu, Steve i Steve Dwa. Obaj rozmawiali przez telefon. Przy innym stole siedziała agentka DEA Carol Allerton, wpatrując się w ekran laptopa. Zauważył już, że woli pracować sama. Była tak zaabsorbowana czytaniem e-maili na swoim samsungu, że nawet nie zauważyła jego wejścia.

- Cześć wszystkim.

Allerton zerknęła na niego.

- Odbieram raporty na temat ciężarówki, która wczoraj wyjechała z Compton, z magazynu niedaleko czterystapiątki. Od braci Nazim. Może wieść dwadzieścia kilo. Metamfetamina. - Dodała, że samochód widziano na drodze numer jeden.

- Tam, wóz z naczepą? - zdumiał się Lu. - Jezu.

Wąska i kręta droga między Santa Barbara a Half Moon Bay mogła być trudna do pokonania nawet sportowym wozem.

- Zgadza się. Chcę ją mieć na oku. Nie mają powodu jechać tą trasą, chyba że zamierzają zatrzymać się w jakimś miejscu związanym z Kanalem. Jesteś wolny? - zwróciła się do Lu Allerton.

Skinął głową.

- Jasne. Przyda mi się trochę świeżego powietrza. - Szczupły mężczyzna wstał i się przeciągnął.

Foster był pochłonięty rozmową telefoniczną.

- „Doprawdy?” - mówił zniecierpliwionym, sarkastycznym tonem, zataczając

dłonią kółka w powietrzu. „Przejdźmy do rzeczy. Miejmy jasność w temacie. To nie wyjdzie”. - Odłożył słuchawkę. Wskazał telefon. - Informatorzy. Chyba mają jakiś związek zawodowy. - Odwrócił się do Allerton i Lu. Wąsy opadały mu asymetrycznie. - Dokąd się wybieracie?

Allerton powiedziała mu o tajemniczej ciężarówce na drodze numer jeden.

- Kontrabanda na jedyńce? Jest tam jakiś węzeł przeładunkowy, o którym nie wiemy? - zainteresował się Foster.

- To właśnie chcemy ustalić.

- Mam nadzieję, że na coś trafimy.

- Możesz z Alem Stemple'em sprawdzić Pedra Escalanę? - zwrócił się do Fosterera Overby.

- Kogo?

- Trop do Serrana. Wspominała o nim Tia Alonzo, pamiętasz?

Mina Fosterera mówiła, że nie, nie pamięta.

- Gdzie jest ten Escalanza?

- W motelu Sandy Crest. - Overby wyjaśnił, że to tani turystyczny motel, niecałe dziesięć kilometrów na północ od Monterey.

- Chyba mogę.

- TJ zajrzał do kartoteki Escalanzy. Drobiazgi, ale grozi mu parę lat w Lompac. Popracujemy nad tym, pod warunkiem że poda jakieś informacje, które doprowadzą nas do Serrana.

- Trop tropu tropu - mruknął Foster.

- Co takiego? - zdziwił się Overby.

Foster nie odpowiedział. Zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju.

Przed budynkiem CBI Steve Foster przyjrzał się swojej nowej partnerce.

- Między nami mówiąc, zgodziłem się jechać z tobą, bo... - chwila ciszy - .. .tak chciała reszta grupy. Ja nie.

- To twoja sprawa, Steve - odrzekła uprzejmie Kathryn Dance.

- Ja ciągle jestem w cywilnym. Chcę tylko skorzystać z okazji i przesłuchać Escalanę, to wszystko.

- Reszta grupy - mruknął, po czym spojrział na nią, jakby chciał jej wyznać coś ważnego. Wyjawić sekret. Nic jednak nie powiedział.

Pomachała do Alberta Stemple'a, który człapał do swojego pikapa. Jego kowbojskie buty lekko zgrzytały o asfalt. Z kamiennym wyrazem twarzy skinął Dance głową.

- Co, trop w sprawie Serrana? - burknął.
- Właśnie - przytaknął Foster.
- Pojadę za wami. Wziąłem pikapa. Miałem mieć dzisiaj wolne.
- Wsiadł, uruchomił silnik, który wydał dudniący pomruk.

Dance i Foster wsiedli do radiowozu CBI. Agentka zajęła miejsce za kierownicą. Wstukowała adres motelu do GPS-u w swoim iPhone i uruchomiła silnik. Wyjechali na autostradę i ruszyli na zachód. Niebawem cisza w samochodzie wydawała się głośniejsza od szumu wiatru za oknami.

Foster, wpatrzony w ekran telefonu, czytał oraz wysyłał wiadomości. Jak widać, nie miał nic przeciwko temu, że Dance prowadzi - niektórzy mężczyźni robiliby z tego problem. Mógłby się sprzeciwić, ponieważ naprawdę nie była dobrym kierowcą. Nie przepadała za samochodami, nie potrafiła stapiać się z drogą tak jak Michael O'Neil.

Pomyślała teraz o tym, jak wziął ją w ramiona podczas wybuchu paniki w parku Global Adventure World. I o ich kłótni po powrocie.

Szybko odepchnęła tę myśl. Skup się.

Włączyła muzykę. Fosterowi chyba nie bardzo się podobała, ale nie sprawiała wrażenia, jakby mu bardzo przeszkadzała. Ciekawe, że podczas gdy wszyscy inni z grupy specjalnej gratulowali jej złapania sprawcy z Solitude Creek, Foster nie powiedział zupełnie nic. Jak gdyby w ogóle nie wiedział o tej drugiej sprawie.

Dwadzieścia minut później zjechała z autostrady i ruszyła długą, krętą drogą. Pikap Stemple'a, podskakując na nierównościach, toczył się za nimi. Od czasu do czasu widzieli biegnący z południa na północ brzeg, który ginął w mgle spowijającej Santa Cruz, a niebo przecinały kominy elektrowni. Wyglądały absurdalnie i szpeciły krajobraz - widok, jaki mógłby uwiecznić na swoich zdjęciach Ansel Adams, używając charakterystycznej dla siebie dużej przysłony, by nadać kryształową ostrość każdemu szczegółowi pejzażu.

Foster sięgnął do odtwarzacza i ściszył go.

Może więc jednak nie lubił muzyki.

Ale chodziło o coś zupełnie innego. Wpatrując się w krajobraz, powiedział:

- Mam syna.

- Tak?

- Ma trzynaście lat. - Mówił innym tonem. Jakby niewidzialna dłoń wcisnęła jakiś przełącznik.

- Jak ma na imię?

- Embry.

- Rzadkie. Ładne.

- Panieńskie nazwisko mojej babci. Kilka lat temu pracowałem w naszym biurze w Los Angeles. Mieszkaliśmy wtedy w dolinie.

W dolinie San Fernando. Złożonym i zróżnicowanym regionie na północ od kotliny Los Angeles, gdzie można było zobaczyć wszystko, od smętnych ruder po wielkie rezydencje.

- Kiedyś ktoś strzelał z samochodu. Pacoima Flats Boyz z niewiadomego powodu wkurzyli Cedros Bloods.

Dance przeczuwała, co zaraz usłyszy. Och, nie.

- I co się stało, Steve? - zapytała.

- Wracał z kolegami ze szkoły. Dostali się w krzyżowy ogień.

- Odchrząknął. - Kula trafiła go w skroń. Jest rośliną.

- Bardzo mi przykro.

- Wiem, że jestem wredny - ciągnął Foster, nie odrywając wzroku od drogi. - Kiedy stanie się coś takiego... - Westchnął.

- Nie umiem sobie nawet wyobrazić.

- Nie umiesz. Nie mam o tobie nawet w połowie takiego złego zdania, jak się wydaje. Wiem, że się czepiam, że jestem upierdliwy. I wiem, że nie powinienem. Ale ciągle myślę: Serrano uciekł, a jeżeli załatwi kogoś jeszcze? Jak chce, może sobie rozwalić cały swój gang. Ale ten dzieciak między lufą a celem martwi mnie, nie pozwala mi spać. Jestem tak samo winny jak ty. Byłem w pokoju w czasie tego przesłuchania. Mogłem coś zrobić, o coś zapytać.

- Znajdziemy go - powiedziała ze szczerością w głosie Dance.

- Znajdziemy Serrana.

Skinął głową.

- Powinnaś mi powiedzieć, że jestem sukinsynem.

- Pomyślałam.

Srebrzysty wąs lekko się unióśł i na twarzy Fostera pojawił się pierwszy uśmiech, jaki widziała, odkąd stworzono grupę specjalną.

Wkrótce dotarli do motelu, położonego na wzgórzach około pięciu kilometrów na wschód od oceanu, którego nie było stąd widać, ponieważ zabudowania znajdowały się po ich wschodniej stronie. W tym momencie budynki, stojące wśród krzewów i dębów karłowatych, tonęły w półmroku. Widok motelu od razu skojarzył się Dance z klubem Solitude Creek - budowle wzniesione przez człowieka, otoczone spokojną, wytrwałą florą kalifornijską.

Motel składał się z głównego biura oraz dwudziestu kilku wolno stojących domków. Znalazła ten, którego szukali, i zaparkowała dwa budynki dalej. Stemple zatrzymał pikapa na pustym miejscu obok. Na parkingu przed domkiem stał jeden samochód, stara jasnoniebieska mazda sedan. Dance zerknęła na ekran telefonu, przewijając zapisane informacje.

- To jego wóz. Escalanzy.

Stemple wysiadł z pikapa i z ręką na wielkim pistolecie obszedł motel dookoła. Wrócił i skinął głową.

- Chodźmy pogadać z señiorem Escalanzą - rzekł Foster.

Kiedy ruszyli we dwójkę w stronę domku, wiatr rozwiewał jej włosy. Usłyszała za sobą jakiś szcęk. I zobaczyła, że Foster ma w ręku pistolet. Odciągnął zamek, sprawdził, czy pocisk tkwi w komorze, po czym zwolnił zamek i schował pistolet do kabury. Skinął głową. Szli zapiaszczonym chodnikiem, obok pożółkłej trawy i przycupniętych przy ziemi sukulentów, zmierzając do domku wynajętego na nazwisko Pedra Escalanzy. W powietrzu krążyły owady, Dance otarła pot z czoła. Nie trzeba było za bardzo oddalać się od oceanu, aby mimo wiosny odczuć dokuczliwy upał.

Sprzed drzwi popatrzyli na Ala Stemple'a, który został trzydzieści metrów za nimi. Pokazał uniesiony kciuk.

Dance i Foster spojrzeli po sobie. Kiwnęła głową. Stanęli po obu stronach drzwi - tak nakazywała procedura, nie mówiąc o zdrowym rozsądku - i Foster zapukał.

- Pedro Escalanza? Biuro Śledcze Kalifornii. Chcielibyśmy z panem

porozmawiać.

Odpowiedziała mu cisza.

Zastukał jeszcze raz.

- Proszę otworzyć drzwi. Chcemy tylko porozmawiać. To dla pańskiego dobra.

Nic.

- Cholera. Strata czasu.

Dance złapała za klamkę. Zamknięte.

- Spróbujmy z tyłu.

Domki miały niewielkie tarasy, z których do wnętrza prowadziły rozsuwane drzwi. Na nierównej ceglanej powierzchni stały leżaki i stoliki. Oczywiście nie było żadnych grillów: wystarczyłby jeden strącony przez nieuwagę tłący się brykiet, by w ciągu kilkunastu sekund wzgórze zniknęły. Podeszli do tarasu i zobaczyli, że drzwi są otwarte, a na stoliku stoi opróżniona do połowy oszroniona szklanka piwa. Foster, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu, zbliżył się o kilka kroków.

- Pedro?

- Tak? - odezwał się męski głos. - Byłem w kiblu. Chodźcie.

Weszli do środka. I zamarli.

Ujrzeni wystające z łazienki nogi człowieka leżącego na podłodze. Z widocznymi plamami krwi, która zdążyła już utworzyć kałużę.

Foster wyciągnął broń i zaczął się odwracać, ale młody człowiek stojący za zasłoną obok rozsuwanych drzwi szybkim ruchem przyłożył mu lufę do czaszki.

Wyjął agentowi głocka z ręki i popchnął go naprzód, po czym zamknął drzwi.

Oboje odwrócili się do szczupłego Latynosa, który wpatrywał się w nich płonącymi oczyma.

- Serrano - szepnęła Dance.



## ROZDZIAŁ 88

Wrócili.

Nareszcie. Dzięki Ci, Panie.

Dwaj chłopcy, którzy pojawili się tu w sobotę. Tyle że teraz było ich trzech.

David Goldschmidt uświadomił sobie, że wtedy też mogła być cała trójka. Zgadza się, rowery były dwa, ale możliwe, że towarzyszył im trzeci.

W sobotę.

Nazwał to w myślach nocą hańby. Nawet teraz, trzy dni później, serce mu waliło. Pociły się dłonie. Jak w noc kryształową w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, gdy wybuchły zamieszki i Niemcy wyszli na ulice, by zniszczyć tysiące żydowskich mieszkań i sklepów w całym kraju.

Goldschmidt obserwował ich na ekranie monitora, który nie znajdował się w sypialni, jak powiedział wtedy agentce Dance, ale w pokoju obok. Podchodzili we trzech coraz bliżej. Rozglądali się niepewnie. Potrójne wcielenie poczucia winy.

To prawda, że w sobotę nie mógł przyjrzeć się im dokładniej, w każdym razie nie ich twarzom, dlatego zapytał Dance o więcej szczegółów: nie chciał popełnić błędu. Ale to na pewno byli oni. Kiedy uciekali, oszpeciwszy dom obscenicznym napisem, widział ich sylwetki, ich ubrania. Zresztą któż inny mógłby to być?

Wrócili po swoje cenne rowery.

Dali się zwabić przynętą.

Po to właśnie zostawił je w garażu.

Przynęta...

Był przygotowany. Zadzwoił do żony w Seattle i kazał jej zostać u siostry jeszcze kilka dni. Wymyślił bajeczkę, że sam chciałby tam przyjechać na weekend. Może więc zostanie i zaczeka na niego? Kupiła.

Kiedy chłopcy podkradli się jeszcze bliżej, zerkali na boki i przystawali od czasu do czasu, Goldschmidt spojrzął przez okno pokoju i obserwował ich zza firanki.

Jeden z nich, najbardziej spięty i poważny, wyglądał na herszta. Ubrany w kurtkę wojskową. Włosy opadały mu na oczy. Drugi, przystojny nastolatek, miał w ręku telefon, zamierzając prawdopodobnie nakręcić film z kradzieży. Trzeci był potężny. Niebezpiecznie potężny.

Boże, ależ młodo wyglądali. Goldschmidt miał wrażenie, że chyba nie chodzili jeszcze nawet do szkoły średniej. Ale to nie znaczyło, że nie są źli. Byli pewnie synami neonazistów albo należeli do jakiejś organizacji rasistowskiej. Szkoda, że zanim zdążyli wyrobić sobie własne poglądy, ich ojcowie, matki pewnie też, zaczęli sączyć swoje szowinistyczne idee do ich chłonnych umysłów i zmienili ich w potwory.

Złe...

I śmiertelnie groźne. Jak wszyscy fanatycy.

Dlatego właśnie Goldschmidt miał w rękach dubeltówkę Beretta załadowaną śrutem 00, gdzie każda śrucina miała średnicę pocisku kaliber .33.

Z cichym szcękaniem zatrzasnął zamek broni.

Granice obrony koniecznej są jasno określone w kalifornijskim prawie...

Z pewnością, agentko Dance. Kiedy ktoś wchodzi do twojego domu i masz uzasadnione obawy o własne bezpieczeństwo, możesz strzelić do intruza.

O ile Goldschmidt wiedział, oni też byli uzbrojeni.

Bo to Ameryka. Gdzie broni jest mnóstwo i chętnie robi się z niej użytek.

Chłopcy zatrzymali się na rogu. Zlustrowali okolicę. Zauważyli, że przed domem nie ma jego samochodu - zaparkował dobrych kilka budynków dalej. Zobaczyli, że nie palą się światła. Czyli nie było go w domu. Można bezpiecznie wejść i zabrać swoje schwinny.

Drzwi są otwarte, moi drodzy. Zapraszam.

Goldschmidt wstał, odbezpieczył dubeltówkę i wszedł do kuchni, gdzie otworzył drzwi prowadzące do garażu. Sprawdził w przepisach, że to miejsce również uważa się za część domu. Musiał zatem tylko przekonać prokuratora, że zasadnie bał się o własne życie.

Nauczył się na pamięć zdania: „użyłem minimum siły koniecznej w tych okolicznościach, aby się bronić”.

Wyjrzał przez szparę.

Śmiało, chłopcy. Śmiało.

## ROZDZIAŁ 89

Pani też, agentko Dance. Broń. Już, już.

Nie spuszczać z nich oczu, Latynos zaciągnął zasłonę, cienką tarczę chroniącą domek przed wzrokiem przechodniów.

- Nie jestem uzbrojona. Posłuchaj, Serrano... Joaquín. Porozmawiajmy o...

- Nie jesteś uzbrojona. - Uśmiech.

- Naprawdę nie mam broni.

- Mówisz jedno, ja drugie.

- Posłuchaj... - zaczął Foster.

- Ciii. Agentko Dance, może podciągniesz swoją śliczną marynarkę i okręcisz się jak moja siostrzenica, co? To się chyba nazywa piruet. Mała chodzi na balet. Całkiem nieźle sobie radzi.

Dance uniosła marynarkę i obróciła się wokół własnej osi. Wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Co, szefowie nie chcą powierzać ci broni? Moja kobieta, ta umie strzelać. Jest dobra. Boisz się strzelać. Za dużo huków?

Foster ruchem głowy wskazał na łazienkę, z której wystawały nogi mężczyzny. Na płytkach ciemniały szkarłatne krople.

- To Escalanza?

- A kim ty, kurwa, jesteś, żeby mi zadawać pytania? - zapytał szyderczo. - Zamknij się. - Podszedł do okna i wyjrzał. Dance udało się spojrzeć przez szparę między upstrzonymi przez muchy zasłonami. Nie zauważyła nikogo oprócz Stemple'a, który patrzył w stronę drogi.

- Kto to jest ten wielkolud?

- Przyjechał z nami - odparła Dance. - Jest z CBI.

Wrócił do nich.

- Słuchaj no, pani detektyw... nie, agentko. Muszę zapamiętać. Si, agentko Dance. Podobała mi się nasza rozmowa w tym pokoju, pokoju przesłuchań. Zawsze lubiłem pogadać z ładną kobietą. Szkoda, że nie było cervezas. Więcej ludzi przyznawałoby się do winy, gdybyś tam otworzyła bar. Jakaś tequila, Patron czy Herradura, rum. Nie, już wiem! Lepiej wynająć puta. Jak komuś obciągnie, gość zaraz się

przyzna.

- Utrudniasz sobie sytuację - powiedziała spokojnie Dance.

Uśmiechnął się.

- Słuchaj, Serrano - zniecierpliwiał się Foster - wszystko jedno, co zamierzasz, ale zamordowanie policjantów nic ci nie da.

- To twoje zdanie, chociaż nie wiem, kim jesteś. Byłeś wtedy jednym z tych, którzy mnie oglądali w akwarium?

- Tak.

- Nabrałem was, co? - triumfował.

- Owszem, nabrałeś - potwierdziła Dance. - Ale mój kolega ma rację. To się nie uda tak, jak chcesz.

- Mówisz, że mordowanie policjantów nic mi nie daje - powiedział spokojnie młody człowiek. - Ale wiesz co? Myślę sobie, że daje mi bardzo dużo. Przypieprzyliście się do mnie i od środy nie chcecie się odczepić. Kryję się to tu, to tam. Po co mi takie nerwy? Dlatego wydaje mi się, że rozwalenie was da mi bardzo dużo. Dobra. Wystarczy.

- Zastrzelisz nas i myślisz, że agent przed motelem tego nie usłyszy? - spytała Dance. - Jeżeli sam nie dobierze ci się do dupy, przytrzyma cię tu, dopóki nie przyjedzie oddział spec...

Serrano sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął tłumik i przykręcił do lufy.

- Podoba mi się, jak mówisz „do dupy”.

Dance zerknęła na Foster, którego mina wskazywała, że wciąż jest opanowany.

- Dobra. Jestem religijny. Dam wam parę sekund na pojednanie z Bogiem. Pomódlcie się. Chcecie coś powiedzieć? Przekazać komuś?

Oстрыm i groźnym tonem Dance oświadczyła:

- Przestałeś logicznie myśleć, Joaquin. Nasz szef wie, że tu jesteśmy, i kilkanaście innych osób. W każdej chwili ktoś z nich może do mnie zadzwonić. Jeżeli nie odbiorę, to w ciągu dziesięciu minut zjawi się tu oddział taktyczny i zacznie przeczesywać cały teren. Zablokują drogi. Nie wydostaniesz się stąd.

- Chyba wolę zaryzykować.

- Współpraca ze mną to twoje jedyne wyjście. Możesz przeżyć. Jeśli wyjdiesz przez te drzwi, już po tobie.

- Współpraca? - Roześmiał się. - Co ty mi możesz zaproponować? Nie masz nic. Jak to się mówi w piłce nożnej? Zero. Masz zero do zaproponowania.

Pistolet był już odbezpieczony. Mężczyzna skierował go w stronę Foster, który powiedział:

- Lamont.

Młody człowiek zmarszczył brwi.

- Co?

- Lamont Howard.

Zdezorientowana mina.

- Co mówisz?

- Nie udawaj głupiego. - Foster pokręcił głową.

- Co ty pieprzysz, gnido?

Foster nie wyglądał w najmniejszym stopniu na zastraszonego ani nawet przerażonego. Najwyżej na nieco zirytowanego niespodziewanym kłopotem.

- Podaję ci, gnido, imię i nazwisko, Lamont Howard. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął: - Znasz Lamonta, prawda?

Oczy Latynosa niepewnie przyjrzały się jego twarzy.

- Lamont to gość, który szefuje Four Seven Bloods w Oakland. Co z tego?

- Steve? - odezwała się Dance.

Foster:

- Byłeś w jego domu w Village Bottoms?

Zdumione spojrzenie.

- W West Oakland.

- Wiem, gdzie jest Bottoms.

- O co tu chodzi, Steve? - spytała ostro Dance.

Uciszył ją ruchem ręki i zwrócił się do młodego człowieka:

- Słuchaj, Serrano, rzecz wygląda tak. Jeśli mnie zabijesz, Lamont zabije ciebie. Proste. I zabije całą twoją rodzinę. A potem zje stek na kolację, bo bardzo lubi steki. Wiem, bo byłem u niego i jadłem z nim stek na kolację. Kilkanaście razy.

Dance spojrzała na Foster.

- Co?! - wyszeptała.

- Co ty pieprzysz?

- Zajarzyłeś już? Jestem człowiekiem Lamonta.

Dance wpatrywała się w niego bez słowa.

- Kurwa, to niemożliwe.

- Wiesz co, Serrano, mogę mówić tak, ty możesz mówić niemożliwe, dopóki nie będziesz musiał za to beknąć. Nie sądzisz, że rozsądniej byłoby go po prostu zapytać? Jeżeli nie zapytasz i mnie rozwalisz, Lamont i jego ekipa stracą swój jedyny kontakt w CBI i poza biurem. W DEA, Urzędzie Cła i Ochrony Granic, w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Ciekawe, w której wyschniętej studni zasną snem wiecznym twoja matka i siostra.

- Kurwa mać. Zaraz. Coś słyszałem. Miesiąc temu. Jakaś ekipa z Oakland dostawała pewne info z Sacramento.

- Ode mnie. - Foster wydawał się dumny.

Dance wyjrzała przez okno. Stemple wciąż patrzył na falujące trawy.

- Ty sukinsynu - warknęła do Fosterera.

Nie zwrócił na to uwagi.

- No więc zadzwoń.

Latynos obrzucił go badawczym spojrzeniem, nie zbliżając się za bardzo. Foster był znacznie potężniejszy.

- Nie mam jego numeru. Co ty myślisz, że się kumplujemy?

Foster westchnął.

- Słuchaj, wyciągnę telefon z kieszeni. Nic więcej. Tylko telefon... Hej, uwaga.

Dance opuściła rękę nad stołem, na którym stała ciężka metalowa lampa.

- Serrano, mógłbyś...

Młody człowiek zauważył, że agentka sięga po lampę. Podeszedł i brutalnie odepchnął ją pod ścianę, z dala od potencjalnej broni.

Foster zadzwonił.

- Lamont, tu Steve. - Włączył głośnik.

- Foster?

- Tak.

- O co chodzi? - W głosie zabrzmiała nuta ostrożności.

- Mam tu problem. Przepraszam cię. Stoi tu jeden narwaniec z jakiejś ekipy z Salinas i trzyma mnie na muszce. Jest z... - Foster pytająco uniósł brew.

- Barrio Majados.

- Słyszałeś?

- Aha, znam ich - odparł głos Howarda. - Pracuję z nimi. O co chodzi? Kto to jest?

- Serrano.

- Joaquin? Znam Serrana. Zniknął. Psy mu deptały po piętach.

- Ale się pojawił. Nie wie, kim jestem. Powiedz mu tylko, że pracuję dla ciebie. Inaczej wpakuje mi kulę w łeb.

- Kurwa, co ty wyrabiasz, Serrano? Zostaw w spokoju mojego człowieka. Zrozumiałeś?

- On jest od ciebie?

- Głuchy jesteś, kurwa?

Dłoń z pistoletem wciąż się nie opuszczała.

- Dobra, tylko... gość przypadkiem nie jest tajniakiem?

- Jeżeli jest, to jedynym tajniakiem, który załatwił gliniarza z Oakland.

- Bez jaj.

- Kutafon pojawił się u mnie niespodziewanie - powiedział Howard. - A Foster trach, rozwalił go.

- Nie, Steve! - szepnęła Dance ze zgrozą w głosie.

- A to kto, kurwa? - ryknął Howard.

- Glina, pracuje z Fosterem.

- No to zajebicie. - Gangster z Oakland westchnął. - Zajmijcie się nią. Zajęty jestem.

Rozmowa się zakończyła.

- Serrano - zaczęła Dance - przypomnij sobie, co mówiłam. Musisz być rozsądny. Musisz...

- Zamknij się, Kathryn - warknął Latynos.

Z lodowatym uśmiechem powiedziała do Fosterera:

- Ta historyjka, którą opowiadałeś mi w samochodzie, że masz syna. To kłamstwo.

Popatrzył na nią i nonszalancko wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem, co tu się będzie działo. Chciałem cię mieć po swojej stronie.

- Nie możesz sam prowadzić siatki - zaszydziła Dance. - Aż taki inteligentny nie jesteś.

- Wal się - oburzył się Foster. - Nikogo nie potrzebuję.

- Ilu ludzi zginęło przez to, co robiłeś?

- Daj spokój - odparł szorstko. - Serrano, do roboty. Rozwal ją, a ja zajmę się tym gościem z łazienki. Wyniesiemy go stąd. Powiem policji, że uciekłem tylnym wyjściem i ukryłem się na wzgórzach. I że tu był ktoś inny, nie ty. Jakiś człowiek z Tijuany.

- Może być - padła rzeczowa odpowiedź.

Nagle Foster przymrużył oczy.

- Chwileczkę.

- Co?

- Powiedziałeś... powiedziałaś „Kathryn”. Zwróciłeś się do niej „Kathryn”.

Wzruszenie ramion.

- Nie wiem. Co z tego?

- Ani razu nie powiedziałem jej po imieniu. W zeszłym tygodniu widziałem to przesłuchanie. Ona też ci nie mówiła, jak ma na imię.

Jestem agentka Dance...

Grymas. Młody człowiek odezwał się bez cienia latynoskiego akcentu:

- Zdaje się, że dałem ciała. Przepraszam. - Mówił do Kathryn Dance.

- Nie ma sprawy, Jose - odrzekła z uśmiechem. - Wiemy już wszystko, co chcieliśmy wiedzieć. Świetnie sobie poradziłeś.

Foster spoglądał to na nią, to na niego.

- Och, Jezu Chryste.

„Serrano”, którym w rzeczywistości był detektyw z Bakersfield, Jose Felipe-Santoval, wycelował broń w środek klatki piersiowej Fostera, a Dance, pozbawiona pistoletu, ale nie kajdanek, zatrzaskała mu obrączki na przegubach.

Ku jeszcze większemu zaskoczeniu Fostera agent, który udawał zwłoki Pedra Escalanzy, zerwał się na równe nogi, otrzepał dzinsy i też wyciągnął broń. Leżał na brzuchu, z głową niewidoczną dla trojga osób w pokoju motelowym.

- Cześć, TJ.

- Niezła akcja, szefowo. Co powiesz na krew? - Spojrzał na czerwone plamy na



nogawkach. - Ulepszyłem formułę. Syrop Hershey i barwnik spożywczy.

- Duży postęp. - Wskazała na kafelki.

- Prowokacja - wykrztusił Foster. - Od początku do końca.

Dance wyjęła telefon. Wcisnęła przycisk szybkiego wybierania numer pięć i zauważyła rysę na swoich czółenkach Aldo. Trzeba to będzie naprawić. To były jej ulubione buty do działań w terenie.

W telefonie odezwał się głos Charlesa Overby'ego:

- Kathryn? Jaki werdykt?

- To Foster. Mamy wszystko na taśmie. I tylko on.

- Ach.

- Będziemy za pół godziny. Chcesz zostać na przesłuchaniu?

- Za nic w świecie nie chciałbym stracić tej okazji.

## ROZDZIAŁ 90

Foster z wyrazem najwyższego obrzydzenia na twarzy spoglądał kolejno na Ala Stemple'a, Dance i Overby'ego. Byli w pokoju przesłuchań w CBI, tym samym, gdzie w zeszłym tygodniu Dance przeprowadziła fałszywe przesłuchanie fałszywego Serrana.

TJ był gdzie indziej; owszem, sztuczna krew okazała się dobra, ale plamy o wiele trudniejsze do usunięcia, niż sądził. Szorował właśnie dłonie i kostki w toalecie obok.

- Jezu - warknął Foster - kazaliście Kathryn oddać broń i zdegradowaliście ją do cywilnego, ale cały czas wkręcała się na przesłuchania podejrzanych, żeby wytropić Serrana. Żeby nie czuł się przez nią zagrożony.

Otóż to.

- I żebyś mógł się swobodnie dogadać z Serranem, kiedy wycelował do ciebie z pistoletu - dodał Overby.

- Dziesięć dni temu zebraliśmy dowody przeciwko prawdziwemu Serranowi - poinformowała Foster Dance. - Przekazaliśmy sprawę Amy Grabę z biura FBI w San Francisco. Żebyś nie miał szans niczego zwietrzyć. Amy go przymknęła. Wsyłał Guzmana. Obaj zostali odizolowani. „Serrano”, którego widziałeś, to policjant z Bakersfield. Jose pracuje pod przykryciem. Niezły, nie sądzisz?

Nie zachowywała się zbyt profesjonalnie. Ale nie była w nastroju. - Wzięliśmy go, bo jest podobny do prawdziwego Serrana.

Do odrazy Foster dołączyła złość:

- Jezu, wszyscy byliśmy podejrzani. Zmyśliłaś „tropy” prowadzące do Serrana - z Carol pojechałaś do bungalowu w Seaside. Z Gomezem na barcę mieszkalną. Teraz ten motel. W każdym miejscu odgrywałaś tę samą komedię. TJ grał zabitego kapusia. Widziałem tylko nogi i tułów. Twarzy już nie.

- Oprócz łodzi - wtrącił Overby. - Tam akurat była Connie Ramirez i zagrała... przypomnieć mi, jak się nazywała ta kobieta?

- Tia Alonzo - powiedziała Dance. - Razem wymyśliliśmy test - ciągnęła. - Wiedzieliśmy, że prawdziwy zdrajca będzie próbował się ratować. A ci z grupy specjalnej, którzy byli niewinni - musieli niestety przeżyć trudne chwile, kiedy Jose

wycelował w nich pistolet. Ale nie było innego wyjścia. Musieliśmy wiedzieć, kto nas wydał.

W pierwszym zainscenizowanym spotkaniu Carol Allerton w samobójczym ataku rzuciła się na fałszywego Serrana, przewracając stół zastawiony ceramicznymi pamiątkami. Gomez westchnął i godząc się ze śmiercią, zmówił modlitwę.

A Foster zagrał gangsterską kartę, powołując się na Lamonta Howarda, żeby ocalić własną skórę.

- Gdybyś przeszedł test pomyślnie, to by znaczyło, że zdradził Steve Lu. A skoro powiedziałaś Kathryn, że nikt inny z tobą nie współpracował, to jest czysty.

- Kurwa, wrobiliście mnie.

Odezwał się milczący dotąd Al Stemple:

- Wydaje mi się, że „wrobić” to znaczy niesprawiedliwie wplątać w coś niewinną osobę, a nie złapać w pułapkę winną gnidę. Mamy jasność w tym temacie, Steve? - Burknął głośno, po czym usiadł i skrzyżował na piersi ramiona grube jak pnie drzew.

To Dance wpadła na pomysł prowokacji z Wątkiem Guzmana i ciężko walczyła o realizację planu. Aż w Sacramento.

Postanowiła zorganizować tę operację po tragedii w Seaside, kiedy strzałami oddanymi z jadącego samochodu zabito matkę i zraniono jej dziecko. Kobieta była świadkiem w sprawie jednego z węzłów Kanału. Nikt nie mógł o niej wiedzieć - o ile nie było żadnego przecieku od kogoś biorącego udział w operacji.

- Mnóstwo razy przejrzałam akta, szukając innych przypadków operacji, które ktoś celowo mógł narazić na niepowodzenie. TJ i ja przez wiele tygodni porównywaliśmy skład personelu. Skróciliśmy listę do czterech osób, które uczestniczyły we wszystkich akcjach i wiedziały, że Maria Ioaconna była świadkiem. Ty, Carol, Steve Lu i Jimmy. Sprowadziliśmy was tutaj. I zorganizowaliśmy tę operację.

Oczywiście istniało ryzyko. Że na przykład winowajca może się zdziwić, dlaczego Dance pracuje nad sprawą Solitude Creek, ale oficjalnie zakazano jej udziału w pościgu za Serranem.

Overby poprosił wtedy: „Zapomnij o Solitude Creek, zostań w domu i - nie wiem - sadź kwiatki, co? Będziesz się za to pojawiać w miejscach związanych ze sprawą

Serrana”.

„Pracuję nad Solitude” - odpowiedziała bez ogródek.

Sama też ryzykowała własne życie i zdrowie - jak zauważył O’Neil w ich ostrej rozmowie: nie mogli wykluczyć, że kret gangsterów zadzwoni do kogoś takiego jak Lamont Howard, który pojawi się w jednym z wyznaczonych miejsc ze swoją ekipą i wymorduje wszystkich obecnych.

Ale nie mogli zrobić nic innego: Dance była zdecydowana odnaleźć zdrajcę.

Foster wpatrywał się w obrzydliwą szarą podłogę pokoju przesłuchań i drgały mu mięśnie twarzy.

- Nie liczyliśmy na to, że uda się znaleźć coś bezpośrednio na niego - dodała Dance. - Ale co powiesz na to, że mamy na taśmie Howarda, kiedy każe mnie zastrzelić?

- Ach, to byczo. - Overby się rozpromienił.

Nie sądziła, że kiedykolwiek usłyszy od niego takie słowo. Chyba przemyślał to, co właśnie powiedział, i się zawstydział.

Dance uśmiechnęła się do niego. Miał rację. Rzeczywiście byczo. A nawet bardziej.

Overby zerknął na zegarek. Golf? A może zastanawiał się z pewną zgrozą nad telefonem do Sacramento, by poinformować szefa CBI, że zdrajca pochodził ze świętych wyżyn ich własnej instytucji.

- Kontynuuj, Kathryn. Przekonaj go, że dalsze milczenie jest daremne. Przekonaj go, że warto wkroczyć na przykładną drogę skruchy i przyznać się do winy. Zresztą bez względu na to, co powie albo czego nie powie, niedługo pojawią się tu media. Mam nadzieję, że wystąpisz przed kamerami razem ze mną?

Charles Overby zapraszał kogoś innego do udziału w konferencji prasowej?

- Zasłużyłaś na to, żeby stanąć w blasku jupiterów, Kathryn.

- Chyba jednak dziękuję, Charles. To był długi dzień. - Wskazała na Fostera. - A to może trochę potrwać.

- Na pewno?

- Tak, na pewno. - Dance odwróciła się do swojej ofiary.

---

1 Hollister w Kalifornii poza nazwą nie ma nic wspólnego z marką odzieżową

Hollister, należąca do firmy Abercrombie & Fitch z siedzibą w New Albany w Ohio (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 91

W drzwiach gabinetu Dance zamajaczył jakiś cień.

Stanął w nich Michael O'Neil. Ponury. Spojrzał jej w oczy. Brązowe skrzyżowały się z zielonymi. Po chwili odwrócił wzrok.

- Cześć - powiedziała.

Skinął głową i usiadł.

- Słyszałeś?

- O Fosterze? Tak. Przyznał się do wszystkiego. Dobra robota.

- Podał kilkanaście nazwisk. Ludzi, których nigdy byśmy nie znaleźli. Gangsterów z Los Angeles i Oakland. Z Bakersfield i Fresno. - Uniosła wzrok znad komputera, do którego wpisywała notatki ze sprawy Antiocha Marcha. Zapowiadała się papierkowa praca długa jak most Golden Gate.

Następne w kolejce czekało udokumentowanie prowokacji Wątek Guzmana w ramach operacji Kanał, zakończone aresztowaniem Steve'a Fostera.

Prawdę mówiąc, wcześniej uważała go za najmniej podejrzanego z czwórki, zważywszy na jego okropny charakter. Przyzwyczaiła się, że to, co najbardziej rzuca się w oczy, jest najczęściej przeciwieństwem tego, co rzeczywiste. Najbardziej podejrzewała Carol Allerton. Który stanowy policjant nie miałby ochoty przyskrzynić federalnego? Teraz jednak miała wyrzuty sumienia z tego powodu. Agentka DEA po pierwszej prowokacji okazała się dobrą sojuszniczką. Ucieszyła się też, że to nie przyjazny Jimmy Gomez był zdrajcą.

Opowiedziała Michaelowi o finale prowokacji. Nie dodała oczywiście, że uważa, iż miała rację - gdyby miała broń, gdyby nie zachowała pozorów, że nadal jest zawieszona, Foster nie dałby się nabrać.

Nagle zauważyła, że choć O'Neil słucha, to jednak nie słyszy. Przyglądał się fotografiom na jej biurku - tej, na której była z dziećmi i psami. Tej formatu osiem na dziesięć, przedstawiającej Dance i jej męża, Billa. Bez względu na to, co się będzie działo w jej życiu osobistym, nigdy nie zamierzała odłożyć tych zdjęć do skrzyni na strychu. Zawsze miały być wystawione.

Umilkła na chwilę, po czym spytała:

- No dobrze, o co chodzi?

- Coś się dzisiaj stało. Muszę ci o tym powiedzieć. - Odwrócił głowę, wstał i zamknął drzwi. Jak gdyby zamierzał to zrobić, kiedy wchodził, ale był tak skupiony na tym, co chciał powiedzieć, że inne myśli rozsypały się jak upuszczone na ziemię kulki.

Coś się stało...

- Pamiętasz te przestępstwa nienawiści, nad którymi pracuję?

- Oczywiście. - Czyżby znów ktoś zniszczył budynek jakimś graffiti? A może tym razem doszło do prawdziwego ataku? Akty nienawiści często eskalowały od słów do krwawych czynów. Zabijano gejów, wlokąc ich za samochodami, strzelano do czarnoskórych albo Żydów.

- Znowu dom Goldschmidta.

- Sprawcy wrócili?

- Wrócili. Ale wygląda, że Goldschmidt nie był z nami zupełnie szczery. Zdaje się, że znalazł ich pojazdy i schował. Chciał, żeby wrócili po swoje jednoślady. Zostawił je na przynętę.

- To był gang motocyklowy?

- Nie, rowerowy.

- Zrobiły to jakieś dzieciaki?!

- Zgadza się.

Spojrzała na niego spokojnie.

- I co się stało, Michael?

- Goldschmidt miał strzelbę. Nie posłuchał cię wtedy.

- Niech to szlag! Zastrzelił kogoś?

- Zamierzał. Zaprzecza, ale po co trzymałby przy bramie garażu załadowaną berette?

- „Zamierzał”?

- Kiedy byli na ulicy i zbliżali się do domu, odebrałem telefon. Dzwonił jeden ze sprawców. Ostrzegł mnie, że dzieje się tam coś złego. Obawiał się, że dojdzie do użycia broni. I powiedział, że powinienem natychmiast przysłać oddział taktyczny i wsparcie. Oddział taktyczny, tak powiedział.

- Jeden z tych chłopaków? Zadzwoił do ciebie? I tak powiedział?

- Aha. - Nabrał powietrza. - Zadzwoiłem do policji w Pacific Grove i dwie

minuty później ich radiowozy były na miejscu. Wszystko zabezpieczyli. Kathryn, do mnie dzwonił Wes.

- Kto? - Zaciekawiała się. Zaraz jednak do niej dotarło. - Ale mówiłeś, że to był jeden ze sprawców!

- Owszem, Wes. Dwaj pozostali to Donnie, jego kolega, i jeszcze jeden chłopak. Nathan.

- Pomyłka - szepnęła. - To musi być pomyłka.

- Graffiti na budynkach malował Donnie - ciągnął O'Neil. - Wes mu towarzyszył. Nathan z kolegą robili inne rzeczy. Kradli znaki drogowe, towar ze sklepów.

- Niemożliwe.

- Pamiętasz ich grę? - zapytał.

- Oddziały Wielo... Nie wiem. - Jej myśli przypominały spieniony górski potok, którego bystrego nurtu nie sposób opanować.

- Oddziały Wielozadaniowe Wywiadu i Neutralizacji.

- Właśnie. Czemu o niej mówisz?

- To rodzaj skrótu. W-Z-W-N, wyzwania. Podzielili się na dwa zespoły. Każdy rzucał przeciwnikom wyzwanie, żeby robili rzeczy, za które mogli trafić do więzienia.

Zaśmiała się z goryczą. Była taka zadowolona, że chłopcy znaleźli sobie grę, w której trzeba używać papieru i długopisów, i unikają przemocy komputerowego świata, jaki uwiódł Antiocha Marcha, pomagając zmienić go w mordercę. Życie analogowe okazało się jednak tak samo destrukcyjne.

Gra toczona długopisami na kartce? Jaką szkodę może komuś wyrządzić?...

- A zespół Wesa dostał zadanie popełnienia aktów nienawiści?

- Zgadza się. Donnie ma na koncie pobyt w poprawczaku. Dziecko z problemami. A dzisiaj miał broń. Pistolet ojca. Trzydziestkę ósemkę.

- Boże.

- Na początku powiedział, że wziął ją dla obrony, ale później przyznał, że zamierzał obrabować Goldschmidta. Marzył, żeby się wyprowadzić z domu. Rozmawiałem z jego ojcem. Szczerze mówiąc, trudno winić tego chłopaka. Cokolwiek się stanie, na pewno wyjdzie mu na dobre, jeżeli nie będzie tam mieszkać. Przyznał się chyba po to, żeby nie wracać do domu.



No... nie jestem pewien, jak mam się do pani zwracać.

Pani Dance...

- Wes też malował te okropności na budynkach?

- Nie. Stał na czatach, kiedy Donnie robił graffiti.

To go jednak nie rozgrzeszało. Nawet jeśli sam nie malował ohydnych napisów na domu, był współwinny. Pomagał w popełnieniu przestępstwa. Jeżeli pojawiła się broń, mógł być oskarżony o współudział w przygotowaniu napadu rabunkowego. A gdyby ktoś zginął z powodu kradzieży znaku stopu? Współudział w zabójstwie.

- Przygotowuję grunt, Kathryn. To jeszcze nie wszystko.

Serio? Do diabła, może być jeszcze coś gorszego?

Jej prawą dłoń przeszył nagły skurcz: w zapamiętaniu ścisnęła w niej długopis. Odłożyła go.

- Skupiałam się na Maggie, bo miała opory przed zaśpiewaniem cholernej piosenki, a Wes popełniał przestępstwa! W ogóle nie zwracałam na niego uwagi. Być może zniszczył sobie życie...

- Kathryn. Proszę. - Położył na biurku telefon komórkowy. Sięgnął do kieszeni i obok położył kopertę.

Rozpoznała Samsung Wesa. Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- W telefonie jest wideo. A to raport policyjny napisany przez Wesa. - Podsunął jej kopertę.

- Raport policyjny? Jak to?

- Nieoficjalny. - Przez twarz O'Neila przemknął rzadki u niego uśmiech. - Przez miesiąc pracował pod przykryciem. Zobacz, jak to przedstawił.

Wzięła kopertę i otworzyła. Strony wydruków, dziennik ze szczegółowym opisem przebiegu zdarzeń, opatrzone datą i godziną.

28 kwietnia, godzina 18.45: byłem świadkiem, jak obserwowany Donald vel Donnie Verso na południowo-wschodniej ścianie latynoskiego Centrum Praw Imigrantów przy Aha rado Drive 1884 namalował sprayem Krylon słowa: „Wracajcie do siebie, meksykańce”. Farba była ciemnoczerwona.

O'Neil wziął telefon chłopca i włączył aplikację kamery. Przewijał galerię, dopóki nie znalazł konkretnego filmu. Obraz trochę drgał, ale wyraźnie pokazywał Donniego, gdy ten maluje graffiti na budynku.

- Wes udokumentował też inne wyzwania, które Donnie rzucał przeciwnej drużynie. Jeżeli chodzi o skradziony znak drogowy, Wes śledził Nathana i jego kumpla, niejakiego Vincenta, kiedy wykopali znak stopu na skrzyżowaniu. Natychmiast zadzwonił pod dziewięćset jedenaście, żeby to zgłosić. I został na skrzyżowaniu pilnować, żeby nikomu nic złego się nie stało.

Dance oglądała wideo. Zza kadru brzmiał cichy głos:

- Ja, Wes Swenson, osobiście obserwuję, jak Donald Verso wykonuje graffiti na Kościele Nowego Świata baptystów...

- Mniej więcej miesiąc temu - ciągnął O'Neil - kolega Wesa, chyba nazywał się Rashiv, miał starcie z Donniem, Nathanem i jeszcze jednym chłopakiem z bandy Donniego.

- Zgadza się - przytaknęła. - Rashiv i Wes byli kolegami. Potem Wes przestał się z nim spotykać. Nie wiem, co się stało.

- Donnie i reszta dręczyli go i bili, wyłudжали od niego pieniądze. Ukradli konsolę do gier. Rashiv powiedział o tym Wesowi. Sami nic nie mogli zrobić - widziałaś Nathana?

- Tak. Kawał chłopca.

- Najsilniejszy w całej bandzie. Robił wszystko, co Donnie kazał. Był gotów nawet ciężko kogoś poturbować. Wes słyszał, że Donnie i jego kumple próbują robić coś nielegalnego - o grze WYZWANIA mówiło się w szkole, chociaż nikt nie wiedział dokładnie, co to jest. Wes postanowił się dowiedzieć i - jak sam powiedział - „dorwać bydlaka”. Udało mu się wkręcić do bandy i wreszcie na tyle zdobył zaufanie Donniego, że ten dopuścił go do gry.

Umówił się nawet z Rashivem, że „przypadkiem” się spotkają. Wes miał udać, że kradnie mu komiks czy coś w tym rodzaju i grozi, że go pobije. Donnie wszystko łyknął.

- A dzisiaj? U Goldschmidta?

- Wes zauważył, że ostatnio Donnie dziwnie się zachowuje. Bardziej nieobliczalnie. Tamtego wieczoru, kiedy wymalował graffiti na domu Goldschmidta, Wes zobaczył, że bierze do ręki kamień. Zamierzał zaatakować kogoś, kto zbliżał się do ich kryjówki. Niedaleko Rezydencji Junipero.

- To byłem ja - wyszeptała.

- Wiem - odparł krótko O'Neil. - Wes nie mógł się wtedy zdradzić przed Donniem, ale otworzył w telefonie listę dzwonek i zwiększył głośność. Aparat zagrał próbkę, jakby ktoś do niego dzwonił. Donnie się spłoszył i uciekł.

Zamknęła oczy i lekko pochyliła głowę.

- Ocalił mnie. Może ocalił mi życie.

- A dzisiaj wieczorem zauważył coś w kieszeni Donniego i przypuszczał, że to może być broń. Pomyślał więc, mniejsza o dowody, ale co za dużo, to niezdrowo. Pora wezwać kawalerię.

- Dlaczego od razu tego nie zgłosił? Miesiąc temu? Po co bawił się w agenta?

O'Neil przebiegł wzrokiem jej biurko.

- Nie wiem. Może chciał, żebyś była z niego dumna.

- Jestem.

Ale mówiąc to, Kathryn Dance zastanawiała się: wie o tym? Naprawdę wie?

Albo, pomyślała nagle, może chciał, żebyś to ty był z niego dumny. W gabinecie zapadła cisza. Kathryn myślała o rozmowie, którą będzie musiała przeprowadzić z chłopcem. Bez względu na szlachetne motywy widziała tu parę pól minowych. Zgromadziła spory kapitał z okręgu Monterey w prokuraturze; będzie musiała się przekonać, jak duży i czy daje jej możliwości negocjacji. Poza tym Donnie będzie potrzebował pomocy. Chodziło nie tylko o więzienie. W tym wieku nie ma przypadków beznadziejnych, wszystko da się jeszcze naprawić. Głęboko w to wierzyła. Była gotowa zrobić wszystko, żeby trafił na terapię, gdziekolwiek go umieszczą.

Spoglądając na O'Neila, zobaczyła, że jego wyraz twarzy i postawa ciała uległy radykalnej zmianie. Nie było w nich żadnych kinezycznych subtelności.

Znaki, które dostrzegła, uruchomiły w niej sygnał ostrzegawczy. Pomyślała: jakby mało było tego, co powiedział o Wesie. Co teraz?

- Słuchaj - rzekł - jakby tego, co powiedziałem, było mało...

W innych okolicznościach może by się uśmiechnęła; teraz serce jej waliło jak szalone.

- Jest coś jeszcze. - Spojrzał w stronę drzwi. Wciąż zamknięte.

- O co chodzi?

- Chodzi... Można chyba powiedzieć, że chodzi o nas.

Uniosła głowę i nieznacznie pochyliła. Skinienie głowy to jeden z najbardziej wieloznacznych gestów. Często sygnał obronny, który znaczył: potrzebuję trochę czasu, żeby przygotować serce.

Wiedziała już bowiem, co usłyszy. Michael i Annę wracali do siebie. Takie pojednania zdarzały się częściej, niż można by przypuszczać. Po podpisaniu dokumentów rozwodowych, kiedy małżonkowie trochę już ochłonęli, kochanek byłej żony stawał się dziwakiem albo okazywał się potwornym nudziarzem. Dawny mąż nie wydawał się już taki zły. Postanawiali zrobić porządki, zakasać rękawy i spróbować jeszcze raz.

Bo po co Annę kilka dni temu pojawiła się pod CBI z dziećmi? Ubrana jak ucieleśnienie ideału matki. Uwagi O'Neila: nowa opiekunka, można powiedzieć, liczba mnoga, gdy mówił o swoich planach na wieczór, kiedy występowała Maggie.

- No więc powiem ci, czego rzecz dotyczy.

Utkwił wzrok w przeokropnym żółtym, ceramicznym kocie, którego Maggie ulepiła jeszcze w pierwszej klasie.

Kathryn uporczywie wpatrywała się w jego twarz.

## ROZDZIAŁ 92

Dom kusił.

Wiktorianański budynek jarzył się przytłumionym blaskiem kinkietów przy drzwiach i światłem z wewnątrz, sączącym się kremowo przez zasłony. W niektórych oknach i wokół donic z kwiatami jaśniały punkciki lampek choinkowych, potęgując magiczną atmosferę. Oświetlenie było rozmieszczone nieregularnie, ale to nie miało znaczenia: Dance nigdy nie czuła potrzeby symetrii.

Wyłączyła silnik nissana, ale nie wysiadała z samochodu, zaciskając mocno palce na kierownicy. Drżały.

Wes...

Zachciało mu się bawić w policjanta.

Boże, Boże... Przecież Goldschmidt mógł go zastrzelić. O'Neil mówił, że miał berettę. Owszem, te strzelby to dzieła sztuki, ale służą przede wszystkim do zabijania. I robią to nadzwyczaj skutecznie. Puściła kierownicę. Poczwała na dłoniach chłód parującego potu. Powtarzała sobie to, co zamierzała powiedzieć synowi. Mieli przed sobą długą rozmowę.

Potem oczywiście wróciła myślą do tego, co powiedział Michael O'Neil.

Słuchaj, jakby tego, co powiedziałem, było mało...

Przecież zawsze tak jest. Rozmowy, których nie chcesz, nie możesz przeprowadzić, przed którymi się wzbranasz... zaczynają się same, i to zwykle w najgorszym z możliwych momencie. Ciągle była niemal sparalizowana ze zgrozy. Kilkanaście razy głęboko odetchnęła.

Wreszcie wysiadła z pathfindera i weszła na werandę, wyjmując klucz.

Nie musiała go jednak przekręcać w zamku. Drzwi otworzyły się i stanął przed nią Jon Boling w dżinsach i czarnej koszulce polo. Zorientowała się, że on ma trochę dłuższe włosy niż wcześniej. Znowu czegoś nie zauważyłam, pomyślała.

Ale to był koszmarny tydzień.

- Cześć - powiedział.

Pocałowali się i Dance weszła do domu.

Za nią rozległ się tupot wielu łap, stukających o podłogę pazurami, które należało przyciąć. Nastąpiła seria radosnych skoków na kanapę i powitalnych przewrotów na

grzbiet. Kathryn przystąpiła do drapania psich łbów, obowiązku, który obu stronom sprawiał nieodmienną przyjemność.

- Wina?

Dobra diagnoza.

Uśmiechnęła się. Skinęła głową. Zsunęła marynarkę i zawiesiła na haczyku. Była zbyt zmęczona, żeby szukać wieszaka.

Wrócił Boling z kieliszkami. Do obydwu nalał białe. Pewnie niedębowane chardonnay, które niedawno odkryli. Michael wolał czerwone. Innego nie pił.

- Gdzie dzieci?

- W swoich pokojach. Wes wrócił jakąś godzinę temu. Nie chciał zobaczyć programu, który wczoraj napisałem. Trochę to dziwne. Jest teraz u siebie. Wydaje się markotny.

Ciekawe dlaczego.

- Mags też jest u siebie. Śpiewa jak najęta. Skrzypce niedługo mogą pójść w odstawkę.

- Na dworze nie jest tak źle. Wyjdziemy?

Poszli na Taras, odgarnęli skręcone żółte liście z dwóch nierównych drewnianych krzeseł. Aura na półwyspie Monterey nie przypominała Środkowego Zachodu, bo właściwie nie było tu pór roku. Liście spadały w dogodnej dla siebie chwili.

Dance powoli usiadła. Napłynęły strzępy mgły, przynosząc zapach wilgotnej ściółki ogrodowej, który przypominał tytoń oraz woń eukaliptusa. Kiedyś Maggie usilnie ją namawiała, żeby wzięli do domu małego niedźwiadka koalę, bo w okolicy jest mnóstwo liści, które mógłby jeść. „Nie będzie nas nic kosztował!”.

Kathryn nie zadała sobie nawet trudu, by szukać kontrargumentów. „Nie” - ucięła krótko.

Boling zapiął sweter.

- W wiadomościach pokazano materiał o Marchu.

Słyszała o tym; nie chciała komentować.

- Antioch March - rzekł w zamyśleniu Boling. - Naprawdę tak się nazywa?

- Aha. Nazywali go najczęściej Andy.

- Klienci Marcha są przestępcami?

- Nie wiem właściwie, jak to zakwalifikować. Prawdopodobnie jako współudział,

jeżeli naprawdę zlecili zabójstwo. To rozległa sieć. Z tego, co mówi March, wynika jednak, że wielu klientów mieszka za granicą. W Japonii, Korei, Azji Południowo-Wschodniej. Nie możemy do nich dotrzeć, a wiemy za mało, żeby wystąpić o ekstradycję. TJ przeszukuje dane ze strony internetowej. Myślę, że znajdziemy obywateli USA, z którymi biuro zechce porozmawiać. March zgodził się zeznawać. W ramach umowy.

Znów się wzdrygnęła.

Cieszę się, że nasze drogi się przecięły...

- Zawsze się martwiłem, że gry wideo znieczulają - mówił Boling. - W każdym razie dzieciaki. Odbierają im umiejętność filtrowania.

W dwa tysiące szóstym roku młody człowiek, aresztowany pod zarzutem kradzieży samochodu, wyrwał policjantowi pistolet i uciekł z komisariatu, zabijając trzech funkcjonariuszy. Był wielkim fanem tej samej gry, o której wspominał March, Grand Theft Auto.

Inni młodociani zabójcy - morderca ze szkoły Sandy Hook z Newton i dwaj uczniowie Columbine - też byli zapalonymi użytkownikami brutalnych gier, jak przypuszczała Dance.

Według opinii jednej ze stron dyskusji nie istnieje związek przyczynowo-skutkowy między grami a aktem przemocy, natomiast gry tego rodzaju pociągają młodych ludzi, którzy mają naturalną skłonność do dręczenia, krzywdzenia czy zabijania innych. Weszliby na drogę przestępstwa, nawet gdyby nigdy w życiu nie grali. Inni twierdzili, że biorąc pod uwagę proces rozwojowy dzieci, kontakt z grami zazwyczaj wpływa na kształtowanie zachowań, o wiele bardziej niż telewizja czy kino, ponieważ grając, dziecko wkracza do innego świata, który działa na innych zasadach i wciąga je bardziej niż bierna rozrywka. Dance popijała wino, pozwalając tym myślom odpłynąć i ustąpić miejsca wspomnieniu słów Michaela O'Neila, które padły godzinę temu.

No więc powiem ci, czego rzecz dotyczy...

Ciężki ucisk w żołądku.

- Kathryn?

Zamrugnęła i zdała sobie sprawę, że Boling o coś ją pyta.

- Słucham?

- Antioch. Był Grekiem?

- Prawdopodobnie w drugim czy trzecim pokoleniu. Nie ma śródziemnomorskiej urody. Jest podobny do jakiegoś dobrze zbudowanego aktora.

- Antiochia. To miasto, prawda?

- Nie wiem.

Przyglądali się pasmu mgły, które jak zjawa muskało ściany domu, niesione delikatnym wietrzykiem. Temperatura była niska, ale takiej potrzebowała Dance. Chłód działał oczyszczająco. Podobnie jak komiczne odgłosy szczekania fok i kojący huk fal, gdy uderzały o skały.

W tym momencie poczuła ukłucie w żołądku, zauważyła bowiem przedmiot leżący na podłodze Tarasu, obok nóg Bolinga. Niewielką torebkę. Z By the Sea Jewelry w Carmel. Znała ten sklep. Carmel był tak romantycznym miejscem, że sklepy jubilerskie wyspecjalizowały się w pierścionkach zaręczynowych i obrączkach.

Boże, pomyślała. Boże drogi.

Cisza między nimi gęstniała bardziej niż mgła. Kathryn zorientowała się, że Jon nad czymś medytuje. Oczywiście - przygotował sobie mowę. I właśnie ją rozpoczął.

- Chcę ci coś powiedzieć. - Uśmiechnął się. - Co za rozrzutność werbalna. Gdybym chciał coś powiedzieć, tobym powiedział. No więc powiem.

Zaaplikowała sobie łyk wina. Nie, haust wina. Potem powiedziała sobie: zachowaj zimną krew. Zapowiada się coś ważnego. Odstawiła kieliszek.

Boling nabrał powietrza jak nurek, który chce sprawdzić, jak długo uda mu się wstrzymać oddech.

- Rozmawialiśmy o wycieczce do Napa, z dziećmi.

W najbliższy weekend. Zwiedzanie winnic, jakieś zakupy. Telewizja na żądanie w hotelu. Pizza.

- Myślę, że nie powinniśmy jechać.

- Nie?

A więc chodził mu po głowie romantyczny wyjazd, tylko we dwoje.

Uśmiechnął się. Ale zupełnie innym uśmiechem niż dotąd. Jego oczy przybrały wyraz, jakiego wcześniej nie widziała.

- Kathryn...



No tak. Nigdy nie zwracał się do niej po imieniu. W każdym razie rzadko.

- Zamierzam wyjechać.

- Już? Jeszcze nie jest tak późno.

- Nie, mówię o wyprowadzce.

- Chcesz...

- Jest taka nowa spółka w Seattle, która chce mnie zatrudnić. Być może drugi Microsoft. I wiesz co, to jest nowa na rynku firma informatyczna, która naprawdę zarabia.

- Zaraz, Jon. Chwileczkę. Najpierw...

- Mogę kontynuować? - Mówił tak spokojnie, łagodnie, rozsądnie.

- Jasne. Przepraszam. - Uśmiechnęła się i umilkła.

- Nie zamierzam mówić banałów, którymi ludzie w takich chwilach sypią na lewo i prawo. Chociaż to chyba ty powiedziałaś, że banały są banałami, bo są prawdziwe?

Jej znajomy, nie ona, ale nie odpowiedziała.

- To, co przeżyliśmy, było wspaniałe. Twoje dzieci są najcudowniejsze. Zgoda, może to jednak są banały. Ale naprawdę są cudowne. Ty jesteś cudowna.

Czuła bezgraniczną wdzięczność, że nie mówił o fizycznej stronie ich związku. Była wspaniała, błoga, przyjemna, czasem oszałamiająca. Ten temat nie należał jednak do składowych wektora tej rozmowy.

- Ale wiesz co? Nie jestem facetem dla ciebie. - Zaśmiał się swoim kojącym śmiechem. - Przecież dobrze wiesz, o czym mówię, prawda?

Tak, wiedziała.

- Widziałem cię z Michaelem. Kiedy kłóciliście się na werandzie po powrocie z Orange. To nie była błaha kłótnia, spieraliście się, ale bez złośliwości. Można powiedzieć, prawdziwe starcie między dwojgiem ludzi, których łączy głęboka i trwała więź. Widziałem piekielną awanturę, ale z mnóstwem miłości. I widziałem, jak razem pracowaliście, by dojść do wniosku, że morderca działał na zlecenie. Jak błyskawicznie wymienialiście myśli. Dwa umysły, ale tak naprawdę jeden.

Wyczuła, że mógłby tak mówić dalej, lecz naprawdę nie było potrzeby powoływania się na kolejne fakty: to było samouzasadniające się twierdzenie.

Do oczu napłynęły jej piekące łzy. Oddech zaczął się rwać. Wzięła go za rękę,

zawsze cieplejszą od jej dłoni. Przypomniała sobie, jak kiedyś w łóżku przesunęła palcami po jego plecach i poczuła, że sztywnieje od chłodnego dotyku. Oboje się wtedy roześmiali.

- Posłuchaj, nie próbuję cię swatać. Mogę się tylko taktownie wycofać, a resztą zajmiesz się sama.

Jej wzrok powędrował w stronę torebki na podłodze. Zauważył to.

- Ach, proszę. - Sięgnął po nią i podał jej.

Zajrzała do środka. Kiedy wsunęła rękę, zaszeleściła bibułka i Patsy, retriever gładkowłosa, leżąca dziesięć metrów od nich, uniosła jedwabisty łeb. Może jest nadzieja na jakieś smakowite resztki. Zobaczyła, że ludzie nie skupiają uwagi najedzeniu, więc ponownie zapadła w drzemkę.

Pudełko było większe niż typowe opakowanie pierścionka.

- Nie rób sobie wielkich nadziei. To właściwie nie jest prezent. Zwłaszcza że to należało do ciebie.

Otworzyła pudełko i się zaśmiała.

- Och, Jon!

W środku znajdował się jej zegarek, prezent od Lincolna Rhyme'a i Amelii Sachs, który rozbiła, rzucając się z zapalem na ziemię, by „ucieczka” Serrana wyglądała bardziej wiarygodnie. Z roleksem w dłoni, zarzuciła Bolingowi ręce na szyję, wdychając jego zapach. Skóra, szampon, detergenty, płyn po goleniu. Po chwili się odsunęła.

Na jego twarzy malował się smutek, ale nie dostrzegła żadnych oznak zwątpienia ani śladu nadziei na protesty. Przeanalizował sytuację i wyciągnął wnioski, tak samo prawdziwe jak prędkość światła i binarny system liczbowy. I też niezmiennie.

- Dlatego teraz, dopóki się jeszcze trzymam - bo naprawdę chcę się trzymać, ale na długo nie wystarczy mi sił - pojedę do domu.

Wstał.

- Powiem ci, jaki mam plan, moim zdaniem całkiem dobry. Będę wpadał co parę tygodni, zajrzę do domu, odwiedzę znajomych. Napiszę jakiś kod z Wesem, pójdę na występ Maggie. A jeżeli podejmiesz taką decyzję, jaką powinnaś podjąć, możecie mnie z Michaelem zaprosić na kolację. Jeżeli ja podejmę taką decyzję, jaką powinienem podjąć, pewnie kogoś poznam i przywiozę ze sobą. Poza tym

możesz mnie zawsze wynająć do przeprowadzenia moich niezwykle trafnych analiz informatycznych, chociaż muszę przyznać, że CBI proponuje zewnętrznym zleceniobiorcom naprawdę nędzne stawki.

- Och, Jon...

Zaśmiała się przez łzy.

Podeszli do drzwi i się uścisnęli.

- Naprawdę cię kocham - powiedział. I położył jej palec na ustach, jakby chciał wybawić Kathryn od schematycznej odpowiedzi. Głaszcząc kształtny pysk Dylana, Jon Boling opuścił jej dom i na dobrą sprawę jej życie.

Dance wróciła na Taras i z powrotem usiadła na krześle, spowita wilgotnym chłodem; wcześniej nie uświadomiła sobie, że przenika ją zimno. Jeszcze dotkliwiej odczuwała nieobecność Jona Bolinga. Włożyła naprawiony zegarek i obserwowała pełny obrót sekundnika, ledwie widocznego w bursztynowym świetle padającym z okrętowego kinkietu, zamontowanego na ścianie z tyłu ponad jej głową.

Potem zamknęła oczy i oparła się wygodnie, a w jej głowie zabrzmiały słowa wypowiedziane czterdzieści minut wcześniej przez Michaela O'Neila.

- No więc powiem ci, czego rzecz dotyczy. Myślałem o tym od wielu miesięcy i próbowałem znaleźć jakiś inny sposób, żeby to powiedzieć.

Przygotowała się, że w następnym zdaniu padnie imię jego byłej żony Anne.

- Wiem, że jesteś teraz z Jonem. Facet jest w porządku, widziałem was razem. Pasujecie do siebie. Dzieci go lubią. To ważne. Naprawdę ważne. Nigdy cię nie skrzywdzi.

Zastanawiała się, do czego zmierza. Zdezorientowało ją tyle słów, które u Michaela O'Neila były długą przemową. Dlaczego się przed nią usprawiedliwiał z tego, że chce wrócić do żony?

Nie odrywając oczu od paskudnego ceramicznego kota, ciągnął:

- Jak mówię, myślałem długie miesiące. Ale nie ma innego wyjścia, tylko postawić sprawę wprost. Nie wydaje mi się, żebyś chciała to usłyszeć, ale...

- Michael.

- Chcę się ożenić.

Ożenić się drugi raz z Anne? - pomyślała. Dlaczego, u diabła, prosi mnie o zgodę?

- Możesz powiedzieć nie - dodał. - Zrozumiem. Możesz powiedzieć, że Jon zostanie w twoim życiu na zawsze. Ale muszę cię zapytać.

O Boże. To ja. To mnie się oświadcza.

- Myślałam, że Anne wróciła - wyjąkała.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Anne? W pewnym sensie chyba tak. Kupuje ze swoim chłopakiem mały domek w dolinie. Wie, że nie była najlepszą matką na świecie. Postanowiła to zmienić i chce teraz spędzać z dziećmi o wiele więcej czasu. Poczuję się z niej dumny. - Zaśmiał się lekko. - Anne nie ma nic wspólnego z nami. Z tobą i mną.

- Och - szepnęła Dance. Jej oczy też spoczęły na żółtym posągu kota stojącym na biurku. Figurce nigdy nie poświęcono tyle uwagi, ile przez ostatnie trzy minuty.

Siedząc na zimnym Tarasie, Dance przypomniała sobie dokładnie następne słowa O'Neila:

- No więc powiedziałem, co miałem powiedzieć. Wyjdiesz za mnie? - Przyjrzał się jej badawczo. - Wiesz co, znam cię i pracuję z tobą tyle lat, ale chyba nic się nie nauczyłem i ani w ząb nie znam się na kinezyce. Nie mam pojęcia, co teraz myślisz.

Podniosła się z za biurka i podeszła do O'Neila. On też wstał.

- Czasami lepiej nie mieszać do tego kinezyki - odparła. - I zostać przy słowach. Właściwie przy jednym słowie. - Objęła go, jak potrafiła, najmocniej i z ustami tuż przy jego uchu udzieliła mu odpowiedzi. - Tak - powiedziała Kathryn Dance. - Tak.

# PODZIĘKOWANIA

Składam wyrazy dozgonnej wdzięczności następującym osobom: Will i Tina Anderson, Sophie Baker, Giovanna Canton, Sonya Cheuse, Jane Davis, Julie Deaver, Jenna Dolan, Kimberly Escobar, Jamie Hodder-Williams, Kerry Hood, Mitch Hoffman, Cathy Gleason, Emma Knight, Carolyn Mays, Claire Nozieres, Hazel Orme, Abby Parsons, Seba Pezzani, Michael Pietch, Jamie Raab, Betsy Robbins, Kąty Rouse, Lindsey Rose, Marissa Sangiacomo, Roberto Santachiara, Deborah Schneider, Vivienne Schuster, Madelyn Warcholik. Jesteście najlepsi!